

Krzywda i Gniew wydali na świat  
obłąkaną córkę Zemstę

# MARTA ZABOROWSKA

## BEZ POWROTU



CZARNA OWCA

**MARTA  
ZABOROWSKA**  
**BEZ  
POWROTU**

WYDAWNICTWO  
**CZARNA OWCA**

# Spis treści

<a href="#"><u>Okładka</u></a>
<a href="#"><u>Strona tytułowa</u></a>
<a href="#"><u>Strona redakcyjna</u></a>
<a href="#"><u>ROZDZIAŁ I</u></a>
<a href="#"><u>ROZDZIAŁ II</u></a>
<a href="#"><u>ROZDZIAŁ III</u></a>
<a href="#"><u>ROZDZIAŁ IV</u></a>
<a href="#"><u>ROZDZIAŁ V</u></a>
<a href="#"><u>ROZDZIAŁ VI</u></a>
<a href="#"><u>ROZDZIAŁ VII</u></a>
<a href="#"><u>ROZDZIAŁ VIII</u></a>
<a href="#"><u>ROZDZIAŁ IX</u></a>
<a href="#"><u>ROZDZIAŁ X</u></a>
<a href="#"><u>ROZDZIAŁ XI</u></a>
<a href="#"><u>ROZDZIAŁ XII</u></a>
<a href="#"><u>ROZDZIAŁ XIII</u></a>
<a href="#"><u>Przypisy końcowe</u></a>

Redakcja: Adam Osiński  
Projekt okładki: Paweł Panczakiewicz ART.DESIGN  
Zdjęcie na okładce: © iStock  
Korekta: Anna Brzezińska, Beata Wójcik  
Redaktor prowadzący: Katarzyna Monika Słupska

Copyright© by Marta Zaborowska, 2021  
Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Czarna Owca, Warszawa 2021

Wydanie I

ISBN: 978-83-8143-980-0

WYDAWNICTWO  
**CZARNA OWCA**

ul. Wspólna 35/5 | DZIAŁ HANDLOWY tel.: +48 22 616 29 36, e-mail: handel@czarnaowca.pl  
00-519 Warszawa | REDAKCJA tel.: +48 22 616 29 20, e-mail: redakcja@czarnaowca.pl  
www.czarnaowca.pl | SKLEP INTERNETOWY tel.: +48 22 77 55 705, www.inverso.pl

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie **Zecer**.

*Historia zainspirowana prawdziwymi wydarzeniami*

25 SIERPANIA 2017

WARSZAWA-BIELANY, ULICA BARCICKA

**D**awno temu, za głębokim morzem i wysoką górą, w zielonej krainie Agulo żyła sobie księżniczka Wody o imieniu Gara. Była młoda i piękna, jej czarne włosy lśniły niczym skrzydła kruka. W końcu przyszedł czas, gdy Gara zapragnęła wyjść za mąż. Jej mężem nie mógł zostać byle kto, lecz jedynie ten, którego szczerze pokocha. O tym, czy znajdzie się ktoś taki, mogła dowiedzieć się tylko w jeden sposób. Wiesz, kochanie, w jaki? Nie wiesz, małeńka, skąd mogłabyś to wiedzieć... W takim razie słuchaj uważnie dalej.

Dolores Riva Ortega położyła swoją ciepłą dłoń na czole dziewczynki i pogładziła delikatną skórę, zahaczając o miękką linię jej włosów. Zrobiła to odruchowo. Karinka lubiła jej pieszczoty, zwłaszcza przed snem. Wystarczyło, by mała przytuliła policzek do poduszki, a Dolores zaraz przygaszała światło i siadała na brzegu łóżka. Otulała drobne ramiona kołdrą, by dziewczynka nie czuła wieczornego chłodu, po czym powtarzała ten sam rytuał: muskała opuszkami palców jej czoło, rysując na nim mniejsze i większe kółka. Ten monotonny ruch sprawiał, że oczy Karinki zamykały się i pod powieki przychodził dobry sen.

Tak działo się przez pięć lat, więc i tym razem Dolores nie wyobrażała sobie, by mogło być inaczej. To, że zamiast nocy był teraz środek dnia, a chłód zastąpiło letnie słońce wdzierające się przez nagrzane okna, nie robiło różnicy. Znaczenia nie miało też to, że nie były same – poza nianią i dziewczynką niewielki pokój wypełniało siedem osób.

– Otóż wraz z nadejściem nowego roku miał odbyć się w wiosce festyn – mówiła dalej Dolores, nie odrywając dłoni od czoła Karinki. – A zwyczaj nakazywał, by wszystkie panny, które chcą poznać swoją przyszłość, zebrały się przy zaczarowanej fontannie, do której wpadała woda z siedmiu strumieni płynących z gór. Wystarczyło nachylić się nad jej taflą i przejrzeć w lustrze wody. Jeśli pozostawała krystalicznie czysta, dziewczynie wróźono szczęście. Bywało jednak, że woda mętniała i burzyła się, wieszcząc tym samym pannie zgubę i los naznaczony hańbą. Żadna

z dziewcząt nie chciała mieć złamanego serca ani okryć się złą sławą. Pochylały się więc nad fontanną z obawą, ale i nadzieją, że w jej toni zobaczą niezmacone odbicia swoich twarzy. Kiedy przyszła kolej na Garę, księżniczka nachyliła się nad brzegiem i odetchnęła z ulgą, widząc, że woda jest czysta i spokojna. Nim jednak podniosła głowę, woda nagle pociemniała, zmętniała i spiętrzyła się, jakby zadał w nią ostry wiatr. Po chwili pokryła się czerwienią, zupełnie jak gdyby do fontanny wpadło rozżarzone słońce. Przerazona Gara nie rozumiała, co się stało ani dlaczego. Wtem poczuła na swym ramieniu czyjąś dłoń. Gdy się obróciła, zobaczyła starego mędrca, który powiedział do niej: „To, co musi się wydarzyć, wydarzy się. Uciekaj od Ognia, Garo, albo on cię pochłonie!”.

Dolores przerwała opowiadanie. Zza rękawa swojej czarnej sukni wyjęła chustkę, po czym dyskretnie wytarła nią skrzydełka nosa i wilgotny kącik oka. Kiedy chustka wróciła na swoje miejsce, kobieta uśmiechnęła się do dziecka przepraszająco.

– Wybacz mi, skarbie, na czym to skończyłam? Ach, na starym mędrca i klątwie. Słuchaj więc dalej. Jeszcze tego samego dnia z sąsiedniej wyspy Ognia, nad którą wznosił się groźny wulkan, przyplłynęły łodzie, a na jednej z nich król tej wyspy wraz ze swoim synem, księciem o imieniu Jonay. Oni także chcieli powitać nowy rok i przyłączyć się do zabawy trwającej w krainie Agulo. Gdy tylko łodzie dobiły do brzegu, przybysze wyszli na piasek, a mieszkańcy wioski powitali ich radośnie. Los chciał, że pierwszą kobietą, jaką ujrzał Jonay, była piękna Gara. Młodzi natychmiast zakochali się w sobie. Kilka dni później ogłoszono ich zaręczyny. Gara i Jonay nie posiadali się ze szczęścia. Jednak gdy informacja o zrękowinach rozeszła się po okolicy, na wyspie Wody zatrzęsała się ziemia, a wulkan na wyspie Ognia zaczął wyrzucać w niebo płomienie i piekący pył. Wtedy przypomniano sobie o przepowiedni starego mędrca. Związek Wody i Ognia zwiastował nieszczęście dla obu królestw. Strach padł na mieszkańców wysp, a wraz z nim pojawiła się złość na Garę i Jonaya. Rodzice Gary natychmiast odwołali ślub, a Jonay, przepędzony z krainy Agulo, wrócił na wyspę Ognia i miał nigdy więcej nie pokazywać się na wyspie Wody. Garze również nakazano zapomnieć o ukochanym. Jednak miłość młodych trwała nadal. Żadne z nich nie potrafiło pogrzebać łączącego ich uczucia.

– Już wystarczy – odezwał się kobiecie głos spod ściany. – Odejdź od niej, Dolores. Moja córka tego nie potrzebuje.

Beata Morawska zbliżyła się do pochylonej nad dziewczynką sześćdziesięcioletniej niani. Wykonała przy tym ruch, jakby chciała chwycić ją za łokieć i odciągnąć od Karinki, jednak kobieta zwinnie uchyliła się od jej dotyku.

– Przecież nie możesz siedzieć przy niej cały czas. – Morawska nie zamierzała ustępować. – To już twoja czwarta godzina. Czas odpocząć. Potrzebujesz chwili oddechu, jak my wszyscy zresztą – dodała.

Dolores wyprostowała plecy, ale wciąż nie ruszała się z miejsca.

– Chcę dokończyć. Nie przerywa się opowiadania w połowie.

Obróciła się przez ramię w nadziei, że któraś z osób siedzących pod ścianą ją poprze. Na reakcję swojej matki nie mogła liczyć. Josefa miała zamknięte oczy i była odcięta od tego, co działo się tuż obok. Wyglądała, jakby spała, i tylko co jakiś czas z jej ust wydobywało się ciche: *mi corazon... mi corazon...*<sup>1</sup> Córka Dolores, dwudziestosześcioletnia Pilar, błądziła gdzieś myślami. Gdyby mogła, wsunęłaby do uszu słuchawki z jakąś operową arią i przeniosła się z tego niewielkiego pokoju w zupełnie inne miejsce. Najlepiej na swoją ukochaną scenę w teatrze, byle dalej stąd. Dwie starsze panie, które Dolores poznała lata temu w kościelnym kółku modlitewnym, również zdawały się nie zauważać jej proszącego wzroku. Siedziały z pochylonymi głowami i przesuwwały w palcach koraliki różańców. Przyjaźń z rodziną Rivów Ortegów, choćby nie wiadomo jak zażyła, nie dawała im prawa do wtrącania się w sprawy chlebodawców Dolores, czyli państwa Morawskich.

Niania przesunęła więc spojrzenie na ostatnie krzesło. Siedział na nim trzydziestodwuletni mężczyzna, ubrany w czarne spodnie i białą koszulę, której rękawy opinały się na umięśnionych ramionach.

Rafał Morawski zaszurał nogami, a następnie dźwignął się z krzesła.

– Pozwól jej – powiedział krótko do żony.

Stanął w żołnierskim rozkroku tuż za plecami Dolores i skrzyżował ręce na piersiach. Nie patrzył ani na Beatę, ani na nianię. Był skupiony tylko na twarzy leżącej dziewczynki.

– Nic złego się przecież nie dzieje – dodał, nie odrywając spojrzenia od dziecka. – Poza tym sama wiesz, jak nasza córka kocha bajki.

– Zwariowałaś... – parsknęła Beata. – Jak Boga kocham, wszyscy powariowaliście.

Odeszła na kilka kroków i zatrzymała się pod oknem. Nerwowo poprawiła koronkowy kołnierzyk swojej ciemnoszarej sukienki. Szykowała



się, by dorzucić jeszcze kilka gorzkich słów, ale Rafał ją uprzedził.

– Dolores chce tylko pomóc. Powinniśmy być jej wdzięczni.

Musiał zauważyć, jak zadrżały jej usta. Wyminął siedzącą na stołku nianię i podszedł do żony.

– Chodź do mnie. – Przyciągnął ją i przytulił do odprasowanej koszuli.

– To nie jest pora na udowadnianie sobie czegokolwiek – powiedział, gładząc Beatę po głowie. – Przez to wszystko ledwie się trzymasz. Jesteś blada jak papier.

Przyłgnęła do jego tułowia. Rzeczywiście, od rana czuła się fatalnie. Mdlilo ją. Do tego ten niewielki pokój, w którym stłoczyli się w kilka osób, stał się tak duszny, jak gdyby wypompowano z niego cały tlen.

– Otworzę okno. – Pilar ochoczo się poderwała. – Josefa też zaraz zemdleje, cały czas łapie się za serce.

– Żadnego hałasu! – Beata zatrzymała ją, zanim zdążyła chwycić za klamkę. To, że wszyscy dusili się w ciężkim powietrzu, niczego nie zmieniało. Okno musiało pozostać zamknięte, by ani jeden dźwięk z ulicy nie dostał się do wnętrza. – W domu ma być cisza. Rozumiesz, Pilar? Cisza.

Odczekała, aż Pilar z Rafałem wrócą na swoje miejsca pod ścianą. Znów zrobiło się spokojnie, tak jak tego chciała. Obróciła się plecami do pokoju i spojrzała przez szybę na ogród. Na rozłożysty klon stojący tuż przy ogrodzeniu i na drewniany domek zawieszony przy jego pniu. Dopiero co go zainstalowali, nie zdążyli nawet polakierować desek, by zabezpieczyć je przed wilgocią. Może jeszcze uda im się to zrobić przed jesienią, może to wszystko jakoś się potoczy...

– Mów, Dolores. Opowiadaj dalej – dobiegł ją głos męża.

Postanowiła nie reagować. Zacisnęła tylko zęby, po czym oparła czoło o rozgrzaną słońcem szybę.

Nogi stołka, na którym siedziała Dolores, zaszurały cicho po posadzce.

– W dzisiejszych czasach nikt nie chce słuchać starych legend – odparła ciężkim głosem niania. – Dorosłych nic nie obchodzi, a dzieci są takie niecierpliwe. Nie potrafią usiedzieć w jednym miejscu. Ale ona jest inna. Lubi, jak jej opowiadam.

– Wszyscy posłuchamy. Mów – ponaglił ją Rafał.

Beata drgnęła. Kątem oka widziała, jak dłoń niani ponownie dotyka czoła jej córki.

– Skończyłam na tym, że młodych rozdzielono. Jonay o niczym tak nie marzył jak o tym, by znów znaleźć się przy ukochanej. Pewnej nocy

obwiązał się w pasie baraniami pęcherzami wypełnionymi powietrzem i rzucił się w morze. Kiedy dotarł na ląd, już świtało. Gara, która wciąż go wypatrywała, natychmiast padła mu w ramiona. Nie było siły, która mogłaby ich rozdzielić. Chwycili się za ręce i zaczęli uciekać przed siebie, w głąb wyspy. Pod ich stopami trzeszczały zgniatane w pędzie gałęzie, we włosy wplątywały się zwisające z drzew pajęczyny. Biegli tak długo, aż znaleźli się pośrodku laurowego lasu. W końcu przystanęli, by odpocząć. Oparli plecy o omszałe pnie drzew i nasłuchiwali. Zamiast śpiewu ptaków słyszeli odgłosy pogoni, którą król krainy Agulo wysłał, by schwytać zbuntowaną córkę i jej ukochanego. Kiedy strażnicy byli już blisko, Gara i Jonay musieli zdecydować: mogli dać się schwytać, by rozdzielono ich na zawsze, lub razem zginąć. Nie wyobrażali sobie życia bez siebie. Wdrapali się więc na najwyższy szczyt wyspy, zwany El Cedro, i ociosali dwie gałęzie, tak by ich końce utworzyły ostre szpikulce. Patrząc sobie w oczy, oparli ostrza o swoje serca i przytulili się do siebie bardzo, bardzo mocno. Cedrowe gałęzie przebiły ich na wylot <sup>2</sup>.

– Dosyć! – Krzyk Beaty odbił się od ścian. – Ani słowa więcej, Dolores. Popatrz na moją córkę. Myślisz, że to, co robisz, sprawia jej radość? Ona cię nie słyszy. Martwe dzieci nie słuchają bajek.

Niania zakłósała się na stołku. Rozumiała ból, jaki przeszywał Morawską. W bólu wykrzykuje się różne słowa. Miała do niego prawo. Gdyby tylko wiedziała, że to, co mówi, nie jest do końca prawdą.

– Nie ma pani racji – odpowiedziała, starając się mówić ze spokojem. – One tak szybko nie odchodzą. Mała dziewczynka wciąż jest tu z nami i na nas patrzy. I słyszy lepiej, niż się pani wydaje.

Beata zwięzła oczy.

– Naprawdę chcesz wiedzieć, co mi się wydaje? Że zmarłym należy się spokój. W głowę zachodzę, jak mogłam dać się wam tak otumanić! Musiało mi odjąć rozum, że zgodziłam się przywieźć tu ciało i pozwolić na ten cały cyrk. Gdybym tylko wiedziała, że będziecie dręczyć ją po śmierci... – Wzrok Morawskiej zawirował wokół postawionej na stołkach trumny. – Moja biedna maleńka...

To było nierozsądne, że nie wzięła leków uspokajających. Akurat dzisiaj, w najtrudniejszym dniu swojego życia. Na trzeźwo widok martwego dziecka jest nie do zniesienia. Mąci zmysły i łamie człowieka. Powinna się znieczulić choć trochę, ale przez to, co stało się nad ranem, zapomniała o pigułkach.

O tym, że przed pogrzebem ciało zostanie przywiezione na kilka godzin do ich domu, dowiedziała się niespodziewanie. Było przed siódmą, leżała w łóżku wycieńczona po kolejnej nieprzespanej nocy. Usłyszała od Rafała, że przywiozą ją tuż po dziewiątej, więc niech lepiej doprowadzi się do jako takiego porządku. Nie rozumiała, co strześliło mu do głowy. Zastłaniał się jakimś bzdurnymi argumentami, ale jak się później okazało, kazał sprowadzić ich córkę na wyraźną sugestię Dolores, z czego również nie zamierzał się tłumaczyć. Powiedział tylko, że tak trzeba. Jeżeli liczył na to, że dla świętego spokoju Beata zgodzi się na wszystko, miał rację. Poddała się po krótkiej wymianie zdań. Nie miała sił na walkę.

Nie widziała jej cztery dni, z których każdy był gorszy od poprzedniego. Trzęsa się, kiedy otwierano trumnę. Na prośbę Rafała zakład pogrzebowy zadbał, by odkryte części ciała ich córki nie były sine. Pociągnęli jej dłonie i policzki lekkim różem, by sprawiała wrażenie jedynie śpiącej. Jej mąż wykupił tę usługę głównie ze względu na Piotrusia. Nie wyobrażał sobie, by ich synek nie mógł pożegnać się z siostrą, a przecież ostatnie wspólne chwile nie powinny być dla niego koszmarem. Miałyby zapamiętać ją taką bladą, niemal przezroczystą? Stąd ten makijaż i udawany sen.

– Zupełnie nie rozumiem, o co tyle hałasu. Przecież moja matka chce dobrze, więc co za problem? – odezwała się Pilar, wyrывая Beate z zadumy.

Morawska poczuła, jak jej gardło zamienia się w wąską szczelinę.

– Ty nigdy w niczym nie widzisz problemu.

Odpowiedziało jej wzruszenie ramion. Drgnęły pod obcisłym czarnym golfem, podrzucając jednocześnie rozrzucone na nich pukle w kolorze dojrzałej marchwi. Pod względem urody Pilar wymykała się schematowi kobiety o południowych korzeniach. Jej jasna, niemal biała cera kontrastowała z jaskrawą barwą włosów, nadając ich właścicielce raczej irlandzki wygląd. Kiedy Beata zobaczyła ją po raz pierwszy, przyszedł jej na myśl słynny portret Lukrecji Borgii. Pilar była dla niej właśnie niczym Lukrecja: zabójczo piękną kobietą o stu twarzach.

– Rafał uznał, że to nawet dobrze, by uroczystości pożegnalne odbyły się według starej tradycji. Było tak? – Pilar zwróciła się w stronę Morawskiego.

Nie musiała długo czekać, aż jej przytaknie. Znow się postarał. Nie zawiódł wcześniej Dolores i nie zamierzał teraz zawieść jej córki.

– Ustaliliśmy to przecież – odparł bez mrugnięcia okiem.

Beata podeszła do białej trumny i poprawiła wystający za jej brzeg rąbek koronki, który wywinął się podczas układania ciała.

– Ja nic takiego nie ustalałam – rzuciła z wyrzutem w stronę męża. – I nie dam się wciągnąć w odprawianie waszej diabelskiej magii nad moim dzieckiem.

Dusiło ją w piersiach coraz bardziej. Od wycelowanych w nią spojrzeń i widoku martwej Karinki. Gdyby tylko mogła, rozgoniłaby to całe towarzystwo na cztery wiatry. Zostałyby w saloniku tylko we dwie, matka i córka. Tyle rzeczy chciała jej powiedzieć. Kiedy wyrzuciłaby już z siebie wszystko, dołączyliby do nich Rafał i Piotruś. Jej mały chłopczyk, który w całym tym zamieszaniu zszedł na dalszy plan.

Urodzili się jedno po drugim, w odstępie zaledwie kwadransa. Różowe wrzeszczące bąble, podobne do siebie jak dwie krople wody. Mijały lata, a ich buzie wciąż wyglądały jak lustrzane odbicia. Różnili się od siebie jedynie długością włosów i ubrankami. Gdyby nie to, nikt poza rodzicami nie wiedziałby, czy ma do czynienia z dziewczynką, czy z chłopcem.

Teraz jedno z bliźniąt leżało w trumnie, a drugie patrzyło niewiele rozumiejącym wzrokiem po twarzach zebranych. Malec starał się być niezauważalny, a już na pewno nie zamierzał przeszkadzać w rozmowie starszych. Odczekał, aż zapadnie cisza, po czym zachęcony przez jedną z przyjaciółek Dolores podszedł do niej i zajrzał do jej torebki. Miła pani o łagodnym spojrzeniu dobrze wiedziała, że nie przychodzi się do domu, w którym są dzieci, bez czegoś słodkiego. Paczka z mlecznymi krówkami zaszeleściła, a na twarzy chłopca po raz pierwszy tego dnia pojawił się uśmiech.

– Lubię – powiedział szeptem Piotruś. – Mogę dwie?

Oczy mu się świeciły, gdy odchodził z cukierkami w garści. Podszedł do trumny i położył jeden na poduszce, tuż obok głowy Karinki. Z drugim, przeznaczonym dla siebie, usiadł na podłodze, przy nogach jednego ze stołków podtrzymujących drewnianą skrzynię. Nikt nie odważył się zwrócić mu uwagi, że jego ciemnogrnatowy garniturek pobrudzi się od kurzu, ani tym bardziej, że martwe dzieci nie jedzą słodczy.

Beata odczekała, aż Piotruś przełknie krówkę, po czym wyciągnęła rękę, by zabrać go z podłogi. Jej też nie obchodził kurz na garniturku syna,

a jedynie jego wierzgające nogi. Wystarczyłoby jedno nierozważne kopnięcie, by trumna osunęła się ze stołka i gruchnęła o podłogę.

Piotruś na widok gestu matki pokręcił przecząco głową. Nie zamierzał opuścić siostry. Byli nierozłączni, dlatego więc akurat teraz miałyby zostawić ją samą? Obiecał, że będzie grzeczny, podwinął nogi pod pośladki i znieruchomiał, jak od niego oczekiwano.

– Powinniśmy zaczynać. – Pilar spojrzała na zegarek, a potem na Beatę. – Możemy? Bo czas leci...

Morawska wzruszyła z rezygnacją ramionami.

– Moje zdanie przestało się liczyć dawno temu.

– Obiecuję, że nie zrobimy jej krzywdy. – Głos Pilar zabarwił się współczuciem. – Po prostu nam zaufaj.

– Macie godzinę. Za równe sześćdziesiąt minut trumna wyjedzie z domu do kaplicy.

– Zdamy – zapewniła Dolores, po czym obróciła się w stronę Josefy. – *Mamá? Estamos empezando, es hora*<sup>3</sup>.

Josefa podniosła poorly zmarszczkami twarz, ledwie widoczną spod żałobnej mantyli. Czarna, gęsta koronka zakrywała jej oczy i policzki. Dostrzec można było jedynie wąskie usta, które poruszały się wraz z wymawianymi słowami modlitwy.

– *Es hora, mamá*<sup>4</sup> – powtórzyła głośniejszym głosem Dolores.

Podtrzymywana przez Pilar staruszka dźwignęła się z krzesła. Zaszleściła swą gęstą, sięgającą podłogi spódnicą, po czym wyjęła z jej płytkowej kieszeni *chácaras*<sup>5</sup>. Przypominały duże, wypukłe kastaniety. Pilar sięgnęła do swojej torebki i zrobiła to samo. Choć dwie pary kastanietów były w rodzinie Ortegów od pokoleń, miała blade pojęcie o tym, jak ich używać. Postanowiła improwizować; w końcu wybijanie rytmu kołatkami nie może być aż tak trudne. Spojrzała na matkę w oczekiwaniu na sygnał.

Dolores kiwnęła głową, po czym nachyliła się nad trumną. Powiedziała coś szeptem wprost do ucha martwej dziewczynki. Następnie wsunęła dłonie pod jej łopatki i chwyciła mocno, by unoszony tułów dziecka nie wyslizgnął się jej z rąk. Miała w tym wprawę; nie pierwszy raz brała w ramiona któreś z dzieci Beaty i Rafała. Nosila je od dnia, w którym przyszły na świat. Kiedy podrosły i uznały, że bieganie na własnych nogach podoba im się o wiele bardziej niż noszenie przez nianię, robiła to już znacznie rzadziej. Bywały jednak dni, gdy zmęczone całodzienną zabawą

maluchy zarzucały jej na szyję swoje łapki i prosiły, by odniosła je do łóżek.

Teraz przyszło jej unieść Karinkę po raz ostatni. Nie poczuła już na swym policzku jej ciepłego oddechu ani tego, jak dziewczynka zawija na swoim małym palcu lok z jej włosów, układając go nad czołem w siwy, haczykowany zadziorek. Ciało Karinki było zeszywniałe i nieruchome. I dużo zimniejsze niż jeszcze kilka dni temu.

Kobieta podtrzymała opadającą główkę dziewczynki, jak robią to matki swoim nowo narodzonym dzieciom w obawie, że oderwie się ona od reszty ciała.

– Zaczniemy od pani. – Wycelowwała spojrzeniem w przerażoną Beatę, a potem zwróciła się do Rafała: – Na pana też przyjdzie kolej, ale najpierw matka. Proszę ją wziąć.

Nie mogła odmówić. Miałaby odepchnąć od siebie martwe dziecko? Zamanifestować, że to, co każą jej robić, jest obrzydliwe? Uznaliby, że już jej nie kocha, że jej nie zależy. Wyciągnęła więc ręce. Wytrzymaj, powtarzała w myślach, gdy stopy córki uderzyły ją po udach. To wszystko zaraz się skończy. Musisz dać radę, twój synek na ciebie patrzy.

– Niech pani przytuli ją tak jak zwykle – nakazała Dolores. – Powinna leżeć na pani sercu i czuć, jak bije. Tylko ostrożnie, żeby się nie chybotnęła. Nie bać się. Niech się pani nie boi, przecież to pani córka! Ona czuje, że pani drży. Nie trzeba drzeć. Trzeba z nią zatańczyć.

Kiedy niania upewniła się, że ciało Karinki przywarło bezpiecznie do tułowia Beaty, odebrała od Pilar wysłużone *chácaras*.

– Zajmij się lepiej wstążkami – poleciła Pilar, wskazując na stojący pod krzesłem wiklinowy koszyk. Na jego dnie leżało kilka kolorowych tasiemek z materiału, popisanych ciemnym flamastrem. Pilar chwyciła koszyk i wyjęła pierwszą z nich, po czym podeszła do podtrzymywanego przez Beatę martwego dziecka.

– Na co czekasz? – Dolores oderwała wzrok od sznurków, którymi mocowała *chácaras* do przegubów swoich rąk. – Zaczynaj. My będziemy grać.

Uderzenie w *chácaras* nastąpiło, zanim Pilar zdążyła zawiązać wokół stopy Karinki pierwszą wstążkę. Była biała jak bosa nóżka dziecka, z których Dolores uprzednio nakazała zdjąć buty i skarpetki. Owinęła tasiemkę wokół kostki i ułożyła ją tak, by ciemny napis był niewidoczny

dla żałobników. Jego treść mogła znać tylko zmarła. W końcu to ona miała zanieść prośby żegnających ją osób prosto do nieba.

– Wiąż tak, żeby nie poodpadały – nakazała Dolores, nie przerywając gry na kastanietach. – Mają się mocno trzymać.

Kiedy do pojedynczych stukotów instrumentu dołączyły kolejne dźwięki, wybijane przez Josefę, Pilar wiązała już na stopie dziewczynki kolejną, tym razem czerwoną tasiemkę. Po chwili z nóg Karinki zwisała już barwna tęcza wstążek.

– Dlaczego pani nie tańczy? – Dolores przerwała nagle wystukiwanie melodii i spojrzała z wyrzutem na Beatę. – Trzeba tańczyć wokół trumny. Nie wolno tak stać, taniec matki jest najważniejszy!

Powstrzymując napierający w gardle krzyk, Beata zmusiła się do zrobienia kilku kroków. Nie miała jednak zamiaru podrygiwać do dźwięków muzyki. Czuła, że słabnie, pod jej powieki podeszły ciemne plamy. Zachwiała się na tyle niebezpiecznie, że gdyby nie Rafał, który w ostatniej chwili podbiegł i podtrzymał ją w pasie, runęłaby z martwym dzieckiem na podłogę.

– Oddaj mi ją – usłyszała. – Teraz moja kolej.

Był znacznie silniejszy. Pochwycenie Karinki pod ramiona było dla niego niczym podrzucenie większej lalki.

– Do serca przytul. – Dolores znalazła się w mgnieniu oka przy Morawskim. – Niech pan pamięta, co mówiłam: musi poczuć bicie serca.

Kastaniety znów zadźwięczały, ich głucho postukiwanie wypełniało pokój. Rafał wciąż huśtał w ramionach zmarłą córkę. Dwukrotnie obszedł tanecznym krokiem trumnę, po czym na dany przez Dolores sygnał ułożył dziewczynkę z powrotem na miękkiej poduszce. Dopiero teraz Beata naciągnęła na jej stopy podkolanówki, upychając w nie kolorowe wstążki, i włożyła jej białe pantofelki. Zesztywniałe w stawach ręce dziecka ułożyła tak, by dłonie złączyły się jak do modlitwy, a między palce wsunęła różaniec i obrazek z Matką Boską.

Josefa powoli przestawała uderzać w *chácaras*. Jej modlitwy przypominające trans cichły. Dolores również odłożyła swój instrument i przyklękła pod trumną. Oparła dłoń o jej brzeg i pochyliła w bólu głowę. Potem do dziecka zbliżyli się wszyscy: Piotruś, dwie przyjaciółki z kółka modlitewnego, Josefa, Beata i Rafał. Jako ostatnia podeszła Pilar. Choć

zrobiła to całkiem bezgłośnie, Morawski nie musiał odwracać się przez ramię, by wiedzieć, że stanęła tuż za nim. Zapach jej ciężkich perfum z dodatkiem olejku z drzewa sandałowego rozpoznałby wszędzie. Nie zmieniała go, od kiedy podarował jej pierwszy flakonik półtora roku temu. Powiedziała, że odtąd pozostanie mu wierna. Nie musiał pytać, czy chodzi jej wyłącznie o zapach. To, co było niedopowiedziane, miała wypisane na twarzy.



# ROZDZIAŁ I

SOBOTA, 17 MARCA 2018

**W**yświetlacz na łazienkowej wadze pokazał czterdzieści siedem kilogramów. Jeszcze miesiąc temu było o trzy więcej. Jakkolwiek by liczyć, to już w sumie jedenaście, odkąd to wszystko się zaczęło. Choć po samych ubraniach widać było, że jest jej mniej, nie sądziła, że sytuacja aż tak bardzo wymknęła się spod kontroli.

Zeszła z wagi i pchnęła ją stopą pod ścianę z umywalką. Naciągnęła na ramię opadające ramiączko bluzki, by schować przed swoim odbiciem w lustrze wystające kości obojczyka. Na niewiele się to zdało. O ile można zasłonić ciało, o tyle wyczerpania, jakie maluje się na twarzy, nie sposób ukryć.

– Co za koszmar. – Lidia rozciągnęła palcem skórę pod okiem. – To jest obrzydliwe. Ja jestem obrzydliwa.

Od pół roku jadła coraz mniej. Otwierała usta, by coś przełknąć, bardziej z rozsądku niż głodu, bo wciąż chciała żyć. Najlepiej gdzieś daleko stąd, tam, gdzie wreszcie byłaby bezpieczna. Gdyby tylko miała wystarczająco dużo odwagi, by spakować walizkę i zniknąć. Walizka leżała jednak na szafie, a myśl o ucieczce stawała się coraz bardziej odległa. Miałaby zrobić to ojcu i matce, rozpuścić się w powietrzu, ot tak?

Zgasła światło w łazience i poszła do kuchni. Musi coś zjeść, żeby nie paść z wycieńczenia. W lodówce znalazła zawinięty w folię chleb i jedno jajko. Całkiem sporo, na śniadanie wystarczy. Dzisiejsza dostawa z FreshMarketu zaplanowana jest na dwunastą. Jedzenie przywiozą, zgodnie z zamówieniem, do sąsiadki z górnego piętra. Ona w tym czasie będzie gdzie indziej. W końcu obiecała. Nie może jej zabraknąć, gdy ojciec będzie wsuwał na palec obrączkę swojej nowej żonie.

Ale zanim to się stanie, musi tam jeszcze dotrzeć. Do urzędu stanu cywilnego pojedzie taksówką, bo bezpieczniej. Założy ciemne okulary i ukryje twarz pod kapturem płaszcza. Jakoś przemknie na miejsce. Kiedy już będzie po wszystkim, wróci w ten sam sposób. Potem odbierze od sąsiadki swoje zakupy i zarygluje zamki. Sprawdzi, czy nikt nie wpatruje się z ulicy w jej okna. Posłucha pod drzwiami, czy aby z klatki schodowej nie dochodzi jakiś podejrzanym szmer. Może ten, kto ciągle do niej wydzwaniał, zrobi sobie tym razem wolne od nękania jej i doprowadzania na skraj wytrzymałości.

Nie będzie teraz o tym myśleć. Musi skupić się na wyborze sukienki. Wystarczy otworzyć szafę i wyciągnąć coś ładnego z wieszaka. Niebieską, a może burgundową?

Stała przed lustrem w przedpokoju i przyłożyła do ciała burgundową, z cienkiego aksamitu. Nie najgorzej. Trochę luźna, ale wystarczy przewiązać ją paskiem, by była w sam raz. Beżowe buty na grubym słupku będą do niej pasowały idealnie. Wyjęła je z pudełka ukrytego na dnie szafy i przetarła dłonią skórzane noski.

Już miała sięgnąć do szuflady po świeżą bieliznę, gdy odezwał się stacjonarny telefon, który ojciec pozostawił w mieszkaniu po swojej wyprowadzce. Odczekała kilka sekund, modląc się, żeby znów zrobiło się cicho, ale dzwonienie nie ustawało. Czuła, jak serce zaczyna jej walić jak oszalałe.

– Strach zastęp bólem – wymamrotała. – Niech ciało zajmie się tym, że boli.

Zacisnęła pięści tak, by ostre krawędzie paznokci wbiły się w skórę. To nic, że pomalowała je ledwie pół godziny temu, a teraz lakier pomarszczy się i uszkodzi. Jest jasny, bladobeżowy, więc aż tak nie będzie tego widać. Ważne, żeby nie myśleć. I żeby bolało.

Telefon wciąż dzwonił. Podeszła do stolika i złapała za słuchawkę.

– Wszystko w porządku, Lidio? – Chyba nigdy dotąd nie ucieszyła się tak na głos ojca. – Bądź w urzędzie wcześniej, najlepiej pół godziny przed rozpoczęciem. Dasz radę?

Przytaknęła bez wahania. Oczywiście, że przyjdzie wcześniej.

– No, a ty jak? Nie wywiniesz jakiegoś numeru i nie uciekniesz w ostatniej chwili? – Spróbowała się zaśmiać. Bardziej dla siebie niż dla niego.

– Marne szanse. – Ojciec też się roześmiał. – Emilia od rana trzyma mnie pod kluczem w swoim mieszkaniu.

– Takiego przystojniaka to i ja trzymałabym pod kluczem – powiedziała już całkiem swobodnie. – To będzie piękny ślub. Widzimy się na miejscu. Do widzenia, tato.

Rozłączyła się. Nie zdążyła odejść, kiedy telefon zadzwieczał ponownie. Kochany ojciec pewnie sobie przypomniał, że powinna zabrać ze sobą chusteczkę do ocierania łez. Zna ją przecież i wie, jaka z niej płaczka. Potrafi się wzruszyć nawet przy oglądaniu reklamy płatków śniadaniowych.

– Zapomniałeś o czymś? – spytała, zanim usłyszała cokolwiek w słuchawce. – Halo, staruszkule, to ty?

– To ja – odpowiedział głos. Nie należał jednak do Edmunda.

Ręka Lidii zacisnęła się na słuchawce.

– Czego chcesz? – zapytała, ledwie poruszając ustami.

Głos westchnął przeciągle.

– Nie udawaj głupiej. Przecież głupia nie jesteś. Niczego od ciebie nie chcę. Dzwonię, żeby się z tobą pożegnać.

– Porozmawiajmy na spokojnie – wybełkotała Lidia. – Na pewno znajdziemy jakieś wyjście.

– Wyjście, mówisz... – Głos płynący z głośnika słuchawki wydawał się rozbawiony. – Tak, jest jedno. Ja je znam i ty też.

– Zrobię wszystko...

– Brawo! Mądra z ciebie dziewczynka. Wreszcie do ciebie dotarło, że inaczej się nie da. Możesz to zrobić sama albo zostaw to mnie.

– Sama? Nie... nie dam rady.

– Zatem nie pozostawiasz mi wyboru.

– Poczekaj, nie rozłączaj się. Przecież nikt nie musi zginąć!

Głos był zniecierpliwiony.

– Chyba jednak się nie rozumiemy.

– Proszę...

– To ładne słowo, ale brzmi tak denerwująco. Wszyscy ciągle o coś proszą. Warto się tak poniżać? Podpowiem ci, że nie warto. Ludzie mają w dupie czyjeś prośby. Przestań więc skomleć, to nic nie da. Lepiej policz razem ze mną. Na to nasze pożegnanie. Trzy... dwa... jeden. Już czas, Lidio. Pora pozamykać nasze sprawy.

\* \* \*

Kolejka do myjni ciągnęła się na sześć aut. Julia stanęła na końcu ogonka i spojrzała na zegarek. Miała trzy godziny na umycie skody, powrót do mieszkania, ułożenie włosów i wyjazd do urzędu. Po drodze będzie musiała wstąpić jeszcze do kwiaciarni po bukiet z wczesnych tulipanów. Bładoróżowych, jak zaznaczyła Emilia. Życzyła sobie, by jej ślubna wiązanka była jak najbardziej „niewinna”.

Zapakowanie prezentu dla nowożeńców pozostawiła Sylwii. Był mały i mieścił się w niewielkim podłużnym pudełku, do tego nie istniało ryzyko, że go stłucze czy ukruszy. Matka co prawda od zawsze narzekała, że brakuje jej w domu miksera, ale zamiast tego Julia postanowiła sprezentować rodzicom coś całkiem innego, i na pewno nie tak praktycznego. Tygodniowy rejs wycieczkowcem po Wyspach Kanaryjskich miał sprawić, by poczuli się z ojcem jak w starym amerykańskim serialu *Statek miłości*. Powitalny drink z kapitanem, wieczorne animacje i kolacje przy akompaniamencie pianina. Muzyka na żywo zawsze działa pobudzająco, jeśli chodzi o miłosne wyznania i zaklęcia. Tego Emilii brakowało, więc dlaczego miałyby raz w życiu tego nie doświadczyć? Każdego dnia mieli kotwiczyć w innym porcie, a na pokład wracać dopiero na noc, by wypłynąć dalej w morze, do kolejnej wyspy. Pełen relaks i do tego opieka polskiego rezydenta, żeby nie musieli porozumiewać się na migi. Rejs wykupiła po okazyjnej cenie. Pilnowała, aż oferty *last minute* spadną na tyle, by ślubny prezent nie wypłukał do cna jej portfela. Biuro podróży dołożyło jeszcze kilkuprocentową zniżkę dla pary młodej. O wiek Emilii i Edmunda szczęśliwie nie pytali, interesowało ich za to, czy łóżka mają być pojedyncze, czy jedno podwójne. Po chwili wahania Julia wybrała dwa pojedyncze. Trudno jej było wyobrazić sobie matkę z ojcem pod wspólną kołdrą.

Auta przesuwają się powoli. Wjechała wreszcie pod strumień wody z pianą. Kolorowe obrotowe szczotki zaczęły uderzać po masce i szybach skody, jakby biły ją za karę. Odczekała, aż maszyna skończy mydlenie i suszenie, po czym wcisnęła pedał gazu i pognała na Czerniaków po tulipany.

Kiedy zamknęła za sobą drzwi wejściowe do mieszkania, zza drzwi zielonego pokoju córki dobiegł ją szmer.

– Masz kwiaty? – spytała Sylwia, nie wychylając głowy ze swojej pieczary.

– Zapakowałam prezent? – odpowiedziała Julia, odwieszając płaszcz na haczyk. – Mam nadzieję, że nie zapomniałaś.

Ręka córki z kciukiem skierowanym w górę wysunęła się z za drzwi.

– Na stole w kuchni – poinformowała krótko.

W prześwicie drzwi pojawiła się noga Sylwii w spodniach od piżamy w różowe pudelki. Po chwili pchnęła je, przymykając przed zaciekawionym wzrokiem matki.

– Nie wchodź. – Stopa dziewczynki schowała się w głębi pokoju. – Szykuję *fitout*.

– Chyba *outfit*.

Zostawiła małą w spokoju i zerknęła na kartonik leżący na kuchennym blacie. Sylwia się postarała. Zapakowała wycieczkę niespodziankę w złoty papier i przewiązała pudełko czerwoną wstążką.

Julia mogła teraz zająć się sobą. Wyciągnęła z kartonu pudło z termolokami, które kupiła kiedyś w nadziei, że raz na jakiś czas będzie przemieniać się w boginię o miękkich falach na głowie, i włączyła wtyczkę do gniazdka. Sukienka koktajlowa w kolorze butelkowej zieleni, z koronką na dekolcie i rękawami trzy czwarte wisiała na drzwiach pokoju, czekając na swoje premierowe wyjście. Wystarczyło tylko zrobić makijaż. Odczekała, aż wałki nagrzeją się na tyle, by mogła nawinąć na nie włosy, i stanęła przed lustrem w łazience.

Kończyła tuszować rzęsy, kiedy za jej plecami pojawiła się Sylwia.

– Co ty masz na twarzy? – Ręka Julii trzymająca nasiąkniętą tuszem szczoteczkę zawisała w powietrzu.

Czarny cień rozarty na powiekach i ustach Sylwii wyglądał i śmiesznie, i strasznie zarazem.

– Przyzwyczaj się do mojego nowego wizerunku, mamó. Mówiłam ci, że teraz jestem emo.

– Raczej upiorem, który dostał po twarzy kijem bejsbolowym. Zmyj to.

Sylwia zatrzepotała czarnymi powiekami.

– Mhm, upiorem, na pewno. Idę albo tak, albo wcale. Właśnie zaczęłam wyrażać siebie, więc mnie nie blokuj. To może źle wpłynąć na mój rozwój emocjonalny.

Zniknęła w swoim pokoju. Po chwili dało się słyszeć szczerkanie wieszaków przesuwanych po drążku w szafie.

– Nie mam się w co ubrać! – krzyknęła zza ściany.

Julia odłożyła tusz i wróciła do salonu. Kreacja dla Sylwii odebrana dwa dni temu ze sklepu leżała do tej pory w bagażniku skody, a teraz – na bujanym fotelu. Jednym ruchem ściągnęła z niej zabezpieczający papier i stanęła na progu ich wspólnej sypialni. Trzymała przed sobą błękitną sukienkę bombkę przepasaną w talii białą, połyskującą taśmą.

– Chyba żart... – Sylwia uderzyła się dłonią w czoło przykryte krzywo wystrzyżoną grzywką, będącą fryzjerskim dziełem jej przyjaciółki Jagody. Między pasmami błysnął doczepiony kosmyk we wściekle fioletowym kolorze. – Nawet z tym do mnie nie podchodź. Może mam jeszcze włożyć pantofelki z klamerką? Nie słyszałaś, kim teraz jestem? Trzy litery, mamó: EMO!

Emo wywróciło oczami, po czym wyciągnęło z szafy czarną tunikę sięgającą kolan, rajstopy w biało-czarne poprzeczne paski oraz czarne trampki za kostkę.

\* \* \*

Była za kwadrans dwunasta, kiedy podjechała pod parking przy sali ślubów na Pradze-Północ. Sylwia, ściskając w jednej ręce bukiet tulipanów, a w drugiej torebkę z zapakowanym prezentem wycieczką, wyskoczyła ze skody i nie oglądając się za siebie, ruszyła prosto w stronę głównego wejścia.

– To na pewno tu? – spytała, zadzierając głowę. Patrzyła na biały budynek w starorzymskim stylu, podparty kolumnami i zwieńczony płaskorzeźbą rydwanu ciągniętego przez konie o rybich ogonach. – Co to za dziwny facet? – Wyciągnęła palec w stronę rzeźby.

– Bóg Neptun. – Julia popchnęła córkę do wejścia.

– Niezły, ale na Pałacu Ślubów powinien być polski Bóg. Na krzyżu – dodała z powagą.

Wbiegły po schodach prowadzących na piętro. Julia rozejrzała się po auli w nadziei, że zdąży uściskać Emilię i Edmunda, zanim wraz z gośćmi wejdą do głównej sali, jednak korytarz był pusty. Dopiero po chwili zobaczyła znajomą sylwetkę. Adam Górny siedział na wąskim parapecie ze

słuchawkami w uszach. Na widok Julii zsunął pośladki z parapetu i wyłączył muzykę.

– Już myślałem, że pomyliłem urzędy. Albo uroczystości – dodał, przyglądając się Sylwii. – Na pewno chodzi o ślub, a nie o czarną mszę?

On sam wystroił się perfekcyjnie. Biała koszula, ciemnogranatowy garnitur z żółtą poszetką i idealnie wypastowane buty.

Uściskał Julię i wyciągnął do Sylwii rękę, przybijając z nią żółwika. Poznała ich ze sobą tydzień temu. Na spotkanie wybrała neutralny grunt, czyli pizzerię, i udając, że nie widzi tajemniczych uśmiezków córki, brnęła jakoś przez rozmowę. Sylwia bez ogródek przepytowała Górnego z najważniejszych dla niej kwestii: czy nosi broń i czy kogoś zastrzelił. Podwójne „tak” wystarczyło, by uznała go za „spoko gościa”. Górny zapunktował czymś jeszcze. Dwa dni później zabrał ją do schroniska Na Paluchu. Z klatek wybrali trzy spokojne psy i wraz z opiekunką zwierzątek wyprowadzili je na spacer. Umówili się z Sylwią, że jeśli tylko będzie chciała występować w roli psiej wolontariuszki, Górny zawsze gwarantuje jej swoje towarzystwo. Do domu wróciła w spazmach radości.

Julia pchnęła drzwi prowadzące do sali ślubów, po czym wszyscy wśliznęli się bezszelestnie do środka. Pomieszczenie tonęło w bieli. Ściany, dywan, nawet krzesła i drapowane zasłony w oknach przywoływały na myśl lodowe igloo.

Znalezienie wolnego miejsca nie stanowiło problemu – ponad połowa krzeseł stała pusta. Przód sali okupowały starsze kobiety. Najprawdopodobniej sąsiadki i daleka rodzina matki rozproszona po Polsce. Julia nie rozpoznawała ich twarzy. Goście ze strony ojca również byli zagadką. Emilia przechowywała co prawda stare zdjęcia jego kuzynostwa, jednak czas zrobił z twarzami swoje i to, co zapamiętała z dawnych fotografii, niewiele miało wspólnego z teraźniejszością.

Państwo młodzi siedzieli już na swoich miejscach, tuż przed urzędowym stołem. Emilia co rusz obracała się z niepokojem, wypatrując córki. Gdy spotkały się wzrokiem, odetchnęła z ulgą. Od rana chodziła w nerwach, że coś pójdzie nie tak. Nie dopiszą goście, ktoś się rozchoruje lub po prostu zrezygnuje ze wspólnego świętowania. Kiedy na krótko przed rozpoczęciem uroczystości Julia wciąż się nie pojawiała, przez myśl przeszło jej, że powinni przełożyć ślub, że to zły omen. Julia jednak

przyszła. Do tego z przystojnym mężczyzną. I oczywiście z Sylwią, która nie wiecie czemu schowała się nagle przed wzrokiem babci za jego plecami i tylko pomachała jej chudą ręką.

Ważne, że mogli zacząć.

Ceremonia, choć nie kościelna, była wzruszająca. Formułkę: „uczynię wszystko, by nasze małżeństwo było zgodne, szczęśliwe i trwałe” państwo młodzi wypowiedzieli z zaciśniętymi gardłami. Kiedy złożyli podpisy na dokumentach i unieśli ręce w geście triumfu, rozległy się oklaski.

Sylwia biła brawo najmocniej i jako pierwsza wyrwała się z gratulacjami. Objęła Emilię w pasie, tuląc buzię do beżowej sukni.

– Żyj sto lat, babciu. Razem z dziadkiem.

Ustawiła nowożeńców na tle kwiatów, po czym pstryknęła kilka zdjęć, by Emilia mogła je umieścić na swoim koncie na Facebooku.

– Dobrze wyszło? Pokaż. – Emilia zerknęła na ekran telefonu. – No, niech będzie. Matka nie miała cię już w co ubrać? O twoich oczach nie wspomnę – dodała z niesmakiem.

Wyszli z sali do holu. Na wysokich okrągłych stołach stały już tace z kieliszkami wypełnionymi szampanem. Odśpiewano *Sto lat* i krzyknięto „gorzko”. Kolejka do składania życzeń ustawiła się zaraz po tym, jak Emilia z Edmundem wymienili wymuszony nawoływaniem pocałunek.

Julia i Górny poczekali, aż fala gości odpłynie od nowożeńców, i dopiero wtedy podeszli z kwiatami.

– Obyście tym razem tego nie popsuli. – Nachyliła się do matki. – Najwyższy czas wypłynąć na spokojne wody.

Mrugnęła porozumiewawczo do Sylwii, która wyjęła z za pleców torebkę ze ślubnym prezentem.

– Otwórz, dziadku! – pisnęła. – Padniesz, jak zobaczysz.

– Teraz?

– Koniecznie!

Edmund wyjął pudełko i znajdującą się w nim kopertę.

– Rejs? – Oczy pana młodego zaszklily się po raz kolejny tego dnia. – Co też ty, dziecko...

Tego się spodziewała – zakłopotania, z którym nie będzie sobie umiał poradzić. Matka też nie wyglądała na zachwyconą, ale z zupełnie innego powodu.



– Babcia wszystkiego się boi – odgadła natychmiast Sylwia. – Pewnie myśli, że statek zatonie.

– Co komu pisane. – Emilia pokiwała głową. – Pomyślimy. A ten pan to kto? – Wskazała brodą na Górnego.

Adam przedstawił się, schylając nisko czoło.

– Nowy kolega? – spytała matka. „Kolega” zabrzmiało tak, jakby Julia z Górnym wyskoczyli właśnie z piaskownicy. – Mam nadzieję, że nie z policji.

– Oczywiście, że z policji – wyjaśniła z dumą Sylwia.

Emilia zaczęła kręcić na palcu swoją nową obrączką.

– No cóż... Nieważne, wracajmy do gości.

Julia zauważyła, że ojciec od dłuższego czasu spogląda na młodą kobietę stojącą pod ścianą. Wyczekiwała. To musiała być Lidia, jedyna osoba, która dopóty nie odważyła się podejść, dopóki Edmund nie wykonał w jej stronę zapraszającego gestu. Zbliżyła się do nich z uśmiechem. Nie był to jednak rodzaj radości, z jakim przychodzi się na ślubną uroczystość. Oczy miała aż nadto poważne. Rozglądała się przy tym na boki, jakby kogoś wypatrywała.

– Julio, poznaj swoją siostrę. – Edmund objął kobietę ramieniem.

Złożyła nowożeńcom życzenia, po czym potrząsnęła wyciągniętą ręką. Na jej nadgarstku zabręczczała bransoletka ze złotymi zawieszkami.

– Wreszcie mamy okazję się spotkać – powiedziała Lidia, koncentrując w końcu wzrok. – Ojciec wiele mi o pani mówił.

„Wiele mówił” mogło oznaczać wszystko. Użyła enigmatycznego zwrotu, żeby nie powiedzieć wprost, że w ciągu ostatnich lat Julia zgotowała ich ojcu emocjonalne piekło?

– Jakby nie było lepszych tematów do rozmów – zaśmiała się w odpowiedzi. – Poza tym darujmy sobie oficjalne zwroty. Cokolwiek by mówić, płynie w nas ta sama krew. Zatem... po prostu: Julia.

Ledwie uniosła kąciki ust.

Emilia odpłynęła w stronę gości, pociągając za sobą męża i wnuczkę. Sylwia wyrwała się po zaledwie minucie. Nie przywykła do podszczypywania w policzki i słodkiego gdakania starszych pań. Woląła zająć się tym, co lubiła najbardziej: robieniem zdjęć. Gdy uznała, że każdy z gości został wystarczająco obfotografowany, włączyła nagrywanie.

– Powiedz coś do kamery, mamo. – Stała na wprost Julii. – Żeby babcia i dziadek mieli pamiątkę.

Julia już otwierała usta, by wyklepać formułkę o szczęściu na nowej drodze życia, kiedy poczuła, jak Lidia kładzie jej rękę na ramieniu.

– Możemy porozmawiać? – Jej oczy prosiły. – To ważne.

Górny zakołysał w palcach pustym kieliszkiem. Ulotnił się pod pretekstem dolewki szampana, odciągając przy okazji Sylwię. Uznał, że pierwsza rozmowa sióstr powinna odbyć się w cztery oczy.

– Nie wiem, od czego mam zacząć – powiedziała Lidia, gdy zostały same.

– Jeśli chodzi ci o ojca...

– Nie, zupełnie nie. – Pokręciła głową.

– Mów wprost, nie lubię owijania w bawełnę – zachęciła ją Julia.

Zachęta musiała wypaść blado, bo kobieta przez dłuższą chwilę milczała.

– Tak naprawdę chodzi o mnie – zaczęła wreszcie. – Stało się coś bardzo złego. Jeśli nic nie zrobię, wkrótce dojdzie do kolejnej tragedii. Potrzebuję pomocy, Julia. Tak naprawdę przyszedłem na ten ślub tylko po to, żeby się z tobą spotkać.

Jak na ukochaną córkę Edmunda wypadło to dość okrutnie.

– Wiem, jak to brzmi. Zwykle nie bywam taka podła.

– Każdy czasem bywa.

Uśmiechnęła się blado.

– Gdyby nie to, że mam nóż na gardle...

– Sama go sobie przyłożyłaś czy ktoś ci w tym pomógł? Mów, co to za sprawa. Potem będzie trudno znaleźć moment między wesołym pociągami a piciem wódki z pantofelka panny młodej.

Julia nie mogła pozbyć się wrażenia, że Lidia nieustannie spogląda przez ramię. I na pewno nie chodziło jej o szukanie bardziej zacisznego kąta do rozmowy ani o pozowanie do aparatu wciąż kręcącej się w pobliżu Sylwii.

– Przepraszam. – Lidia po raz setny skontrolowała wzrokiem hol. – Zachowuję się jak wariatka.

– Do tego mocno wystraszona.

– Aż tak widać?

Julia uniosła znacząco brwi.

– Boję się, że dłużej tego nie wytrzymam – przyznała Lidia. – To wszystko trwa już zbyt długo. W końcu pękne.

– Mówisz, jakbyś miała zamiar kogoś zabić.

Lidia przygryzła wargi.

– Obiecay, że wysłuchasz mnie do samego końca. Trudno będzie ci uwierzyć w to, co powiem, ale zapewniam, że każde moje słowo jest prawdą. I najważniejsze: nikt nie może wiedzieć o tej rozmowie, rozumiesz?

– Wciąż niewiele, ale staram się.

Kobieta otwierała ponownie usta, kiedy w jej torebce zadzwoniła komórka. Przyjrzała się dokładnie numerowi na ekranie.

– Muszę odebrać.

Odeszła na kilka kroków. Przez harmider wywołany wybuchami śmiechu gości Julii trudno było wychwycić cokolwiek z tego, co mówiła.

Kiedy zakończyła rozmowę, długo jeszcze wpatrywała się w zgaszony ekran. Trzęsa się przy tym, jakby ktoś wylał jej za sukienkę wiadro lodowatej wody.

– Stało się coś? – spytała Julia, widząc, jak Lidia obraca telefon w dłoniach.

W końcu złapała oddech. Podniosła na nią szklące się z przerażenia oczy.

– Muszę się z kimś spotkać. To na pewno tylko drobne nieporozumienie. Pojadę na Wilanowską i załatwię sprawę. Będę najpóźniej za godzinę, spotkamy się na weselu. Nikt się nawet nie zorientuje, że wychodziłam.

– Państwo młodzi świata poza sobą nie widzą, więc pewnie masz rację.

Lidia powędrowała wzrokiem ku rozgadany Emilii i Edmundowi.

– Wyglądają na naprawdę szczęśliwych – przyznała, po czym spojrzała na zegarek. – Jak powiedziałam, za godzinę. Wtedy wszystko ci opowiem.

– Zajmę ci miejsce przy stole.

Julia patrzyła, jak drobna sylwetka Lidii oddala się i znika na schodach prowadzących do wyjścia z budynku. W tym samym czasie ojciec zajęty był tuleniem się do Emilii i zaśmiewaniem z jakiegoś jej żartu. Tak jak przypuszczała nowo poznana siostra, nie zauważył, że gromadka gości pomniejszyła się o jedną z najważniejszych dla niego osób.

\* \* \*

Restauracja Staropolanka tonęła w złamanej bieli obrusów i w słodkim zapachu lilii. Kiedy Emilia z Edmundem zajrzeli tu w lutym, by zarezerwować salę, wydawała im się zatęchła i do tego ciemna. Przesadna ilość brązowych mebli i poszarzałych dekoracji miała nadać pomieszczeniu ciepły klimat, jednak zamiast tego zamieniła je w ponurą pieczarę. Skwaszona mina ukochanej dała Edmundowi do myślenia. W tajemnicy zamówił jasne pokrowce na weselne krzesła i zlecił firmie od dekoracji okien uszycie białych powłóczystych firan. Z wypożyczalni przywiózł srebrne świeczniki, w których miały stanąć białe świece. Zadbał nawet o to, by za krzesłami pary młodej umieszczono wielką tablicę z inicjałami E & E ułożonymi z główek białych goździków. Nie na darmo oglądał po nocach powtórki programów telewizyjnych, w których ślubne ekipy doradzały, jak powinna wyglądać idealna sala bankietowa. Efekt przeszedł jego oczekiwania, a zachwyt w oczach ukochanej, gdy ponownie przekroczyła próg Staropolanki, wynagrodził mu nieprzespane godziny i wydatki na oprawę uroczystości. Miał dla niej w zanadrzu jeszcze jeden prezent.

Zaraz po tym, jak wszyscy goście weszli do restauracji, ustawił ich na parkiecie w kręgu, po czym skinął w stronę dwuosobowego zespołu młodych didżejów. Siedzący za konsolą chłopak wcisnął guzik w maszynie generującej ciężki dym. Gdy pierwsze buchnięcie białej mgły rozeszło się po podłodze, z głośników popłynęło *Unforgettable* Nata Kinga Cole'a.

Edmund wyciągnął rękę do swojej świeżo poślubionej żony.

– Pierwszy taniec? – Emilia spuściła z zawstydzeniem wzrok. – No nie wiem... Myślisz?

– Tańcz, babciu! – krzyknęła Sylwia, ustawiając się do nagrywania kolejnej serii filmików.

Zachęcona kilkoma dodatkowymi okrzykami Emilia wygładziła opiętą na brzuchu sukienkę i wpłynęła na parkiet. Walc angielsko-wiedeński wypadł obojgu na tyle dobrze, że kiedy wybrzmiały ostatnie dźwięki muzyki, rozległy się brawa.

Dym opadł i goście mogli wreszcie zasiąść za stołami. Kelnerzy zapalili świece i sala rozbłysła ciepłym światłem. Na stołach pojawiły się pierwsze przystawki.

Edmund z coraz większym niepokojem spoglądał na puste krzesło zarezerwowane dla Lidii. Odkąd wybiegła z urzędu stanu cywilnego,

minęły dwie godziny.

Zerknął po raz setny na zegarek, po czym wstał od stołu. Przecisnął się za plecami Emilii, nie zważając na to, że goździkowe litery E & E przekreśliły się niebezpiecznie na dekoracyjnym panelu, i ruszył w kierunku szatni. W zakątku z wieszakami było o wiele spokojniej aniżeli w głównej sali. Wyjął z kieszeni marynarki telefon i wybrał numer. Nie zauważył, jak Julia staje kilka kroków dalej.

– Wciąż cisza? – spytała, podchodząc pod stojaki z płaszczami.

Skinął głową.

– Podobno wyszła tylko na chwilę.

– Tak mówiła. Za nic nie opuściłaby waszego wesela. Próbuje dalej.

Edmund ponownie wybrał numer.

– To do niej niepodobne, żeby nie odbierać.

Ślubny entuzjazm zniknął z jego twarzy niczym sztuczny dym z tanecznego parkietu.

– Poczekajmy jeszcze pół godziny. Ani się obejrzysz, jak stanie w drzwiach. – Julia strząsnęła z klapy jego marynarki nieistniejący pyłek.

– Masz rację – odparł, chowając telefon. – Nie ma co panikować. W końcu przecież przyjdzie.

Lidia nie przyszła. Minęła trzecia godzina przyjęcia, a jej miejsce za weselnym stołem wciąż pozostawało puste. Kiedy Edmund po raz kolejny spojrzał na drzwi restauracji otwierane przez któregoś z gości, Julia wyjęła z torby długopis i położyła go przed ojcem razem z papierową serwetką.

– Zapisz mi jej numer telefonu i adres.

Pierwszy raz widziała, żeby tak trzęsły mu się ręce. Zwinęła zapisaną serwetkę i wrzuciła ją do swojej torby.

– Na pewno nic jej nie jest – powiedziała uspokajająco. – Telefony się rozładują, klucze do mieszkania gubią, a taksówki spóźniają. Za pół godziny wszystko będzie jasne. Zajmijcie się przez ten czas Sylwią.

Odebrała z szatni płaszcze swój i Górnego. Mimo że Adam był już po czterech kieliszkach weselnej wódki, trzymał się na nogach. Jedyne wzrok miał lekko mętny, więc na odchodne złapał z tacy kelnera szklankę wody gazowanej i wypił ją duszkiem dla rozrzedzenia alkoholu we krwi.

– Jesteś pewna, że miała wrócić? – spytał, gdy ruszyli w stronę zaparkowanej pod restauracją skody. – Może uznała, że to impreza nie dla

niej, i po prostu zmyła się po cichu. Nie każdy kocha patrzeć, jak jego ojciec ściąga zębami podwiązkę z uda świeżo upieczonej żony. Ile waży twoja matka?

Ścięła go spojrzeniem.

– Spasuj, możesz? Czy według ciebie mój ojciec wygląda na kogoś, kto myśli teraz o podwiązkach? Nie zauważyłby nawet, gdyby mu podmienili matkę na młodą Sofię Loren. Męczy się na własnym weselu.

– A ciebie wzięło na litość.

– Nazywaj to, jak chcesz. W dniu jego ślubu chcę być po prostu fair. Pojadę do Lidii i upewnię się, że siedzi w dresie, oglądając jakiś mdławy melodramat na Netfliksie. Tylko tyle. Na pewno nie zamierzam jej wyciągać nigdzie na siłę.

Górny zasłonił usta przed odbiciem powietrza podchodzącego z żołądka.

– Twojej matce też na tym najwyraźniej nie zależy. Ani razu o nią nie zapytała. Dziwne.

– Dziwne by było, gdyby to zrobiła. Nie znasz jeszcze mojej rodziny, Górny.

Tak jak przypuszczała, ulice wcale nie były zatłoczone. Taksówka wioząca Lidię przemknęłaby z lewobrzeżnej Warszawy przez most Świętokrzyski w ciągu zaledwie kilku minut.

Wjechała w Zajęczą, a potem skręciła w Kruczkowskiego. Minęła park, przepuszczając przez jezdnię peleton rozpędzonych młodych rowerzystów, po czym wymanewrowała w kierunku Solca.

– To gdzieś tutaj. – Rozejrzała się po długiej osiedlowej ulicy.

Wzdłuż chodnika ciągnęła się niska zabudowa bloków. W głębi wystawały wyższe punktowce. Po przeciwnej stronie jezdni szeroki trawnik przechodził w gęsto tkany drzewami park, kolejny w tej okolicy.

– Wilanowska. Moje dawne rewiry. – Górny wyciągnął szyję, starając się rozpoznać okolicę. – Ostatni raz byłem tu w liceum.

Julia zapatrzyła się na park budzący się po zimie.

– Gigant z kumplami?

– Nie. – Górny pokręcił głową. – Chodziło o dziewczynę. Byliśmy parą, ale dość krótko.

– Nastoletnia miłość? Jak słodko.

Nie była pewna, czy jego zamulony wzrok, którym doszukiwał się czegoś między blokami, spowodowany był tęsknotą za dawną sympatią czy weselną wódką.

– Mieszkała zaraz za tym pagórkiem. Miała na imię Natalia.

– Może nadal tam na ciebie czeka – rzekła z nutą drwiny w głosie. –  
Stoi w oknie i wypłakuje oczy.

Zahamowała, ale on wciąż nie odpinał pasa bezpieczeństwa.

– Natalii już nie ma. Przeze mnie.

W pierwszej chwili uznała, że żartuje. Górny nie wyglądał jednak na rozbawionego.

– Po naszym rozstaniu połknęła garść proszków – wyjaśnił. – Zrobiła to już wcześniej. Za pierwszym razem starzy zdążyli ją uratować. Za drugim już nie.

– O cholera... Fatalna sprawa. Współczuję. Po takich sytuacjach trauma pozostaje na całe życie.

Roześmiał się. Najpierw parsknął dyskretnie, potem zawył błazeńsko do podsufitki.

– Idiota! – warknęła Julia. – Jak Boga kocham, idiota! Nie było żadnej Natalii?

– Ależ była. Wciąż jest. Mieszka z mężem w Toronto i prowadzi zakład kosmetyczny. Robi bogatym paniusiom rzęsy.

Wyskoczyła ze skody i trzasnęła drzwiami. Górny wytoczył się za nią.

– No już... Daj mi chwilę, zaraz oprzytomnieję. Dziesięć minut i będę trzeźwy jak dziecko. – Wystawił twarz do wiatru i zaczął robić głębokie wdechy.

Julia nie miała zamiaru uczestniczyć dłużej w tej błazenadzie. Nie powinna go wyciągać z restauracji. Odszukała w telefonie aplikację Ubera.

– Co robisz? – Zerknął jej przez ramię.

– Odsyłam cię do domu.

Odebrał jej komórkę.

– Samej cię na górę nie puszcze. Wciskaj domofon.

Stanęli pod czteropiętrowym beżowym budynkiem. Spokojny kolor elewacji rozbijały przytwierdzone do poręczy balkonów różnobarwne skrzynki na kwiaty, puste o tej porze roku. Na kilku z nich zieleniły się tuje.

Julia wycelowała palcem w guzik z numerem osiem. Po sześciu sygnałach domofon się rozłączył. Szarpnęła drzwiami, jednak ani drgnęły. Górny oparł się ramieniem o mur.

- Wygląda na to, że musisz użyć swoich czarodziejskich nożyków.
- Nie mam. Nie planowałam włamywać się do restauracji.

Położyła palec na innym przycisku i przytrzymała kilka sekund. Po chwili w głośniku odezwał się młody i mocno rozbawiony głos spod czwórki.

- Kto? – spytał konkretnie.
- Policja – odpowiedziała równie konkretnie Julia. – Proszę otworzyć.
- Policja? Może FBI? – Głos nagle się rozochocił. – Ty, Rusek, FBI do ciebie.

Z głębi mieszkania doszedł śmiech wymieszany z niespokojnymi pomrukami.

- *Khto tam?* – W kratce domofonu odezwał się równie młody, lecz dużo poważniejszy głos. – *Czomu milicija? Ja zamowił pitsu, nie militsiyu.*

Adam błysnął zębami.

- Ukraińiec. Na dodatek dowcipny.
- Daleko mu do ciebie. *Otkrywaj!* – krzyknęła do domofonu Julia.

Usłyszeli odgłos otwieranych drzwi balkonowych na pierwszym piętrze. Najpierw zza barierki wychyliła się łysa głowa, a zaraz za nią tułów w szarej bluzie Adidasa.

- Ty, Rusek, kurwa... Jacyś przebierańcy urwali się z wiejskiego dancingu. Pod krawatem i w lakierkach! *Patszaj!*

Do tułowia w szarej bluzie dołączył drugi, w białym podkoszulku. Rusek, właściciel lub najemca mieszkania, przyjrzał się dwójce stojącej na dole. Musiał mieć krótki wzrok, bo mrużył oczy i wyciągał szyję ponad normę.

- *Khto wy?* – krzyknął, widząc, że na pewno nie są od pizzy.

Adam musiał sięgnąć do wewnętrznej kieszeni marynarki. Z policyjną legitymacją nie rozstawał się nigdy. Była ważniejsza od karty kredytowej i portfela. Wyciągnął rękę z dokumentem w stronę balkonu.

- *Jebut twoja mać! Tse spravdi milicija* – zaszemrał do kumpla Rusek.
- *Ty idiot!*

Nie tylko otworzył im drzwi, ale wręcz zbiegł na dół i wpuścił ich osobiście na klatkę schodową.

- *Ja niczewo... u mienia je druh, my kruti... my knigi czytajem...*

Górny poklepał go po ramieniu.

- Się uspokój, kolego. My nie po ciebie.
- *Po druha?* – Oczy chłopaka się rozszerzyły. – *Po Robala?*



– Po Robala też nie. Wracaj do siebie.

O nic więcej nie pytał. Wbiegł po schodach i zaszył się w mieszkaniu. Zza drzwi doszedł ich po chwili ryczący śmiech łysego przyjaciela uciszany przez spłoszonego Ruska.

– To co, fruniemy na trzecie piętro. – Górny potarł o siebie dłonie. – Załatwmy, co trzeba, i wracajmy na *emeryten party*.

Wcisnął guzik windy. Ktoś musiał nie domknąć na górze drzwi dźwigu, bo nie zjeżdżał na parter. Poszli schodami. Byli na półpiętrze, kiedy z górnej kondygnacji dobiegł ich krzyk. Należał do kobiety. Był makabryczny, przechodził w płaczliwy skowyt. Spojrzeli po sobie, a następnie w prześwit między schodami.

– Lidia! – wrzasnęła Julia.

Na górze działo się coś złego. Biegli po kilka stopni naraz, ale gdy dotarli pod mieszkanie Lidii, nie zastali tam nikogo. Po chwili płacz się powtórzył. Dochodził z piętra wyżej.

W uchylonych drzwiach jednego z mieszkań Julia zobaczyła starszą kobietę. Siedziała na posadzce, skulona i wystraszona. Drobna, o gołębich włosach, w podomce i wsuwanych kapciach.

– Jezuuu... – zawyła na widok dwójki zdyszanych ludzi w eleganckich strojach. – Ratujcie ją...

Wyciągnęła rękę, jakby chciała złapać Julię za brzeg jej sukienki. Palce jednak tylko omsknęły się po zielonym płaszczu.

– Zajmij się nią. – Julia wyminęła starszą panią i pchnęła drzwi mieszkania.

Górny podszedł do kobiety i ukucnął obok.

– Proszę się uspokoić. To pani mieszkanie?

Kobieta pokręciła głową, po czym wskazała drzwi naprzeciwko.

– Zaprowadzę panią. – Pociągnął ją delikatnie, łapiąc pod łokieć, byle tylko ruszyła się z miejsca.

Wstawała z trudem, niemal nie odrywała wzroku od uchylonych drzwi.

– Co oni jej zrobili...

Górnemu wciąż szumiało w głowie po weselnej wódce, ale chcąc nie chcąc musiał wziąć kobietę na ręce. Wydawała się zbyt słaba, by iść o własnych siłach. Nie zdążył nacisnąć klamki mieszkania z tabliczką „D.A. Rylscy”, kiedy usłyszał za sobą głos Julii:

– Dzwon! po pogotowie – powiedziała, patrząc na bladą twarz starszej pani. – I po kryminalnych.

Karetka przyjechała pierwsza. Zastryk z hydroksyzyny zadziałał natychmiastowo. Górny odczekał jeszcze chwilę, aż kobieta pozwoli położyć się na wersalce i przykryć kocem, po czym wymknął się z małego saloniku. W przedpokoju natknął się na mężczyznę o posiwiałych skroniach. W rękach trzymał zdjęty z głowy, staromodny kapelusz.

– Pan Ryłski? – spytał dla pewności.

Mężczyzna nerwowo spojrzał w prześwit salonu, gdzie widać było pomarańczowe kombinezony ratowników.

– Coś się stało mojej żonie?

– Atak paniki, ale najgorsze już minęło. Może pan wejść.

Górny przepuścił Ryłskiego i zamknął za nim drzwi. Teraz najważniejsze było to, co działo się w mieszkaniu naprzeciwko.

Pchnął łokciem drzwi z numerem dziesięć. Przedpokój w kształcie litery L był klasyczny: szafka na buty, podłużny wieszak z płaszczami, lustro i mała komoda na drobiazgi. Urządzony skromnie, ale z gustem. Przez całą jego długość ciągnął się przekrzywiony chodnik w kwiatowy wzór.

– Julia? – zawołał Górny.

Wychyliła się zza drzwi na końcu mieszkania.

– Gdzie ciało?

– Nie ma – odpowiedziała krótko.

– Żarty sobie robisz? Kazałaś zawołać ekipę.

Otworzyła na oścież kuchnię.

– Chodź, zobacz. – Wskazała głową wewnątrz.

Kuchnia urządzona była na biało, nie licząc drewnianego blatu roboczego i dwóch tapicerowanych na niebiesko taboretów. Na pierwszy rzut oka panował w niej porządek. Na suszarce stały talerze i kubki, pod kaloryferem w wielkiej bańce dochodziło wino własnej roboty. Obok niego stał zaklejony karton. Wszystko wyglądało niemal sterylnie, gdyby nie czerwień, którą zbryzgane były podłogowe płytki. Ta sama czerwień pokrywała brzeg zlewu i znajdującą się pod nim szafkę.

Górny oparł ręce na biodrach.

– Jeśli miałbym obstawiać...

– To nie jest rozlane wino, jeśli masz co do tego wątpliwości.  
– Widzę przecież. Ktoś tu nieźle oberwał. Nawet szyba jest we krwi – powiedział Górny, odsuwając firankę.

Julia ukucnęła, podwijając poły płaszcza pod pośladki.

– Przyjrzyj się plamom na podłodze. Nawet gdyby to był nieszczęśliwy wypadek, kształt spadających kropeł byłby zupełnie inny. Nie podłużny, a okrągły. Widzisz? Ta krew spadała pod kątem. Jest jeszcze coś. – Wskazała palcem na miejsce pod stołem, tuż obok niebieskiego taboretu.

– Włosy? – Górny zmrużył oczy.

– Ciemny blond. Są wszędzie.

– Jak na podłodze u fryzjera. – Rozejrzał się po płytkach.

– Fryzjerzy nie wrywają ludziom włosów. Ktoś złapał ją za tył głowy i szarpnął z wielką siłą.

– Niezła jatka.

– Jatka w kuchni była tylko początkiem. Widziałeś poskręcany chodnik w przedpokoju? Wygląda, jakby kogoś po nim wleczono.

– Sugerujesz porwanie? Ktoś miałby uprowadzić dorosłą kobietę z jej własnego mieszkania?

– Na pewno nie wyszła stąd dobrowolnie. Gołym okiem widać, że to miejsce było polem bitwy.

– Zostawmy to technikom – zdecydował Górny. – Przyjrzą się śladom. Ty natomiast uspokój się, bo widzę, że zaczynasz panikować. Nie jesteśmy u twojej siostry, to nie jest jej mieszkanie, nie jej włosy ani krew, okej?

– Będzie okej, jeśli na własne oczy zobaczę, że Lidia jest cała i zdrowa. Na razie widzę rozbryzgi krwi w mieszkaniu, które od mieszkania mojej siostry dzieli zaledwie podłoga.

– Mam iść z tobą? – spytał, gdy Julia wyminęła go i stanęła przed drzwiami wejściowymi.

Pokręciła głową.

– Nie trzeba. Zostań tu i czekaj na chłopaków.

Zbiegła na trzecią kondygnację i stanęła przed mieszkaniem numer osiem. Energicznie wcisnęła przycisk dzwonka. Elektryczny świergot ptaka wypełnił wnętrze mieszkania, jednak nikt nie wszedł do przedpokoju.

Julia podniosła głowę. Nad wejściem w lewym rogu zobaczyła miniaturowe oko kamery. Zwisało smętnie na metalowym zawiasie, ewidentnie oderwane od zasilającego ją kabla.

– Lidia?! – Załomotała pięścią tuż pod wizjerem.

Za drzwiami wciąż nic się nie działo. Odruchowo złapała za klamkę. Nie musiała nią szarpać, mieszkanie było otwarte.

Powitała ją cisza. Znikąd nie dochodził ani odgłos włączonego telewizora, ani żaden inny dźwięk, który mógłby zdradzić, że poza nią jest tu ktoś jeszcze.

Zamknęła za sobą drzwi. Dopiero teraz zwróciła uwagę na liczbę zamków. Dwa nad klamką i dwa pod nią. Do tego łańcuszek i zaklejony wizjer. Jego funkcję pełnił przytwierdzony do ściany elektroniczny monitor od uszkodzonej kamery.

Weszła głębiej. Mieszkanie miało identyczny rozkład jak to piętro wyżej. Było za to lepiej umeblowane. Nie sposób było znaleźć tu wyposażenia z popularnych sieciówek ani masowo produkowanych grafik do wieszania na ścianach. Stylowe fotele i kanapa oraz szlachetne oleje tworzyły klimat dostatku. Było tak, jak mówiła Emilia. Lidia z racji bliskich relacji z ojcem nie martwiła się tym, by przeżyć od pierwszego do pierwszego.

Zajrzała do sypialni. W pokoju panował nieład, jaki zdarza się kobietom będącym w pośpiechu. Lidia, szykując się na ślub ojca, nie zdążyła zamknąć szafy ani pochować na miejsce porzucanej bielizny, która wystawała z rozbebeszonej szuflady w komodzie. Tuż obok niej leżały buty.

Julia nie mogła oprzeć się wrażeniu, że właśnie to obuwie widziała na nogach siostry w Pałacu Ślubów jeszcze kilka godzin temu. Beżowe skórzane czółenka na klockowatych obcasach, ostatnio bardzo modnych. Na takie buty zwraca się uwagę.

A więc była tu. Wróciła po tym, jak zaraz po uroczystości zadzwonił jej telefon. Przyszła załatwić jakąś ważną sprawę, a przy okazji zmienić pantofle na wygodniejsze. Po co męczyć się na obcasach cały wieczór? Chyba że Górny miał rację i wcale nie miała zamiaru wracać na wesele. Jeśli rzeczywiście tak było, jej burgundowa sukienka także powinna gdzieś tu być.

Julia zaczęła przesuwać wieszaki w szafie. Czarne, zielone i niebieskie sukienki oraz tuniki jeździły po drążku, jednak aksamitnej sukni nie było.

Nie znalazła jej też na stercie ubrań przygotowanej do prasowania ani w sąsiednim salonie. Zajrzała do kuchni i łazienki, ale na darmo. Burgundowa sukienka zniknęła, podobnie jak jej właścicielka.

Wyjęła telefon i po raz kolejny tego dnia wywołała numer Lidii. Nadzieja na to, że kobieta w końcu odbierze, topniała. Mimo to nacisnęła zielony przycisk.

Stłumiony dźwięk dzwonka usłyszała od razu. Dochodził z któregoś z pomieszczeń. Nadstawiła uszu. Sygnał poprowadził ją na powrót do sypialni. Dobywał się z ciemnoniebieskiej torebki kopertówki wciśniętej pod fotel. Julia otworzyła ją i wyjęła smartfon. Na zablokowanym wyświetlaczu pulsował numer jej telefonu, a w górnym prawym rogu widać było liczbę nieodebranych połączeń.

Schowała komórkę Lidii do kieszeni swojego płaszcza i wyszła z mieszkania.

Na pytający wzrok Adama odpowiedziała kręceniem głowy.

– Wiem tylko, że wróciła do siebie i że jej mieszkanie przypomina twierdzę. A poza tym... – Julia rozłożyła bezradnie ręce. – Mam złe przeczucia, Górny. Coś się tu ewidentnie wydarzyło i poląła się krew. Pytanie: czyja. Gdzie, do diabła, są technicy? Ile można jechać z Nowolipek?!

Odsunęła firankę i wyjrzała przez kuchenne okno umazane krwią.

– Musiałem sprostować zgłoszenie, że na miejscu są tylko ślady walki – wyjaśnił Górny. – Nie mamy ofiary z przestrzelonym czołem.

– I dlatego idą tu na piechotę?

– Uspokój się. – Górny położył dłonie na jej ramionach i zaczął rozmasowywać napięcie. – Lepiej?

– Ani trochę, płaszcz jest zbyt gruby. Co to jest? – spytała, widząc rozrzucone po stole koperty.

– Rachunki. Leżały na lodówce, wszystkie wystawione na nazwisko Aleksandry Majewskiej. Myślisz, że była singielką?

Julia przebiegła wzrokiem po zeszłorocznym rozliczeniu za prąd.

– Brak zaległości. Opłacała wszystko w terminie – stwierdziła, przyglądając się liczbom. – Czy była singielką? Na pewno nie mieszkała z żadnym mężczyzną.

– Mogła mieć kogoś na dochodne.

– W łazience brak drugiej szczoteczki do zębów. Gdyby miała kogoś na dochodne, ten ktoś chciałby sobie rano umyć zęby. Łazienka mówi o człowieku wszystko.

– O ile pamiętam, w twojej łazience moja szczoteczka nie stoi.

Julia odłożyła kopertę na jej pierwotne miejsce na lodówce.

– Bo mam dziecko, Górny. A przy dzieciach każdą dodatkową szczoteczkę czy golarkę trzeba dokładnie przemyśleć. Majewska, mówisz? Przydałby się jakiś dokument ze zdjęciem.

Wyszła z kuchni i zniknęła za drzwiami łazienki. Wróciła po chwili, naciągając na dłonie jednorazowe rękawiczki.

– Są od farby do włosów, ale tylko takie znalazłam. Pogrzebię trochę w jej rzeczach.

– Ja zajrzę naprzeciwko. Pani Rylska powinna już dojść do siebie. Może widziała, co tu się stało. W tej chwili to nasz jedyny świadek.

Górny zrobił krok w kierunku drzwi, ale ręka w lateksowej rękawiczce go zatrzymała.

– Nie dziś. Najwcześniej jutro.

– Nie jestem na bani, jeśli o to ci chodzi.

– Po pierwsze: jesteś, więc nie możesz nikogo przesłuchiwać. Po drugie: cokolwiek powie dziś Rylska, nie będzie to miało wiele wspólnego z prawdą. Jej mózg przechodzi teraz etap szoku. Jeśli zapytasz ją, co widziała, zacznie koloryzować i wyolbrzymiać. Nie potrzebujemy takich zeznań. Damy jej czas, by ochłonęła i zaczęła myśleć racjonalnie. Jest jeszcze jeden szkopuł. – Julia założyła ręce na piersiach. – Może się okazać, że góra wcale nie przydzieli ci tej sprawy do poprowadzenia.

– Fakt. Do zbrodni nie doszło.

– Zbrodnią śmierdzi tu akurat na kilometr. Ten, kto tak pięknie pomalował tę kuchnię na czerwono, nie wywłókł Majewskiej z mieszkania, żeby bawić się z nią w konwenanse przy kawie. Jest bezwzględny i tak też ją na sam koniec potraktuje. Pytanie tylko, kiedy i gdzie porzuci ciało. Ale, jak sam przytomnie zauważyłeś, na razie mamy tylko ślady pobicia. Dlatego wlepią tę sprawę byle komu. Już po tym, jak się tu śpieszą, widać, jak bardzo się nią przejęli.

Zza drzwi prowadzących do małej sypialni dobiegł cichy szmer podobny do stukania. Julia obróciła się w stronę dźwięku.

– Słyszałeś?

Górny kopnął lekko drzwi. W blaszanej klatce stojącej na parapecie za grubą zasłoną kręcił się rudy chomik. Kołowrotek wirował pod jego łapkami w takim tempie, jakby był podłączony do prądu. Na widok Julii i Adama zwierzę zatrzymało się w miejscu i spojrzało na nich koralikowymi oczami.

Górny podszedł do klatki i pstryknął paznokciami w pręty.

– Siema, tłuściochu. Wygląda na to, że ktoś załatwił twoją panią. Gdybyś umiał gadać, powiedziałbyś nam, kto był taki niedobry. Co, przyjacielu?

– Nie strasz zwierzaka, niech się bawi.

Jakby na potwierdzenie tych słów, chomik znów zakręcił swoim kołowrotkiem z szybkością światła.

Julia podeszła do niewysokiego regału przeciętego podłużnym lustrem i zaczęła otwierać dolne szuflady. Ułożona równo pościel i bielizna nie nosiły śladu, by ktoś w nich szperał. Na dnie znalazła kopertę z pieniędzmi. Przeliczyła banknoty. Tysiąc trzysta złotych nie było może szokującą kwotą, ale gdyby chodziło o włamanie z zamiarem kradzieży, pieniądze na pewno by stąd zniknęły.

Kolejna szuflada przeznaczona była na sportowe akcesoria. Obok kilku sportowych staników i wygodnych legginsów znalazła zwiniętą w rulon matę i drewniany klocek do jogi.

Otwierała następną szufladę, kiedy zadzwonił jej telefon. Spojrzała na wyświetlacz.

– Ojciec – mruknęła. – Przyszedł czas na wymyślenie zgrabnej historyjki. Nie musi wiedzieć wszystkiego. Przynajmniej na razie.

Gładko przeszło jej przez gardło, że sytuacja jest pod kontrolą i Edmund może wrócić do weselnej sielanki.

– Uwierzył? – spytał Górny, gdy się rozłączyła.

– Powiedzmy, że do końca dnia będzie miał spokój. Prawdę usłyszy dopiero po tym, jak pożegna swoich gości.

Wysypała na dywan zawartość kolejnej szuflady. Pod stertą nazbieranych broszur i ulotek, jakie wrzucają listonosze do skrzynek pocztowych, znalazła kilka zdjęć. Były to grupowe fotografie, z dziećmi siedzącymi na krzesłach lub stojącymi wokół niewysokiej dwudziestokilkulatki o uśmiechniętej twarzy. Na dole każdej fotografii widniała data wskazująca na rok, w którym je zrobiono.

– To ona, Aleksandra Majewska – powiedziała Julia, gdy Górny stanął jej za plecami. – Wygląda na to, że pracuje w jakimś przedszkolu.

Wziął jedno ze zdjęć do ręki i przyjrzał się kobiecie.

– Ładna babka. Wiemy już przynajmniej, jak wygląda i kim jest.

Poza zdjęciami znaleźli coś jeszcze. W małej szkatułce schowanej na dnie szuflady poza kilkoma parami drogich kolczyków połyskiwała złota obrączka. Nie wyglądała na rodzinną pamiątkę po babci. Nie sposób było doszukać się na niej zarysowań, jakie pojawiają się przy wieloletnim noszeniu. Od wewnątrz miała wygrawerowaną datę: 20.06.2015.

– Myliłam się – przyznała Julia. – Pan Majewski jednak istnieje. Albo istniał – poprawiła się.

Oderwali się od szkatułki i zdjęć, słysząc dobiegające z klatki schodowej dudnienie ciężkich butów. Po chwili do tego hałasu dołączyły dwa męskie głosy. Kiedy do mieszkania weszli technicy, Julia spojrzała na zegarek.

– Godzina dwadzieścia – parsknęła. – Jak Boga kocham...



## ROZDZIAŁ II

Julia zeskoczyła z drabiny i zanurzyła wałek malarski w czarnej tablicowej farbie.

– Człowiek to nie szpilka – powiedziała, poprawiając na głowie zrobioną z gazety czapkę.

Oparła trzonek wałka o tackę i wlała do niej ostatnią partię tablicówki. Gdyby wiedziała, że ściana będzie chłonać tyle farby, kupiłaby przynajmniej litr więcej.

Pomysł z malowaniem zrodził się w jej głowie, gdy zaczęła czyścić ścianę z zapisków na temat śmierci Leona Rawskiego. Usunięcie śladów po ciemnym flamastrze szybko okazało się niewykonalne. Mogła więc albo odmalować mieszkanie i kupić przenośny flipchart, o który potykałaby się na każdym kroku, albo znów skorzystać ze ściany, z tym że w dużo bardziej praktyczny sposób. Wybrała czarną ściERALną tablicówkę.

– To nie może być przypadek, że dwie osoby znikają w tym samym czasie – zamruczała, wspinając się ponownie po szczeblach drabiny.

– Niczego takiego nie powiedziałem. – Adam Górny podszedł do okna i uchylił je, żeby wpuścić do pokoju podmuch świeżego powietrza.

– Mówię do siebie. Na głos lepiej mi się myśli.

– W oparach farby? Nie miałaś kiedy zabrać się do tej roboty, tylko akurat teraz, w środku nocy? Normalni ludzie śpią o tej porze.

Nasączony farbą wałek przesunął się równo po ścianie, pozostawiając po sobie kolejny czarny pasek.

– Normalnym ludziom nie znikają siostry podczas rodzinnych uroczystości – zauważyła. – Cały czas zastanawiam się, co łączy Lidę z tą kobietą z czwartego piętra i kim ona jest, ta Majewska.

– Zrobiliśmy z Szymańskim wstępny rekonesans. Bardzo wstępny, zaznaczam.

Julia machnęła ręką z wałkiem.

– Mów.

– Majewska ma dwadzieścia siedem lat. Pochodzi z Płocka. Jej rodzina nadal tam mieszka.

– Ktoś już ich powiadomił o zaginięciu?

– Na razie Majewska nie zaginęła. Trzymajmy się faktów. Mamy przypuszczalne pobicie, i to wszystko. Nie widzę powodu, żeby stawiać na nogi jej bliskich.

Julia obróciła się na drabinie.

– Przypuszczalne pobicie? To jakiś żart?

– Ani trochę. Sprawa tak właśnie została zaklasyfikowana.

– Wiedziałam... Protokolik, pieczętka i do szuflady!

– Od zajścia minęło zaledwie kilka godzin.

– Wiesz, co można zrobić z człowiekiem przez kilka godzin? Z ciałem kobiety?

Docisnęła wałek do ściany, tak że niemal wygięła jego plastikowy uchwyt.

– Dowiedziałeś się czegoś o jej mężu?

– O byłym mężu – poprawił ją Górny. – Jacek Majewski. Rozeszła się z nim rok po ślubie. To zaskakujące, że taka młoda kobieta jest już po rozwodzie.

– Zaskakujące to było sto lat temu. Dawno minęły czasy, w których kobiety trzymały się byle kogo, aby tylko nosić obrączkę na palcu.

– Odezwała się feministka. Może to mąż ją wystawił, tego nie wiesz.

– Wiem za to, co mówią policyjne statystyki. Gdy nagle znika żona, to zwykle za tym zniknięciem stoi jej mąż. Nieważne, czy były, czy obecny. Ale zawsze mocno skrzywdzony. Biedaczek – dodała Julia.

– Nie znasz gościa, a już wydałaś wyrok?

– Nie mówię konkretnie o Majewskim. Mówię generalnie, o męskiej psychice. Traktujecie nas jak inwentarz, który staje się waszą własnością, gdy podpisujemy ślubny kwit. Kiedy inwentarz próbuje się buntować i kładzie na stół pozew rozwodowy, przestaje być wesoło, a zaczyna być groźnie. Dlatego musimy się dowiedzieć, kto wniósł sprawę o rozwód. On czy ona. To wiele wyjaśni.

Julia, odwrócona plecami do pokoju, nie widziała, jak Górny staje tuż pod drabiną.

– Muszę cię o coś zapytać. – Jego głos spoważniał. – Ile tak naprawdę wiesz o swojej siostrze?

Oderwała wałek od ściany. Pośliniła palec i niespiesznie zmasała nim niewielką plamę, która chwilę temu odbiła się na suficie od zbyt gwałtownego ruchu ręki.

Wiedziała, że prędzej czy później to pytanie będzie musiało paść. Górny nie był przecież ani głupi, ani naiwny. Spośród wielu scenariuszy dotyczących sprawy zniknięcia obu kobiet wybrał ten, którego obawiała się najbardziej.

– Niczego nie można wykluczyć, Julia – powiedział wprost. – Mamy dwa puste mieszkania, dwie zaginione kobiety, dziwne zachowanie Lidii i... dużo krwi. Podobnie jak ty chciałbym wierzyć, że twoja siostra nie miała nic wspólnego z tym, co się stało z Majewską, ale chyba rozumiesz...

Rozumiała. Nie miała nic na jej obronę. Musiałaby być pozbawiona wyobraźni, stawiając ją poza podejrzeniami. Lęk, który widziała w jej oczach, mógł być zwykłą grą. Ojciec przecież nawet nie zająknął się o tym, że kobieta ma jakieś problemy. Nie wiedział o nich, chociaż byli ze sobą tak blisko, czy może nigdy nie istnieli? Jej nagłe zniknięcie mogło być świetnie skrojoną taktyką. Sama przyznała, że na ślub czekała tylko ze względu na spotkanie z Julią. Czy to był jej kolejny chwyt, żeby zapewnić sobie alibi? Potem ulotniła się pod pretekstem jakiejś podejrzonej sytuacji. Równie dobrze mogła być ofiarą, co przyczyną wydarzenia na Wilanowskiej w mieszkaniu numer dziesięć.

– Możesz zejść z tej drabiny? – Górny musnął nogawkę jej spodni od dresu.

Zeszła na sztywnych nogach. Ściągnęła z głowy papierowy kapelusz i rzuciła go z rezygnacją w kąt.

– Nic o niej nie wiem – odpowiedziała zgodnie z prawdą. – Nie wiem, kim jest Lidia.

Górny objął ją ramieniem i mocno przycisnął do siebie.

– Znajdziemy je obie – zapewnił, robiąc unik przed wałkiem, który Julia wciąż trzymała w dłoni. – To wszystko na pewno da się jakoś logicznie wyjaśnić.

Zegarek na jego ręce cichym piknięciem dał znać, że wybiła jedenasta.

– Zbieram się. Muszę jeszcze zajrzeć na Nowolipki. Szymański pewnie klnie, że zostawiłem go z robotą w sobotni wieczór. Miał umówioną pannę, a siedzi i obdzwania szpitala i schroniska dla bezdomnych.

– Mówiłeś, że sprawa leży.

– Powiedzmy, że wykonujemy z Szymańskim nieoficjalne czynności śledcze.

– Ty naprawdę wierzysz, że Majewska wciąż żyje.

– To, w co wierzę, nie ma żadnego znaczenia. Szansa na to, że ktoś ją załatwił, jest taka sama jak to, że doszło do zwykłego wypadku i trafiła na oddział lub do jakiegoś przytułku. O ile nie błąka się gdzieś po ulicach.

Szpital? Przytułek? Miała na końcu języka, że Aleksandra nie wyszła przecież z mieszkania sama. Jak zatem miałyby błąkać się po mieście? Na to, że odnajdzie się w schronisku, Julia tym bardziej nie liczyła.

Patrzyła jednak bez słowa, jak Górny sięga po płaszcz i narzuca go na swój odświętny garnitur. Wciąż miał go na sobie, odkąd wyszedł rano z domu na ślub Emilii i Edmunda. Nadstawiła policzek do pożegnalnego pocałunku, po czym zarygłowała za nim drzwi. Wróciła do pokoju i przyjrzała się czarnej ścianie. Mimo że pokryła ją już dwiema warstwami farby, ponownie złapała za wałek. Dopiero po nałożeniu trzeciej uznała, że ściana jest gotowa.

W ciszy pustego mieszkania zaszyła się w zielonej sypialni. Sylwia nie chciała opuszczać dziadków w nieszczęściu i czuwała przy nich na Saskiej Kępie niczym dobry anioł. Co pół godziny wysyłała Julii na komórkę powtarzające się jak mantra dwa słowa: „nadal nic”. Lidia, kimkolwiek naprawdę była, najwyraźniej postanowiła nie dawać znaku życia.

3 SIERPANIA 2017

TRZY TYGODNIE PRZED POGRZEBEM KARINKI

WARSZAWA-BIELANY, ULICA BARCICKA

**N**ie dotykaj mnie! – Głos Beaty Morawskiej podniósł się i od razu przycichł. – Puść, do diabła, to boli...

Szarpnęła się, pocierając zaróżowioną skórę na nadgarstku. Odskoczyła na bok, byle dalej od męża. Nie chciała, żeby jej dotykał. Na pewno nie w ten sposób, ale najwyraźniej inaczej już nie potrafił. I z całą pewnością nie chciał. Lepszy dotyk stał się towarem deficytowym już rok temu. Najpierw przestali ze sobą sypiać, a potem tak się złożyło, że nawet bycie zbyt blisko siebie w kuchni czy przedpokoju stało się czymś niezręcznym.

Wciąż rozcierając rękę, usiadła na swoim stałym miejscu przy jadalnianym stole. Obserwowała Rafała, jak chodzi po kuchni z dziwnym uśmiechem na twarzy i kciukami wciśniętymi w kieszenie spodni. Kiedy zbliżył się i stanął na wprost niej, odsunęła się machinalnie.

– Naprawdę boli? – Morawski przechylił głowę na bok. – Kogo chcesz nabrać?

Czuła od jego koszuli zapach pralni. Zwykle ubrania poddawane chemicznemu czyszczeniu nie pachną niczym, ale on znalazł taką, która do swoich składników dodawała na życzenie klientów aromaty. Zawsze wybierał suszoną lawendę. Mówił, że to dla efektu świeżości i na uspokojenie. Co do tego drugiego – miała swoje zdanie. Ale świeżość zawsze zachowywał. Przesiąkł tą lawendą na wskroś. Czyścioszek. Picuś.

– Daj mi spokój – odpowiedziała cicho.

– Dam. Jeśli podpiszesz papiery, dam ci spokój już na zawsze.

– Zapomnij – zaryzykowała, chowając dłonie pod stołem.

Roześmiał się, jak na sytuację całkiem naturalnie.

– Uparciuszek z ciebie. Szkoda, że mój limit cierpliwości powoli się kończy. Gdy dojdzie do zera, przestanie być przyjemnie.

– Tak jakby teraz było.

– Wciąż proponuję rozejm na pokojowych warunkach. Po prostu odpuść. Chyba możemy to załatwić jak cywilizowani ludzie?

– Chyba nie możemy – sparafrazowała. – Nie dostaniesz rozwodu. To moje ostatnie słowo.

Widziała, jak jego szyja zalewa się purpurą.

– Ta wojna dla jednego z nas źle się skończy – powiedział kamiennym głosem. – Jak myślisz, dla kogo? Użyj wyobraźni, może ona ci coś podpowie. Przypomnij sobie, które z nas nosi policyjny mundur, a które kuchenny fartuch. Potem połącz ze sobą kropki.

Jego słowa spadały na jej kark niczym tona kamieni osuwających się ze zbocza. Ciężkich i wielkich, jak on sam. Bo był wielki. Gdy byli jeszcze w liceum, imponowało jej, że przewyższa o głowę chłopaków z ich klasy. Był do tego najsprawniejszy i najbardziej muskularny. Nosił ją na rękach bez wysiłku, jakby była lekkim manekinem. Rozwijał mięśnie na lekcjach boksu. Tak o nich mówił: lekcje, nie trening. Powtarzał, że treningi są dla frajerów-pakerów. On natomiast uczył się, jak uderzać w bokerski worek, by w razie potrzeby nie bać się sierpowych. Żeby wiedzieć, jak się poruszać i w jaki sposób wybrać odpowiedni moment do ataku i obrony. Wszystko po to, by po maturze dostać się gładko do szkoły policyjnej. Swoją drogę nazywał filozofią, a młócenie pięściami – artyzmem.

Pojawił się w ich szkole, kiedy była w trzeciej klasie. Wtedy jeszcze nie wiedziała, kim jest ten ciemnowłosy dryblas ani co ma w głowie. Ważne było, że poza mięśniami miał jeszcze coś, o co trudno było wśród siedemnastolatków. Styl. Każdego dnia przychodził do szkoły w idealnie czystej, wyprasowanej koszuli. Nie miał w zwyczaju ubierania się w bluzy z kapturem ani dżinsy z dziurami na kolanach, jak reszta chłopaków. Postawił na smart casual i dopiero popołudniami, kiedy po lekcjach biegł na swoje bokerskie nauki, zmieniał koszulę na bawełnianą bluzę Nike. Koszulę składał w równą kostkę, ale i tak następnego dnia przychodził w innej, czystej. Beata była wniebowzięta, że jakimś cudem wpadła takiemu ideałowi w oko. Dziewczynom dorastającym w domu dziecka i do tego tak szarym jak ona zwykle przytrafiają się tak samo bezbarwni faceci.

– A miało być tak pięknie – parsknęła, gdy uświadomiła sobie, w jakim bagnie znalazła się zaledwie dziewięć lat po tym, jak zobaczyła go po raz pierwszy. – Oby tylko dzieci nie ucierpiały przez to, jakiego im wybrałam ojca.

Zrobił krok do tyłu i rozłożył ręce w geście zaskoczenia.

– Niby jakiego? No, powiedz. Może wreszcie porozmawiajmy. W końcu mama i tata powinni o takich rzeczach rozmawiać.

Miała dość. Może i sprowokowała go do tego, że zaczął się zachowywać wrednie, ale teraz już naprawdę chciała, by zostawił ją w spokoju.

– Lepiej już wyjdź. Wracaj tam, skąd przyszedłeś.

Nie miał takiego zamiaru.

– Zostanę, specjalnie dla ciebie. Przecież tego chcesz. Skoro mamy udawać szczęśliwą rodzinę, udawajmy ją do końca. Zabawmy się w szczęśliwego męża i żonę.

Beata wstała od stołu i wyminęła go, by wyjąć z szafki talerze i łyżki do zupy. Oparł się o ścianę i obserwował, jak stawia na stole talerz dla siebie i dwa małe, dziecięce. Jeden miał na dnie rysunek Kopciuszka w balowej sukni, a drugi uśmiechniętego delfina.

– Tylko trzy? Łamiesz zasady naszej zabawy. – Rafał odwinął rękawy koszuli pod łokcie. – Nie przewidziałś dla mnie dodatkowego talerza. Szkoda.

– Niech gotuje ci ta... pirania.

– Pilar – poprawił ją natychmiast. – Przekręcanie jej imienia jest żalosne, nawet jak na twoje standardy. Miało być zabawnie? Nie wyszło.

Rzuciła łyżkami o blat stołu.

– W dupie mam, że nie wyszło.

– Złe żarty i do tego brak klasy. Coraz gorzej.

– Za to Pilar z pewnością ma klasę. Do czasu. Jak tylko zamieni się w twoją kucharkę i sprzątaczkę...

– Pilar to inna liga.

– Tak, artystka!

– Wybrała scenę, a ty wybrałaś dzieci. O to ci przecież chodziło. Wyjść za mąż i szybko zajść w ciążę. Przypomnij mi, po ilu semestrach rzuciłaś studia?

Beata poprawiła mysie włosy, zakładając je za uszy, po czym sięgnęła do szuflady po papierowe serwetki.

– Chciałam je skończyć. Naiwnie wierzyłam, że nie będę w tym wszystkim sama. – Rzuciła serwetki na środek stołu. Rozsypały się w nieładzie. – Naprawdę w to wierzyłam – powiedziała ze ściśniętym gardłem. – Może jestem głupia, ale cały czas mam nadzieję, że to wszystko... że my jeszcze...

– Że co „my jeszcze”?

– Nic.

Włączyła gaz, by podgrzać jarzynową, i wyjrzała przez okno. Ogród wraz z nastaniem lata wypiękniał. Trawa tryskała zielenią, lekka zima tylko gdzieś przeredziła ją, pozostawiając po sobie łyse placki ziemi. Gdyby nie piętrzące się pod ogrodzeniem brunatne pryzmy niespalonych po zeszłej jesieni liści, można by pomyśleć, że jest się w raju.

Kiedy się tu wprowadziła, od razu pokochała to miejsce. Dom, który rodzice Rafała pozostawili im, by wynieść się do mieszkania w Gdańsku, był całkiem inny od tego, co przez lata nazywała swoim domem. Swój pierwszy pokój w sierocińcu dzieliła z dwiema innymi dziewczynami. Wszystko było wspólne: stół, krzesła, nawet papier toaletowy. Potem przyszedł czas na małą kawalerkę, którą wynajmowała za pracę w recepcji u osiedlowego stomatologa, wierząc, że kiedyś otworzy swój własny gabinet dentystyczny.

Z czasem z mieszkanka zrobiła przytulne gniazdko, jednak nijak się to miało do rodzinnego domu Rafała. Tu wszystko było inaczej. Gdy zostali w domu sami, wreszcie poczuła, że jest u siebie. Do tego na pierwszą miesięcznicę ślubu Rafał spełnił jej marzenie i zawiesił hamak między drzewami. Podwójny, żeby zmieścili się w nim razem. W ciepłe noce mościli się jedno przy drugim i patrzyli na rozgwieżdżone niebo. Pokazywał jej palcem, gdzie jest Wielka Niedźwiedzica, a gdzie Pegaz. Popijali przy tym zmrożone białe wino, a potem rozkładali na trawie koc i kochali się, nie zważając, że biodra i kolana wgniatają się w twardą ziemię. To był cud, że ich związek przetrwał na odległość przez lata jego studiów. Nagrodą miały być ślub i rodzina, o której od zawsze marzyli.

– Dlaczego nie wołasz dzieci? – Głos Rafała wyrwał ją z zamyślenia. – Jest już po drugiej.

Wyszła przez ogrodowe drzwi i rozejrzała się za synem. Odkąd nastąpiło lato, zaszywał się w którymś z zakamarków ogrodu i udawał, że jest kapitanem statku. Mogło być nim wszystko: pusta drewniana skrzynia na zioła, plastikowa wanna, w której kąpali się z Karinką jako niemowlęta, czy wyciągnięty z garażu karton.

Zawołała chłopca raz i drugi. Nie pojawiał się. Poszła więc kawałek dalej, zasłaniając oczy przed ostrym słońcem.

– Piotruś! – krzyknęła ponownie.



Obróciła się bezradnie w stronę kuchni. Rafał stał tuż przy szybie, wyprostowany, w rozkroku, z rękami splecionymi na piersiach. Stawał w tej pozycji zawsze, kiedy był czymś rozdrażniony. Typowa pozycja wyniesiona ze szkoły policyjnej.

– Piotruś, synku! – zawołała po raz czwarty.

Na stojącym pod ogrodzeniem drzewie zaszeleściły gałęzie. Po chwili zza konarów pokazała się pyzata twarz chłopca.

– Ty mały łobuzie – fuknęła z udawaną złością. – Ile można cię wołać?

Zsuwał się po drzewie, ostrożnie opierając podeszwy tramppek o pień. Kiedy znalazł się na tyle nisko, by nie pogruchotać sobie kości, zeskoczył niczym wiewiórka i podbiegł do matki.

– Tam mam bazę i obserw...

– Obserwatorium – podpowiedziała Beata.

– Widzę całe morze – powiedział z przejęciem malec. – I rekiny.

Złapała syna za rękę i pociągnęła w stronę domu. Kiedy znaleźli się wewnątrz, ogień pod garnkiem z zupą był już wyłączony. Rafał trzymał w dłoni chochlę i nalewał zupę do wazy.

– Gdzie jest Karinka? – spytał, widząc, że brakuje drugiego z dzieci. – Znowu u sąsiadów?

Beata namoczyła kuchenną ścierkę pod kranem, po czym wytarła nią dłonie Piotrusia.

– Zaraz przyjdzie. Poszła tam na godzinę. Do koleżanki – dodała.

– Po co?

– Powiedziałam przecież. To dziecko, potrzebuje zabawy.

– Powinna być w domu. Tyle razy ci mówiłem, żebyś nie puszczała jej byle gdzie, do tego w taki upał.

Rozległo się pukanie do drzwi. Zaraz potem usłyszeli w przedpokoju tupot trzewików Karinki. Tuż za nią pojawiła się kobieta ubrana w letnią czerwoną sukienkę.

– Oddaję państwu małą – powiedziała z uśmiechem pani Wolska i pchnęła lekko Karinkę w stronę kuchni. Dziewczynka na widok ojca zrobiła radosny piruet. Jej długa, sięgająca łydek spódnica zawirowała w powietrzu. – Jest przeurocza! Mało które dziecko jest takie pogodne. Moja Zuzanna kocha ją jak własną siostrę. Mam nadzieję, że jutro też do nas przyjdzie?

– Jutro zostanie z matką – zdecydował Morawski i wyciągnął rękę w stronę córki. – Chodź do mnie, moja ty mała królewno.

Dziewczynka rzuciła na krzesło swój sweter w misie i podbiegła do ojca z piskiem. Przyłgnęła do jego odprasowanej koszuli i wtuliła wątle ciało w silne ramiona.

– Kochasz tatusia? Pokaż jak. – Ścisnął dłońmi jej policzki.

Lubiła zabawę w ryjek. Poruszała wtedy wargami jak rybka, a tata całował ją prosto w różowe usteczka i mówił, jaka jest słodka.

– Kocham bałdzo – wysepleniła, po czym pokazała drobne białe zęby, w których brakowało górnej jedyńki.

Morawski kiwnął głową w stronę sąsiadki, dając tym samym sygnał, że przyszedł czas, by pozostawiła ich samych.

– Rodzinny obiad – dodał na wszelki wypadek.

Pani Wolska spojrzała na stół nakryty dla trzech osób, po czym przeniosła pytający wzrok na Beatę. Morawska niczym robot sięgnęła do szafki z zastawą i wyjęła brakujący talerz. Teraz wszystko się już zgadzało.

– Życzę miłego popołudnia – sąsiadka zamierzała zrobić krok w stronę wyjścia, jednak coś ją zatrzymało. – Byłabym zapomniała. Mam prośbę do państwa. Chodzi o nasze dzieci, o przedszkolaki. Świetlica osiedlowa ma szansę na dotację finansową od miasta. Chce zorganizować na lato zajęcia dla najmłodszych. Po co mają siedzieć w domach lub bawić się same w ogródkach? Lepiej, by spędzały czas razem i przede wszystkim bezpiecznie. Rodzice są całymi dniami zajęci, a maluchy są przecież takie żywiołowe, zupełnie na siebie nie uważają.

Morawski zmarszczył czoło.

– Teraz wszystkie dzieciaki są nadpobudliwe. Takie czasy.

Podniósł uczeptioną jego bicepsa Karinkę. Dziewczynka zamajtała w powietrzu nogami, ukazując ukrytego pod podwiniętą spódniczką siniaka na prawym udzie. Wokół niego widniało kilka rozległych, zaczerwienionych plam przypominających wybroczyiny. Wolska mało dyskretnie prześliznęła się wzrokiem po udach dziecka.

– Dlatego lepiej mieć dzieci na oku, choćby przez część dnia. Po osiedlu już krąży petycja, wystarczy złożyć podpis – dodała.

– Niech będzie. Dla dobra dzieci podpiszę, co trzeba. Nasz syn potrzebuje towarzystwa.

– Tylko on? – Sąsiadka nie kryła zdziwienia.

Morawski nie zamierzał się tłumaczyć. Postawił Karinkę na podłodze i pogładził ją po głowie.

– Biegnij do stołu, królewno. Obiad pewnie już całkiem wystygł.

Dziewczynka odeszła od niego z ociąganiem. Wskoczyła na krzesło i zajrzała do wazy z zupą. Na widok pływającej rozgotowanej cebuli trzasnęła pokrywką i zacisnęła usta, pokazując tym samym, że nie przełknie ani łyżki. Skarcona przez matkę wlała chochlą zupę do talerza z Kopciuszkiem i zamieszała w nim łyżką.

– Tatusiu! – zawołała. – Chodź! Siadaj przy mnie.

Morawski odprowadził sąsiadkę do drzwi. Gdy wrócił, odwinął rękawy koszuli i sięgnął po przerzuconą przez oparcie krzesła letnią marynarkę.

– Jednak wychodzisz? – Beata zatrzymała się między kuchenką a stołem. W ręce trzymała pokrojony do zupy chleb. – Myślałam, że...

– Innym razem.

Podszedł do każdego z dzieci i pocałował je w czubek głowy. Piotruś, zajęty wiosłowaniem łyżką w jarzynowej, nie zareagował wcale. Karinka natomiast zmrużyła oczy i wystawiła ryjek do pożegnalnego buziaka.

– Moja słodka córeczka – westchnął Rafał. – Jesteś dla mnie najważniejsza, wiesz, królewno?

Pokiwała żarliwie głową.

– Wiem, tatusiu.

## ROZDZIAŁ III

NIEDZIELA, 18 MARCA 2018

**D**zwonek w telefonie zmusił Julię, by wyciągnęła rękę spod otulającego ją ciepła. Obmacała podłogę w nadziei, że komórka leży gdzieś obok. Na wpół otwartym okiem wypatrzyła na ekranie zieloną słuchawkę i pacnęła w nią palcem.

– Wiesz, która jest godzina? – wybełkotała, mrużąc oczy. Wyświetlacz pokazywał szóstą czterdzieści. – Chryste, jaka lodówka... – dodała.

Spod zamkniętych drzwi do sypialni wdzierało się arktyczne powietrze wymieszane z zapachem farby. Zwinięty koc, którym miała przed snem zatkać prześwit, by nie ciągnęło po podłodze, leżał pod ścianą.

Ponownie zagrzebała się w nagrzaną kołdrze, naciągając ją po czubek głowy.

– Oprzytomnij, Julia. – Głos Górnego nie wskazywał na to, by chciał życzyć jej kolejnej porcji słodkich snów. – I zbieraj się nad Potok Bielański. Ktoś znalazł ciało w lesie.

– Kobieta? – Julia ożywiła się w ułamku sekundy.

– Pytasz o zwłoki? Tak, kobieta. Leży w wodzie. Właśnie dostaliśmy zgłoszenie.

– Młoda?

– Nie wiem. Wiem tylko, że sztywna. Spotkamy się na miejscu, zaraz wyślę ci współrzędne terenu.

– Zaczekaj! – Julia zatrzymała go przy telefonie, zanim zdążył się rozłączyć. – Kto z prokuratorów będzie prowadził sprawę?

– A jak myślisz? Ostatnio niemal wszystko trafia na biurko Sierackiej.

– I dobrze. Powiedz jej, że chcę wejść do śledztwa. Oficjalnie, nie jako żaden konsultant. Nie zamierzam przyglądać się dochodzeniu zza drzewa.

– Zza policyjnej taśmy – poprawił ją Adam. – Dla twojego dobra.

– Aha. Dla dobra. Wiesz, co dla mnie będzie dobre? Zgoda prokuratury. I to od ręki. Chyba że wolisz, żebym zaczęła się szarpać z twoimi ludźmi nad zwłokami tej kobiety. Zrobię to, Górny, nie żartuję.

Słyszała, jak zaklął przez zęby.

– Masz moje słowo, że nie odstawię tam dramatu, nawet jeśli okaże się, że to zwłoki Lidii – zarzekła się. – Za krótko ją znałam, żebym miała wpadać w histerię.

– Zobaczę, co da się zrobić.

Wyskoczyła z łóżka. Wstępne notatki, nad którymi usnęła późną nocą, zsunęły się z pościeli na podłogę. Zgarnęła je i położyła na biurku. Narzuciła na plecy szlafrok i pobięła pozamykać okna. Mieszkanie było wyziębione, za to czarna tablicówka wyschła idealnie.

Współrzędne terenu prowadziły nad płytką strugę. Julia wjechała w las i po kilkudziesięciu metrach zatrzymała wóz pod żółtą tablicą ogłoszeniową.

Na miejscu kręciło się już kilku techników w białych kombinezonach. Dwóch z nich rozwijało policyjną taśmę, zaczepiając ją o drzewa; kolejnych dwóch ustawiało nad brzegiem potoku granatowy parawan.

Zamknęła auto i ruszyła nad potok. Nim podniosła taśmę, ktoś przepisowo podał jej ochraniacze na buty. Osłoniła podeszwy i zbliżyła się do przepierzenia.

Ciało kobiety leżało twarzą do ziemi, skierowane ku wodzie. Miała na sobie bladoróżową sukienkę, do której przylepiły się zgniłe liście i grudki błota. Głowa zawinięta była w brunatny płócienny worek, spod którego wystawało kilka mokrych kosmyków włosów, otulając plecy i ramiona. Ręce spoczywały równo wzdłuż ciała, wyprostowane w łokciach. Nogi również leżały prosto, stopy były złączone w kostkach, na uda idealnie naciągnięto brzeg sukienki.

– Bardzo dziwne – mruknęła Julia.

Wyciągnęła rękę po parę rękawiczek dla siebie. Ubrany w biały kombinezon technik wyjął je z walizki i bez słowa położył jej na dłoni.

– To jakiś nowy facet? – spytała Górnego, który właśnie wsunął się za parawan. – Pod tymi maskami na twarzach nikogo nie można rozpoznać.

– To Cichocka. Przez ostatnie trzy lata była na wychowawczym, więc możesz nie znać. Odstawiła najmłodsze do przedszkola i wróciła do zespołu miesiąc temu. Jest niezła, żeby nie powiedzieć: zajebista.

Kobieta na dźwięk swojego nazwiska odwróciła głowę. Postawiła walizkę ogłędzinową na trawie i zsunęła z twarzy maseczkę, ukazując nos i usta z ledwie widocznym meszkiem nad górną wargą.

– Joanna. – Wyciągnęła łokieć, żeby stuknąć się nim z Julią. Żadnej z nich nie chciało się ściągać rękawiczek.

– Julia Krawiec.

Cichocka rozciągnęła usta w uśmiechu.

– Miałam nadzieję, że kiedyś cię poznam. Sporo o tobie słyszałam, jeszcze zanim poszłam bawić się w matkę. Żałuję, że minęłyśmy się na Nowolipkach.

– Nie zagrzałam tam miejsca zbyt długo.

– Tak, dotarło do mnie co nieco. O tym, jak się przysłużyłaś Jareckiemu, również. Masz swoją legendę. – Kiwnęła z uznaniem głową.

Julia pominęła milczeniem sprawę sprzed miesiąca. Nie potrzebowała dowartościowywać się na kimś tak nędznym jak Jarecki. Wskazała tylko brzeg potoku.

– Górny mówił, że ciało leżało w wodzie.

– Zgadza się – potwierdziła Cichocka. – Wyciągnęliśmy je kilka minut temu.

– Ruszyliście zwłoki? Sieracka powyrywa wam za to nogi z tyłków.

– Woleliśmy nie czekać, kobieta wciąż mogła żyć. Mało prawdopodobne, ale jednak. Niestety – rozłożyła bezradnie ręce – całkowity brak tętna. Poza tym niczego nie dotykaliśmy.

– Wygląda, jakbyście wyjęli ją prosto z trumny i przekręcili na brzuch. Brakuje tylko poduszki pod głową. Mam uwierzyć, że ciało leżało w tej pozycji?

Górny z Cichocką spojrzeli na siebie wymownie.

– Dobra. Poprawiliśmy ułożenie zwłok – przyznał Adam.

– Poprawiliście ułożenie, bo bawicie się w dekoratorów. Ślady z miejsca zbrodni też wkomponowaliście tak, by było ładnie? Od jak dawna pracujesz w policji, Górny?

– Posłuchaj...

– Powiedz jeszcze, że nie masz oryginalnych zdjęć. Chodzi mi o te, kiedy ciało wciąż leżało nietknięte w wodzie.

Górny zacisnął szczękę.

– Nie rób ze mnie głupka. Mam zdjęcia, całe cholerne portfolio.

– Pokaż. Ta lipna scenografia, którą mi chciałeś wcisnąć, mnie nie interesuje.

Górny dał sygnał Joannie, by przejęła na kilka minut aparat od fotografa. Odeszli na bok i stanęli przy zadaszonej kładce przerzuconej przez strugę. Była na tyle wąska, że wystarczyło zrobić większy krok, by znaleźć się na drugim brzegu. Górny oparł aparat o barierkę przy mostku i zaczął przewijać zdjęcia do początku.

– To nie będzie miły widok – powiedział, gdy dotarł do pierwszej fotografii. – I zaraz zrozumiesz, dlaczego musiałem przesunąć zwłoki.

Julia odebrała z jego rąk aparat i powiększyła obraz.

Głowa kobiety zanurzona była w wodzie. Nie było jej widać; dociśnięta przez starą oponę samochodową całkowicie ukryła się pod powierzchnią. Reszta ciała leżała na brzegu. Ręce miała rozrzucone. Sprawiały wrażenie, jakby w ostatniej chwili przed śmiercią próbowała uchwycić się palcami czegoś nieistniejącego. Szeroko rozsunęte uda przykrywał głęboko wciśnięty między pośladki materiał sukienki. Nie odsłaniał krocza; można było wręcz odnieść wrażenie, że został włożony pod biodra tak, by nie mógł go zsunąć nawet silniejszy powiew wiatru.

Julia zmrużyła oczy, próbując rozpoznać detale na niewielkim ekranie.

– Stopy ma całkiem czyste – zauważyła. – Dłonie też. Jakby ktoś je umył. Co z tą oponą samochodową?

– Znaleźliśmy drugą, podobną, kilka metrów dalej.

Kręcąca się przy ciele Joanna podniosła z ziemi jakiś okruch. Wrzuciła go do torby na dowody i wyprostowała plecy.

– Ludzie robią z lasu wysypisko śmieci – kontynuował Górny. – Przypuszczam, że morderca to wykorzystał i zamiast kamienia użył opony jako balastu. Siedem kilogramów przytrzymało ciało na miejscu.

Julia przewinęła kolejne kadry w aparacie.

– Ta woda nie porwałaby nawet zdechłej żaby, nie mówiąc o człowieku. Tę kobietę najprawdopodobniej ogłuszono, a ciężar miał przytrzymać jej głowę pod powierzchnią, żeby się utopiła.

– Może – zgodził się Górny. – Wszystkiego dowiemy się po autopsji.

Julia ostentacyjnie spojrzała na zegarek.

– À propos. Gdzie jest patolog? Nadal w swoim łóżku?

– O co ci chodzi? – Adam splótł ręce na piersiach. – Rozumiem, że się denerwujesz, bo nie wiesz, kogo wyciągnęliśmy z potoku, ale przestań wreszcie kąsać.

– Chcę mieć tu Lipskiego.

– Wiem, Julia. Stałem na głowie, żeby go tu ściągnąć. Klął jak wściekły, kiedy usłyszał, że ma się stawić w lesie.

– Lipski nigdy nie klnie. No, chyba że rzeczywiście powiedziałaś mu, że „ma się stawić”. Naucz się rozmawiać z ludźmi.

– Nie wiem, co się z tobą dzieje, ale najwyraźniej masz coś do mnie. Może to sobie wyjaśnimy?

Próbowała zachować obojętność wobec Górnego, a przede wszystkim wobec leżącego kilka metrów dalej ciała, jednak co chwila jej wzrok biegł ku policyjnemu parawanowi.

– Dlaczego, do diabła, jej nie obejrzałeś? – spytała wprost.

Górny ściągnął czoło.

– Jednak cię opętało. Jeszcze pięć minut temu mówiłaś...

– Wiem, co mówiłam. Że nie powinniście jej ruszać. Ale zrobiliście to. Miałaś możliwość ściągnąć jej ten cholerny worek z głowy i zobaczyć twarz. Zamiast tego ułożyłaś ją jak kukłę.

Obrócili się w kierunku drogi, skąd dochodził dźwięk silnika. Po chwili zza drzew wyłonił się błękitny mercedes Sierackiej.

Julia wypuściła z płuc długi strumień powietrza.

– Tylko spokojnie. – Górny poklepał ją po łopatkach. – Zaraz będzie po wszystkim.

Prokurator szła w ich stronę szczelnie owinięta popielatym szalem. Zaciskała przy tym na piersiach beżowy wełniany płaszcz, który rozchyłał się od podmuchów porannego wiatru. Mimo wczesnej pory zdążyła pomalować na czerwono usta i ułożyć włosy. Zapach lakieru mieszał się z zapachem kwiatowych perfum.

– Odsuńcie się od ciała – zarządziła, nie tracąc czasu na powitanie. – Co ona tak dziwnie leży?

Górny bąknął coś o próbie ratowania kobiety.

– Kto ją znalazł? – Sieracka obejrzała się na niego przez ramię.

– Przypadkowy biegacz. Facet robił przebieżkę przed poranną mszą. Siedzi w jednym z naszych wozów. Młody, dwadzieścia pięć lat.

– Młodzi ludzie chodzą jeszcze w tych czasach do kościoła? Może nawiedzony jakiś?

– Ksiądz.

– Zatem nawiedzony. Niech siedzi i się modli, żeby nie wyszło, że ma z tym wszystkim coś wspólnego. Dobrze, że tu jesteś – zwróciła się tym



razem do Julii. – Nie wiem, dlaczego pan komisarz tak się upierał, żeby włączyć cię do sprawy, ale prawdę mówiąc, mało mnie to obchodzi. Chcę mieć głowę tego, kto załatwił tę kobietę, podaną na tacy. Nie musi być srebrna. I jeszcze jedno. Nie życzę sobie paniki na dzielnicy. Żadnych plotek o wampirze z Bielan. Załatwcie to dyskretnie. To teren wypoczynkowy, spacerują tu rodziny z dziećmi. Jasne?

Przykucnęli nad ciałem. Od worka zawiązanego wokół głowy ofiary czuć było mułem z potoku. Sieracka mało dyskretnie zasłoniła nos skrawkiem szala.

– Niech ktoś z niej to zdejmie.

Odsunęła się na tyle, by Cichocka mogła swobodnie stanąć w rozkroku nad tułowiem zmarłej i unieść go nad ziemią. Górny pociągnął ostrożnie za rogi worka. Na widok zwisającej bezwładnie głowy i strąków, które jeszcze dołączyły do temy były zapewne pięknie ułożoną fryzurą, wstrzymali oddech.

– Dajcie coś do odgarnięcia włosów z jej twarzy – powiedziała prokurator. – Ruchy!

Julia wyciągnęła niecierpliwie rękę w kierunku jednego z techników, by podał jej szczyptę do zbierania dowodów. Chwyciła w nie zlepione pasmo ciemnoblonde włosów denatki i uniosła, by odsłonić lewy policzek.

To nie była Lidia. Twarz kobiety, choć lekko opuchnięta od wilgoci, w niczym nie przypominała rysów jej przyrodniej siostry.

Spojrzała z ulgą na Górnego. Odwzajemnił się miną mówiącą: może się teraz wreszcie uspokoisz.

Uspokojona wróciła do oględzin.

– Nos ma całkiem zmiądzony – stwierdziła, zdejmując pęsetą ze skóry ofiary resztki zbrązowiałych liści i zsuwając szlam, jaki przykleił się do jej ust. – Wargi są rozbite, widać głębokie pęknięcia na skórze.

Wyjęła z kieszeni płaszcza zdjęcie Aleksandry Majewskiej zabrane wczoraj z jej mieszkania i podsunęła Sierackiej.

– Co to za zdjęcie? Kim jest ta kobieta?

– Obstawiam, że właśnie na nią patrzymy. – Julia wskazała wzrokiem na leżące przed nimi ciało. – Ta ze zdjęcia została dołączyła temu pobita i prawdopodobnie wprowadzona.

– Nic nie wiem o żadnym wprowadzeniu. Pan Górny nie był łaskaw się o tym zająknąć. Niech no się jej przyjrzy. Sama nie wiem... Trzeba ją odwrócić i położyć na wznak.

Sieracka podniosła się z półgłębka i otrzepała ręką połę płaszcza, do którego przyłgnęła grudka ziemi.

– No, na co czekamy? Odwracamy denatkę.

– Zaraz, chwila! – Za ich plecami wyrósł nagle policyjny fotograf. – Z profilu muszę jeszcze zmarłą panią zrobić. Dopiero wtedy będzie można odginać ciało.

Zrobienie pani z profilu miało mu zająć kilka minut. Górny sięgnął po papierosy. Odeszli za policyjne taśmy i stanęli na ścieżce. Ogień w zapalniczce nie zdążył zgasnąć, kiedy za prokuratorским mercedesem stanął kolejny wóz. Wsiadł z niego Lipski, trzymając przy twarzy chustkę. Oczy miał zaczerwienione od przeziębienia, policzki natomiast tak samo blade jak u kobiety wyciągniętej z potoku.

Zamienił z Sieracką kilka słów na osobności, po czym głośno wytarł nos.

– Utopienie? W tym ścieku? Ktoś miał fantazję, żeby akurat tutaj.

– Najwyraźniej mało się pan zna na ludzkiej fantazji, doktorze. Człowieka i w sedesie można utopić – odparła Sieracka.

– Mnie to pani mówi? Stwierdzam tylko, że to mało finezyjna śmierć.

– Obawiam się, że ta kobieta miała ograniczony wpływ na to, gdzie i jak ją zamordują. Gdyby było inaczej, pewnie wybrałyby Karaiby, nie ten szlam. Niech pan już zaczyna oględziny. Chcę wiedzieć, ile czasu minęło od jej śmierci i jak długo leżała w wodzie. I zabierzcie stąd wreszcie tego fotografa! To nie sesja do „Vogue’a”, na litość boską! – krzyknęła w stronę człowieka z aparatem.

Fotograf bez słowa protestu wycofał się w kierunku techników ustawiających skalówki przy odcisniętych w błocie śladach butów.

Ponownie stanęli nad ciałem.

– Przewracamy ją na plecy – zarządził Górny. – Na raz, panie Lipski!

Chwycili kobietę pod ramię i kość biodrową, po czym delikatnie przekręcili. Najpierw na jeden bok, potem na wznak. Była drobna i lekka, mogła ważyć niewiele ponad pięćdziesiąt kilo. Ciało opadło, przygniatając pod tułowiem prawą rękę. Julia przykucnęła i wsunęła swoją dłoń w dłoń denatki. Najdelikatniej, jak się tylko dało, pociągnęła ją w swoją stronę, by następnie ułożyć na mokrej trawie.

Przyjrzała się ponownie zdjęciu Majewskiej. Porównanie uśmiechniętej kobiety z fotografii do ofiary nadal nie było łatwe, mimo że teraz widziała ją dokładnie. Patrzyła po kolei na poszczególne części

zniekształconej twarzy: obrzmiałe usta, pękniętą skórę przy kości jarzmowej i uszkodzony nos. Nic nie pasowało z wyjątkiem mocno wyskubanych brwi, tworzących nad okiem łagodny łuk. Były identyczne jak u kobiety z fotografii.

– To na pewno ona, Aleksandra. Teraz jest moda na grube brwi, mało która kobieta robi sobie tak cienkie kreski.

– Poczekajmy z tą pewnością do okazania ciała rodzinie – stwierdził Lipski. – Do tego czasu świadectwo zgonu pozostanie bez nazwiska. A teraz dajcie mi ją wreszcie obejrzeć.

Zaczął od brody. Odciągnął ją do dołu, po czym rozchylił usta zmarłej. Wsunął palec wskazujący pod jej zęby i zrobił kolisty ruch po wnętrzu policzka. Po chwili wyciągnął palec i uniósł go, pokazując na rękawiczce warstwę piany.

– Co to za świństwo? – spytał Górny.

– Grzybek. Powstaje przy wydychaniu i wykrztuszaniu wody zmieszanej z powietrzem i śluzem z ust. Ten ściek spłukał go z części zewnętrznej twarzy, ale w środku pozostał.

– Czyli jednak mamy topielca. Utopiono ją w tej żalosznej kałuży.

Lipski nie przestawał przyglądać się wydzielinie. W skupieniu rozcierał ją w palcach, jakby delektował się jej formą.

– Coś nie tak? – zagadnęła go Julia.

– Dziwne... nawet bardzo. Ta piana nie powinna tak wyglądać.

– To znaczy?

– To znaczy, że ta, jak ją pan Górny nazwał, kałuża to słodka woda śródlądowa, czyli hipotoniczna w stosunku do ludzkiej krwi. Dlatego piana w ustach ofiary powinna być biała, nie żółta. Żółta piana powstaje z wody morskiej.

– Jest pan pewien? – Adam spojrzał z niesmakiem na rozmazaną na rękawiczce Lipskiego konsystencję.

– Przeprowadzałem autopsje, kiedy pan jeszcze uczył się chodzić na czworakach. Na takich błędach może wyłożyć się medyczny analfabeta, ale na pewno nie ja.

– Skąd więc wzięła się morska woda w centrum Polski? Ktoś miałby wieźć tę kobietę do Gdańska, tam ją utopić i przetransportować z powrotem? Po co?

– Nie do mnie należy poznanie modus operandi zabójcy. To pańska działka. Ja mam tylko zbadać ciało.

Lipski zażądał nowej pary rękawiczek. Zużyte, oblepione pianą, nie nadawały się do ponownego użytku.

Po chwili znów pochylił się nad ciałem. Tym razem rozpiął górne guziki sukienki denatki i zaczął uciskać palcami skórę na jej ramionach i żebrach.

– Wygląda mi to na przełamanie. Plamy opadowe przesuwają się, i to niejednokrotnie.

– Skoro ciało było przenoszone, to chyba oczywiste – zauważyła Julia.  
– Pytanie tylko: kiedy. Plamy przemieszczają się między drugą a siódmą godziną od chwili zgonu.

– Muszę się im przyjrzeć dokładniej. Oczywiście nie tutaj. Na razie niech ktoś przyniesie z mojego auta torbę, jest na tylnym siedzeniu.

Górny dał jednemu ze swoich ludzi znak, żeby pobiegł do auta Lipskiego. Młody śledczy pojawił się po chwili z brązowym lekarskim neseserkiem. Lipski wyjął z niego dwie małe butelki.

– Otwórz jej oczy i przytrzymaj powieki – zwrócił się do Julii.

– Co chcesz zrobić?

– Sprawdzę reakcję źrenic.

– Spodziewa się pan reakcji po trupie? – spytała z rezerwą w głosie Sieracka.

– Owszem, łaskawa pani. Przyznam, że to mój ulubiony eksperyment: podwójna reakcja źrenicy. Do jednego oka podam samą atropinę, do drugiego atropinę, a zaraz po niej pilokarpinę.

– Rozszerzenie i zwężenie? – upewniła się Julia.

– Jeśli śmierć mózgu nastąpiła przed czterema godzinami, reakcji nie będzie – wyjaśnił Lipski. – Na ten moment tylko tak mogę stwierdzić, jak długo ta kobieta nie żyje.

Sine powieki uchyliły się bez problemu pod palcami Julii. Lipski wycelował końcówką pipety z kroplami w worek spojówkowy. Tę samą czynność powtórzył w drugim oku. Odczekał kilka sekund, po czym wkropił kolejną dawkę leku.

– No i? – odezwała się Sieracka.

Pokręcił głową.

– Źrenice bez zmian.

Julia spojrzała na zegarek.

– Jest za dziesięć ósma. Zatem śmierć musiała nastąpić przed czwartą nad ranem. Ktoś męczył tę kobietę przez kilka godzin, aż w końcu wsadził

jej głowę pod wodę. Myślisz, że była przytomna, kiedy ją topiono?

– Możliwe, choć mało prawdopodobne – stwierdził Lipski. – Sądząc po tym, jak wygląda jej twarz i cała głowa, uderzenia musiały być naprawdę mocne. Jeśli nastąpił obrzęk albo krwotok w mózgu, najpewniej była nieświadoma tego, że umiera.

Podniósł się z kucek i głośno wytarł nos, na którego czubku pojawiła się kropla wody.

– Obejrzę jeszcze jej nogi i genitalia i wracam do siebie pod kołdrę. Dziś nie dam rady zrobić niczego więcej. A teraz niech mi pan pomoże. – Wbił wzrok w Górnego. – Trzeba rozsunąć jej stopy na boki. Szeroko, żebym miał swobodne dojście.

Górny pobladł. Lipski przyjrzał mu się szklistymi od przeziębienia oczami.

– Nie bądź pan dziecko! Nie pan będziesz ją przecież badał. Wrażliwiec się znalazł...

Górny zabluzgał pod nosem. Chcąc nie chcąc podszedł do zwłok i rozsunął stopy najszerzej, jak się dało.

– Nienawidzę takich akcji – warknął.

Lipski podciągnął brzeg jasnoróżowej sukienki, odsłaniając uda zmarłej. Po chwili materiał powędrował wyżej, obnażając łono i biodra.

– Nie ma bielizny – odezwała się Sieracka. – Tak podejrzewałam. Mamy morderstwo na tle seksualnym.

Lipski naciągnął palcami skórę przy kroczu denatki.

– Nie wygląda mi to na gwałt. Żadnych brutalnych otarć ani wybroczyn. Brak zadrapań. Chociaż...

– Chociaż co? – zainteresował się Górny.

– Wejście do pochwy jest zaczerwienione, widzi pan?

Górny odchrząknął i podszedł bliżej.

– Nie wiem, na co mam patrzeć – rzucił, wciąż uciekając wzrokiem od obnażonego ciała kobiety.

Ręka Lipskiego oderwała się na chwilę od podrażnionego miejsca na skórze.

– Chce mi pan powiedzieć, że nie wie, jak zbudowana jest kobieta i gdzie co ma? Jeśli tak, to współczuję pana narzeczonej.

Julia zaczęła modlić się w duchu, by Górnemu nie przyszło na myśl spojrzeć na nią akurat teraz.

– Ale jeśli trzeba, pokażę palcem. Teraz widać? Śluzówka jest zdarta. To znaczy, że doszło do penetracji.

– Kiedy? – wtrąciła się Sieracka.

Lipski pokręcił głową.

– Uraz mógł powstać równie dobrze w ciągu ostatniej doby, co przed tygodniem. Błona wyściełająca pochwę to delikatna tkanka. Ta u denatki jest w wyjątkowo paskudnym stanie.

– Mówiłam, że gwałt. I to brutalny.

– Penetracja nie równa się gwałtowi. Na udach nie ma śladów, jakie powstają podczas typowego zniewolenia. Na rękach też nie ma zasinień. Nie broniała się.

– Mogła być nieprzytomna.

– Jest jeszcze inna możliwość i wcale bym jej nie wykluczał. To uszkodzenie wygląda na zwykłe, anatomiczne. Przytrafia się kobietom stosującym ubogą dietę. Wtedy ścianka pochwy staje się nad wyraz cienka i może ulec uszkodzeniu lub nawet pęknięciu przy byle dotyku. Do tego trudno się goi.

– Jedno jest pewne. Ten, kto ją tu przywłókł, nie rozebrał jej bez powodu – zauważył przytomnie Adam. – Zobaczcie, gdzie stoimy. Kilkadziesiąt metrów dalej biegnie droga do osiedla. Ludzie krążą tu non stop. Biegacze, spacerowicze. Chodziło mu o to, żeby ktoś zobaczył ją nagą. Miała być poniżona.

Przysłuchująca się rozmowie Julia nachyliła się nad ciałem kobiety i zakryła na powrót jej biodra. To widowisko z odsłoniętym kroczem, choć konieczne, dla nikogo nie było przyjemne.

– Nie zgadzam się – powiedziała. – Gdyby sprawcy zależało na tym, by publicznie ją poniżyć, rozebrałby zwłoki całkowicie. Nie porzuciłby ciała, zakrywając z taką dbałością pośladki i uda. Widziałam zdjęcia. Sukienka leżała równo. Ten ktoś bardzo się postarał, by nie odsłonić jej miejsc intymnych.

– Szukamy przyzwoitego mordercy? – zakpił Górny. – To chcesz powiedzieć?

– Ten, kto załatwił tę kobietę, jest bezwzględny, ale ma swoje zasady. Nie interesuje go cierpienie ofiary ani to, co stanie się z jej ciałem. Ale nie godzi się na to, by przypadkowe osoby oglądały jej genitalia.

– I dlatego porzucił ją bez bielizny? Gdzie tu konsekwencja?

– Mamy do czynienia z psychopatą, Górny. Nie oczekuj logiki.

Lipski ściągnął rękawiczki.

– W zakładzie pobiorę wymaz. Zobaczymy, co pokaże.

– Im szybciej, tym lepiej. – Julia z obawą obserwowała, jak Lipski wyjmując z kieszeni chustkę i zaciska ją na nosie. – Chłopcy zaraz zapakują ciało.

Nosze akurat wyjechały z policyjnego wozu. Zanim zaszeleścił worek na zwłoki, do Górnego podeszła Joanna Cichocka. W rękę trzymała kolejną już tego poranka papierową torbę na dowody.

– To chyba należało do niej. – Podała mu torbę. – W środku są majtki. Leżały w wodzie. Pewnie miały odpłynąć, ale zahaczyły o gałąź.

Górny zajrzał do środka. Białe bawełniane figi, podobnie jak ubranie ofiary, oblepione były resztkami zgniłych liści i błota.

– Wysuszenie je w jakimś ciemnym i suchym pomieszczeniu, tylko z dala od grzejników.

– Przecież wiem. – Cichocka wzięła torbę z powrotem. – Majtki są, ale rajstop nie znaleźliśmy. Powinna je mieć, przecież to dopiero marzec. Żadna kobieta nie chodzi w marcu z gołymi nogami do sukienki. No, chyba że nie zdążyła ich włożyć. Tak czy inaczej, wchodzimy w las. Na razie na kilometr. Zaraz powinna przyjechać dodatkowa ekipa.

– Chcę mieć komplet: odciski butów, opon, spalone pety, jednym słowem: wszystko. Nie zapomnijcie przeczesać dna potoku. Tego, co na kamieniach i pod nimi.

– Się wie. – Cichocka poprawiła opadający na czoło kaptur białego kombinezonu. – A, jeszcze jedno. Niech ktoś wreszcie spisze tego księdza, czeka w wozie już półtorej godziny.

Mężczyzna siedział na fotelu pasażera z nogami skrzyżowanymi w kostkach. Ubrany był w ciemnogrnatowy obcisły dres, z szyi zwisał mu finezyjnie zawiązany czerwony szalik. Włosy miał ulizane na prawy bok, wyglądały na nieco wilgotne od potu. Sprawiał wrażenie poirytowanego i lekko zziębniętego. Żaden z techników nie pomyślał, by choć na chwilę włączyć mu ogrzewanie.

– Ziemskie procedury to istne piekło – odezwał się po tym, jak Górny rozsunął drzwi wozu. – Oby Święty Piotr nie trzymał naszych dusz tak długo przed wstąpieniem do raju, jak wy mnie tu trzymacie.

Julia z Górnym spojrzeli po sobie.

– Ja rozumiem, że ta straszna zbrodnia zajmuje was bez reszty, ale dbać trzeba przede wszystkim o żywych – ciągnął ksiądz. – Owieczki boże pewnie czekają już w naszej owczarni. A pasterz Augustyn, czyli ja – wbił palec w swoją klatkę piersiową – nigdy nie zawodzi. Co sobie o mnie pomyślał?

– Taa... biedne owieczki – mruknął Górny. – Załatwimy to szybko i będzie mógł pan do nich wrócić. Dowód osobisty od pana poproszę.

– Wolałbym, żeby zwracać się do mnie „proszę księdza” albo „proszę ojca” – zażądał mężczyzna.

– Panie Augustyn... Nie chce pan wiedzieć, co ja bym wolał. Dokumenty.

Ręka księdza z ociąganiem powędrowała do małej kieszonki wszytej w tylną część spodni. Górny z kwaśną miną odebrał ogrzany lędźwiami kawałek plastiku.

– Zatem, panie Henryku Marciniak – przeczytał Adam. – Niech pan, z Bożą pomocą, powie, co pan widział.

Ksiądz zaczął w skupieniu pocierać palcami skronie.

– Nie dam rady... Myślałem, że będę w stanie, ale niestety. Czuję, że mnie dusza boli.

– Co takiego go boli? – Adam nachylił się do ucha Julii. – Dusza? Ja pier...

– Idź zapalić, Górny.

Z ulgą sięgnął do kieszeni po paczkę Marlboro. Odszedł na kilka kroków i stanął odwrócony plecami do policyjnego wozu. Julia wskoczyła do auta i usiadła obok księdza.

– Jeśli nie zacznie pan gadać, gość z papierosem zamknie pana na czterdzieści osiem godzin. Lub, jeśli pan woli, na czas leczenia pańskiej duszy. Po dwóch dobach zwykle dusze zdrowieją.

– Dwie doby?

– Jak nie więcej. Owieczki wytrzymają tyle bez pasterza?

Po chwili zastanowienia młody ksiądz wyjął z rękawa kartkę papieru złożoną we czworo i podał ją Julii.

– Co to jest?

– Ta tablica ogłoszeniowa... – Mężczyzna wskazał brodą na gablotę z informacjami na temat terenu rezerwatu Lasu Bielańskiego. – Ta kartka tam wisiała. Była taka biała, że od razu rzuciła mi się w oczy. Białe na żółtym dobrze widać. Myślałem, że jakieś nowe ogłoszenie. Ale kiedy



przeczytałem, a potem jeszcze zobaczyłem to ciało w potoku... Chciałem ją stamtąd wyciągnąć, ale coś w środku mówiło mi: „Ojczy Augustynie, nie jest twoją rolą decydować o ludzkim losie, jeno boską”. Słucha mnie pani?

– Jeno boską, słyszałam.

Julia rozłożyła kartkę. Napis na niej był krótki: „Przy strumyku stała, o życie błagała. Szkoda, że druga z dam tak szybko skończyła”.

– Czym kartka była przypięta do tablicy? – spytała, przyglądając się drukowanym czarnym literom. – Chyba nie pinezką?

Ksiądz pokręcił głową.

– Szkłem. Pełno tu odprysków po zbitych butelkach. Łobuzy siedzą i piją w krzakach.

– Gdzie jest ten odprysk?

Mężczyzna obrócił głowę w kierunku tablicy informacyjnej. Odległość między nią a wozem policyjnym była jednak zbyt duża, by mógł dojrzeć w trawie coś tak niewielkiego jak rozbity fragment butelki.

– Rzuciłem pod nogi, tam gdzie stałem. Jeśli interesują panią odciski palców na szkłe, to niestety, będą tam tylko moje. Przecież to ja wyciągnąłem szkło z tablicy. Ale, Bóg mi świadkiem, nie ja zabiłem tę kobietę. Dajcie mi już iść, muszę się przygotować do mszy.

Puścili go pod warunkiem stawienia się w komisariacie po odprawieniu południowej sumy. Odbiegł bez rozgrzewki w stronę oddalonych o kilkaset metrów zabudowań i po chwili zniknął im z oczu.

Górny zmeł w rękach ściągnięte z butów ochraniacze.

– Nie powinniśmy go wypuszczać. Nie przyjdzie. Będziemy musieli ściągać go na siłę.

– Przyjdzie – odpowiedziała Julia. – Bez względu na to, co widział, przyjdzie i opowie swoją wersję. Księżulo chce tej konfrontacji. Gdyby było inaczej, zgłosiłby znalezienie ciała anonimowo. Zadzwoniliby pod sto dwanaście i miał sprawę z głowy.

– Te jego opuszczone owieczki... – parsknął Górny. – Mówił o nich, jakby stał na czele jakiejś sekty.

– Owieczki grają tu akurat kluczową rolę. Właśnie z ich powodu nasz wysportowany pasterz stawia się punktualnie i zda dokładną relację ze swojego porannego joggingu, zobaczysz.

\* \* \*

W sypialni panował półmrok. Przez szczelnie zaciągnięte zasłony w ciemnozielone pasy z ledwością przebijało światło rzucane przez uliczne latarnie.

Pilar Ortega nie chciała jeszcze otwierać oczu. Zamiast tego przeciągnęła się i wydała z siebie miękki, koci pomruk. Rozgrzana pościel była jak wypełniona gorącą wodą wanna, której nie chce się opuszczać.

Przytuliła do nagich piersi leżącą obok poduszkę.

– Która godzina? – spytała, nieznacznie rozchylając usta.

Odczekała kilka sekund, jednak odpowiedź nie nadchodziła.

– Haaalo – rzuciła w przestrzeń mieszkania. – Pytałam o coś.

Wszeghogniająca cisza zmusiła ją w końcu do otwarcia powiek. Zrobiła to niechętnie. Podparła się na łokciu i z wysiłkiem rozejrzała się po sypialni. Mętny wzrok prześlizgnął się po małej biblioteczce, potem musnął wiszący pod sufitem bokerski worek treningowy, by w końcu zakotwiczyć na stojącym pod ścianą krzesło, z którego zwisało coś białego. Równie dobrze mógł to być jej stanik, jak i slipy Rafała.

Wczoraj oboje przeholowali. Jeden drink zamienił się nie wiadomo kiedy w dwie butelki wina i zniekształcił rzeczywistość. Nie miała pojęcia, kiedy odpłynęła ani ile minęło czasu, odkąd padła na łóżko. Teraz też nie wiedziała, czy wciąż jest noc, czy już pora na śniadanie.

– Rafał! – krzyknęła, po czym skrzywiła się na dźwięk własnego głosu. – Jesteś tu? – dodała już znacznie ciszej.

Suchość w gardle była nie do zniesienia. Kotłujący się pod czaszką szum też robił swoje. Najlepiej, gdyby zwymiotowała niestrawiony do końca alkohol i ponownie zawinęła się w pościel. O ile ktoś pomógłby jej dowieść się do sedesu i z powrotem.

Domyśliła się już, że jest w mieszkaniu sama. Zsunęła stopy na podłogę i nie szukając kapci, poszła po omacku w stronę łazienki. Zawisła nad muszlą i przygotowała dwa palce. Zanim włożyła je do ust, zastanowiła się jeszcze, czy drażnienie przepony wywołanymi na siłę skurczami żołądka to na pewno dobry pomysł. Miała dziś do przećwiczenia arię Królowej Nocy z *Czarodziejskiego fletu*. Piekielnie trudną i wymagającą zdrowego gardła. Uznała, że z mdłościami da się żyć. Ważne, żeby głos jej nie zawiódł. Opuściła klapę sedesu i zamiast żołądka opróżniła pęcherz.

Dopiero teraz potarła ramiona, które w nieogrzejanej łazience zaczęły pokrywać się gęsią skórką. Odkręciła kran i podstawiała otwartą dłoń pod ciepły strumień wody. Powoli przytomniała. Przeplukała twarz i usta, po

czym naciągnęła na plecy białą koszulę Rafała, przerzuconą przez kosz z brudną bielizną. Wróciła do pokoju i rozsunęła zasłony. Za oknem dopiero co zaczynało dzień. Ścienny zegar pokazywał piątą czterdzieści.

Dwukrotnie wybrała numer do Morawskiego, jednak ten nie odpowiadał. Trzeci raz dzwonić nie zamierzała. Rzuciła telefon na łóżko i poszła do kuchni. Wyjęła z lodówki jajko i wbiła je do szklanki. Zamieszała w niej widelcem, po czym wlała bełt do gardła. Doprowadzenie strun głosowych do jako takiego stanu było najważniejsze.

Do poniedziałkowego castingu w operze miały stanąć cztery zawodowe śpiewaczki i ona – praktycznie nowa, z nadzieją na to, że zmiecie je wszystkie ze sceny. Melodię znała całą, a jej mezzosopran koloraturowy był w szczytowej formie. Pozostawało jedynie douczyć się libretta. Znała już więcej niż połowę tekstu, resztę pozostawiła sobie na weekend, nie mając pojęcia, że w sobotni wieczór przyjdzie jej świętować razem z Rafałem coś, na co czekała tak długo: jego rozwód.

Była pewna, że w końcu do niego dojdzie. Rafał lubił to, co dobre, a ona była przecież najlepsza. Przy niej Beata była nikim. Kurą domową, żoną przy mężu. Pusty śmiech. Żeby jeszcze jakoś wyglądała, umiała się dobrze ubrać i umalować. I żeby zmieniła fryzurę, a nie nosiła się z tym paskudnym podstrzyżeniem po jednej stronie głowy i dłuższymi strakami po drugiej. Naprawdę kobiety nie wiedzą, że tak czesało się dziesięć lat temu? A, i jeszcze to chomąto, które zawsze wiązała pod szyją. Właśnie, nie elegancki szal, tylko chomąto, jak u konia. Bure i nijakie, jak ona sama.

Nie to co Pilar.

Uchwyciła swoje odbicie w szybie. Smukła linia odsłoniętych ramion wygięła się i wyprostowała. Rafał zawsze mówił, że ma figurę hiszpańskiej gitary. Przesuwał wtedy palcami po jej talii i biodrach. Włosy też miała fantastyczne. Rude i ogniste, niemal sięgające pasa. *Dios*<sup>6</sup> nie poskąpił jej ani urody, ani talentu.

Powinien już wrócić. Ile czasu może zająć załatwienie jednej sprawy, i do tego o tak wczesnej porze, kiedy ulice są puste i można przejechać przez miasto, nie zdejmując nogi z gazu. Miał to zrobić szybko i wrócić do niej, do ich wynajętego miłosnego gniazdka.

Nie zdążyła odstawić pustej szklanki do zlewu, kiedy usłyszała dźwięk klucza przekręcanego w zamku.

Najpierw poczuła chłód powietrza, jaki przyniósł z zewnątrz. I zapach. Świeży, rześki. Nie zwróciła uwagi na to, że trącił ją czubkiem buta

ubrudzonego ziemią. Zrobiła to, co lubią robić małe dziewczynki. Stała bosymi stopami na jego skórzanych policyjnych butach i przyłgnęła ciałem do wiosennej kurtki.

– Załatwiłeś? – spytała, patrząc mu w oczy.

Nie przeszkadzało mu, że wciąż czuć było od niej alkoholem. To, co dała mu tej nocy, przyćmiewało tę drobną niedogodność, jaką było wdychanie zapachu z jej ust. Nadal pozostawała ideałem piękna i ucieleśnieniem rozkoszy, której zaznawał przy jej boku od ponad dwóch lat.

– Wszystko idzie zgodnie z planem – potwierdził, pocierając czubkiem nosa o jej nos.

Zarzuciła mu ramiona na szyję i obdarowała go nie do końca świeżym pocałunkiem.

– Lubię, kiedy się dla mnie starasz. Jesteśmy już tak blisko celu.

Zdjął ją ze swoich butów, podnosząc jak dużą kukiełkę, i postawił na podłodze tuż obok wieszaka na płaszcze. Poszedł do pokoju, zostawiając ślady błota na posadzce. Pilar podreptała za nim.

– Powinniśmy zaplanować kolejny krok, nie ma na co czekać – stwierdziła. – W końcu nam się to należy.

– Wiem, co mam robić. Ty zajmij się sobą, jutro na przesłuchaniu musisz być w formie. A o resztę się nie martw.

– Reszta pójdzie jak z płatka... – zamruczała, po czym oparła się o blat stołu, tak by rozpięte do pępka guziki koszuli rozchyliły się kusząco.

Rafał nie zareagował tak, jak się tego spodziewała. Zdawał się być myślami gdzie indziej.

– Oby tylko moja matka nie zaczęła się stawiać – burknęła. – Może wszystko popsuć.

Przemełł coś w ustach.

– Zauważyłeś, że dziwnie się zachowuje? Od śmierci Karinki nie jest sobą. Cicha się jakaś zrobiła. To była przecież tylko praca, a ta mała...

Widziała, jak szczęka Rafała zaciska się na wspomnienie o córce.

– Po co to wywlekasz? Daj jej spokój, możesz?

– Tak... spokój – westchnęła Pilar. – Oczywiście, że mogę. Swoją drogą, jak ten czas leci. To już siedem miesięcy, jak jej nie ma. Biedulka, takie nieszczęście. Ale z przeznaczeniem jeszcze nikt nie wygrał. Po prostu tak musiało być. Jedni odchodzą, żeby zrobić miejsce innym. Karinka też odeszła. No co tak na mnie patrzysz? To przecież był wypadek.

– Zamilcz, Pilar...

– Masz rację, nie ma co tego rozgrzebywać. Co się stało, to się nie odstanie. Teraz zaczniemy wszystko od początku. Między nami wszystko gra?

Zamiast przytaknąć, Morawski zajrzał do stojących na stole butelek po winie. Nawet gdyby chciał, nie miałby z czego pociągnąć choćby jednego łyka. Pilar wysuszyła wszystko co do kropli. Wczorajszy wieczór pięknie ich oboje rozluźnił, jednak kiedy głowa trzeźwieje, świat przestaje być już taki piękny. A Pilar nie powinna mówić zbyt dużo o jego dzieciach. Zwłaszcza o córce.

Nie miał ochoty na śniadanie, które zaproponowała. Chciał zostać sam i przemyśleć swój plan na najbliższe dni. Rzadko to robił, zwykle nie zamykał się przed nią w sypialni. Teraz jednak zatrzęsął jej przed nosem drzwi pod pretekstem szybkiej drzemki po zbyt krótkiej nocy. Już chciała krzyknąć za nim: „Hej, nie chowaj się przed swoim cukierczkiem!”, jednak powstrzymała się. Może będzie miłszy, jak się wyśpi.

Przyłożyła ucho, by upewnić się, że zrzuca z nóg buty i układa się w pościeli, ale nic takiego nie nastąpiło. Zza drzwi sypialni doszły ją odgłosy uderzeń. Rafał okładał pięściami wiszący u sufitu worek treningowy.

\* \* \*

– Wciąż nic? – Julia powiesiła swój płaszcz w przedpokoju i ruszyła za matką do kuchni. Mieszkanie na Saskiej Kępie pachniało zwykle świeżo upieczonym ciastem albo tłuszczem spod kotletów, jednak teraz nic nie stało na gazie ani w piekarniku.

– Jakby zapadła się pod ziemię – odpowiedziała Emilia.

Wyjęła z szafki dwa kubki i wsypała do nich rozpuszczalną kawę. Sprawdziła, czy w elektrycznym czajniku jest wystarczająco dużo wody, po czym wcisnęła przycisk.

– Ojciec był tam z samego rana, żeby sprawdzić, czy wróciła na noc. Ale mieszkanie było puste, a łóżko zasłane, całkiem zimne. Zauważył tylko, że zniknęła jej walizka.

– Duża?

Emilia zalała wrzątkiem kawę i podsunęła Julii kubek.

– Mała. Jak tylko zobaczył, że dostaliśmy od ciebie rejs w prezencie, wspomniał o tej walizce. Chciał ją pożyczyć od Lidii, pewnie dlatego zwrócił uwagę, że zniknęła. Będzie musiał spakować się do mojej. Jestem bardzo ciekawa, jak to zrobi. Moje sukienki zajmują już teraz trzy czwarte miejsca.

Julia powstrzymała się od komentarza. Matka albo naprawdę nie rozumiała, co się dzieje, albo naiwnie wierzyła, że Edmund wybierze wakacje zamiast poszukiwań córki.

– To chyba jasne, że Lidia po prostu wyjechała – stwierdziła, wsypując dwie czubate łyżeczki cukru do kawy. – A że bez uprzedzenia? Twój ojciec nie może przeboleć, że jego mała dziewczynka dorosła i ma teraz swoje życie. Tak długo trzymała się jego ręki, że jak już ją puściła, przeżył szok.

Julia pociągnęła łyk kawy i rozejrzała się za czymś do zrobienia kanapki. Od wczorajszego popołudnia nie miała niczego w ustach. Wyjęła z lodówki masło i żółty ser.

– Co z nim? Jest w domu?

– Jest. W nocy nie zmrużył oka, więc dałam mu tabletkę i teraz odsypia. Weź sobie więcej chleba, z wesela przywieźliśmy kilka nienaruszonych bochenków. Śledzia też weź, z cebulą jest. Goście, na szczęście, trafili się porządni, nie zjedli wszystkiego.

– A matka Lidii? – Julia zignorowała propozycję dojadania weselnych potraw. – Rozmawiał z nią? Może ona coś wie.

Z małej sypialni wyszła Sylwia. Po jej twarzy widać było, że i dla niej ta noc nie należała do łatwych. Potarła ręką zaróżowione od niewyspania oczy, po czym przytuliła się do płaszca mamy.

– Dziadek dzwonił do tej pani ze sto razy – odpowiedziała za babcię. – Boję się, że ciocia Lidia nie żyje.

– Nie mów bzdur! – zachnęła się Emilia. – Umyj zęby, najwyższy czas na śniadanie. Zjesz coś? Śledzia ci dam.

Sylwia skrzywiła się z niesmakiem. Przysunęła swój taboret do stołu i usiadła przy nim, kładąc zmęczoną głowę na blacie.

– Co o niej wiesz? Miała kogoś bliskiego? – dopytywała Julia. – Przyjaciółkę, chłopaka? Musiała gdzieś pracować. Wiesz o niej cokolwiek?

– O chłopaku nic nie wiem – wymamrotała Sylwia, nie podnosząc głowy. – Ale wiem, że ciocia pracowała z dziećmi.

Julia pogładziła córkę po zaspanej buzi. Pod oczami dziewczynki wciąż widać było wczorajsze, rozmazane cienie. Namoczyła papierowy

ręcznik pod kranem i na tyle, na ile się dało, starła koszmarny makijaż.

– To prawda, pracowała w jakimś przedszkolu – przyznała Emilia. – Ale nie pytaj mnie gdzie. Widziałam ją trzy razy w życiu, w tym jeden wczoraj, na ślubie. A ty – zwróciła się do wnuczki – nie wtrącaj się do spraw, których nie rozumiesz. Za mała jesteś.

Sylwia ze zmarszczonym czołem przetwarzała przez chwilę informację o zakazie.

– Przecież wiem, po co jest chłopak. Mama też ma chłopaka, prawda, mamó? Jak zostaję na noc u babci, to ty i Adam... – Przewróciła znacząco oczami. – Ten teges.

– Starczy już! – Emilia zamachała rękami w powietrzu. – Żeby w katolickiej rodzinie, do tego przy stole... Tak właśnie się kończy ta twoja nowoczesność – warknęła do Julii. – Może to skomentujesz?

Julia ze spokojem dokończyła kanapkę i otrzepała palce z okruchów chleba.

– Przynies mi swój telefon, kochanie – zwróciła się do córki.

Sylwia poderwała się od stołu.

– Ten szpiegowski?

– Tak, coś przyszło mi na myśl.

Sylwia wróciła ze swoją komórką po kilku sekundach. Na prośbę Julii odszukała film, który nagrała podczas ślubu, a konkretnie zaraz po tym, jak wszyscy opuścili po przysiedze salę i wyszli na lampkę szampana.

Dziewczynka włączyła odtwarzanie. Spośród ciemnych garniturów i barwnych sukienek Julia próbowała odszukać burgundową suknię Lidii. Wystarczyło zatrzymać nagranie w chwili, gdy ona i jej siostra stanęły razem pod ścianą.

Operatorka kamery robiła, co mogła, by uchwycić mamę i młodziutką ciocię. Przez kilka sekund dało się słyszeć jej chichot, który wdarł się do filmu, gdy machała do nich ręką zza aparatu. Potem już nie odzywała się wcale, jedynie bacznie śledziła zebranych, co rusz wracając do głównego punktu, czyli Julii i Lidii. Obraz kołysał się, ale Sylwia sfilmowała moment, na którym zależało Julii – kiedy Lidia odebrała telefon. Widać było, jak porusza ustami i patrzy a to przed siebie, a to w podłogę. Potem znowu mówiła, jednak szum wywołany śmiechem i rozmowami gości zagłuszał każde jej słowo. Gdy skończyła, stała przez krótki moment nieruchomo, jakby zastanawiała się, co robić. Wróciła do czekającej na nią Julii, ale

tylko po to, by się pożegnać. Po chwili zbiegała już po schodach w kierunku wyjścia z Pałacu Ślubów. Na tym zapis się kończył.

– Muszę go pożyczyć na kilka godzin – powiedziała Julia, chowając telefon córki do torby.

Sylwia rozszerzyła oczy.

– Mój sprzęt do prowadzenia śledztwa? Jak mam ci dawać cynk z tego, co tu się dzieje?

– Musi ci wystarczyć telefon babci.

– Mhm... ten zabytek przeszłości, pomnik zamierchłości? – burknęła Sylwia. – Widziałas, żeby szpiedzy używali na robocie telefonu z tarczą i z kablem?

Julia kiwnęła bezwiednie głową. Jej myśli krążyły między odtworzoną rozmową Lidii a ciałem znalezionym w Lesie Bielańskim.

– Zrobię płatki na mleku. – Głos matki sprowadził ją na powrót do małej kuchni.

– Co? – spytała odruchowo.

– Dziecko musi coś jeść.

Emilia wyjęła z szafki mały garnek do podgrzania mleka dla Sylwii i postawiła go na palniku.

– Obudź ojca – powiedziała nagle Julia.

Potarta o draskę zapałka podpaliła gaz.

– Nie ma mowy. – Matka zdmuchnęła ogień z zapałki. – Najwcześniej za dwie godziny.

Julia przekręciła kurek, gasząc płomień.

– Teraz. Ojciec powinien się o czymś dowiedzieć. Musi mieć świadomość tego, co mogło stać się z Lidią.



11 SIERPANIA 2017

DWA TYGODNIE PRZED POGRZEBEM KARINKI

WARSZAWA-BIELANY, ULICA BARCICKA

**D**olores stanęła na dole schodów i zadarła głowę. Piotruś i Karinka powinni już dawno zejść, a zamiast tego z ich pokoju dolatywały tylko chichotki i piski.

– Maluchy, pośpieszcie się! – krzyknęła w stronę piętra.

W domu Morawskich było wyjątkowo duszno od samego rana. Według prognozy pogody burze miały przejść nad miastem dopiero po południu. Dolores miała więc kilka godzin na to, by wybrać się z dziećmi do parku trampolin przy Marymonckiej. Bieganie wokół domu dawno przestało je bawić, a na bujaki, sprężyny i huśtawki wybierali się już od tygodnia.

Pudełka z kanapkami czekały, podobnie jak butelki ze świeżo wyciśniętym sokiem z pomarańczy. Do każdego z plecaczków dzieci Dolores włożyła jeszcze po pełnoziarnistym batoniku polanym czekoladą i coś, o czym nigdy nie zapominała: kartki z trzema nowymi hiszpańskimi słowami. Tym razem były to: *familia*, *amistad*, *confianza*<sup>7</sup>. Za punkt honoru postawiła sobie, że zanim pójdą do szkoły, będą umiały powiedzieć choćby kilka zdań w jej ojczystym języku. Z czytaniem szło im bardzo słabo, ale pamięć miały znakomitą.

– Liczę do pięciu! *Uno, dos, tres...*<sup>8</sup>

Odgłos zbiegających dziecięcych nóg wypełnił w końcu korytarz.

– Pierwszy! – krzyknął Piotruś.

Stanął na dole schodów i rozłożył ręce, by złapać w nie siostrę. Wpadła na niego z impetem i pisnęła, odbijając się od jego brzucha.

– Jutro ja wygram, prawda, Dolores?

– Prawda. Piotruś trochę oszukiwał, ale drugi raz mu na to nie pozwolimy. Chłopcy to niezłe łobuziaki.

– Ale ja jestem grzeczna – zapewniła dziewczynka.

– Jesteś grzecznym łobuziakiem.

Zachichotali znowu; Piotruś ciszej, Karinka, jak zwykle, dużo głośniej. Śmiała się całą sobą.

– Wkładajcie buty – zarządziła Dolores. – Taksówka już czeka przed domem.

Zwykle sami wiązali sznurówki, ale tym razem musiała im pomóc. Taksówkarz trąbił już dwukrotnie. Poprawiła im nogawki przy krótkich spodenkach i wygładziła bawełniane koszulki, żeby nie marszczyły się na brzuchach.

Nic tak nie cieszyło Dolores jak wspólne spędzanie czasu z maluchami Morawskich. Nic tak jej nie martwiło jak to, że dobijając do sześćdziesiątki, wciąż nie ma własnych wnucząt. Musiały wystarczyć jej obce dzieci, choć nigdy nie myślała o nich w ten sposób. Były przecież dziećmi Rafałka, a właściwie pana Rafała. Zdawałoby się, że jeszcze nie tak dawno jego samego nosiła na rękach. Kiedy minęły te wszystkie lata...?

Gdy po raz pierwszy przekroczyła próg domu starszych państwa Morawskich, jak ich nazywała, Rafałek miał zaledwie jedenaście miesięcy. Przyszła z ogłoszenia. Wiedziała, że ta praca to wyjątkowa szansa i że kolejna może szybko się nie pojawić. Potrzebowała stałego zatrudnienia i dobrych zarobków. Dla niej, cudzoziemki, opieka nad dzieckiem w zamożnym domu była jak spełnienie marzeń... Pani Morawska postawiła przed nią kilka warunków, ale trzy z nich były rozstrzygające. Poświęcenie się w pełni jej rodzinie to pierwszy z nich. W praktyce oznaczało to zamieszkanie pod wspólnym dachem z chlebodawcami i wyrzeczenie się towarzyskiego życia stolicy. Dolores zgodziła się bez wahania. Była już wtedy zamężna i nie szukała wrażeń w nocnych klubach. Drugi warunek był jeszcze łatwiejszy do spełnienia. Poza opieką nad synem państwa Morawskich z czasem miała nauczyć go czegoś pożytecznego. Najlepiej języka. Hiszpański był doskonałym wyborem, pani Morawska stwierdziła nawet, że sama z chęcią będzie się przysłuchiwać ich lekcjom. Dolores pozostawało spełnić jeszcze jedno, ostatnie kryterium. Musiała być praktykującą katoliczką. Wychowanie w tradycyjnej rodzinie oraz pobożność miały stać się moralnym drogowskazem w życiu chłopca.

Dom przy Barcickiej podzielono tak, by Dolores z mężem mieli własną przestrzeń. Dostali pokój z łazienką, oddalony tylko kilka kroków od pokoju Rafałka. Przez kilka miesięcy ich życie przypominało bajkę. Ona zajmowała się chłopcem, mąż jeździł zawodowo taksówką i raz w miesiącu kosił chlebodawcom trawnik w ogrodzie. W dniu, w którym przyszła

wiadomość o śmiertelnym wypadku pana Ortegi, wszystko się zmieniło. Dolores miała wtedy trzydzieści cztery lata i była w siódmym miesiącu ciąży. By utrzymać pracę, ściągnęła z rodzinnej La Gomery matkę. Z pokoju na piętrze przeniosła się wraz z nią do skromnego domku gościnnego w ogrodzie. Kiedy urodziła się Pilar, Josefa zajęła się wnuczką, a Dolores wróciła do opieki nad synem państwa Morawskich.

Kobiety wyprowadziły się na dobre, gdy państwo uznali, że nie potrzebują już opiekunki. Rafał za kilka tygodni miał rozpocząć naukę w gimnazjum, więc w połowie wakacji wezwali Dolores do siebie i z zalem zawiadomili o swojej decyzji. Odprawa finansowa była niewielka – za wysłużone lata przelali na konto niani dwadzieścia tysięcy. Dolores z Josefą i Pilar wprowadziły się do mieszkania przy politechnice. Żeby mieć za co żyć, wzięły w ajencję mały punkt gastronomiczny, w którym sprzedawały ziemniaczaną tortillę na wagę i gazpacho w styropianowych kubkach. Dolores, choć świadoma tego, że wygodne życie w willi nie będzie trwać wiecznie, wciąż nosiła w sobie poczucie krzywdy.

Czas biegł i nie wiadomo kiedy Rafałek przemienił się z małego chłopca w dojrzałego mężczyznę. Wyrósł z krótkich spodenek i przywdział policyjny mundur.

Odezwał się do niej po ponad dziesięciu latach. Kiedy przyszło zaproszenie na ślub, nie wierzyła własnym oczom. Zadecydowała, że mimo przykrego rozstania z rodziną Morawskich nie zawiedzie swojego wychowanka. Poszły we trzy, Dolores, Josefa i Pilar, wystrojone w kolorowe hiszpańskie suknie z grubymi falbanami w grochy. Było dla niej ważne, żeby w ten dzień wyglądały pięknie i wyjątkowo. Chciała być dumna z tego, kim są: barwnymi ptakami, którym nie podcięto skrzydeł. Za sprawą starszej pani Morawskiej poczuły się jednak jak dziwadła. Fantazyjność ich sukien, którymi matka Rafała tak się niegdyś zachwycała, teraz wprawiała ją w zakłopotanie. Dlatego też usadziła ich ekscentryczną trójkę w ostatnim rzędzie. Dolores z zaciśniętym gardłem patrzyła na plecy Rafała i Beaty siedzących przed ołtarzem. Zza głów pozostałych gości widziała niewiele. Z racji odległości i łez, które cisnęły się do oczu po okazanej im pogardzie.

Po ślubie wymknęły się bez składania nowożeńcom życzeń. Dolores nie chciała doświadczyć kolejnego upokorzenia, dziwnych spojrzeń i komentarzy. Pilar musiała czuć to samo. Kiedy znalazły się już w taksówce, przytuliła się do niej i powiedziała: „Jeszcze tego pożąają,

zobaczysz”. Gdy wróciły do domu, pocięła barwne falbany i wyrzuciła je na śmietnik. Nie była już ani stamtąd, ani stąd. Po raz kolejny poczuła, że jest nikim.

Minęło półtora roku i Rafał znów ją odnalazł. „Wrócisz do nas, Dolores? Potrzebujemy cię do opieki nad naszymi dziećmi”, powiedział błagalnie. Rozmyślała dwie noce. Na trzeci dzień zamknęła budkę z gazpacho i podjechała razem z Rafałem pod szpital, by odebrać jego żonę i nowo narodzone bliźnięta. Dopięła do swojego breloczka klucz do ich domu. Tym razem nie zamieszkała jednak z młodymi. Rafał pomógł jej znaleźć wygodne M3 na Bielanach, zaledwie pół kilometra od własnego domu. Przychodziła więc do nich co rano i wychodziła, kiedy Beata wracała z uczelni. Studiowała, by któregoś dnia rozpocząć pracę jako pomoc dentystyczna, a w przyszłości otworzyć własny gabinet. Jednak nauka i wychowywanie bliźniąt szybko okazały się ponad jej siły. Przerwała naukę po trzecim semestrze. Jeszcze przez dwa lata w ich domu wszystko układało się dobrze. Potem nagle coś się zmieniło i między małżonkami przestało być miło. Dolores doskonale pamiętała ten okres. Dla niej też był nerwowy, bo w tym samym czasie Pilar broniła dyplom na wydziale wokalnno-aktorskim na Uniwersytecie Muzycznym.

Wiele razy zadawała sobie pytanie, czy to był dobry pomysł, by uroczystość z okazji zdanego egzaminu córki organizować właśnie w ogrodzie młodych Morawskich. Rafał przekonał ją, mówiąc, że lepiej świętować na świeżym powietrzu niż w restauracji. Ze względu na dzieci i koszt, jaki poniosłaby, wynajmując salę. Za wystawienie stolików w ich ogrodzie nie zapłaci przecież nic, a jedzenie z Josefą lepsze niż w niejednej knajpie. Kupił serpentyny i rozciągnął nad ogrodem kabel z żarówkami, by stworzyć klimat kameralnej fiesty. Robił, co mógł, by zapomnieli o dawnej krzywdzie i znów poczuły się ważne. I wszystko wskazywało na to, że tak właśnie będzie. Pilar brylowała, zachwycona przyjęciem na swoją cześć; Dolores i Josefa kręciły się dumne między stolikami i serwowały paellę prosto z patelni. Wszyscy świetnie się bawili. Poza Beatą. Za każdym razem, kiedy Rafał zbyt żarliwie zajmował się świeżo dyplomowaną wokalistką, przez jej twarz przebiegał cień.

– Jesteśmy na miejscu. – Dolores wysiadła z taksówki pierwsza i wyciągnęła rękę po Karinkę i Piotrusia, pomagając im wygramolić się

z tylnego siedzenia.

Chłopiec wyskoczył z auta i nie oglądając się za siebie, pognął w stronę wejścia do parku. Dolores zdołała przytrzymać za rękę jedynie Karinkę, choć ona też wyrywała się do przodu.

– Zaraz pobiegiesz, ale najpierw pokaż mi się. – Niania przyjrzała się jej buzi. – Znowu to samo. Trzeba nałożyć maść.

„Burakowe policzki”, jak nazywała je Karinka, były zaognione. Skóra pod oczami i wokół uszu wyglądała, jakby pokrywały ją dziesiątki małych pęcherzyków.

– Pewnie drapałaś? Głuptasie, przecież wiesz, że nie wolno! – Dolores zgromiła ją podniesionym głosem. Wyjęła z różowego plecaczka maść i wycisnęła na swój palec grubą warstwę. Odsunęła z buzi dziewczynki niesforne włosy, po czym wklepała maść w policzki.

– Powiemy mamie, żeby znów zabrała cię do lekarza. Te krostki są takie paskudne...

– Tata mówił, że będzie musiała zapaść sobie brodę, żeby nie było ich widać – zaśmiał się Piotruś.

Usta Karinki wykrzywiły się w podkówkę.

– Nie kłam! Tata nigdy by tak o mnie nie powiedział.

– Mówił tak, mówił tak! I nie wiesz, co mówił jeszcze.

– Że jestem jego królewną. Zawsze to powtarza.

Piotruś pokręcił energicznie głową na boki.

– Powiedział, że jesteś...

– Już dosyć! – Dolores pchnęła dzieci w stronę wejścia do parku. Nad drzewami zaczęły gromadzić się chmury. Zapowiadany na południe deszcz mógł przyjść dużo wcześniej. – Idziemy prosto do bujaków, może zdążycie się pobawić, zanim zagrzmie. A ty, Karinko, nie słuchaj brata. Chłopaki rozrabiaki zawsze coś wymyślą, żeby dokuczyć.

Ruszyli aleją wśród gęsto nasadzonych wierzb. Minęli plac zabaw, po którym biegano kilkoro wrzeszczących maluchów, i dotarli do huśtawek. Większość z nich była już zajęta, tylko dwiema zepsutymi nikt się nie interesował.

– Zaraz któraś się zwolni – powiedziała Dolores, widząc w oczach Karinki rozczarowanie. – Może zaczniemy od karuzeli?

Dziewczynka nawet nie spojrzała w tamtym kierunku.

– Myślisz, że tata kocha bardziej Pilar niż mnie? – spytała nagle.

Serce w piersi Dolores zacisnęło się i znieruchomiło.

– Co ty mówisz, dziecinko? – Przykucnęła przed nią i złapała ją za dłonie.

– Słyszałam, jak rozmawiał wczoraj z Pilar przez telefon – powiedziała, patrząc w sam środek źrenic swojej niani.

– Podśluchiwałaś? Wiesz, że to nieładnie.

– Trochę podśluchiwałam – przyznała. – Mówił, że zaczyna brakować mu cierpliwości i że ma kryzys. Co to jest kryzys, Dolores?

Kobieta przełknęła ślinę.

– To taki mały smutek – wyjaśniła, starając się zachować spokój. – Każdy bywa czasami smutny.

– Powiedział jeszcze, że Pilar jest jego *caramelo*<sup>9</sup>. Ja wiem, co to znaczy, nauczyłaś mnie i Piotrusia tego słowa. Ty dajesz nam najlepsze *caramelo*. Dlaczego tatuś tak do niej mówi?

– Źle go zrozumiałaś. Na pewno pytał Pilar, jakie ma kupić cukierki dla waszej mamy.

– Chce jej zrobić niespodziankę?

– Och, tak myślę. – Dolores odsunęła na bok grzywkę Karinki. Chciała pogłodzić ją po policzku, jednak czerwone krostki posmarowane maścią musiały pozostać nietknięte. – Dlatego nie możesz powiedzieć mamie o tym, co słyszałaś. Obiecuj mi, że tego nie zrobisz.

– Bo nie będzie niespodzianki?

– Mhm, właśnie.

Karinka pojaśniała.

– Nic nie powiem.

Dolores podniosła się z ulgą z kucek. Sięgnęła do torby i wyjęła z niej chustkę. Wytarła nią kark i wilgotną od potu szyję. Chciała jeszcze zapytać dziewczynkę, czy nie mówiła o podsłuchanej rozmowie Piotrusiowi, ale nie zdążyła. Karinka biegła już w kierunku huśtawki.

– Popatrz, Dolores, zwolnił się bujak!

Piotruś natychmiast dołączył do siostry. Po chwili odbijali się już nogami od ziemi i podskakiwali na sprężynującym siedzisku.

– Chcemy tu zostać bardzo długo. Możemy? Słyszysz, Dolores? Doloooores?

Nie słyszała. W jej uszach brzmiało całkiem inne słowo. *Caramelo*. Tak do niej mówił? Jakże łatwo jest otumanić mężczyznę. Nawet takiego jak pan Rafał. Kto by się spodziewał? Ze skały – piasek.

Zatem wszystko po staremu. Pilar robi swoje i nie zamierza odpuścić. Jest jak rozpędzona kula ognia, która niszczy wszystko, co stanie jej na drodze. Już czas, żeby z nią porozmawiać i zdecydować, co dalej. Muszą przede wszystkim postąpić mądrze.

Z rozmyślań wyrwał ją pisk Karinki. Nie siedzieli już z bratem na bujaku. Leżeli na ziemi i wyszarpywali sobie z rąk batonika. Jedna czekoladka leżała pod huśtawką utytłana w piasku. Któreś z dzieci musiało ją niechcący wytrącić drugiemu z rąk i teraz bitwa szła o ostatnią czystą słodycz.

Karinka wygrała. Odwinęła papierek i pomachała bratu czekoladką przed nosem. Piotruś, nie namyślając się długo, złapał za wirujący batonik i rozgniół go siostrze na czole.

*Caramelo...*

Jak to się mówi po polsku? Że zemsta bywa słodka?

## ROZDZIAŁ IV

PONIEDZIAŁEK, 19 MARCA 2018

Julia przykładła właśnie kredę do swojej czarnej ściany, gdy usłyszała pukanie i dzwonek jednocześnie. Górny stanął w progu jej mieszkania i wręczył jej reklamówkę z chińszczyzną.

– Zanim pokażesz mi ten film z telefonu Sylwii, zajmijmy się ciepłym papu – zarządził. – Dla ciebie warzywa, dla mnie wołowina. A! Ta babcia z naprzeciwka jest niesamowita.

– Pewnie znów targales jej siatki? Uważaj, bo rozkochasz w sobie staruszkę i będzie kłopot. Ma zazdrosnego męża, więc nie przeholuj.

Zapach ukrytego w styropianowych pudełkach jedzenia rozniósł się po mieszkaniu. Julia wyjęła z szafki widelce i podała jeden Adamowi.

– Ruszam ze ścianą – oznajmiła, po czym wycelowała zębami widelca w mur. Poza pionową linią rozdzielającą nazwiska Aleksandry i Lidii ściana świeciła pustkami. – Potrzebuję wsadu. Co z naszym wysportowanym księdzem, pojawił się na Nowolipkach?

– Planowo. W sutannie i z Biblią w ręce. Żałuj, że tego nie widziałaś.

– Nie przepadam za facetami w sukienkach. Odkąd na komunii Sylwii usłyszałam, że po rozwodzie jestem niemile widziana wśród kościelnej braci, na ich widok dostaję alergii – dodała.

– No tak, w kościelnym chórze jesteś już spalona. Ołtarza na Boże Ciało też nie przystroisz – zakpił Górny.

– Dostałam jasny przekaz: powinnam nieść swój krzyż i pod nim upadać, bo tylko wtedy otworzą się przede mną bramy niebios. Tak mi jeden sukienkowy powiedział. Więc sorry...

– Niebiosą się raczej przed tobą nie otworzą.

– Ich strata. Co zeznał klecha?



Górny przełknął pierwszą porcję chińszczyzny i rozejrzał się za serwetką. Zamiast niej Julia podała mu wyrwany z rolki kawałek papierowego ręcznika.

– Głównie piał z zachwyty nad samym sobą. To organizacyjny geniusz. Kółko pomocy sierotom, kółko różańcowe, kółko miłości Serca Jezusowego itepe. Narcystyczny świętoszek w typie twojej matki. Powinnaś ich ze sobą poznać.

– Byłaby w niego wpatrzona jak żebrak w Billa Gatesa.

– Do tego, jak już wiesz, biegacz. Codzienne przebieżki po Bielańskim zaczyna o piątej, ponoć trenuje przed letnim maratonem. Nie widział niczego podejrzanego. Co prawda ktoś kręcił się nieopodal, ale to musiał być ktoś z psem, bo słyszał gwizdanie.

– Nie wołanie?

– Nie. Nie wiemy więc, czy gwizdała kobieta, czy mężczyzna. Sylwetki też nie widział. Ale uznał, że to normalne, że ktoś się tam kręci. Psy nie pytają o godzinę, kiedy ciśnie je pęcherz.

– A potem zobaczył ciało i od razu zawiadomił policję?

– Ciało zobaczył, kiedy wracał do domu. Było już całkiem jasno.

Julia zakręciła na widelcu makaron sojowy.

– Zaczął o piątej, mówisz? Piąta to jeszcze ciemnica. Trudno mi uwierzyć, że ktoś uprawia jogging w lesie, kiedy ma pod nosem oświetlone asfaltowe osiedle.

– Nie każdy boi się ciemności. Zresztą, był z nim Bóg. Trudno o lepszą obstawę.

– Nie rozśmieszaj mnie, Górny. Nawet księża nie są aż tak naiwni, żeby wierzyć w takie bzdury. – Julia przeżuła warzywa w lepkim sosie i oblizwała usta.

Odłożyła widelec i zniknęła na chwilę w pokoju Sylwii. Wróciła z laptopem i otworzyła internetową przeglądarkę. Sieć pracowała wolno. Musiała odczekać, aż wywołana strona załaduje się i wyrzuci informacje o pogodzie.

– Wczoraj nad ranem była mgła – powiedziała, wpatrując się w monitor. – Widzialność na terenie otwartym nie przekraczała dziesięciu metrów. A to oznacza, że w lesie spadła do czterech lub pięciu. Kto normalny w taką pogodę uprawia jogging? I tak łatwo mu było zobaczyć ciało? Od ścieżki do potoku jest więcej niż dziesięć metrów.

Górny spojrzał na nią pytająco.

– Pokaż. – Przekreślił laptopa, tak by widzieć stronę z pogodą. – Mgła opadła przed siódmą, na krótko przed tym, jak nasz ksiądz maratończyk wybrał sto dwanaście. Zatem mógł już wtedy zauważyć zwłoki.

– Coś mi tu zgrzyta. Wróćmy do tego, co powiedział o właścicielu psa. Wspomniał może coś o świetle między drzewami?

– Pytałem. Żadnego światła.

– Tym samym potwierdził, że jest klasycznym łgarzem. Nikt przy zdrowych zmysłach nie wędruje w ciemnościach z psem puszczonego luzem.

– Psy wracają na wołanie, Julia.

– Miałeś kiedyś psa? No właśnie... To wiedz, że każdy kundel zwieje między drzewa, jak tylko poczuje unoszące się po nocy zapachy. Jego nos dostanie takiego samego bzika, jakiego dostajesz ty, kiedy wchodzisz do swojego sklepu z modelami statków.

– Okrętów – poprawił ją Adam.

– W każdym razie na pewno nie będzie szedł grzecznie przy nodze.

– I latarka miałaby rozwiązać sprawę? Nie sądzę. Chyba że pies byłby nasmarowany farbą fluorescencyjną.

– Błona odblaskowa – odpowiedziała krótko.

– Mów jaśniej, królowo.

– Koty, sarny, wilki. Drapieżniki i ich ofiary. Właściwie wszystkie ssaki, które prowadzą nocny tryb życia, mają w oku taką błonę. Psy, naturalnie, także. – Julia znów sięgnęła po widelec. – Każdy właściciel psa o tym wie, i wie też, jak odbija się światło latarki w psich oczach. Wyglądają wtedy jak małe żarówki świecące w ciemności. Można nie zauważyć samego psa, ale jego oczy – zawsze. Ten sposób działa lepiej niż noktowizor. Właśnie dlatego nikt nie zepuści się ze swoim pupilem w ciemność bez latarki. Więc albo mgła spowodowała u twojego apostoła omamy, albo...

– Ten facet nie ma stu lat, żeby miewać zwidy.

– Widzę, że brniesz dalej. Powiem więc krótko: do Bielańskiego nie można wprowadzać psów. Księżulo stworzył sobie bajkę, którą ma zamiar karmić takie kobiety jak moja matka. Już widzę ten zachwyt w ich oczach. Sługa Boży ledwie uszedł z życiem. Był ciemny las i morderca z psem wilkołakiem. Gdyby nie Opatrzność, może to on, ksiądz Augustyn, byłby martwy? Cud!

– Możesz wreszcie spoważnieć? W prosektorium leży trup młodej kobiety.

– Cały czas jestem poważna. – Julia odstawiła pojemnik z chińszczyzną. – Czego oni dodają do tego jedzenia, siarki? Żołądek mnie pali jak diabli.

Nie chciała jednak wyrzucić resztek. Zamknęła pudełko i schowała je do lodówki na później. Gotować pod nieobecność Sylwii nie zamierzała. Wieczorem zje chińszczyznę co do ostatniej nitki makaronu, choćby miała później odchorować.

– Musimy zająć się starszą panią z bloku przy Wilanowskiej – powiedziała, dociskając drzwi lodówki. – Umówiłeś spotkanie?

– Zaprosiłem ją na Nowolipki na czwartą.

– Zadzwoń do niej i powiedz, że nastąpiła zmiana planów. To my pojedziemy do niej. We własnym mieszkaniu będzie się czuła swobodniej. Dzwoń, szkoda czasu.

Górny odszukał w kieszeni spodni złożoną na pół kartkę z numerem telefonu.

Lubiła sposób, w jaki zwracał się do starszych osób. Nie wiadomo skąd w jego głosie pojawiała się nagle nuta łagodności. Pierwszy raz zwróciła na to uwagę, gdy usłyszała, jak rozmawia z jej ojcem. Już podczas samego powitania zamieniał się w oazę spokoju. Mało wiedziała o tym, w jakim domu dorastał, ale na pewno był to dom, w którym szanowało się starszych. Od razu włączała mu się ta ciepła nuta w głosie. Teraz też mówił cierpliwie. Z uśmiechem na twarzy wsłuchiwała się w miękko wypowiedane przez Górnego słowa.

– Dobrze, szanowna pani, przyjedziemy jak najszybciej... Oczywiście, rozumiem, tak, nerwy... Wszyscy jesteśmy tylko ludźmi. Nie miała pani zawrotów głowy? Cieszę się... tak, do zobaczenia – zakończył rozmowę, po czym zwrócił się do Julii: – Zbieramy się. Pani Rylska już na nas czeka.

Nie okazywał tego, ale nie był zachwycony tą nagłą zmianą planów. Miał zamiar przygotować się do tej rozmowy i potrzebował na to nieco więcej czasu niż pół godziny, jakie zajmuje dojazd na Wilanowską. Przesłuchiwanie emerytów wygląda podobnie jak przesłuchiwanie dzieci. Nie należy do łatwych i wymaga ważenia każdego słowa.

– Co zrobimy, jeżeli znów dostanie ataku paniki? – zwątpił Górny. – Może nie powinniśmy mówić jej, że Majewska nie żyje. Przynajmniej nie od razu.

– Żadnego ataku nie będzie – odparła ze spokojem Julia. – Miała dwie noce na to, żeby wyobrazić sobie najgorszy z możliwych scenariuszy. Zapewniam cię, że w większości z nich widziała tę kobietę martwą. Jej mózg miał czas, żeby się do tego przygotować.

– Mogłabyś chociaż przy niej udać, że los Majewskiej cię obszedł. W ogóle cię to nie wzrusza?

– Wzruszam się jedynie poza godzinami pracy, Górny.

Spojrzała z niedosytem na wciąż niezapisaną czarną ścianę.

– Potrzebujemy twardych danych, nie ckliwości. I najważniejsze: mam nadzieję, że mąż pani Rylskiej będzie obecny podczas tej rozmowy?

– Czekają na nas oboje.

– Doskonale. Wiesz o nim cokolwiek?

– Podejrzewam, że to były lekarz. Na ścianie w ich pokoju wisiało kilka zdjęć dzieciaków z wypisanymi dedykacjami. Coś w stylu podziękowań.

Twarz Julii rozpromieniła się, jakby wygrała los na loterii.

– Lekarz? Mamy więc świadków idealnych. Ona wrażliwa i emocjonalna, on racjonalny i rzeczowy. Wiesz, co to oznacza?

Górny z rozbawieniem patrzył, jak oczy Julii zaczynają błyszczeć. Wyglądała jak nastolatka, która dostała do swojej dyspozycji kartę kredytową ojca milionera i właśnie szykuje się na rundę po centrum handlowym.

– Chcesz zrobić konfrontację? Jeśli tylko Ryłscy wyczują, że nastawiasz ich przeciwko sobie, przestaną mówić cokolwiek.

– Zapewniam cię, że będą mówić, i to dużo – odparła. – Mam nadzieję usłyszeć od nich dwie różne wersje wydarzeń.

– Wolałbym jedną, ale konkretną.

– Obie będą prawdziwe – dodała.

– Jak to sobie wyobrażasz? Chcesz ich przepytawać w osobnych pokojach, jak na komendzie?

– Konfrontacja nie miałaby wtedy żadnego sensu. Cały czas będą obok siebie.

Adam odsunął od siebie pudełko z chińszczyzną i ponownie rozejrzał się za czymś, czym mógłby wytrzeć twarz. Jadł jak duże dziecko. Pomarańczowy ostry sos, którym polał swoje kawałki wołowiny, osiadł mu wokół ust. Julia usłużnie podała mu całą rolkę papierowego ręcznika.

– Lidia się nie odezwała? – spytał, zmieniając temat.

Choć Julia sprawiała wrażenie, jakby cała jej uwaga koncentrowała się wyłącznie na sprawie morderstwa w Lesie Bielańskim, wiedział, że to tylko pozory. Gdyby nie zaginięcie Lidii, stałaby z boku i czekała na dobrze płatne zlecenie od jakiejś zdradzanej żony lub szantażowanego biznesmena. Dramatycznie potrzebowała pieniędzy. Jednak gdy tylko wyciągnęli z potoku ciało Majewskiej, zamieściła na swojej stronie internetowej informację, że jej usługi są niedostępne do odwołania. Dopóki los Lidii pozostawał nieznany, wpływ środków na konto przestał mieć dla niej znaczenie.

– Rozpłynęła się w powietrzu razem z walizką – odpowiedziała, starając się nie okazywać rozczarowania. – Ledwie poznałam tę dziewczynę, a zdążyła stać się dla mnie kimś ważnym. – Wysiliła się na uśmiech, który wypadł wyjątkowo blado. – Głupie, co?

– Nie widzę w tym nic głupiego. Bez względu na to, co stoi za jej zniknięciem, płynie w was jedna krew.

Julia sięgnęła do torby i wyjęła z niej telefon Sylwii. Odszukała nagranie, na którym widać, jak Lidia rozmawia z kimś, a potem nagle wybiega z auli.

– To film, o którym ci mówiłam.

Włączyła go i podsunęła Adamowi pod nos ekran. Zapis trwał niewiele ponad minutę. Górny obejrzał nagranie dwukrotnie, jednak nawet po podkręceniu dźwięku słycać było wszystko, tylko nie głos Lidii. Spojrzał na Julię z nijakim wyrazem twarzy.

– Wiem, hałas zagłusza każde jej słowo – przyznała. – Masz kogoś, kto dałby radę oczyścić rozmowę z szumu?

Górny cmoknął przez zęby.

– Obawiam się, że nic z tego. Lidia stoi zbyt daleko od mikrofonu. Gdyby była o kilka kroków bliżej, może dałoby się coś z tego wycisnąć. Wiesz, skąd przyszło to połączenie?

Julia wygrzebała z torby telefon Lidii, który zabrała z jej mieszkania.

– Do tego trzeba znać PIN albo całkiem zdjąć blokadę. Daj to chłopcom z technicznego, możesz?

Zostawiła go i zniknęła w łazience pod pretekstem bólu żołądka wywołanego ostrą chińszczyzną.

Stała nad umywalką i odkręciła kran. Namoczyła ręcznik i przyłożyła go sobie do karku. Od wczorajszej wizyty na Saskiej Kępie czuła napierające ciśnienie w głowie. Sięgnęło apogeum po rozmowie

z Edmundem. Informacja o zabójstwie sąsiadki z czwartego piętra spowodowała, że matka musiała podać mu krople na serce. „Chcesz zabić własnego ojca?” – pretensja w głosie Emilii zakłuła, jakby wbijano w nią sztylet. „Mogłaś sobie darować. Sumienia nie masz”.

Nie myślała wtedy o sumieniu. Ojciec musiał mieć świadomość, co może spotkać Lidię; była mu to winna. Nie miała zamiaru mamić go obietnicą szczęśliwego zakończenia. Odchorowała tę rozmowę po tym, jak zobaczyła w nim strach. Taki sam odczuwała kilka lat temu, gdy nagle zniknęła Sylwia. Nie ma nic bardziej makabrycznego niż zaginięcie dziecka, i to bez względu na to, czy dziecko ma pięć, czy dwadzieścia pięć lat. Dlatego patrząc na skurczone plecy ojca, uzmysłowiła sobie, że to, co stanie się z jej rodziną, zależy teraz tylko od niej. Miała wziąć na siebie odpowiedzialność za życie Lidii. Przyprorowadzić ją i oddać w jego ręce. Nie musiał mówić tego na głos, wystarczyło, że widziała to w jego oczach. Błaganie o pomoc.

Pukanie w drzwi łazienki sprowadziło ją do tu i teraz.

– Gotowa? – Za ciętą w kolisty wzór szybką pojawiła się niewyraźna twarz Adama.

Julia rzuciła ręcznik na wannę i otworzyła drzwi.

– Jak zawsze. – Odchrząknęła, by nie wyczuł jej chwilowej słabości. – Pojedziemy twoim autem, potem zajrzemy na Nowolipki. Chyba mnie stamtąd nie przegonią?

– Będiesz ze mną, mała. – Górny próbował się roześmiać, ale dobrze wiedział, co kryje się pod zaczerwienionymi powiekami Julii. – Wszystko będzie dobrze. Znajdziemy ją.

Zrobiła krok do przodu, wyciągnęła ręce i przyłgnęła do jego kurtki. Przez chwilę poczuła się lekko. Zamknęła oczy i wyobraziła sobie, że to wszystko nie dzieje się naprawdę. Że w leśnym potoku pływają tylko zeschnięte liście, a Lidia układa poduszki na kanapie w swoim mieszkaniu i opowiada, co działo się z nią przez lata, kiedy były sobie z Julią obce.

– Słyszysz mnie? – dotarło do jej uszu ponownie. – Znajdziemy Lidię.

– Wiem – odpowiedziała.

Chciała dodać, że samo odnalezienie Lidii to jeszcze nie wszystko, ale słowa ugrzęzły jej w gardle.

\* \* \*

Beata Morawska siedziała w swojej jadalni pochłonięta lekturą podręcznika stomatologii zachowawczej. Odkąd zawiesiła naukę pięć lat temu, wiele się w medycynie zmieniło. Nadrabianie zaległości szło jej jednak jak z płatka. Obiecała sobie, że tym razem nie odpuści, musi w końcu wziąć życie za rogi i pomyśleć o swojej przyszłości. Perspektywa, że pewnego dnia stanie przy fotelu jako pomoc dentystyczna wciąż była odległa, ale pierwszy zakończony semestr dawał nadzieję.

Skończyła czytać rozdział o podstawach preparacji zęba. Odłożyła książkę na stół i wyciągnęła rękę po dwustronne lustro do makijażu. Otworzyła szeroko usta i przyjrzała się własnym zębom. Tylko w tym celu kupiła to powiększające lustro, żeby mieć pewność, że żadna ciemna plamka nie wykwitła na szkliwie. Na pewno nie chciała oglądać całej swojej twarzy, a zwłaszcza brunatnych przebarwień, które od lat szpeciły jej cerę. Pojawiły się po tym, jak sięgnęła po plastry antykoncepcyjne. Dodatkowe hormony miały dać jej swobodę podczas seksu z Rafałem. To, że momentalnie spuchły jej piersi i zamieniły się w dwie okazałych rozmiarów bańki, nawet jej się podobało. Trochę bolały upchnięte pod nierozciągniętą skórą, ale do wszystkiego można przywyknąć. Zwłaszcza gdy niemal płaska dotąd klatka piersiowa zamienia się w biust wyglądający jak po dobrze zrobionej operacji plastycznej. Kupiła trzy nowe, większe staniki i kilka bluzek z dekoltem. Była z siebie dumna, wreszcie mogła powiedzieć o sobie, że jest sexy. Pojawiające się zmiany pigmentacyjne na twarzy ukrywała pod grubą warstwą makijażu, ale czym jest niewygodą związana z używaniem korektora wobec piersi w rozmiarze dużego C? Była w stanie znieść wszystko, byle tylko poprawić swoje pożycie z mężem. Utrzymać go przy sobie i w swoim łóżku. Tylko jak zatrzymać i poprawić coś, co przestawało istnieć? Może gdyby nie koncentrowała się tak bardzo na maluchach, widziałaby w niej nie tylko matkę swoich dzieci, ale przede wszystkim kobietę. Nieroztropnie odstawiła go na boczny tor, jak niepotrzebny wagon, który kiedyś, z czasem, znów się podłączy. Nie zauważyła, kiedy sprzęgi spinające ze sobą ich dwie salonki pokryły się rdzą i skruszały.

Zaczął się od późnego wracania z pracy i znikania w weekendy z domu na długie godziny. Wciąż się łudziła, że to tylko problemy zawodowe, w końcu służba w policji to nie stanie za ladą w sklepie z zabawkami. Rafał wracał po północy i kładł się po cichu na sofie w salonie, nie zaglądając do ich wspólnej sypialni. Wytłumaczenie zawsze

było to samo: „nie chciałem cię budzić”. Nie miał pojęcia, że przez te wszystkie samotne godziny czekała. Leżała w ciszy, nasłuchując, o której nad ranem podniesie się tym razem brama garażu.

Jeszcze przez kilka kolejnych miesięcy nie chciała robić mu wyrzutów i awantur. Milczała i udawała, że wszystko między nimi gra. On już przestał cokolwiek udawać. Wyprowadził się z ich domu zaraz po Bożym Narodzeniu. I tak długo wytrzymał w miejscu, z którym nie wiązało go nic poza dziećmi. Myślał, że jeśli przebierze się za Świętego Mikołaja i rozda maluchom prezenty, to w euforii nie zauważą, że ich matka jakoś nie cieszy się tymi świętami. Może dlatego, że spakowana walizka mikołaja stała już w sieni gotowa do przenosin w nowe, ciekawsze miejsce.

Ostatni plaster z hormonami odklejała, patrząc na migoczące na choince światełka.

Strata. Dużo ich miała na swoim koncie. Jedna z nich bolała najmocniej. Beata obróciła się, by spojrzeć przez ramię na stojące na komodzie zdjęcie zmarłej córki. Buzia dziecka była roześmiana, białe ząbki Karinki wyglądały jak małe perełki. Doskonale pamiętała dzień, w którym robiły to zdjęcie. Do fotografa mieszczącego się przy Żurawiej zaszły prosto z ulicy, pod wpływem nagłej chęci zrobienia niespodzianki Rafałowi. Karinka wgramoliła się na obrotowe krzesło i poprawiła opadającą na czoło grzywkę. „Tata się ucieszy”, wysepleniła przez szparkę po górnym mleczaku. Nie chciała wspólnego zdjęcia z mamą, wolała poczuć się jak mała gwiazda, sama w centrum zainteresowania. Albo jak królowna, dokładnie tak, jak nazywał ją ojciec. Była jego małą królowną i nawet tak wyglądała. Miała wtedy na sobie jasnoróżową sukienkę z falbanami, a na nogach niebieskie buciki. Fotografia wyszła piękna, Karinka nie mogła się nacieszyć i doczekać, aż pokaże ją ojcu.

To było jej ostatnie zdjęcie. Trzy tygodnie później odbył się pogrzeb.

Ponownie sięgnęła po podręcznik. Przeszłość nie wróci, nikt nie może cofnąć czasu ani wykasować zdarzeń tak, jak kasuje się w komputerze tekst napisany z błędami. Trzeba iść do przodu, skupić się na sobie i synku. Dokończyć przerwana niegdyś naukę. Rzędy liter rozmazywały się jej przed oczami i układały w zupełnie inne słowa aniżeli te mówiące o narzędziach stomatologicznych. Zamknęła na chwilę powieki. Kiedy je otworzyła, obok niej stał Piotruś.



– Co robisz? – zagadnął, gramoląc się Beacie na kolana.

– Uczę się, ale to trudne – odpowiedziała, odsuwając na brzeg stołu lusterko powiększające. Nie chciała już w nie patrzeć.

Chłopiec złapał leżący na stole ołówek i zaczął rysować na brzegu kartki podręcznika rybkę.

– Przyjdzie dziś do nas Dolores? – spytał, ciągnąc linię tak, by zrobić z niej rybi ogon. – Obiecałaś, że znów będzie do mnie przychodzić, a nie było jej od... – Zaczął liczyć na palcach. – Od dwóch dni.

Wyjęła mu z ręki ołówek i chwyciła go pod ramiona. Nie zamierzał schodzić, ale zsunął się, wyczuwając, że pytanie o nianię zirytowało matkę.

– Nic takiego nie obiecywałam – odparła, wicherząc mu niesforne kosmyki na głowie. – Ani Dolores, ani Pilar nigdy tu już nie przyjdą.

– Ale jeszcze wczoraj mówiłaś...

– Mówiłam, że zobaczymy, a to nie to samo. Na razie dajemy sobie radę bez niani. Zresztą jesteś już dużym chłopcem.

Buzia chłopca wykrzywiła się.

– Nie lubisz Dolores. Kiedyś lubiłaś, ale to było dawno. Szkoda. Chciałbym, żeby u nas w domu było jak kiedyś – wyznał z frasunkiem.

Zamknęła podręcznik z niedokończonym rysunkiem rybki. Nie miała już ochoty na naukę. Nie miała też odwagi, by spróbować wytłumaczyć dziecku, dlaczego w dużym domu została ich tylko dwójka, dlaczego ucichł śmiech i nie słychać już tylu rozmów. Przez ostatni rok wiele się w ich życiu zmieniło, a sześciolatek nie jest w stanie zrozumieć skomplikowanych relacji między dorosłymi.

– Ani Dolores, ani Pilar nie wrócą, synku – powtórzyła.

– A Karinka?

Serce jej załomotało. Poderwała się z krzesła i ruszyła do kuchni, by nie zdołał zauważyć, jak zmienia się jej twarz. Jak tężeje i blednie.

– Przecież dzieci umierają tylko na trochę. – Piotruś podreptał za matką i stanął za jej plecami. – Mówiłem ci to tyle razy. Tylko starzy umierają na zawsze. Karinka powinna już znowu żyć.

Miała mu powiedzieć, że jego siostra nigdy nie wróci i że śmierć jest nieodwracalna? Jakimi słowami? Dla niego kwestia powrotu Karinki wciąż była otwarta. Dlatego nie rozpaczał po jej stracie, uznał, że to taki rodzaj zabawy, że znika się na trochę, a potem wraca do swojego pokoju.

– Postawiłem na jej łóżku wszystkie moje zabawki. – Chłopiec spuścił głowę i wydał usta. – Mogę je nawet oddać Karince, niech już tylko

wyjdzie z tego okropnego pudełka.

Chcąc nie chcąc nie mogła dłużej udawać, że zajmuje się krojeniem chleba. Odwróciła się do syna i przykucnęła przy nim, chwytając jego małe dłonie w swoje ręce.

– Twoja siostrzyczka jest bardzo daleko – powiedziała, starając się dobrać odpowiednie słowa. – Stamtąd nie można wrócić.

Broda chłopca zadrżała niebezpiecznie.

– Kłamiesz!

– Wiem, że to straszne i że jest ci przykro. Mnie również.

– To przeze mnie, prawda? – Piotruś zacisnął pięści. – Śmiałem się z niej i przedrzeźniałem. Jestem złym człowiekiem!

Wyślizgnął się z rąk Beaty i wybiegł przez drzwi kuchenne do ogrodu. W kapciach, spodniach od dresu i lekkiej bluzce z rysunkiem Supermana. Nie zdążyła go zatrzymać, ale i nie chciała tego robić. Rozumiała, że potrzebował zostać sam. Patrzyła przez okno, jak biegnie przed siebie, prosto do rozłożystego klonu, a potem wspina się po sznurkowej drabince. Po chwili zniknął za drzwiczkami swojego domku na drzewie.

\* \* \*

– Proszę panią o podanie swojego imienia i nazwiska.

– Delfina Rylska.

– Wiek?

Starsza pani o perłowych włosach poruszyła się niespokojnie na kanapie. Poprawiła mankiety przy rękawach swojej rdzawej sukienki, po czym splotła dłonie i ułożyła je na podolku. To, że znajdowała się we własnych czterech ścianach, wcale nie sprawiło, że poczuła się swobodnie. Nigdy dotąd nie miała do czynienia z policją, a o przesłuchaniach wiedziała tyle, ile pokazują w telewizji seriale kryminalne. Tam też do drzwi pukało zawsze dwóch funkcjonariuszy. Wchodzili, siadali na wprost zeznającego i wyciągali notesy.

Młoda kobieta o kasztanowych włosach i nazwisku, którego nie dosłyszała, zachowała się tak samo. Usiadła naprzeciwko na krześle, ściskając w ręku mały kajecik.

Już ją widziała, dwa dni temu. Wtedy nie miała czasu się jej przyjrzeć, ale teraz mogła obejrzeć ją sobie dokładnie. Była trochę za szczupłą, ale

bawełniana marynarka dodawała jej kilka kilogramów. Zgrabna i zdecydowanie ładna. Zamiast przesłuchiwać, powinna prowadzić w telewizji jakiś talk-show albo prognozować pogodę. Szkoda jej urody. A ten dziarski dżentelmen o podstrzyżonej brodzie i łagodnym spojrzeniu? Też by się nadawał do szklanego okienka. Mógłby prowadzić wiadomości. Albo, jeszcze lepiej, teleturniej.

– Pani Delfino, czy słyszała pani pytanie? – Mężczyzna zdawał się czytać w jej myślach. – Proszę odpowiedzieć.

Wbiła wzrok w dopiero co odkurzony dywan. Jego ogniście bordowy włos ułożył się tak, jakby pod stopami otwierało się właśnie piekło. Kiedy kupowali go trzydzieści lat temu, podczas wycieczki do Turcji, wydawał im się piękny. Teraz zupełnie nie pasował ani do ścian wyłożonych tapetą w rzadko rozrzucone beżowe liście, ani do różnobarwnych ramek, w które oprawione były liczne fotografie. Wisiały na kilimie za kanapą i przedstawiały twarze pacjentów, którym mąż podarował zdrowie i którzy odwdzięczyli mu się odręcznie napisanymi na zdjęciach podziękowaniami.

– To naprawdę konieczne? – Rylska poprawiła z dystynkcją pukiel włosów na czole, odgarniając go na tył głowy.

– Dane są poufne. Nie użyjemy ich nigdzie, o ile nie będzie to nieodzowne.

– Osiemdziesiąt jeden – odpowiedziała niezbyt wyraźnie.

– A pan? – Kolejne pytanie padło w stronę męża siedzącego obok. Trzymał ją za rękę, jakby dopiero co się poznali.

Rylski miał włosy o takim samym gołębiu kolorze jak jego żona. Ubrany był starannie, w szary sweter, spod którego wystawał kołnierzyk jasnobłękitnej koszuli. Spodnie odprasowane były w ostry kant, na stopach miał brązowe sztruksowe kapcie.

– Antoni Rylski, osiemdziesiąt trzy lata – odparł, po czym podał Adamowi dwa dowody osobiste, swój i żony.

– Jesteśmy małżeństwem od pięćdziesięciu lat, da pan wiarę? – wtrąciła pani Delfina. – Równy, to nasze złote gody.

– Za rok, kochanie – poprawił ją mąż. – Za rok w czerwcu.

– Naprawdę? Ach, no tak. Widzi pan – zwróciła się do Górnego – powiada się, że to mężczyźni zawsze zapominają o rocznicach ślubu. A to mnie się pomieszało. No przecież, że to było w czerwcu sześćdziesiątego dziewiątego! Krawcowa aż do ostatniej chwili robiła poprawki do mojej

sukni. Musiała przyszyć przy wycięciu pod szyją takie koraliki dla ozdoby. Po dwanaście groszy każdy – dodała, odpływając we wspomnienia.

Rylski poklepał żonę po dłoni.

– Państwo nie chcą słuchać o naszym ślubie ani o twojej sukience, nie po to tu przyszli.

Otwierała już usta, żeby przywołać jeszcze kilka szczegółów z dawnych lat, ale mąż zdążył ją ubiec.

– Przepraszam za małżonkę – powiedział, wciąż poklepując panią Delfinę po dłoni. – Biedactwo stara się zatrzeć w głowie to, co zobaczyła w sobotę. Błądzi myślami byle dalej od tamtej tragedii. Nigdy nie znosiła widoku krwi.

– Dla pana natomiast to chleb powszedni – odparła Julia. – Pan, zdaje się, był lekarzem?

Mężczyzna powiódł za jej wzrokiem. Przyglądała się ścianie ze zdjęciami i podziękowaniami. Obrócił się za siebie w półzgięciu i przytaknął.

– Byłem. Od dekady jestem na emeryturze. W pewnym wieku nie powinno się już, jak to mawia moja Delfina, grzebać w ludziach.

– Jaka specjalizacja?

– Najpiękniejsza, jaka istnieje. Kardiochirurgia. Żal było odchodzić, zwłaszcza że głowa jeszcze pracuje. Tylko ręce już nie te co dawniej. Po odejściu od stołu operacyjnego jeszcze przez kilka lat prowadziłem wykłady. Ale to nie to samo.

Rylski spojrzał z żalem na swoje dłonie. Górny w tym samym czasie zerknął z niecierpliwością na zegarek. Według jego standardów podręcznikowy *small talk*, jaki należy odbyć z przesłuchiwanymi, powinien się już zakończyć.

– Od dawna tu państwo mieszkają? – spytał, przechodząc do sedna.

– A konkretnie: jak długo znali państwo Aleksandrę Majewską? – sprostowała Julia.

Rylski drgnął. W przeciwieństwie do żony, która wciąż błędziła myślami po latach ich młodości, od razu zrozumiał, dlaczego użyła czasu przeszłego.

– Nie żyje, prawda? – spytał wprost.

Julia kiwnęła głową.

– Znaleźliśmy ją wczoraj. Każda informacja na temat tego, kim była i z kim się spotykała, jest ważna. Mam nadzieję, że państwo to rozumieją.

Starsza pani drgnęła.

– Zabili ją...? A jednak... Jak tylko zobaczyłam tę krew, to wiedziałam już, że... O mój Boże, dlaczego...? Co ona komu zrobiła...?

Skuliła ramiona i schowała twarz w dłoniach. Rylski objął ją ramionami i ukrył przed wzrokiem Julii i Górnego.

Nie zamierzała ich popędzać. Widok wtulonych w siebie starszych ludzi, którzy przeżyli ze sobą pół wieku, wspierając się i pocieszając w ciężkich chwilach, powstrzymał serię pytań. Poczowała ukłucie zazdrości i wzruszenie, że można, że się da, o ile trafi się na właściwą połówkę. Adam też musiał chyba myśleć o tym w tej chwili, bo poczuła na swoim policzku jego wzrok.

– Przyniosę wodę. – Podniosła się z kanapy. – Dla pana też? – spytała Rylskiego, stając w progu pokoju.

– Tylko dla żony. Dziękuję.

Kiedy wróciła ze szklanką, pani Delfina wciąż ocierała łzy z policzków, jednak siedziała już wyprostowana. Pociągnęła kilka łyków i wzięła głęboki oddech.

– Mieszkamy tu od piętnastu lat – zaczął Rylski. – Aleksandra wprowadziła się stosunkowo niedawno, bo ledwie dwa lata temu. Żona od razu się z nią zaprzyjaźniła. To była miła kobieta, i do tego pomocna. Trudno teraz o takich sąsiadów.

– To prawda – Rylska natychmiast poparła męża. – Zapraszała nas do siebie. Robiła herbatę, ciasta piekła dobre. Zwłaszcza owocowe, te wychodziły jej najlepiej.

– Prowadziła otwarty dom? – spytała Julia.

Pani Delfina rozszerzyła oczy.

– Co to znaczy, kochanie? Że niby nasza Ola była z tych kobiet, co to...?

Rylski pogładził ją uspokajająco po łopatkach.

– Pani pyta tylko, czy często przychodzili do niej goście. Z zewnątrz – dodał.

– Obcy? Ależ skąd!

– Żona jest czujna – zwrócił się do Julii. – Gdyby po naszym piętze kręcił się ktoś podejrzany, wiedziałaby. Kiedyś zdarzały się tu włamania, dlatego teraz ma oczy dookoła głowy.

– Trudno uwierzyć, że tak młoda osoba nie spotykała się zupełnie z nikim poza państwem. – Górny miał wątpliwości.

Starsi państwo spojrzeli po sobie.

– To była porządna kobieta – powtórzyła pani Delfina. – Nie przyjmowała u siebie mężczyzn. Miałam pana za dżentelmena, a pan tu takie insynuacje...

– Wiemy, że była po rozwodzie – odezwała się Julia. – Były mąż przychodził do niej?

– Owszem, przychodził. Nachodził ją wieczorami, po zmroku. Nigdy za dnia. To jakiś menel, wygląda jak włóczęga. Pewnie chodziło mu o pieniądze. Tacy to zawsze czegoś chcą od kobiet, zamiast samemu wziąć się do roboty.

– Kiedy widziała go pani ostatnio?

– Majewski zaglądał tu regularnie, raz na miesiąc – odpowiedział za żonę Rylski. – Bywał głośny, zawsze słyszeliśmy, jak puka do jej drzwi. Nigdy nie używał dzwonka, tylko właśnie pukał.

– Opiszcie go. Po swojemu.

Julia otworzyła notes. Poza nagraniem z dyktafonu Górnego chciała mieć własne notatki, które wreszcie będzie mogła przenieść na czarną ścianę.

– Cóż... średniego wzrostu... – zaczął Rylski.

– Bardzo wysoki – wtrąciła kobieta. – Co najmniej twojego wzrostu, kochanie.

– Zawsze ubrany w dres, na nogach sportowe buty.

– Tak! Zawsze w tych adidasach – zawtórowała pani Delfina. – Kiedyś było nie do pomyślenia, żeby mężczyzna chodził po ulicy w dresie i w takich butach. Ale ludzie się popsuli. On też. Nic nie mówił, jak nas spotykał, nawet zwykłego „dzień dobry”, kiedy wracaliśmy z wieczornego spaceru. Bo my, widzi pani, każdego wieczora spacerujemy dla zdrowia. Tyle razy nas mijał pod klatką lub na niej i nic, ani słowa. Przecież wiedział, że mieszkamy drzwi w drzwi. Gbur.

– Łatwo nas rozpoznać, w końcu jesteśmy tu jedynymi emerytami – wyjaśnił Rylski. – Reszta to sami młodzi.

– I zawsze w kapturze na głowie – zadumała się Rylska. – Dziwnie pachniał. Brudem, a właściwie potem. Śmierdział jak bezdomny, ale na rękę miał zegarek jak jakiś bogaty pan. Duży był ten zegarek, jakby niedowidział.

Julia zobaczyła kątem oka, jak Górny podkreca głośność w dyktafonie. Mógł to zrobić bardziej dyskretnie, żeby nie rozpraszać Rylskich,

a najlepiej jeszcze przed przesłuchaniem.

– Czy kiedykolwiek pani Majewska potwierdziła, że mężczyzna w dresie to jej były mąż? – spytała Julia po chwili zastanowienia.

Podchwyciła zaniepokojone spojrzenie Adama, mówiące ni mniej, ni więcej, tylko: „O co ci chodzi?”.

– Właściwie to nigdy – przyznał po chwili Rylski. – Przynajmniej ja nic o tym nie wiem. Przyjąłem to za pewnik, bo żona tak twierdziła. Kobiety wiedzą o sobie dużo więcej niż mężczyźni. Mnie nawet nie wypadało pytać o takie sprawy.

– A kto inny mógłby to być? – obruszyła się starsza pani. – To on ją zabił, jestem tego pewna. Najwidoczniej nie chciała mu dać po raz kolejny pieniędzy, więc tak ją tłukł, aż w końcu zatłukł.

– Czy kiedykolwiek słyszeli państwo, o czym ze sobą rozmawiają?

Rylska pokręciła siwą głową.

– Nie, nigdy. Ale Aleksandra wspominała kiedyś o mężu i pieniądzach, więc wniosek sam się nasuwa. Wszystkie nieszczęścia dzieją się właśnie przez pieniądze!

– Jednak do tej pory nic nietypowego się nie wydarzyło?

– Nie. To znaczy... w sobotę, kiedy znów przyszedł, zachował się zupełnie inaczej. W ogóle wszystko było jakby inaczej.

– Co ma pani na myśli?

Kobieta potarła dłońmi skronie.

– Właśnie miałam włączyć telewizję, kiedy zorientowałam się, że ktoś chodzi po korytarzu. Śpieszyłam się, aby zdążyć na program, więc podeszłam pod wizjer tylko na chwilę. A muszę państwu powiedzieć, że wzrok mam doskonały, więc wszystko dokładnie widziałam. Ze szkieł korzystam tylko do czytania.

– Nadawano wtedy *Familiadę* – podpowiedział mąż. – To ulubiony teleturniej Delfiny.

– Tak, ulubiony – przyznała Rylska. – Było więc tuż przed drugą po południu. Jak już wspomniałam, usłyszałam jakiś zamęt na klatce schodowej. To był jej mąż, ten dresiarz. Nie powinien tu być. Zgodnie z moimi wyliczeniami powinien przyjść do Aleksandry dopiero w przyszłym tygodniu. Zwykle przychodził pod koniec miesiąca, nigdy w środku. I nigdy za dnia.

– I to właśnie panią zdziwiło?

– Tak. I jeszcze jedno: nie zapukał, tylko zadzwonił do drzwi.

– Jest pani pewna, że to był on?

– Był na sportowo, więc to musiał być Majewski.

Górny podniósł się z krzesła i zniknął w głębi mieszkania. Wrócił po kilku sekundach, chwycił Julię pod ramię i wyprowadził ją do przedpokoju.

– Stań tu i mów, co widzisz.

Wyszedł na klatkę schodową i znalazł się pod mieszkaniem Majewskiej.

– No i? Jak ostrość?

Julia przysunęła oko do wizjera.

– Jakbym strzeliła sobie działkę heroiny i LSD naraz.

Obejrzała judasza z obu stron drzwi.

– Ktoś go wysmarował czymś od zewnątrz.

Pociągnęła palcami po maziidle, po czym przysunęła je do nosa.

– Ładny zapach. Tłusty płyn albo krem. Zrobił z ciebie bezkształtną plamę. – Roztarła maź w dłoniach. – Bez względu na to, co to jest, Rylska nie mogła zobaczyć, co dzieje się na klatce.

– Więc wszystko sobie wymyśliła?

– Wzięła za pewnik, że to, co widzi, jest prawdą. Słyszałaś przecież, że ma doskonały wzrok. Szkoda, że tylko do oglądania *Familiady*, i to z bliska. Zauważyłaś, jaka jest odległość między kanapą a stolikiem z telewizorem? No właśnie. Bez okularów nie rozpoznałaby własnego męża, gdyby stanął w drugim pokoju. W wizjerze zobaczyła to samo co ja, czyli rozmyty ciemny punkt. Pomyślała, że to Majewski, i wróciła na kanapę.

Zamknęli za sobą drzwi i wrócili do saloniku. Pani Delfina nawet nie podniosła na nich oczu. Skurczona, jakby w mieszkaniu panował chłód, ścisnęła w dłoniach swoją szklanekę z wodą. Jej mąż stał przy oknie i patrzył na zielen parku.

– Gdzie ją znaleźliście? – spytał, błędząc wzrokiem po wierzchołkach drzew. – Tam?

– Nie. W Lesie Bielańskim – odpowiedziała Julia.

Rylski przeciągnął palcami po brodzie.

– Tak ciężko to zrozumieć. Jedni ludzie walczą o życie, a drudzy mają je za nic.

– W Bielańskim? – Starsza pani podniosła wreszcie oczy. – Ktoś wiózł ją tyle kilometrów, żeby zabić i porzucić? W głowie się nie mieści... Jak można tak postąpić z człowiekiem?



Rylski wyjął z kieszeni spodni materiałową chustkę do nosa. Podał ją żonie, która od razu przycisnęła miękki brzeg do kącika oka.

– Mam nadzieję, że krótko cierpiała. Gdybym tylko wiedziała, co dzieje się u niej za drzwiami. Ale ja nic nie słyszałam. Wierzy mi pani? Nie słyszałam.

Julia sięgnęła po leżący na regale pilot do telewizora.

– Mogę? – spytała, zanim wcisnęła przycisk.

Kobieta obrzuciła ją zaskoczonym spojrzeniem.

– Chce pani teraz oglądać telewizję?

Brak sprzeciwu uznała za zgodę. Czerwony guzik uruchomił telewizor. Ilość decybeli, jakie wydobyły się z odbiornika, kazała Julii równie szybko go wyłączyć.

– Właśnie dlatego muszę przynajmniej dwa razy dziennie wyjść z domu – przyznał z zakłopotaniem Rylski. – Biorę coś do czytania i siadam na jakiejś ławce lub idę do kawiarni. Książki i gazety nie hałasują – wyjaśnił. – W sobotę też wyszedłem.

– *Familiada* rozłącza rodziny – wtrącił Górny.

– Wiedziałem, że na *Familiadzie* się nie skończy. Potem mieli nadawać *Koło fortuny* i jakiś śpiewający talent show. Wróciłem po dwóch godzinach, od razu zobaczyłem karetkę pod naszą klatką. Myślałem, że coś się stało z moją żoną. Jak już powiedziałem, jesteśmy tu najstarsi, a ludziom w naszym wieku wszystko może się przytrafić.

Pani Delfina zdawała się nie słuchać. Niewinny eksperyment Julii zrobił z niej niewiarygodnego świadka. To bolało ją bardziej niż dywagacje o jej niedosłuchu.

– Nie wiem, czy to ważne, ale właśnie sobie o czymś przypomniałam – powiedziała nagle. – Zanim do naszej Oli przyszedł mąż, ktoś zadzwonił do nas domofonem. Dzwonek domofonu jest nastawiony głośno, może pani sprawdzić. Podniosłam słuchawkę, ale nikt się nie odezwał. Pomyślałam, że to pomyłka albo głupi żart. Wróciłam do pokoju, jednak coś nie dawało mi spokoju. Nie wiem, ile czasu minęło, może pół godziny, jak wyjrzałam na korytarz. Wtedy zobaczyłam, że drzwi jej mieszkania są otwarte. Ona nigdy tak nie robiła, zawsze pilnowała, by je domknąć. Zajrzałam więc do środka. Nikogo nie było, tylko ta krew na podłodze... Wierzy mi pani?

Rylski wolał nie czekać, aż padnie odpowiedź.

– Wszyscy ci wierzymy, kochanie – potwierdził z łagodnym wyrazem oczu.

Starsza pani łypnęła na niego z irytacją.

– Nie potrzebuję litości. Po prostu wiem, co słyszałam – fuknęła.

Julia wolała nie czekać, aż urażona jej eksperymentem kobieta zamknie się w sobie, albo co gorsza, przerwie rozmowę i wyprosi ich z domu. Musiała ustalić, kto wchodził i wychodził z mieszkania Majewskiej.

– Na pewno ma pani doskonałą pamięć do twarzy – schlebiła jej, czując, że atmosfera robi się napięta. – Zna pani wszystkich sąsiadów? Choćby tych z piętra niżej?

Kobieta poruszyła lekko ramionami.

– Czy znam...? Naturalnie. To znaczy, prawie wszystkich. Musi pani wiedzieć, że niektóre mieszkania są wynajmowane i lokatorzy się zmieniają. Nie sposób ich wszystkich spamiętać.

– Piętro niżej? – powtórzyła Julia.

Rylska zmarszczyła brwi.

– Sądzi pani, że któryś z nich miał z tym coś wspólnego? No tak, ludziom nie można już ufać. Niech pomyślę... Na trzecim, zaraz pod nami, jedno mieszkanie stoi puste. Właściciele wyprowadzili się i wystawili je na sprzedaż. Pewnie niebawem ktoś się wprowadzi, bo wymieniono już zamki. Widziałam ślusarza na własne oczy. W drugim mieszkał kiedyś elegancki starszy pan. Samotny. Ale teraz rzadko go widuję, przepisał lokal na swoją córkę. To młoda kobieta. Nie wiem, jak się nazywa, ale zawsze mówi mi „dzień dobry”. Podobno pracuje w przedszkolu. Co za zbieg okoliczności...

– Proszę powiedzieć.

– Bo one obie, to znaczy ta z trzeciego piętra i Aleksandra, pracowały razem.

– Jest pani pewna?

– Całkowicie! Aleksandra знаła ją bardzo dobrze. Codziennie razem jeździły do pracy autem Oli i razem wracały. To przedszkole było gdzieś niedaleko... niestety teraz sobie nie przypominę.

Rylska opadła plecami na oparcie kanapy. Była zmęczona. Nagły odpływ energii sprawił, że zamykały jej się powieki. Julia dała Adamowi dyskretny znak, że pora zakończyć spotkanie. Górny wyjął swoją wizytówkę i wręczył ją Ryłskiemu.

– Na wypadek gdyby coś sobie państwo przypomnieli. Jeśli chodzi o protokół z dzisiejszego spotkania, odezwę się. Trzeba będzie podpisać.

Wyłączył dyktafon i sięgnął po kurtkę. Stali już w drzwiach, kiedy Julię coś tknęło.

– Drzwi do mieszkania Majewskiej nadal są otwarte?

Rylski pokręcił głową.

– Nie chcieliśmy, żeby doszło do kradzieży. Mamy dodatkowy komplet kluczy na wypadek, gdyby trzeba było zajrzeć i podlać kwiaty albo dosypać ziaren chomikowi. Aleksandra nieraz wyjeżdżała, więc żona...

– Rozumiem. Chciałabym tam zajrzeć. Może przeoczyłam jakiś ważny drobiazg.

Starszy mężczyzna z wiszącej przy drzwiach szafki na licznik wyjął klucze do obu zamków.

– Oddam, jak tylko się rozejrzę.

– Nie ma pośpiechu – odparł ze zrozumieniem. – Ona na pewno nie miałaby nic przeciw temu. Po prostu zgarnijcie tego, co jej to zrobił – dodał, po czym zamknął za sobą drzwi.

Julia trzymała w ręce mały breloczek z różowym słonikiem. Był robiony ręcznie, mało udanie, z plecionki, jaką bawią się dzieci na zajęciach praktycznych, wyczarowując przeróżne kształty i wzory. Nietrudno było się domyślić, że był prezentem od kogoś z wychowanków przedszkola, w którym pracowała Majewska. Jeśli słonik miał przynieść jej szczęście, to strategia zawiodła. Szczęście opuściło też dzieciaki i grono pedagogiczne, do którego lada moment miała dotrzeć tragiczna wiadomość.

Wsunęła klucz do dolnego zamka. Nie zdążyła go przekręcić, kiedy zadzwonił telefon Górnego. Odebrał natychmiast. Po jego minie widać było, że rozmowa nie należy do najłatwiejszych. Głównie przytakiwał i po kilku powtórzonych „bardzo współczuję” rozłączył się.

– To matka Majewskiej – powiedział. – Jedzie tu z Płocka razem z synem. Za niecałą godzinę będą na Nowolipkach.

– Przykre, ale nieuniknione.

– Chcą jak najszybciej zobaczyć ciało. Cały czas mają nadzieję, że to jednak nie ona.

– Tym bardziej przykre. Ale ciała tak szybko nie zobaczą, Lipski pewnie właśnie je kroi. Pokażesz im więc tylko zdjęcie kobiety.

Górny zmarszczył brwi.

– To znad potoku? Przypomnij sobie, w jakim stanie ją znaleźliśmy.

– Pamiętam doskonale. Dlatego zobaczą samą twarz. Wytnij z kadru wszystko, co jest poniżej ramion. I postaraj się wyciągnąć od nich, czy Majewska знаła kogoś znad morza. Matka powinna to wiedzieć. Ta piana w ustach nie daje mi spokoju.

– Obawiam się, że szok ich przyblokuje i nic nie powiedzą.

– Twoja w tym głowa, żeby się nie przyblokowali. Nie mamy czasu na sentymenty.

Górny spojrzał na zegarek.

– Mam nadzieję, że widzimy się wieczorem? Będę musiał odreagować po ciężkim dniu, rozumiesz.

– Odreaguj sobie na siłowni.

Skrzywił się jak po wypiciu octu.

– Nie mam teraz nastroju do romansów – oświadczyła wprost Julia. – Jak tylko skończę z mieszkaniem Majewskiej, jadę do ojca. Czas najwyższy i jego przycisnąć. Może on wie, w którym przedszkolu pracowała Lidia. Potem muszę pomyśleć. W samotności.

Nie naciskał. Była mu za to wdzięczna.

– Może następnym razem – mruknął.

– Następnym. Nie zapomnij z tego zmęczenia przysłać tu techników, jak tylko matka Majewskiej rozpozna zwłoki. Niech wreszcie obejrzą dokładnie lokal pod kątem możliwej zbrodni i zaplombują wejście.

Przekręciła klucz w zamku.

W mieszkaniu panowała cisza. Gdyby była niedziela, o tej porze dnia przez ściany przebijałyby się rozmowy lub dźwięk rozbijanych na obiad kotletów. W dni robocze blok wydawał się jakby wymarły.

Domknęła drzwi i poszła prosto do łazienki. Pudełko z rękawiczkami do farbowania włosów stało na swoim dawnym miejscu. Naciągnęła jedną na dłoń i skierowała się do kuchni. Stała przy wciśniętym pod firankę, zaklejonym kartonie. Chwyciła końcami paznokci szarą taśmę i pociągnęła ją jednym ruchem do góry. Zajrzała do pudła. Paczkowane pieczywo, kilka konserw i mrożonek, które już zdążyły się rozmrozić i zamienić w błotnistą breję, ser i jaja. Te akurat trzymały się dobrze, podobnie jak wędzona makrela. Na zafoliowanych tackach leżało kilka porcji schabu. Oceeniła na oko, że od biedy można byłoby go jeszcze usmażyć. Zapakowana w papier wędlina też nie wydzielala jeszcze smrodu zepsucia. Gdyby bliscy Majewskiej zechcieli się tu zatrzymać na czas przygotowań do pogrzebu, nie musieliby martwić się o jedzenie.

Szarpnęła drzwiczkami lodówki, by włożyć do niej zawartość paczki. Po ilości artykułów, jakie zamówiła Aleksandra, spodziewała się pustych półek. Lodówka nie była jednak całkiem ogołocona, można byłoby wstrzymać się z nową dostawą jeszcze kilka dni. Chyba że sklep się pomylił i wysłał zamówienie na niewłaściwy adres.

Złożyła skrzydła kartonu. Adres się zgadzał, nazwisko też. Do dostawy dołączony był paragon ze spisem zamówionych produktów. Pod zestawieniem widoczne były numer zamówienia i blisko dwustuzłotowa kwota do zapłaty, a na górze – logo i nazwa dostawcy. FreshMarket.

Schowała paragon do kieszeni płaszcza i zajrzała do sypialni, by sprawdzić, jak trzyma się mały mieszkaniac klatki z brzęczącym kołowrotkiem. Chomik spał zagrzebany w swoje wióry. Zapas jedzenia jeszcze się nie skończył. Woda w poidelku też była.

Uspokojona, poprawiła przekręconą poduszkę w beżową kratę i zagięty róg narzuty, po czym przysiadła na skrawku tapczanu. Skrzynia jęknęła pod jej ciężarem i lekko opadła. Coś, co blokowało pełne zamknięcie, musiało właśnie pęknąć albo się przemieścić. Uniosła stelaż. Na dnie skrzyni leżały w dwóch stosach książki. Jedna z nich wysunęła się i klinowała zawiasy. Na jej niebieskiej okładce widniała wesoła dziewczynka z kucykami na głowie. „Poznajemy literki”, przeczytała. Jeszcze niedawno z podobnej książki korzystała Sylwia. Najgorzej szło jej z literą G. Ogonek był zawsze albo za krótki, albo za długi.

Sięgnęła po podręcznik i przekartkowała kolorowe strony. Żeby życie było takie beztrudne jak te rysunki. Ułożyła książkę w skrzyni tak, by więcej nie zawadzała. Chciała zamknąć tapczan, ale jeszcze raz spojrzała na grzbiet podręcznika. Nie był niebieski jak okładka. Wzdłuż tytułu ciągnęła się cienka ciemnoczerwona plama, do której przylepił się jeden włos w kolorze ciemnoblonde.

Ściskając w torbie podręcznik owinięty w folię spożywczą z kuchennej szuflady, Julia zbiegła po schodach na trzecie piętro. Jak mogła się spodziewać, drzwi do mieszkania Lidii były zamknięte. Ojciec był tu i zaryglował zamki.

Upewniła się, że klatka schodowa jest pusta, po czym wyjęła swój niezbędnik z wytrychem. Przyłożyła ucho do zamka i wsunęła szpikulec.

Zamek kliknął i wpuścił ją do środka. Nie rozglądała się już na boki, jak poprzednim razem. Szła prosto do kuchni Lidii.

Pociągnęła za uchwyt chłodziarki. Światło zamigotało. Szklane półki były puste, nie licząc resztki paczkowanego chleba. W kieszeni na drzwiach stały jeszcze dwa słoiki z musztardą i majonezem oraz karton z kilkoma kroplami mleka. To wszystko.

Paczka z jedzeniem miała przyjść do Lidii, nie do Aleksandry. Ustaliły między sobą, że zamówienie wyjątkowo trafi do mieszkania piętro wyżej. Całkiem logiczne, skoro Lidia miała być cały dzień poza domem. Zamiast urywać się ze ślubu ojca po to tylko, żeby wpuścić dostawcę, przekierowała zamówienie. Aleksandra lubiła pomagać, więc i tym razem nie odmówiła. Kurier, którego Rylska wzięła za byłego męża Majewskiej, wszedł do mieszkania, zostawił przesyłkę i wyszedł. Ale poza kurierem był tam ktoś jeszcze. Omyłkowo zadzwonił domofonem do Rylskich, a dopiero później pod dziesiątkę. Dwie wizyty, ale czy dwie różne osoby? Może Rylskiej wszystko się pomieszało? Może było całkiem inaczej?

Musiała zapalić. Wyszła na balkon i zaciągnęła się vogiem. Oparła rękę o barierkę i wbiła wzrok w budzący się do wiosny park. Która z kobiet miała tak naprawdę zginąć: Aleksandra czy Lidia? Ta druga czegoś się bała. Tylko czego? Uciekła przed własną śmiercią dzięki przypadkowi czy w pełni świadomie? I dlaczego milczy?

Rozejrzała się za czymś, w czym mogłaby zgasić papierosa. Lidia na pewno nie paliła, na balkonie nie było ani popielniczki, ani słoika, do którego ludzie zwykle wrzucają niedopałki. Porządna siostra.

Zgasiała go na barierce.

Jeszcze raz rozejrzała się po pustym mieszkaniu i zatrzasnęła za sobą drzwi.

\* \* \*

Dolores Riva Ortega przystanęła przed frontowym wejściem do kościoła kamedułów i poklepała podtrzymywaną przez siebie dłoń Josefy.

– Dawno tu ze mną nie byłaś, *mamita*. Ostatni raz na Boże Ciało. Wtedy jeszcze chciałaś. I sił miałaś więcej. Pomyśleć, że to już prawie rok. Ależ był wtedy upał! Nawet w środku nie dawało się wytrzymać. Mury były tak nagrzane, jakby się wchodziło do piekła, nie do kościoła.

Zastanawiałaś się, czy przez ten skwar ksiądz aby nie zgrzeszy i nie poprowadzi procesji bez spodni pod sutanną. Pamiętasz, *mamá*?

Josefa wydawała się niezainteresowana wspomnieniami sprzed miesięcy. Stała ze spuszczoną głową, ukrytą pod koronkową mantylką, i wpatrywała się w koniec swojej laski, którym co pewien czas uderzała w drózkę.

– Ależ tu ładnie – westchnęła Dolores, poprawiając pod szyją czarną apaszkę. – Tak spokojnie. Jeszcze kilka dni i wszystko się zazieleni. Wprost idealne miejsce na ślub. Za każdym razem, kiedy tędy przechodzę, proszę Boga, by dał nam taki dzień, w którym nasza Pilar wejdzie przez tę bramę ubrana w białą suknię. Wyobrażam sobie, jak idzie w welonie i z bukietem kwiatów prosto przed ołtarz. Słuchasz mnie?

Josefa w końcu podniosła głowę. Nie zrobiła tego jednak, by odpowiedzieć Dolores. Nie miała też zamiaru łączyć się z nią w marzeniach o zamążpójściu Pilar. Spojrzała na ozdobny portal nad wejściem, po czym przesunęła wzrok jeszcze wyżej, nad wielkie okno pocięte szprosami i wierzchołek kościoła zwieńczony trójkątnym tympanonem. Nagle uniosła swoją laskę i wycelowała jej końcem w jeden z krzyży.

– Tak, wiem. Od zawsze podobały ci się te dwa stare krzyże na dzwonicach – przytaknęła Dolores. – Są podobne do tych z naszej La Gomery. Co mówisz? – Nadstawiła ucha w stronę matki. – Tak, te są tak samo głośne. Chodźmy już do środka, nie powinniśmy się spóźnić. – Pociągnęła matkę w stronę kościoła.

Josefa zaszurała butami. Stąpała ostrożnie, niemal nie odrywając trzewików od ziemi. Mimo że Dolores podbiła u szewca podeszwy wszystkich jej butów antypoślizgowymi zabezpieczeniami, to męczące ją coraz częściej zawroty głowy powodowały, że czuła się niepewnie. Była jednak wdzięczna córce, że ją tu przyprowadziła. Przycisnęła się mocniej do jej ramienia i podreptała noga za nogą.

Kościół był pusty. Celowo wybrały dzień powszedni i przedpołudnie, by Josefa mogła odbyć spowiedź bez stania w kolejce do konfesjonału i bez obawy, że ktoś obcy usłyszy to, co ma do wyznania. Jej polszczyzna była słaba. Dużo rozumiała, ale nie mówiła prawie nic. Bez pomocy Dolores, która na ten czas zamieniała się w tłumacza, przystąpienie do sakramentu pokuty nie byłoby możliwe. Podczas spowiedzi byli więc we troje: ksiądz,

matka i córka. Choćby z tego powodu nie mogło być mowy o dyskretnym szepcie.

Spowiednik był młody i otwarty na lingwistyczny eksperyment. Zastrzegł jednak, że tajemnica spowiedzi będzie obowiązywała nie tylko jego, ale także Dolores. Szczęśliwie grzechy starej Josefy nie należały do ciężkich, dzięki czemu Dolores nie czuła skrępowania, słuchając ich i tłumacząc. Była wręcz zdania, że wszechmogący *Dios* nie miałby nic przeciwko, żeby matka większość z nich zachowała dla siebie i nie zawracała mu głowy czymś tak trywialnym jak „usnęłam podczas odmawiania pacierza”.

– Podejdźmy bliżej ołtarza – zaproponowała i pociągnęła za sobą matkę.

Ruszyły główną nawą. Przypominały dwa sunące posągi obleczone w czerń, którą nosiły nieprzerwanie siódmy miesiąc, jaki minął od śmierci Karinki. Kiedy dotarły do ławki pod prezbiterium, przycupnęły na niej obok siebie.

– Powinien już tu być. – Dolores zerknęła na zegarek i rozejrzała się po pustych ławkach. Należało zacząć, o ile matka miała wyświadczyć się w pustym kościele. – Posiedź tu, ja zajrzę do zakrystii.

Nie zdążyła zrobić kroku, kiedy drzwi z boku ołtarza otworzyły się i wyszedł zza nich spowiednik Josefy. Rozłożył ręce w powitalnym geście i okrasiał twarz uśmiechem.

– Dobrze panią widzieć. – Ksiądz nachylił się nad staruszką i uściśnął jej pomarszczone dłonie. – Panią także, Dolores. To co, zaczynamy?

Obie przytaknęły. Poprawił przewieszoną przez szyję fioletową stułę i zrobił nad ich głowami znak krzyża.

Josefa dawno już zaprzestała recytowania formułki o tym, kiedy ostatnio była u spowiedzi, i tym razem również pominęła tę kwestię. Ustami córki wyznała, że coraz mniej myśli o zmarłym czterdzieści lat temu mężu i że woli teraz oglądać transmisje z mszy świętych w telewizji, zamiast odwiedzać kościół. Dolores była przekonana, że na tym spowiedź się zakończy, jednak Josefa powiedziała coś jeszcze.

– Aż wstyd mi to tłumaczyć. – Dolores położyła rękę na swojej piersi. – Moja matka pyta, czy człowiek, zamiast dogadywać się z Bogiem, nie powinien raz na jakiś czas dogadać się z Szatanem.

Spodziewała się ostrej reakcji, jednak stało się inaczej. Ksiądz długo i ze spokojem kiwał głową, w końcu otworzył usta:



– Miażdżycyca – powiedział półszepem, sądząc, że jego słowa nie dotrą do uszu Josefy. – Zmiany w mózgu. Przykro mi to mówić, ale pani matka zaczyna bredzić. Nie ma sensu z tym walczyć, nie na tym etapie. Trzeba się pogodzić i wspierać. Będę się za nią modlił, pani też radzę.

Josefa drgnęła. Podniosła powoli rękę i odchyliła z twarzy mantylkę. Z jej oczu wyzierała wściekłość.

– *Todo esta bien mamá, esta bien... No pasó nada...* <sup>10</sup> – uspokoiła ją Dolores, poprawiając przy tym koronkę, która zagięła się na srebrnych włosach matki. – Zdenerwowała się, biedactwo. Lepiej będzie, jeśli już pójdziemy – powiedziała do księdza. – Na dziś wystarczy, kończmy tę spowiedź.

– *No! No ha terminado! Déjame hablar!* <sup>11</sup> – zaskrzeczała Josefa. – *No quiero morir sin confesar toda la verdad!* <sup>12</sup>

– Co ona mówi?

Dolores zacisnęła palce na dłoni Josefy i pokręciła przecząco głową.

– Nic ważnego – odpowiedziała stanowczo. – Matka źle się czuje. Niech ksiądz da już to rozgrzeszenie, czas wracać do domu.

– *No!* <sup>13</sup> – rozległo się ponownie.

Krzyk Josefy odbił się echem od ścian z obrazami świętych, podobnie jak gniewne stukanie laską o podłogę.

– Bóg wszystko widzi i wszystko rozumie. – Spowiednik zamknął oczy i zaczął łączyć się w modlitwie z Bogiem. Gdy zakończył, położył dłoń na głowie staruszki. – Odpuszczam tobie grzechy w imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego. Trzy *Zdrowaś, Maryjo* i koronka do Serca. Żeby raz na zawsze przegnać myśli o Szatanie.

Odprowadzały go wzrokiem, aż zniknął za drzwiami zakrystii. Końcówka laski Josefy powędrowała tym razem w kierunku prezbiterium i zatrzymała się na złotym krzyżu umieszczonym nad tabernakulum.

– *No me silenciarás, Dolores! Dios sabe que no terminará así! Las campanas de la justicia seguirán sonando!* <sup>14</sup>

## ROZDZIAŁ V

**D**ziwni byli ci ludzie od Majewskiej, zauważyłeś? – Młodszy aspirant Szymański wsunął kapsułkę z kawą do ekspresu i podstawił kubek pod dyszę. Zanim uruchomił maszynę, przejrzał się w jej wypolerowanej srebrnej obudowie, by upewnić się, że jego świeżo podstrzyżona grzywka nie straciła swojego kształtu. Ocena fryzury wypadła pozytywnie, wcisnął więc ze spokojem guzik startu w ekspresie. – Zachowywali się jak zombie na prochach.

Górny ślęczał nad komputerem, spisując protokół z przesłuchania Rylskich. W uszy miał wciśnięte słuchawki podłączone do dyktafonu. Niektóre z wypowiedzi padały głośno, inne na tyle cicho, że musiał cofać nagranie, by wsłuchać się w zeznania.

Widząc, że Szymański porusza ustami i gestykuluje z kubkiem w rękę, wyjął z ucha jedną ze słuchawek.

– Co chcesz?

– Mówię o dzisiejszej wizycie. Że było sztywno.

– Spodziewałeś się imprezy z tańcami? Bałem się, że trzeba będzie wzywać erkę, kiedy matka Majewskiej zobaczyła zdjęcie zwłok. Mnie też zrób kawę, bo zaraz usnę nad tymi zeznaniami. Bez mleka – dodał.

Ekspres zbulgotał ponownie i wypuścił z siebie niewielką stróżkę kawy.

– Jak dla kota. – Szymański przechylił filiżankę i podstawił ją ponownie pod dyszę, by ze zużytej kapsułki wycisnąć kilka dodatkowych kropeł.

Od dwóch tygodni był w ekipie Górnego. Po tym jak Jarecki został odsunięty od wykonywania obowiązków, nastąpiło kilka przesunięć. Wylądował jako jego prawa ręka, co w praktyce oznaczało tyle, że przeskoczył w jednym pomieszczeniu o dwa biurka i przesunął do Górnego swoje krzesło.

– Zastanowiło mnie to, co powiedział ten chłopak, jej brat – powiedział, stawiając kubek z rozwodnioną kawą przed Górnym.

– Czyli?

– Że Majewska lubiła wyjeżdżać. I nie były to wypadki nad Bałtyk. Każdego roku smażyła się na plaży w jakiejś Grecji lub Turcji.

– Masz coś do Turków?

– O ile nie będą mi wciskać na straganach fałszywego złota, to nic. – Szymański uniósł ręce w obronnym geście. – Tylko skąd miała na to kasę? Spłacała kredyt na mieszkanie. Rata razem z czynszem to pewnie ze dwa tysiące. Przy jej zarobkach to niemożliwe, żeby miała za co regularnie jeździć pod palmy. Rodzina jej nie pomagała, sam słyzałeś.

– Może miała jakieś dodatkowe źródło dochodu.

Szymański uniósł czoło.

– Wiesz, co od razu nasuwa mi się na myśl?

– Nie przyprowadzała do siebie obcych mężczyzn – odparł Górny.

– A ty najwyraźniej nadal żyjesz w minionym stuleciu. Takie sprawy załatwia się teraz na mieście. Pokoje na godziny, mówi ci to coś? Szybko i bez rozgłosu. Nikt o nic nie pyta. Wystarczy, że zapłacisz, i już dostajesz klucze do ręki. Może podczas takiego spotkania podprowadziła komuś forszę lub kartę kredytową. Facet się zagotował, odszukał ją i koniec końców oberwała.

– Znałeś kiedyś przedszkolankę, która jednocześnie pracowałaby jako prostytutka? – spytał Górny.

– I diabeł ubierze się w ornat, jeśli musi. Co nam szkodzi przyjrzeć się obrotom na jej rachunku? Wpływy z pensji, wpłaty itepe. To jak, mam pogrzebać?

– Pogrzeb. – Górny skinął głową. – Jeśli okaże się, że zasilenia pochodzą tylko z przedszkola, będzie jasne, że kombinowała coś na lewo.

Ponownie włożył słuchawkę do ucha i podkręcił głos w dyktafonie, odcinając się od szumu biura. Dochodziła piąta, a nie dotarł jeszcze do połowy nagrania. Zanim położył ręce na klawiaturze, sprawdził jeszcze w swoim telefonie, czy nie ma żadnych wiadomości od Julii, ale nie pojawiło się nic nowego, odkąd rozstali się pod mieszkaniem Majewskiej.

\* \* \*

Julia wjechała w Mokotowską, szukając miejsca na zaparkowanie skody, ale już po chwili zdała sobie sprawę, że to nie był najlepszy pomysł. Ulica po obu stronach pełna była aut należących do pracowników pobliskiego Ministerstwa Rozwoju i licznych butików z okolicy. Objechała plac Trzech Krzyży i skręciła w wąski przesmyk koło hotelu Sheraton. Miejsce znalazła pod teatrem Buffo – tam parking był niemal pusty. Wysiadła z samochodu i cofnęła się w kierunku placu.

Popołudnie było wyjątkowo pogodne. Gdyby nie to, że do umówionego spotkania pozostawało pięć minut, poszłaby do parku nieopodal i wystawiła twarz do słońca, przysiadając na którejś z ławek.

Minęła Sheraton i jego przeszklone ściany, zza których widać było wnętrza restauracji. Hotelowi goście siedzieli przy stolikach, popijając poobiednią kawę i pogryzając podgrzewane w tosterach croissanty. Biznesmeni i turyści z Europy. Wokół nich kręcili się kelnerzy z białymi ścierkami przewieszonymi przez ramię.

Przyspieszyła kroku.

Instytut Głuchoniemych oddzielony był od ulicy parkanem zbudowanym z metalowych żerdzi. Główna część budynku cofnięta była w głąb podwórza, tak że wraz z dwoma niższymi skrzydłami tworzyła całość w kształcie kanciastej podkowy. Prawdziwy zabytek, pomyślała Julia, spoglądając na neorenesansową budowlę. Choć mijala ją przejazdem setki razy, nigdy nie przyszło jej do głowy, że pewnego dnia przekroczy te mury.

Przeszła przez niewielką bramkę i znalazła się na podjeździe prowadzącym do frontowych drzwi. Przed nimi, na najwyższym schodku, stała kobieta w średnim wieku ubrana w czerwoną sukienkę. Materiał łośpotał na lekkim wietrze, co i raz ukazując jej kolana. Poirytowana niesfornymi podmuchami, cofnęła się w niszę i pomachała ręką w stronę Julii.

– Pani Krawiec? – spytała.

– Tak. Dzień dobry. Dziękuję, że zgodziła się pani ze mną porozmawiać.

– Proszę wejść. – Kobieta uchyliła ciężkie drzwi i wskazała ręką korytarz. Julia zobaczyła w głębi wysokie schody z kutymi poręczami. – Przyznam, że zaskoczył mnie pani telefon. Zwłaszcza że zupełnie nie wiem, czy będę w stanie pani pomóc. Nie podała pani powodu naszego spotkania,

a ja jestem tu tylko szeregowym pedagogiem. Może gdyby spróbowała pani u dyrektora...

– Próbowałam. Najbliższy wolny termin na spotkanie to przyszły tydzień.

– Ach, no tak. Na to nic nie da się poradzić – zaśmiała się kobieta.

O ile Julia dobrze zapamiętała, nazywała się Anna Rajtak.

– Proszę za mną. – Ruszyła schodami na piętro.

Zatrzymały się przed drzwiami z tabliczką „Świetlica”.

– O tej godzinie jest tu już pusto. Zajęcia kończymy przed trzecią, więc nikt nie powinien nam przeszkadzać – powiedziała, przekręcając klucz w zamku.

Pomieszczenie było duże i jasne. Przez świetliki w suficie wpadało dzienne światło, które dodatkowo odbijało się od pomalowanych na biało ścian, czyniąc salę jeszcze bardziej przestronną. Na murach wisiały małe kolorowe obrazki, pod nimi stały kanapy obite czerwonym i czarnym skajem. Pośrodku znajdował się stół, sosnowy jak biblioteczka i kilka dodatkowych szafek.

– Proszę usiąść. – Kobieta wskazała ręką jedno z krzeseł. Sama przycupnęła naprzeciwko. – A teraz słucham.

Julia wyjęła z torby telefon Sylwii i położyła go przed sobą na stole.

– Chodzi o nagranie. A konkretnie o minutę filmu, który może pomóc w śledztwie.

Anna Rajtak odgięła się na krześle.

– Przyznam, że nie rozumiem... Nie wspominała pani o żadnym śledztwie. Któryś z naszych uczniów ma kłopoty? Jak widać, pogadanki na godzinach wychowawczych to za mało. Wbija im się do głów, żeby zachowywali się odpowiedzialnie, ale to jak groch o ścianę. Któryś sobie popił i wrzucił do sieci jakiś wulgarny film? Jak znam życie, to Gałęcki z maturalnej.

Julia przylepiła do ust cierpki uśmiech.

– Nie chodzi o film z sieci. Ani o Gałęckiego. Powiem wprost: kiedy dziś rano zapytałam panią, czy zna pani język migowy, nie pytałam bez powodu.

– I na pewno nie chodzi o żadnego z naszych? – upewniła się Anna Rajtak.

Julia pokręciła głową. Wolałaby nie wdawać się w szczegóły, załatwić sprawę i wyjść, jednak tej miłej kobiecie, która poświęciła jej wolne

popołudnie, zamiast wrócić do domu i puścić film w telewizorze, należała się szczerść.

– Sprawa dotyczy mojej siostry, a ona nie ma nic wspólnego z państwem instytutem, zaręczam. Jak już wspomniałam, chodzi o nagranie. Widać na nim rozmowę, jednak nie słychać ani jednego słowa.

– I? – Anna Rajtak przyjrzała się Julii z niepokojem.

– Chciałabym, żeby odtworzyła pani tę rozmowę z ruchu ust. Wiem, że osoby słyszące i mówiące, a zarazem posługujące się językiem migowym potrafią to zrobić.

– Doprawdy, myślałam, że chodzi o coś... – Anna Rajtak zaczęła szukać w głowie słów, które z jednej strony nie uraziłyby siedzącej naprzeciw kobiety, a z drugiej jasno określiły jej nastawienie do tej prośby. – O coś dydaktycznego, a nie z pogranicza prawa. Bo tu coś ewidentnie jest nie tak, prawda, pani Krawiec? Dlatego nie poszła z tym pani do zawodowego tłumacza migowego. Na tym nagraniu jest coś, co byłby zmuszony zgłosić policji, więc wołała pani nie ryzykować. Zwłaszcza że chodzi o kogoś pani bliskiego. Ale ja też nie potrzebuję robić sobie kłopotów, za to bardzo cenię sobie swój spokój.

– Jeśli zakłócenie tego spokoju ma swoją cenę... – Julia sięgnęła do torby po portfel.

Anna Rajtak poderwała się od stołu i stanęła za krzesłem. Zacisnęła dłonie na oparciu, a nogi krzesła zaczęły uderzać w podłogę wyłożoną linoleum.

– Tak chce to pani załatwić? Obrażając ludzi? Trafiała pani pod zły adres. Wybrała pani nas, placówkę, której zależy na dobru wychowanków i której ostatnim zamiarem jest wywoływanie sensacji. Od dwustu lat nasz instytut nie splamił się żadnym skandalem. Wie pani dlaczego? Bo my lubimy ciszę. Dosłownie i w przenośni. Więc jeśli to wszystko...

Julia wciąż obracała w palcach telefon.

– Zrobi pani, jak uważa – powiedziała, stawiając wszystko na jedną kartę. – W grę wchodzi ludzkie życie, ale zmusić pani do niczego nie mogę.

Uderzenia krzesła o podłogę nagle ucichły.

– Chce mnie pani wziąć na litość?

– Wystarczyłoby mi zwykłe zrozumienie. Moja siostra zaginęła zaraz po tym, jak rozmawiała z kimś przez telefon. Zapis jest tu – postukała palcem w komórkę.

Rajtak wbiła wzrok w ciemny ekran.

– Współczuję, ale nie wiem, czy powinnam się w to mieszać.

Moment zawahania w jej głosie mógł się drugi raz nie powtórzyć. Stariała się być nieugięta, jednak ktoś, kto pracuje z młodzieżą potrzebującą wsparcia, nie może mieć serca z lodu.

Teraz albo nigdy. Julia włączyła nagranie i bez słowa położyła telefon przed kobietą. Tego jej Anna Rajtak nie mogła zabronić. Mogła co najwyżej wezwać ochronę i wyprosić ją z budynku. Na razie zaciskała tylko dłonie na oparciu krzesła.

Kiedy pojawiły się pierwsze sekundy zapisu z holu w Pałacu Ślubów, pedagog odwróciła głowę, by uniknąć patrzenia na ekran. Po chwili zerknęła na niego mimochodem, akurat gdy ukazało się zbliżenie na twarz Lidii. Przerazenie, jakie malowało się na twarzy kobiety, powstrzymało ją przed powtórным odwróceniem wzroku od wyświetlacza komórki.

– Nie znoszę takich zagrywek... – powiedziała przez zęby. – Niech no pani cofnie do samego początku.

Julia zrobiła to i podała jej telefon. Anna Rajtak odeszła od stołu. Potrzebowała więcej przestrzeni, by skupić się na nagraniu. Usiadła na czerwonej kanapie, pochylona i odwrócona do Julii plecami. Musiała odtwarzać film kilkakrotnie, bo wyprostowała ramiona dopiero po pięciu długich minutach.

– Jest pani pewna, że chce wiedzieć, co jest na nagraniu? – spytała, wciąż nie odwracając się w stronę stołu.

– Po to tu przyszłam.

– Ta młoda kobieta... – zaczęła.

– Ma na imię Lidia.

Obróciła się wreszcie, ale nie wstała z kanapy.

– Nie chcę wiedzieć, kim jest ani jak się nazywa. W ogóle nie chcę mieć z tą sprawą nic wspólnego. Powiem pani, co jest na nagraniu, a pani wyjdzie stąd i więcej tu nie wróci.

– Ma pani moje słowo.

– Zatem...

– Moment. Potrzebuję czegoś, by to wszystko zapisać. – Julia rozejrzała się po półkach za jakąś wolną kartką. W świetlicy powinno być ich dosyć, młodsze dzieci musiały przychodzić tu na zajęcia z rysunku.

Anna Rajtak podniosła się z kanapy i otworzyła jedną z dolnych szafek regału. Wyjęła z niej kartkę do ksero i podała Julii. Dodatkowo położyła przed nią żółtego bica bez skuwki.

Zacząła mówić. Wraz z każdym wypowiedzianym słowem Julia czuła, jak palce, którymi ściska długopis, zaczynają się pocić. To, co sama zdołała wyczytać z twarzy siostry, kiedy zobaczyła film, było niczym w porównaniu z tym, co wydedukowała Anna Rajtak. Nie bez powodu cofała kilkakrotnie zapis. Chciała mieć całkowitą pewność, że to, co widzi, nie jest pomyłką.

Pożegnały się chłodno, jedna z ulgą, druga z przeczuciem, że prawdziwy koszmar dopiero się zaczyna. Sytuacja wyglądała gorzej, niż Julia przypuszczała. Dochodziły do tego wyrzuty sumienia, że jeszcze dwa dni temu pozwoliła sobie na wątpliwość co do uczciwości Lidii. Jej strach nie był udawany, teraz Julia wiedziała to na pewno.

Kiedy wyszła z instytutu, zdało się jej, że świat nagle poszarzał, a dźwięki ulicy zlały się w jeden wielki szum, który za chwilę zmiażdży komórki w jej mózgu. Ruszyła prosto pod Studio Buffo, myśląc tylko o tym, by zamknąć się w małej przestrzeni swojego auta.

Trzasnęła drzwiami i oparła ręce na kierownicy. Utkwiła wzrok w kolorowym plakacie zawieszonym w gablocie na ścianie teatru. Zapowiadał wieczorną premierę jakiegoś wesołego musicalu. Jedne słowa wieszczą dobre informacje, inne złe, przeszło jej przez myśl. Te wypowiedziane przez Lidię wróżyły coś wyjątkowo paskudnego.

Sięgnęła do kieszeni płaszcza i rozprostowała kartkę.

*Tak, to ja... Przestań mnie nękać, dłużej tego nie wytrzymam. Gdzie jesteś? Co tam się dzieje...?! To ona? Jesteś z nią? Dlaczego ona tak jęczy? Dlaczego jej to robisz?! Zostaw ją... To nie jej wina, ona nic nie wie, przysięgam... Błagam, zostaw ją, słyszysz?! Zaraz przyjadę... Poczekaj! Ja przecież nic nikomu... Zrobię wszystko, tylko nie rób jej krzywdy... To mnie szukasz, nie jej! Błagam, nie zabijaj! Halo, nie rozłączaj się! Halo...!*

\* \* \*



– Musisz coś jeść. – Emilia podsunęła mężowi talerz z gorącym krupnikiem. – Śniadania nawet nie tknąłeś. Jak tak dalej pójdzie, wpadniesz w anemię.

– Daj mi spokój.

Edmund sięgnął po nieotwartą paczkę papierosów i wyjął z kieszeni spodni zapalniczkę.

– Przy twoim nadciśnieniu? – Emilia wyciągnęła rękę, by odebrać mu papierosa, ale uchylił się całym tułowiem, jakby bronił się przed nagłym ciosem. – Wymyśliłeś sobie, że mam zostać wdową w kilka dni po ślubie? Pięknie. Rób tak dalej, myśl tylko o sobie... Skończysz jak ta kobieta.

Emilia zaszeleściła gazetą otwartą na stronie z nekrologami.

– Tobie też każę taki zrobić. – Wskazała palcem czarną ramkę. – Przypatrz się dobrze. Twoje nazwisko pojawi się tu szybciej, niż się spodziewasz. Dziś ona, jutro ty. Biedna Aleksandra, lat dwadzieścia siedem. Ty będziesz Edmund, lat sześćdziesiąt siedem.

Podniósł na nią oczy – obojętne na to, co pokazywała mu w porannej gazecie – i zaciągnął się dymem. Zaledwie dwa dni temu odbył się ich ślub. Nawet w najgorszych snach nie mógł przypuszczać, że radość z uroczystości pryśnie jak mydlana bańka. Powinni teraz pakować się na podróż poślubną. Emilia niepotrzebnie wyciągnęła walizkę spod łóżka i oczyściła ją z kurzu.

Wypuścił z płuc siwą smugę, którą Emilia natychmiast rozgoniła gazetą.

– Przecież w końcu ją znajdą – powiedziała już dużo łagodniej. – Ludzie to nie dym, nie znikają ot tak. Policja dostała zgłoszenie, teraz trzeba czekać.

Nie wiedziała, o czym myśli, gdy patrzy na jej rozgadane usta. Jego twarz nie wyrażała żadnych uczuć.

– A gdyby to przytrafiło się Julii? – spytał nagle.

– Nie rozumiem.

– Gdyby to Julia zaginęła, nie Lidia. Mówiłabyś to samo? Że ktoś kiedyś ją znajdzie?

– Nie rób ze mnie potwora. Przecież ja też się martwię.

– Odpowiedz. – Podniósł głos. – Przyznaj, czy byłabyś tak samo zmartwiona, gdyby chodziło o twoją córkę?

Jeśli ta pretensja miała ją zabołec, trafił w punkt. Nie bagatelizowała zniknięcia Lidii, jednak do przerażenia, jakie czułaby, gdyby sprawa

dotyczyła Julii, było bardzo daleko. Nie dałaby wtedy rady funkcjonować. Ani spać, ani jeść, ani chyba nawet oddychać.

– Masz rację – przyznała ze wstydem. – Może podchodziłam do tego wszystkiego zbyt lekko. Pomodłę się za odnalezienie Lidii. Odmówię całą litanię do Panienci, ona na pewno pomoże.

Dziwnie się jej przyglądał. Zawsze to robił, kiedy wspominała o przywoływaniu boskiej pomocy. Tylko że zwykle dołączał do tego spojrzenia dobrotliwy uśmiech. Tym razem uśmiechu nie było.

– Muszę do niej pojechać – powiedział.

– Na Wilanowską? Od wczoraj nic się tam nie zmieniło.

Edmund nie zamierzał wchodzić w kolejne zwanie z żoną. Wysypał z popielniczki czekoladowe cukierki i wcisnął w jej dno niedopałek papierosa. Podniósł się z krzesła i stanął przed szafą. Z wieszaka ściągnął swoją sztruksową marynarkę. Emilia obserwowała, jak w ciszy wsuwa ręce w jej rękawy, a potem sięga po płaszcz.

– Nie jadę do mieszkania Lidii. Jadę do jej matki.

Ścierpła. Od soboty Edmund odebrał od tamtej kobiety dziesiątki telefonów. Wydzwaniała jak obłąkana, nie zważając na porę dnia ani nocy.

– To się nigdy nie skończy – powiedziała ze ściśniętym gardłem.

– Chodzi o nasze wspólne dziecko – odparł, kładąc dłoń na klamce. – Przez ostatnie lata robiłem, co chciałaś, i szanowałem każdą twoją decyzję. Teraz ty uszanuj moją. Nie będę tu siedział z założonymi rękami i udawał, że nic się nie dzieje. Może to twój sposób na rozwiązywanie problemów, ale nie mój.

– Przecież ja dla Lidii wszystko...

– Nie czekaj z kolacją.

Czuła się podle. Wyszedł i zostawił ją z poczuciem, że poza gotowaniem i podsuwaniem kolejnych talerzy nie zrobiła nic, by mu pomóc. Tamta na pewno pomoże. Przytuli i pocieszy. Do tego popłacze i zrobi z siebie ofiarę, biedną sarenkę, której koźlątko oderwało się od stada i zaginęło w ciemnym lesie.

Nie zostawi tak tego. Sytuacja sprzed lat się nie powtórzy. Matka Lidii może i jest sprytna, ale ona będzie sprytniejsza. Nie da się po raz drugi zepchnąć do kąta. Pojechał do byłej kochanki, ale wróci, a ona w tym czasie robi to, co od rana chodzi jej po głowie. Może dzięki temu Edmund wreszcie zrozumie, w którym porcie ma zacumować swój statek na dobre.

Potruchtała do kuchni. Odsunęła szufladę ze sztucami i wyjęła spod plastikowych przegródek złotą wizytówkę. Usiadła z nią w salonie i chwyciła za słuchawkę. Telefon był stary, z tarczą i na kabel. Sylwia nazywała go przedwojennym rupieciem, który powinien stanąć w muzeum obok żelazka na węgiel.

Wykręciła numer i odczekała, aż pojawi się sygnał, a potem odezwie głos, którego nie słyszała od miesiąca.

– Aurora, słucham? – Kobięcy zaśpiew zadźwięczał czarownie. – To ty, Emilio? Tak, słyszałam, słyszałam... Gratuluję na nowej drodze... No, przecież mówiłam... ja miałabym się mylić? Nigdy, moja droga, nigdy! Za dużo wiem, za dużo widzę. Ależ, oczywiście... dla ciebie wszystko. Mów, w czym mam ci pomóc.

Kilka zdań wystarczyło, by Aurora wyczuła, że w życiu jej stałej klientki pojawił się kolejny kryzys.

– Przyjdź, zobaczymy, co da się z tym zrobić – zadźwięczała Emilii do ucha. – Mam wolną godzinę, od szóstej. Tak, dziś. Przynies ze sobą jej zdjęcie, bez niego nic nie zobaczę. Jak to nie masz? Muszę poczuć energię... No to coś innego, może być włos albo ubranie. Cokolwiek, czego dotykała. Tak, czekam.

Do szóstej brakowało dwudziestu minut. Zwykle tyle wystarczało, by uwinęła się z ułożeniem fryzury, pomalowaniem ust i wyszukaniem jakiejś eleganckiej sukienki. Tym razem darowała sobie i lakier do włosów, i szminkę. Musiała jak najszybciej przeszukać rzeczy Edmunda. Na pewno miał w swoich szpargałach coś, co należało do Lidii. Wszystkie swoje skarby przechowywał w szufladzie pod telewizorem, może tam zawieruszyła się choćby jakaś pocztówka przysłana z wakacji. Albo audiobook jego ulubionego *Ojca chrzestnego*, który podarowała mu na Gwiazdkę. Gdzieś tu powinna być...

Palce Emilii przesuwały drobiazgi z jednego boku szuflady na drugi. Gdy otworzyła pudełko ze starymi rachunkami z poprzedniego mieszkania i odcinkami z ZUS-u, zobaczyła coś, co spowodowało, że zwilgotniały jej oczy. Jednak miał zdjęcie Lidii, stare, z czasów, gdy była jeszcze dzieckiem. Ukrył je głęboko, na samym dnie. Byli na nim we troje: Edmund, Lidia i tamta kobieta, jej matka. Siedzieli na ławce w parku, uśmiechnięci i szczęśliwi.

W pierwszym odruchu chciała porwać fotografię na strzępy, jednak zamiast tego wsunęła ją do swojej torebki. Odwiązała z talii kuchenny

fartuch i rzuciła go na tapczan. Założyła na szyję apaszkę i sprawdziła, czy ma w portfelu bilety na autobus. Powinna wrócić, zanim Sylwia skończy odrabiać lekcje u Jagody. Na wszelki wypadek zostawi jej kartkę w drzwiach, żeby poczekała kwadrans na schodach.

Kartka, zakrecony gaz i powyciągane wtyczki z gniazdek. Mogła już iść.

\* \* \*

Pilar Ortega wyszła z pokoju przesłuchań z suchym gardłem. Casting do roli Królowej Nocy miał być jedynie formalnością. Była przecież na tyle niezwykła, żeby zachwycić dyrektora opery nie tylko swoim sopranem, ale i osobowością. Królowa Nocy nie może być przecież mdła i nijaka. Nie po to widzi płaci za bilet, by patrzeć na pierwszą lepszą śpiewaczkę. Widzi płaci po to, by patrzeć na gwiazdę. A ona była gwiazdą.

Wszystko poszłoby gładko, gdyby nie sytuacja z niedzieli. Słów do arii nauczyła się na tyle, na ile pozwolił jej mózg pracujący na kacu. Libretto, choć krótkie, z trudem wchodziło do zamulonej głowy. Nadal jednak liczyła na łut szczęścia. Przez dwie pełne minuty nie zacięła się podczas śpiewu ani razu. Gdyby nie ostatnia część, która poszła jej nieco gorzej, miałaby rolę w kieszeni. Nuty pamiętała, więc aby nie wyjść na amatorkę, zaczęła śpiewać tekst od początku, próbując pożenić słowa z dźwiękiem. Członkowie komisji tylko wymienili spojrzenia. Choć „szyła” dość nieudolnie, pozwolili jej dośpiewać pomyłony tekst do końca. Dostała nawet szansę na rehabilitację. Była nią krótka aria z *Balu maskowego* Verdiego.

Zaśpiewała, ukloniła się i wyszła. Dopiero gdy zamknęła za sobą drzwi, zorientowała się, że jej czarny golf zwilgotniał przy szyi i pod pachami. Nie chciała, by ktoś wyczuł od niej zapach potu. Gwiazdy przecież nie śmierdzą stresem. Minęła w korytarzu kilka konkurentek do roli Królowej Nocy i zamknęła się w łazience. Ściągnęła golf i stanęła w staniku przed lustrem. Zimna woda z płynnym mydłem szybko odświeżyła skórę. Pilar wytarła papierem skórę i wciągnęła z powrotem golf, rozrzucając włosy na ramionach.

Wyniki castingu zapowiedziano na czwartek, więc na dobrą sprawę mogłaby już odebrać płaszcz z szatni i wyjść, jednak nie chciała jeszcze

wracać do domu. Wolała pokręcić się po gmachu opery, gdzie czuła się najlepiej. Piękne mury i atmosfera artystycznego blichtru były tym, co fascynowało ją dużo bardziej niż czekanie w pustych ścianach na powrót Rafała z pracy. Gdyby miał dla niej jeszcze jakiś ciekawy prezent. Na przykład pierścionek zaręczynowy. Papiery rozwodowe podpisał i na tym koniec. Zamiast pierścionka przynosił czekoladki i wino, jakby była jego kochanką na godziny, z którą dobrze jest się pobawić w łóżku, ale co do wspólnej przyszłości, to już niekoniecznie. Dużo mówił, mało robił, a ona oczekiwała konkretnego. Jego maślane oczy powoli przestawały robić na niej wrażenie.

Podeszła do bufetu i zamówiła mocną kawę. Usiadła z filiżanką przy stoliku i sięgnęła po telefon, by dla rozluźnienia przejrzeć portal plotkarski. Zobaczyła kilka nieodebranych połączeń od Rafała, jednak nie miała ochoty na zdawanie relacji, jak jej poszło.

Wysypała z torebki cukier i zamieszała drewnianym patyczkiem.

Plotki szybko ją znudziły, przeszła więc do najświeższych wiadomości z życia stolicy. Zanim dotarła do działu kultury, zatrzymała wzrok na wytłuszczonym tytule, który informował o znalezieniu kobiecych zwłok w lesie na Bielanych. Ciało zostało przewiezione do Zakładu Medycyny Sądowej w celu przeprowadzenia szczegółowych badań. Policja szuka sprawcy i próbuje ustalić motyw zbrodni.

\* \* \*

Matka nie podnosiła słuchawki, Julia spróbowała więc dodzwonić się do ojca. Odebrał po trzecim sygnale. Od razu wyczuła, że coś jest nie tak. Powiedział, że jest poza domem i szybko na Saską Kępę nie wróci. Wolała nie pytać, o co poszło tym razem. Zamieniła z nim jedynie kilka słów, by dowiedzieć się, w którym przedszkolu pracuje Lidia. Odparł, że gdzieś na Wrzecionie, i nastąpiła cisza. Po chwili usłyszała, jak z kimś rozmawia. Wymiana zdań była niewyraźna, szeptana. Julia rozpoznała kobiecy głos, ale nie należał do jej matki. Mówili na przemian, raz on, raz ona.

– Po prostu powiedz jej, Helenko, co wiesz. – Tym razem usłyszała ojca już całkiem wyraźnie.

Helenka.

W pierwszym odruchu pomyślała, że to jakieś tragikomiczne déjà vu i że już to kiedyś z matką przerabiały. Edmund znalazł się w domu tamtej kobiety w dwa dni po swoim ślubie. Do tego ewidentnie wciskał jej telefon do ręki, by zamieniła z Julią kilka słów.

Zanim usłyszała w głośniku jej „dzień dobry”, wzięła dla opanowania głęboki oddech. Niepotrzebnie. Głos kobiety zabrzmiał delikatnie i przypominał aksamit. Był całkiem inny od ofensywnego tonu, jakiego używała Emilia.

– To taka niezręczna sytuacja – zaczęła matka Lidii. – Pewnie oczekuje pani ode mnie przeprosin za to, co było między mną a pani ojcem. Ma pani prawo myśleć o mnie źle.

– Nic o pani nie myślę. Teraz chodzi mi jedynie o Lidię.

– Tak, oczywiście... Przedszkole... Nie znam ulicy. Jednak Lidia wspomniała, że w okolicy znajduje się hala pływacka o dziwnej nazwie. Lubiła tam zaglądać. Zaraz... coś z kompleksem.

– Kompleks Lindego? – zapytała Julia.

– Tak, właśnie tak. Znajdzie ją pani?

Błagała. Julia nie musiała jej widzieć, by zrozumieć, w jakim jest stanie.

– Zrobię wszystko, co się da – odpowiedziała, siląc się na neutralny tembr głosu. – Gdyby sobie coś pani przypomniała, proszę dzwonić.

Rozłączyła się. Sięgnęła po vogue'a i włączyła Google Maps. W okolicy kompleksu sportowego mieściło się około dwudziestu placówek dla dzieci. Wysłała Górnemu esemesa, żeby uruchomił ludzi z Nowolipek i obdzwonił wszystkie przedszkola po kolei.

Odkąd wróciła z Instytutu Głuchoniemych, nie mogła ani zebrać myśli, ani znaleźć sobie miejsca. Odkurzyła mieszkanie, podlała bonsai i wstawiła pranie. Robiła wszystko, byle tylko zająć czymś ręce. Głowa wciąż pozostawała rozpalona po tym, co usłyszała od Anny Rajtak.

– Weź się, Krawiec, do myślenia – warknęła, gdy przystanęła wreszcie pod czarną ścianą. – Trup w lesie, krew na książce i to cholerne nagranie.

Nie zauważyła, kiedy zaczęła podgryzać końcówkę kredy. Skrzywiła się dopiero, gdy smak wapnia w ustach stał się nie do zniesienia. Tak samo nie do zniesienia było to, co widziała na ścianie.

ALEKSANDRA lat 27

Zawód: *przedszkolanka, przedszkole na Wrzecionie*

Data zgonu: ?

Znalezienie ciała: *18 marca 2018, godz. 6.30*

Przyczyna zgonu: *utopienie?*

Obrażenia: *pobicie / potłuczenie / możliwy gwałt*

Stan cywilny: *rozwódka*

Były mąż: *Jacek Majewski, lat: ? zawód: ? zamieszkały: ?*

Motyw: ?

Inne: *brak*

LIDIA lat 26

Zawód: *przedszkolanka, przedszkole na Wrzecionie*

Data zaginięcia: *17 marca 2018, po 14.00*

Motyw: ?

Inne: *rozmowa telefoniczna, prawdopodobny szantaż lub zatarg z:  
?*

Informacyjna nędzka.

Odłożyła kredę i złapała za laptopa. O tym, co ostatnio działo się u Lidii, powinna dowiedzieć się nie od ojca ani jej matki, ale przede wszystkim z sieci. Życie toczy się w social mediach. Jak mogła o tym nie pomyśleć?

Usiadła w bujanym fotelu i położyła komputer na kolanach. Facebook szybko wyszukał konto Lidii. Zdjęcia profilowego nie było. Była za to informacja, że we wrześniu 2017 roku konto zostało zablokowane przez użytkownika. To samo pokazał Instagram.

Weszła na profil Majewskiej. Tu zdjęć było pełno. Robionych głównie na wakacjach, na ciepłych plażach podczas wschodów i zachodów słońca, kiedy to rozkładała ręce, próbując złapać w nie rozżarzoną kulę. Jej pozy były za każdym razem inne, ale motyw słońca powtarzał się. Na każdej fotografii była sama, jednak z łatwością można było poznać, że robiła je bez niczyjej pomocy. Perspektywa od dołu sugerowała, że wciskała niski statyw z aparatem w piasek i uruchamiała samowyzwalacz. Ostatni post zamieściła w piątek, na dzień przed śmiercią. Tym razem stała na warszawskiej Starówce oparta o kolumnę Zygmunta. Było to typowe selfie

z komentarzem: „Dobrego weekendu, kochani! Niech będzie dla Was wyjątkowy!”. Dla niej był taki z pewnością. Nie mogła przypuszczać, że kolejnych życzeń swoim internetowym followersom już nigdy nie złoży.

Dzwonek w telefonie przerwał przeglądanie sieci.

– Kończę sporządzanie raportu z sekcji – usłyszała zachrypnięty głos Lipskiego.

– Co znalazłeś?

– Same cuda, jak zwykle.

– Czyli że jest źle?

– Przyjedź za godzinę na Oczki, to się przekonasz. To ciekawy przypadek, wolałbym omówić go twarzą w twarz.

– Znalazłeś wodę w płucach?

– Za godzinę, Julia – powtórzył Lipski. – I weź ze sobą tego gościa z policji, jak mu tam... Górnego. Żeby nie musiał mówić dwa razy o tym samym. Tylko żadnego spóźnienia. Chcę podpisać protokół i wracam do łóżka. Jakbyś nie wiedziała, oficjalnie jestem na L4.

Potwierdziła, że będą o ósmej. Nie zdążyła odłożyć telefonu, kiedy dzwonek zadzwieczał ponownie. Tym razem był to Górny, jakby wyczuł sytuację.

– Przyszedł anonim – powiedział od razu, darując sobie powitanie.

– W sprawie Majewskiej?

– Na to wygląda.

– Telefon czy list?

– List, dostałem go dosłownie przed chwilą.

– Wreszcie coś zaczyna się dziać. Mów.

Górny odchrząknął.

– Nie napisał go ktoś, kto chce nam pomóc. To list od mordercy, Julia.

– Tym lepiej. Próbuje nawiązać kontakt.

Górny zaszeleścił kartką do głośnika.

– To tylko kilka zdań. Do tego dziwnych. Lepiej usiądź wygodnie.

– Nie dramatyzuj. Czytaj.

– Brzmi jak bełkot psychopaty, posłuchaj: „Głęboka mogła gruzem przysypana, na jej dnie pierwsza z dam leży zapomniana. Jak myślisz, kiedy trzecia dama doczeka się swojej piosenki? Tik-tak, tik-tak”.

– Skąd przyszedł ten list? – spytała grobowym głosem.

– Nic z tego, moja droga. Żadnego znaczka ani pocztowej pieczęci. Ktoś podrzucił kopertę do komisariatu, a właściwie włożył ją za



wycieraczkę służbowego auta na parkingu. Znalazł ją jeden z naszych, kiedy chciał wyjechać w teren.

– To dalszy ciąg tej cholernej rymowanki. Pamiętasz kartkę z tablicy ogłoszeń z Bielańskiego? Dał mi ją ten księżulo w dresie. Ktoś się nieźle bawi, podstawiając słowa do ludowej piosenki. Jak ona leciała...?

– Nie nazwałbym tego zabawą – przerwał jej Górny. – Musisz wiedzieć o czymś jeszcze. Na kopercie jest twoje nazwisko.

Poczuła, jak po plecach przebiega jej dreszcz.

– O czym ty mówisz?

– Julia Krawiec to chyba ty. Jak widać, nadawca myśli, że nadal pracujesz na Nowolipkach. Powtórzę za Cichocką: masz swoją legendę.

– Wśród psychopatów? Zaszczyt. Szkoda, że mnie nie cieszy. Ten list to przekaz, że Lidia ma być trzecią damą. Kolejnym trofeum do jego kolekcji.

– Nie, Julia. Obawiam się, że nie zrozumiałaś przesłania – powiedział twardo Górny. – Nadawca mówi jasno, że gdzieś jest kolejny trup kobiety, a on zasada się na trzecią ofiarę. Nie wspomniał, którą z nich jest Lidia: tą martwą czy wciąż żywą.

Miał rację. Naiwnie wierzyła w to, w co chciała wierzyć. Górny patrzył na sprawę trzeźwo, podczas gdy ona wciąż zaklinała rzeczywistość.

– Musimy znaleźć drugie ciało – odparła Julia. – Ten drań nic więcej nie napisał?

– Nic. Są tylko jakieś bazgroły, jakby rysunek.

– Co to jest?

– Cholera wie. Połączone prostokąty, jakby łazienkowe kafelki. Wyślę ci zdjęcie tego listu, to sobie obejrzysz. W zachwyty nad jego talentem raczej nie popadniesz, do Picassa mu daleko.

Julia czuła, jak ze zdenerwowania zaczyna wysychać jej gardło. Dźwignęła się z fotela i poszła do kuchni. Podstawiła kubek pod kran i puściła lodowaty strumień.

– Jak poszła rozmowa z rodziną Majewskiej? – zmieniła temat i wzięła łyk wody.

Górny musiał wsiadać do auta, bo słyszała, jak trzaska drzwiami, a zaraz potem włącza silnik.

– A jak myślisz? Są w szoku. Nie mają pojęcia, kto mógł życzyć jej śmierci. Potwierdzili właściwie to, co już wiemy: że od półtora roku pracowała w przedszkolu na Bielanach.

– Wszystko kręci się wokół Bielan – skonstatowała Julia. – Obdzwanianie Wrzeciono?

– Przedszkola to nie burdele, Julia. Nie pracują po dziewiętnastej. Szymański usiądzie na linii jutro z samego rana.

– Szlag by!

– Pozdrowię za to od ciebie państwa Rylskich. Właśnie jadę na Wilanowską, żeby podpisali zeznania. A potem, moja piękna, skoro jednak masz wolny wieczór, spotkamy się...

– O ósmej na Oczki, w prosektorium. Lipski ma dla nas raport z sekcji. Górny zaszemrał coś pod nosem.

– Co mówisz? – spytała Julia.

– Że cudotwórca, ten twój Lipski. Ósma, mówisz? Jeszcze nie tak późno. Ściągnę rodzinę Majewskiej na oficjalne okazanie zwłok. Nie ma co tego przeciągać, zwłaszcza że ci ludzie chcą jak najszybciej załatwić formalności i zabrać stamtąd zmarłą. Nie zamierzają czekać z pogrzebem.

– Niech przyjdą, ale później. Najpierw sama chcę obejrzeć ciało. A co do pogrzebu, niczego im nie obiecuj. Sieracka może kazać trzymać zwłoki w lodówce przez kilka tygodni, o ile wyniki badań nie będą jednoznaczne i trzeba będzie zrobić dalsze ekspertyzy. Na razie wyślij mi zdjęcie tego listu.

Przyszło po kilku sekundach. Wyglądało dokładnie tak, jak opisał je Górny. Jedno rymowane zdanie, zapowiedź, że ciąg dalszy nastąpi, a pod spodem rysunek przedstawiający coś, co wcale nie kojarzyło się Julii z kafelkami w łazience. Mogiła przysypana gruzem? Jedyne, co przychodziło jej na myśl, to piwnica. W Warszawie były ich tysiące, w starych domach i magazynach, do których nikt nie zagląda. Jeśli zabójca замуrował ciało w którejś z nich, nigdy nie odnajdą.

\* \* \*

Zatrzymała skodę pod Zakładem Medycyny Sądowej i rozejrzała się po Oczki. Samochód Górnego stał już na chodniku z włączonymi światłami. On sam siedział za kierownicą i przeglądał coś w telefonie. Podeszła i zapukała w szybę. Oderwał wzrok od ekranu i szarpnął za drzwi.

– Popatrz tylko. – Podsunął Julii pod oczy telefon. – Dziś przyszedł nowy model. Niemiecki Seehund. Dwuosobowy, podwodny, z drugiej

wojny. W oryginale zaledwie dwunastometrowy, wyobrażasz sobie?

Julia spojrzała na szary walec na zdjęciu, przypominający bombę lotniczą.

– *Schön!* Masz takich sześc.

Rozszerzył oczy jak mały chłopiec, który ma w swoim pokoju sto resoraków, ale nie wyjdzie ze sklepu, dopóki nie dostanie sto pierwszego.

– Nic nie rozumiesz, dobra kobieto. To biały kruk! Jutro będzie mój.

– Zabrakło ci zabawek do kąpieli?

– Dobre zabawki to podstawa – odparł, po czym schował telefon do kieszeni i wyciągnął ręce, by przygarnąć ją do siebie. – Żółte kacuszki już mnie nudzą, potrzebuję czegoś, co podniesie mi ciśnienie. To aluzja, jakbyś nie rozumiała.

Rozumiała aż za bardzo. Od procesu w sprawie zabójstwa młodego Leona Rawskiego widzieli się trzy razy, z czego zawsze na mieście i w biegu, bez szans na wspólne wskoczenie pod kołdrę. Zasłaniała się Sylwią, której obiecała poświęcić więcej czasu, ale prawdziwy powód zawieszenia ich łózkowych randek był całkiem inny. Niewinne spotkanie z Arturem rozstroiło ją wbrew jej woli. Myślała, że ma to już za sobą: ich drogi rozeszły się, a Maciejewski postanowił zostać szczęśliwym mężem. Może gdyby nie obrączka na jego palcu, odpowiedziałaby na esemesa z prośbą o spotkanie. Tymczasem wiadomość, choć wciąż niewykasowana z pamięci telefonu, pozostawała bez odzewu.

– Powinam mieć w starych zabawkach Sylwii gumową ośmiornicę i kraba – odpowiedziała, siląc się na dowcip. – Mogę ci pożyczyć, gdybyś czuł się w wannie samotny.

Poczuła na czole kilka ciepłych oddechów wyrzucanych wraz ze śmiechem. Sama też się uśmiechnęła.

– Czas na mniej rozrywkową część dnia. – Odwróciła się przez ramię i wskazała brodą budynek prosektorium. – Tam to tylko Lipski umie się dobrze bawić.

– Trzeba mieć coś nie tak pod kopułą, żeby wybrać sobie taką robotę – zgodził się Górny.

Złapał ją za rękę i pociągnął przez jezdnię. Kiedy znaleźli się przed wejściem, otworzył drewniane drzwi.

– Gdzie jest jego gabinet, na piętrze?

Kiwnęła głową i ruszyła przodem. Wbiegli po schodach. Już z daleka widać było, że na drzwiach pokoju patologa wisi kartka. Julia zerwała ją

jednym ruchem.

– Główna sala prosektoryjna – przeczytała. – Pewnie przygotowuje ciało do okazania.

Szli długim korytarzem. Stukot ich butów odbijał się echem od ścian, jakby znajdowali się pośrodku wielkiej i pustej katedry. Brakowało tylko zapachu kadzideł, które przydałyby się w tym miejscu jak mało co. Z każdym krokiem, jaki zbliżał ich do wejścia na salę sekcijną, drażniący swąd zwłok mieszał się coraz intensywniej z zapachem środków dezynfekcyjnych.

Kiedy stanęli przed drzwiami, Górny wydał się Julii lekko blady.

– Co jest? – spytała.

– Nic – burknął pod nosem. – To przez ten smród. Od dziecka jestem wrażliwy na cuchnące rzeczy.

– Bo matka wydała cię na świat w perfumerii? Nie dziwacz. Zachowujesz się, jakbyś nigdy tu nie był. Zaraz... – Przyjrzała mu się podejrzliwie. – Serio, Górny? To twoja prosektoryjna inicjacja?

Adam oparł plecy o ścianę.

– Wcześniej jakoś nie było okazji. No i po co ten uśmieszek?

Julia skrzyżowała ręce na piersiach.

– Bohater roku. Nie zemdlej, bohaterze.

– Ze świeżym ciałem nie mam żadnego problemu. Ale ten smród...

– Glina stulecia – dołożyła.

– Po prostu daj mi chwilę, możesz?

– Nie mogę. – Pokręciła głową. – Nie mam czasu na twoje grymasy.

Nacisnęła klamkę i pchnęła drzwi. Od razu zmrużyła oczy. Jarzeniówki wiszące u sufitu rzuciły ostre światło na stojące pośrodku sali dwa podręczne wózki z narzędziami i stół. Odbijało się od białych płytek i metalowych misek.

Lipski podszedł do ściany i zgasił połowę lamp.

– Wchodźcie, wchodźcie – powiedział, chwytając za białą płachtę i naciągając ją na pozszywane po badaniu zwłoki. – Wybaczcie, że spotykamy się tu, a nie w moim gabinecie, ale nie spodziewałem się, że będziecie chcieli tak szybko pokazać ciało rodzinie. Nie da się przygotować raportu, ciała i kawy jednocześnie.

– Oddałbym życie za kawę – odezwał się Górny. – Albo przynajmniej za otwarte okno. Nie da się tego wywietrzyć?

– Nie wtedy, gdy skacze mi gorączka – zaprotestował Lipski. – Wie pan, co to znaczy przeziębienie grypy?

Julia rozejrzała się po sali. Lipski zwykle trzymał maść kamforową w szafce nad zlewem. Wskazała Górnemu wzrokiem gablotkę, po czym pociągnęła palcem pod nosem. Dawno nie widziała, by ktoś w takim tempie przemieszczał się z jednego kąta sali w drugi. Cienkiej warstwie maści Górny nie do końca wierzył, dołożył więc kolejną. Piekło go nad ustami, niemniej z ulgą wyciągnął w stronę Julii uniesiony kciuk.

– Co z raportem? – spytała.

Lipski musiał nie dosłyszeć, zajęty wrzucaniem do misek brudnych narzędzi. Poskładanie sprzętu zajmowało mu zwykle kilka minut, Julia podeszła więc do stołu sekcyjnego. O ile nauczyła się już patrzeć bez emocji na młotki, nożyce do cięcia żeber czy piły oscylacyjne, o tyle wciąż nie potrafiła pozbyć się zacisku w gardle, gdy zimne światło lampy rozbijało się o biel prześcieradła przykrywającego zwłoki. Zazwyczaj wystawał spod niego kawałek ręki lub stopy – w tej materii Lipski nie był akurat skrupulatny. Tym razem także nie zakrył ciała, jak należało. Zobaczyła skrawek czoła Aleksandry i jej rozrzucone włosy. Były brudne u nasady, nosiły ślady piasku naniesionego z dna strumienia i szczątków liści.

– Jeśli szukacie raportu, to leży na parapecie w zielonej teczce. – Lipski sięgnął po gąbkę i włożył ją pod strumień wody. – Podpisany i z pieczęcią.

Górny z ulgą odwrócił się plecami do stołu i zaczął kartkować sprawozdanie. Julia sięgnęła natomiast do pudełka z winylowymi rękawiczkami.

– Ja to zrobię – zwróciła się do Lipskiego, wyciągając jednocześnie rękę po gąbkę.

Zawahał się, ale oddał jej myjkę.

– Aż tak się przejęłaś tą kobietą? Spłucz tylko piasek, resztę zrobią w pogrzebowym.

Przyłożyła gąbkę do czoła Aleksandry i przesunęła nią dalej, po włosach, wyciskając przy tym cienką strużkę wody. Krople zmieszały się z drobkami piasku i spłynęły do zlewki.

– Powiedz, co ustaliłeś. Utopiono ją?

Lipski zdezynfekował dłonie, po czym wyjął z kieszeni spodni buteleczkę ze sprejem do nosa. Po kolei psiknął solidną porcją zawiesiny

w obie dziurki.

– Miała wodę w płucach, tak jak przypuszczałem. Oba płaty w stanie obrzęku, jakość krwi krążącej fatalna...

– Czyli?

– Zbyt gęsta, żeby mogła swobodnie przepływać przez pęcherzyki. Do tego wysoki poziom elektrolitów w surowicy. Pamiętasz, co mówiłem o wodzie morskiej, kiedy wyciągnęliście ją z tego ścieku?

– Pamiętam. Żółta piana w ustach.

– Grzybek, Julia. Żółty grzybek. Pobrałem pełen wymaz i zbadałem próbkę w odczynnikach.

– No i?

– Badanie płuc potwierdziło moją tezę.

– Utopiła ją woda morska? Wiesz, jak to brzmi tutaj, na Mazowszu?

– Nauka nie kłamie. Choć obrzęk mózgu też pewnie zabiłby ją z czasem.

– Co z toksynami? Jakies substancje odurzające?

– Nic. Czysto.

Julia delikatnym ruchem zsunęła materiał z twarzy Aleksandry. Podłużny ślad, ciągnący się od nosa przez policzek aż do kości jarzmowej, wyglądał, jakby ktoś smagnął ją po buzi metalową rurką. Kant kuchennego zlewu, skojarzyła. Ślad był paskudny, podbity sinofioletową plamą opadową, która osadziła się pośrodku twarzy i schodziła niżej, do szyi i barków. Wokół niej widoczne były zadrapania i rozcięcia skóry, które Lipski pozszywał lnianymi nićmi.

– A to? – Julia nachyliła się, żeby dokładniej przyjrzeć się szyi. – Co to za smuga?

– Odcisk, najprawdopodobniej podeszwy.

– Zgnieciona krtań?

– Krtań jest cała, szyję uciśnięto z boku i od tyłu. Wygląda na to, że ktoś trzymał ją pod butem, i to dosłownie. Zrobiłem zdjęcia i pomiary, wszystko macie w raporcie. Wszedł z niego kawał dobrej lektury. Całość podzieliłem na rozdziały. Radzę zacząć po bożemu, od pierwszego. Ale główna akcja zaczyna się od trzeciego. Zatytułowałem go *Twarz*.

Górny łypnął z za raportu. Jego wzrok nie wskazywał, że jest fanem twórczości Lipskiego.

– Ta kobieta musiała być ciągnięta po ziemi, stąd zdarty naskórek na części twarzy – zauważyła Julia. – Na jednej części – uściśliła, chwytając

w palce brodę Aleksandry i próbując przekręcić jej głowę, tak by obejrzeć drugi policzek. – Zbadałeś te drobniejsze rozcięcia?

Lipski kiwnął głową.

– Było w nich sporo materiału, co opisuje podrozdział 3b. Ale pod skrzydełkami nosa znalazłem go jeszcze więcej. Pobrałem próbki i wysłałem do laboratorium, żeby określono rodzaj roślin i typ gleby, które znalazły się pod skórą. W ustach też miała tego całkiem sporo, konkretnie pod górną wargą.

– To potwierdza tezę, że ciało było wleczone. W przeciwnym razie do nosa i ust nie dostałoby się tyle materiału.

– To na pewno.

Julia zakryła twarz Aleksandry prześcieradłem.

– Wyliczyłeś, ile godzin zwłoki leżały w potoku? – spytała, odkładając gąbkę na podręczny stolik na kółkach.

– Niezbyt długo – odparł Lipski. – Godzinę, najwyżej dwie. Brak jest typowych głębokich odwarstwień skóry.

– Znaleźliśmy ją przed siódmą.

– Zgon nastąpił znacznie wcześniej, między pierwszą a trzecią nad ranem. Ciało wychłodziło się momentalnie, temperatura na zewnątrz wynosiła minus osiem, a ona nie miała na sobie nic poza sukienką.

– Pozostawiono ją na mrozie?

– Są dwie możliwości: zupełnie na zewnątrz albo w miejscu nieosłoniętym od dopływu zimnego powietrza. Wiele takich przypadków widziałem, zresztą technicy badający jej ubranie powiedzą ci to samo. Zwłoki przetrzymywano przez wiele godzin w zimnie i wilgoci. Uściślając: na wilgotnym powietrzu i podłożu.

– Nie w mieszkaniu?

– Z całą pewnością nie było to mieszkanie.

Górny wciąż wertował raport.

– Rozdział ósmy: *Genitalia* – przeczytał. – Jednak potwierdza pan, że doszło do gwałtu. Zmienił pan zdanie?

– Owszem – przyznał Lipski. – Te, jak mi się pierwotnie wydawało, uszkodzenia widoczne u wejścia do pochwy nie były spowodowane słabą kondycją śluzówki. Taką miałem nadzieję, ale cóż... Z całą pewnością dokonano na niej gwałtu.

– Co z wymazami?

– Pobrałem. Z pochwy, szyjki macicy i odbytu. Test na kwaśną fosfatazę nie wykazał jednak obecności nasienia, co też umieściłem w raporcie. Co więcej, na ciele nie znalazłem żadnych innych śladów biologicznych pochodzenia ludzkiego. Mam na myśli ślady śliny i krwi. Nie była całowana, lizana, nic w tym rodzaju. Tylko zgwałcona.

– „Tylko”? – spytał z przekąsem Górny.

– Tylko – odpowiedział Lipski. – Pan się oburza, ale ja wiem, co mówię. Nie takie ofiary gwałtu kładłem na tym stole do autopsji. To, w jaki sposób potrafi być zdewastowane ciało po ataku na tle seksualnym, nawet się panu nie śniło.

– Nie śnię o gwałtach, doktorze. A co do dewastacji, to chyba nie jest najszcześniejsze określenie.

– Najwłaściwsze, jakie przychodzi mi na myśl. Jeśli ludzkie ciało traktuje się jak przedmiot, to jak inaczej nazwać fakt jego definitywnego zniszczenia? Za takie zbrodnie powinno się tych zbrojeńców...

– Kastrować? – podpowiedział Górny. – Jestem za.

– Bzdura tam, kastrowanie... I co by to dało? Nawet gdyby im wszystkim poobcinać przyrodzenie, to ich nie powstrzyma. Jak ktoś chce zgwałcić, robi to byle czym. Stłuczoną butelką lub gałęzią. To znacznie gorsze niż zwykły gwałt.

Lipski wyłączył lampę, która wisiała nad ciałem Aleksandry. Odsuwając metalowe ramię świetlówki, dodał:

– Jak przeczytacie w protokole, według mnie był to gwałt pozorujący. Użyto jakiegoś przedmiotu. Nieostrego, raczej obłego. Nic, co rozorałoby jej pochwę. Niemniej narzędzie było spore i miało chropowatą powierzchnię.

– Jakiś plastik? – spytała Julia.

– Bardzo możliwe.

– Cholera...

– Może to źle zabrzmie, ale jedno w tej całej sytuacji jest pocieszające. Ofiara nie cierpiała w momencie, kiedy jej to robiono. Gwałtu dokonano pośmiertnie.

– Jesteś pewien?

– Absolutnie, naruszone tkanki nie zaczęły się goić – potwierdził Lipski.

– Z dwojga złego lepiej, że zbezczeszczono zwłoki tej kobiety, niżby miała być maltretowana za życia.



– Dla niej pewnie lepiej, ale dla was na pewno gorzej. Ten rodzaj gwałtu bardzo często odbiera policji to, na czym najbardziej jej zależy.

– Brak materiału genetycznego sprawcy – zgodził się Górny. – Jednym słowem, jeśli chodzi o DNA, jesteśmy w dupie.

Julia uniosła boczną część prześcieradła, odsłaniając dla odmiany ręce Aleksandry.

– Obciąłeś jej paznokcie? – spytała Lipskiego, pocierając jednocześnie sine koniuszki palców zmarłej.

– Tak. Ściąłem je tak krótko, jak tylko się dało. Wyczesalem też włosy i razem z paznokciami wysłałem materiał do laboratorium. Może tam znajdą w nich coś poza resztkami zgniłych liści i błotem. Wiecie, co mnie w tym wszystkim zastanawia? Ofiara nie broniła się jakoś rozpaczliwie. Na dłoniach nie ma zasinień typowych dla odpierania ataku. Każdy człowiek zasłania twarz albo głowę, ale nie w tym przypadku. To dziwne, całkiem niespotykane.

– Wiemy przynajmniej, że ten, kto ją załatwił, nie był zdolny do odbycia normalnego stosunku płciowego – zauważył Górny. – Musiał ją zabić, żeby się zadowolić.

– Seksualny desperat? – Lipski cmoknął przez zęby. – Być może. Ale to już nie moja dziedzina. Nie badam tego, co ludzie mają w głowach, tylko to, co robią innym.

Drzwi sali uchyliły się. Wsunęła się przez nie blond głowa kobiety w średnim wieku.

– Doktorze? – zawołała donośnym głosem. – Ktoś do pana. Do pana również – dodała, patrząc na Górnego.

Lipski podszedł do kobiety i powiedział coś do niej półszepem, po czym zamknął za nią drzwi.

– Przyszła rodzina denatki. Niech mi pan pomoże przewieźć ciało do sali obok.

– Przewieźć? – Górny drgnął niespokojnie.

– Nie przyprowadzę ich przecież tutaj.

Powrzucone do zlewu narzędzia, podłoga polana wodą, ale wciąż nosząca ślady krwi, i tacki z przyrządami do otwierania zwłok. Górny rzucił na to wszystko okiem i ledwo zauważalnie skinął głową.

– Dokąd chce ją pan zabrać?

– Za ścianą jest mała sala. Ale najpierw trzeba ją przenieść na czyste nosze. Julia, możesz?

Lipski wskazał wzrokiem stojące pod ścianą tragi na zwłoki. Były wyłożone foliowym podkładem, jakiego używa się w łózkach dla osób nietrzymających moczu. Pociągnęła je za sobą do stołu sekcyjnego.

– Podniesiemy ją na raz – zarządził Lipski. – Wystarczy złapać stabilnie pod ramiona. Co panu, panie Górny?

– Ja to zrobię – zaoferowała się Julia. – Komisarz Górny ma dziś rozstrój żołądka. Coś mu się przykleiło do kiszek.

– Tu często się ludziom coś przykleja do kiszek. – Lipski pokiwał z politowaniem głową.

Julia zablokowała kółka noszy, by stały stabilnie, po czym pochwyciła Aleksandrę za łydki.

Była ciężka. Bezwładne, drobne ciało sprawiało wrażenie wypełnionego ołowiem. Ułożyli je na folii, naciągnęli dokładnie prześcieradło i zapięli pasy zabezpieczające przed zsunięciem. Do sąsiadującego pokoju wjechali przez wąskie drzwi łączące go z salą sekcyjną.

Pomieszczenie miało nie więcej niż dwadzieścia metrów kwadratowych powierzchni i przypominało składzik. Było mroczne i miało zakratowane małe okno, dodatkowo pociągnięte po szybie białą farbą. Pod oknem piętrzyły się poskładane nosze, identyczne z tymi, na których przywieźli Majewską. Obok nich stał metalowy wózek z równo ułożoną stertą nieprzemakalnych podkładów higienicznych.

– Liczyłam na coś bardziej przyjaznego – powiedziała Julia, nie kryjąc rozczarowania.

Na usuwanie noszy i podkładów nie było jednak czasu. Zza drzwi prowadzących do holu dochodziły już stłumione szepty ludzi, którzy przyszli na oficjalne okazanie ciała.

– Idź po nich – powiedziała do Górnego i włączyła ostrą jarzeniówkę na suficie.

Pierwszy wszedł młody mężczyzna. Jak się domyśliła, brat Aleksandry. Za nim do salki wsunęła się jej matka. Stanęli bez słowa tuż przy drzwiach, ubrani na czarno i przerażeni.

– Julia Krawiec. – Wyciągnęła rękę na przywitanie. – Razem z komisarzem Górnym prowadzę śledztwo w sprawie tego, co się stało – powiedziała, chcąc uniknąć słowa „zabójstwo”. – Przykro mi, że spotykamy się w takich okolicznościach. Bardzo współczuję.

Nie była pewna, czy jej słuchają. Patrzyli tylko na ustawione pośrodku nosze i ciało nakryte prześcieradłem.

– To ona? Moja córka? – Matka Aleksandry ledwie wydobywała z siebie słowa. – To moje dziecko?

Kobieta zachwiała się, ale zdążyła chwycić ramię syna.

– Wiem, że to dla państwa trudne, ale niestety konieczne – powiedział Górny. – Zgodnie z procedurą...

– Zróbmy to – przerwał mu brat Majewskiej. – Miejmy to już za sobą. Dasz radę, mamó?

Kobieta kiwnęła nieznacznie głową.

– Zaczynajmy.

Lipski podszedł do ciała i uniósł prześcieradło, odsłaniając twarz i ramiona denatki.

– To pani córka? Aleksandra Majewska? – spytał formalnie Górny.

Nie była w stanie wykrztusić słowa. Patrzyła jedynie na poobijane policzki i nos swojego dziecka.

– To ona – odezwał się mężczyzna za nią. – Co robisz, mamó? Nie powinnaś...

Kobieta nachyliła się nad ciałem i wyciągnęła ręce, by pogłodzić twarz Aleksandry. Coś do niej szeptała, jakby próbowała wskrzesić ją swoimi zaklęciami.

– Chcę z nią zostać. Pozwólcie mi.

Nie mogli jej tego zabronić. Julia dała tylko sygnał Górnemu, by przyniósł krzesło, na którym kobieta mogłaby przysiąść. Postawił je obok noszy. Wycofali się z sali wszyscy, pozostawiając matkę z jej zmarłą córką.

Z instytutu Julia wyszła sama. Górny pozostał, by wytłumaczyć bratu Majewskiej, czy i kiedy będzie mógł odebrać ciało do pochówku. Lipski też nie zakończył pracy tak, jak planował. Po tym jak matka Majewskiej pożegnała się z córką w zaciszu magazynu, zabrał ją do swojego gabinetu i podał dożylnie solidną dawkę leku na uspokojenie.

Julia nie zamierzała ich opuszczać, jednak uporczywe telefony od matki wywabiły ją z zakładu i zmusiły do przyjazdu na Saską Kępę. Kiedy stanęła na progu mieszkania, dochodziła dziesiąta wieczorem.

Matka otworzyła drzwi bez powitania, po czym ruszyła prosto do dużego pokoju.

– Gdzie Sylwia? – spytała Julia, rozglądając się po mieszkaniu.  
– U Jagody. Zaraz ją przywiozą.  
– O tej porze powinna leżeć już w łóżku.  
– A ty powinnaś usiąść. Siadaj, bo ja nie mogę. Muszę rozchodzić nerwy.

Emilia wyjęła z barku wiśniową nalewkę i dwa kieliszki. Postawiła je na stole. Julia od razu odwróciła swój kieliszek nóżką do góry.

– Jestem na dożywotnim odwyku, mam – przypomniała.  
– Tak, odwyk. W takim razie napiję się sama. Muszę sobie chlapanąć dla spokojności.

Emilia nalała sobie niemal cały kieliszek i od razu zamoczyła w nim usta.

– Jeśli martwisz się o ojca, to wiem, gdzie jest – powiedziała od razu Julia.

– Ja też wiem. Zmienił adres. Może wróci, a może nie. Na pewno nie dzisiaj.

Julia przyglądała się matce, jak ta nerwowo obraca na palcu swoją złotą obrączkę.

– Żeby zostawić mnie w trzeci dzień po ślubie. I to z dzieckiem! – jęknęła Emilia.

– Masz na myśli mnie czy Sylwię?

– Nie drwij!

Emilia przechyliła kieliszek, wlewając resztę likieru do gardła. Musiał być wyjątkowo słodki, bo aż się skrzywiła.

– Sam cukier! – Potrząsnęła ramionami. – Po prostu wstał i wyszedł. Jeśli Lidia nie wróci, to on też. A ta dziewczyna tak szybko się nie znajdzie. Wiem, bo byłam u mojej Aurory.

– U tej naciągaczki? Wyrocznia delficka znowu ma ci w głowie?

– Nic nie wiesz o rzeczach nadprzyrodzonych, więc się nie wypowiadaj. To szanowana osoba.

– Ta szanowana osoba postawiła już sobie z twojej emerytury willę z basenem.

– Może jeszcze kiedyś i tobie pomoże... – zamyśliła się Emilia. – A jeśli chodzi o Lidię, wszystko mi przepowiedziała.

– Zamieniam się w słuch. Albo poczekaj, sama zgadnę. Lidia jest przetrzymywana w pustym domu na skraju lasu. Siedzi po ciemku

i nasłuchuje, jak wiewiórki pukają jej do okien. A, i jeszcze słyszała męski głos i ciężkie kroki. Bez kroków nie ma dramatu.

– Nie mówiła o żadnych wiewiórkach! – Emilia dołała sobie jeszcze kilka kropel wiśniówki. – Powiedziała, że widzi wodę i śnieg. Powinniście się na tym skupić.

– Na wodzie i śniegu? – Julia uniosła brwi. – Cenna wskazówka, zwłaszcza o tej porze roku. Mamy marzec, mamó. To tak, jakby ci powiedziała, że w miejscu pobytu Lidii jest dużo powietrza.

Kolejna porcja wiśniówki zniknęła w ustach Emilii.

– Zaraz, jak ona to ujęła... Już wiem. Powiedziała dosłownie, że widzi wokół Lidii wodę i że woda przyniesie jej śmierć. Tak, teraz sobie przypominam. I nie chodziło o śnieg, tylko o biel. Przepowiedziała wyraźnie, że to ją otacza. Biel. Słyszysz mnie?

Julia jasnowidzenie Aurory traktowała tak samo, jak traktuje się wróżby z chińskich ciasteczek. Policyjne statystyki były co do tego typu prorocत्व bezlitosne. Sukcesem kończył się zaledwie jeden procent prób odnalezienia człowieka za pomocą wizji medium. W pozostałych dziewięćdziesięciu dziewięciu było to nieudolne wskazywanie miejsca na zasadzie: szukajcie na terenie puszczy, na dnie jeziora czy w rejonie autostrady. Julia jednak drgnęła, słysząc, co mówi matka. Kolejna śmierć przez utopienie? Matka wierzyła tej szalonej kobiecie bezwarunkowo, ale czy ona też powinna?

– Aurora nigdy mnie nie zawiodła. – Emilia zdawała się czytać w myślach córki. – Możesz sobie z niej kpić, ale kilka lat temu wskazała policji, gdzie ma szukać zaginionego chłopca z Legionowa. Znaleźli biedaka porzuconego w szczerym polu, nie żył od kilku dni.

– A Lidia? Potwierdziła, że Lidia wciąż żyje? – spytała Julia, przyglądając się, jak matka zbiera na palcu spływającą z kieliszka kroplę wiśniówki, po czym oblizuje opuszkę.

– Kiedy trzymała jej zdjęcie, poczuła ciepło. To znaczy, że jeszcze nie umarła. Ale kto wie, jak długo wytrzyma, zanim ta woda ją... Oby nie skończyła jak ta kobieta z jej bloku. – Emilia zrobiła znak krzyża na piersi. – Widziałaś nekrolog? Serce mi się ścisnęło, jak tylko otworzyłam gazetę na kolumnie z ogłoszeniami o zgonach.

– Nekrolog Aleksandry? Musiało ci się przywidzieć. Żeby nekrolog ukazał się w dzisiejszej prasie, rodzina musiałaby go wykupić najpóźniej

w sobotę, a do rozpoznania ciała doszło dopiero godzinę temu. Nikt przy zdrowych zmysłach nie zamawia nekrologu z wyprzedzeniem.

Emilia wyszła do salonu, po czym wróciła z gazetą.

– To nie rodzina zamówiła ogłoszenie – powiedziała, kładąc poranne wydanie przed Julią.

Przebiegła wzrokiem po słowach zamieszczonych w czarnej ramce. O pomyłce nie było mowy. Zgadzało się nazwisko, wiek kobiety i data zgonu.

– To jakiś obłąd – wymamrotała Julia.

– I co to za podpis: „Egzekutor”? Widziałaś, żeby ktoś podawał swoją funkcję w takiej sytuacji? Urzędy powinny być bardziej delikatne w tych sprawach.

Julia złożyła gazetę i schowała ją do torby. Nie zdążyła zapiąć zamka, kiedy trzasnęły drzwi w korytarzu. Po chwili poczuła, jak jej szyję oplatają zmarznięte ręce Sylwii.

– Gdzieś ty się podziewała? – skarciła ją i zaraz pocałowała w purpurowy od wiatru policzek.

– Dziś byłście wspaniały dzień. Nawiałam z lekcji – odpowiedziała z dumą. – Jagoda też nawiała. Doszliśmy do wniosku, że wychowanie do życia w rodzinie jest isticie głupie.

Zrzuciła z nóg kozaki i sprawdziła, czy nie przemokły jej skarpety na palcach.

– To isticie ciekawy wniosek – stwierdziła Julia. – Wyjaśnisz mi go jakoś?

– Z przyjemnością. Ustaliśmy, że zamiast chodzić na lekcje, będziemy obserwować nasze własne rodziny. Jagoda swoją, a ja swoją. Chcemy oprzeć swą wiedzę na praktyce, nie na teorii.

– Nie wiesz, co mówisz, dziecko. – Emilia pokręciła głową. – To mają być przykłady katolickich rodzin? Twoja matka to rozwódka z kochankiem u boku, a ta Jagoda...? Spytaj ją, czy jej babci zszedł już botoks z czoła.

Sylwia przewróciła oczami, wydając z siebie jęk żalu nad słowami Emilii.

– Babcia Jagody jest *cool*. W niedzielę zabierze nas do osady wikingów, a potem będziemy u niej nocować i oglądać straszne horrory.

– Jakby mało było horroru w tej rodzinie – mruknęła Emilia. – A na lekcje masz chodzić!

Sylwia pokręciła zapamiętałe głową.

– Raczej niemożliwe. Napisałyśmy z Jagodą pismo do dyrektorki, że te lekcje są beznadziejne i że zwalniamy się z nich nieodwołalnie.

Julia dotknęła czoła córki, czy aby nie zżera ją gorączka, ale było chłodne.

– Co na to dyrektorka?

Sylwia zakręciła się na kanapie, jakby nagle zaczęły boleć ją pośladki.

– Prosi, żebyś przyszła pilnie do szkoły.

Julia kątem oka zobaczyła, jak jej matka po raz kolejny przechyla butelkę z wiśniówką.

– Drugi raz w ciągu miesiąca – powiedziała, odstawiając pusty kieliszek na stół. – Nie wiem, skąd ona ma takie geny, na pewno nie po mnie. Ja w szkole byłam prymuską. Na wszystkie zajęcia chodziłam, i na akademie też. Moja matka nie musiała się za mnie wstydzić. Ale, jak widać, teraz inaczej wychowuje się dzieci.

Sylwia nie słyszała ostatnich słów babci. Od morałów bardziej interesowała ją zawartość garnków stojących na kuchence gazowej. Wybiegła do kuchni i zaczęła trzaskać pokrywkami.

Julia pozbierała buty oraz rzuconą na podłogę kurtkę Sylwii i dołączyła do córki. Wstawiła pozostały po obiedzie krupnik na gaz i wyjęła na stół talerze.

Jadły w ciszy. Julia zajęta przetwarzaniem w myślach tego, co wydarzyło się przez ostatnie dwie doby, Sylwia skoncentrowana na odzyskanym telefonie. Kończyła przeglądać swoją skrzynkę, gdy nagle odezwała się komórka Julii.

– Naprawdę nie umiecie żyć bez tych swoich telefonów? – zeżliła się Emilia. – Nawet przy kolacji?

Pisał Adam. Laboratorium zapowiedziało na jutro przysłanie pierwszych wyników badań z terenu, na którym znaleziono zwłoki Majewskiej.

Nieopatrznie zamiast zamknąć skrzynkę, Julia wcisnęła palcem poprzednią wiadomość od Górnego.

– Co to? – Sylwia dojrzała mignięcie zdjęcia anonimowego listu. – Jakieś dziecko przysłała ci rysunki? Pokaż.

– To nic ciekawego, zajmij się zupą. – Julia odłożyła komórkę na stół.

Odniosła swój talerz do zlewu i puściła wodę z kranu. Zanim zdążyła chwycić za butelkę z płynem, Sylwia grzebała już w jej telefonie.

– Ten wierszyk jest iście czadowy! Ale rysunek to totalna porażka – stwierdziła z niesmakiem. – Jak można to w ten sposób narysować? Cegły są nierówne, a poza tym brakuje korby.

Julia odstawiła płyn i wytarła mokre ręce w spodnie.

– O czym ty mówisz, kochanie? – spytała, pochylając się nad córką.

Sylwia podniosła wzrok znad wyświetlacza.

– O studni, mamó. Przecież ten rysunek to niedokończona studnia. Nie widzisz?

\* \* \*

– Poczytasz mi przed snem? – Piotruś zeskoczył z ostatniego schodka i stanął w piżamie na progu jadalni. Pod pachą trzymał jedną ze swoich książek. Ulubioną, z Nelą Małą Reporterką. Seria o podróżującej po świecie dziewczynce stale się powiększała. *Na tropie przygód* dostał od Dolores kilka tygodni temu i choć zdążył już poznać każdy obrazek, zdjęcie i opis z wyprawy Neli do schroniska dla leniwców, wciąż nie mógł się z nią rozstać.

Beata Morawska podniosła oczy znad zeszytu ze swoimi zapiskami z uczelni.

– Pokaż, co tam masz. – Zmrużyła powieki, żeby lepiej widzieć. Światło stołowej lampki, przy której siedziała w kuchni, było mocne, jednak zalany mrokiem przesmyk między przedpokojem a jadalnią uniemożliwiał rozpoznanie tytułu. Dopiero gdy synek wyciągnął przed siebie dłonie z książką, poznała ją po kolorowej okładce. – Znowu Nela? Nie masz jeszcze dość?

Pokręcił głową gorliwie.

– Przyjdiesz do mnie? – spytał prosząco, pocierając dłonią oczy. – Nie lubię zasypiać sam.

– Przyjdę. – Beata uśmiechnęła się łagodnie. – Tylko skończę coś pisać. Połóż się i poczekaj chwilę.

Chłopiec zrobił ruch, jakby miał wracać do siebie, ale zatrzymał się w pół kroku.

– Dzwonił tatuś?

Beata odłożyła długopis i obróciła się w stronę synka. Zastanawiała się, co odpowiedzieć. Że ojciec ma ważniejsze sprawy na głowie niż



kontakt z dzieckiem i życzenie mu dobrej nocy? Rafał dzwonił, kiedy chciał, zwykle co trzeci dzień i tylko po to, żeby spytać rutynowo, czy wszystko u nich gra. Tak właśnie zaczynał rozmowę: „mam nadzieję, że wszystko gra”. Również rutynowo odpowiadała, że mogłoby grać lepiej. Nie miała pojęcia, czy to, co się dzieje z nią i Piotrusiem, naprawdę go obchodzi, czy chce po prostu odhaczyć obowiązek i mieć święty spokój na kolejne trzy dni.

– Tak, kiedy byłeś w wannie – zełgała. – Mogłeś nie słyszeć. Kazał cię ucałować.

– Nie kłamiesz?

Wyciągnęła ręce do chłopca. Najpierw ziewnęła, jednak zaraz potem przydreptał do kuchennego stołu.

– Miałabym okłamywać mojego małego synka?

Usadowił się mamie na kolanach i otworzył książkę z Nelą na losowej stronie. Pokazało się zdjęcie wielkiego rekina.

– Też tak chcę. Pływać jak on i nurkować pod wodą. Głęboko – dodał, patrząc z podziwem na zawieszzonego w odmętach oceanu żarłacza. Zamajtał przy tym bosymi stopami, jakby były wielką ogonową płetwą.

– Nauczysz się – zapewniła Beata. – Każdy powinien umieć pływać, to bardzo przydatne.

– Karinka nie umiała.

Znów do tego wrócił. Mówił o niej codziennie, jak gdyby nigdy nie odeszła i wciąż była tuż obok. Każdego dnia ustawiał zabawki na jej łóżku i karmił papużki w klatce. Kupili je razem. Wracając z przedszkola, zaszedli z Dolores do sklepu zoologicznego i zakochali się w zielono-żółtych papugach falistych. Musiały być dwie, tak jak ich było dwoje.

– To prawda, nie umiała – przyznała Beata. – Twoja siostra...

– Wyjmiesz Karinkę z tego pudła z przykrywką? – spytał, nie odrywając wzroku od kolorowych stron książki. – Tam nie jest miło. Tam jest ciemno. Powiesz jej, żeby wróciła?

Beata pocałowała z czułością syna w jasne włosy, które ułożyły się niesfornie na czubku głowy.

– Już o tym rozmawialiśmy. To niemożliwe.

Majtanie nóg ustało. Zsunął się z jej kolan i ruszył ze zwieszoną głową w kierunku schodów. Gdy wszedł na pierwszy stopień, oparł ręce na poręczy i zapatrzył się na odprowadzającą go wzrokiem matkę.

– Nie wierzę ci. Josefa mówi, że Karinka wróci. Obiecała mi!

- Musiałeś ją źle zrozumieć. Porozumiewacie się na migi...
- I rysunkami – dopowiedział chłopiec.
- Tak, i rysunkami. Narysować można wszystko, synku...
- Josefa nie kłamie! Ona wie lepiej!
- Po prostu nie chce, żeby ci było przykro.
- Wcale nie! Mówi, że jak się skończy gra...
- Znowu to samo – przerwała mu, starając się ukryć rozdrażnienie. –

Ta wasza dziecinna gra. Jeszcze się wam nie znudziła?

- Josefa lubi się w nią bawić. Ja też. Powiedziała mi, że Karinka...
- Josefa jest stara i plecie trzy po trzy. Wolałabym, żebyście znaleźli sobie jakąś inną zabawę.

Wydał policzki i pacnął otwartą dłonią w twarz. Niepokoił ją ten dziwny gest, który wykonywał za każdym razem, gdy wspominał o matce Dolores i ich dziwacznej zabawie.

- Nie rób tak, to brzydki odruch – napomniała syna.

Wzruszył ramionami.

- Josefie się podoba.

– Mnie nie. Jeszcze zrobisz sobie krzywdę – odparła. – A teraz biegnij już na górę, zajrzę do ciebie za pięć minut. Może jak poczytam ci o Neli, to zapomnisz o tych dziwactwach.

Odprowadziła go wzrokiem. Mimo zmęczenia wskakiwał po stopniach radosny, że ciszę w jego pustym pokoju wypełni czytana przez matkę historia o rekinach lub ukochanych leniwcach.

## ROZDZIAŁ VI

WTOREK, 20 MARCA 2018

**N**ie obchodzi mnie, jak to zrobisz. Twoja w tym głowa, żeby przeczesać całą północną część miasta na lewo od Wisły. Jak mogłam nie rozpoznać tego, co jest na rysunku?! – Julia wcisnęła telefon w uchwyt na przedniej szybie skody, by mieć wolne ręce. – Słyszysz mnie?

Górny zatrzymał się na czerwonym świetle w Alejach Ujazdowskich i zaciągnął hamulec ręczny.

– Słyszę. Nie wiem tylko, czy zdajesz sobie sprawę z tego, ile może być starych studni na tym terenie.

– Kilka, kilkanaście?

– Dziesiątki, Julia.

– Nie szukamy nowoczesnego ujęcia z kranem, tylko starego szybu, do którego spuszczało się wiadro na łańcuchu. Kiedyś stawiano takie studnie przy domach.

– Mimo wszystko to niewykonalne.

– Całe Bielany, Górny! Nie odpuszczę.

Włączył pierwszy bieg i zaraz potem przednie wycieraczki. Drobnym, lecz intensywnym śniegiem zaczął na dobre ograniczać widoczność, a przymrozek momentalnie zamienił go w ślizgawkę. Do tego na wysokości skrzyżowania Ujazdowskich z Piękną ktoś włączył światła awaryjne.

– To czternaście osiedli! – Górny na widok migających świateł rąbnął pięścią w klakson. – Ponad trzydzieści kilometrów kwadratowych terenu!

– Może być i sto trzydzieści. Poczekaj... jakiś wypadek na Pięknaj. Postoję sobie teraz w tej śnieżycy.

– Jesteś na Pięknaj?

– W Alejach.

– Spójrz we wsteczne. Na wysokości ambasady Bułgarii.

Błysnął światłami.

– To ty?

– Wyskoczyłem po nowy napęd do Żbika, bo silnik przestał zaskakiwać, i przy okazji chciałem wrzucić coś na ząb, ale chrzańię to. Wracam na Nowolipki, najwyżej zjem batona z maszyny. Co tu się odstawia? Widzisz tego dwa auta za tobą, jak się ślizga!? Co za idiota... Zapomniało się zmienić opony na zimowe. Zaraz wjedzie komuś w kufer. No i dzwon! Nie mówiłem? Teraz sobie oboje postoiemy.

– Albo i nie. Włącz koguta. Wiem, że trzymasz go za siedzeniem. Nie będziemy przecież tu tkwić do nocy.

– Jestem nieoznakowanym.

– Włącz go i daj mi się podłączyć.

Widziała, jak kilka aut za nią odsuwa się szyba i ręka Adama najpierw strzepuje z dachu warstwę śniegu, a potem stawia na nim lampę. Wykręcił, zjeżdżając na lewy pas. Wepchnęła się za jego samochód, niemal ocierając się o nadjeżdżający z naprzeciwka autobus. Nie była to jazda, o jaką im chodziło, jednak kilka osobówek przesunęło się na tyle, by mogli wymanewrować między ślizgającym się na śniegu nissanem na wrocławskich numerach a sznurem trąbiących za nim samochodów. Skręcili na pierwszych światłach w Piękną, a potem już gładko zawinęli w Marszałkowską. Na Nowolipkach byli dziesięć minut później.

– Do wytyczenia punktów z ujęciami wody potrzebna jest mapa geodezyjna. – Górny trzasnął drzwiami i włączył pilotem alarm. – A wyciągnięcie takich map z biura geodezyjnego potrwa. To cztery, pięć dni.

– Nie ma mowy. Szukamy człowieka, pamiętasz?

– Jeśli mam być szczery, Julia, ten pomysł to czyste wariactwo. Co, jeśli wcale nie chodzi o studnię? Równie dobrze może to być jakiś murowany garaż.

Górny podszedł do drzwi komisariatu i szarpnął nimi, by puścić Julię przodem. Obawiała się, że poczuje się tu dziwnie. Kilka miesięcy temu opuszczała to miejsce rozgoryczona i z poczuciem odrazy. Gdyby nie to, że jej główny wróg, Jarecki, trafił przed pluton egzekucyjny w postaci komendanta wojewódzkiego i prokuratury, nie weszłaby tu teraz z podniesioną głową.

– Stare śmieci, jak to mówią. – Rozejrzała się po wnętrzu.

Nic się tu nie zmieniło, odkąd odeszła. Dostawiono jedynie okrągły stolik w kącie i postawiono na nim doniczkę z dracaną.

– Chodź za mną. – Górny ujął ją za łokieć i poprowadził korytarzem w głąb budynku.

Nie szli do pokoju, w którym zwykle urzędował. Kierowali się do części komisariatu przeznaczonej na mniej oficjalne spotkania, gdzie dwa niewielkie pokoje służyły za salki konferencyjne. Julia nazywała je wagonami sypialnymi. Można było się w nich zaszyć na godzinę i w razie potrzeby zdrzemnąć z dala od dzwoniących telefonów. Rzadko kiedy były puste. Teraz też jedna była zajęta.

Weszli do sąsiedniej salki i od razu zatrzasnęli niedomknięte okno, przez które wdzierał się zacinający śnieg. Julia zrzuciła z siebie płaszcz i podkręciła kaloryfer. Usiadła na nim, by ogrzać pośladki i uda.

– Zlokalizujemy te studnie z mapami lub bez nich – wróciła do przerwanej rozmowy. – Nie wiem jeszcze jak, ale coś wymyślę.

Górny włączył elektryczny czajnik i wyjął z niskiej szafki dwie szklanki z brązowego duraleksu. Do każdej z nich wrzucił po torebce liptona.

– Przy okazji wymyśl, skąd wziąć armię ludzi do przeczesywania terenu. Bo ja ich nie dostanę. Na pewno nie bez racjonalnego uzasadnienia. Chcę ci pomóc, Julia, ale nie zrobię z siebie błazna, pisząc we wniosku, że potrzebuję wsparcia ze względu na przecucie jedenastoletniej dziewczynki.

Woda się zagotowała. Górny zalał wrzątkiem szklanki i postawił je na stole. Rozejrzał się po szafkach za jakimiś ciastkami, które koledzy zostawiają nieraz na spotkania z gośćmi. Znalazł jedynie paczkę napoczętych krakersów.

– Nawet jeśli znajdziemy te studnie, to co dalej? – spytał, wkładając sobie do ust dwa ciastka naraz. Smakowały jak tektura. – Zwariuję, jeśli nie zjem czegoś normalnego. Za rogiem jest pizzeria, co powiesz na pepperoni na wynos?

– Weź dwie. To, czego nie zjemy, odgrzejemy wieczorem. U mnie – dodała.

Pomysł najwyraźniej spodobał się Górnemu.

– Nie ma to jak nocne przyjęcie przy mikrofalówce. Dobrze zrozumiałem, że wracam do łask?

– Może. Się okaże.

Do pizzy zamówił dodatkowo calzone i dwa sosy czosnkowe.

– Będą za pół godziny – poinformował, gdy odłożył telefon.

– A drony? – spytała Julia, wracając do tematu. – Mamy kilka. To znaczy wy macie – sprostowała. – Wystarczą trzy. Najwyżej cztery.

Adam spojrzał na nią z rezerwą.

– Chcesz wypuścić drony?

– Zamiast latać nad miastem i sprawdzać, gdzie są korki, niech przydadzą się do czegoś pożytecznego.

Górny długo przejeżdżał językiem po zębach, czyszcząc je z pozostałości po krakersach, a potem wstał i wyszedł bez słowa z pokoju. Wrócił, niosąc papierową płachtę z mapą Warszawy. Odsunął kubki z herbatą, by zrobić miejsce na środku stołu.

– Nie daję gwarancji, że to się uda – oświadczył i wyjął z tylnej kieszeni dzinsów przyniesiony flamaster. – Ale spróbować możemy. Od czego zaczniemy?

Julia przekreśliła mapę, tak by północne rejony miasta znalazły się pod jej ręką. Odebrała Adamowi flamaster i odetkała skuwkę.

– Zakładając, że dostaniesz cztery drony, puścimy je w pierwszej kolejności na Marymont, a konkretnie w okolice Lasku na Kole. Dalej na rejon Huty. – Zaznaczyła czerwonymi krzyżykami miejsca na mapie.

– Co to, ogródki działkowe?

– Tak. Ładny kawałek terenu, może kiedyś przyszło komuś do głowy mieć tam własne ujęcie wody. Kolejna kamera poleci na Stare Bielany. Tam jest gęsto od zabudowań wolnostojących.

– Lasy Bielański i Lindego. Cholernie trudny rejon – zauważył Górny. – Nawet jeśli chodzi o samo przygranicze.

– Teraz drzewa są gołe. Gdyby nie śnieg, mielibyśmy cały teren jak na dłoni. Może do jutra wszystko stopnieje.

– A jeśli nie? Puszczanie dronów będzie wtedy bez sensu.

Zmroziła go spojrzeniem i bez słowa komentarza dorysowała kolejny krzyżyk na mapie.

– Młociny – powiedziała, odrywając pisak od karty. – Cały las i tereny wzdłuż Pułkowej.

– Dlaczego akurat tam? Pułkowa to nowe wille.

– Tylko w części. Reszta to opuszczone od lat posiadłości, zarośnięte chaszczami.

– Co z Wrzecionem?

Julia pokręciła głową.

– Relatywnie mało zieleni i małe szanse na taki przeżytek, jakim jest studnia. Skoncentrujemy się na tych czterech rejonach, całą resztę musimy odpuścić. Chyba że postarasz się o więcej sprzętu.

– Nie wiem, czy w ogóle jakiś dostanę.

– Wystarczy wejść na drugie piętro i przycisnąć Madejskiego. Musi dać nam drony, o ile nie chcemy latać turystycznym balonem nad Warszawą z lornetką w ręku.

Adam podszedł do machającej flamastrem w powietrzu Julii, by pocałować ją w rozgorączkowane czoło.

– Ty i balon. Widziałem, jak ci się nogi trzęsły na drabinie. Metr nad podłogą – parsknął. – Zobaczą, co da się zrobić, może stary jest akurat u siebie. Ty pilnuj dostawy pizzy.

Chłopak z dostawą spóźniał się już dobry kwadrans. Górny zamierzał zadzwonić do pizzerii z awanturą, jednak zamiast tego odebrał pilny telefon z działu technicznego. Przysłano pierwsze wyniki badań.

\* \* \*

– Nie wiem, jak to na nim wymusiłaś. Prośbą czy groźbą?

Górny nalał do szklanki żywca i spił grubą warstwę piany. Przy okazji łyknął z niecierpliwością na obrotowy talerz mikrofalówki, do której chwilę temu załadował pizzę z popołudniowej dostawy na Nowolipki.

Julia oderwała konewkę od doniczki z drzewkiem bonsai, które ożyło po tym, jak poprzedni właściciele mieszkania porzucili je na pewną śmierć na parapecie. Postanowiła reanimować je wbrew logice i naturze.

– Wzięłam go z zaskoczenia. Ty byłeś zajęty w technicznym, a ktoś musiał załatwić sprawę. Madejski o mało nie spadł z krzesła, kiedy weszłam do jego gabinetu.

– Efekt słupa soli?

– Coś w ten deseń. Udał, że się cieszy. Wykonanie było słabe i mało efektowne, ale ja też potrafię udawać. Cieszyliśmy się więc oboje. Potem była wymiana uprzejmości. To nic, że przez zęby. Ważne, że przygotowuje kwit pod wydanie dronów. Po tym jak wyrzucił mnie ze służby, nagle zapragnął zawieszenia broni i, jak się wyraził, chęć niesienia pomocy na wielu frontach.

– Ma w tym swój interes. Raz już spieprzył sprawę, a jemu też góra patrzy na ręce. To oczywiste, że tym razem woli współpracować.

– Tym bardziej że znów zapunktuje u najwyższego moimi rękami.

Julia wyjęła z szafki dwa talerze i otworzyła dołączone do zamówienia sosy czosnkowe. Pizza pachniała i parowała. Nie sięgając po noże, oderwali palcami po kawałku.

– Boże, jakie to dobre... – zamruczała, odgryzając pierwszy kęs. – Śmieciowe jedzenie to prawdziwa poezja. Drony będą gotowe jutro rano, o ósmej – powiedziała z pełnymi ustami. – Cztery sztuki. Dostaniemy też ludzi do ich obsługi. Ustawią się w zaznaczonych przeze mnie punktach w terenie. Przed startem musisz tylko podpisać wszystkie kwity, że bierzesz odpowiedzialność za sprzęt. Pojedziesz na Nowolipki z samego rana i załatwisz formalności. Przy okazji powiesz chłopakom dokładnie co i jak, na wypadek gdyby Madejski coś pokręcił.

Górny wrzucił sobie do gardła kolejny kawałek pizzy.

– Widzę, że przejęłaś moje dochodzenie już w całości.

To zabrzmiało jak zakamuflowane oskarżenie. Męska duma Górnego została podrażniona, ale Julia знаła go na tyle, by wiedzieć, że przełknie to z taką samą łatwością, z jaką przełykał pizzę.

– Powiedz lepiej, co znaleźli technicy. – Zmieniła gładko temat na taki, w którym teraz on mógł zabłysnąć.

– Przyszła pierwsza partia wyników z badania traseologicznego.

– Odciski butów czy opon?

– Na razie butów. Chodzi o ślady, które znajdowały się najbliżej ciała. Nie było ich wiele, część zniknęła w trawie.

– No i?

– Chłopcy zidentyfikowali odciski męskich podeszew, rozmiar czterdzieści cztery.

– Duże. Takie jak twoje. To musiał być kawał chłopca.

Uwaga Julii musiała się Górnemu spodobać, bo przez jego twarz przebiegł cień dyskretnego uśmiechu.

– Co najmniej metr osiemdziesiąt wzrostu – skomentował skromnie. – Jedne były ledwie widoczne, inne wyraźne, głębokie.

– Ważne, jak bardzo głębokie. Jeśli ktoś niesie ciało, automatycznie staje się cięższy. Z tym że Majewskiej nikt nie niósł. Była wleczona po ziemi, twarzą w dół. Pamiętasz, co mówił Lipski? W skrzydełkach jej nosa znalazł pełno ziemi.



– Skąd więc te płytkie odciski?

– Jeśli była wleczona, to znaczy, że sprawca działał w pojedynkę. Ciągnięte ciało zatarło część śladów, dlatego wydają się nierówne. Jakie to były buty? Sportowe?

– Ślady sportowych też były, ale nie bezpośrednio przy ofierze. Wiem, o kim myślisz, o twoim ulubionym księdzu biegaczu. Nic z tego. Odciski wskazują na solidne trepy, z grubą podeszwą i mocnym wzorem.

– Pokryły się ze śladami butów z karku ofiary?

Górny dołał sobie piwa i odstawił pustą butelkę na podłogę obok śmietnika.

– Sto procent zgodności – potwierdził. – Duże buty, duży odcisk. Drań przywiózł ją do lasu, zaciągnął nad potok i stanął butem na jej szyi, przytrzymując jej głowę pod wodą. Potem dorzucił jeszcze oponę. Tylko po co, skoro już wtedy nie żyła?

– Nie zapominaj, że z Bielańskiego zrobiono pozorowane miejsce zbrodni. Wszystko może okazać się zwykłą lipą, jak choćby ta słona woda w płucach. Nie mam pojęcia, gdzie zabito tę kobietę, ale bajeczki o wycieczce nad morze nie kupuję. Co jeszcze wiesz o tych butach?

– Technicy szukają firm, które mogą takie produkować. Na razie potwierdzili, że buty były w dobrym stanie i nie miały jakichś poważniejszych uszkodzeń. Przynajmniej nic takiego nie wykazał odlew. Wiemy też, że właściciel niedawno wymieniał w nich fleki, bo nie nosiły śladów zderzenia. Jest za to kilka charakterystycznych rys na podeszwach w okolicach palców. To może nam pomóc.

– A linia chodu? Ichnogram coś wykazał?

– Tu akurat się zdziwisz. – Górny wycelował w Julię palcem znad szklanki z piwem. – Długość kroków stawianych przez zabójcę jest kompletnie nieadekwatna do wielkości jego butów. Mnie to się w ogóle nie układa w żadną logikę, bo półmetrowe kroki ni cholery nie grają mi z... – Przerwał, widząc, jak Julia podchodzi do czarnej ściany i zaczyna z przejściem zapisywać na niej kolejne informacje.

– Czy pani profesor mnie słucha?

– Mów, mów – odpowiedziała, nie odrywając się od pisaniny.

– Człowiek o takim wzroście nie chodzi jak mała dziewczynka.

– Może tylko udaje małą dziewczynkę – odezwała się Julia, wciąż pochłonięta kreśleniem kolejnych słów na ścianie.

– Długość kroku dorosłego mężczyzny to średnio siedemdziesiąt, osiemdziesiąt centymetrów. Myślisz, że w ten sposób chciał się wycwanić? Że niby nam nie zazgrzyta, kiedy porównamy odciski butów z odległością między śladami?

– Nie wiem, Górny.

– I upozorowałyby gwałt, żebyśmy myśleli, że zbrodni dokonała kobieta?

Julia przerwała pisanie i obróciła się w stronę siedzącego przy kuchennym stole Adama.

– Ile śledztw o zabójstwo prowadziłeś do tej pory?

– Co to za pytanie?

– Normalne. Po prostu odpowiedz.

– Wystarczająco dużo, żebyś nie miała mnie za frajera. Nie wiem, że dwadzieścia.

– A przy ilu popełniłeś błędy podczas określania profilu zabójcy?

Górny poruszył się niespokojnie na stołku.

– O co ci chodzi? Chcesz mnie przepytować jak ucznia? No więc dobrze, pani nieomylna. Pewnie było ich mnóstwo. Tylko co z tego?

– Weź swój stołek i usiądź na wprost ściany. Chcę, żebyś ją dobrze widział.

Podniósł z ociąganiem pośladki, pociągnął za sobą stołek i ustawił go vis-à-vis ściany.

– Proszę bardzo. Na razie jednak nie widzę nic odkrywczego w tym, co tam wypisałaś. – Wskazał brodą na zapiski zrobione kredą.

– Masz przed oczami wszystko, co usłyszeliśmy od świadków. To jest wersja, którą znamy. Wydaje się wiarygodna.

– Na pewno masz jakieś swoje „ale”. Strzelaj. – Górny oparł wygodnie stopy o podpórki przy stołku.

– Zacznijmy od samego początku. – Julia stanęła pod ścianą jak wykładowca pod szkolną tablicą. – Jest sobotnie popołudnie, przed drugą. Do mieszkania pani Rylskiej ktoś dzwoni domofonem, ale się nie odzywa. Potem do Aleksandry Majewskiej wchodzi ktoś ubrany na ciemno. Według zeznań widzi to Rylska i uznaje, że tą osobą jest mąż denatki. Jej uwagę przykuwa fakt, że odwiedziny są nie w tym dniu miesiąca co zwykle i że osoba ta dzwoni, zamiast zapukać do drzwi. Potem starsza pani idzie oglądać *Familiadę*. Po półgodzinie postanawia pójść do sąsiadki i znajduje ślady krwi. Zgadza się?

– Tak zeznała – zgodził się Górny.

– I to właśnie zapisałam na ścianie. A teraz przyjrzyjmy się samej Ryłskiej. Co o niej myślisz?

– Starsza kobieta, z typowym dla jej wieku ubytkiem wzroku i słuchu. Starła się nas przekonać, że słyszała zamęt na klatce schodowej, co nakazało jej w konsekwencji spojrzeć przez wizjer, ale przypuszczalnie stała przy nim kilkanaście razy na dobę. Czujna i ostrożna. Typ saperski na polu minowym.

– Saperski z postępującą demencją – poprawiła go Julia. – Nie pamiętała, jaki jest teraz rok, ale o szczegółach swojej sukni ślubnej sprzed pięćdziesięciu lat mówiła już z detalami.

– Kobiety takie rzeczy pamiętają.

– Ja nie. Powiedziałabym, że była biała i długa, z jakąś dziwną kokardą na tyłku, ale bez żadnych szczegółów.

– Może dlatego, że twoje małżeństwo okazało się katastrofą i wyparłaś wszystko, co się z nim wiązało.

– Nie tylko wyparłam, ale i spaliłam. – Julia pokiwała głową na wspomnienie ognia, który strawił wszystkie pamiątki łączące ją z Danielem. – W każdym razie mamy miłą panią Delfinę, która nie do końca ogarnia rzeczywistość.

– Od tego ma męża. Pan Ryłski trzyma wszystko pod kontrolą, do tego robi to nad wyraz delikatnie, żeby nie urazić żony.

– To człowiek starej daty, pocziwy i z dobrymi manierami. Do tego ścisły umysł. Całe życie pracował jako chirurg, a potem jako wykładowca. Mózg u takich osób, nawet posuniętych w wieku, działa bardzo sprawnie jeszcze przez długie lata. Niestety, przez niedosłuch żony feralnego popołudnia wyszedł z mieszkania i dlatego jesteśmy zdani głównie na jej zeznania.

– Jako winnego wskazała byłego męża ofiary. Facet nachodził ją regularnie. – Górny przypomniał słowa starszej pani. – Tego akurat Ryłski nie zakwestionował.

– Nie kwestionował samego faktu odwiedzin. O tym, kim był ten mężczyzna, dowiedział się od żony, nie od Majewskiej – sprostowała Julia. – Musimy jednak przyjąć tę wersję jako prawdopodobną. Aleksandra wspominała Ryłskiej o mężu i pieniądzech.

– Ciekawe, że nie zająknęli się ani słowem o jej bracie. Skoro Ryłska tak bacznie śledziła wchodzących do sąsiedniego mieszkania mężczyzn,

dlaczego nie wspomniała o nim? To możliwe, żeby do tej pory nie odwiedził siostry ani razu?

– Najwyraźniej nie lubi opuszczać Płocka.

– Albo myliła go z mężem Majewskiej.

Julia pokręciła głową.

– Oboje go widzieliśmy. W żadnej mierze nie pasuje do opisu mężczyzny, który przychodził na Wilanowską. Jest niższy ode mnie. Wygląda jak dzieciak.

Górny nie mógł się nie zgodzić. Brat Aleksandry był drobnym chłopakiem i przypominał niewyrośniętego gimnazjalistę. Julia wypisała na ścianie zupełnie inne cechy – zgodnie z tym, jak eksmęża Majewskiej opisała Rylska.

– Bardzo wysoki, przysadzisty, w ciemnym dresie, cuchnący potem...

– czytał Górny.

– Zawsze w kapturze na głowie – dorzuciła Julia. – Nie kłaniał się sąsiadom.

– Przychodził do Majewskiej zawsze wieczorem, po zmroku. Raz w miesiącu, a konkretnie pod koniec miesiąca. Chamski menel z drogim zegarkiem, który wyciąga od byłej żony pieniądze.

– Nie – zaprzeczyła Julia. – Zegarek nie był drogi, ale duży. Bądź precyzyjny.

– Co to ma za znaczenie?

Julia podeszła do swoich ściennych notatek i pionową kreską oddzieliła je od pustej przestrzeni ściany. Zaczęła na niej pisać coś, czego Adam nie mógł dojrzeć zza jej pleców. Kiedy skończyła, odsłoniła zapiski.

– Co to jest? – spytał, czytając po kolei to, co przed chwilą napisała. – Żart jakiś?

Odłożyła kredę na stół i otrzepała rękę.

– Nie bez powodu spytałam cię, ile razy postawiłeś złą diagnozę podczas typowania profilu zabójcy. Oczywiście wciąż nie wiem, czy Aleksandrę zabił jej mąż, ale... zabawmy się w „czarne i białe”.

– Jestem skłonny bawić się z tobą w najbardziej paskudne zabawy, ale to? – Górny zszedł ze stołka, żeby rozprostować kości. Ściągnął ręce na plecach, tak że dało się słyszeć trzaśnięcie ramion w stawach. – Chcesz go na siłę wybielić?

– Nie muszę. Według mnie to super gość, przynajmniej na pierwszy rzut oka.

– Dobrze się czujesz, kochanie?

– Wspaniale. Gdyby mój eks był przynajmniej w połowie takim facetem jak Majewski, nigdy bym się z nim nie rozwiodła.

Roześmiała się gorzko i nienaturalnie poruszyła szczęką. Nie słysząc było zgrzytu zębów, ale i bez tego domyśliła się, że ani kolejne wspomnienie o jej byłym, ani zabawa w to, kto jest mądrzejszy, nie przypadła Górnemu do gustu. Odczekała chwilę, licząc na to, że usiądzie z powrotem na taborecie, ale zamiast tego kręcił się po pokoju, wędrując od okna do kuchennego blatu.

– Zasady są proste – powiedziała, po czym go zatrzymała i objęła w pasie. Był sztywny i naburmuszony jak dziecko. W geście buntu nie odwzajemnił uścisku, lecz schował ręce do kieszeni dżinsów. – Ty czytasz to, co jest po lewej stronie, ja to, co po prawej.

– Od początku? – burknął w końcu.

– Mhm. Jedziesz.

– Bardzo wysoki, przysadzisty – zaczął Górny.

– Według mnie: przeciętnego wzrostu. Państwo Rylscy, jak już wiemy, widywali go głównie po zmroku, przed blokiem. Wizjer zniekształca sylwetkę, a w ciemności każdy człowiek wydaje się większy, niż jest w rzeczywistości. To jest stwierdzone naukowo i nie ma co z tym dyskutować. Zresztą dla ludzi z dawnego pokolenia każdy, kto ma metr siedemdziesiąt, wydaje się wysoki. Czytaj dalej.

– Cuchnący potem, w ciemnym dresie i kapturze, sportowych butach. Menel.

– Sportowiec. Mieszka niedaleko i biega wieczorami po pracy. Dlatego jest ubrany na sportowo i czuć od niego potem. Nie jest menelem. Kaptur zakłada na głowę, żeby nie tracić ciepła.

– Chamski, nie kłania się sąsiadom.

– Podczas biegania ma słuchawki w uszach. Słucha muzyki albo wiadomości i koncentruje się na tym, a nie na ludziach, których mija na chodniku. Zna ich ledwie z widzenia, może nawet kiwa im głową na powitanie, ale pod kapturem tego nie widać. Nie rozmawia z nimi, bo...

– Ma słuchawki.

– Otóż to. Dalej.

– Nosi duży zegarek.

– Nie zegarek, tylko pulsometr. Liczy kalorie i przebiegnięte kilometry, jak każdy zaawansowany biegacz. Dalej.

– Odwiedza byłą żonę regularnie, pod koniec każdego miesiąca. Wyłudza pieniądze.

– Po każdej wypłacie oddaje część swoich pieniędzy Aleksandrze. Dlatego stać ją na drogie wycieczki, których nie kupiłaby za pensję przedszkolanki.

– Cholera... – Górny przeciągnął dłonią po włosach. – Z łotra zrobiłaś księcia na białym koniu.

– Od samego początku coś mi nie grało w tej historii, więc przyjąłem wersję alternatywną do tego, co powiedziała Rylska. Dlaczego? Bo jej mąż praktycznie milczał. To dało mi do myślenia. Nie chciał jej zaprzeczać, żeby po wtopie z ich rocznicą ślubu nie denerwowała się jeszcze bardziej.

– Nadal nie wiemy, dlaczego Aleksandra rozstała się z mężem, skoro był taki idealny.

– Ona nam tego nie powie.

– Ani on, a przynajmniej nie dzisiaj. Rano wyleciał służbowo do Londynu, wróci dopiero jutro wieczorem. Szymański namierzył go zbyt późno, ale chociaż wiem, kim jest. To biznesmen handlujący polską spożywką. Zaopatruje kilka sklepów w północnej części Londynu w nasze klopsy, kiszone ogórki i suszone kiełbasy.

– Jednym słowem, moja teoria o finansowej hojności Majewskiego wydaje się prawdopodobna. Facet ma forszę. Sprawdzaleś, czy jest czysty?

– Chodzi ci o to, czy nie był karany?

– Wyłudzenia, drobne przekręty, awantury rodzinne, cokolwiek.

Górny pokręcił głową. W policyjnej bazie znalazł jedynie kilka mandatów za przekroczenie prędkości.

– A co z pozostałymi sąsiadami Aleksandry? – spytała Julia. – Wysłałeś do nich kogoś z zespołu? W klatce jest dziesięć mieszkań, ktoś mógł coś zauważyć.

– Szymański przespacerował się tam wczoraj z rana. Dwa mieszkania były zamknięte. Z tego, co powiedzieli wszystkowiedzący Rylscy, rodziny tydzień temu wyjechały na narty. To jacyś młodzi ludzie, często zabierają się razem na wyjazdy. Kolejne to lokal tego Ukraińca. Nawet mu nie otworzył, żeby nie narobić sobie problemów.

– Odliczając Rylskich, Lidię i pustostan na trzecim piętrze oraz lokal Aleksandry, wciąż pozostają trzy mieszkania.

– W dwóch z nich nikt nawet nie wiedział, że doszło do tragedii. Natomiast w ostatnim tak. Zajmuje je właścicielka pobliskiej kwiaciarni,

obecnie na wychowawczym. Była w domu, kiedy doszło do zbrodni. Zeznała, że kilka minut przed czternastą wyjrzała za firankę, bo usłyszała syrenę strażacką. Ludzie mają odruch sprawdzania, czy to aby nie koło nich się pali. Straż pojechała dalej, ale kobieta zapamiętała, że zobaczyła za oknem samochód dostawczy z otwartym bagażnikiem. Ktoś wyciągnął z niego karton i wszedł do klatki.

– Dostawa jedzenia – przypomniała Julia. – Zamówienie internetowe. Zauważyła jakieś szczególne znaki na aucie? Marka, napisy, logo?

– Logo z uśmiechniętym pomidorem i kwiatami.

– Wesoły pomidor, czyli FreshMarket. Wszystko się zgadza.

– Potwierdziła, że takie dostawy zdarzały się już wcześniej.

– I to wszystko?

– Wszystko. Kurier zadzwonił domofonem i ktoś wpuścił go od razu na górę. Zaraz, chyba nie myślisz, że dostawca od wesołego ma coś wspólnego z zabiciem Majewskiej?

Zamiast odpowiedzieć, Julia postawiła przy narysowanym na ścianie logo FreshMarketu znak zapytania.

– Koniec zabawy, padam z nóg. – Wyjęła ręce z rękawów swetra i ściągnęła go przez głowę. Odwiązała troki przy spodniach dresowych i wyplątała się z nogawek. Wszystko rzuciła na bujany fotel stojący w kącie pokoju. – Mam zamiar wskoczyć do ciepłej piany i na chwilę zapomnieć o tym wszystkim.

Górny przyglądał się tej rozbieranej scenie z miną rozmarzonego piętnastolatka, który po raz pierwszy w życiu ogląda rozkładówkę „Playboya”. By wyglądać seksownie, Julia nie musiała być wysmarowana olejkiem ani światło wiszącej pod sufitem gołej żarówki nie musiało być miękkie na sposób, w jaki otulają nim ciała kobiet specjaliści od zdjęć dla dorosłych. Podobała mu się w zwykłych bawełnianych majtkach i przyciasnym staniku, z lekko potarganymi włosami i bez przylepionych sztucznych rzęs.

– Sprawa źle skategoryzowana – powiedziała, ściągając jednocześnie skarpetki. – Cały czas mnie to męczy. Że patrzemy na wszystko pod złym kątem.

Ruszył za nią jak cień do łazienki. Odkręciła kran i puściła gorącą wodę. Pod strumień wlała waniliowy płyn. Nie zdejmując bielizny, usiadła na brzegu wanny i zatopiła stopy w pianie. Górny przymknął drzwi, by

zatrzymać gromadzące się w łazience ciepło, po czym zabrał się za rozmasowywanie karku Julii. Pod palcami czuł jej napięte mięśnie.

– Bardziej w lewo – poprosiła. – I trochę mocniej.

Nie protestowała, kiedy rozpiął sprzączkę jej stanika. Wysunęła z niego ramiona i wzięła głęboki oddech.

Woda podchodziła już pod kolana. Julia uniosła biodra z brzegu wanny i zsunęła z siebie majtki. Nie chciała, by przestał ją dotykać. Oparła się plecami o jego klatkę piersiową. Dłonie Adama prześlizgnęły się po jej szyi i ramionach. Poddała się masującym ruchom, zagarniającym coraz większe rejonny jej ciała. Jego dotyk przesuwiał się konsekwentnie w dół, do żeber i piersi.

– Tak dobrze? – usłyszała głos docierający do niej jakby przez mgłę.

– Baaardzo dobrze – zamruczała.

– A w skali od jednego do dziesięciu?

Zamknęła oczy. Wolała, żeby nic teraz nie mówił, a już na pewno nie dopominał się oklasków. Żeby dotykał, ale w milczeniu. Nie ten głos tak naprawdę chciała słyszeć. O ile mogła zamknąć oczy, by wykreować pod powiekami wymarzony obraz, idealną miłosną scenę, o tyle mówiący do niej głos powinien należeć do innego mężczyzny. Dziesiątki razy próbowała zmusić się do zaakceptowania faktu, że jest, jak jest, i nic tego nie zmieni. Może gdyby odpisała wtedy Arturowi na tego cholernego esemesa...

Poziom wody był już na tyle wysoki, że Górny zakręcił kurek. Julia otworzyła oczy i spojrzała na jego twarz. Oboje czuli, że coś między nimi jest nie tak.

– Nie chcesz tego? – spytał, kładąc ręce na jej ramionach.

Odruchowo potarła policzkiem o jego dłoń. Ciepłe uczucie, jakie dla niego miała, powinno wygrać z mrzonką o czymś, co miało się nigdy nie ziścić. Wszystko zaczyna się od przyjaźni, wmawiała to sobie za każdym razem, gdy nachodziło ją zwątpienie w sens ich związku. Reszta przyjdzie sama, trzeba tylko poczekać.

– Chcę, ale później. Mamy czas.

Zsunęła się do wanny i ukryła ciało pod grubą warstwą piany. Dla zatarcia niesmaku po tym, jak nagle przestała odpowiadać na jego dotyk, mrugnęła zawiadacko okiem. Odczytał to po swojemu. Rozpiął pasek w spodniach i ściągnął je tak szybko, że nie zdążyła zareagować. Na podłogę sfrunęła jego bluza oraz szara podkoszulka z napisem „Viking



Company” i rysunkiem drakkara, okrętu wojennego wikingów. Wskoczył do wody i od razu zacisnął dłonie na swoim przyrodzeniu.

– Na litość boską! Kąpiesz się we wrzątku?!

Dawała mu kilka sekund. Założyła się sama ze sobą, że szybciej wyskoczy z wanny, niż do niej wszedł. Pięć, cztery, trzy, dwa...

– Dziękuję i do widzenia. – Górny wstał, ociekając wodą. Parowała z jego skóry i włosów na całym ciele. – Gotuj się sama.

Złapał za ręcznik i kilkoma ruchami wytarł sobie to, na czym tak zaciekle zaciskał dłonie. To musiało odetchnąć.

– Co wy macie w głowach, żeby się tak katować? – Teraz dla odmiany otworzył drzwi, żeby wpuścić chłodniejsze powietrze. – Macie jakąś inną temperaturę ciała? Przecież w takim ukropie normalnym ludziom biało się ścina!

Chwycił pastę do zębów i wycisnął na szczoteczkę Julii białą maź. Szybкими ruchami przejechał nią po zębach i splunął pianą do odpływu w umywalce. Wyszczrzył się do swojego odbicia w zaparowanym lustrze.

– Nigdy nie zrozumieję kobiet – powiedział, przecierając dłonią parę. – Raz mroziecie sobie twarz maseczkami z lodówki, a potem nurkujecie we wrzątku. Co nic nie mówisz?

– Zaniemówiłam, patrząc na to. – Wyciągniętą spod piany stopą poklepała go po nagim pośladku.

W sekundę napiął mięśnie. Wszystkie, jakie miał. Brakowało tylko włóczni, którą mógłby zakręcić nad głową przed wydobyciem z siebie bojowego okrzyku. Dawno nie widziała takiego tańca godowego, jaki właśnie się zaczynał na jej oczach. Sztangę musiała zastąpić mała szczoteczka do zębów, ale trzymanie jej w palcach wymagało uruchomienia każdego mięśnia. Nie przeszkadzało mu już, że jest gorąco i że od pasa w dół jest czerwony jak szata prałata na Wielkanoc.

Po raz kolejny starała się przekonać samą siebie, że jest jej dobrze. Zabawnie i normalnie, tak jak powinno być. Nie mogła doczekać się chwili, w której naprawdę w to uwierzy.

17 SIERPANIA 2017

TYDZIEŃ PRZED POGRZEBEM KARINKI

WARSZAWA-BIELANY, ULICA BARCICKA

**M**ogę pojechać z tatą i Piotrusiem? – Karinka chwyciła za klamki po obu stronach kuchennych drzwi i zawisała na nich jak małpka.

Rozpierała ją energia. Odbiła się nogami od podłogi i zahusła się w lewo i prawo. Rozbujane zbyt mocno skrzydło zarzuciło nią. Uderzyła ramieniem o framugę, ale nawet się nie skrzywiła. Nowo odkryta zabawa, choć właśnie spowodowała siniaka, była kapitalna. Już dawno znudziło jej się skakanie po tapczanie, stole lub krzesłach.

Tego dnia wstali z bratem wyjątkowo wcześnie i bez ociągania. Mieli ważny powód. Już od pewnego czasu mama z tatą rozmawiali o tym, że ich przydomowy ogródek jest nudny i poza starą piaskownicą nie ma w nim nic, co dałoby dzieciom radość z zabawy. Gdy tata wspomniał o tym, że może budowa domku na drzewie sprawiłaby maluchom radość, nie chciały słyszeć już o niczym innym. W miarę odliczania dni do tego wielkiego wydarzenia ich marzenia rosły. Karinka od razu zaplanowała w domku przedszkole dla swoich lalek. Piotruś miał inne plany. Nie zamierzał marnować tak wspaniałego miejsca na babskie byle co. Co wieczór przed pójściem spać obmyślał, jak urządzić tam piracki statek. Koniec końców ustalili, że w domku znajdzie się miejsce i na koję, i na lalki. Przecież od zawsze dzielili się ze sobą wszystkim. Tak miało być i tym razem.

Z niecierpliwością czekali na wyprawę do sklepu budowlanego, by kupić wszystko, co potrzeba. Deski, wkręty, śruby i szlifierkę, nie zapominając o sznurze, z którego miała powstać spuszczana drabinka. Zwykłych schodków Piotruś nie chciał; jego pragnieniem była lina albo właśnie sznurkowa drabinka, którą mógł chować i wypuszczać jak trap na okręcie.

– Mogę jechać, mam? – Odepchnięte stopą drzwi zazgrzytały, a klamki chrobotnęły pod ciężarem ciała Karinki. – Tatuś mi pozwolił. Powiedział,

że potem będę mu pomagać w budowie.

Beata podeszła do drzwi i zdjęła z nich bujającą się córkę.

– Tego tylko brakowało – westchnęła.

Poprawiła kucyki na głowie dziewczynki, po czym kazała jej dokończyć śniadanie.

– Chcesz dać pięciolatkom młotki do rąk, żeby się pozabijały? – Spojrzała z wyrzutem na męża.

Zajęty był przeglądaniem portfela. Wydawało mu się, że ważność jego karty kredytowej skończyła się lub miała wygasnąć na dniach. Wolał się upewnić. Odszukał ją i odetchnął z ulgą. Został jeszcze miesiąc.

– Możesz dać mi spokój? Staram się zrobić coś dla tych dzieci.

Nienaturalnie zdziwiona twarz Beaty mówiła wszystko.

– Dla tych dzieci?

– Dla naszych dzieci – poprawił się natychmiast. – Przepraszam, źle zabrzmiało. Widzisz przecież, że się angażuję. Dzisiejszy urlop musiałem wyrwać szefowi z gardła.

– No tak, rzeczywiście. Ostatnio bardzo się angażujesz, aż dwa razy w ciągu miesiąca brałeś do siebie Karinkę. Piotrusia ani razu. Naprawdę, tylko bić brawo.

Złożył portfel i schował go do tylnej kieszeni spodni.

– Nie mogę być z nimi tak często, jak bym tego chciał.

– A jak często byś chciał? – Przyszpiliła go wzrokiem.

Podszedł do Beaty i chwycił ją za rękę tak mocno, że wypuściła trzymany w niej nóż do krojenia sera.

– Możesz nie robić scen przy dzieciach? – warknął. – Te twoje histerie są naprawdę kretyńskie. Dorośnij wreszcie.

– Ja mam dorosnąć?! – Beata szarpnęła ręką. Schyliła się, żeby podnieść nóż, ale Karinka była szybsza.

Rafał podskoczył do niej w mgnieniu oka.

– Oddaj mi to, kochanie – powiedział łagodnym głosem, choć napięcie na jego twarzy nie zelżało ani odrobinę.

– Tak, oddaj, zanim stanie się coś złego – zawtórowała Beata. – Dzieciom nie wolno dotykać ostrych rzeczy. To bardzo niebezpieczne.

Dziewczynka posłusznie odłożyła nóż, po czym złapała w palce kawałek uciętego wcześniej sera i włożyła go sobie do ust.

– Ja nie boję się śmierci – rzekła z dziecinną, śmieszoną powagą, mieląc jednocześnie ser w buzi. – Piotruś też nie. Dolores powiedziała nam, że

śmierć nie boli.

Beata z trudem powstrzymała mało wybredny komentarz, który cisnęła się jej na usta.

– Ta kobieta mnie przeraża – powiedziała ściszym głosem do Rafała. – Jeśli ty coś z tym nie zrobisz, wezmę sprawy w swoje ręce. Nie chcę jej tu więcej widzieć. Żeby opowiadać dzieciom takie rzeczy!

Przysłuchująca się Karinka chwyciła ojca za rękaw koszuli i szarpnęła nim kilkakrotnie. Nic nie wskazywało na to, żeby miała zamiar odejść. Rafał wziął ją na ręce i przytulił do swojej twarzy. Pachniała wodą kolońską, lawendową, jak jego koszula. Mała od razu zrobiła dzióbek, domagając się buziaka. Cmoknął ją w usta i potarł czubkiem swojego nosa o jej nos.

– Dolores jest kochana, tatusiu – wyszeptała mu do ucha. – Nie chcę, żeby jej u nas nie było.

Poklepał córkę dobrotliwie po plecach.

– Dolores zostanie z nami tak długo, jak będzie trzeba. Na szczęście to ja o tym decyduję, nie wasza mama.

– Naprawdę?

– Oczywiście, królewno.

Beata zacisnęła rękę na brudnym od sera nożu i przesunęła kciukiem po ostrzu.

– Nie rób tak, bo będzie krew – usłyszała zatroskany głos córki.

Szarpnęła drzwiami od zmywarki i wrzuciła nóż z łoskotem do koszyka na sztućce. To było jedyne, co mogła zrobić, by okazać wściekłość: trzasnąć czymś, co znajdowało się akurat pod ręką. Miał ją w garści, a konkretnie: w swojej kieszeni. Ją, dzieci i cały dom.

– Wkładaj buty, królewno. – Rafał postawił córkę na podłodze i wyjrzał na podwórko, rozglądając się za Piotrusiem. – Mama źle się wyraziła. Na pewno nie ma nic przeciwko, żebyś pojechała razem ze mną po deski na domek.

– Tak, mamó? – Karinka wolała się upewnić.

Beata nie wyglądała na zachwyconą.

– Miałeś ten czas poświęcić dla syna, chłopcu potrzebny jest czas spędzony tylko z ojcem – powiedziała.

Dziewczynka posmutniała. Morawski położył dłonie na ramionach córki i pogładził bawełniane rękawki jej sukienki.

– Bez naszej królowny byłoby nam smutno – powiedział, wykrzywiając usta w podkowę. – A z nią będzie nam wesoło. – Kąciki jego warg tym razem uniosły się jak u klauna. – Dlatego nie ma o czym gadać.

Piotruś wpadł przez ogrodowe drzwi jak burza. Musiał chwilę wcześniej grzebać w ziemi, szukając dżdżownic, bo ręce miał czarne od piachu. Widząc, że tata i siostra szykują się do wyjścia, pognął do łazienki. Po chwili wrócił czysty i pachnący mydłem.

Wyszli we troje. Beata słyszała przez uchylone drzwi, jak Rafał zapala silnik i odjeżdża. Wróć za dwie albo trzy godziny, rozładują deski, a potem on znów zniknie. Pożegna się z dziećmi, ale z nią już niekoniecznie. I pogna prosto do tamtej, do swojej zabójczo słodkiej Lukrecji.

Ślepy głupiec.

## ROZDZIAŁ VII

ŚRODA, 21 MARCA 2018

Julia otworzyła oczy na kwadrans przed dzwonkiem budzika. Za każdym razem, kiedy go nastawiała, powtarzał się ten sam schemat: równo piętnaście minut przed czasem. Kiedyś przeczytała w naukowym artykule o funkcjonowaniu ludzkiego mózgu, że ten broni się przed stresem, jaki wywołuje alarm, i dlatego wybudza organizm wcześniej. Jej mózg zadziałał więc książkowo.

Wyswobodziła się z objęć mamroczącego coś przez sen Górnego i przesunęła wajchę budzika.

Ta noc była gorąca, chyba najlepsza ze wszystkich, jakie ze sobą spędzili. Po grze wstępnej, która odbyła się w zaparowanej łazience, gładko przenieśli się do sypialni. Górny dał z siebie wszystko, nabuzowany komplementami, jakie usłyszał na temat swoich mięśni i sprężystych pośladków. Zasypiała, wtulając się w poduszkę Sylwii, zrelaksowana, ale i z piekącymi wyrzutami sumienia. Ściany zielonego pokoju nie powinny oglądać nagich mężczyzn. To, że zawsze „po” zmieniała pościel w łóżku, nie rozgrzeszało jej w najmniejszym nawet stopniu.

Wskazówka dobiła do siódmej. Na to, by załatwić dokumenty na wykorzystanie dronów, zanim ustawią się z akcją na Starych Bielanach, mieli godzinę.

Potrząsnęła Górnego za ramię. Wybełkotał coś, co miało brzmieć jak „pięć minut”, po czym odwrócił się na drugi bok i nakrył głowę kołdrą.

Otuliła się ciepłym kardiganem i wyjrzała przez szybę. Warunki do puszczenia dronów były nie najgorsze. Ustał wiatr i przestał wreszcie siec deszcz ze śniegiem.

W mieszkaniu panowała szarówka. Julia nie chciała zaświecać górnej lampy, włączyła tylko światło w okapie nad kuchenką i wstawiła wodę w czajniku. Wsypała do kubków po czubatej łyżeczce kawy rozpuszczalnej i czekając na wrzątek, sięgnęła po telefon.

Siedem nieodebranych połączeń. Nawet nie pamiętała, kiedy wyciszyła dzwonek. To musiało być zaraz po tym, jak Górny wyniósł ją na rękach z wanny, ale nie zdążył jej rzucić na łóżko, bo zadzwonił jakiś telemarketer. Julii nie interesował odbiór nagrody, czyli zestawu patelni w centrum Katowic. Wtedy to zrobiła: wyciszyła komórkę dla świętego spokoju. Górny zresztą też. Potem zapomnieli o bożym świecie.

Szlag.

Jak na zawołanie telefon Górnego zawibrował.

– Halo, Julia Krawiec. – Odebrała, słysząc, że Adam właśnie spuszcza wodę w sedesie.

– Tu Madejski – odezwał się ostry głos. – Powariowaliście?! Dobijam się do was od godziny! Gdzie jest Górny?

– Stoimy na stacji benzynowej, poszedł zapłacić – skłamała gładko. Ich związek wciąż pozostawał w konspiracji. Głupich plotek i dowcipów w policyjnym środowisku na temat tego, kto kogo skuwa kajdankami w łóżku, lepiej było unikać. – Co z naszymi dronami, gotowe? – spytała, zmieniając temat.

Coś ciężkiego musiało upaść Madejskiemu na biurko. Zszywacz do papieru albo jego własna pięść.

– Kurwicy zaraz dostanę! Nie będzie żadnych dronów. Zapomnij o dronach, Krawiec! Macie się natychmiast pojawić na Młocinach, Prozy dwadzieścia dwa A. Słyszysz? Prozy dwadzieścia dwa A.

– Co jest? – Adam stanął za plecami Julii z ręcznikiem przewieszonym przez ramię.

– Najjaśniejszy – odpowiedziała, zasłaniając głośnik. – Wściekły jak pies.

Włączyła głośnomówiący.

– Słyszemy, Górny jest już ze mną.

– O co chodzi, komendancie? – Adam nachylił się nad telefonem.

– O to chodzi, że daliście dupy, Górny! Za nieodbieranie służbowego telefonu wyładujecie, kurwa, na moim dywanie, i to na klęczkach!

Julia nabrała powietrza w policzki i powoli wypuściła je cienkim strumieniem.

– Będzie karny język – poruszyła bezdźwięcznie ustami.

– Trupa mamy! – Krzyk Madejskiego wciąż wwiercał się w uszy. – Zabieraj się z tej stacji, gdziekolwiek jesteś, i zapierdalaj na miejsce!

Kiedy wjechali w Wybrzeże Kościuszkowskie, sznury aut ciągnęły się już w obie strony, do centrum i w przeciwnym kierunku. Roztopiony po wczorajszej zadymce śnieg wymusił na kierowcach szybkość nie większą niż dwadzieścia kilometrów na godzinę. Górny próbował lawirować między najwolniejszymi samochodami z umiarkowanym spokojem, ale po szóstym kilometrze nie wytrzymał i włączył policyjnego koguta.

– Nie wiemy, czy ofiarą jest kobieta, więc nie panikuj – zagadnął Julię. Od chwili gdy usłyszała o znalezieniu kolejnych zwłok, nagle przygasła i zamilkła.

– Co mówisz? – Odwróciła wzrok od szyby i widoku płynącej wzdłuż ulicy Wisły.

– Nie zakładaj z góry, że to Lidia. – Górny wrzucił piąty bieg, kiedy przerzedziło się na jezdni. – W tym mieście co drugi dzień ktoś komuś wsadza kosę pod żebra.

Widział kątem oka, że skurczyła się w sobie. Siedziała przerażona i wściekła zarazem.

– Czuję, że to ona – odparła. – Mordował ją w czasie, gdy zabawiałam się z tobą w łóżku. Brawo ja.

– Może wyluzuj z tymi pretensjami do siebie? Nawet wasz ojciec nie wiedział, gdzie jej szukać. Zrobiłaś, ile mogłaś.

– Gówno prawda – wysyczała. – Zawsze można zrobić więcej. Ale naiwnie wierzyłam, że dopóki siedzi gdzieś schowana, to nic jej nie grozi. Miała tkwić w swojej dziupli, aż złapiemy tego drania za łeb. Nie przewidziałam, że się wystawi, a powinnam.

– Posłuchaj mnie...

– On mi ufał, rozumiesz?

Wyjęła z kieszeni płaszcz wymiętą paczkę vogue'ów i zapalniczkę. Zaciągnęła się dymem, po czym wytarła kciukiem kroplę wody, która zgromadziła się na czubku jej nosa.

Górny uchylił okno na kilka centymetrów, żeby gryząca chmura dymu uszła z auta.

– Daj mi też. – Wyciągnął rękę po papierosa. – Tak naprawdę to oboje spieprzyliśmy sprawę. Jeśli okaże się, że to twoja siostra... Sam z nim pogadam. Ty trzymaj się z boku.



Julia prychnęła gorzko.

– I co to da? I tak mnie znienawidzi. Kiedyś ja nienawidziłam jego, teraz role się odwróca. Przez tyle lat się starał, żeby między nami było dobrze. I jak na tym wyszedł? Gdyby wiedział, jaki nędzny biznes na mnie robi, nie byłby taki wyrywny.

Wjechali w Wybrzeże Gdyńskie, a potem płataniną osiedlowych ulic wymanewrowali w wąski przesmyk przy Prozy. Po obu stronach drogi stały mniej lub bardziej bogate domy jednorodzinne, oddzielone od siebie żywopłotami albo ścianami z wyższych drzew. Nad drogą ciągnęły się na całej jej długości linie wysokiego napięcia pouczepiane do betonowych słupów, z których zwisały głowy ulicznych latarni.

– To gdzieś tu.

Górny zredukował bieg. Samochód podskoczył na progu zwalniającym, a potem już gładko potoczył się w głąb osiedla.

Zatrzymał się za autem, które oboje dobrze znali. Prokurator Sieracka tym razem była na miejscu przed nimi. Obok jej błękitnego mercedesa stał policyjny wóz techniczny.

– Nie wiem, czy dam radę. – Julia odpięła pas, ale nie ruszała się z miejsca. – Chyba zaraz zwymiotuję.

Jeszcze dwie doby temu mobilizowała Górnego do oględzin zwłok leżących w prosektorium. Wtedy wydawało jej się to takie proste. Obcy martwy człowiek – to tylko praca. Swoją martwy człowiek – to już całkiem inna historia. Może gdyby nigdy wcześniej nie spotkały się z Lidią i nie spojrzały sobie w oczy, byłoby jej łatwiej. Wystarczyło jednak kilka zamienionych ze sobą słów, by teraz na samą myśl o tym, co zaraz zobaczy, ogarniała ją panika podobna do tej, jaką czuła, gdy usłyszała o odnalezieniu ciała w Lesie Bielańskim.

Wyszła z auta i ruszyła prosto w stronę Sierackiej. Nie oglądała się na Górnego. Nie chciała, by ją wspierał, podtrzymywał za ramię ani uspokajał. Na pewno nie przy zespole. Podeszła z kamienną twarzą do granicy działki, której właściwie nic nie wyznaczało. Brakowało płotu, siatki lub czegokolwiek, co wytyczałoby teren. Kiedyś na pewno biegło tu ogrodzenie, w ziemi wciąż tkwił kawałek ceglanej podmurówki wraz z resztkami wyszarpanego drutu.

– Gdzie jest ciało? – spytała Sieracką, schodząc z asfaltu na coś, co kiedyś było trawnikiem, a teraz przypominało mieszaninę błota i śniegu.

Prokurator zwyczajowo prezentowała się jak z żurnala. Jej idealnie zrobiony makijaż wyglądał, jakby przysłała na zabawę karnawałową, a nie na miejsce przestępstwa.

– Tam, w głębi podwórka. – Wysunęła upudrowaną brodę, wskazując coś, co chowało się za chaszczami porastającymi posesję. – Nie wygląda to dobrze, Julia. Zresztą chodź, zobacz sama.

Sieracka starała się omijać co większe roztopy, by jej zamszowe kozaki nie zapadały się w topniejącej brei. Julia nie zwracała uwagi na to, gdzie stawia stopy. Jedyne, na co patrzyła, to brunatne zarośla i kołyszące się przed nią plecy prokurator.

– To kobieta? – spytała Julia, gdy uszły kilkanaście kroków.

– Bóg raczy wiedzieć. Trudno rozpoznać.

– Ciało jest aż tak zmasakrowane?

– Nie – odparła Sieracka, odgarniając sprzed twarzy gałąź uschniętego drzewa. – Nie wyciągnęliśmy jeszcze ciała. Nadal tam jest.

Zatrzymała się przed starym domem. Był parterowy i drewniany, kształtem bardziej przypominał stodołę aniżeli dworek. Jego prawa część była doszczętnie spalona i zawalona. Lewa, choć osmolona od płomieni, wciąż się trzymała. Z resztek tego, co kiedyś było bezpiecznym dachem, smętnie zwisała naderwana papa, obijając się przy silniejszych podmuchach wiatru o ogołoczone z firanek okna, które przypominały puste ludzkie oczodoły otoczone posiniałymi ramami powiek.

– Podpalenie? – Julia chciała podejść bliżej, ale Sieracka zatrzymała ją w pół kroku.

– Na to wygląda. Ale nie chodzi o dom. Ciało jest tam.

Pokazała ręką na kamienną studnię stojącą tuż przy zwęglonej części domu. Była wysoka na metr, pokryta przy wlocie cienką warstwą zgniłego mchu i miała widoczne pęknięcia po bokach.

– Leży na dnie – wyjaśniła Sieracka. – Na oko to jakieś dziesięć, dwanaście metrów. Z zewnątrz widać tylko ubranie.

Serce Julii przyspieszyło.

– Kto znalazł ciało? – spytała, siląc się na obojętność.

– Ekipa wyburzeniowa. Ktoś kupił posiadłość i zamówił ludzi do rozbiórki tej spalonej rudery. Przy okazji chciał oczyścić podwórko i zlikwidować studnię. Kiedy robotnicy zajrzeli do środka, podnieśli alarm. Szef ekipy nie chciał mieć kłopotów i zadzwonił na sto dwanaście. Dyspozytorka uznała, że wystarczy przysłanie straży miejskiej. Przyjechali,

zobaczyli i doszli do wniosku, że to tylko stare szmaty. W końcu ludzie rzucają śmieci gdzie popadnie. Ale właściciel firmy rozbiórkowej uparł się, więc dla świętego spokoju strażnicy puścili tam światło i porobili zdjęcia. Okazało się, że oprócz szmat widać tam coś, co przypomina ludzkie włosy.

Sieracka kiwnęła ręką na jednego z techników i poprosiła o latarkę z kamerą. Górny skończył akurat rozmowę z szefem ekipy i podszedł do nich z tak samo niewyraźną miną, jaka malowała się na twarzy Julii.

Stanęli we trójkę u wlotu studni i nachylili się nad czeluścią.

– Rzeczywiście niewiele tu widać – stwierdziła ze ściśniętym gardłem Julia.

Potrząsnęła przy tym głową, czując, że obraz ciemnieje jej w oczach.

– Co ci jest? – Sieracka spojrzała na nią z niepokojem. – Chora czy w ciąży? Niech ją pan odsunie od studni, bo jeszcze wpadnie tam i skręci sobie kark. Powinna gdzieś usiąść. Tam jest stara ławka. – Wskazała Górnemu zydelek stojący pod zeschniętym drzewem.

– Nie trzeba. – Julia zdążyła już wziąć kilka głębszych oddechów. – Spuszczajcie już tę kamerę.

Górny rozwinął linę na kilka metrów i kamera zjechała w dół. Na ekranie zewnętrznego monitora widzieli dokładnie, jak zbliża się do czegoś, co przypominało skołtunione i obrzydliwie brudne warstwy materiału. Spośród nich wystawało coś białego, przykrytego poszarzałymi włosami.

– Wystarczy, niech pan zatrzyma – zarządziła Sieracka. – Widzicie to? Jak mówiłam: ludzkie włosy. Sporo ich. Teraz w lewo kamerą. Jeszcze trochę. Stop. Przyjrzyjcie się. Te białe miejsca... Co wam to przypomina?

Kamera niemal dotykała czaszki pozbawionej skóry. Nie mieli już żadnych wątpliwości, że na dnie studni znajdują się ludzkie szczątki.

\* \* \*

– Pokaż, jak mnie kochasz! – Pilar poprawiła opadające ramiączko swojej koronkowej czarnej halki i wystawiła usta do Rafała.

Odstawił żelazko na deskę do prasowania.

– Akurat teraz?

– A dlaczego nie? No już, na dobry początek dnia.

Cmoknął ją szybko, na odczepnego, po czym rozprostował na desce rękaw koszuli.

Nie musiał spoglądać na siedzącą na kanapie Dolores, by wiedzieć, że ich obserwuje. Była zajęta wszywaniem łąty do sportowej bluzy Piotrusia, mimo to umizgów córki nie sposób było nie zauważyć. Zwykle w takich sytuacjach starała się być delikatna, jednak tym razem chrząknęła znacząco.

Oboje czuli skrępowanie. Jedynie Pilar zachowywała się nad wyraz swobodnie. Oblizła usta po pocałunku i wydobyła z nich pierwsze dźwięki *Arii ze śmiechem*. Nie przerywając nucenia, usiadła obok matki i położyła na kanapie gruby katalog z projektami domów. Drugi, z propozycjami wyposażenia wnętrza, umieściła sobie na kolanach. W kilku miejscach strony pozaznaczane już były przyklepnymi karteczkami, na których napisała długopisem, że wybiera właśnie taki dywan, kominek, podłogę do salonu czy przeszkloną antresolę z biblioteką.

– Ten dom będzie spełnieniem moich marzeń. – Przerzuciła pierwsze kartki katalogu i podwinęła przy tym nogę pod pośladek, żeby było jej wygodniej siedzieć. – Trzy sypialnie powinny nam wystarczyć, jak myślisz, kochanie? Jedna dla nas, a dwie dla... no, zobaczymy. W końcu wszystko przed nami.

Rafał poruszył niespokojnie szyją.

– Jedną powinniśmy zostawić dla twojej matki. Co ty na to, Dolores? – rzucił przez ramię. – Pamiętam, jak mówiłaś, że chciałabyś mieć pokój z wyjściem na ogród.

Dolores zsunęła z nosa okulary, odrywając wzrok od igły i cerowanej bluzy. Nie zdążyła otworzyć ust, kiedy Pilar zaśmiała się perliście.

– Mama na pewno woli mieszkać u siebie. Po co miałyby wysłuchiwać naszych hałasów. Mnie trudno uciszyć, zwłaszcza gdy... no wiesz. – Zakołysała obrazowo biodrami. – Starsi ludzie wolą ciszę, prawda, mamo? Zresztą co zrobiłabyś z babcią? Dom nie będzie przecież na tyle wielki, żeby pomieścić nas wszystkich.

Dolores nie zamierzała narażać ani siebie, ani Josefy na wysłuchiwanie seksualnych ekscesów Pilar. Odkąd wyprowadziła się z ich mieszkania, zrobiło się może i bezbarwnie, ale za to spokojniej. Zostały z matką w dwóch pokojach i dopóki ta żyła, o żadnej przeprowadzce nie mogło być mowy. Owszem, to, co powiedział Rafał, było prawdą, Dolores marzyła o ogrodzie. Zwłaszcza że przy jej rodzinnym domu na La Gomerze był taki, z drzewami cytrynowymi. Ale to było kiedyś. Dom, o którym tak gorliwie mówiła Pilar, mógł w ogóle nie powstać, i chyba tylko ona, Dolores, miała tego świadomość.

– Sprowadzimy mamę do siebie, kiedy urodzi nam się dziecko – stwierdziła Pilar. – Wtedy to już będzie konieczne. Przy mojej karierze i trybie pracy ktoś będzie musiał się nim zająć. To będzie cudowne maleństwo – rozmarzyła się teatralnie. – A ty będziesz wspianiałym ojcem, kochanie – dodała zachęcająco.

Morawski przerwał prasowanie. Zwykle go uspokajało, o ile zamiast korzystania z pralni robił ręczną przepierkę we własnej łazience. Koncentrował się na tej monotonnej czynności, by choćby przez pół godziny nie musieć myśleć o niczym. Tym razem machanie żelazkiem nie relaksowało go wcale.

– Rozmawialiśmy już o tym. – Szarpnął kabel, niemal wyrywając wtyczkę z gniazdka. – Kolejnego dziecka nie będzie. Nie rozumiem, po co do tego wracasz.

Katalog z projektami wewnątrz spłynął z kolan Pilar na podłogę.

Dolores nawet nie poczuła, jak igła wbija się jej pod skórę. Dopiero gdy przy paznokciu pojawiła się okrągła plamka krwi, która zaplamiła bluzę Piotrusia, przerwała szycie. Zacisnęła dłonie na spódnicy i znieruchomiała.

– Masz mnie za frajerkę? – Pilar, nie zwracając uwagi na matkę, podbiegła do Rafała i szarpnęła go za rękę. – Przypomnę ci twoje słowa: rodzina jest najważniejsza. Nie po to brałaś rozwód, żeby ją stworzyć właśnie ze mną i zacząć wszystko od nowa?

– Nie wszystko można zacząć od nowa – odezwała się milcząca dotąd Dolores. – Z dziećmi rozwodu nie brał. Jedno odeszło, ale pozostało jeszcze drugie.

Twarz dziewczyny zaczerwieniła się aż po cebulki włosów.

– Nie odzywaj się, mamó. Zresztą o czym my mówimy? Ten mały przecież nic nie rozumie. To tylko sześciolatek! Jego świadomość jest ograniczona do... do zabawy w żołnierzyki!

– Wyhamuj, Pilar! – Morawskiemu ta rozmowa coraz mniej się podobała.

– Myślisz, że tego małego zaboli, że jego ojciec zakłada nową rodzinę? Przejmie się tym tak samo, jak przejął się śmiercią swojej siostry. Przypomnij sobie, co robił, kiedy leżała w trumnie. Bawił się cukierkami, bo tylko to go interesowało. Nie miał pojęcia, co się dzieje.

– Nie wiń go, to tylko dziecko. – Dolores się obruszyła.

– Właśnie. Życie i śmierć nie mają dla dzieci żadnego znaczenia. Nie rozumieją tego, bo ich świadomość jest zerowa. I dobrze. Dzięki temu i Karinka nie rozumiała, co się z nią dzieje, kiedy umierała.

– Dosyć! – Krzyk Rafała przeciął powietrze.

Pilar chciała jeszcze coś powiedzieć, ale tylko zagryzła wargi. Wyćwiczonym gestem poprawiła włosy i założyła ręce na piersiach, unosząc je nieznacznie pod czarną halką.

– Nie chcę, żebyś kiedykolwiek wspominała o mojej córce. – Rafał zawisł nad nią jak cień. – Rozumiesz?

Głowa Pilar ani drgnęła.

– Tak, oczywiście... Cicho, sza o małej Karince! O twojej słodkiej małej królewnie ze świerzbem na skórze.

– Na Boga, Pilar! – jęknęła Dolores.

Morawski wolał wyjść, zanim coś rozsadzi go od środka. Złapał za wyprasowaną koszulę i zniknął w sypialni, trzaskając drzwiami. Zaraz potem do uszu Pilar i Dolores doszedł odgłos serii uderzeń w boksinerski worek.

– Co cię opętało?! – Oczy Dolores rozszerzyły się w oszołomieniu. – Musiałaś wywlekać sprawę dzieci, i to w taki sposób? Dobrze, że twoja babka tego nie słyszała...

– Josefa? – parsknęła Pilar. – Jest jedną nogą w zaświatach. Dawno straciła kontakt z rzeczywistością.

– Nawet nie wiesz, jak bardzo się mylisz.

– Jasne... A nawet jeśli, to i tak nigdy mnie nie rozumiała. Ty zresztą też. Opowiedz się wreszcie, po czyjej jesteś stronie.

Dolores sięgnęła ponownie po zszywaną bluzę. Krwawienie przy paznokciu ustało. Zakręciła nitkę wokół palca i zrobiła na jej końcu supełek. Łata na bluzie trzymała się już mocno.

– Chcę tego co ty. Żebyś była szczęśliwa – odpowiedziała, nie patrząc na Pilar. – Całe życie robiłam, co tylko mogłam...

Pilar wyciągnęła rękę i pogładziła matkę po włosach.

– Wiem, *mamita*. To się więcej nie powtórzy. Sprowokował mnie i chwilowo mi odbiło. Ale poprawię się, o nic się nie martw.

Drzwi sypialni otworzyły się. Rafał miał na sobie służbowy uniform, spod którego wystawała świeżo wyprasowana koszula. Nie zwracając uwagi na Pilar i Dolores, usiadł na pufie w przedpokoju i sięgnął po buty.

– Nie za wcześnie? – Pilar oparła się o framugę. – Do rozpoczęcia służby masz jeszcze ponad godzinę.

Zdjął z wieszaka płaszcz i sprawdził w lustrze, czy węzeł w krawacie równo leży. Wyszedł bez pożegnania. Jeszcze przez chwilę słychać było stukot jego ciężkich chodaków na klatce schodowej. Zwykle chodził szybko i energicznie, jednak tym razem uderzenia obcasów były głośne niczym schodząca z gór lawina.

– Masz, co chciałaś – odezwała się Dolores. – Może teraz nauczysz się trzymać język za zębami.

Pilar wzruszyła ramionami.

– Od trzymania języka za zębami jeszcze nikt nie dopiął swego, a ja zamierzam to zrobić.

– Słów o jego dzieciach jeszcze długo ci nie wybaczy.

– Przecież nie skłamałam. Dzieci są nierozumne i nie ma co z tym dyskutować. A co do tej jego małej... Przecież była chora. Kto jak kto, ale ty chyba wiesz o tym najlepiej. Dobrze, że się od niej nie zaraziłaś. Te jej rany na skórze były naprawdę paskudne. Biedna Karinka. Szczęśliwie miała przy sobie taką troskliwą nianię jak ty. I zakochanego w niej ojca – dodała z uśmiechem.

Schyliła się po rzucony na podłogę katalog z wnętrzami i ponownie zaczęła przerzucać kartki, tym razem z ofertą kanap i stolików kawowych.

\* \* \*

– Przyjechali ludzie z grupy specjalnej. – Prokurator Sieracka wyjrzała na drogę. – Szybko się uwinęli po pana wezwaniu, komisarzu. Jak nigdy.

Trzech mężczyzn w czerwonych kombinezonach, objuczonych sprzętem ukrytym w plecakach, szło w ich stronę.

– To ta studnia? – spytał jeden z nich. Na mundurze miał przyszytą plakietkę z nazwiskiem „J. Radzik”.

– Ciało leży na głębokości dziesięciu metrów – poinformował Górny.  
– Jest w złym stanie, obejdźcie się z nim ostrożnie.

Stanęli tuż przy ceglanym szybie. Radzik nachylił się nad czeluścią.

– Na pewno trup? Zero oznak życia? Pytam dla formalności.

– Zero życia – potwierdził Górny. – Zaczynajcie.

Rozłożyli na trawie szarą płachtę. Z plecaków wyjęli linę alpinistyczną z bloczkiem ratowniczym, uprząż asekuracyjną, szelki i pasy.

Radzik podszedł ponownie do studni i kopnął czubkiem buta w ceglana obręcz.

– Obmurowanie ledwie się trzyma. Kilka mocniejszych szarpnięć liną i pod naporem ciała góra całkiem odleci. Panowie... – Skinął na kolegów. – Każdy po jednym sznurze. Ja zjeżdżam na pierwszym, do drugiego przymocuję ciało, jak już będę na dole. Trzeci wyniesie zawartość.

Zabręczały zapięcia i metalowe okucia bloczków. Radzik włączył latarkę na kasku. Poprawił pod szyją zatraskową klamrę, po czym usiadł na krawędzi studni i przerzucił nogi przez jej brzeg.

– Na trzy! – zawołał do pozostałych i sprawdził napięcie olinowania. – Raz, dwa...

Zniknął w głębi studni. Szyb był wąski, skurczył więc odruchowo ramiona, by nie przyblokować się w kamiennym gardle.

– Na dole jest trochę szerzej. – Radzik podniósł głowę i błysnął Górnemu latarką po oczach. – I dość płytko. Podchodzą jedynie wody gruntowe, ale studnia do niczego się już nie nadaje. Śmietnisko jak się patrzy. I do tego śmierdzi jak cholera.

Nie słyhać było plusku wody, kiedy dotarł na dno. Na postawienie nogi gdziekolwiek brakowało miejsca. Jedyne, co mógł zrobić, żeby przyrzec się zwłokom, to zawisnąć tuż nad nimi w półzgięciu.

– Co się tam dzieje? – krzyknął Górny, gdy cisza z dna studni przedłużała się. – Da pan radę zapakować ciało?

Obejrzał się na stojącą kilka metrów dalej Julię. Zaciskała dłonie na kubku z kawą, którą ktoś przywiózł dla całej ekipy z pobliskiego McDonalda, jednak nawet nie zamoczyła w niej ust.

Radzik musiał odpowiedzieć coś niepokojącego, bo na pytające spojrzenie Julii Górny pokręcił tylko głową. Rzuciła kubek z kawą w krzaki i podeszła do szybu.

– Co jest? – krzyknęła w dół. – Dlaczego nie spuszczaacie drugiego wyciągu?

Światło z latarki Radzika przesunęło się po ceglanej obręczy.

– Nie dam rady tego pozbierać na raz. Wszystko w kawałkach.

– Jak to, w kawałkach?

– W częściach, jak pani woli.

– Rozczłonkowane?



– Delikatnie ujmując. Przygotujcie worki, co najmniej cztery.

Górny odsunął Julię od brzegu studni.

– Odejdź stąd. Najlepiej będzie, jeśli poczekaasz w moim aucie.

Nie ruszyła się z miejsca. Stała jak skamieniała, wpatrując się w ruchy dwóch mężczyzn wykonujących polecenia Radzika.

Żółte worki schodziły na dno studni jeden po drugim. Julia nie potrafiła określić, ile to trwało. Równie dobrze mogło to być trzydzieści minut, jak i dwie godziny. Technicy wydobywali je również w tempie całkowicie dla niej niepoliczalnym. Patrzyła, jak liny ciągną plastikowe pakunki, jak sprawne ręce mężczyzn robią wszystko, by zamortyzować ich obijanie się o ścianki studni. I jak układają je na rozpostartej na trawie folii.

– Czwarty i ostatni – dotarło do niej, kiedy kolejny worek wylądował na płachcie.

Bloczek wspinaczkowy zaterkotał i wciągnięto Radzika na górę. Gdy tylko postawił nogi na ziemi, poprosił o butelkę wody. Wziął kilka haustów, za każdym razem wypluwając zawartość z ust.

– Jeszcze twarz – powiedział. – Muszę to z siebie zmyć.

Czekali, aż będzie gotów. Naciągnął na dłonie czyste rękawiczki i stanął wraz z nimi nad pakunkami.

– Zaczynamy – zarządziła prokurator.

Technicy okrążyli płachtę i pochyleni zaczęli rozcinać kolejno worki. Z dwóch wyłoniły się pojedynczo nogi, trzeci zawierał związane w nadgarstkach ręce. Oskórowane palce i to, co zostało z dłoni, otulały śliskie glony.

Sieracka poruszyła niespokojnie łopatkami.

– Został jeszcze jeden – powiedziała surowym tonem.

Radzik podniósł na nią oczy.

– Ten jest najgorszy, uprzedzam.

– Otwieraj pan.

Przyłożył ostrze do plastikowego zacisku. Opaska puściła, nóż zagłębił się w splot worka i rozciął go w całości.

Kobieca głowa, zawinięta w długie ciemne włosy przeplecione kontrastującymi, choć pojedynczymi pasmami siwizny, była niemal całkowicie pozbawiona skóry i ledwo trzymała się tułowia obleczonego w poszarpane szmaty.

– Chryste... – wymamrotała Julia.

Poczuła, jak Górny chwytą ją za rękę i nachyla się nad jej uchem.

– Już po wszystkim, to nie ona.

– Nie żyje od dawna. – Sieracka obesza płachtę z rozczłonkowanymi zwłokami. – Ciało musiało leżeć w studni ładnych parę miesięcy. Tkanki miękkie zgniły, mięśnie też się nie zachowały. Całkowity rozkład. Będziemy mieć poważny problem z identyfikacją, drodzy państwo. Trafiła się nam niezła makabreska. Co ty na to, Julia?

Prokurator spodziewała się, że Julia, przytłoczona widokiem zwłok, przynajmniej zaklnie. Nie zrobiła tego. Ktoś stracił matkę lub żonę, jednak to nie miało w tej chwili dla niej większego znaczenia. Ważne było, że na płachcie leżącej pod jej stopami nie rozpoznała szczątków Lidii.

– Jak zwykle, działamy – odparła ze spokojem. – Nie takie rzeczy widziałam.

Wracali na Nowolipki lżejsi. Wyciągnięte ze studni ciało kobiety jechało już do Zakładu Medycyny Sądowej, gdzie miało wkrótce trafić na stół sekcyjny.

– Lipski raczej sobie nie pochoruje. – Adam włączył dla rozluźnienia radio, w którym grano jakiś discopolowy chłam, oraz ciepły nawiew. Od sterczenia na wietrze sam zaczął mieć dreszcze. – Przynajmniej to nie nas tym razem przeklnie, tylko Sieracką. Niech ona się tłumaczy, dlaczego wyciąga go spod kołdry.

Julia wyjęła papierosa i zapaliła, tym razem z ulgą.

– Z takim stopniem rozkładu dawno się nie spotkałam. Jeśli na zwłokach znajdowały się jakiegokolwiek ślady biologiczne zabójcy, to wątpię, żeby się zachowały. Co wiemy o właścicielu posesji?

– Zdziwisz się. Podobno to jakiś glina. Kupił działkę ze spalonym domem już rok temu, ale dopiero teraz wpuścił na nią robotników. Kierownik ekipy zeznał, że zgodnie z życzeniem tego gościa miał zalać studnię betonem, a wystającą część szybu zburzyć i potem wyrównać teren. Podobno pod altanę.

– Bardzo ciekawe. Nie wystarczyło po prostu zasypać tej studni? Potrzebował do tego aż betonu?

– Może chciał mieć stabilny grunt pod budowę.

– I altana miała stanąć akurat w miejscu, w którym leżały zwłoki – zauważyła Julia. – Co za przypadek.

– W każdym razie robotnicy zajrzeli do środka, żeby zrobić wyliczenie, ile ton betonu potrzebują do zalania. Od tego wszystko się zaczęło.

– Właściciel już wie, że będzie się musiał wstrzymać z robotą?

– Wie i podobno jest w szoku.

– Nic dziwnego. Jego plan poszedł się rypać.

– Ma się stawić w komisariacie za godzinę. Jestem ciekawy, co to za typ.

– Mnie bardziej ciekawi, co powie Lipski, kiedy zobaczy zwłoki.

– Będzie zachwycony. Nikt tak jak on nie lubi babrać się w zgniliznie.

– Chodziło mi bardziej o to, co w niej znajdzie. To nie będzie zwykła autopsja. Stan zwłok jest tragiczny.

– Ważne, że to nie Lidia. Możesz dziękować Bogu.

– Robię to, odkąd Radzik otworzył worek z głową tej kobiety. Jakby mi ktoś zdjął z pleców tonę kamieni. Swoją drogą, powinnam zadzwonić na Saską Kępę. Nie mam pojęcia, co się tam dzieje.

– Sylwia przestała szpiegować?

– Szpieguje tylko popołudniami, po szkole. Zresztą nie po to ją tam zostawiłam. Dzięki niej matka z ojcem się hamują, inaczej pewnie skoczyliby sobie do oczu.

– Nie taki start sobie wyobrażali, więc im się nie dziw. Potrzebują spokoju.

– Moja matka nie zna tego słowa. Zobaczyć ją spokojną to jak zobaczyć lód na pustyni. Zjawisko nadnaturalne.

Julia wyjęła komórkę i wybrała numer do matki. Ta odebrała uszczęśliwiona, że Edmund zdecydował się spędzić noc we własnym łóżku. O Lidii nadal nic nie wiedzieli. Nie zatelefonowała ani nie przysłała żadnej wiadomości. Odkąd Julia była u rodziców po raz ostatni, zaszła jednak kolejna zmiana. Ojciec zdecydował, że przeniesie się do mieszkania przy Wilanowskiej.

– Po co? – spytała go, kiedy Emilia przekazała mężowi słuchawkę.

– Może tam przyjdzie mi coś do głowy – odparł bez przekonania.

– A tak naprawdę?

Zawahał się.

– Chcę się przygotować na najgorsze. Wśród jej rzeczy.

– Jeszcze nie pora na żałobę. Zresztą żadnej żałoby nie będzie – dodała dobitnie. – Lepiej zrobisz, jeśli zostaniesz z matką.

– Nie rozumiesz mnie, Julia. Gdyby chodziło o twoją córkę... Boże, co też ja mówię... Przepraszam cię, od tego wszystkiego zaczyna odejmować mi rozum. Zapomnij, że coś tak idiotycznego przeszło mi w ogóle przez gardło. Nikomu nie życzę, żeby przechodził przez takie piekło, a już na pewno nie tobie.

Nie chciała, żeby zaszkliły jej się oczy, ale coś wyjątkowo boleśnie ścisnęło ją w żołądku.

– Nie ma o czym mówić. Rób, jak uważasz.

Rozłączyła się.

– Bydlak – warknęła do siebie. – Możesz wyłączyć to badziewie?!

Górny zgasił radio z discopolową rąbanką.

– Opuść mu. Nie kontroluje tego, co mówi.

– Nie jego mam na myśli. Na miejscu ojca każdy zacząłby wariować. Chodzi mi o tego zwyrodnialca. Przez takich jak on ludziom wali się życie na głowę.

– Szukasz moralności u psychopaty, który zamordował dwie kobiety i napisał o tym poemat? To rzeźnik, nie filozof.

Stanęli przed komisariatem. Górny narzucił na głowę kaptur kurtki, widząc, że deszcz ze śniegiem znowu zaczyna zacinać po szybach.

– Muszę coś załatwić. – Julia zamknęła za sobą drzwi auta i poprawiła torbę na ramieniu.

– Teraz? Za niecałą godzinę przyjdzie ten glina od działki.

– Zdążę, zadzwonię tylko w jedno miejsce i zaraz wrócę – wyjaśniła pokrętnie.

Górny spojrział w sine niebo, po czym wskazał brodą gmach komisariatu.

– Tam jest sucho i ciepło. Zadzwońisz ze środka.

– Potrzebuję powietrza – odpowiedziała.

Obróciła się na pięcie i zaciskając kołnierz płaszcza, ruszyła przez skwer w stronę płaskiego budynku kina Muranów.

O tej porze dnia kino było puste, sprzedaż biletów miała ruszyć dopiero za kilka godzin. Lubiła kina studyjne, w szczęśliwszych czasach zaglądała do nich częściej. Ambitne filmy i niewielkie sale przyciągały ją o wiele

bardziej niż rozbudowane mołochy w centrach handlowych. Kiedy była tu po raz ostatni? Chyba ze dwa lata temu, albo i jeszcze dawniej. Rozejrzała się po ścianach z plakatami filmów i zatrzymała wzrok na afiszu, z którego patrzyło na nią sześć par zadziwionych oczu. Postaci z filmu *Happy end* siedziały przy stole nadmorskiej restauracji i zamiast oglądać fale za oknem, obróciły się w jej stronę.

– Zaczynam wariować jak mój ojciec – powiedziała sama do siebie i ruszyła prosto do kinowej restauracji.

Za lustrzanym blatem kręciła się młoda dziewczyna, czyszcząc maszyny do kawy. Na widok gościa powiedziała głośno „dzień dobry” i szybko dodała, że otwierają dopiero za godzinę.

Julia nie zamierzała niczego zamawiać. Chciała tylko usiąść w ciszy i zastanowić się, czy to, co zamierza zrobić, ma sens. Wsunęła się za podłużny stół i usiadła na kanapie przypominającej siedzisko ze starego pekaesu. Położyła przed sobą telefon. Długo wpatrywała się w ciemny wyświetlacz, w końcu włączyła listę kontaktów i wcisnęła zieloną słuchawkę.

Oczekiwanie na zwykłe „halo” było męczarnią. Kiedy odezwał się głos, zaczęła mówić najspokojniej, jak tylko potrafiła.

– To ja.

– Widzę. – Głos Maciejewskiego podszyty był pogodną nutą. – Nadal mam cię w kontaktach.

– Jako „Spaprane życie”?

– Zdziwiłabyś się. Jesteś „Julia ICE”.

– *In case of emergency*? Jeśli coś ci się stanie, zadzwonią prosto do mnie.

– Byłaś moją najbliższą osobą.

– Trafnie powiedziane: byłam. Zmień to, już czas najwyższy. To nie ja powinnam być powiadamiana, kiedy wpadniesz pod pociąg.

Zaśmiał się rozbijając.

– Widzę, że dobrze mi życzysz. Mogłaś rzucić mnie choćby pod zwykły samochód, ale nie. Nie ma to jak czołowe z pociągiem.

– Mam sprawę. – Julia zerknęła na zegarek. Chciała załatwić temat szybko i wrócić na komendę. – Potrzebuję twojej rady.

– Skądś już to znam. Kiedyś też potrzebowałaś.

– Gdybym nie musiała...

– Wiem, Julia. Nie traciłabyś swojego cennego czasu, żeby zapytać po prostu, co u mnie słyhać. Szkoda.

– Dobrze więc. Co słyhać?

Odchrząknął, ale nie zamierzał opowiadać o tym, co wydarzyło się od ich ostatniego spotkania.

– Czego ode mnie chcesz? Trafił ci się kolejny świr? – zapytał wprost.

– Ktoś zabija kobiety. U jednej upozorował gwałt. Chcę się dowiedzieć, czym może się kierować.

– Mam ci odpowiedzieć w tej chwili i na podstawie tylko jednej informacji? Jestem psychiatrą, nie jasnowidzem. Badanie takich przypadków to proces. Chcesz mojej rady? Poszukaj dobrego profilerą. Macie takich u siebie w policji.

– Nie pracuję w policji, Artur.

– No tak. Ale chyba utrzymujesz z nią ciepłe stosunki. Takie przynajmniej odniosłem wrażenie.

Poczuła się i dobrze, i głupio zarazem. Maciejewski starał się, jak mógł, ale nawet on ze swoim bon tonem nie był w stanie ukryć zazdrości.

– Moje stosunki z policją pozostają poprawne – odpowiedziała oględnie. – A złośliwość nigdy do ciebie nie pasowała.

Usłyszała kolejne chrząknięcie.

– Słusznie. Nie mam prawa cię oceniać.

Nie masz, przyznała w duchu.

– Powinnaś ułożyć sobie życie – ciągnął Maciejewski. – Choć, przyznam, kiedy zobaczyłem was razem, po pogrzebie Rawskiej... To nie było dla mnie łatwe. Nie wiem, co mi strzeliło wtedy do głowy, ale pomyślałem, że to nie tak miało być, że ktoś tu popełnił błąd. Jednak kiedy nie odpowiedziałaś na mojego esemesa przez tydzień, dwa, a potem miesiąc, dotarło do mnie, że jednak wszystko jest na swoim miejscu. Zawsze byłaś racjonalna i nic się nie zmieniło. Musi zostać, jak jest. Nie ma co komplikować sobie życia. I tak jest już wystarczająco popieprzone.

Powinna wytłumaczyć mu, że nie odezwała się ze strachu przed samą sobą. Zamiast tego potarła tylko ramiona, czując, jak pod ciepłym materiałem płaszczu cierpnie jej skóra.

– Fakt. Musi zostać – odpowiedziała. – Takie jest prawo bezsensu.

Maciejewski zawahał się.

– Nie ma takiego prawa, przynajmniej nic mi o nim nie wiadomo. To my schrzaniliśmy sprawę.

Milczeli przez dłuższą chwilę, przetwarzając w myślach wypowiedziane słowa.

– Jeśli to już wszystko... – odezwał się wreszcie Artur. – Miło cię było słyszeć, ale mam robotę, Julia.

– Zaczekaj! Ten człowiek, o którym ci powiedziałam... On znowu zabije.

– Nie mam na to wpływu.

– Następna będzie moja siostra – dodała, nie mając więcej argumentów.

– Siostra?

– Lidia. Druga córka mojego ojca. Znasz historię mojej rodziny.

– Tak, znam. Lidia, ty i... był jeszcze brat. Najstarszy, z kawalerskich czasów twojego staruszka, jeszcze zanim poznał Emilię.

– O nim się w ogóle w naszej rodzinie nie mówi. Ojciec nawet nie wspomina jego imienia. Może i dobrze, bo matka by już całkiem wyskoczyła ze skóry. Jak powiedziałam, chodzi o Lidię. Wpakowała się w kłopoty, i to cholerne.

Słyszała, jak klika palcem w klawiaturę komputera.

– Jutro, dziesiąta rano – powiedział wreszcie. – To mój jedyny wolny termin.

– U ciebie w klinice?

– Tak. Ale nie nastawiaj się na wiele. Jestem tylko zwykłym lekarzem, który grzebie ludziom w mózgach, pamiętaj o tym.

Rozłączył się, zanim zdążyła mu podziękować. Schowała telefon i podeszła do baru. Poprosiła o szklankę wody. Wypiła ją duszkiem do ostatniej kropli.

– Dobrze się pani czuje? – spytała młoda barmanka. – Nieszczególnie pani wygląda. Może podam coś mocniejszego? Spod lady, bo oficjalnie to na procenty jeszcze za wcześnie.

– Nie trzeba, woda wystarczy – odpowiedziała Julia, odstawiając pustą szklankę.

Podziękowała barmance, po czym ścisnęła się w talii paskiem i postawiła kołnierz płaszcza.

Wyszła przed kino. Zimne powietrze owiało jej twarz i włosy. Za dziesięć minut czekało ją i Górnego spotkanie z właścicielem działki z feralną studnią. Nie mogła się spóźnić, od tej rozmowy mogło wiele zależeć. Ruszyła szybkim krokiem do budynku komisariatu.

Kiedy weszła do sali, najpierw w jej kierunku obróciła się głowa właściciela działki przy Prozy 22A, a zaraz potem towarzyszącej mu kobiety.

Mężczyzna, choć siedział na krześle, wydawał się wyjątkowo postawny, do tego napakowany mięśniami. Miał na sobie odprasowaną błękitną koszulę z rękawami podwiniętymi powyżej łokci. Kobieta była dużo drobniejsza. Szatynka o pospolitej urodzie, ubrana skromnie – w szarą spódnicę i białą bluzkę. Wokół szyi miała zawiniętą burą chustę, którą poprawiała odruchowo, przekręcając to w jedną, to w drugą stronę.

Górny stawiał akurat przed gośćmi plastikowe kubki z wyciśniętą z ekspresu kawą.

– To państwo Morawscy. Beata i Rafał – poinformował Julię, po czym usiadł na wprost nich i zapisał coś w otwartym laptopie.

Julia zauważyła, że tylko kobieta kiwnęła jej głową na przywitanie. Morawski zajęty był monotonnym stukaniem o blat biurka swoim dowodem osobistym. Górny mocno przesadził, mówiąc, że jest zszokowany znaleziskiem na swojej posesji. W jej oczach wyglądało to inaczej. Glina, przypominała sobie. Opanowany i nieokazujący uczuć. Dobrze wyszkolony.

– Julia Krawiec – przedstawiła się, dodając, że działa z ramienia prokuratury. Zignorowała zaskoczony wzrok Górnego, który na tę rewelację oderwał się od wpisywania danych do laptopa. – Jak rozumiem, małżeństwo? – spytała, patrząc po kolei na twarze przybyłych.

– Już nie – odparł Morawski. – Jesteśmy po rozwodzie. Była żona uparła się, żeby przyjść tu ze mną, choć nie wiem po co.

– To chyba naturalne, że chcę wiedzieć o wszystkim, co ma związek z ojcem moich dzieci – wyjaśniła kobieta. – Jeśli pojawią się kłopoty...

– Już się pojawiły. – Julia zdjęła płaszcz i przerzuciła go przez oparcie krzesła.

– Tak, słyszałam... zwłoki w studni. Oboje jesteśmy w szoku. Nie wiem, jak to wyjaśnić, ale ja od dawna przeczuwałam, że to miejsce przyniesie mu nieszczęście.

– Co ma pani na myśli? – Julia przysiadła obok Górnego, na wprost Morawskich.

– Zła energia. To się po prostu czuje. Mówiłam mu, że popełnia błąd. Morawski rzucił swojej eks krzywe spojrzenie.



– Powiedz po prostu, że nie chciałaś, żebym się od ciebie wyprowadził.

Kobieta poruszyła się niespokojnie na krześle.

– Może dzięki temu nie siedziałbyś tu teraz – odparła mu. – Mówił, że to okazja i że ceny gruntów cały czas rosną – zwróciła się tym razem do Julii i Górnego.

Dowód osobisty po raz setny uderzył kantem o blat.

– Kawał ziemi z domem za niecałe trzysta tysięcy. Byłbym głupi, gdybym tego nie wziął.

– Biznesmen... to doprawdy zabawne... – parsknęła kobieta. – Nie masz pojęcia o nieruchomościach. Co innego miałeś wtedy w głowie, tę rudowłosą swołocz.

Ściął ją spojrzeniem. Zasznurowała usta, ale widać było, że miała ochotę na dorzucenie kilku dodatkowych komplementów pod jego adresem.

– Co konkretnie chce pan wiedzieć? – spytał Górny Morawski.

Adam nieśpiesznie zerknął w monitor. Obserwowanie tej dwójki było dużo bardziej fascynujące niż uzupełnianie danych osobowych. Nie miał wątpliwości, że ich drogi rozeszły się dawno temu i nie łączyło ich już nic poza wzajemną niechęcią i wspólnymi dziećmi. Przyczyna rozwodu: „swołocz”. Pewnie młodsza i ładniejsza.

– Miejsce pracy? – spytał, chcąc uzupełnić do końca dane w formularzu.

Morawski skrzyżował ręce na piersiach.

– Wydział Prewencji Warszawa-Bemowo.

– Przy Pirenejskiej?

– Zgadza się. Tylko nie próbujcie robić mi smrodu w robocie. Nic nie wiem na temat tego cholernego ciała w mojej studni.

– Chciał ją pan zalać betonem – wtrąciła się Julia. – Skąd ten pomysł? Zaciśnięte ramiona mężczyzny zakołysały się z lekka.

– Szef ekipy już wam to wyjaśnił.

– Ogrodowa altana? – odezwał się Górny.

– A co w tym dziwnego? Chciałem postawić w ogrodzie stół i krzesła. Zadaszyć, żeby na głowę nie padało. Po co mi studnia, nie żyjemy w dziewiętnastym wieku. Wodociąg jest w ulicy, wystarczy podciągnąć.

Sięgnął po kubek z kawą. Nie zamierzał pić, powąchał jedynie zawartość i odstawił go na bok.

– Kawa niedobra? – spytała Julia. – Fakt, woda tu fatalna, sam chlor. Szkoda zdrowia.

Przez twarz Morawskiego przebiegł pobłażliwy uśmiezek.

– Zdrowie w naszym fachu to podstawa. Dobrze, że się rozumiemy.

Julia podniosła się, żeby nalać sobie podłej kawy, po czym ostentacyjnie przełknęła ją i wytarła kąciki ust.

– To, czy się rozumiemy, dopiero się okaże – odparła. – Proponuję zacząć od odpowiedzi na moje pytanie: skąd pomysł na zasypianie studni?

Morawski przyjrzał się jej, jakby postradała rozum.

– Dlaczego beton? – doprecyzowała. – I to o tej porze roku. Łatwiej zasypać studnię piaskiem albo żwirem.

– Powiedziałem przecież...

– Słyszałam, mam dobry słuch. Tyle że brak mi tu logiki. Beton to duży koszt, a cena wysokogatunkowej betonowej masy, która jest w stanie związać się w niskiej temperaturze, dodatkowo go podwaja. Nie szkoda na to pieniędzy? Jako biznesmen powinien pan umieć liczyć. Musiało panu bardzo zależeć na tym, by prace wykonano właśnie teraz. Skąd ten pośpiech? Dlaczego nie chciał pan poczekać z tym do lata?

Nie spuszczała go z oczu. Musiał zastanawiać się, skąd prawa ręka prokuratora zna ceny betonu i sposoby jego wiązania. Tak naprawdę nie miała o tym pojęcia aż do chwili, kiedy wbiegła do budynku komisariatu. Zanim pchnęła drzwi salki, przejrzała na stronie „Muratora” podstawowe informacje.

– To ma być zarzut? – Morawski zmarszczył brwi. – Moje pieniądze i moja studnia.

– Na jej dnie znaleziono zwłoki – przypomniała Julia. – Jako policjant zdaje pan sobie chyba sprawę...

– Nie musi mnie pani oświecać. I radzę nie silić się na zastraszanie mnie i rzucanie podejrzeń. To miał być taki tani chwyt, że zima, że beton? Żałosne.

Beata Morawska posłała Julii przepaszające spojrzenie.

– Niech pani wybaczy. Chyba wszyscy źle zaczęliśmy tę rozmowę. To przez nerwy. Mąż miał na myśli, że było mu obojętne, co zastosują ludzie z budowy. Miało być tylko dobrze zrobione. A pieniądze ma, po rodzicach.

– Nie potrzebuję obrońcy – przerwał żonie Morawski. – Powiedziałem już, że nic nie wiem na temat porzuconego ciała. Kupiłem ziemię razem z trupem i tyle mojej winy w tym wszystkim.

– Nie chcemy skandalu – dodała niepewnie kobieta. – Ta sprawa mogłaby źle wpłynąć na pracę męża. Po co robić zamieszanie?

– Nic mi nie zrobią, znam kogo trzeba.

– Chcę tylko, żebyś miał spokój – wytłumaczyła, kładąc dłoń na jego dłoni.

– Przestań, powiedziałem...

Odsunął się ostentacyjnie, jakby jej dotyk był dla niego wstrętny.

– Nasza rodzina też ma dosyć własnych zmartwień – mówiła dalej Morawska. – Proszę nam nie dokładać kolejnych. Przecież ta działka... mąż kupił ją od gminy. Bóg wie, do kogo należała wcześniej. Była opuszczona i zdewastowana. Widzieli państwo dom, to przecież ruina. Mąż chce go wyburzyć i postawić nowy. Dla siebie i swojej nowej partnerki – dodała.

Nie użyła już słowa „swołocz”. Lanie żółci na niego i jego kochankę, która miała zasiedlić nowe gniazdko, pewnie przyniosłoby jej ulgę, jednakże powstrzymała emocje.

Morawski musiał uznać, że dobrze się sprawiła, bo nawet złagodniał na twarzy. „Partnerka” zabrzmiało całkiem przyzwoicie. Dodatkowo stanęła w jego obronie. Krótka wojenka wywołana emocjami sprzed kilku minut skończyła się szybciej, niż się zaczęła.

Zrobił więc to, czego oczekiwała: spojrział na nią z wdzięcznością. Cieszyła się tym, dopóki w kieszeni Morawskiego nie zabręczała komórka.

– Tak, kochanie? – powiedział do telefonu obojętnym tonem. – Na Nowolipkach, mówiłem ci przecież. Niczego ode mnie nie chcą. Już im wszystko powiedziałem, zaraz kończymy. Tak, jest ze mną. Sama chciała... Uspokój się, nie wariuj... To nie był mój pomysł. Pogadamy w domu.

– To ona – powiedziała Beata, kiedy się rozłączył. – Kazała mu kupić tę ziemię, niech pan to dopisze do raportu – zwróciła się do Górnego. – Wszystko dzieje się przez nią.

Morawski wstał od stołu. Zdjął swój płaszcz z wieszaka i przerzucił go przez ramię.

– Limit tolerancji już ci się wyczerpał? Lepiej będzie, jeśli stąd wyjdziemy, zanim każde z nas powie o kilka słów za dużo. No, rusz się, koniec przesłuchania.

– Niech się pan tak nie śpieszy. – Górny zatrzymał go, zanim zdążył podejść do byłej żony i wyciągnąć ją za drzwi. – Kim jest „ona”? Imię

i nazwisko.

– Pilar Ortega – wyrzuciła z siebie Morawska.

– Brzmi egzotycznie. Hiszpanka?

Przytaknęła.

– Zachciało się jej domu. To ona wskazała miejsce, tę działkę. Proszę to zaprotokołować – powtórzyła.

– Potwierdza pan, że to Pilar Ortega nakłoniła pana do nabycia nieruchomości? – spytał Górny.

Morawski zawahał się.

– Nie potwierdzam – odparł, poprawiając kołnierz jesionki. – Pilar nie ma z tym nic wspólnego. Jest czysta.

– Jak heroina... – prychnęła Beata.

Morawski podszedł do niej i pociągnął za ramię. Podniosła się posłusznie. Julia z Górnym obserwowali, jak podaje jej płaszcz i pomaga wsunąć ręce w przywąskie rękawy.

– Czekam na sygnał, kiedy będę mógł wznowić prace na posesji – powiedział, kładąc dłoń na kłamce.

– Obawiam się, że nieprędko – schłodziła jego zapędy Julia. – Martwy człowiek to nie zdechły pies, panie Morawski.

– Na pewno znajdziesz sposób, by wytłumaczyć to jakoś Pilar. Jest cierpliwa, więc i tym razem poczeka na tę swoją altanę – skomentowała Beata, próbując zapanować nad ironią w głosie.

Wyszli w towarzystwie Górnego, nie odzywając się więcej do siebie ani słowem. Sprowadził ich na dół i przez chwilę obserwował przez okno, jak oddalają się od budynku komisariatu. Po cichu liczył na to, że przedstawienie, jakie odegrali, było zwykłą grą, by namieszać mu w głowie. Wskazać dyskretnie na „swołocz”, która być może stała się dla Morawskiego zbyt uciążliwa, a raj, na jaki liczył po rozwodzie, okazał się udręką. Kiedy trafiła się okazja, by wyeliminować Pilar, dogadał się ze swoją byłą, by ta wyciągnęła go z kłopotu. Przecież Morawska ewidentnie próbowała go bronić. Nieudolnie, ale jednak. Bez mrugnięcia okiem wskazała, kto nakłonił jej byłego męża do kupna posesji. W jego ustach to samo oskarżenie nie wypadłoby już tak wiarygodnie. Dlatego przyszli oboje, a ich zainscenizowana utarczka miała nadać autentyczności ich na pozór trudnej relacji. Prawdziwie mistrzowskie posunięcie, tylko dlaczego wciąż szli odsunięci od siebie o dobrych kilka metrów?

Górny stracił ich z oczu, gdy zniknęli za rogiem ulicy. Do sali na piętrze wrócił z nietęgą miną.

– Niezła farsa. – Julia wyjęła z torby batonika proteinowego i ugryzła.  
– Małżeński trójkąt z trupem w tle.

Górny wyciągnął rękę po odłamany kawałek batona. Od tego wszystkiego zaczęło go ssać w żołądku.

– Spróbuj znaleźć ją w sieci. Tę kochankę, Pilar – powiedziała Julia.

Otworzył przeglądarkę w laptopie i wpisał nazwisko kobiety. Google wyrzuciło w grafice kilkanaście zdjęć rudowłosej piękności.

– Niezła sztuka. – Górny zapatrzył się na ekran.

– Pokaż. No, niezła – przyznała. – Młoda i świeża jak trawa na wiosnę.

– I ruda jak ty.

– Naucz się odróżniać kolory – fuknęła Julia. – Pokaż lepiej, co o niej piszą. Śpiewaczka, sopran koloraturowy. Grubo. Nic dziwnego, że Morawski stracił rozum dla tego słowika.

– Ona śpiewa, a on wokół niej tańczy. Na moje oko, tylko z pozoru. Tak czy siak, piękny duet.

– Raczej tercet. Nie zapominaj o byłej żonie. Zauważ, że nie stoi w cieniu, jest aktywna aż za bardzo. Poza tym, że nienawidzi tej rudej śpiewaczki, odsuwa od swojego eks wszystkie podejrzenia.

– Też to zauważyłaś. Coś tu ewidentnie nie gra. Albo nie znam się na kobietach, albo...

Julia wytarła usta z okruchów po batonie.

– Jest w niego zapatrzona, Górny. To, że Morawski zastąpił ją inną kobietą, nie znaczy, że przestała o niego walczyć. Liczy, że jeśli stanie po jego stronie, on do niej wróci.

– Ma do tego dodatkowy argument w postaci ich wspólnych dzieci. To jest jakaś przewaga nad hiszpańską diwą, nie sądzisz?

Julia pokręciła głową.

– Sam jesteś jak dziecko, Górny. Naiwny do bólu. Fakt posiadania wspólnego potomstwa nie ratuje związków. Jeśli facet nie kocha matki swojego dziecka, żadna abrakadabra nie zadziała. Ktoś, kto chce odejść od rodziny, zrobi to.

– Mówisz to z własnego doświadczenia?

– Moje doświadczenie nie ma z tym nic wspólnego. Wystarczy znać kilka podstawowych zasad na temat działania męskiej psychiki.

– Co ty powiesz? – Górny musnął palcem nie do końca czystą brodę Julii, do której przyklepiła się odrobina masła kakaowego. – Taka z ciebie znawczyni?

– Prawda jest taka, że nie jesteście męczennikami w sprawach, które wam nie leżą. Facet, który robi wyjątek i zostaje przy niekochanej kobiecie, robi to wbrew sobie. Udaje, że stoi za tym jakaś wyższa idea, zwykle jest nią właśnie dziecko. Ale w końcu mu się ulewa, bo ile można udawać. Wtedy bierze walizkę i znika. Co czuje do kobiety, która tak usilnie próbowała go przy sobie zatrzymać? Odrazę. Bo zmarnował przez nią kawał życia. Warto o to walczyć? O tych kilka dodatkowych miesięcy czy nawet lat? Według mnie nie. Słabe to i ponizające.

– No nie wiem. Nie każda kobieta ma tyle siły, by wypuścić gościa i zostać z dzieckiem sama.

– Kobiety są silniejsze i mądrzejsze, niż ci się wydaje. Szkoda tylko, że w to nie wierzą. Wierzą natomiast w takie abstrakcje jak powroty ich mężów. – Julia zgarnęła ze stołu kubki po kawie i wrzuciła je do kosza. – A teraz zbieraj ten stragan, przenosimy się do twojego gabinetu. Potrzebuję dojścia do wewnętrznej bazy danych. Ktoś przecież musiał zgłosić zaginięcie tej kobiety ze studni.

Adam bez szemrania wyciągnął kabel laptopa z kontaktu, skręcił go na dłoni i stanął wyczekująco pod drzwiami.

– Wiesz, że to szukanie igły w stogu siana – stwierdził, gdy znaleźli się na korytarzu. – Nie wiemy nawet, ile miała lat.

– Pierwsze siwe włosy pojawiają się średnio po dwudziestym piątym roku życia. Są ledwie dostrzegalne, nikt w tym wieku nie siwieje aż tak mocno. Ta kobieta z pewnością przekroczyła trzydziestkę. Dlatego skupimy się na zaginięciach kobiet w wieku trzydzieści plus. Przefiltrujesz dane z całego Mazowsza, jakie wpłynęły w ciągu ostatnich dwóch lat. Ciało mogło leżeć w studni pół roku albo dłużej, lepiej zostawić sobie większy margines. Ja przejrzę statystyki wykrytych utopień. Może znajdę jakieś przypadki podobne do naszych.

– Myślisz, że mogło być ich więcej?

– Wszystko jest możliwe.

Z korytarza przeszli do gabinetu z czterema biurkami. Znad jednego, stojącego w kącie, uniosła się głowa Leśniara, czterdziestodwulatka

o facjacie licealisty. Z tego, co Julia pamiętała ze swojej imprezy pożegnalnej, to właśnie on kręcił się z aparatem fotograficznym, robiąc zdjęcia ludziom z wymuszonymi uśmiechami. Wyglądał wtedy tak samo jak dziś: ostrzyżony na żołnierza, w dresowej bluzie i spodniach w kant. Mało o nim wiedziała, tylko tyle, że służbista, ale nie fanatyczny, raczej skrupulatny niż drobiazgowy. Po kątach plotkowano, że żyje bez żony, za to z nadopiekuńczą matką, która nie pozwala mu dorosnąć.

– Julia Krawiec? – Na ich widok Leśniar wstał zza swojego biurka. – Popatrz no, jak to góra z górą się nie zejdzie.

Począł, aż Julia pierwsza wyciągnie do niego rękę. Życie z matką nauczyło go podstawowych zasad kurtuazji, ale przyblokowało też naturalny męski odruch, jakim jest silny uścisk dłoni. Dlatego ten wypadek delikatnie i dość kobieco.

– Cieszę się, że cię widzę. – Leśniar dorzucił do uścisku ciepły uśmiech. – Gdybym wiedział, że wpadniesz, zorganizowałbym jakieś pączki.

– Pączek dobra rzecz. Następnym razem dam ci znać – zgodziła się natychmiast na myśl o różnym nadzieniu i płatkach migdałów na wierzchu.

Leśniar pokazał uniesiony kciuk.

– Podobno prokuratura wciąż lubi cię mieć pod ręką – zagaił.

– Podobno – odparła Julia.

Pokiwał z uznaniem głową.

– Lepsza pomoc Górnemu nie mogła się trafić. A co dwie głowy, to nie jedna. Wybrał najlepszą.

– Dobrze już, dobrze, Leśniar. To było wzruszające powitanie, a teraz daj nam popracować. – Adam rozejrzał się po pustych biurkach. – Gdzie reszta załogi? Szymański, Młoda?

Młoda była po pięćdziesiątce; kobieta cywil zatrudniona do roboty papierkowej. Znalazła się u nich tymczasowo, w oczekiwaniu na dokooptowanie biurka w dziale archiwum. Wcale nie śpieszyła się do przenosin na inne piętro, sprawy kryminalne Górnego interesowały ją dużo bardziej niż skanowanie dokumentów i tworzenie baz danych.

– Oboje pojechali na spytki do przedszkola, w którym pracowała Majewska. Młoda uznała, że wychowawczyni łatwiej otworzy się przed kobietą niż przed Szymańskim. Powęszy tu i tam, zajrzy, popyta. Kto pyta, nie błądzi.

Górny przewrócił oczami i usadowił się przy biurku naprzeciwko Julii, zajmując stanowisko Szymańskiego.

– Dawno pojechali? – rzucił jeszcze w stronę Leśniara.

– Dawno. Zaraz powinni wrócić, bo Szymański ma za pół godziny spowiedź u Madejskiego. Ty zresztą też – dodał.

Górny spojrzał na zegarek, dochodziła jedenasta.

– Mało czasu.

– Czas to pieniądz – rzucił Leśniar i schował się za swoim monitorem.

– Ten gość działa mi na nerwy. – Adam zaczął uderzać palcami w klawiaturę, jakby zaraz miał ją roznieść. Zalogował się do stacji, po czym podszedł do biurka Julii i zrobił to samo na drugim komputerze. – Wiesz, co gdzie jest, możesz zaczynać.

Bazy danych – jej wielka miłość i kopalnia wiedzy. Gdyby mogła przenieść je do swojego mieszkania przy Czerniakowskiej, byłaby w siódmym niebie.

Wprowadziła do wyszukiwarki kryteria, wpisując zakres dat od stycznia 2016 do marca 2018. Interesowały ją wszystkie przypadki śmierci w wodzie i przez wodę: rzekę, jezioro, staw, zalew, morze. System wyrzucał po kolei liczby. Pięć utonięć dwa lata temu, w ostatnim roku siedem. Zgony niosły głównie rzeki i jeziora. Niestrzeżone miejsca, w których miło pije się alkohol i skacze na główkę albo w przypiływie fantazji płynie na drugi brzeg. Nazwiska, wiek i adresy topielców przewijały się przez monitor, ale szukała przede wszystkim zbrodni, a nie nieszczęśliwych wypadków. Utopienia celowe trafiały się rzadko i dotyczyły głównie niemowląt. Było ich zaledwie dwa – oba wywołane depresją poporodową matek. Utopień dorosłych kobiet nie było wcale.

– U mnie nic. – Opadła zrezygnowana na fotel. – Jak widać, ludzie wybierają łatwiejsze rozwiązania aniżeli szarpanie się z kimś w wodzie. A ty masz coś?

– Poczekaj... tak, z dwóch ostatnich lat mam dwadzieścia trzy nazwiska kobiet.

– Odfiltrowałeś te, które się odnalazły, i te, które znaleziono martwe?

Górny podszedł do drukarki, która wyrzuciła raport z danymi.

– To są wszystkie niewyjaśnione sprawy. – Położył przed Julią osiem stron z listą nazwisk i adresów oraz fotografiami.

Pod każdą podobizną znajdowała się krótka informacja o okolicznościach zaginięcia. Wyszły z domu do sklepu całodobowego, nie



wróciły z pracy lub imprezy. Tych ostatnich było najwięcej. W kilku przypadkach rodziny wraz ze zgłoszeniem zaginięcia informowały o tym, że zniknęły ubrania z szafy i paszport. Ucieczki od bliskich były jednak rzadkością. Tak czy inaczej, kobiety rozplęwały się w powietrzu, a dramat ich rodzin trwał.

– Koszmar. – Julia nie mogła oderwać wzroku od twarzy kobiet. – Na każdą z nich ktoś czeka.

Przekładała kolejną kartkę, kiedy drzwi do gabinetu się otworzyły i stanął w nich Szymański. W jednej ręce trzymał notes, w drugiej zdjętą w biegu kurtkę. Na widok Julii i Adama kiwnął głową.

– Miło widzieć – powiedział, wieszając kurtkę na wieszaku. – Zwłaszcza ciebie, Julia.

Leśniar już otwierał usta, by powtórzyć przysłowie o schodzących się górach, jednak Górny powstrzymał go błyskawicznym ruchem ręki.

– Mnie również – odparła. – Mam nadzieję, że odżyłeś po odsunięciu Jareckiego z wydziału.

– Wszyscy odżyli. Choć tak naprawdę do tej pory nie wiem, co się z nim stało. Zniknął z dnia na dzień. Ale, jak rozumiem, musiał chwilowo zwinąć żagle.

Miała przemożną ochotę wytłumaczyć mu, że „chwilowo” może dla Jareckiego oznaczać wieczność. Obiecała jednak Sierackiej, że będzie trzymać język za zębami.

– W każdym razie odpłynął – skomentowała krótko. – Dowiedzieliście się czegoś w przedszkolu?

Szymański najpierw musiał poprawić fryzurę. Przejechał po włosach dłońmi, tworząc z nich efektowny czubek.

– Sam byłem, Młoda dostała pilny telefon od męża i musiała pojechać do domu. Facet ma wiecznie jakiś problem ze zdrowiem. Jak dla mnie to zaawansowana hipochondria. Ale Młoda i tak zrobiła dziś kawał dobrej roboty, więc nie mam pretensji. Wydębiła z banku Majewskiej informację o jej koncie. Okazuje się, że wpływały tam tylko gołe pensje. Kwot bank nie chciał podać, ale wiadomo, ile zarabiają nauczyciele. Jednym słowem, żeby opłacić swoje podróże, Majewska musiała kombinować coś na boku.

– Co z tym przedszkolem, Szymański...? – ponaglił go Górny.

– Już mówię. Widziałem się z dyrektorką. Ona i pozostałe wychowawczynie są załamane śmiercią Majewskiej. Robią zrzutkę na wieniec – dodał.

– A coś więcej?

– Dyrektorka twierdzi, że Majewska była wyjątkowo dobrą nauczycielką i nigdy nie nastęrczała problemów. Cytuję dosłownie z tym nastęrczaniem. Porządna, uczciwa i oddana pracy.

– Chodzący ideał – westchnął Górny. – Mówiła coś o jej życiu prywatnym? Ktoś szemrany przychodził po nią, kiedy kończyła pracę? Z kimś się spotykała?

– Nic z tych rzeczy, miała nieposzlakowaną opinię. Zero kłopotów, zero skarg od rodziców. Dzieciaki też za nią przepadały, miała do nich wyjątkowo dobre podejście. Dostała nawet kotylion pracownika roku. Ten tytuł nadają same dzieci, więc nie ma mowy o szwindlu. Dzieciaki są z natury szczerze, więc...

– Komuś jednak podpadła.

– Na pewno nie zawodowo. Kiedy skończyłem rozmowę z dyrektorką, pogadałem jeszcze z jedną z opiekunek. Powiedziała to samo: że żal i szok. Nikt nie wie, jak wytłumaczyć dzieciom, że ich ukochana wychowawczyni nie żyje. Traktowały ją jak przyjaciółkę, zwierzały się ze swoich sekretów i w ogóle, kleiły się do niej jak muchy do lepu.

– U dzieci to normalne – stwierdził Górny. – Wychowawczynie są jak liderzy grup rockowych. Każda ma swoich fanów. Mam rację, Julia?

– Niby tak – odparła machinalnie. – Choć nie przypominam sobie, żeby moja Sylwia za kimś aż tak bardzo przepadała. Przez jakiś czas podlizywała się kucharce, nie wychowawczyni. To trwało krótko, potem przestała jeść prawie w ogóle i kult kucharki umarł śmiercią naturalną.

Szymański zastanowił się nad jej słowami.

– Kucharka, mówisz... Tam też była taka jedna, mam na myśli, że w przedszkolu.

– Rumiana i cycata? – zaśmiał się Górny. – Zajrzałeś jej do garnków?

Ruda głowa Szymańskiego pokręciła się na boki.

– Spoważnij, stary. Mam na myśli, że miła i lubiana. Placówka miała szczęście do fajnych kobiet. Ale tamtej też już nie ma.

– Ludzie odchodzą. – Górny rozejrzał się za swoim kubkiem do kawy. – Jeśli ktoś jest dobry w swoim fachu, zawsze znajdzie pracę gdzie indziej.

Podszedł do kawiarki na kapsułki i włożył jedną do maszyny, po czym nacisnął przycisk, uruchamiając przepływ kawy. W pokoju natychmiast zapachniało gorącym kawowym napojem.

– Muszę trochę oprzytomnieć – powiedział, zanurzając usta w kubku.  
– Lura z salki konferencyjnej była jak błoto. Tobie też nalać, Julia?

– Nie, dzięki. Powiedziałaś, że tamta kucharka odeszła z pracy. – Julia wróciła do przerwane go wątku. – Wiesz dlaczego?

Leśniar znów miał rzucić w ich kierunku komentarz na temat kucharek, ale zrezygnował. Nikt z pozostałej trójki nie zwracał na niego uwagi.

– Nie wie tego nawet dyrekcja. – Szymański przysiadł na biurku i skrzyżował nogi w kostkach. – Po prostu pewnego dnia nie przyszła do pracy. Zrobiła dokładnie to samo co ta ostatnia zaginiona, Lidia.

Julia z Górnym wymienili spojrzenia.

– Mów dalej.

– Początkowo myśleli, że zachorowała lub miała jakiś wypadek.

– Ktoś się z nią kontaktował?

– Oczywiście. Telefonu nie odbierała, najwidoczniej nie chciała z nikim rozmawiać. Dopiero po dwóch dniach wysłała esemesa z informacją, że już tam nie wróci. Nie wyjaśniła dlaczego.

– Bardzo ciekawe. Myślę, że powinniśmy z nią pogadać. Może wie o czymś, co dzieje się w przedszkolu, a o czym my nie mamy pojęcia. Znasz jej nazwisko? – zapytała Julia.

– Nie spytałem, to była tylko luźna rozmowa przy okazji sprawy Majewskiej.

– To się dowiedz. Może ona rzuci nowe światło.

– Oby. To już trzecia kobieta z przedszkola, która nagle zapada się pod ziemię. Cholerny trójkąt bermudzki...

Nie było już czasu na telefonowanie do dyrektorki. Górny dopił espresso i razem z Szymańskim wyszli do gabinetu Madejskiego. Julia zebrała ze stołu rozrzucone kartki z wizerunkami zaginionych kobiet i upchnęła je do swojej torby.

\* \* \*

Po wyjściu z komisariatu podjechała pod podstawówkę córki. Miała zamiar zajść do dyrektorki i wyjaśnić sprawę oświadczenia, jakie Sylwia wystosowała na temat tego, co myśli o zajęciach w szkole, jednak w ostatniej chwili zrezygnowała. Zbyt ciężki poranek nie nastrajał jej do

trudnych rozmów. Wolała spędzić resztę dnia we względnym spokoju. Odczekała do ostatniego dzwonka i wysłała Sylwii esemesa, że czeka na nią na parkingu pod salą gimnastyczną.

Sylwia wybiegła ze szkoły i pożegnawszy się z Jagodą, wskoczyła na przednie siedzenie skody. Na wieść o tym, że zamiast wrócić do babci na Saską Kępę, pojedą do Ikei, dostała pąsów na policzkach.

– Potrzebuję nowych zasłonek, poduszek, dywanu i kilku obrazków na ścianę – wyrecytowała jednym tchem. – I chcę nową pościel.

– Jedziemy kupić łóżko dla mnie i na tym koniec. Za każdym razem, kiedy nocuje u ciebie Jagoda, nie mogę potem doliczyć się swoich kości. Za stara jestem na spanie na dmuchanym materacu.

– Jagoda mówi, że to zdrowo spać na twardym. Jej dziadek był wojskowym i spał w wojsku na podłodze, tylko na jednym kocu, i do tego bez poduszki. Na swoim karabinie spał. Bądź jak dziadek Jagody, mammo.

– O niczym innym nie marzę. Może to ja będę spała w łóżku, a wy z Jagodą na podłodze?

Sylwia zdążyła już przez smartfona powiadomić przyjaciółkę o planach na popołudnie i czekających ją szalonych zakupach.

– Nie ogarniasz tematu, mammo – powiedziała, nie odrywając wzroku od telefonu. – Starsi ludzie, jak ty, mają inne kości. Jagoda nie jest przyzwyczajona do niewygodnych rzeczy. Brzydkich też nie lubi, a mój pokój to najbrzydszy pokój świata! Wyciągnij z tego wnioski. I dlatego musisz mi kupić dużo rzeczy. Jagoda ma sopolkowy żyrandol. Epicki, z kryształków. Też taki chcę.

Lista życzeń rozrastała się wraz z klikaniem w telefon. Sylwia na zmianę pisała z przyjaciółką i przeglądała ofertę Ikei. Julia profilaktycznie zamilkła, nie chcąc wdawać się w dyskusję o tym, czego nie zamierza kupować, a na co liczy jej wiercząca się na siedzeniu obok córka.

Kiedy stanęły na parkingu przed sklepem, zapytała Sylwię, czy jest głodna, ale ta pokręciła głową. Nie miała teraz ochoty na nic poza buszowaniem po półkach. Głód wielkich zakupów zastąpił głód żołądka.

Julia dawno tu nie była. Do swojego mieszkania, podobnie jak Sylwia, wybrałaby chyba wszystko. Nie miała wprawdzie zamiaru brać wózka, chciała pójść prosto do działu z łóżkami, jednak machinalnie chwyciła za koszyk i zawiesiła na uchwycie wielką żółtą torbę.

– Patrz, mammo, to jest *cool*, i to też! – Sylwia łapała niemal wszystko, co znajdowało się w zasięgu jej rąk.

Żółta torba wypełniała się coraz bardziej. Kiedy mała odbiegła na kilka metrów, Julia zaczęła wyjmować z niej co droższe drobiazgi i odkładać na półki. Gdy dotarła do strefy z łózkami, dobiegł ją krzyk przerażenia.

– O noł, noł, noł! – Sylwia nurkowała właśnie w żółtej torbie. – Gdzie moje wszystko?! Czy ja jestem jakimś dziadem, że nie mogę mieć niczego ładnego? Za karę chcę mieć te waniliowe świece! Dokładam koc i nową poduszkę dla Jagody. Zresztą wcale nie będę cię pytać o pozwolenie. Uzbierałam sto trzydzieści złotych, więc kupuję za swoje!

Stała przy jednym z łóżek z zaciętą miną japońskiego wojownika, który za chwilę ma zaatakować mieczem każdego, kto odbierze prawo do kupna ozdób do zielonego pokoju.

Waniliowe świece. Kiedyś naciągnęła Julię na podobne, tyle że o zapachu słodkiego kokosa. Już po kilku minutach zgasła je, twierdząc, że się dusi, po czym po cichu wyniosła je do pokoju mamy, żeby nie trzymać u siebie „śmierdziuchów”. To samo było swego czasu z „koniecznie muszę mieć ten złoty wazon” i „umrę bez tablicy magnetycznej”. Po chwilowym zachwycie dekoracje tylko zbierały kurz i zawadzały. Julia zgodziła się na koc i poduszkę, ale zaznaczyła, że na tym koniec. Musiała wreszcie zająć się najważniejszą rzeczą.

To musiała być wersalka, rozkładana i na tyle wygodna, żeby mogła na niej nie tylko spać, ale i pracować. Planowała postawić ją na wprost pomalowanej na czarno ściany, tak by w każdej chwili mogła widzieć swoje zapiski.

– Co powiesz na tę? – Julia klapnęła na kwiecistą kanapę z podłokietnikami.

Sylwia natychmiast się przysiadła, a potem wyciągnęła na całej długości, kładąc stopy na kolanach mamy.

– Wygodna, ale brzydka. Kup jakąś nowoczesną, tamta jest super!

Podskoczyła do kolejnej, czerwonej na metalowych nóżkach. Wyglądała na mebel wpasowujący się do poczekalni w gabinecie kosmetycznym, ale na pewno nie do funkcjonalnego mieszkania. Kanapa tylko jęknęła pod ciężarem opadającej na nią Sylwii. Dziewczynka odbiła się od chłodnej tapicerki z niesmakiem.

– Do bani. – Podniosła się, rozcierając pośladki. – A to co? Mamo, ja to muszę mieć!

Wzrok Sylwii zatrzymał się na rozwieszonym nad łóżkiem baldachimem z tiulu. Szybka kalkulacja, ile musiałyby wysupłać z własnej portmonetki, by zapłacić za wszystkie wymarzone przedmioty, wywołała na jej twarzy chmurność.

– Mamuniu, ty przecież wiesz, jak ja cię kocham! – Oczy Sylwii zaszyły mgłą. – Ja już niczego nie chcę, ani obrazków, ani świeczek, ale to muszę...

– Nie dalej jak miesiąc temu chciałaś przerobić swój pokój na czarną pieczarę – przypomniała jej Julia. – O ile się orientuję, w pieczarach nie wiesz się baldachimów.

Argument nie zadziałał. Sylwia wyjęła z żółtej torby nazbierane drobiazgi i zamiast nich wsunęła zapakowany bieluteńki baldachim. Poduszka dla Jagody została, tego jednego nie chciała się pozbyć.

Stało na niewielkim szarym narożniku z funkcją spania. Julia dobrała jeszcze jedną poduszkę i dodatkową kołdrę, na wypadek gdyby Adam miał u niej jeszcze kiedyś nocować. Sylwia tylko przewróciła oczami, wiedząc, co się święci, ale nie powiedziała ani słowa. Od dnia ślubu Emilii i Edmunda Górny wszedł do rodziny, wysłała mu nawet zaproszenie do znajomych na Facebooku.

Uzgodniły w magazynie, że kanapa przyjedzie na Czerniakowską za dwie godziny. Drobiazgi zapakowały do bagażnika – baldachim jako jedyny załapał się na jazdę na kolanach Sylwii.

Zbliżały się do swojego bloku, gdy zadzwonił Lipski. Julia przełączyła telefon na głośnomówiący, dając jednocześnie Sylwii znak, by ta nie odzywała się przez chwilę. Patolog zabierał się właśnie do badania ciała wydobytego z dna studni. Już od pierwszych słów wydawał się poruszony. Według niego kobieta mogła wciąż żyć, kiedy wrzucano ją do szybu. Po bardzo pobieżnych oględzinach rąk stwierdził, że najprawdopodobniej próbowała się wyswobodzić z więzów, czego miały dowodzić liczne ślady na pozostałościach po miękkich tkankach, które wciąż trzymały się wokół kości dłoni. Jak długo leżała na dnie szybu i ile miała lat w chwili śmierci – na te informacje było o wiele za wcześnie. Jeszcze tego samego dnia Lipski miał pobrać do badania szczękę, miednicę, kości udowe oraz ramienia. Kolejne kroki to analiza aktywacyjna i badanie okresu połowicznego rozpadu pierwiastków.

– Ile czasu zajmie badanie? – spytała Julia, obawiając się najgorszego. Lipski cmoknął nieprzyjemnie przez zęby.

– Kilka dni.

– A konkretnie?

– Konkretnie to pięć. I od razu ci powiem, że szybciej się nie da. To chemia, trzeba podzielać na kości deszczem atomów.

– Deszcz atomów – powtórzyła Julia. – Gdyby sytuacja nie była tak tragiczna, brzmiałoby to nawet fascynująco.

– Bo to jest fascynujące. – Lipski, jak jej się zdawało, właśnie potarł z podeksycytowania ręce.

Pięć dni czekania. Mogłaby dać mu tyle czasu, ile potrzebuje, gdyby na śmierci anonimowej kobiety ze studni miałyby się zakończyć. Jednak zabójca był dopiero w połowie swojej roboty.

– Posłuchaj – zaczęła Julia. – Ja wiem, że dla ciebie to tylko praca i możesz pisać z zachwytu nad deszczem atomów, meteorów czy kwaśnym deszczem. Ale ja muszę wiedzieć na temat tej kobiety cokolwiek, i to nie za pięć dni, ale jutro.

– Nie da rady, Julia. Nauka to nie wyścigi konne, batem nie popędzisz.

– Zbadaj jej zęby i kości czaszki. Nie trzeba do tego laserów ani innych fajerwerków. Nie wymagam też, żebyś zrobił rekonstrukcję jej twarzy i ulepił z gliny jej podobiznę. Chcę tylko wiedzieć, ile miała lat.

– Zęby, mówisz? – Lipski znów cmoknął do słuchawki. – To akurat mogę. Wiesz, że nie znoszę partackiej roboty i podawania niedokładnych wyników badań, ale niech ci będzie. Obejrzę zęby i czaszkę.

– Na jutro – upewniła się Julia.

– Zadzwoń w południe, postaram się już coś mieć dla ciebie.

Rozłączyła się. Milcząca do tej pory Sylwia zrobiła ciche „uuufff”.

– Wszystko w porządku, kochanie? – Julia spojrzała na córkę z niepokojem.

– Nie za bardzo. – Sylwia wzruszyła ramionami, w których zaciskała swój nowy baldachim. – Zastanawiam się nad sensem ludzkiego istnienia.

– Poważna sprawa.

– Pewnie, że poważna. Nie chcę, żeby ktoś dłubał we mnie po mojej śmierci.

Julia stanęła pod blokiem i wyłączyła silnik.

– Głupstwa opowiadasz. Po co ktoś miałby w tobie dłubać?

– Nie wiem. Ale tamta pani od czaszki i zębów też nie wiedziała, że kiedyś coś takiego ją spotka. Ktoś ją zabił, prawda?

– Tak, ale ciebie nikt nie zabije. I jeszcze jedno. Nie rozpowiadaj o tym, co słyszałaś, w szkole.

– Nic a nic?

Julia zgromiła córkę spojrzeniem.

– Dobra, mam, luz – burknęła Sylwia. – Pamiętam o umowie. Za to cudeńko będę milczeć jak trup. – Pocałowała folię, przez którą prześwitywał jej nowy zakup.

Dostawca z Ikei zsunął karton po wysuwanej rampie na chodnik i pomógł Julii zatargać go pod windę. Dalej musiały radzić sobie z Sylwią same. Upchnęły kanapę do dźwigu na wcisk, same wciągając brzuchy, by móc się zmieścić w windzie razem z nią. Gdy wtaszczyły go wreszcie do mieszkania, Sylwia stanęła z nożyczkami gotowa do rozcinania opakowania.

– Zaczekaj. – Julia sięgnęła do torby, w której znów zaczęła dzwonić jej komórka. – Co jest, Górny?

– Syf jest. Madejski dostał telefon z telewizji. Ktoś z mieszkańców przy Prozy porobił z ukrycia zdjęcia i wysłał je na Kontakt 24.

– No i? Myślałeś, że nikt nie zauważy, że po ulicy kręci się policja i wynosi worki z ciałem?

– Chcą wywiadu na żywo.

– Co ci do tego? Niech Madejski zrzuci to na rzecznika prasowego.

– Wytypował mnie.

– Patrz więc prosto w kamerę i odpowiadaj. Krótko, bez żadnych szczegółów. Dasz radę.

– Wiem, że dam. Ale jest jeszcze coś. Madejski życzy sobie, żebyś ty też tam była. Razem prowadzimy tę sprawę, więc powinnaś się pokazać.

– Życzy sobie? – Julia parsknęła do głośnika. – To, że zaczęłam z nim w ogóle rozmawiać, nie znaczy, że mam spełniać jego życzenia. Zawarłam z nim układ skalkulowany na prowadzenie śledztwa i na tym koniec. Nie jestem mu nic winna.

– Niemniej mam ci przekazać, że wywiad odbędzie się jutro o ósmej rano. Liczy, że przyjdiesz. Co mam mu odpowiedzieć?



– Żeby najpierw sam stanął w szklanym okienku i publicznie przyznał, że schrzanił mi karierę. Miał wybór, mógł postawić na mnie lub na Jareckiego. Wybrał, jak wybrał.

– Ma przez to ewidentny ból dupy.

– Jego problem. O mojej dupie nie myślał, kiedy wręczał mi kwit z wypowiedzeniem.

– Zatem nie przyjdiesz?

– Ratować jego samopoczucie? Nie zamierzam. Mam inne plany.

Gładko wymówiła się koniecznością konsultacji z wysokiej klasy specjalistą w dziedzinie psychiatrii. Nie wspomniała, że klinika znajduje się pod Warszawą, nazwiska Maciejewskiego też nie wymieniła.

– Dla dobra śledztwa muszę się dowiedzieć, z czym się mierzymy. Przypadki psychopatów polujących na kobiety regularnie poddawane są obserwacjom, więc każda informacja może nam się przydać – wyjaśniła. – Bo my wciąż nie mamy nic.

– Nie do końca – odparł Górny. – Chodzi o tę kucharkę z przedszkola.

– Co z nią?

– Mam nazwisko. Elena Sawczuk.

– Rosjanka?

– Ukrainka. Jest ich u nas coraz więcej, zaczynam się powoli do tego przyzwyczajać. Przyjechała do Polski w dwa tysiące piętnastym.

– Trzy lata temu. Tyle wystarczy, żeby się zadomowić i znaleźć stałą pracę.

– Na Ukrainę wróciła tylko raz, ale za to na kilka miesięcy. Potem znów przyjechała do Warszawy.

– Zapewne przez tych kilka miesięcy odnawiała wizę, skoro chciała pracować w Polsce legalnie. Tyle zajmują formalności – domyśliła się Julia.

– Jesteś pewien, że to był jej jedyny wyjazd?

– Tak. Sprawdziliśmy to dokładnie z pogranicznikami. Ostatni raz wjechała na teren RP w lutym dwa tysiące siedemnastego. Od tego czasu nie opuściła kraju.

Julia wyjęła z torby kartki z fotografiami i danymi zaginionych kobiet. Żadna z nich nie nazywała się Sawczuk.

– Pewnie wygasło jej pozwolenie na pracę i wolała zostać tu na dziko, zamiast ryzykować, że tym razem dostanie odmowę wizy. Pracuje dalej, z tym że na czarno.

– W domu jakiegoś korposzczura?

– Całkiem możliwe. Teraz to modne. Że niby posiadanie pomocy domowej podnosi status.

– Chore.

– Co z tego, że chore, skoro skaczesz oczko wyżej w elitarnym rankingu. Dopóki więc nie spali elicie żelazkiem koszuli od Ralphi Laurena albo nie stłucze butelki Moëta, dopóty uniknie problemów. Może nawet deportacji. Gdybym była na jej miejscu, zrobiłabym dokładnie to samo. Zaszłabym się gdzieś i utrzymywała kontakt tylko z rodziną. Jeśli rodzina nie zgłosiła zaginięcia, to znaczy, że tak się właśnie stało.

– Nie byłbym tego taki pewny, Julia. Równie dobrze bliscy Sawczuk mogli powiadomić władze u siebie, na Ukrainie. Spróbuję zwrócić się o tę informację do Interpolu.

– Spróbuj. Ile lat ma ta Sawczuk?

– Jest po czterdziestce.

– Jakieś zdjęcie?

– Niestety. Jedyne, co przychodzi mi do głowy, to Urząd do spraw Cudzoziemców, ale zanim przedrę się przez ochronę danych osobowych, żeby coś od nich wyciągnąć, minie co najmniej tydzień.

Musiała się zastanowić nad kolejnym krokiem. Nie pomagało jej, że Sylwia trącała ją coraz intensywniej, dopominając się, by wreszcie zajęły się rozpakowywaniem tapczanu.

– Mamo, kończ! – Zamachała jej nożyczkami przed nosem.

– Musisz wrócić do tamtego przedszkola – powiedziała Julia, odsuwając ostrza sprzed twarzy. – Osobiście, nie wysyłaj żadnych posłańców. Weź ze sobą policyjnego rysownika i znajdź na miejscu kogoś, kto pracował z Sawczuk w kuchni. Niech rysownik sporządzi jej portret pamięciowy. Pokażesz ten portret w telewizji podczas wywiadu. Może ktoś ją rozpozna. Musi przecież gdzieś mieszkać i kupować jedzenie.

– Niegłupie. Bylibyśmy o kilka kroków do przodu – zgodził się Górny.

– Uszczęśliwi mnie choćby jeden. Ten wywiad w telewizji może okazać się ważny dla sprawy, więc się postaraj.

Górny wciągnął głęboko powietrze.

– Mam włożyć garnitur na nagranie? – spytał ni stąd, ni zowąd. – I białą koszulę z krawatem?

– Błękitna wystarczy. I żadnych krawatów. Nie idziesz na pogrzeb, ministrem też nie jesteś. Masz być na eleganckim luzie.

– Przed wywiadem wyślę ci zdjęcie, powiesz, czy dobrze.

Roześmiała się. Była pewna, że wystroi się w swoje najlepsze ciuchy i wypastuje buty, chociaż będzie widoczny na ekranie tylko od pasa w górę.

– Wyślij – odparła. – Ale najpierw załatw rysownika, i to jak najszybciej.

– A co z byłym mężem Majewskiej? Za niecałą godzinę będzie na Okęciu.

Spojrzała na zegarek. Samolot z Londynu miał wylądować równo o siedemnastej.

– Zajmę się nim. Zgarnę go z płyty i przesłucham.

Górny nie wydawał się zadowolony.

– Facet może się ciskać. Podeślę ci Szymańskiego.

– Nie potrzebuję eskorty. Zresztą Majewski nie spodziewa się glin i ma ich tam nie być.

– W razie czego...

– Poradzę sobie.

Pożegnała się i wreszcie pozwoliła córce na przecięcie taśm zabezpieczających na pudle. Sylwia rozprawiła się z nimi w minutę i wspólnie rozłożyły karton. Ilość dołączonych do narożnika śrub, wkrętów i zawiasów sprawiała wrażenie, jakby miały składać czołg, nie mebel.

– Co to za książka? – spytała Sylwia na widok instrukcji.

Przekartkowała broszurę w jednej trzeciej, po czym oddała ją matce.

– No to ten... – Dziewczynka chrząknęła, robiąc duży krok nad siedziskiem tapczanu. – Opowiadanie mam na jutro napisać. Właśnie sobie przypominałam. O Winnetou, kim był i dlaczego był ważny.

Julia, mimo wysiłku, nie potrafiła sobie przypomnieć widoku córki z lekturą.

– Co napiszesz? – spytała z zainteresowaniem.

Odpowiedziało jej przeciągłe mruknięcie. Mogło oznaczać tylko tyle, że Sylwia napisze to, co znajdzie na ten temat w streszczeniu w Internecie.

– Że walczył o równość i wolność dla ludzi – podpowiedziała Julia, przeskakując przez wyciągniętą na środek pokoju część łóżka, wyglądającą na oparcie.

– Przecież wiem. Walczył o wolność dla czarnych niewolników. – Sylwia przewróciła oczami.

O Winnetou wiedziała tyle samo co o metodach pozyskiwania wodoru z gazu koksowniczego. Widząc minę matki, wycofała się z pokoju, po czym wróciła z książką w rękę. Podejrzanie czule przyciskała ją do piersi.

– Babcia mówiła, że jeździł na łaciatym koniu. Oni wszyscy takie mieli. Miał warkocze i pióropusz z pawich piór. I że był szefem Siuksów, których nawrócił na chrześcijaństwo. Taki indiański papież.

Emilia znów się postarała.

– Winnetou był synem wodza Apaczów i nikogo na nic nie nawrócił – sprostowała Julia.

Córka pokiwała głową na boki.

– Babcia chyba wie lepiej.

Julia stanęła w przedpokoju. Przeczesała palcami włosy i narzuciła na ramiona płaszcz.

– Muszę wyjść. Wrócę przed kolacją. – Pocałowała Sylwię w czoło.

– Kolacja, to miłe. Ale może najpierw daj mi obiad.

Szlag!

– Zrobisz sobie jajecznicę? – zapytała przepraszająco.

Sylwia zajrzała do lodówki. Pojemnik na jajka świecił pustkami.

– Znowu będę głodować, jak jakieś dziecko z czwartego świata. – Westchnęła. – Za karę masz przygarnąć pizzę. Widziałam, że ty niedawno jadłaś. Beze mnie – dodała z wyrzutem. – Mogłaś chociaż wyrzucić karton, żeby mi nie było przykro.

– Przygarnę, obiecuję. – Julia zabręczała kluczykami do skody. – A teraz zamknij za mną drzwi i zacznij pisać opowiadanie. Potem sprawdzę.

– Mam czuć się kontrolowana? Weź daj spokój, mamo...

Julia nie miała czasu na dalszą dyskusję. Wybiegła z mieszkania i odczekała tylko chwilę, by usłyszeć, jak Sylwia posłusznie przekręca zamek w drzwiach.

Do lądowania samolotu z Londynu pozostawało zaledwie trzydzieści pięć minut.

\* \* \*

Pilar nie chciała tego spotkania. Bodaj dziesięć razy odrzucała połączenie, próbując pozbyć się Morawskiej. Ale gdy tylko odkładała telefon, ta dzwoniła ponownie. W końcu uległa, zażądała jednak, by ich rozmowa odbyła się w miejscu publicznym.

Wybór padł na kawiarnię przy Kruczej. Pilar przyszła dobry kwadrans przed czasem i zanim usiadła, rozejrzała się po wnętrzu. Nie chodziło jej o to, żeby znaleźć stolik w jakimś zacisznym kącie. Przeciwnie. Miał stać blisko baru, gdzie kręcą się ludzie. Chciała czuć się bezpiecznie, na wypadek gdyby doszło między nimi do scysji.

Co rusz spoglądała na zegarek. Wolałaby mieć już tę rozmowę za sobą, zwłaszcza że wiedziała, co usłyszy. Że jest złodziejką mężów i powinna się spalić ze wstydu. Te słowa zawsze padają. Oby więc poszło szybko. Po wszystkim wyjdzie stąd i zapomni.

Morawska pojawiła się punktualnie. Stała w drzwiach i odwinęła z szyi swoją nieodłączną burą chustę, z którą nie rozstawała się od kilku sezonów. Rozejrzała się przy tym po kawiarni, jakby oczekiwała, że Pilar podniesie rękę, gdy tylko ją zauważy. Tak przecież ludzie robią.

Pilar nie podniosła ręki i nie zawołała. To nie jej zależało na tym spotkaniu.

Morawska wypatrzyła ją po krótkiej chwili. Podeszła do stolika i odsunęła krzesło.

– Czego ode mnie chcesz? – spytała rzeczowo Pilar, gdy tylko Beata usiadła naprzeciwko niej. – Nie mam dużo czasu, więc do rzeczy.

Morawska zmeła w rękach chustę.

– Chodzi o Rafała – powiedziała, odkładając ją na brzeg stołu.

– Daruj sobie.

– Ma kłopoty...

– Każdy ma. Wiesz, co jest jego największym kłopotem? Ty. Włóczysz się za nim jak jakaś desperatka. Jakie to słabe... – westchnęła z pogardą Pilar. – Nie jest ci głupio? Zwłaszcza teraz, po rozwodzie?

Powstrzymała się przed dalszymi uwagami, gdy stanął nad nimi kelner i spytał o wybór czegoś z kawiarnianego menu.

Pilar potarła dłonią gardło.

– Dla mnie nic. Zimne źle wpływa na moje gardło, a gorące za długo stygnie. Zwłaszcza że nie zamierzam siedzieć tu dłużej niż pięć minut.

– Proszę herbatę z cytryną – odpowiedziała Beata.

Wcale nie wyglądała na urażoną słowami Pilar. Ku jej zaskoczeniu zachowywała się swobodnie. Nie miała też zamiaru tłumaczyć się przed kochanką byłego męża z ich wspólnego poranka na komisariacie.

– Jak powiedziałam, Rafał ma problem, i to duży – stwierdziła, gdy kelner odszedł z zamówieniem. – Mogę mu pomóc, o ile cię to interesuje.

– Nie wiem, o czym mówisz.  
– Myślę, że wiesz. Policja siedzi mu na karku.  
– Chwilowe trudności. – Pilar odrzuciła z ramienia rudą falę włosów. – Ktoś wrzucił ciało do studni i zrobiła się afera. Wszystko zostało wyjaśnione i na tym koniec.

Na ustach Beaty zabłąkał się wąpiący uśmiech.

– Nie byłabym tego taka pewna. Może się okazać, że to dopiero pierwszy akt. I nie opery, tylko dramatu. Waszego wspólnego zresztą.

Przesunęła flakonik ze sztuczną gerberą, by zrobić miejsce na filiżankę. Kelner właśnie podchodził z czajniczkiem pełnym wrzątku i spodkiem, na którym leżała torebka z czarną herbatą i plasterkiem cytryny. Nieśpiesznie zanurzyła torebkę w wodzie i zakryła czajnik wieczkiem.

– Jak powiedziałam, mogę wam pomóc lub zaszkodzić. I nie chodzi tylko o studnię.

Sięgnęła do torby i wyjęła złożoną na pół kartkę z bloku rysunkowego. Rozłożyła ją i trzymając w dłoniach, pokazała Pilar.

– Co to jest? – Hiszpanka zmarszczyła brwi.

– Rysunek mojej córki.

– Raczej bohomaz. Wzięło cię na wspominki po zmarłym dziecku czy po prostu robiłaś porządki w szafie?

– Chcę, żebyś mu się przyjrzała.

– Wciąż nie rozu...

– Patrz! – warknęła Morawska. – I kiwnij głową, czy przypadkiem nie wydaje ci się znajomy.

Zacęła zbierać rysunki swoich dzieci, odkąd tylko nauczyły się trzymać kredki w małych rączkach. Pierwsze bazgroły nie przypominały niczego. Ot, zwykłe maźnięcia po papierze, ale i je wrzucała do szuflady na pamiątkę. Potem szło już lepiej. Pojawiły się kotki, krówki i domki z dużymi kominami, z których buchały kłęby dymu i unosiły się prosto do nieba pokrytego chmurkami i słońcem. Kolekcja powiększała się z miesiąca na miesiąc. Beata lubiła zwłaszcza rysunki przedstawiające ich rodzinę trzymającą się za ręce. Żaden z domowników nie przypominał wprawdzie siebie, ale taki jest urok dziecięcych rysunków. Śmiesznych i wzruszających zarazem.

Jednak ten rysunek nie był śmieszny. Przedstawiał leżącą w czarnym worku dziewczynkę, obok której stali wysoki mężczyzna i kobieta o czerwonych włosach.

O tym, jak bawi się Rafał ze swoją kochanką i ich córką, dowiedziała się przypadkiem, już po jego wyprowadzce z domu. Siedziała wtedy w kuchni, jak zwykle ucząc się ze swoich podręczników i robiąc stomatologiczne notatki. Karinka wpadła po truskawkowy kompot. Była zziębnięta, dopiero co skończyli ganiać się z Piotrusiem w ogrodzie. Piła łąpczywie do momentu, aż truskawka utknęła w jej tchawicy. Gdyby nie to, że Beata natychmiast chwyciła córkę w płucho i ucisnęła przeponę, mała udusiłaby się w ciągu minuty. Tym razem skończyło się na strachu. Musiała jednak przestrzec Karinkę przed zbyt szybkim połykaniem jedzenia. Wy tłumaczyła, że mogła udławić się rozgotowaną truskawką tak, jak Śnieżka udławiła się jabłkiem. To miało przemówić córce do rozsądku, w końcu na bajkach znała się najlepiej i kochała je najbardziej na świecie. Wiedziała więc, jak skończyła Śnieżka.

Karinka przestraszyła się, ale tylko na chwilę.

– Ja już byłam martwa – rzekła. – To nie jest straszne umrzeć. Tata mi już to robił.

Beata nie wierzyła własnym uszom.

– Co ci robił, kochanie?

– Wsadził mnie do worka i zapiął długi zamek – odpowiedziała z uśmiechem, wykonując przy tym zamaszty ruch ręką. – Tak się bawiliśmy, w martwe dziecko.

Pobiegła na górę, do dziecięcego pokoju, i po kwadransie wróciła z gotowym rysunkiem.

Ten sam rysunek Beata trzymała teraz przed sobą.

Pilar wyciągnęła po niego rękę, jednak Morawska była szybsza. Odsunęła się z rysunkiem na tyle daleko, by pozostawał poza zasięgiem Hiszpanki.

– Co ty na to? – spytała ponownie. – Rozpoznajesz całą trójkę?

Dała jej jeszcze kilka sekund, by mogła przyjrzeć się rysunkowi dokładnie, po czym schowała go do swojej torby.

– Wiem, że to działa się naprawdę – wyjaśniła na wypadek, gdyby Pilar próbowała udawać pierwszą naiwną. – Zrobiliście jej to, a teraz ona nie żyje. Do tego te zwłoki przy Prozy...

Wbijając spojrzenie w Pilar. Na twarzy kobiety nie było już śladu pogardy, z jaką przywitała ją zaledwie kilka minut temu.

– Tylko od ciebie zależy, czy rysunek trafi w ręce policji, czy zostanie zniszczony i zniknie na zawsze – powiedziała Beata.

Nie na taką reakcję czekała. Usta Pilar rozciągnęły się w sztucznym uśmiechu.

– Niezły blef – wysyczała przez zęby. – Przyznam, naprawdę cholernie dobry. Tylko że jak każdy blef ma krótkie nogi. Rafał kochał tę małą nad życie. A to... – spojrzała wymownie na torbę skrywającą rysunek – była tylko głupia zabawa z pokrowcem na garnitur. Nie masz żadnych dowodów.

– Pokrowiec, mówisz, zabawa...

– Każdy bawi się tak, jak lubi.

– Będziecie się musieli bardzo postarać, żeby policja też uznała to za zabawę. Myślisz, że się uśmieją? A może zamiast tego zaczną łączyć fakty. Przyjrzą się uważnie śmierci mojej córki i zbrodni popełnionej na waszej posesji. Gdy już dotrą do prawdy, może i ja się wtedy uśmiechnę. Jak myślisz, Pilar, która z nas będzie się śmiała na końcu? Ty czy ja?

– Oszalałaś...

– Myślę bardzo trzeźwo, zapewniam cię. Moja propozycja jest jasna: jeśli zależy ci na spokoju, znikniesz z życia mojej rodziny. Spakujesz manatki i wyprowadzisz się na drugi koniec świata. Mój syn nigdy nie dowie się, że... jak mówisz, tylko tak głupio bawiliście się z jego siostrą. Gdyby poznał prawdę, nie wybaczyłby tego ani tobie, ani swojemu ojcu. Bawi cię to? No tak, zapomniałam, że uczucia małego chłopca cię nie obchodzą. Pomyśl w takim razie o Dolores. Co ona by na to powiedziała? Wciąż by cię kochała czy może znienawidziła? „Głupia zabawa” brzmi już jakby inaczej, co, Pilar? Więc dobrze się zastanów. Twoje zniknięcie za moje milczenie. To naprawdę dobra oferta.

Nie wypita herbaty, nawet nie zanurzyła ust w pachnącym cytryną napoju. Wyjęła z portmonetki dziesięciozłotowy banknot i zostawiła go na stoliku.

Kiedy znalazła się za drzwiami kawiarni, przystanęła w bezpiecznej odległości, by móc niezauważenie obserwować to, co dzieje się za przeszklonymi ścianami lokalu. Pilar siedziała bokiem, pochylona. Przy uchu trzymała telefon, mówiła coś z przejęciem.

Był tylko jeden sposób, żeby upewnić się, że rozmawia z Rafałem. Wyjęła z torby swoją komórkę i zadzwoniła na jego numer. Jak przypuszczała, linia była zajęta.

\* \* \*



Samolot z Heathrow wylądował równo o piątej, co Julia sprawdziła od razu, jak tylko wpadła do hali przylotów. Razem z nim przyleciał Berlin, a chwilę wcześniej Tokio. Przy barierkach stał jak zwykle tłum witających. Przepisnęła się do przodu, trzymając w ręku kawałek kartonu. Na jednej jego stronie widniał urwany napis „Ikea”, na drugiej: „Pan Jacek Majewski, Warszawa”.

Po tym jak wysypali się milczący japońscy biznesmeni, ciągnący za sobą małe weekendowe walizki, sznurkiem zaczęli wyłaniać się polscy rozgadani turyści i rodziny wracające do kraju na nadchodzącą Wielkanoc.

Obserwowała ich twarze, próbując wyłuskać z rojowiska samotnie podróżującego mężczyznę, o którego wyglądzie nie miała pojęcia. Zaczepiła czterech, ale gdy tylko spojrzeli na nazwisko na kartonie, od razu pokręcili przecząco głowami.

Stała w bardziej dogodnym miejscu, tuż przy wyjściu na parking z taksówkami. Stąd widziała lepiej, nikt też nie mógł przejść obok niej niezauważony.

Zobaczyła go po kilkunastu minutach. Czuła, że to on. Nie rozglądał się po ludziach, przekonany, że nikt na niego nie czeka. Ze skupioną twarzą przeciskał się przez tłum, szukając jak najkrótszej drogi do drzwi prowadzących na postój. Miał ze sobą jedynie bagaż podręczny na kółkach, z ramienia zwisał przerzucony brunatny płaszcz. Szatyn średniego wzrostu, nie więcej niż metr siedemdziesiąt. Z płaskim brzuchem, na którym ładnie leżało bawełniane polo, i w zamszowych czarnych butach ze sznurówkami. Eleganckich, jak szybko oceniła, i o dość dużym rozmiarze, co w pewnym stopniu zaburzało proporcje jego sylwetki.

Zagrodziła mu drogę, gdy niemal dotarł do wyjścia. Spojrzał, nic nie rozumiejąc, na karton ze swoim nazwiskiem.

– Kim pani jest? – spytał.

– Julia Krawiec. Chodzi o pana byłą żonę. O Aleksandrę.

– Co z nią?

– Zaraz wszystko wytłumaczę. Możemy gdzieś usiąść?

Odeszli w głąb hali, gdzie gwar nie był tak uciążliwy. Wybrała ustawione pod ścianą krzesła, do których mało kto docierał. Opowiedziała mu o zajściu w mieszkaniu przy Wilanowskiej i o odkryciu w bielańskim potoku. Majewski nie wydawał się zdruzgotany wiadomością o śmierci Aleksandry. Julia odniosła wrażenie, że był jedynie zaskoczony faktem, że pofatygowana się aż na lotnisko, by go o tym powiadomić.

– Woli pan jechać ze mną na komisariat? – spytała.  
– Nie. Zostańmy tutaj. Będzie pani nagrywać? – Spojrzał na dyktafon, który wyjęła z torby.

– To jakiś problem?

Majewski wzruszył ramionami.

– Żaden. Nie mam nic do ukrycia. Załatwmy to szybko, mam za sobą długą podróż.

– Niecałe trzy godziny z Londynu.

– Nienawidzę latać – wyjaśnił krótko.

– Siedzenie bez ruchu bywa uciążliwe.

– Nie dla mnie, wolę siedzieć, niż chodzić. Po prostu lubię być bliżej ziemi. Możemy zaczynać?

Julia wcisnęła guzik nagrywania, podała do mikrofonu datę, godzinę oraz nazwisko swoje i rozmówcy.

– Co chce pani wiedzieć? Czy byliśmy dobranym małżeństwem? Nie byliśmy – przyznał od razu. – Lubiliśmy się, ale to zdecydowanie za mało na bycie żoną i mężem. Mówię to, żeby postawić sprawę jasno.

– Po co więc był ślub?

– Ludzie robią głupie rzeczy, bo wierzą w coś, co nie istnieje. – Majewski wyjął z podręcznej walizki listek gum Nicorette, po czym wycisnął z niego drażetkę i położył ją sobie na języku. – Przyjaźniliśmy się i myśleliśmy, że to dobra baza pod związek. Tak podobno jest, ale u nas się nie sprawdziło. Brakowało nam w tym wszystkim ognia. Stąd decyzja o rozstaniu. Podjęliśmy ją wspólnie, jeśli to panią interesuje.

– Zatem Aleksandra zgodziła się na rozwód bez żalu?

– Powiedzmy, że obeszło się bez większego dramatu. Nie każdy rozwód to porażka, wystarczy rozstać się w cywilizowany sposób. Czasem lepiej odpuścić i iść dalej. Szkoda życia na tkwienie w błędzie, a nasze małżeństwo właśnie nim było. Podaliśmy więc sobie ręce i... tyle.

– Odwiedzał ją pan.

Między zębami Majewskiego błysnęła białą żutą gumą.

– Odwiedzałem – przyznał. – Przestaliśmy być małżeństwem, ale to chyba nie powód, żeby zrywać ze sobą kontakt. Oleńka nadal była dla mnie ważna.

– Po rozwodzie ludzie zwykle się nienawidzą.

– Bo myślą, że mają drugą osobę na wyłączność i na wieczność. Kiedy okazuje się, że jest inaczej, wpadają w szał. Prawda jest taka, że nikt nie

jest niczyją własnością.

– Pańska żona nie czuła się od pana uzależniona?

– Przecież właśnie pani wytłumaczyłem...

– Chodzi mi o pieniądze – skonkretyzowała Julia. – Dawał jej pan regularnie gotówkę.

– Dawałem. To niby miało ją ode mnie uzależnić? Niech pani nie żartuje... Wie pani, ile zarabia się na jej posiadzie? No właśnie. A ja mam dużo tego świństwa. Jak dla mnie samego – za dużo. Przywoziłem jej co miesiąc po dwa tysiące, żeby miała na swoje wydatki. Co to jest dwa tysiące? Od takiej kwoty nikt się nie uzależni.

– Ludzie uzależniają się od znacznie mniejszych kwot, o ile dostają je za nic.

– Może. Ale nie ona.

– Prosiła pana o te pieniądze?

– Nigdy mnie o nic nie prosiła. Tym bardziej o pieniądze. Ale i tak dawałem.

– Szlachetnie.

Wyciągnął nogi i skrzyżował je w kostkach.

– Za dobre uczynki można podobno pójść do nieba – powiedział bez cienia emocji.

Przez chwilę żuł jeszcze gumę z nikotyną, po czym wyjął ją z ust i zaczął ścisnąć w palcach lepką kulkę.

– Gdzie pan był, kiedy zaginęła? – spytała wprost Julia. – Do uprowadzenia doszło siedemnastego marca po południu.

Zastanawiał się dłuższą chwilę.

– U siebie w mieszkaniu.

– Ulica i numer domu?

– Okrąg sześć.

Julia wyjęła komórkę i włączyła mapy.

– Sto metrów od Wilanowskiej.

– Tak się składa.

– Był pan sam?

– Lubię być sam.

– Nie o to pytałam.

– Nikogo ze mną nie było – potwierdził.

– A to duże mieszkanie czy kawalerka?

Majewski poruszył się niespokojnie.

– Pokój z kuchnią.  
– Przy pana zarobkach? – spytała podejrzliwie.  
– Mam też dwa inne, dużo większe. Rozumiem, że prowadzi pani biuro nieruchomości – powiedział z ironią w głosie.

– Sto metrów od Wilanowskiej, panie Majewski – powtórzyła. – Chciał pan mieć Aleksandrę na oku?

Mężczyzna splótł ręce na piersiach.

– Powiedzmy, że to czysty przypadek.

Julia uśmiechnęła się.

– Szkoda, że ja nie wierzę w przypadki. W pana szlachetne intencje też właśnie przestałam wierzyć. Dlaczego nie wpłacał pan pieniędzy na konto żony, tylko przynosił je osobiście? Nie słyszał pan o przelewie bankowym?

Wymemłana w palcach guma powędrowała z powrotem do jego ust.

– To nieprawda, że decyzję o rozwodzie podjęliście razem – powiedziała Julia, obserwując, jak Majewski nerwowo porusza szczęką. – O rozstaniu zdecydowała pańska żona. To z jej strony zabrakło ognia, nie z pańskiej. Pan mógł tylko stać z boku i przyglądać się, jak zaczyna wszystko na nowo, bez pana. To musiało być trudne do zniesienia, prawda?

– Co pani wie...

– Ale zrobił to pan, bo ją kochał. Z miłości kupił pan małe mieszkanie blisko niej, choć miał dwa inne, i z miłości przynosił co miesiąc pieniądze. Osobiście, by ją widywać i by zdała sobie sprawę z tego, jak bardzo zależy panu na odzyskaniu jej uczuć. Starał się pan ją odkupić pieniędzmi, troską, zadbanym ciałem. Po to pocił się pan, biegając pod jej oknami. A przecież pan nie lubi ruchu. Ona – przeciwnie. Zadbane ciało było dla niej ważne, ćwiczyła jogę. Jednym słowem, robił pan wszystko, by zrozumiała, że z pana strony to jeszcze nie koniec.

Podciągnął nogi pod krzesło i oparł łokcie na kolanach. Zwiesił głowę, jednak wciąż nie przestawał żuć paskudnej gummy.

– Nic więcej nie powiem – mruknął, po czym odwrócił głowę, udając, że przygląda się podróżnym ciągnącym za sobą bagaże. – Doskonale wiem, do czego pani zmierza. Szukacie kozła ofiarnego, a wiadomo, że kto jak kto, ale były mąż pasuje wam do tej układanki idealnie. Odrzucony facet, który ma dość czczych umizgów i mści się na byłej żonie. Co za banał! Niech pani to wyłączy, koniec przesłuchania.

Podniósł się i zaczął w milczeniu wsuwać ręce w rękawy płaszcza. Miała minutę, żeby wydobyć z niego najważniejszą informację, zanim

chwyci za wysuwaną rączkę walizki i zniknie jej z oczu.

– Ostatnie pytanie. Chodzi o jej pracę. O to, co działo się w przedszkolu.

– Jaśniej, pani... jak się pani nazywa, bo zapomniałem?

– Krawiec. To proste nazwisko.

– Jaśniej, pani Krawiec.

– Czy wspominała o czymś niepokojącym?

Pociągnął za sobą bagaż. Ruszyła za nim, prosto w kierunku parkingu dla taksówek.

– Mówiła o jakimś dziecku – powiedział, nie zatrzymując się ani na chwilę. – Chyba zmarło, nie pamiętam. Ola... ona nie była zbyt wylewna, ale tym akurat się przejęła.

– Jest pan pewien, że chodziło o dziecko? Nie o dorosłą kobietę, która zaginęła?

Mężczyzna w końcu się zatrzymał. Oparł obie dłonie o rączkę walizki.

– Jak pani błyskotliwie zauważyła, kochałem swoją byłą żonę. Dlatego słuchałem dokładnie tego, co mówiła. Chodziło o dziecko.

– Kiedy to było?

– Dawno. Proszę już odejść, mam dość tej rozmowy.

– Czy słyszał pan coś o jej sąsiadce Lidii? Pracowały razem. To ważne, niech się pan zastanowi.

– Nie muszę – odpowiedział chłodno. – Doskonale wiem, kim jest Lidia.

Julia poczuła, jak serce zaczyna jej przyspieszać.

– Nie zdziwiłbym się, gdyby to ona stała za śmiercią Oli – wycedził przez zęby, po czym odszedł, ciągnąc za sobą walizkę z przyczepioną etykietą z londyńskiego lotniska.

Julia przez moment stała jak zamurowana. Oprzytomniała, kiedy postać Majewskiego zniknęła za szklanymi drzwiami prowadzącymi na postój taksówek. Nie mogła pozwolić mu odjechać tak po prostu. Przepychając się przez tłum, wybiegła za nim na parking. Siedział już w aucie. W ostatniej chwili przytrzymała drzwi taksówki.

– Dlaczego pan to powiedział? Co wiąże Lidię ze śmiercią Aleksandry?

Stojące w ogonku taksówki zaczęły trąbić klaksonami.

– Mów pan, do diabła! – krzyknęła.

Podniósł na nią oczy. Patrzył jak na wariatkę, która uczepiła się drzwi samochodu, jakby zamierzała wyrwać je z zawiasów.

– Ją niech pani spyta, nie mnie – odparł zniecierpliwiony. – Może pani opowie, jak wyręczała się moją żoną. To psychopatka. Wszędzie widziała śmierć. W końcu śmierć przyszła, tylko nie po nią. Niech pani zabierze te ręce!

Szarpnął drzwiami, nie bacząc na to, że przytrzaśnie jej palce. W ostatniej chwili cofnęła rękę. Taksówka ruszyła z piskiem opon, a na jej miejsce podjechała kolejna, do której wsiadła młoda para zakochanych.

Odsunęła się od krawężnika i dopiero teraz wyłączyła dyktafon. Majewski potwierdził to, o czym już wiedziała. Lidia wystawiła Aleksandrę, by chronić własną skórę.

Niemal zapomniała o obiecanej pizzy. Gdyby nie szyld mijanej po drodze restauracji, wróciłyby do domu z pustymi rękami. Fuksem trafiła na promocję, wzięła więc drugą pizzę za połowę ceny na wypadek, gdyby jutro nie miała czasu stać przy garnkach.

W mieszkaniu zastała Jagodę i swąd po spalonym w mikrofalce popcornie. Wręczyła dziewczynkom pudło z pizzą i dwa talerze, po czym przegoniła je do zielonego pokoju, licząc, że jej córka w jakiś cudowny sposób skleci choćby dwie strony wypracowania o Winnetou. Sama usiadła w bujanym fotelu pod oknem, odtwarzając w głowie słowa, które padły z ust Majewskiego. To, co powiedział o Lidii, wystarczyło, by jej żołądek ścisnął się jak po uderzeniu bokerskiej rękawicy. Gorąca pizza, którą postawiła dla siebie na parapecie obok drzewka bonsai, pozostawała nietknięta.

Sięgnęła po instrukcję z Ikei. Czytanie, gdzie trzeba wkręcić śrubę, a gdzie złączkę, było lepsze od myślenia o siostrze, o Aleksandrze, o zwłokach znalezionych w studni, sfrustrowanym ojcu i rozczarowanej matce. I wypracowaniu z polskiego. Od wszystkiego.

Poczuła się lepiej, gdy skręciła ze sobą dwie pierwsze części narożnika. Małe boczne oparcie wyjątkowo dobrze przylgnęło do siedziska. Teraz należało wziąć się za tory jezdne prowadnic przy wysuwanej części do spania. Zamocowała jeden, jednak coś w tej konstrukcji nie pasowało.

Eseme od Górnego przyszedł w momencie, kiedy szykowała się, by podpalić instrukcję i wyrzucić ją przez okno. Adam pisał, że jest już po

wizycie w przedszkolu i portret pamięciowy Sawczuk jest gotowy. Przy okazji nieśmiało zasugerował, że przed jutrzejszym występem w telewizji przydałoby mu się nieco relaksu przy romantycznym świetle świec, zwłaszcza że zaczyna go nosić. Odpowiedziała mu krótko „przyjedź” i dołączyła emotikon z dłońmi złożonymi w geście proszenia.

– Zrób coś z tym, błagam. – Wskazała na rozczłonkowaną kanapę, gdy tylko przekroczył próg mieszkania. – W przeciwnym razie te śrubki i wkręty mnie wykończą. Nie wiem, co tu jest do czego.

Górny zdjął kurtkę i stanął w rozkroku nad pobojuwiskiem. Nie było gdzie postawić nogi, podłoga zasłana była tysiącem części, które ostatecznie miały złożyć się na ciemnoszary narożnik.

– Podstępna żmija – powiedział, nie ukrywając rozczarowania. Słyszac dochodzące z zielonego pokoju popiskiwanie dziewczynek, dodał: – I jeszcze to. Wyrolowałaś mnie koncertowo.

Julia wyciągnęła w jego stronę rękę z instrukcją.

– Źle odczytujesz moje intencje. Właśnie daję ci szansę na wprowadzenie mnie w zachwyty. Poza tym wiem, że lubisz taką dłubaninę. Statki poskładałeś idealnie...

– Okręty – poprawił ją Adam. – Chyba nie chcesz porównywać modeli okrętów do tego czegoś? Przecież to zajmie całą noc, nie mogłaś zamówić ludzi ze sklepu? Złożyliby to w pół godziny.

– Nikt nie robi tego lepiej od ciebie – zapewniła, dokładając najpiękniejszy ze swoich uśmiechów. – Zresztą lepiej będzie mi się zasypiało, gdy pomyślę, że złożyłeś je własnymi rękami. Czekają mnie słodkie sny, gdy będę kłaść głowę na poduszce, rozumiesz...

– Rozumiem, że powiesz mi teraz wszystko, żebym tylko złapał za śrubokręt. Zapomniałaś tylko zatrzepotać rzesami.

Zamiast trzepotu dorzuciła bonus w postaci nieco już wysuszonej pizzy. Kiedy mikrofała podgrzała trzy kawałki, Julia postawiła przed Górnym talerz z jedzeniem i ketchup. Do szklanki wlała z kartonu resztkę soku pomarańczowego, który rozcieńczyła wodą. Podsunęła mu stołek, a sama usiadła w swoim bujanym fotelu.

– Widziałas się z Majewskim? – spytał Górny, wylewając ketchup na pierwszy kawałek pizzy.

Zatrzymała bujanie i sięgnęła po leżącą na parapecie torbę. Wyjęła z niej dyktafon.

– Posłuchaj – powiedziała, włączając zapis.

Odsłuchanie nagrania z lotniska zajęło niecałe pół godziny. Górny nic nie mówił, słuchał tylko ich rozmowy, przełykając w międzyczasie kolejne kęsy jedzenia. Kiedy wybrzmiały ostatnie słowa, jego teoria na temat Majewskiego była gotowa.

– Według mnie ten gość nie miał powodu, żeby skrzywdzić Aleksandrę. Za dużo w nią zainwestował. Ewidentnie liczył na to, że karta się odwróci i będą żyli razem długo i szczęśliwie. Niewiarygodnie cierpliwy typ, do tego wrażliwy. Zauważyłaś, jak zmieniał mu się głos, kiedy wymawiał jej imię?

– Zauważyłam. Nazwał ją „Oleńką”. Wygląda na to, że mamy do czynienia z bohaterem romantycznym. Nogi na ziemi, ale głową bardziej rządzi serce niż rozum.

– Skąd ja to znam – bąknął Górny.

Julia podeszła do niego i oparła ręce o kuchenny blat.

– Nie biadol. Chyba aż tak źle to ze mną nie masz.

– O to właśnie chodzi, że nie wiem, co tak naprawdę mam.

Pogładziła go po dłoni.

– Daję, ile mogę. Nie naciskaj.

Patrzyła, jak ostatni łyk soku przepływa mu przez gardło. Wolno, jakby właśnie zacisnął się tuż pod krtanią.

Nie skomentował jej słów. Schował ketchup do lodówki, a następnie wrzucił talerz z kubkiem do zlewu i odkręcił kurek z wodą. Miała wrażenie, że z kranu wypłynęło co najmniej pięć litrów. Górny ewidentnie się zawiesił. Z zamyślenia wyrwał go rechot Sylwii i Jagody. Pisanie wypracowania na polski musiało być wyjątkowo zabawne, bo rechot zaczął nagle przechodzić w kompulsywne gdakanie. Po chwili drzwi pokoju Sylwii otworzyły się i wypadła z nich czerwona jak burak Jagoda. Zaraz za nią stanęła Sylwia. Górny przyjrzał się najpierw jednej, potem drugiej. Wyglądały jak klony. Miały na sobie podobne spodnie z dziurami na kolanach i granatowe bluzy z kapturami. Ich fryzury też były identyczne. Kiedy tylko Jagoda pokazała się w szkole w modnym bobie, za dwa dni Sylwia musiała mieć takiego samego. Zaciągnęła babcię do fryzjera i kazała ściąć sobie włosy w ten sam sposób. Zapomniała przy tym, że przyjaciółka



ma dodatkowo grzywkę, co Jagoda załatwiła już własnoręcznie, obcinając Sylwii włosy od szkolnej linijki.

Głowa z krzywo obciętą grzywką wychyliła się zza pleców koleżanki.

– Mamo, Jagoda mówi, że dzięki Karolowi Mayowi mówimy „sorry, Winnetou” i że to jest jego największy wkład w literaturę. – Sylwia ponownie zarechotała jak żaba.

Na widok zdruzgotanej miny matki szybko zamknęła buzię na kłódkę, po czym obie z Jagodą wycofały się do przedpokoju. Po chwili Jagoda pokazała się znowu. Stała w kozakach i swoim pikowanym płaszczu gotowa do wyjścia.

– Do widzenia pani i panu. – Dygnęła grzecznie przed Julią i Górnym. – A do ciebie to się nie odzywam – burknęła już zupełnie niegrzecznie do Sylwii.

Zawinęła się na pięcie i wyszła, trzaskając drzwiami. Uśmiech z twarzy Sylwii zniknął natychmiast. Z kwaśną miną wróciła do siebie, by sklecić w zeszycie cokolwiek na temat literackiego bohatera.

– Kobiety... – Górny pokręcił głową. Przeszedł z kuchni do pokoju i stanął pośrodku bałaganu. Spod ochronnej folii podniósł śrubokręt i zakręcił nim w palcach. – W jednej chwili się kochacie, a w drugiej nienawidzicie. To normalne u was?

– Jak oddychanie – potwierdziła Julia. – Powiedz lepiej, co z tą kucharką z przedszkola. Mówiłeś, że udało się sporządzić jej portret?

– Tak, nawet mam go przy sobie, jeszcze ciepły. Wziąłem na wypadek, gdyby jutro z rana poszło coś nie tak z przekazem elektronicznym na antenie. Papier to papier, nigdy nie zawiedzie.

– Pokaż.

Górny wskazał śrubokrętem kieszeń swojej kurtki. Julia wyjęła z niej zrolowaną kartkę z komputerowym szkicem.

Kobieta wyglądała zupełnie przeciętnie, w jej twarzy nie było nic szczególnego, co przykuwałoby uwagę. Ani ładna, ani brzydka, o typowo słowiańskich rysach.

– Tak wyglądała przed odejściem z przedszkola – powiedział Górny. – Ale od tego czasu mogła się zmienić nie do poznania. Przytyć, schudnąć, przefarbować włosy. Jest jednak jeden szczegół, który przy odrobinie szczęścia może pomóc w jej znalezieniu.

– Czyli?

– Sawczuk utyka, i to znacznie – odparł, dociskając śrubokrętem złączenie dwóch siedzisk. – Nie da się tego nie zauważyć. Powiedzieli mi, że chodziła krzywo, przez co często narzekała na ból w kręgosłupie. Ale i tak nie stroniła od noszenia dzieci na rękach, kiedy któreś beczało za matką.

– W każdym przedszkolu jest taka dobra ciocia – zauważyła Julia. – Kiedy oddawałam Sylwię po raz pierwszy do grupy maluchów, jej wrzask słychać było na końcu ulicy. To był prawdziwy koszmar.

– I jak trafiła w ręce takiej dobrej cioci, to jej przeszło?

– Skąd. Wyła dalej. Matka powiedziała, że nie pozwoli dłużej maltretować wnuczki, i zabrała ją do siebie.

– Nie wyłam, tylko rozpaczałam! – doszło z sąsiedniego pokoju. Gumowe ucho pracowało non stop. – Babcia się nade mną zlitowała, bo byłam nieszczęśliwa. Czuj się winna.

– Pisz! – odkrzyknęła Julia.

Winnetou przegrywał z podsłuchiwaniami. Sylwia z zaciśniętymi ustami wmaszerowała do salonu i przemknęła do kuchni, czując nagłą potrzebę zaparzenia sobie herbaty.

– Jako naprawienie krzywdy z dzieciństwa mogę przyjąć zawieszenie mi dziś baldachimu – uznała, widząc, że powoli modułowa kanapa nabiera kształtów i jej składanie zajmie Górnemu może jeszcze nieco ponad godzinę.

– Baldachim? – Spojrzał na Julię pytająco, na co ta odpowiedziała wzruszeniem ramion.

– Faza mroku zamieniła się w fazę koronek i tiulu – wyjaśniła żądanie córki. – Ale nie ma co się przyzwyczajać. Za tydzień będzie palić Biblię i rysować trzy szóstki na ścianie.

Woda w czajniku zabulgotała. Sylwia zalała torebkę earl greya.

– Po prostu pomagam ci naprawić twoje błędy wychowawcze w stosunku do mojej osoby – rzekła ze śmiertelną powagą. – Nie miałam koronek w dzieciństwie, to chcę mieć je teraz. Jeśli chcesz, żebym wspominała cię jako dobrą matkę, zawieś mi baldachim.

– Jeśli chcesz, żebym zapamiętała cię jako dobrą córkę, szoruj pisać wypracowanie. – Julia oderwała się od przytrzymywania oparcia kanapy i zawisała nad córką. – Nie dam się jutro rano nabrać na ból zęba, ucha ani nagły atak wyrostka.

– Nie wiem, o czym mówisz. – Sylwia wydeła usta.

– W ostatnim roku wyrostek bolał cię chyba dwieście razy. Ten, którego nie masz.

– Powinnaś wierzyć własnemu dziecku, kiedy cierpi. Babcia mi zawsze wierzy. Ostatnio była w kościele dać na ofiarę za moje zdrowie.

– Może powinna wyprosić cud, żebyś nie dostała jutro jedyńki z polskiego. Za godzinę sprawdzę, co wymyśliłaś. I oby nie było tam nic o Winnetou papieżu.

– Co takiego? – Górny ponownie podniósł głowę znad śrub.

– To taki nowoczesny papież na koniu, nie wiedziałaś? – Julia wypchnęła córkę z salonu. – Moja matka powinna zająć się pisaniem fantastyki. Na razie maści temu głupolowi w głowie.

– Słyszałam tego „głupola”! – Sylwia zadudniła pięścią w ścianę.

Przez chwilę dochodziło do nich jeszcze ciche pomstowanie, ale w końcu ucichło.

– Co u twoich rodziców? Odzywali się? – zagadnął Górny.

– Od wczoraj cisza. Ojciec pewnie już spakował swoje rzeczy i wyniósł się na Wilanowską w oczekiwaniu na wiadomość o śmierci Lidii, a matka... matka kompletuje garderobę na swoją podróż poślubną.

– Tak po prostu? – zdziwił się Górny.

– Witaj w mojej rodzinie... Całoroczny cyrk z darmowymi biletami wstępu. – Żartowała, ale wcale nie było jej do śmiechu. – Nie wiem, jak to wszystko się skończy. Chyba jakieś fatum wisi nad nami. Nie pamiętam już, kiedy było normalnie.

– W każdej rodzinie jest jakiś syf, Julia. To, że ludzie o nim nie mówią, nie znaczy, że nie istnieje.

Podniósł się z podłogi i wykręcił do tyłu rękę, rozciągając łopatki i dając tym samym sygnał, że czas na przerwę w skręcaniu narożnika. Wyszedł z paczką papierosów na balkon i wciągnął tytoniowy dym w płuca. Julia, oglądając się na pokój Sylwii, podeszła do niego i ukradła kilka machów.

– Może też powinnam dać na mszę za to, żebym nie zwariowała – powiedziała, zwracając mu papierosa. – Chyba nigdy nie miałam takiego bajzlu w głowie jak teraz.

– Znasz moje zdanie. To był błąd, że pozwoliłem ci zaangażować się w tę sprawę. Nie mogłem przewidzieć, że to wszystko zabrnie tak daleko. Sieracka też dała ciała. Możesz się wściec na to, co teraz powiem, ale na

tym etapie powinna już odsunąć cię od śledztwa, i dziwię się, że jeszcze tego nie zrobiła.

Julia obserwowała, jak Górny wypuszcza z ust okrągłe kółka dymu.

– Sieracka nie ma pojęcia, kim dla mnie jest Lidia. I wolałabym, żeby tak pozostało.

Ostatnie kółko wypuszczone z ust Adama wyszło krzywe i pokręcone.

– Jak to nie wie? Zataiłaś przed nią, co cię wiąże ze sprawą? No jasne, co cię to obchodzi, że prokuratura urwie mi łeb za ukrywanie faktów. Po trupach, Julia, prawda...?

Nie miała zamiaru odpowiadać. Wróciła do pokoju i zabrała się do łączenia ostatnich modułów skrzyconego narożnika. Szarpnęła legowiskiem, było ciężkie i toporne.

– Odejdź – usłyszała za plecami. Górny łapał już za dół kanapy. – Odsuń się, bo skrzynia spadnie ci na nogę.

Nie miała pojęcia, jak udało mu się nacelować na siebie ukryte pod spodem zaczepy, ale po chwili narożnik był już gotowy.

– Dzięki – powiedziała chłodno.

– „Dzięki”, bo jesteś wdzięczna, że ci pomogłem i nie będziesz spać na podłodze, czy „dzięki, ale już spadaj”? Wiesz przecież, że mam rację. Sieracka musi się o wszystkim dowiedzieć.

Patrzył, jak Julia bez słowa zbiera z podłogi kartony i porozrywaną folię. Jego stanowisko w sprawie powiadomienia prokuratury było jasne. Jej również.

Zgarnął swoją kurtkę i zanim wyszedł z mieszkania, spojrzął na twarz kobiety, która właśnie uznała go za nielojalnego dupka. Wiązała plastikowe uszy worka z zapamiętaniem godnym chirurga skupionego na operacji.

Wyszedł, rzucając krótkie „do jutra”. Nie liczył na odpowiedź i się jej nie doczekał.

17 SIERPANIA 2017

TYDZIEŃ PRZED POGRZEBEM KARINKI

WARSZAWA-BIELANY, ULICA BARCICKA

**D**esek było naprawdę dużo. Rafał Morawski musiał zamówić samochód dostawczy, by całość dotarła na miejsce jednym kursem. Może gdyby pojechał po materiały sam, zdołałby załadować wszystko do swojego passata kombi. Złożyłby tylne siedzenia i jakoś to upchnął. Mając jednak w fotelikach dwójkę wiercących się bliźniąt, mógł co najwyżej wrzucić do bagażnika reklamówkę z drobiazgami niezbędnymi do sklecenia domku.

Jechali za dostawczakiem. Kiedy dotarli na Barcicką, kierowca pomógł wyładować zakupy w ogrodzie i ułożyć deszczułki pod płotem. Obok nich rzucili zrolowaną papę do krycia dachu i reklamówkę z opakowaniem gwoździ i nitów.

– Kiedy zaczynamy? – Piotruś trącił czubkiem buta jedną z wystających ze sterty desek. – Ja chcę już dziś.

– Ja też – zawtórowała Karinka. – Przyniosę z domu młotek.

W podskokach wbiegła przez kuchenne drzwi do domu. Wyhamowała przy stole. Na widok matki i siedzącej naprzeciw niej Dolores zrobiła dwa obroty jak baletnica. Rozkręcała się, by zrobić trzeci, ale zatrzymała się w pół kroku. Coś było nie tak. Dolores miała poważny wyraz twarzy, a oczy mamy były jakby wilgotne. Podeszła do niej i przekrzywiła głowę z dwoma wesołymi kucykami przy uszach.

– Nie płacz, mamusiu, już wróciliśmy – powiedziała, sepleniąc. – A teraz będziemy stukać w deski.

Dziewczynka nie zdążyła zapytać, gdzie jest młotek, kiedy na progu stanął Morawski. Kobiety obróciły się w jego stronę.

– O co chodzi? – spytał, widząc zaczerwienione oczy żony.

– Cały czas o to samo. – Beata poruszyła się i podniosła z krzesła, odsuwając na bok Karinkę.

Spłoszona dziewczynka zrobiła dwa kroki w bok, po czym przysunęła się do Dolores. Rodzice już się nie lubili, brzydko do siebie mówili i coraz częściej na siebie krzyczeli. Bezpieczniej czuła się na kolanach niani,

zwłaszcza że ta objęła ją ramionami i zaczęła głaskać po włosach. Jeden dłuższy kosmyk grzywki załaskotał Karinkę w czoło. Podniosła rękę i podrapała się po skórze.

– Ojoj... Popatrz, Dolores, co się stało – szepnęła Karinka, pokazując palec ubrudzony krwią. Ranka, którą niechcący rozdrapała, nie bolała, jednak widok krwi sprawił, że dziewczynka wykrzywiła usta w podkówkę.

Nie tylko czoło wyglądało źle. Na policzkach wykwitło kilka nowych zaczerwienień, które wkrótce mogły przemienić się w kolejne rany.

– Pewnie dotykałaś rączkami brudnych rzeczy w sklepie? – zaniepokoiła się Dolores. – To nie jest miejsce dla małych dziewczynek. Pełno tam chemii i pyłu.

– I żelaza! – dodała Karinka.

– Twoja buzia tego nie lubi. Musimy ją teraz umyć i posmarować maścią. – Niania pomogła małej zeskoczyć ze swoich kolan.

– Dziękuję, Dolores – odezwał się Morawski. – Zrób z nią porządek, a potem... daj nam chwilę, dobrze?

Dolores wyprowadziła dziewczynkę z kuchni.

Zostali we dwoje. Beata odczekała, aż ich słowa zagłuszy szum wody lejącej się w łazience.

– Sama tu przyszła i zaczęła temat. Ja jej nie zapraszałam.

– Mam w to uwierzyć?

– Wierz, w co chcesz. Myślisz, że wszyscy wokół są ślepi? Dolores dobrze wie, co dzieje się między tobą a jej córką.

Nie miał zamiaru rozmawiać o Pilar. Wyjął z szuflady stołu klucz do skrzynki z narzędziami, którą trzymał w garażu, i zniknął na kilka minut. Wrócił, niosąc w rękach wiertarkę i piłę do cięcia drewna. Położył je na stole, po czym podszedł do lodówki i wyjął z niej zimne piwo. Wiedział, że je tam znajdzie. Beata trzymała zawsze jedną butelkę na wypadek jego wizyty. Przez sześć lat małżeństwa nauczyła się, że dobrze schłodzonego żywca nigdy sobie nie odmówi.

Otwieracz mignął w powietrzu, kapsel upadł gdzieś z brzękiem na podłogę. Rafał przystawił butelkę do ust i pociągnął chciwie kilka łyków złotego płynu.

– Dziś zbiję tylko parę desek, na rozkładanie się z większą robotą jest zbyt duszno – stwierdził, ocierając brodę, po której ściekała kropla piwa.

Beata zapatrzyła się przez szybę na skaczącego po deskach Piotrusia.

– Twój syn będzie zawiedziony. Nastawił się na wasze wspólne popołudnie.

– Nic na to nie poradzę. Nie ja ustawiam temperaturę za oknem. – Wskazał dnem butelki na rozżarzone słońce. – Może jutro będzie chłodniej.

– Ja ci pomogę, tatusiu. Mnie nie jest gorąco. – Karinka wróciła z łazienki z buzią nasmarowaną żółtą maścią.

Za jej plecami stanęła Dolores. Ścisnęła w rękę swoją torebkę.

– Pójdę już – zakomunikowała. – I niech pani przemyśli to, co powiedziałam.

Wycofała się po cichu do przedpokoju i zniknęła za drzwiami.

– Co takiego masz niby przemyśleć? – Rafał odstawił na stół butelkę z piwem. – Dolores daje ci złote rady, jak być dobrą żoną? Trochę na to za późno.

Beata uśmiechnęła się smutno, po czym wzięła Karinkę za rękę i poprowadziła ją do wyjścia na ogród.

– Idź pobawić się z bratem – nakazała córce.

Przez moskitierę w drzwiach obserwowała, jak Piotruś zeskakuje z desek i razem z siostrą zabierają się do układania ich na ziemi. W kilka sekund utworzyli ramy ich wymarzonego domku, po czym rozpoczęli budowanie mebli z suchych gałęzi.

– Dolores przyszła tu, by namówić mnie na nasz rozwód – powiedziała, nie odrywając wzroku od tego, co dzieje się w ogrodzie.

Rafał strzepnął z podwiniętego rękawa koszuli niewidoczny pyłek.

– Nawet ona widzi, że to wszystko nie ma sensu. Przemówiła ci do rozsądku?

Pokręciła przecząco głową.

– Nie zrobię tego. Rodzina jest święta.

Wciąż stała odwrócona plecami do kuchni i do człowieka, który nie dość, że już pogwałcił porządek jej świata, to jeszcze zamierzał zniszczyć go do cna.

– Przeczekam to – dodała ze spokojem. – Wybawisz się, wyszumisz i wrócisz. Wy zawsze wracacie. Trzeba tylko dać wam czas, żebyście zrozumieli, gdzie jest wasze miejsce.

Wyjął z pojemnika na pieczywo kromkę chleba i posmarował ją pasztetem z lodówki. Włożył całość do ust i przemełł, popijając piwem.

– Na twoim miejscu pozbyłbym się złudzeń – powiedział, gdy przełknął całość. – I znajdź sobie wreszcie adwokata.

Chwycił leżące na stole narzędzia i wyszedł z domu. Widziała, jak rzuca je na trawę i biegnie za dziećmi, udając, że łapie je za nogi. Piszczwały i uciekały przed ojcem, przeskakując przez porozkładane na ziemi deski.

Byli do siebie tacy podobni. Kiedy się urodzili, nie była w stanie ich rozpoznać. Dopiero po pierwszej dobie zawinięto je w niebieski i różowy kocyk. Od razu zrobiło się łatwiej. Słodkie maluchy, westchnęła, patrząc, jak bawią się beztrąsko. Gdyby nie dzieci...

Usłyszała krzyk i zaraz potem płacz. Wskoczyła do ogrodu i pobiegła w kierunku zanoszącego się łkaniem Piotrusia. Trzymał się rękami za głowę, podobnie jak jego siostra. Podczas gonitwy wpadli na siebie i zderzyli się czołami.

– Nie mazgaj się. – Rafał przyklęknął przy synu i podniósł palcem jego brodę. – Mężczyźni nie płaczą. Popatrz na swoją siostrę, nawet łza jej nie popłynęła. No, nie bądź baba!

– Odejdź! – Beata odepchnęła męża i złapała chłopca w ramiona. Uczepił się jej szyi i schował ze wstydem twarz we włosy matki. Nie miała sumienia odrywać go od siebie. Stęknęła z wysiłku, ale dźwignęła go i zaniósła do domu.

Karinka szła za rękę z ojcem, jednak w ramach rekompensaty za siniaka na czole pozwolił jej po chwili wskoczyć sobie na barana. Wchodząc do domu, oboje schylili głowy, by mała nie uderzyła się ponownie, tym razem o framugę. Zsadził ją z pleców i postawił pośrodku kuchni. Przybił piątkę za to, że nie beczy jak Piotruś.

Karinka była zachwycona uznaniem ojca, jednak zażawione oczy brata nie pozwalały jej cieszyć się tym zbyt długo. Chwyciła krzesło i przysunęła je do szafek, by wspiąć się do tej najwyższej, gdzie mama zawsze chowa słodczyce. Zeskoczyła z czekoladowym batonikiem w rękę.

– Nie płacz – powiedziała, wręczając go Piotrusiowi. – Jeśli chcesz, mogę się tak stuknąć o ścianę, żeby i mnie bolało.

Pokręcił głową, nie miał zamiaru przysparzać siostrze cierpienia. Wpakował sobie do ust batonika i siąknął nosem ostatni raz. Łzy na policzkach schły wraz z rozpluwającą się na języku czekoladą. Kiedy Beata przyłożyła do czoła chłopca schłodzony opatrunek, wydawało się, że całkiem zapomniał o niefortunnym wypadku.

– Do wesela się zagoi – podsumował zdarzenie Rafał. – I pamiętaj, nie bądź beksa. – Pokiwał palcem przed nosem syna.



– Zrobię wszystkim małe przekąski, co wy na to? – Beata złapała za nóż, by pokroić bagietkę. – A potem usiądziemy i ustalimy, jak ma wyglądać domek na drzewie.

Spojrzała prosząco na męża. Nie planował zostać na popołudnie, ale pod naciskiem jej wzroku kiwnął głową.

– Musisz się, synu, przygotować na to, że wszyscy kumple będą ci go zazdrościć – powiedział, mierzwiąc włosy na głowie Piotrusia.

Oczy chłopca od razu wypełniły się szczęściem. Beata też pojaśniała i odetchnęła z ulgą – miało być tak, jak przewidywała. W końcu Rafałowi wróci rozum i żadnego rozwodu w rodzinie nie będzie.

## ROZDZIAŁ VIII

CZWARTEK, 22 MARCA 2018

Otworzyła oczy, gdy jej wysunięta spod kołdry stopa dotknęła zimnej sprzączki paska do dżinsów. Nie pamiętała, kiedy zsunęła spodnie z bioder. Musiało być około trzeciej nad ranem, na chwilę przed tym, jak usnęła nad wypracowaniem Sylwii. Ostatnie zdania czytała już na wpół przytomna. Ważne było, że Winnetou pozostał do końca Indianinem i nic nie połączyło go z Watykanem. Wymazała za to ostatnie zdanie, w którym córka deklarowała, że w dzisiejszych czasach kolorowi ludzie są tak samo ważni dla społeczeństwa jak biali, zwłaszcza jeśli potrafią wyprodukować dobrego smartfona. Złota myśl Sylwii musiała zniknąć pod grubą warstwą korektora. Potem odłożyła na bok zeszyt i odpłynęła.

Łóżko okazało się wygodne, jednak wbrew temu, co obiecała Górnemu, nie usypiała, mając pod powiekami jego obraz. Była na to zbyt zmęczona i urażona wieczorną sytuacją. Nie chciała, by ktokolwiek wiedział o niej i jej rodzinie więcej, niż to było konieczne. I nie chodziło jej tylko o Sieracką. Gdyby miała pewność, że Lidia odnajdzie się cała i zdrowa, mogłaby o ich rodzinnych relacjach mówić głośno. Rozwój wypadków nie zawsze jednak da się przewidzieć. Nie udźwignęłaby na swoich plecach po raz kolejny osądzającego wzroku ludzi z Nowolipek. Znowu uznaliby, że usunięcie jej z szeregów policyjnej drużyny było słuszną decyzją, i nieważne, że poprzednia sprawa wyjaśniła się na jej korzyść. A jej prywatna firma? Też byłaby spalona. Żaden z klientów nie powierzyłby jej poprowadzenia sprawy, skoro nie dała rady odszukać własnej siostry. Opinia idzie przed człowiekiem, a ona dopiero co zaczynała budować swoją markę. W takiej sytuacji mało kogo stać na potknięcie.

Start miała dobry, rozwiązanie sprawy zabójstwa Leona Rawskiego postawiło ją na nogi. Byłoby fatalnym zrzędzeniem losu, gdyby znów miała

się cofnąć do punktu wyjścia. Górny tego nie rozumiał, nie patrzył na tę sytuację jej oczami. Widział za to przepisy i grozący palec prokuratury. Dlatego gdy tylko wspomniał o konieczności ujawnienia więzów krwi, jakie łączyły ją z Lidią, dostała białej gorączki.

Wyszła z łóżka i pchnęła drzwi do sypialni Sylwii. Mała siedziała już na posłanym łóżku z plecakiem na kolanach. W pełni ubrana, nawet z butami na nogach. Czytała Karola Maya. Na widok matki podniosła oczy znad książki.

– Kanapki są na stole w kuchni. Zrobiłam, bo wiedziałam, że nie ogarniesz. Do wyjścia mamy dwanaście minut, inaczej spóźnię się do szkoły. Pośpiesz się – dodała, po czym wróciła do czytania.

Dwanaście minut to całkiem sporo, by opłukać twarz i umyć zęby. Na układanie włosów i zrobienie choćby delikatnego makijażu już nie do końca. Związała więc włosy w kucyk i wrzuciła do torby saszetkę z podręcznymi kosmetykami. Umaluje się w drodze.

Podrzuciła Sylwię pod samą furtkę i jak zwykle zaczekała, aż zniknie za drzwiami szkoły. Widok oddalającej się z plecakiem córki wzruszał ją niezmiennie od lat. Odsuwała od siebie myśl, że przyjdzie kiedyś taki dzień, w którym stanie się dla niej niepotrzebna, a przynajmniej nie niezbędna. Jej miejsce przy boku Sylwii zajmie ktoś inny, równie ważny, jeśli nie najważniejszy.

Ruszyła spod szkoły poganiana uporczywym klaksonem innego auta, które przyblokowała. Kilka przecznic dalej stanęła na parkingu Rossmanna. Wyjęła z torby kosmetyczkę. Fluid, maskara i cielista szminka pomogły doprowadzić twarz do porządku. Dodatkowe dwa pacnięcia różem po policzkach przydały jej skórze świeżości. Rozwiązała kucyk i przeciągnęła szczotką po włosach. Nie chciała pojawić się w klinice u Maciejewskiego, jakby dopiero co wyszła z łóżka. W porannym biegu zapomniała wrzucić do torby perfumy. Gdyby drogeria była czynna, wskoczyłaby na chwilę i spryskała szyję jakimś testerem, jednak wywieszka na drzwiach jasno informowała, że sklep zaprasza od dziesiątej. Zegarek pokazywał dopiero ósmą trzydzieści.

Włączyła silnik i zawróciła, kierując się do centrum. Przebicie się przez poranny korek i dojazd do podwarszawskiej kliniki powinny zająć jej

akurat tyle czasu, by dotarła na miejsce na umówioną godzinę. W międzyczasie sprawdziła w telefonie, czy Górny przysłał jej zdjęcie w wybranym przez siebie stroju do telewizyjnego wywiadu, ale nowych wiadomości nie było. Złożyła to na karb ich wczorajszego zgrzytu. Jej już przeszło, ale najwidoczniej Adam potrzebował więcej czasu na złapanie dystansu.

Podjechała pod bramę ośrodka dla psychicznie chorych i wyłączyła silnik. Spojrzała jeszcze raz w lusterko nad kierownicą. Chciała mieć pewność, że puder wciąż trzyma się twarzy, a policzki dyskretnie się różowią. Gdyby nie cienie pod powiekami, które pojawiły się po zbyt krótkim śnie, byłoby wręcz idealnie.

Zamknęła auto i ruszyła do wejścia. Gdy przekroczyła próg budynku, powitał ją znajomy głos recepcjonistki.

– To pani? – Ewa Czajka wychyliła się zza szyby. Uśmiech, który momentalnie zakwitł na jej twarzy, zniknął równie szybko. – Chyba nie w sprawie naszego kolejnego pacjenta? – spytała podejrzliwie.

Julia odwiązała szalik z szyi.

– Nie tym razem.

– Oby kolejnego nie było. Wie pani może, co się z nią stało? Z tą małą Niną Rawską? Pamiętam, że zamierzała wyjechać do ciotki.

– Sąd rodzinny nie podjął jeszcze decyzji – odpowiedziała zgodnie z prawdą Julia. – To skomplikowany przypadek, ale mam nadzieję, że nie stanie się jej krzywda.

– Nie mogę przestać o niej myśleć. Czasami wydaje mi się...

Umilkła na widok stojącego na szczycie schodów Artura. Musiał zauważyć skodę podjeżdżającą pod bramę i wyszedł naprzeciw.

Wycofała się w głąb recepcji i zaszeleściła dokumentami.

Julia podeszła do stopni. Maciejewski przywitał się oficjalnie, niemal chłodno. Rozumiała, że nie chce wykonywać żadnych entuzjastycznych gestów, a już na pewno nie w obecności personelu. Swój firmowy uśmiech przywołał na twarz dopiero, gdy znaleźli się w jego gabinecie na piętrze. Zamknął za nimi drzwi i rozłożył ręce do przywitania. Miałaby odmówić sobie wtulenia się w jego kitel pachnący armanim?

– Jak zwykle punktualna – powiedział, wpuszczając do jej ucha miękki szept. – Usiądź. – Odsunął krzesło od stołu. – Jak mówiłem, nie mam dziś

zbyt dużo czasu. Za godzinę muszę zbierać się na samolot do Oslo.

Nie konferencja, nie żaden zjazd lekarzy, ale Oslo i jego żona, Matylda.

Szpila.

– Nie zabiorę ci zbyt dużo czasu – odparła cierpko. – Wiem, jak jest dla ciebie cenny.

Zaśmiał się.

– Nie o to chodzi. Miałem nadzieję, że zabiorę się z tobą na lotnisko.

Uklucie kolejne, niemal śmiertelne.

– Oczywiście o ile nie masz nic przeciwko – dodał. – Walizkę mam przy sobie, ale jeśli to kłopot, zamówię taksówkę.

– Żaden kłopot – odpowiedziała natychmiast.

Pojaśniał. Widziała, że się ucieszył, jednak z pewnością jego radość nie miała nic wspólnego z tym, że spędzą ten dodatkowy czas razem w samochodzie. Szukał wygodnego i darmowego transportu na Okęcie.

– Mówiłaś o swojej nowej sprawie. – Artur przeszedł gładko do sedna.

– Zaniepokoiłem się, kiedy zadzwoniłaś i wspomniłaś o Lidii. Byłaś roztrzęsiona. Powiesz mi, o co konkretnie chodzi?

Julia sięgnęła po stojącą na biurku Maciejewskiego szklanekę i podsunęła ją pod wysłużony syfon z wodą sodową, by przepłukać gardło. W kilku zdaniach streściła sytuację.

– Nie mam żadnych wątpliwości, że te dwie zbrodnie mają związek z jej zniknięciem – wyjaśniła. – Brakuje mi jednak logicznego wytłumaczenia, co się mogło stać i dlaczego. Te zbrodnie to robota typowego psychopaty. Ciało anonimowej kobiety jest w koszmarnym stanie. Na razie wiem tylko tyle, że jej ręce i nogi skrępowano sznurem. Prawdopodobnie wciąż żyła, kiedy wrzucono ją do studni. Zwłoki przeleżały tam wiele miesięcy, aż całkiem się rozpadły. Patolog robi, co może, żeby mieć co napisać w swoim raporcie.

– Sznur? – Maciejewski pokręcił się na boki w swoim fotelu na kółkach. – Nie widzę nic zaskakującego w łączywaniu ofiary. To nie jest podstawa, by powiedzieć cokolwiek o psychice zabójcy. Jedyne spósb wiązania ofiary może mieć w takiej sytuacji znaczenie. Ale jeśli było to zwykłe zaciśnięcie... – Wzruszył ramionami. – Ta druga też została skrępowana?

– Tak, ale ciało porzucono już bez więzów na nadgarstkach. Znalezliśmy ją w strumieniu w Lesie Bielańskim. Badanie wykazało

w płucach morską wodę.

– Morska woda w Bielańskim?

– Wiem, jak to brzmi. Doszliśmy już do tego, że to była mistyfikacja. Ciało najzwyczajniej podrzucano, żeby upozorować śmierć w potoku.

– Z tego wynika, że zabójca albo nie jest zbyt inteligentny, albo nie ma pojęcia o tym, jak wygląda badanie zwłok.

– Jest też trzecia możliwość – stwierdziła Julia. – Może celowo udawać laika, żeby odsunąć od siebie podejrzenia. Biorę i to pod uwagę. Ale nie o tym chciałam z tobą rozmawiać. Badanie ciała wykazało, że dokonano na nim gwałtu.

– Klasyka, nic nadzwyczajnego.

– Gwałtu dokonano na zwłokach, Artur.

– Też się zdarza. Nekrofilia wcale nie jest takim rzadkim zaburzeniem. Przypomnij sobie sprawę sprzed kilku lat. Jan Lasota, mówi ci coś to nazwisko?

– Aż za dobrze. To była wyjątkowa kanalia.

– Tacy ludzie niestety istnieją.

– Więc mam przyjąć, że to „popularna patologia”? – Julia zrobiła palcami cudzysłów w powietrzu.

– Źle mnie zrozumiałaś. Nie chodziło mi o to, że seks z nieboszczykiem jest trendy. Miałem na myśli, że zjawisko samo w sobie nie jest czymś niezwykłym ani jednostkowym. Literatura fachowa aż pęka w szwach od takich przykładów. Zresztą sama zauważyłaś, że zwłoki znalezione w potoku stały się przedmiotem czyjejś seksualnej fantazji. Jeżeli ktoś wykorzystał tę kobietę, bez wątplenia musiał odczuwać satysfakcję ze współżycia z nieboszczykiem. Ludzie mają różne odchyły. Zwłaszcza mężczyźni. Statystycznie to przytłaczająca większość przypadków.

– Kobiety też się zdarzają?

– Owszem – przytaknął Maciejewski. – Nie robią tego jednak z ciałami innych kobiet, zwykle celują w mężczyzn.

Julia zamyśliła się.

– Seks z martwym mężczyzną? Fizycznie niewykonalne.

– Nie bądź naiwna. Wystarczy wywołać wzwód. Osiągnięcie tego w sposób naturalny nie jest możliwe, ale pozostają pompki, wtryski w członka i inne zabawy.

– Chore.

– Dla ciebie tak, ale nie dla nich. Przynajmniej nie okaleczają swoich ofiar w sposób, w jaki robią to mężczyźni. Nie są aż tak okrutne. Nie tną, nie masakrują...

– Tamtej kobiety nikt nie pociął.

– Nie wiesz jednak, czy sprawca dokonał gwałtu, mając już martwe ciało, czy zabił po to, by...

– Zgwałcić ją zaraz po śmierci? Nie wiem. Co to za różnica? Okazał się zwyrodnialcem i nie ma znaczenia, co nim kierowało.

– Ma, i to wielkie. Bez tego nie powstanie jego profil psychologiczny. Słyszałaś o zjawisku zwanym lustmord? Zabójstwo z lubieżności. Sprawca podnieca się w trakcie zabijania. Ale to chyba nie jest ten przypadek. Jak długo zwłoki leżały w potoku?

– Dwie godziny. Jak już mówiłam, zabito ją wcześniej, a potem przewieziono i wrzucono do wody.

– Jak dużo wcześniej: tydzień, dwa?

Julia pokręciła głową.

– Ciało znaleźliśmy kilka godzin po zabójstwie.

– Zatem odpada nam nekrofilia romantyczna.

– Na litość boską...

– Brzmi sielsko, ale taka nie jest. To paskudny rodzaj dewiacji. Sprawca przetrzymuje zwłoki ukochanej osoby, nie pozwalając jej pochować. Taka sytuacja może trwać miesiącami. Dajmy na to Herod podobno spał przy zwłokach swojej zmarłej żony przez siedem lat. Nie patrz tak na mnie, Julia, pytałaś o zjawisko, to ci je opisuję. Takie rzeczy dzieją się na świecie, czy nam się to podoba, czy nie. Badacie DNA?

Julia wypiła do końca wodę i ponownie nacisnęła tłok w syfonie.

– Nie znaleziono nasienia. Ani w ciele, ani na nim.

– Patolog stwierdził gwałt pozorowany?

– Mhm. Niemniej to gwałt.

Skrzywił się, jakby chciał powiedzieć „ani tak, ani nie”.

– O co ci chodzi? – Julia postawiła szklankę z wodą zbyt mocno, tak że cienka struga wylała się na blat biurka. – Jak penisem, to gwałt, a jak nie penisem, to już głaskanie, zabawa jakaś?

Artur wyjął z szuflady biurka paczkę chusteczek i wytarł jedną z nich rozlaną wodę.

– Uspokój się. To, że naruszono nietykalność zwłok, to jedno. Jednak z tego, co mówisz, sprawcy nie chodziło o osiągnięcie satysfakcji

seksualnej w kontakcie ze zmarłą. W grę wchodziła więc albo klasyczna zmyłka, albo zemsta.

– Zabójca wyżył się na Bogu ducha winnej kobiecie za swoje spaprane dzieciństwo?

– Pytasz mnie o powody, dla których ludzie robią takie rzeczy? Tak, Julia, relacje z matką mają kluczowy wpływ na to, czy seksualność mężczyzny pójdzie w dobrym kierunku, czy wręcz przeciwnie. Brak miłości, narzucona świętoszkowatość i wbijanie dziecku do głowy, że przyjemność cielesna jest grzeszna, zaburzą rozwój emocjonalny i powodują wycofanie w stosunku do kobiet. A stąd już prosta droga do strachu przed ciałem partnerki i lęku, jaki rodzi się w głowie na samą myśl, że podczas kontaktu coś może pójść nie tak. Jaki tego skutek? Totalna blokada przed normalnym spółkowaniem i przymus wejścia na drogę dewiacji. Seksualność człowieka musi przecież mieć gdzieś swoje ujście. Być może ten wasz sprawca wybrał właśnie taki sposób na kontakt: za pomocą przedmiotu, którym dokonał penetracji. Nie był w stanie bezpośrednio dotknąć ciała kobiety, ani żywej, ani umarłej.

– Istnieje jeszcze inna możliwość. Mógł być impotentem.

– Owszem. Stąd brak nasienia na zwłokach. Tak czy inaczej, musiał mieć niedobory emocjonalne.

– Niedobory? Niedobór to może być witamin w organizmie. Jak dla mnie to po prostu bestia w ludzkiej skórze. Do tego zdesperowana.

– A ta druga ofiara, ze studni, też została zgwałcona?

– Za wcześnie na odpowiedź. Patolog dopiero zaczął badać ciało, a właściwie to, co z niego zostało. Wątpię, czy uda mu się to stwierdzić. Wiesz, co tak naprawdę nie daje mi spokoju? – spytała Julia po chwili zastanowienia. – Że to wszystko jest jedną wielką mistyfikacją.

– Morderca zabija dla samego spektaklu?

– Robi to, co zrobiłby teatralny reżyser mający do wystawienia kiepski spektakl. Inwestuje w dekoracje i kostiumy, żeby odciągnąć uwagę widza od sedna sztuki i skupić ją na czymś zupełnie innym, drugorzędnym. To by oznaczało, że wcale nie jest takim idiotą, jak zakładaliśmy. Każdy jego krok jest dokładnie przemyślany, a idiotów to próbuje zrobić z nas.

– Jego święte prawo.

Julia zauważyła, że Artur zaczyna niecierpliwie spoglądać na zegarek. Godzina przeznaczona na rozmowę właśnie się kończyła.



– Tak, lotnisko, pamiętam – powiedziała, chcąc uprzedzić sytuację, w której zostanie wyproszona z jego kliniki.

Zawinęła szalik na szyi i stanęła gotowa do wyjścia. Maciejewski też się podniósł, ale zanim sięgnął po płaszcz, zajrzał jeszcze do swojej walizki. Szukał w niej czegoś, rozrzucając na boki poskładane wcześniej ubrania. Najwyraźniej nie znalazł w niej swojej zguby, bo wrócił do biurka i szarpnął szufladę. Dopiero teraz odetchnął z ulgą. Małe plastikowe pudełko wyglądało na kasetkę na bezprzewodowe słuchawki. Starał się otworzyć je dyskretnie, jednak coś poszło nie tak. Złota obrączka, którą zdjął przed wizytą Julii, błysnęła, po czym wraz z pudełkiem zniknęła w kieszeni marynarki.

– Po prostu włóż ją na palec. – Julia pokręciła z niedowierzaniem głową. – Jestem dużą dziewczynką, a ty jesteś żonatym chłopcem, więc po co ta zabawa?

Niemożliwe było wyczytanie z jego twarzy, czy to, co powiedziała, uspokoiło go, czy rozdrażniło. Wyjął z kieszeni obrączkę i wsunął ją na dłoń.

Z kliniki wyszli bez słowa.

Droga do Warszawy wydawała się dłuższa niż zwykle. Po ujechaniu pierwszych kilku kilometrów Julia włączyła cicho radio. Spróbowała znaleźć jakiś kanał z muzyką, ale jak na złość we wszystkich rozgłośniach nadawano wiadomości albo reklamy. Za to w stacji CD tkwiła jakaś płyta włożona dawno temu, przełączyła więc radio na stare hity U2. Już przy pierwszych taktach *With or Without You* Artur sięgnął do swojej podręcznej torby i wyjął z niej magazyn o jakimś medycznym tytule. Julia nie miała zamiaru przerywać mu lektury, skoro z takim zainteresowaniem przerzucał kartki, skupiając się na psychiatrycznym bełkocie. Odłożył pismo, dopiero gdy na horyzoncie zamajaczyła lotnicza wieża kontroli.

Zatrzymała się pod halą odlotów. Wyszli z auta oboje. Maciejewski wyjął z bagażnika walizkę i postawił ją na asfalcie.

– Leć bezpiecznie – powiedziała Julia, zatraskując klapę.

Wreszcie na nią spojrział.

– Pogadam o tym z pilotem. – Uśmiechnął się łagodnie. – Jak to się mówi? Tyle samo lądowań, co startów?

– Właśnie tak. A, jeszcze jedno. Mógłbyś mi coś kupić tam, na miejscu, i wysłać do Warszawy? Jeśli to oczywiście nie kłopot.

– Mam ci wysłać gumowego norweskiego trolla? – spytał z przekąsem. – Widziałem takie z rudymi czuprynami.

– Chodzi mi o sweter. Zawsze podobały mi się swetry w norweskie wzory.

– *Lusekofte*. – Artur wysunął do przodu szczękę, żeby skandynawski akcent dobrze wybrzmiał. – Tak się nazywają. Kupię. Jaki wzór?

– Zdaję się na ciebie. Tylko nie przesadz, nie chcę wyglądać jak żona wikinga. Tu masz mój adres. – Wsunęła mu do kieszeni płaszcz swoją wizytówkę.

Maciejewski oparł walizkę o bok skody, po czym rozłożył ręce do pożegnania. Nie wypadało mu rozstać się inaczej, rzucając chłodne „do zobaczenia”.

Znów poczuła to samo co dwie godziny temu. Ciepło i obezwładniającą czułość. To, co odsunęło ich chwilowo od siebie, zniknęło.

– Wolałbym nie wyjeżdżać – usłyszała.

– Musisz. Ktoś tam na ciebie czeka – odparła z zaciśniętym gardłem.

Powąchał jej włosy, wiedziała to na pewno. Znała ten oddech, zdążyła się go nauczyć na pamięć przez lata, kiedy jeszcze byli razem.

– Nie mogę stać tu dłużej, bo zaraz mnie odholują – powiedziała, odklejając się od jego rąk.

– Jasne. Na mnie też już pora.

Kiwnął głową na pożegnanie. Odszedł, ciągnąc za sobą walizkę. Widziała przez szklane rozsuwane drzwi, jak idzie prosto do stanowiska odprawy. Liczyła, że obejrzy się chociaż raz, ale nie zrobił tego.

W drodze z lotniska podjechała na Oczki. Lipski czekał na nią w Zakładzie Medycyny Sądowej ze świeżym raportem z sekcji zwłok anonimowej kobiety znalezionej na posesji przy Prozy 22A.

Zastała go w gabinecie. Wyglądał jeszcze gorzej niż poprzednio. Przeziębienie przechodziło w ostry stan, oczy miał szkliste i podkreślone czerwonymi obwódkami. Na czole lśniła cienka warstwa potu.

– Wykończę się przez was – przywitał Julię, nie zdejmując z twarzy ochronnej maseczki. – Ta cała Sieracka nie zdaje sobie sprawy, co muszę

wstrzyknąć sobie w żyłę, żeby się spionizować i stanąć przy stole sekcyjnym. Jeśli podeślicie mi jeszcze jednego trupa, to sami będziecie go badać – zagroził. – Tu masz raport.

Spod stosu papierów leżących na biurku wygrzebał dwie zszyte ze sobą kartki i położył je przed Julią.

– Weź to i znikaj. W przeciwnym razie nie ręczę, że wyjdiesz stąd bez zarazy pod skórą.

Maseczka poruszała się gwałtownie przy każdym jego wdechu i wydechu.

Julia rzuciła okiem na sprawozdanie. Jak na człowieka przypominającego tykającą bombę biologiczną Lipski dokonał cudu. Dokument zawierał wszystko to, o co go prosiła.

– Dzięki. – Machnęła w powietrzu spiętymi kartkami. – W razie czego będę dzwonić.

– Nawet nie próbuj! Od tej chwili nie ma mnie, choćbyście się mieli wściec! – krzyknął za nią, gdy zamykała za sobą drzwi.

Opadł bez sił na krzesło. Kiedy kroki Krawiec ucichły i miał pewność, że już nie wróci, ściągnął z twarzy zieloną ochronną maskę.

Usiadła za kierownicą, ale nie włączyła silnika. Otworzyła raport. Składał się z dwóch części; w nagłówku widniała notatka, że jest pozaprotokolarny. Lipski zaznaczył, że to, co napisał, jest wynikiem jedynie wstępnych oględzin ciała i należy je potwierdzić dogłębnymi badaniami. Podkreślił grubą linią, że niżej zamieszczonego raportu nie należy traktować jako oficjalnej opinii lekarskiej.

Zaczęła czytać.

Nazwisko badającego i asystentów, miejsce, data i godzina. Te szczegóły pominęła, nie miały żadnego znaczenia. To, co ją interesowało, zaczynało się dalej.

Uzębienie. Z autopsji wynikało, że wiek denatki może wahać się mniej więcej o pięć lat. Do badania wykorzystano zęby z obu szczęk, przy czym wzięto pod uwagę starcie korony zębów, nawarstwienie wtórnej zębiny i cementu korzeniowego, zmiany zanikowe przyzębia, przejrzystość korzeni zębów i zabarwienie ich koron. Sześć elementów, z których wypadło sześć wskaźników wrzuconych do matematycznego równania układanki,

wyglądającego, jakby podstawiono do niego współrzędne kosmosu. Wyrzucony wynik podał przybliżony wiek ofiary: czterdzieści trzy lata.

Nie wierzyła w przypadki. Musiała się jednak upewnić, że to, co podejrzewała na temat kobiety ze studni, to nie czysta imaginacja. Wybrała numer i cierpliwie poczekała, aż usłyszy głos Lipskiego w telefonie.

– Nie zrozumiałaś mnie, Julia? – sapnął i zakasłał zaraz potem. – Naprawdę staram się być miły, ale nie przeciągaj struny. Poddałem analizie jej zęby, jak tego chciałaś.

– Tak, deszcz atomów, wszystko pięknie. Ale nie chodzi mi teraz o zęby. Chodzi o jej kości. Nie zauważyłeś w nich czegoś szczególnego?

– Poza tym, że zgubiliście gdzieś jeden z paliczków i nie mam kompletu? Nie, Julia, nie badałem ich. Powiedziałem ci, że wysłałem udowe i ramienia do laboratorium. Zrobiłem, co miałem zrobić, i na tym koniec.

– Zaczekaj – powstrzymała Lipskiego, zanim się rozłączył. – Musiałeś opisać je przed wysłaniem. Wiem, że za każdym razem robisz protokół zdawczo-odbiorczy.

– Masz mnie za magazyniera? – zaśmiał się chropowato Lipski.

– Tak jakby. Zapytam wprost: zmierzyłeś kości jej nóg?

Słyszała, jak mamrocze coś w gorączce. Do głośnika jej telefonu wpadło kilka odgłosów uderzeń w klawiaturę komputera.

– Modelką na pewno nie była, jeśli o to pytasz – odpowiedział przez zakatarzony nos. – Określiłbym nogi jako raczej krótkie.

– Ale czy równe?

– Co do centymetra – odpowiedział natychmiast.

– Cholera... Liczyłam na to, że miała coś nie tak z nogami.

Lipski musiał trzymać w ustach rozpuszczalnego dropsa na ból gardła, bo teraz z kolei usłyszała ciche mlaskanie.

– Z nogami wszystko w porządku, ale nie z biodrem – powiedział po chwili. – Miała wszczepioną endoprotezę.

– Sztuczne biodro? – upewniła się. – Mogła przez to utykać?

– Utykać można nawet przez kamień w bucie. Ale owszem, mogła kuleć, jeśli chodzenie sprawiało jej ból. Ta proteza to stary model, już się takich nie stosuje.

Julia odłożyła raport na siedzenie obok.

– Chory, nie chory, jesteś mistrzem, Lipski.

– Więc daj mi jeszcze trochę pożyć. Rozłączam się, Julia.

Usłyszała cichy dźwięk odkładanej słuchawki.

Kobieta ze studni nie była już anonimowa. Nazywała się Elena Sawczuk i była jedną z pracownic przedszkola, podobnie jak Aleksandra i Lidia. Czy wszystkie trzy miały zginąć? I za co? Kim był ten, który postanowił je zlikwidować?

Tylko Lidia знаła odpowiedzi na te pytania. O ile nie miała nic wspólnego ze śmiercią tych kobiet, powinna wreszcie się odezwać i powiedzieć prawdę, jakkolwiek przerażająca by była.

Otworzyła przeglądarkę internetową. Musiała sprawdzić to natychmiast. Centrum ogłoszeń prasowych „Gazety Wyborczej” wyrzuciło formularz do zamawiania nekrologów i kontakt do obsługi. Młody mężczyzna odezwał się już po pierwszym sygnale i zapytał, w czym może pomóc. Julia podała nazwisko Eleny Sawczuk i przybliżoną datę zgonu.

– Tak, mamy takie zgłoszenie w bazie – potwierdził po przeciągającej się chwili. – Owszem, zachowujemy zlecenia, ale nie dłużej niż rok. Potem kasujemy. Treść? Z głębokim żalem zawiadamiamy, że dwunastego września dwa tysiące siedemnastego roku odeszła od nas Elena Sawczuk. Tylko tyle. Podpis? Nietypowy. Egzekutor. Nie, nazwiska nadawcy nie mogę podać, dane naszych interesantów są poufne. Przykro mi.

Rozłączyła się. Nazwisko zleceniodawcy i tak mogło być fałszywe. Śmierć Eleny, podobnie jak śmierć Aleksandry, nie miała pozostać bez echa. Ten, kto je zabił, zamieścił nekrologi w konkretnym celu. Jeśli miały stać się ostrzeżeniem, strategia zawiodła. Mało kto zatrzymuje się na kolumnach ze zgonami, chyba że są to ludzie w wieku Emilii. Dlatego wpadł na kolejny, dodatkowy pomysł: liściki z rymowankami. Podrzucał je tam, gdzie z całą pewnością zostałyby zauważone.

Wybrała ponownie numer do centrum ogłoszeń.

– Chcę sprawdzić jeszcze jedno nazwisko – powiedziała. – Proszę zobaczyć, czy wpłynęło ostatnio zamówienie na nekrolog pewnej młodej kobiety.

Serce jej waliło, kiedy podawała dane Lidii. Tym razem na odpowiedź czekała krócej.

– Na razie nic nie mamy, ale zamówienia spływają cały czas – wyjaśnił mężczyzna. – Mam zarezerwować miejsce w naszej gazecie na ostatnie pożegnanie pani Lidii?

\* \* \*

Pilar lubiła patrzeć na siebie podczas śpiewu. Poza wydobywającym się z jej gardła sopranem musiała należycie dostosować układ ust, by dźwięk był głośny i czysty, oraz wypracować układ całego ciała. Wszystko musiało być perfekcyjne. Przyniosła więc z przedpokoju podłużne lustro i postawiła je na krześle w salonie. Sama usiadła naprzeciwko z nutami *Czarodziejskiego fletu*.

Szybko się przekonała, że na siedząco śpiew nie idzie jej tak jak powinien, mimo wyprostowanych pleców i ściągniętych ramion. Podeszła do półki z książkami i zdjęła z niej cztery najcięższe. Położyła się na kanapie na wznak, umieszczając stosik na brzuchu. Przymknęła powieki i zaczęła oddychać miarowo, by wprowadzić w ruch rozleniwioną przeponę. Wdech i wydech.

Książki uniosły się w rytm jej oddechu i opadły.

Wdech i...

– Co to za gimnastyka? – rozległ się głos Rafała.

Pilar nie usłyszała, kiedy drzwi wejściowe szczęknęły. Skoncentrowana na mięśniach oddechowych, odcięła się od całego świata. Dopiero gdy poczuła trącanie w prawe udo, otworzyła oczy.

– Pytałem, co robisz. – Rafał zdjął marynarkę i sięgnął do szafy po wieszak. – Bawisz się w dziewczynkę z dziewiętnastowiecznej pensji? One nosiły książki na głowie, nie na brzuchu.

– Ćwiczę. – Pilar głośno wypuściła powietrze z płuc. – Nie przeszkadzaj.

– Drugie przesłuchanie w operze? Myślałem, że spławili cię już po wstępnym.

Nie chciała się ruszać, by nie zakłócać pracy przepony, niemniej drgnęła.

– Mnie się tak łatwo nie spławia – powiedziała, dostosowując wypowiedziane sylaby do ruchu mięśni. – Nikogo nie wybrali i jutro z rana jest dogrywka. Mam zamiar dostać tę robotę, a ja zawsze dostaję to, czego chcę.

Rafał rozejrzył się po kuchni. Szukał patelni ze świeżo upieczonym mięsem lub choćby garnka z zupą. Kuchnia nie wyglądała jednak na użytą od śniadania, kiedy to Pilar uprzątnęła wszystko po gotowanych parówkach. Gdy w grę wchodziły jej próby śpiewu, zdawała się zapominać o bożym świecie.

– Mogłaś chociaż rozpuścić kostkę rosółową i mieszać z pomidorami z puszki – warknął, po czym wyjął z dolnej szafki garnek i puścił do niego wodę w kranu. – Do diabła, Pilar, nawet tego nie chciało ci się zrobić?!

Postawił garnek z wodą na palniku na tyle głośno, że kobieta aż podskoczyła na łóżku.

– Masz ręce, *mi amor*? To sam sobie zrób – odburknęła, układając na nowo książki na brzuchu. – Nie jestem twoją kucharką. Ani żoną, o ile dobrze kojarzę. Może gdybym nią była, miałabym jakąś motywację. A tak to... sorry.

Z kuchni dobiegły ją kolejne trzaśnięcia. Tym razem furczały szuflady, w których szukał makaronu. Im głośniej je domykał, tym donośniejsze „do, re, mi, fa, sol, la, si” wydobywało się z ust Pilar.

Opakowanie ze spaghetti pękło, kiedy spróbował oderwać jego brzeg zębami. Dziesiątki makaronowych nitki rozsypały się po podłodze.

– Kurwa! – Morawski rzucił pustą paczkę pod nogi. – Rusz się, do cholery, i zrób coś z tym!

– Do mnie mówisz? – Pilar podniosła się z kanapy ze spokojem.

Odłożyła książki z powrotem na półkę, po czym rozciągnęła się, wyginając kręgosłup w lekki łuk. Z zadowoleniem obserwowała swoje odbicie w lustrze: płaski brzuch ukryty pod opiętą bawełnianą bluzką i miękki zarys kości biodrowych przebijający się pod czarnymi legginsami.

– A do kogo?! Jest tu ktoś jeszcze?

– Mi, mi, mi... – Poruszyła cicho ustami, nie odrywając wzroku od lustra. – Brak motywacji, słyszałeś? Więc przestań się ciskać. Chcesz jeść? Wystarczy zejść na dół, do baru.

Woda na gazie nie zdążyła się zagotować. Morawski zgasił płomień i wylał zawartość garnka do zlewu. Potem przeszedł po porzrzucanych nitkach makaronu, miażdżąc je butami. Chrzęst wwierał się w uszy Pilar, ale pozostała niewzruszona.

– I co, lepiej ci? – rzuciła w jego stronę, gdy zgrzytanie ustało. – No, to teraz posprzątaj ten bajzel.

Nie mogła przewidzieć tego, co się stanie. Była przekonana, że jak zwykle pójdzie do ich sypialni i zacznie okładać swój worek treningowy. Zamiast tego podszedł do lustra i uderzył w nie pięścią. Raz i drugi, aż potłuczone szkło odpadło od ramy. Wystraszyła się na dobre. Stała oszołomiona, zaciskając dłonie na piersiach. Pod jej stopami leżały rozbite kawałki lustra, które odbijały to, co znajdowało się nad nimi: górną część

witryny na książki i sufitową lampę. W jednym z odprysków zobaczyła swoją twarz, przerażoną i bladą.

Rafał odgarnął część szkła butem i usiadł na kanapie, gdzie przed chwilą leżała, ćwicząc gamy.

– Co, już nie śpiewasz tego swojego „mi, mi, mi”? Śpiewaj, Pilar, z chęcią posłucham. – Założył nogę na nogę i rozciągnął ręce na oparciu. – No dalej, słowiku, czemu tak nagle zamilkłaś?

Wolała zejść mu z oczu. Nie zamierzała ani śpiewać, ani do niego mówić. Nie zamierzała na niego patrzeć. Złapała za swoją torbę i wybiegła do przedpokoju. Z wieszaka zerwała puchową kurtkę i uciekła.

Płakała. Biegła osiedlowymi uliczkami prosto do mieszkania matki. Kiedy Dolores otworzyła drzwi, nie musiała o nic pytać. Wystarczyło, że spojrzała na jej zaczerwienione oczy i poczuła, jak się trzęsie.

– No już, uspokój się. – Przytuliła córkę. – Musimy być teraz cicho. Dopiero co usnęła.

Josefa od kilku dni spała niepokojąco dużo. Budziła się na krótko, głównie gdy musiała skorzystać z toalety. Jadła natomiast coraz mniej, gołym okiem widać było, że jej stan się pogarsza. To, że znalazła w sobie siłę, by jeszcze w poniedziałek odbyć swoją spowiedź, zakrawało na cud. Potem nagle osłabła. Serce jakby zwolniło, a oddech stał się o wiele płytszy, niż powinien. Nie opuszczała już mieszkania, coraz rzadziej wychodziła ze swojego pokoju i łóżka. Zarówno Dolores, jak i Pilar zdawały sobie sprawę, że jej koniec nadchodzi. Mogła mieć przed sobą kilka tygodni życia, może tylko dni.

Usiadły w kuchni, z wysokiego garnka dolatywał zapach gotującej się fabady. Dolores postawiła przed córką tabletki uspokajające i szklanek z wodą, sama zaś wrzuciła do kociołka resztę fasoli i chorizo, po czym zamieszała wszystko drewnianą łyżką.

– Mówiłam ci, że to się źle skończy – powiedziała, odkładając łyżkę na talerzyk.

Pilar wysypała na dłoń zbyt dużo pigułek. Patrzyła na nie, jakby rozważała, czy ma połknąć je wszystkie, czy nie połykać żadnej. Pod gromiącym spojrzeniem Dolores zostawiła tylko jedną, a resztę wrzuciła z powrotem do słoiczka.



– Przejdzie mu, zawsze przechodzi. – Chłodna woda spłynęła jej po gardle. – Po prostu oboje przechodzimy teraz trudne chwile.

– Wiedziałaś, że w końcu nadejdą. Dostałaś, co chciałaś, ale teraz czas to zakończyć, Pilar. Uwolnij się od tego człowieka, i to jak najszybciej.

Obróciła w rękach szklankę.

– Za dużo zainwestowałam, żeby się teraz wycofać. Wszystko się niedługo uspokoi, zobaczysz.

– Albo i nie. Wydarzyło się wiele zła, już wystarczy. A ona... – Dolores spojrzała na ścianę dzielącą kuchnię od pokoju matki. – Ona powinna odejść w spokoju.

– Co babcia ma z tym wspólnego? – Pilar poruszyła się nerwowo na krześle. – Od miesięcy nie wie, na jakim świecie żyje. Wszystko jej się płacze.

– Co ty tam wiesz...

– Bredzi. Wybacz, mamó, ale Josefa jest stara i ma zaawansowaną sklerozę. Nie obchodzi jej nic poza różańcem i tym małym od Morawskich.

– Ciii... – Dolores położyła palec na ustach. – On tu jest, u niej.

Pilar obejrzała się za siebie, na zamknięte drzwi prowadzące do pokoju Josefy.

– Piotruś?

– Tak, siedzi już chyba godzinę. Przyszedł, kiedy była przytomna, i teraz czeka, aż znów się obudzi. Chce się pożegnać przed wyjściem.

– Po co? – Oczy Pilar powiększyły się. – Po jakiego diabła przyprowadzasz go tutaj? Babci potrzebny jest spokój, a nie towarzystwo tego dzieciaka.

Pilar podeszła do drzwi sypialni Josefy, jednak Dolores złapała ją za rękę, zanim zdążyła chwycić klamkę.

– Nie wchodź tam. Mają swoje sprawy. Jeśli takie jest życzenie twojej babki, żeby się z nim widywać, tak właśnie będzie.

– Widywać? – Pilar zaniepokoiła się. – Często tu przychodzi?

– Raz w tygodniu. Zamykają się i rozmawiają. Co ci jest? – Dolores przyjrzała się bladym policzkom córki. – Dziwnie wyglądasz. Jakbyś ducha zobaczyła.

– Mam dość dzieci Beaty, tych żywych i umarłych. Jej samej też mam dość. Zaczęła robić kłopoty.

Dolores ujęła córkę pod łokieć.

– Wracaj do kuchni. A panią Morawską nie zawracaj sobie głowy.

– Zaczęła mi grozić.

– Nie zrozumiałaś, Pilar? O Morawską się nie martw – powtórzyła.

Posłusznie odeszła od drzwi sypialni, choć zżerała ją ciekawość, co dzieje się za ścianą. Josefa musiała się właśnie ocknąć, bo z jej pokoju zaczęły dochodzić niezrozumiałe szepty.

– Starzy ludzie i dzieci żyją we własnym świecie – wyjaśniła Dolores.

– Wiele ich ze sobą łączy.

– Tego się właśnie obawiam.

– Bawią się, nic poza tym – uspokoila córkę.

– Babka od zawsze była dziwna. – Pilar wzruszyła ramionami. – Nigdy nie rozumiałam, co widzi w tych dzieciach. Mnie tak nie rozpieszczała. Ty zresztą też nie. Obcym dzieciom opowiadałaś bajki, mnie nigdy.

– Bo mi na to nie pozwalałaś. Nie potrzebowałaś czułości ani bujania na kolanie. A dzieci Morawskich owszem. Lgnęły i do mnie, i do twojej babki. Od zawsze kochała je jak swoje.

– Przecież ledwo z nimi rozmawiała po polsku.

– Dogadywali się na migi.

– Teraz też gadają na migi? – parsknęła Pilar. – Pewnie tak, bo znowu jest cicho. Jeśli tylko bawią się w łapki, mogę spać spokojnie.

Drzwi pokoju cicho skrzypnęły. Najpierw wychyliła się głowa chłopca, potem stanął w nich cały. Delikatnie docisnął klamkę, zamykając za sobą drzwi.

– Babcia jest zmęczona – powiedział ze smutkiem.

Przeszedł do kuchni, ściskając w ręce swój nieodłączny plecak z wyszytą kotwicą.

– Tak do niej mówisz? Babciu? – zdziwiła się Pilar. – Od kiedy?

Piotruś położył otwartą dłoń na twarzy.

– O co mu chodzi, mamó? Co to za wygłupy? To ta ich zabawa, o której mówiłaś?

Dolores postawiła na stole trzy talerze, a między nimi stanął garnek z parującą fabadą.

– Popatrz na niego... Co tu jest grane? Mały, może ty mi powiesz? – Pilar zwróciła się do Piotrusia, widząc, że matka nabrała wody w usta.

Chłopiec wciąż trzymał rozwarte palce dłoni na swojej buzi. Kiedy wreszcie je od niej oderwał, Pilar zobaczyła, że nie uśmiecha się tak, jak robią to dzieci podczas zabawy. Jego twarz była poważna.

– Nie mogę powiedzieć – wyznał swoim dziecięcym głosem. – Muszę uważać, żeby nikt więcej nie umarł.

Łyżka wysunęła się z palców Dolores i z łoskotem upadła na podłogę.

– Powieście mi wreszcie, co tu się dzieje?! – Pilar z przerażeniem patrzyła to na matkę, to na chłopca.

Dolores nic nie odpowiedziała, tylko pochyliła się nad garnkiem z fasolą i kielbasą i zaczęła rozlewać potrawę do talerzy. Para osiadła na jej twarzy. Potarła piekące od ostrych przypraw oczy, co nie umknęło uwadze chłopca.

– Nie smuć się. – Piotruś podszedł do niani i objął ją rękami w pasie. – Karinka nie chciałaby, żebyś płakała.

– Wiem, kochanie – odparła, unikając jego wzroku.

Pilar miała wrażenie, że wszyscy wokół znają zasady tej przedziwnej gry, tylko nie ona.

– Pójdę już. – Odsunęła od siebie talerz z jedzeniem. Apetyt na fabadę nagle zniknął. – Przy okazji odprowadzę go do domu. – Wskazała brodą na chłopca. – Może po drodze sobie porozmawiamy.

Dolores zareagowała błyskawicznie.

– Nie trzeba, ja z nim pójdę. Jak zje. – Przycisnęła dziecko do siebie.

Pilar przyjrzała im się podejrzliwie.

– Jak uważasz. – Chwyciła swoją torbę i puchową kurtkę. – A ty lepiej skończ z tą zabawą – zwróciła się do Piotrusia. – Josefa nie ostrzegła cię, że od trzymania ręki na twarzy zostanie ci ślad? Okropna, czerwona blizna, której nie pozbędziesz się do końca życia.

Chłopiec pokręcił przecząco głową.

– Będę się bawić. Babcia Josefa kazała.

– Blizna, pamiętaj!

Idąc do wyjścia, nie zajrzała do pokoju Josefy, choć zza przeszkłonych drzwi dało się wyraźnie słyszeć najpierw ciche westchnienie, a potem szeptane *Bésame mucho*. Babka nuciła tę piosenkę, odkąd Pilar pamiętała. Czasami odnosiła wrażenie, że to jedyna piosenka, jaką zna na pamięć. Śpiewała ją bez względu na to, czy ogarniała ją melancholia, czy czuła radość. Nigdy nie zapomniła słów i nigdy nie zdarzyło się jej fałszować. Nawet teraz.

– Słyszysz? Znowu śpiewa – ucieszyła się Dolores. – Chyba się jej polepszyło, bo nie słyszałam *Bésame* od miesiąca.

– Ucałuj ode mnie staruszkę i wytłumacz, że musiałam już iść. Zajrzę do niej po przesłuchaniach. Wiesz, jak jest: sztuka to zazdrosna kochanka.

Wraz z wyjściem Pilar wszystko wróciło do normy. Josefa nuciła swoją nostalgiczną piosenkę, a Piotruś zjadał gotowaną fasolę z pachnącą kiełbasą.

– Nie wierz jej. – Dolores pogładziła chłopca po roztrzepanych włosach. – Nie będziesz miał żadnej blizny na twarzy.

– Wiem – odpowiedział rezolutnie, pokazując zęby ubrudzone fasolową mazią. – Przecież to tylko zabawa. Nazywa się „Do trzech pań sztuka”.

\* \* \*

Biuro firmy dowożącej artykuły spożywcze do klientów zajmowało jedyną odrestaurowaną część hali przemysłowej na warszawskim Grochowie. Pozostały fragment budynku nadal znajdował się w ruinie. Wykorzystywali go zapaleńcy z aparatami fotograficznymi chcący zrobić sesje w atmosferze designerskiego loftu. Sprzyjały temu surowe mury porośnięte przez samosiejki i mech, a także zaciemnione nisze, które niegdyś służyły za wejścia do piwnic.

Nowoczesny i barwny szyld FreshMarketu nie pasował do tego obrazka. Uśmiechnięty pomidor, będący logo firmy, gryzł się ze smętnym wizerunkiem hali i nadawał jej charakter groteski. Po obu stronach drzwi prowadzących do hurtowni wisiały dodatkowo pionowe plansze przedstawiające oferowane produkty: świeże pieczywo, nabiał, napoje, słodczyce, mięso, mrożonki i artykuły bio oraz eko. Wszystko na wesoło.

Julia zatrzymała skodę pod jedną z plansz. Minęła wystawiony przy wejściu stojak z kolorowymi ulotkami reklamującymi biznes, po czym weszła do wąskiego korytarza, od którego odchodziło dwoje drzwi. Na jednych wisiała tabliczka „Tylko dla personelu”, na drugich, całkowicie przeszklonych: „Księgowość i biuro sprzedaży”. Zapukała w szybę i nie czekając na zaproszenie, nacisnęła klamkę.

W pokoju unosił się lekko wyczuwalny zapach stęchlizny. Przesiąkał przez stare mury mimo pracującej w kącie maszyny osuszającej powietrze. W pozbyciu się przykrego zapachu nie pomagał również stojący na

parapecie flakonik z zapachem do odświeżania wnętrz. Może dlatego, że końcówki sterczących z niego drewnianych patyczków tkwiły w pustym dnie butelki.

Dwie młode pracownice siedzące przy komputerach podniosły oczy na Julię. Jedna w sportowej bluzie, druga w czarnym żakiecie. Ta w żakiecie zaraz potem spojrzała na wiszący na ścianie zegar. Wskazówka pokazywała siedemnastą trzydzieści.

– Wkrótce zamykamy – powiedziała przepaszająco. – Ale jeśli jest pani zainteresowana współpracą, zawołam szefa. Powinien kręcić się gdzieś po zakładzie.

Sięgnęła po słuchawkę telefonu, ale Julia ją powstrzymała i wyjaśniła, kim jest i czego szuka. Nie zamierzała wchodzić w żaden biznes z FreshMarketem, interesowały ją jedynie dostawy, jakie firma realizowała na adres przy Wilanowskiej.

– Coś się stało? – Kobieta nie kryła zaskoczenia. – Jakiś klient złożył na nas skargę? Nie mieliśmy do tej pory zażaleń, nie rozumiem więc, skąd tu prawnik...

Julia mignęła licencją detektywa.

– Nie jestem prawnikiem. Prowadzę dochodzenie w sprawie jednej z waszych dostaw. Doszło podczas niej do przestępstwa.

– Któryś z naszych chłopaków coś zwinął? – Kobieta spojrzała bezradnie na koleżankę siedzącą bliżej okna. Nie zareagowała, na uszach miała słuchawki, jakie zakładają pracownicy call center. Pochłonięta rozmową z klientem przestała zwracać uwagę na to, co dzieje się obok.

– Chcę poznać nazwisko kuriera, który tamtego dnia realizował to zamówienie. – Julia położyła przed kobietą zabrany z mieszkania Majewskiej paragon z listą artykułów.

Młoda księgowa wyglądała na zaskoczoną i zarazem zaniepokojoną.

– Nie wiem, czy mogę. Nie udostępniamy danych. Mam procedury... Lepiej będzie, jak zawiadomię szefa...

– Niech pani powiadomi i powie przy okazji, że działam z polecenia prokuratury. Mogę wrócić z nakazem. Będzie z podpisem i pieczętką. Dokumenty przejmujemy wtedy oficjalnie.

– My?

– Ja i policja.

– Szef chyba się wściekł. To już ja wolę wszystko sama... O jaki adres chodzi?

Podawała jej nazwę ulicy, numer bloku i mieszkania. Kobieta, choć lekko rozdygotana, szybko odnalazła w systemie właściwe zlecenie.

– Sobota, siedemnasty marca – powiedziała, patrząc w monitor. – Sześć dni temu. Tak, widzę, że wysłaliśmy paczkę na nazwisko pani Aleksandry Majewskiej. Zaraz... tak, do Majewskiej.

– Coś się nie zgadza?

– Wszystko jest w najlepszym porządku. Po prostu ktoś podał najpierw inne nazwisko, a potem przekierował zamówienie na panią Majewską. Zresztą, z tego, co widzę, nie pierwszy raz.

Julia stanęła za plecami. Chciała zobaczyć cały zapis zarejestrowany przez FreshMarket, od początku do końca.

– Tu widać dzień i godzinę przyjęcia zlecenia. – Kobieta pokazywała palcem dane w e-formularzu zamówienia. – A tu jest ta zmiana. Klienci obsługują się właściwie sami, wystarczy mieć swój login i hasło. W tym miejscu potwierdzają adres, na jaki ma przyjść dostawa. Bywa, że ktoś robi przysługę chorej matce czy przyjaciółce, i wtedy adresy klienta i dostawy się różnią. Tak pewnie było i tym razem.

Julia widziała wyraźnie, że użytkownik, którym była Lidia, przekierował dostawę na adres Aleksandry. Jak powiedziała księgowa, podobnych przekierowań przy nazwisku Lidii było kilka.

– Osiem, widzi pani? – Kobieta podrapała się po głowie chwyconym z biurka ołówkiem. – Co dwa tygodnie przez cztery miesiące. Nam to bez różnicy, dokąd zawozimy towar, ale pani Majewska musiała być chyba bardzo chora albo niedołączna, skoro nie mogła sama składać zleceń. Kolejnych już nie mamy na ten adres. – Przeniosła ołówek z głowy na ekran i postukała w niego końcówką z różową gumką. – Ostatnie zgłoszenie pochodzi z piątku, szesnastego. Następnego dnia poszła dostawa. Tu ma pani nazwisko kuriera. – Kończówka ołówka znów uderzyła w monitor. – Grabarczyk Paweł.

– Od dawna u was pracuje?

Kobieta wydeła usta.

– Będzie już z rok. Kurierzy często się tu zmieniają, bo jeździć z towarem po klientach to wie pani... – Spojrzała na Julię znacząco. – Szef nie należy do szczodrych, a robota też mało ciekawa. Ale ten jakoś się uchował.

– Gdzie go znajdzie?

Wystarczyło spojrzeć na grafik. Paweł Grabarczyk właśnie realizował kurs na Białolękę.

– Powinien być tu z powrotem za jakieś dwadzieścia minut – poinformowała księgowa. – Nie skończy pracy, dopóki nie dostarczy nam dziennego raportu z odbiorów od klientów. Jeśli pani chce, może poczekać. Ja i tak się stąd nie ruszę, dopóki nie wbiję do komputera tych potwierdzeń.

– Wcześniej się zamykacie. Mało który biznes kończy pracę o osiemnastej.

Kobieta pokręciła głową.

– Tylko biuro, magazyn działa do dwudziestej. To, co wpadnie do systemu po godzinach pracy, czeka na realizację do rana.

– Jasne. – Julia spojrzała na zegarek, była za dziesięć szósta. – Wyjdę na zewnątrz, ma pani może zapaliki?

– Ja mam. – Koleżanka z biurka obok na widok wyjętych przez Julię vogue'ów zdjęła z głowy pałąk ze słuchawkami. – Też zapalę. Od rana nie miałam papierosa w ustach.

Jej głos, twardy i zachrypnięty, sugerował, jakby nie wyjmowała papierosa z ust od co najmniej dziesięciu lat.

– Który to narozrabiał? – spytała, gdy stanęły pod tablicami z wymalowanymi owocami i bochenkami chlebów. Zmierziła przy tym grzywkę, która przyklapła od wielogodzinnego trzymania na włosach słuchawek. – Słyszałam co nieco z waszej rozmowy, ale nie chciałam się wtrącać.

Julia strząsnęła popiół z papierosa pod nogi i roztarła go czubkiem buta.

– Pewnie Pawełek, co? – sapnęła kobieta. – Na sto procent on. Temu to zawsze coś się przytrafi – dodała z przekąsem.

Julia wciągnęła dym w płuca, po czym wypuściła go pionowo w niebo.

– Co takiego na przykład przytrafiło się Pawełkowi? – spytała.

Kobieta zajrzała przez okno, czy aby koleżanka nie przysłuchuje się ich rozmowie. Drzwi i okna wyglądały na szczelne, ale ze starymi budynkami nigdy nic nie wiadomo. Na wszelki wypadek ściszyła głos.

– Ja tam nie lubię na nikogo gadać, ale była taka akcja. Klientka zgłosiła, że Pawełek miał lepkie rączki.

– Ukradł coś?

– E tam, zaraz ukradł. Nie o to chodziło. – Przymrużyła oko. – Lepkie rączki miał do niej, dobierał się, znaczy. Potem niby odwołała to, co

mówiła, ale ja tam swoje wiem.

– Nie było zgłoszenia na policję?

Wzruszyła od niechcenia ramionami.

– Pewnie przekonał ją, żeby mu odpuściła. To bajerant, wie, jak robić babom wodę z mózgu. O, patrzy pani. Jedzie. – Wskazała palcem na wjeżdżający w bramę dostawczak.

Rzuciła w bok niedopałek swojego papierosa i wzięła kilka głębokich oddechów, żeby pozbyć się tytoniowego dymu z ust. Znów poprawiła grzywkę, dodatkowo rozpuściła włosy, ściągając gumkę z kucyka, po czym szybko przeczesła je palcami. Oparła się niby od niechcenia ramieniem o szyld. W kontrze do tego, co mówiła o niesfornym Pawełku, rozciągnęła usta w uśmiechu, gdy tylko wyskoczył z szoferki; zaraz zniknął w drzwiach budynku. Zignorował jej kokieterijną postawę i cukierkowy uśmiech.

– Chyba muszę zapalić jeszcze jednego – powiedziała nadąsana. – Poczęstuje mnie pani?

Julia wyciągnęła rękę z paczką vogue'ów.

– Jasne, pal. Będzie ci trochę łatwiej.

– No, bez żartów – obruszyła się. – Przecież to palant! Widziała pani, nawet się nie przywitał.

Chłopak wyglądał na dwadzieścia kilka lat, wzrostem nie grzeszył, jednak twarz nadawała się do katalogu z przyborami do golenia. Śniady, z granatowymi oczami i idealnie wystającymi spod skóry kośćmi policzkowymi. Gdyby był o piętnaście centymetrów wyższy, zdeklasowałby mistera Polski.

– Pan Grabarczyk? – spytała Julia, gdy położył na biurku wszystkie dokumenty z przewozów paczek.

Chłopak obrócił się przez ramię i spojrzał na nią pytająco.

– O co chodzi?

– Pani przyszła zapytać o dostawę na Wilanowską – wtrąciła się kobieta w czarnym żakiecie. – Jeździłeś tam w zeszłą sobotę.

– Może i jeździłem. Za dużo tego jest, żebym miał wszystko pamiętać. Co z tą Wilanowską?

– Macie może jakiś wolny pokój? – spytała Julia. Nie potrzebowała świadków, a już na pewno nie chciała rozmawiać przy kobiecie z grzywką. Ta pojawiła się w mgnieniu oka. Otarła się dyskretnie o ramię Grabarczyka, przechodząc do swojego miejsca pod oknem.



– Nie mamy. – „Grzywka” była szybsza od koleżanki, która już wskazywała ręką drzwi z tabliczką „Tylko dla personelu”.

Musieli wyjść na zewnątrz. Gdyby nie deszcz, który właśnie zaczął zalewać podwórko, wystarczyłaby rozmowa pod murem.

– Zapraszam. – Grabarczyk wskazał szoferkę swojego dostawczaka. – Lepsze to niż stanie pod gołym niebem.

Gdy znaleźli się w środku, puścił strumień ciepłego powietrza z grzejnika. Julia podstawiała pod niego zziębnięte dłonie. Przy okazji zobaczyła, jak „Grzywka” po raz trzeci zapala papierosa pod drzwiami biura.

– Zazdrosna? – Wskazała na nią głową.

Grabarczyk spojrział przez szybę na moknącą na deszczu koleżankę.

– Głupia gęś. Obrabia mi tyłek, odkąd powiedziałem jej jasno, że nie chcę mieć z nią nic wspólnego. Uroiła sobie, że się w niej zakocham, bo taka sexy. Nimfomanka od mrożonych pierogów. Żałosna jest. Pewnie już zdążyła opowiedzieć pani o klientce...

– Zdążyła.

– Żadnej skargi nie było, żeby była jasność. Nie interesują mnie łóżkowe znajomości z przygodnymi kobietami.

– Podobno jako jedyny pracujesz tak długo jako dostawca. Tym z biura wydaje się to dziwne.

– Że niby robię to ze względu na seksualne profity? Mleczarz puka do drzwi i otwiera mu półnaga babka? Pornosów się dziewczyny naoglądały. – Pokręcił z rozbawieniem głową. – Rozwożę towar po ludziach, bo nikt mnie nie sprawdza, kiedy i dokąd jadę. A w domu mam matkę po wylewie i muszę do niej zaglądać co trzy godziny. Na pielęgniarkę mnie nie stać. Poza tym tylko tu mogę słuchać mocnej muzy. – Na potwierdzenie swoich słów chłopak włączył radio ze stacją muzyczną.

Apocalyptic i jej *I don't care* wypełniły małą przestrzeń szoferki kilkoma uderzeniami w talerze i pociągnięciami po strunach elektrycznych gitar.

– Dobry stary rock – przyznała Julia.

Pogłosił radio. Pozwoliła mu jeszcze kilka razy uderzyć palcami o brzeg kierownicy, jakby walił pałeczkami w bębny, po czym wyłączyła muzykę.

– Aleksandra Majewska, mówi ci coś to nazwisko?

Odchylił do tyłu głowę, jakby szukał czegoś wzrokiem na podsufitce.

- To niby ta z Wilanowskiej? Co z nią?
- Nie żyje. Byłeś u niej wtedy, w sobotę.

Zmarszczył brwi, ale nie wydawał się przejęty informacją o śmierci kobiety. Każdego dnia widywał w domach swoich klientów różne sytuacje. U jednych witano na świecie nowego członka rodziny, u innych ktoś chorował lub umierał. Był jedynie zdziwiony w sposób, w jaki dziwi się ktoś, kto słyszy o wypadku, który nie miał prawa się wydarzyć.

- Samobójstwo? – spytał.

– Ktoś ją zabił – odparła Julia. – Wszedł do jej mieszkania i zmasakrował.

Paweł Grabarczyk zapatrzył się w ciemność za oknem.

– Fatalnie. Ale ja nie mam z tym nic wspólnego. Przywiozłem towar, wniosłem na piętro i odjechałem.

Julia poprawiła się na siedzeniu.

– Zauważyłeś coś niepokojącego, kiedy wszedłeś do środka? Była może czymś zdenerwowana, zachowywała się nienaturalnie?

Pokręcił głową.

– Była wtedy sama? Przypomnij sobie, czy słyszałeś czyjś głos z głębi mieszkania.

– Nic nie słyszałem.

– Dobrze, a schody, minąłeś się z kimś? To ostatnie piętro, poza parą staruszków nikt tam nie zachodzi. Widziałeś kogoś na schodach?

– Nie było nikogo. Pamiętam tylko, że gdzieś głośno chodził telewizor.

– To u nich, u tych starszych państwa z naprzeciwka.

– Bodajże *Familiada* – uściślił chłopak.

Dobrze kojarzył. Dzięki pani Ryłskiej, sąsiadce z niedosłuchem, tamto popołudnie zapadło mu w pamięć.

– Rozumiem, że chce pani usłyszeć ode mnie jakąś sensację, ale naprawdę nic się nie działo. Majewska otworzyła mi drzwi, oddałem jej przesyłkę i wyszedłem.

– Nie zaniósłeś paczki do kuchni? Lista zamówionych artykułów była długa, więc karton musiał być ciężki.

Odpowiedziało jej wzruszenie ramion ukrytych pod ciepłą polarową bluzą.

– Jakies pięć, sześć kilo – potwierdził Grabarczyk. – Ale i tak nie wchodziłem do środka. Nie wpuściła mnie. Najwidoczniej nie chciała, żebym jej przeszkadzał.

– Wyglądała, jakby się czegoś obawiała?

– Nie, nie o to chodzi. Była w szlafroku i chyba szykowała się do jakiegoś dużego wyjścia, bo miała na sobie to... wie pani. – Grabarczyk zakreślił dłonią wokół swojej twarzy. – Takie białe.

– Krem?

– Nie, no tę... maseczkę. I na włosach turban z ręcznika.

– Mówiła cokolwiek? Że się kogoś spodziewa?

– Nie, ani słowa. Nawet nie podziękowała za dowóz. Po prostu odebrała przesyłkę.

Julia musiała zadać teraz pytanie, od którego zależało bardzo wiele.

– To nie była twoja pierwsza dostawa do tego mieszkania, zgadza się?

– Byłem tam kilka razy. To mój rewir.

– Zakładam więc, że twarz Majewskiej już znałeś.

– No tak. Mam dobrą pamięć do twarzy, choć ona nie wyróżniała się niczym szczególnym. Przeciętą babka. Tyle że włosy miała ładne.

– Pomyśl teraz dobrze nad odpowiedzią i powiedz, czy jesteś pewien, że w minione sobotnie popołudnie drzwi otworzyła ci ta sama kobieta co przy poprzednich dostawach?

Zastanawiała się, czy chłopak przejdzie ten test. Chwalił się pamięcią do twarzy, ale nawet najlepsza pamięć i oko potrafią zawieść, gdy ma się przed sobą kogoś, kto skrywa swoje rysy pod czymś tak z pozoru błahym jak pielęgnacyjna maseczka. Do tego włosy, kolejny znak rozpoznawczy, schowane pod zawiniętym na głowie ręcznikiem. Gdyby Grabarczyk przyznał, że bez cienia wątpliwości rozpoznał w tamtej kobiecie Majewską, skłamałby. Ratowałby swoją skórę, klnąc się, że zastał ją w mieszkaniu żywą i żywą opuścił.

– W takim wydaniu nie rozpoznałbym nawet własnej matki – przyznał bez namysłu. – Jeśli oczekuje pani, że będę bił się w piersi, że to była ona, to muszę panią rozczarować. Swoją drogą miała kobieta pecha: szykuje się na jakieś przyjęcie czy randkę, a chwilę potem już nie żyje.

Chłopak rozejrzał się po szoferce za czymś, co było ukryte w bocznej kieszeni na drzwiach auta. Drugie śniadanie w postaci kanapki z suchą krakowską czekało nietknięte od południa.

Odwinął kanapkę z folii i wbił w nią zęby. Po chwili zreflektował się i ponownie sięgnął w to samo miejsce.

– Mam jeszcze jedną, chce pani? – Wyciągnął rękę z kolejną bułką.

Żołądek miała ściśnięty z głodu. Nie jadła od rana, jej własna kanapka zrobiona przez Sylwię leżała gdzieś w skodzie, nie wiadomo gdzie.

– Daj.

Krakowska znów zapachniała.

– Niezła – przyznała Julia, choć w bułce nie było nic poza grubą warstwą masła i trzema kawałkami suszonej kiełbasy posmarowanej musztardą. Przydałby się choćby plasterek pomidora, ale ssanie w żołądku było na tyle silne, że gotowa była uznać kanapkę za dzieło kulinarne na miarę befsztyku posypanego płatkami z trufli.

Grabarczyk, choć szczodry i na pierwszy rzut oka szczery, nic więcej nie miał do dodania w sprawie kursu na Wilanowską. Zostawiła mu swoją wizytówkę i poprosiła, żeby dał znać, jeśli coś sobie przypomni.

Z szoferki wyskoczyła z niedojedzoną kanapką i przeświadczeniem, że kiedy dostawa FreshMarketu dotarła do mieszkania Majewskiej, Aleksandra nie tylko nie odebrała jej osobiście, ale prawdopodobnie leżała już wtedy na podłodze w swojej kuchni, pobita i nieprzytomna. Drzwi otworzył ktoś inny. Naprędce posmarował sobie twarz mazidłem i ukrył włosy pod turbanem z ręcznika. Miał na to dwie minuty, odkąd usłyszał dzwonek domofonu. To wystarczyło, by mógł zrobić kamuflaż doskonały i stać się kimś nierozpoznawalnym.

Kiedy wróciła do domu, Sylwia siedziała nad lekcjami, ale nie sama. Przez niedomknięte drzwi jej pokoju słychać było cichą rozmowę. Drugi głos nie należał do Jagody; był twardy i z całą pewnością męski. Jeszcze przez chwilę Julia miała nadzieję, że to Górny przywiózł ją ze szkoły, ale gdy tylko pchnęła drzwi sypialni, poczuła, jak serce podchodzi jej pod gardło.

Daniel, którego nie widziała od czterech lat, siedział na brzegu łóżka i przeglądał zeszyty ich córki.

– Julia! Miło cię widzieć. – Podniósł się i stanął na wprost niej. – Pięknie wyglądasz, jak zwykle zresztą.

Patrzył na nią spod przymrużonych powiek. Wciągnęła nosem powietrze, by mieć pewność, że nie jest pijany. Zapach alkoholu wyczułaby od razu, jednak nie zwietrzyła od niego ani woni piwa, ani niczego mocniejszego.

– Nie powiem tego samego o tobie. Co tu robisz?!

– Tylko spokojnie – wybełkotał, mrużąc powieki. – Dziecko chciałem zobaczyć. Chyba mam prawo? Stęskniłem się – dodał, kołysząc się na nogach.

– Wyjdz! – podniosła głos, nie bacząc na przestraszone oczy Sylwii. – Natychmiast, zanim wezwę policję.

Usunęła się, robiąc mu przejście do drzwi. Nie miał zamiaru skorzystać. Podciągnął nogawki spodni i usiadł ponownie na łóżku.

– Długo myślałem o naszej rodzinie. Doszedłem do wniosku, że za mało angażuję się w wychowanie Sylwii. A powinienem, jako jej ojciec. Nie uważasz?

– Nie uważam. Jak widzisz, świetnie się miewa. Zobaczyłeś, że żyje, to teraz wynoś się z mojego domu.

– Wyrzucasz mnie? – Daniel założył nogę na nogę i powrócił do przeglądania zeszytu. – Oj, nieładnie...

Wyjęła z torby telefon.

– Masz dziesięć sekund.

– Słyszysz? – Trącił małą w łokieć. – Mama nadal jest na mnie zła.

– Kto dał ci mój adres?

Zaśmiała się przesadnie.

– Nie żartuj, Julia... Rejestrujesz się jako wielka pani detektyw w KRS, do którego każda łajza może mieć dostęp, i potem pytasz mnie, skąd mam adres? Trochę logiki.

Przecisnęła się do biurka Sylwii i złapała ją za ramię. Wyprowadziła wystraszoną do drugiego pokoju, zamykając za nią drzwi.

– Czego chcesz? – spytała, gdy wróciła do sypialni córki. – No, wykrztuś to, a potem spieprzaj. A właściwie to tylko spieprzaj, bo niczego ode mnie nie dostaniesz. Na pewno nie forsy. Bo o forsy ci chodzi, co? Tamta już ci się skończyła?

– Nie wiem, o czym mówisz.

– O gotówce, którą dostałeś od mojego ojca za wycofanie sprawy z sądu. Sprzedałeś własne dziecko, pamiętasz?

Dopiero teraz zobaczyła dokładnie jego oczy – kiedy stanął pod górną lampą i spojrzał jej prosto w twarz. Nienaturalnie powiększone źrenice oznaczały, że albo jest po dawce atropiny od okulisty, albo jedzie na koce lub amfie. Wszedł do jej mieszkania, będąc na haju, i siedział przy jej dziecku. Ile, godzinę, dwie? Sylwia, naturalnie, wpuściła ojca do domu. To nie między nimi rozgrywała się wojna. Nie miała pojęcia, że kochany tatuś

przehandlował ją za plik pieniędzy od Edmunda. Deal był prosty: miał dać im wreszcie spokój i zniknąć z ich życia na zawsze. Najwidoczniej „na zawsze” rozumiał jako „do wyczerpania honorarium”.

– Jesteś naćpany. – Julia odsunęła się na bezpieczną odległość.

Znów wyszczerzył zęby.

– Może. I co z tego? Ty niby taka święta byłaś? Obcy ludzie musieli cię z podłogi zbierać, świętoszku. Już zapomniałaś?

– Czas minął – zakomunikowała, po czym wstukała na telefonie 112.

Nie zdążyła wcisnąć zielonej słuchawki. Podbił jej dłoń jednym uderzeniem. Telefon wzbił się w powietrze i upadł na podłogę.

– Kończmy już tę zabawę. Potrzebuję forsy – powiedział wprost. – Daj, ile masz.

Zrobił krok w jej stronę. Błyskawicznie chwycił ją za brodę i zacisnął palce na szczęce.

– Przecież nie chcesz, żebym zrobił scenę przy dziecku – powiedział, przekrzywiając głowę. – Czy chcesz? Nadal jesteś taka bojowa? Tylko czym teraz będziesz się bronić? Gołymi rękami? Broni pewnie nie masz, chyba że pistolecik na wodę. Biedna, wykopana z psiarni Julia. Pozbawiona swoich ulubionych zabawek, taka bezradna. Jakże mi przykro.

– Zabieraj łapy!

Uderzyła go w splot słoneczny. Zachwiał się na nogach.

– Daj tysiąka i będziemy kwita. Co to dla ciebie tysiąk, Julia? Mam wziąć od Sylwii?

– Sylwia nie ma pieniędzy, a nawet gdyby miała, zatłukłabym cię własnymi rękami, gdybyś wziął od niej choćby złotówkę.

– Sylwia! – wrzasnął nad jej głową. – Chodź do tatusia, córeczko! Mamy z mamusią mały problem.

Drzwi salonu uchyliły się. Struchlałe ciało dziewczynki pokazało się w prześwicie przedpokoju.

– Wracaj do pokoju i nie wychodź stamtąd ani na krok. – Julia wepchnęła ją z powrotem i zatrzasnęła drzwi.

– Mamo... – usłyszała płacz dochodzący zza ściany. – Ja nie chciałam...

Coś jeszcze mówiła, ale jej słowa tonęły dławione szlochem.

– Widzisz, co zrobiłaś? – Daniel wyjął z kieszeni spodni papierosa i zapalił. – Przez ciebie dziecko płacze.

Rozejrzał się po pokoju za czymś, z czego mógłby zrobić popielniczkę. Nic się nie nadawało; w końcu wyrwał z podręcznika do geografii kartkę, zrulował ją i strzepnął do niej pierwszy popiół.

Julia nie wierzyła w to, co widzi.

– Jak nisko można upaść. – Wyrwała mu z ręki kartkę i wysypała popiół na parapet. Zmarszczył w zdumieniu brwi, po czym rozsiadł się wygodnie na łóżku i wypuścił z płuc siwy kłęb dymu.

– Niezła chata – stwierdził, gdy papieros wypalił się do połowy. Nie mając gdzie strząsnąć popiołu, zrzucił go na podłogę. – Mała, ale blisko centrum. A to znaczy, że masz kasę.

– Moja kasa, za twoje nie kupiłam.

– No i znowu. Dlaczego ty zawsze jesteś niemiła, Julia?

– Bo jesteś gnojem, a dla gnoi jestem niemiła. Taką mam zasadę.

– Uuu... pani zasadnicza.

Puścił dym prosto na nią.

– Nie myślałaś może, żebyśmy... Ty i ja, serduszka dwa... – Uśmiechnął się dwuznacznie.

– Wyjdź, zanim...

– Zanim co?

Zza ściany dochodziło chlipanie Sylwii mieszające się z chrapliwym, astmatycznym oddechem, który ujawniał się w chwilach stresu. Jeśli mała korzystała z inhalatora zaraz po wyjściu ze szkoły, powinna go mieć w kieszeni swojego palta.

Julia zrobiła krok w stronę przedpokoju.

– A ty dokąd? – Daniel poderwał się z łóżka i zatarasował ciałem drzwi. – Nie skończyliśmy jeszcze rozmowy. Przypomniałaś sobie, że nie masz pukawki, ale masz za to nóż w kuchni? Nie radzę. Jeszcze komuś może stać się krzywda.

– Odsuń się.

Zgasił papierosa na zielonej ścianie, tuż przy jej głowie.

– Najpierw tyśiak.

Drgnęła, kiedy usłyszała na klatce schodowej głosy. Ktoś kręcił się pod jej mieszkaniem. Potem zadzwonił do drzwi. Odgradzona ciałem Daniela zobaczyła tylko przez jego ramię, jak Sylwia wybiega z salonu. Twarz miała czerwoną od płaczu, krztusiła się i dyszała. Dopadła do drzwi i otworzyła zamek.

– Tam jest! – zacharczała, wskazując palcem na ojca, po czym schowała się za człowieka w mundurze.

Dwóch rosyjskich policjantów z patrolu weszło do mieszkania.

Kiedy zostały same, Sylwia wciąż trzęsła się z przerażenia. Przepraszała, że narobiła problemów, wpuszczając ojca do domu. Gdy poprosił, by otworzyła drzwi, zrobiła to bez wahania. „Córeczki powinny przecież słuchać swoich tatusiów”, powiedział jej. Uśmiechał się przy tym miło, jak to robią tatusiowie. Tatusiowie przecież nie krzywdzą. Zamieniła z nim kilka zdań, ale szybko okazało się, że nie jest zbyt rozmowny. Mało obchodziły go jej sprawy, o przyjaciółki też nie pytał. Interesowało go tylko, kiedy wróci mama.

Wgramoliła się na nową kanapę, tuż obok Julii, i podsunęła głowę do głaskania.

– Jesteś na mnie zła? – zapytała, wtulając się w jej ramiona.

– Ani trochę, kochanie.

– Czekał na mnie pod klatką – tłumaczyła. – Ze szkoły podwiozła mnie mama Jagody, zobaczyłam go dopiero potem, jak wchodziłam do bloku.

– Ciii... wszystko już dobrze. Nie mogłaś zrobić inaczej. Musisz mi tylko obiecać, że już nigdy, słyszysz, nigdy nie pozwolisz mu tu wejść.

– Ale jak...

– Jeśli zobaczysz go, zadzwonisz do mnie lub do babci. Tak jak zadzwoniłaś po patrol.

– Pamiętałam numer. Gdyby nie telefon, który dostałam od dziadka... ale ogarnęłam sytuację, prawda? Bałam się, bo to mój ojciec, ale musiałam.

– Ogarnęłaś. Zrobiłaś najlepszą rzecz pod słońcem. Najlepszą, rozumiesz?

Kiwnęła głową. Łzy powoli wysychały.

– Jestem z ciebie dumna, moja maleńka. – Julia po raz setny pocałowała ją w czoło. – Wiem, że to było dla ciebie trudne. Ale tak należało zrobić.

– Nie wróci tu więcej?

Przyrzekła córce, że zrobi wszystko, by do tego nie doszło. Ten wieczór był dla nich obu przypomnieniem, że przeszłość potrafi rzucać długie cienie.



Sylwia usnęła szybko, zmęczona dniem i emocjami. Julia wyszła z papierosem na balkon. Zawinięta w koc patrzyła na spowitą nocą Warszawę. Powoli się uspokajała. Powinna się już przyzwyczaić, w końcu to nie pierwsza taka scena i nie pierwsze pogróżki. Jednak za każdym razem, kiedy na horyzoncie pojawiał się Daniel, czuła ten sam strach i wściekłość. Był jak zaraza. A zarazę się tępi.

Zamknęła balkon, poszła do łazienki i wlała wodę do wanny. Zanurzyła się w niej po czubek głowy, jak zwykle. Chciała zmyć z siebie ten dzień.

Wytarła się ręcznikiem i wysuszyła włosy. Powinna dopisać na czarnej ścianie kolejne informacje, jakie zebrała tego dnia, ale nawet na nią nie spojrzała. Nie chciała myśleć o pracy.

Wsunęła się pod kołdrę i położyła na kolanach laptopa. Wpisała w przeglądarkę „wniosek o zakaz zbliżania się”. Wskazówek było wiele, porady prawne wysypywały się jedna po drugiej. Wzór podania i uzasadnienia dla prokuratury.

Wiedziała, że musi to zrobić. Raz na zawsze zamknąć Danielowi drogę do siebie i córki. To, co je dzisiaj spotkało, nie może się nigdy powtórzyć.

20 SIERPNI 2017

PIĘĆ DNI PRZED POGRZEBEM KARINKI

WARSZAWA-BIELANY, ULICA BARCICKA

**N**ie rozdrapuj! – Beata podskoczyła do siedzącej w wannie Karinki i chwyciła ją za rękę. – Za każdym razem, gdy drapiesz, robi się coraz bardziej czerwone. No, sama zobacz. Widzisz, głuptasku?

Podawała jej małe lusterko. Dziewczynka spojrzała na swoje czoło i szyję. Krostki rzeczywiście rozlewały się po skórze coraz bardziej. Jakby tego było mało, zaczerwienienie rozprzestrzeniało się już pod pachami i w pachwinach. Na razie nieznacznie, jednak proces już się rozpoczął.

– Maść przestała działać. – Dolores nachyliła się nad wanną. W rękach trzymała rozłożony ręcznik. – Najwyraźniej skóra musiała się uodpornić. No, chodź, malutka, już koniec kąpieli. Wiem, że nie lubisz... Nie trzeba bać się wody, no już... już cię stąd zabieram. Wytrzymaj cię i czas do łóżka.

Karinka przełożyła jedną nogę przez brzeg wanny. Zachwiała się, nie mogąc utrzymać równowagi, i złapała Dolores za pochylone ramię. Niania zawinęła ją szczelnie w ręcznik i zaniósła do pokoju. Beata szła za nimi z talkiem i słoiczkiem maści zapisanej przez dermatologa.

– Nie patrz, Piotruś, bo jestem bez majtek. – Na widok brata Karinka wykonała ręką znak zakazu.

Mało go obchodziło nagie ciało siostry. Zajęty był papugami i wsuwaniem palców między pręty klatki. Jedna z papug lubiła podchodzić i skubać go pod paznokciem. Tym razem nie zareagowała na zaczepki, wykorzystał więc moment, kiedy mama i Dolores smarowały i talkowały chorą skórę Karinki, i wymknął się z pokoju. Zbiegł do kuchni i wyjął z szuflady latarkę. Potem wsunął na stopy trampki i popędził w piżamie do ogrodu.

Jego wymarzony domek na drzewie wyglądał jak ósmy cud świata. Wcale nie był mały; mogli pomieścić się w nim we dwoje, a nawet troje, gdyby wpadł do nich któryś z kolegów. W środku brakowało jeszcze co prawda poduszek do siedzenia i steru, którym mógłby kręcić w prawo

i lewo, ale to nie przeszkadzało, by czuł się tu jak w raju. A właściwie jak na pokładzie swojego własnego pirackiego okrętu.

Przymocowana do grubego konaru sznurkowa drabinka zwisała tuż nad ziemią. Wskoczył na nią i trzymając w zębach latarkę, zaczął piąć się w górę. Gdy postawił stopy w domku, od razu wyjrzał przez okno, na ogród tonący powoli w mroku. Popatrzył na grządki z pomidorkami cherry i rabatę z kwiatami. Rosły na niej „starocie”, jak określał je ojciec. Takie kwiaty ludzie sadzili w ogrodach po wojnie: malwy, rudbekie, łubiny i astry. Spod płotu dolatywał zapach maciejki.

Przekonany, że nikt go nie śledzi, schował się do środka i usiadł na podłogowych deskach. Oparł plecy o ścianę domku. Z kieszonki piżamy wyjął kartkę z alfabetem Morse’a, którą dostał od ojca. Zapamiętanie układów kropek i kresek wcale nie było łatwe. To, czego się do tej pory nauczył, pozwalało mu na wysyłanie światłem zwykłego SOS. Cieszyło go to tak bardzo, że zaczął nakłaniać do zabawy swoich najbliższych, nie wyłączając Dolores, Josefy i Pilar. I każdy spróbował, z wyjątkiem Pilar, która stwierdziła, że nie zamierza tracić czasu na pstrykanie latarką i że od wzywania pomocy są telefony. Jedyne i wierne sprzymierzeńca, któremu codzienna zabawa w światełka się nie nudziła, znalazł w siostrze. Wysyłali je sobie – on z domku na drzewie, a ona z ich pokoju.

Włączył latarkę i przećwiczył swój ulubiony sygnał na podłodze. Trzy światła krótkie, trzy długie i znów trzy krótkie. Jednak dobrze pamiętał. Byłoby źle, gdyby w razie katastrofy zrobił odwrotnie i wyszłoby OSO. Kto by wiedział, o co mu chodzi? Nikt.

Podszedł na kolanach pod okno i wysłał sygnał w stronę domu. Oczekał chwilę i powtórzył. Po chwili światło w ich dziecięcej sypialni zgasło. Karinka musiała dostrzec, że bawi się latarką. Stała więc przy kontakcie i zrobiła to samo. Odpowiedziała kilkoma pstryknięciami włącznikiem podsufitowej lampy.

Zapach maści był wstrętny. Sytuację ratował różany aromat talku, którym dodatkowo posypano jej pachwiny, pachy i szyję. Kiedy maść wchłonęła się na tyle, by mogła położyć się do łóżka, naciągnęła na siebie kołdrę. Wtulona w miękką pościel zamknęła oczy, jednak dochodzące z parteru odgłosy wciąż nie pozwalały jej zasnąć.

Tym razem mama nie rozmawiała z Dolores. Niania zdążyła już wyjść, ale w domu wciąż był ojciec. Słyszała jego ciężkie kroki i skrawki dyskusji. Nie pamiętała, kiedy ostatnio mówili do siebie tak spokojnie. Martwili się, że z jej skórą jest coraz gorzej. Mama powiedziała, że jeśli kolejna maść nie zadziała, to chyba zwariuje. Tata obiecał, że zrobi wszystko, by jego ukochana królewna dłużej nie cierpiała. To było miłe, że tak się o nią troszczą.

Karinka uśmiechnęła się. Może to i przykre, że rodziców połączyły jej brzydkie krostki i swędząca skóra, ale jeśli dzięki temu mają się choć trochę lubić, zniesie to, niech sobie już będą.

Przekręciła się i ułożyła wygodnie głowę na poduszce. Różany talk pachniał spokojem. Przez szybę w oknie wciąż widać było, jak Piotruś dzielnie walczy z sygnałami światła, ucząc się kolejnych kodów Morse'a. Nim wróci do ich małej sypialni, ona już będzie słodko spać.

## ROZDZIAŁ IX

PIĄTEK, 23 MARCA 2018

**E**milia wytaszczyła z autobusu kraciastą torbę z wałówką i ślizgając się po roztopionym śniegu, pociągnęła ją w kierunku Wilanowskiej. Słoiki obijały się o siebie i pobrzękiwały, przystanęła więc na chwilę, żeby sprawdzić, czy któryś nie pękł i sos z pulpetów nie rozlał się po dnie. Mogła owinąć je gazetami, ale nie pomyślała o tym. Śpieszyła się; po wizycie u Edmunda chciała wstąpić jeszcze do kościoła i dać na mszę w intencji poszukiwań Lidii.

Edmund powitał ją chłodno, tak jak się tego spodziewała. Nie wzięła tego do siebie, widząc, w jak kiepskim jest stanie. Zapytał tylko, jak się miewa Sylwia i czy nie ma żadnych nowych wiadomości z policji. Odpowiedziała mu tylko na pierwsze pytanie: Sylwia miała się świetnie.

Zrozumiał.

Postawiła torbę z obiadem na stole w kuchni i zabrała się do odkręcania słoików. Po chwili pachniało już podgrzewanym mięsem i sosem koperkowym – takim, jak lubi. Ale nawet nie spojrzał na jedzenie, kiedy podsunęła mu pod nos talerz z gorącym obiadem. Drugi, dla siebie, postawiła obok.

– Brak wiadomości to dobra wiadomość. – Emilia zanurzyła ziemniaka w sosie i włożyła go sobie do ust. – Niebo nad nią czuwa, więc...

– Daj mi spokój z niebem.

– Brak ci wiary, dlatego to wszystko tak się ciągnie. Ja natomiast miałam dziś proroczy sen, a wiesz, że moje sny się sprawdzają.

Edmund spojrzał na żonę z powątpiewaniem.

– Nigdy się nie sprawdzają.

– Zawsze! – Emilia poprawiła w bluzce kołnierzyk, który ostatnio zrobił się jakby przyciasny. – Pamiętasz ten, w którym miałam mdłości?

– Pamiętam. To było ponad trzydzieści lat temu i byłaś wtedy w ciąży.

– Ale jeszcze o tym nie wiedziałam!

Skubnął połówkę klopsa i rozgniół ziemniaka widelcem. Z rezygnacją spojrzął po raz setny tego dnia na swój milczący telefon.

– Może powinienem zrobić to, co zrobił ten znajomy Julii, Adam? Widziałas go wczoraj w telewizji? Szukał jakiejś zaginionej kobiety.

– Tak, widziałam. – Emilia podniosła głowę znad talerza. – Julia nie wspominała mi nic o tym, że mają zwrócić się do mediów o pomoc.

– Kolejna kobieta... – Edmund zacisnął dłonie na głowie. – Ile ich jeszcze będzie?

Emilię trapiło zgoła co innego.

– Zamiast ładnej młodej kobiety pokazali tego Górnego. Niby dobrze się na niego patrzy, ale to jednak nie to samo. Kobieta zawsze bardziej przyciąga uwagę, a Julia to już w ogóle. Gdyby to ona wystąpiła, od razu skoczyłaby im oglądalność. No szkoda.

– Pomyliły ci się programy, Emilio. To nie był konkurs piękności.

– Cała telewizja to konkurs piękności. Brzydkich i starych nikt nie chce oglądać, no chyba że pokazują reportaż o pacjentach w szpitalu. To wtedy owszem, dobrze jest popatrzeć, że inni mają gorzej. A co do wystąpienia w wiadomościach, masz rację. Powinniśmy pokazać w telewizji zdjęcie Lidii. Stanąć przed kamerą i poprosić o pomoc. Ja mogę.

Edmund pokręcił głową.

– Sama powiedziałaś, że ludzie chcą patrzeć tylko na młodych i ładnych.

– Właśnie dlatego powinnam wystąpić!

Ktoś zapukał. Edmund poderwał się od stołu i szybkim krokiem podszedł do drzwi. Nie stanęła w nich jednak osoba, na którą czekał. Zobaczył znajomego starszego mężczyznę o gołębich włosach. Ryłski ukłonił się w starodawnym stylu, pochylając tułów nisko do przodu.

– A jednak ktoś tu jest – powiedział, gdy już wyprostował kręgosłup. – Nie sądziłem jednak, że to pan. Wrócił pan na stare śmieci?

Edmund potrząsnął ręką podaną przez Ryłskiego.

– Nie niepokoiłbym państwa, gdyby nie życzyła sobie tego moja żona.

– Mężczyzna położył swoją dłoń na dłoni Edmunda.

– Nie rozumiem.

– Wydawało jej się, że słyszała przed chwilą jakiś rumor. Od dwóch dni ma nowy aparat słuchowy – wyjaśnił. – Obiecałem jej, że zejdę i sprawdzę, czy nic się nie stało.

Emilia stanęła za plecami męża.

– U nas jest spokój. Może gdzieś niżej.

– Tak też powiedziałem żonie. Co prawda na dole wciąż dokazują jacyś młodzi ludzie, ale to zbyt wczesna pora jak na ich rozróby. Dlatego gdy tylko moja Delfina usłyszała ten huk... eh, nieważne.

– Uznał pan, że to Lidia wróciła – dokończyła Emilia. – Niestety, to nie ona. My też siedzimy cicho. Pana żona musi być rzeczywiście bardzo przewrażliwiona.

Rylski popukał przeproszająco palcem w ucho.

– Aparat – wytłumaczył znowu i zrobił krok do tyłu. – Pójdę już, nie miałem zamiaru państwu przeszkadzać. Proszę przyjąć od nas wyrazy szczerego współczucia.

– Czy pan coś wie? – zagadnął go Edmund. – O mojej córce. Może pan coś zauważył? Chcielibyśmy wiedzieć cokolwiek...

– Przykro mi, ale nie potrafię pomóc – rzekł Rylski. – Ostatnio rzadko ją widywałem, właściwie niemal wcale. To taka miła kobieta, teraz mało jest takich. We dwie były dobrymi ludźmi, ona i Aleksandra.

– Niech pan nie mówi, jakby był na pogrzebie – obruszyła się Emilia.

– Nie miałem takich intencji. Chciałem jedynie podkreślić, że coraz trudniej o spokojne sąsiedztwo. – Pokiwał głową z autentycznym żalem. – Ostatnio dużo złego wydarzyło się w naszym bloku, nikt się nie spodziewał, że dojdzie do takiej tragedii. Moja żona tylko czeka, aż po nas też przyjdą.

– Kto niby? – zaciekawił się Edmund.

– Oczywiście nikt. Ale ona jest niespokojna, zwłaszcza odkąd zaczęła słyszeć te głosy. To już nie pierwszy raz... Może byłoby dla niej lepiej, gdyby nie nosiła tego aparatu w uchu.

Rylski znów się uklonił, tym razem na pożegnanie.

– Gdyby chciał pan porozmawiać, wie pan, gdzie nas szukać. A córka się znajdzie, trzeba w to wierzyć – dodał krzepiaco.

– Powtarzam to mężowi cały czas – poparła go Emilia.

Zamknęła za gościem drzwi. Edmund nie wrócił już do niedokończonego obiadu. Otworzył szafę z ubraniami Lidii i zaczął przesuwając wieszaki. Robił to niespiesznie, muskając z czułością jedwabne koszule i dzianinowe sukienki. Poprawiał te, które wisiały krzywo lub

częściowo się zsunęły. Zatrzymał się na dłuższą chwilę przy jednym z ubrań. Brunatna tunika z czerwoną lamówką pod szyją wywołała w nim wspomnienia. Lidia miała ją na sobie, kiedy przynieśli zaproszenie na ślub.

– Jeszcze nie raz ją włoży, przekonasz się – powiedziała Emilia, stając za jego plecami, które zaczęły lekko drżeć pod wpływem wzruszenia. – Wszystko będzie jak dawniej.

\* \* \*

– Ty tutaj? – Julia zamknęła za sobą drzwi windy. Postawiła torbę z zakupami z Carrefoura pod kratą oddzielającą mieszkania od klatki schodowej i zabręczała kluczami. – Nie powinieneś być w pracy?

Górny podniósł się ze schodów. Nie przyszedł z pustymi rękami. W jednej trzymał pudełko czekoladek, w drugiej skrzynkę z narzędziami.

– Wyrwałem się na chwilę, żeby pogadać o sprawie. Przy okazji zawieszę Sylwii ten jej baldachim – odpowiedział tonem pracownika spółdzielni, który przyszedł do lokatora spisać z licznika poziom zużycia wody. – Nie wpuściła mnie do środka.

– Ma zakaz wpuszczania kogokolwiek poza Jagodą i dziadkami.

– Dałaś jej szlaban na mnie?

– Słyszałeś. Zakaz to zakaz.

Zatrzasnęła kratę i otworzyła mieszkanie. Sylwia była jeszcze w piżamie. Mimo piątku została w domu. Musiała złapać równowagę po wczorajszej wizycie ojca i interwencji policji. Miała zamiar przejrzeć zdjęcia ze ślubu Emilii i Edmunda, ale zamiast tego snuła się z kąta w kąt.

– Cześć, bąblu – zagadnął Górny. – Patrz, co przyniosłem.

Liczył, że podskoczy z radości, ale na widok skrzynki z narzędziami odwróciła się na pięcie i zniknęła w swojej zielonej sypialni. Jej wcześniejszy entuzjazm do zainstalowania baldachimu ulotnił się tak samo szybko, jak się pojawił.

– Co jej jest? – Adam rozłożył sprzęt na stole w kuchni, tuż obok talerza z porannymi kanapkami.

Julia pokręciła znacząco głową, żeby nie pytał. Drzwi do pokoju Sylwii wciąż pozostawały otwarte.

– Jeśli chodzi o twój wywiad w telewizji...



– Całkiem nieźle mi poszło – przerwał jej, wyciągając jednocześnie kabel od wiertarki. – Oglądałaś?

– Byłam zajęta. Zresztą nie mam telewizora, Górny.

– Ale internet chyba masz? Wystarczyło włączyć powtórkę.

Mogła wytłumaczyć mu, że wczorajsze popołudnie spędziła na szarpaninie ze swoim naćpanym eks, a potem uspokajaniu córki, jednak wolała to przemilczeć.

– Sprawa z poszukiwaniem Sawczuk jest już nieaktualna – zakomunikowała. – To jej ciało wyciągnęliśmy ze studni. Lipski wykazał zbieżność wieku i znaków szczególnych, a dodatkowo znalazłam archiwalny nekrolog wykupiony przez Egzekutora.

– Taki sam jak w przypadku Majewskiej?

– Co do słowa. Zmienił tylko nazwisko ofiary.

– Sukinsyn. – Górny pokręcił z niedowierzaniem głową. – Jak on to robi? Skoro Sawczuk nie żyje od miesiący, jej rodzina powinna zawiadomić o zaginięciu policję, a ta postawić na nogi Interpol. Tymczasem nic takiego się nie stało, w Interpolu nie ma o niej żadnej wzmianki. Jakby nikt się nią nie interesował.

– Jest jeszcze coś. Chodzi o napaść w mieszkaniu Majewskiej. Odwiedziłam biuro FreshMarketu, żeby dowiedzieć się, kim był dostawca i czy pamięta jakieś detale z sobotniej dostawy. Bałam się, że kurier będzie udawał Greka, ale nie. Okazał się rozgarnięty i sporo mi opowiedział.

– Zauważył coś szczególnego?

– Widział kobietę z twarzą ukrytą za maseczką. Za taką papką, rozumiesz.

– Wiem, co to maseczka. Algowa, kolagenowa, z węglem aktywnym. Z węglem najlepsza.

Julia przekrzywiła z zainteresowaniem głowę.

– Sugerował, że Majewska gdzieś się szykowała. Nie wierzę w to.

– Ani ja. Nie nakłada się maski w dniu wielkiego wyjścia.

– Nie wierzyła własnym uszom.

– Zniewieściałeś, Górny?

– Moja była miała szmergla na punkcie urody. Co drugi wieczór oglądałam ją, jak siedzi przed lustrem wysmarowana na zielono lub czarno.

– Nigdy mi o niej nie wspominałeś.

– Dżentelmeni nie rozmawiają o swoich byłych kobietach. A już na pewno nie z obecnymi.

– I niech tak zostanie. – Julia uniosła kciuk w górę. – A co do tej osoby, która otworzyła drzwi kurierowi...

– To nie była Majewska. Zabójca zastosował kamuflaż.

– Nie inaczej. Posłużył się genialnie prostym trikiem, i jedynym, jakiego mógł użyć, będąc w mieszkaniu. Nie mógł przecież założyć okularów słonecznych ani kaptura. Włożył za to gruby szlafrok deformujący sylwetkę.

Górny sięgnął po kanapkę z białym serem i rzodkiewką i wpakował ją sobie do ust.

– Pięknie to brzmi, ale brak w tym sensu – wybełkotał po chwili przez zęby. – Ja, będąc na miejscu mordercy, nie otworzyłbym kurierowi w ogóle. Powiedziałbym mu przez drzwi, żeby zostawił paczkę na wycieracze.

– Żeby dostawca usłyszał twój głos i potem mógł cię dzięki temu zidentyfikować? Głos jest jak odcisk palca. Nawet gdybyś go zmienił dla niepoznaki, to co z pokwitowaniem odbioru? Kurier musi mieć podpis, żeby rozliczyć się z dostawą. Przez drzwi tego nie zrobisz. Moja wersja jest taka: Aleksandra wpuszcza najpierw do mieszkania kogoś, kogo się nie obawia.

– Kobieta? Kobieta wpuszcza się do środka znacznie chętniej niż mężczyznę.

– To kwestia drugorzędna. Powiedzmy, że jest to X. Mogła znać go dobrze lub tylko z widzenia. To wystarczy, by nie nabrała podejrzeń. Otwiera więc drzwi i wprowadza X do mieszkania. X nie przychodzi jednak w pokojowych zamiarach. Działa szybko i bezwzględnie, dochodzi do przepychanki. Majewska jest w szoku, zbyt zaskoczona, by się bronić. To, że zostanie zmaltretowana do nieprzytomności, jest tylko kwestią czasu. Ten czas nadchodzi, kiedy odzywa się domofon. Na dole stoi kurier z przesyłką z FreshMarketu. To dla Aleksandry jedyna szansa na ratunek. X też ma tego świadomość. Chwyta ją za włosy i uderza po raz kolejny, ale tym razem dużo silniej.

– Zlewozmywak – wtrącił Górny. – Pod nim było najwięcej krwi.

– Nie inaczej. Gdy kobieta leży na podłodze w kuchni, X idzie do łazienki i nakłada na twarz to, co znajduje pod ręką: maseczkę. Na włosy zawija turban. Odbiera od kuriera przesyłkę, nierozpoznany, w stu procentach anonimowy.

– Jak X wyprowadza Majewską z mieszkania? Musiała przecież wyjść o własnych siłach. Nie wyobrażam sobie, żeby ktoś wyniósł ją w biały

dzień przewieszoną przez ramię niczym dywan.

Nie zauważyli, kiedy za plecami Górnego stanęła Sylwia. Trąciła go bezceremonialnie w łopatkę.

– Co z tym baldachimem? – spytała z grobową miną. – Zaznaczyłam już miejsce, gdzie masz przybić haczyk. Oczekuję.

Poszli do jej pokoju we trójkę. Na suficie widać było kilkanaście maźnięć czerwonym mazakiem. Julia spojrzała pytająco na córkę.

– Myślisz, że to takie proste? – Sylwia rozłożyła ręce. – Ledwo doskoczyłam.

– Skakałaś z łóżka?

– No a jak! – Wgramoliła się na tapczan, potem na jego poręcz i zademonstrowała, jak frunie niczym latająca wiewiórka. Przy okazji wykonała dodatkowe maźnięcie mazakiem po suficie. – O, teraz jest idealnie. Widzisz?

Julia patrzyła z bólem serca na sufit. Kolejna część mieszkania do remontu.

Przysunęli wspólnie biurko. Górny podłączył wiertarkę do prądu, wywiercił dziurę, wkręcił w sufit haczyk i biały baldachim z siateczki zawisał nad łóżkiem.

– Pięknie! – zachwyciła się Sylwia. Jej buzia nagle pojaśniała. – O, mammo...

Zostawili ją rozplywającą się nad kawałkiem rozpostartego materiału. Górny powoli zwijał kabel, by schować wiertarkę do skrzynki na narzędzia, kiedy odezwał się jego telefon. Dzwoniono z komisariatu, gdzie dotarły kolejne wyniki badań próbek pobranych z Lasu Bielańskiego.

– Jadę z tobą. – Julia złapała z bujanego fotela gruby sweter.

Przykazała Sylwii, żeby zabarykadowała się natychmiast po jej wyjściu. Odczekała swoim zwyczajem na klatce, aż usłyszy chrobot wszystkich zamków.

\* \* \*

– Zanim zaczniemy, spójrzcie na to. – Szymański położył przed Julią i Adamem jednostronicowy wydruk opatrzony logo Playa. – Przyszło przed chwilą.

Górny wziął kartkę do ręki.

– Rejestr połączeń z telefonem Lidii.

– Chcieliście wiedzieć, z kim rozmawiała w sobotę po południu. Poza tym, że zdjęliśmy blokadę z jej telefonu, to dodatkowo poprosiliśmy operatora o wykaz rozmów dla porównania. Wszystko się zgadza. Zrealizowano tylko jedną rozmowę. Pozostałe cztery to połączenia wychodzące. Próbowwała zadzwonić pod ten sam numer. Jak widać, bez odbioru. Nazwisko właściciela jest na dole. Żadna niespodzianka: wszystkie połączenia wskazują na telefon Majewskiej.

– Zabójca dzwonił do Lidii z telefonu Aleksandry, żeby nie dało się go namierzyć po jego własnym numerze. Jednym słowem: wciąż nie mamy nic. Co z tym raportem od techników?

Szymański wyjął z szuflady zieloną teczkę. W środku znajdowały się dwa pliki zszytych kartek.

– Tu macie wszystko na temat odcisków butów pobranych z nadpotoku plus ekspertyzy z próbek ziemi zdjętej z sukienki Majewskiej. No i z worka, który miała zawiązany na głowie. Na razie tyle, ale i tak nie ma co narzekać. Kawy?

Pokręcili głowami. Szymański mimo wszystko włączył ekspres i podstawił swój kubek pod dyszę.

– Z próbek odzieży wyizolowano dwa rodzaje gleby – zaczął czytać na głos Górny, omijając skład chemiczny wypunktowany w odnośnikach. – Jedna typowa dla lasu liściastego, grądowego i łęgowego, mało kwaśna, brunatna, żyzna z elementami próchnicy. Na materiale dowodowym znaleziono też inny rodzaj ziemi. Piasek, keramzyt, śladowe ilości węgla brunatnego, trawa typu mietlica. Jednym słowem: typowa ziemia ogrodowa.

Podał kartkę Julii.

– A drugi raport, ten z badania odcisku podeszwy? – spytała.

Górny przesunął wzrokiem po liniijkach.

– Bardzo ciekawe... W odcisku buta jest podobnie, tyle że gleby ogrodowej jest więcej niż leśnej. W przypadku materiału pobranego z ubrania jest odwrotnie.

– Nic w tym dziwnego. Właściciel butów używał ich głównie poza terenem lasu. Natomiast ciało Aleksandry wleczono po ściółce.

– Buty o numerze czterdzieści cztery, odcisk podeszwy pasuje do modelu Zephyr Z006 – czytał dalej Górny. – Dopasowanie sto procent.

Odłożył raport. Mimo że odkrycie techników wydawało się na wagę złota, żadne z nich nie wpadło w euforię.

– Myślisz o tym co ja? – odezwała się Julia. – Wiesz, co oznacza Zephyr Z006.

Górny zaczął krążyć po pokoju.

– To dobre, solidne trepy. Sam takie mam.

– Antypoślizgowe i wodoodporne – wtrącił Szymański. – Moje ulubione.

– Ja też je lubiłam – dorzuciła Julia. – Brzydkie jak sto diabłów, ale jedno z lepszych. To kultowy policyjny model. Wiesz, co teraz musimy z tym zrobić, Górny?

Zatrzymał się i przeciągnął ręką po twarzy.

– Jeżeli liczysz na to, że Morawski wpuści nas do siebie „na blachę” i oprowadzi po mieszkaniu, to radzę ci zejść na ziemię.

– Stoję na niej obiema nogami. „Na blachę” to możemy wejść do Kowalskiego czy Nowaka. Nie do gliniarza. Dlatego nie będziemy się z nim przepychać na paragrafy, tylko pokażemy mu nakaz z prokuratury.

– Mamy za mało, żeby wystąpić o oficjalny kwit.

– Nie powiedziałabym. Sieracka jest cięta na patologię wśród mundurowych. Przypadek Jareckiego otworzył jej oczy i teraz jest przeczulona na wszelkie lewizny. Cokolwiek by o niej mówić, umie dodawać dwa do dwóch. Równanie samo jej wyjdzie. Zbrodnie na Majewskiej i Sawczuk mają jeden wspólny mianownik i jest nim Morawski. Wystarczy połączyć ze sobą odcisk buta w Bielańskim i nazwisko właściciela parceli przy Prozy.

– Julia ma rację – odezwał się Szymański. Pociągnął łyk cienkiej kawy i z niesmakiem wylał ją do odpływu w maszynie. – Gość jest już spalony. Nad czym tu się zastanawiać?

– Listy z rymowankami, nekrologi... Wciąż mało ci argumentów, Górny? – mruknęła Julia.

Obszedł stół dookoła, po czym oparł się o blat kostkami dłoni i nachylił w jej stronę.

– Mało. Przedstawcie mi motyw. Skoro uważacie, że gość umoczony jest w dwa zabójstwa, chcę wiedzieć, dlaczego miałyby się ich dopuścić.

– Gdybym to wiedziała, nie siedzielibyśmy tu teraz, a Morawski nie chodziłby na wolności.

– Pływamy w szambie, Julia. Możesz nazywać je perfumami, ale to nadal będzie szambo.

Podniosła się z krzesła i włożyła płaszcz.

– Znajdę ci ten twój cholerny motyw.

– Zaczyniesz dorabiać teorię do praktyki? – Górny zatrzymał ją, zanim przewiesiła przez ramię swoją torbę. – Obyś się nie przejechała.

Otwierała już usta do riposty, kiedy zabrzęczała jej komórka. Dzwoniła matka.

– Montuj ekipę do przetrząśnięcia mieszkania Morawskiego – powiedziała stanowczo do Górnego, po czym wyszła z telefonem przy uchu.

Górny i Szymański zostali z rozrzuconymi na stole raportami.

– Co jej jest? – spytał Szymański, gdy kroki Julii ucichły. – Okres ma czy co?

Adam nie potrafił mu tego wyjaśnić. Zachowanie Julii od rana było nerwowe. W ciągu ostatniej doby musiało się w jej życiu wydarzyć coś, o czym nie zamierzała mu powiedzieć. Sylwia też była nieswoja. Gdyby nie sprawa baldachimu, pewnie nie odezwałyby się do niego wcale. Obie mierzyły się z czymś, czego nie rozumiał.

Julia usiadła za kierownicą i włączyła silnik. Wciąż nie ruszała z miejsca, oparła tylko głowę o fotel i zamknęła oczy. Musiała się uspokoić. Miała wrażenie, że z każdym kolejnym dniem spada w jakąś piekielną czeluść i że życie idzie z nią na pełne zwanie.

Matka też dołożyła swoje. Z jej paplaniny Julia wyłowiła dwie informacje: ojciec już trzecią noc spał w mieszkaniu Lidii, a ona poznała u niego sąsiada z czwartego piętra; miły, ale przyszedł z pretensją. „Ta jego żona ma jakieś zwidy”, powiedziała oburzona. „Przez jej sztuczne ucho musieliśmy się tłumaczyć z jakichś hałasów na klatce. Jakby ojcu mało było przykrości! Starzy ludzie potrafią być prawdziwym utrapieniem z tymi swoimi dziwactwami. To wszystko źle się dla niego skończy, zobaczysz”.

Musiała odreagować. Wrzuciła bieg i zjechała z parkingu, kierując się ku południowej części miasta. Było wpół do trzeciej, więc szansa na to, że na strzelnicy przy Łazienkowskiej znajdzie się jakiś wolny tor, była spora. Oblężenie zaczynało się zwykle późnym popołudniem, kiedy ludzie wychodzili z pracy. Niektórzy jechali prosto do swoich domów, by

rozpocząć spokojny weekend z rodziną; inni potrzebowali wyładować się po całym tygodniu, pakując serię naboju w tarczę.

Zatrzymała skodę pod samym wejściem. Zanim weszła do budynku, sięgnęła po telefon i wybrała numer do prokuratury. Argumenty, które układała sobie w głowie przez całą drogę, wydawały się nie do zbiccia. Sieracka nie przerwała jej ani słowem. Gdy Julia skończyła mówić, spytała tylko, czy wie, co robi. Jeśli Morawski maczał palce w zabójstwach obu kobiet, to według wszelkiej logiki dawno zatarł po sobie ślady i pozbył się butów.

– To glina, Julia – powiedziała. – Zanim ty zrobisz jeden krok, on będzie już daleko przed tobą.

– Zapomniałaś, że ja też potrafię szybko biegać. Po prostu daj nam nakaz.

Słyszała, jak Sieracka ciężko wzdycha.

– Niech Górny zgłosi się do mnie jutro z samego rana. I jeszcze jedno. Nie musisz być u Morawskiego zbyt delikatna. Prawdę mówiąc, liczę, że zgotujecie mu prawdziwy armagedon.

\* \* \*

Josefa umarła dwie po siedemnastej. Nie zdążyła spróbować ugotowanego przez Dolores rosółu, który ta postawiła w małej misce przy łóżku, kiedy matka była jeszcze przytomna. Wyszła z pokoju tylko na kilka minut, by odczekać, aż zupa nieco ostygnie.

Wieczny sen przyszedł nagle, jednak zanim znużone powieki starej kobiety zamknęły się na dobre, dostrzegła drobną postać dziewczynki. Stała nieruchomo w nogach jej łóżka i patrzyła na słabnące z sekundy na sekundę ciało. Potem uśmiechnęła się i podniosła rękę, odgarniając grzywkę z czoła ruchem, który kobieta dobrze знаła. Josefa odwzajemniła uśmiech, nie widziały się przecież od tak dawna. Siedem miesięcy to bardzo długo, jeśli się za kimś tęskni. Dziewczynka też wyglądała na stęsknioną. Kiedy już poprawiła włosy, podpłynęła bliżej kobiety i przysiadła na kołdrze. Dopiero teraz ich dłonie się dotknęły. Josefa poczuła lekki chłód, ale tylko przez moment. „Zamknij oczy – mówiła dziewczynka – opowiem ci bajkę, tak jak robiła to Dolores. To będzie bajka na dobranoc, a potem, gdy się już obudzisz, znów będziemy razem, teraz już na zawsze”.

Dolores zajrzała do pokoju, kiedy było już po wszystkim. Nie mogła się łudzić, że to tylko sen, choć Josefa wyglądała, jakby zapadła w drzemkę. Jakby śniła coś pięknego. Leżała spokojna, z lekkim uśmiechem na ustach i z wyciągniętą ręką, jak gdyby po coś sięgała. Dolores poprawiła jej poduszkę i ułożyła na niej na powrót głowę. Pocałowała zamknięte powieki matki. Wyciągniętą rękę ułożyła wzdłuż ciała. Z szuflady wyjęła różaniec, który Josefa przywiozła ze sobą z La Gomery. Przysunęła stołek do łóżka i złożyła dłonie do modlitwy. Dawno nie zmawiała różańca po hiszpańsku. Przywykła do tego, by *Zdrowaś, Mario* i *Ojczy nasz* mówić po polsku. Jednak teraz były z matką tylko we dwie, a Josefa zawsze modliła się w ich ojczystym języku. Nie myliła wtedy słów i dokładnie rozumiała, co mówi. Dlatego dla niej Dolores zaczęła szeptać w ciszy:

– *Dios te salve, María, llena eres de gracia, el Señor es contigo. Bendita tu eres entre todas las mujeres, y bendito es el fruto de tu vientre, Jesús...* [15](#)

Nie próbowała powstrzymywać łez. Wreszcie mogła żalić się głośno, nie bacząc, że ktoś ją usłyszy. Powolne odchodzenie Josefy było bolesne, jednak nigdy nie dawała po sobie poznać, jak jej z tym ciężko. Nie chciała, by matka gasła w przekonaniu, że stała się dla niej ciężarem i przyczyną smutku.

Gdy skończyła modlitwę, przeżegnała się i wyszła do łazienki. Odkręciła wodę i umyła twarz. Uspokoiała się na tyle, by móc powiadomić Pilar o śmierci babki.

Tym razem córka była w dobrym nastroju. Najwidoczniej sytuacja między nią a Rafałem wróciła do normy. Informację o odejściu Josefy przyjęła ze spokojem i bez większego zdziwienia. Babka gasła w oczach, więc nie liczyła na cud i ozdrowienie. Może dlatego powiedziała tylko: „Mhm, wpadnę najszybciej, jak się da”.

Wpadła po trzech godzinach. W międzyczasie Dolores przyjęła lekarza, który wypisał akt zgonu. Pozostawało jeszcze zamówić firmę pogrzebową, by zabrała ciało i zawiozła je do zakładu. Z tym Dolores się nie śpieszyła, chciała pobyc z zmarłą tak długo, jak to możliwe, najlepiej do późnego wieczora. Pilar stwierdziła, że lepiej będzie zadzwonić od razu. Złapała za telefon i sprowadziła firmę. „Po co czekać? – pytała. – Jaki to ma sens?”.

Dolores nie wiedziała, czy intencją Pilar było zaoszczędzenie jej udręki, jaką czuła, patrząc na stygnące ciało matki, czy jak najszybsze



pozbycie się kłopotu z domu.

Karawan z ciałem było jeszcze widać za oknem, kiedy Pilar spytała:

– Gdzie ją pochowamy? Tu czy na wyspie?

Transport zwłok na La Gomere kosztowałby fortunę. Choć Josefa wielokrotnie powtarzała, że chce spocząć w rodzinnej ziemi, Dolores nie wyobrażała sobie przewożenia jej ciała samolotem lub statkiem. Poza tym ktoś musiałby stale opiekować się grobem, a to oznaczałoby, że powinna spakować walizki i na zawsze wyjechać z Polski. Zostawić miejsce, które stało się jej domem, no i opuścić Pilar. Akurat teraz, kiedy nic w jej życiu nie było pewne.

Nie mogła podjąć tej decyzji ot tak, w pośpiechu. Zresztą nie tylko sprawa pochówku zaprzętała jej myśli. Dolores знаła swoją matkę na tyle dobrze, by wiedzieć, że jej wieczny odpoczynek nie będzie spokojny, dopóki gra, którą rozpoczęła z Piotrusiem, się nie zakończy.

\* \* \*

Julia stanęła przed czarną ścianą z kredą w ręku. Znów była sobą, pisała jak szalona. Spod jej palców, nieco obolałych po blisko godzinnym przeładowywaniu broni na strzelnicy, spływały na ścianę kolejne informacje dotyczące miejsc, w których znaleziono ciała obu kobiet, i szczegóły z badań wykonanych na Oczki. Kiedy skończyła, na dole ściany napisała drukowanymi literami nazwisko Morawskiego. Pod nim od myślników dodała dane pochodzące z raportu techników.

Nie mogła się doczekać, aż ponownie zobaczy twarz człowieka, który zniszczył dwa życia i zamierzał zrobić to samo z kolejnym. Jej siostry.

Wokół nazwiska Morawskiego narysowała grubą pętlę.

## ROZDZIAŁ X

SOBOTA, 24 MARCA 2018

Julia wstała o siódmej. Sylwia jeszcze spała, osłonięta siatką z baldachimu. Nie chciała jej budzić. Na stole w kuchni zostawiła kartkę z informacją, żeby zagotowaną owsiankę zalała ciepłym mlekiem i dosypała suszonych owoców. Na przygotowywanie czegoś bardziej wykwintnego nie było czasu. Wejście do mieszkania Morawskiego zaplanowała na ósmą; wybiegła z mieszkania pół godziny przed czasem i wskoczyła do skody.

Wraz z dwuosobową ekipą Cichockiej zebrali się przed otynkowanym na biało blokiem przy Sokratesa. Górny spóźnił się już ponad kwadrans.

– Jeśli się nie pojawi w ciągu pięciu minut, wchodzimy bez niego. – Cichocka spojrzała z irytacją na zegarek. – Ile można czekać?

Julia po raz kolejny przyłożyła komórkę do ucha.

– Bez nakazu z prokuratury nie da rady. – Pokręciła głową z poirytowaniem. – Nie odbiera.

– Masz skan w telefonie.

– Skan to nie oryginał. Miał go odebrać od Sierackiej i przyjechać prosto na miejsce.

– Najwidoczniej mu się nie śpieszy. Lepiej, żeby się wreszcie pojawił, bo nie zamierzam trzymać tu swoich ludzi do południa. Zaraz mi tu padną z nudów. – Cichocka wskazała brodą na techników opierających się o maskę policyjnego auta. Jeden zaglądał przez witrynę włoskiej knajpki, która właśnie się otwierała, drugi zajęty był przeglądaniem porannych wiadomości w swoim telefonie.

Julia spróbowała znów się połączyć.

– Szlag by cię, Górny... – warknęła, słysząc ciągły sygnał. – Dobra, nie ma rady. Masz swoją legitymację? Bo na krzywą gębę to nawet nie ma co próbować.

Cichocka poklepała się z uśmiechem po wewnętrznej kieszeni swojej kurtki bomberki.

– Kochana, do kogo ta mowa? To co, zaczynamy nalot?

– Zaczynamy. Wołaj chłopaków, niech biorą sprzęt.

Wyjęli z auta walizkę ogłędzinową i wbiegli po schodach na drugie piętro.

Na pukanie do drzwi nikt nie odpowiadał. Julia wcisnęła dzwonek i przytrzymała go kilka sekund. W końcu zamek zazgrzytał. W progu mieszkania stanęła młoda kobieta o rudych włosach do łopatek. Fryzurę miała w nieładzie; nie było wątpliwości, że dopiero co wyskoczyła z łóżka. Nie zdążyła nawet zarzucić na plecy podomki. Na widok czwórki obcych osób odruchowo zasłoniła dłonią swoją nocną koszulkę na wysokości piersi.

– O co chodzi? – spytała, trąc drugą ręką oczy.

Cichocka mignęła swoją policyjną legitymacją.

– Mamy nakaz przeszukania mieszkania pana Rafała Morawskiego. – Julia podsunęła wyświetlacz pod twarz kobiety, pokazując skan pisma z prokuratury. – Proszę się zapoznać z treścią i udostępnić lokal.

Wciąż nie rozumiała, o co chodzi. Patrzyła to na nakaz, to na ich twarze.

– To ma być jakiś żart? – Wykrzywiła usta w udawanym uśmiechu. – Jakiś głupi dowcip?

– Proszę odsunąć się od wejścia – powiedziała Julia.

Pilar cofnęła się o krok, ale tylko po to, by zatrzaskać im drzwi przed nosem. Gdyby nie but Cichockiej, który zdążyła oprzeć o futrynę, musieliby użyć siły.

Kobieta wydała z siebie bliżej nieokreślony jęk i pobiegła w głąb mieszkania. Krótka koszulka nocna podskakiwała w rytm jej kroków, odsłaniając część pośladków. Technicy spojrzeli po sobie z zadowoleniem.

– Panowie, na litość boską... – westchnęła Julia. – Cofamy się do gimnazjum, tak?

Pchnęła drzwi i weszła do mieszkania.

Rafał Morawski wyrósł przed nią, zanim reszta ekipy zdążyła przełożyć nogi przez próg. Musiał słyszeć, co dzieje się w przedpokoju.

Uwinał się z wciągnięciem spodni i właśnie teraz zapinał sprzączkę paska. Tors wciąż miał nagi, nie licząc przerzuconego przez ramię podkoszulka.

– Co jest? – Oparł luźno dłonie o biodra. – Co to za akcja?

Julia wychyliła się, by zza jego tułowia zobaczyć choćby skrawek mieszkania. Miała pełną świadomość tego, że tak samo szybko, jak się tu znaleźli, mogą zostać wyproszeni.

– Taka akcja, że jest pan podejrzany o zabójstwo Aleksandry Majewskiej i Eleny Sawczuk – wyjaśniła i raz jeszcze pokazała w telefonie zdjęcie nakazu.

Morawski nawet mu się nie przyjrzał.

– Odbiło wam? – Zmrużył oczy, zamieniając je w szparki. – Nie żartuję, popieprzyło was na dobre?

Odczytała na głos nakaz, dopełniając procedur.

– Proszę sobie gdzieś usiąść i nie przeszkadzać – powiedziała na koniec. – I radzę się uspokoić. Zna pan zasady. Najlepiej będzie, jeśli zachowa pan milczenie.

Tak właśnie zamierzał zrobić. Bez słowa sprzeciwu ruszył do salonu. Kiedy wtoczyli się za nim, stał już przy krześle, na którym wisiał jego służbowy uniform, i szukał czegoś po kieszeniach.

Nie chodziło ani o paczkę papierosów, ani żaden inny drobiazg. Mignęła skórzana kabura. Morawski wyjął z niej broń, po czym ostentacyjnie sprawdził, czy magazynek jest nabity. Przeciągnął krzesło po podłodze i ustawił je naprzeciw techników, którzy rozpakowywali walizkę. Usiadł na krześle okrakiem i położył broń na kolanie.

– To może teraz ja wam coś poradzę – powiedział, gładząc chłodną stal broni. – Moja rada będzie bardzo krótka. Wypierdalać. Czytać z telefonu to sobie możecie, ale o pogodzie. A teraz jazda stąd.

Za jego plecami stanęła Pilar. Już nie półnaga, ale ubrana w czarny golf i obcisłe legginsy. Rude włosy miała związane w wysoki kucyk.

– Rafał, zrób coś... – wymamrotała mu do ucha. – Jeśli oni stąd nie wyjdą, ja to zrobię. Nie chcę tu być... Pójdę do matki, dobrze?

– Matkę odwiedzi pani innym razem – dobiegł od strony przedpokoju głos Górnego. Trzymał w ręce oryginał nakazu podpisany przez Sieracką. – Jest pani świadkiem przeszukania, a pan niech lepiej odda tę zabawkę, zanim komuś stanie się krzywda. – Wyciągnął rękę po broń.

Na widok pisma z prokuratury Morawski zaklął pod nosem. Jego glock w mgnieniu oka powędrował na czas przeszukania do walizki

techników.

– Nie można było tak od razu? – Cichocka wciągnęła na dłonie lateksowe rękawiczki. – Zachciało się postraszyć pukawką, he?

Nie czekając na reakcję Morawskiego, wydała swoim ludziom dyspozycje, kto robi kipisz w przedpokoju, a kto w sypialni. Technicy bez szemrania rozeszli się po pomieszczeniach.

Julia wyciągnęła tymczasem Adama na klatkę schodową.

– W co ty grasz, Górny?! – krzyknęła mu w twarz. – O mały włos, a schrzaniłbyś mi całą akcję!

Położył ręce na jej podrygujących ramionach.

– Uspokój się.

– Sabotujesz moją robotę. Wiesz, która jest godzina, czy mam ci kupić zegarek w prezencie?

Poczuła, jak palce Górnego zaciskają się coraz mocniej na jej płaszczu.

– Wyluzuj, mówię. Widzisz te przekrwione oczy? Zarwałem noc, żeby dowiedzieć się czegoś o tym gościu. Zero snu, specjalnie dla ciebie, żebyś nie burczała, że mi nie zależy i że nie podchodzę poważnie. Ale było warto, znalazłem kilka ciekawostek. To jedno. Drugie: twój wniosek o nakaz przeszukania byłby o kant dupy potłuc, gdybyśmy zajęli się tylko tym mieszkaniem. Wystąpiłem do Sierackiej o drugi nakaz. Zwlokłem ją z łóżka o szóstej rano, żeby wystawiła kwit na jeszcze jeden nalot. Chodzi o adres przy Barcickiej.

– Dom byłej żony? – Julia zaczynała się uspokajać.

– Cały czas są ze sobą blisko. To teraz ładnie mi podziękuj.

– Nie wiem jeszcze, czy jest za co. Liczysz na to, że Morawska nie spakowała jego gratów i nie wywiozła na wysypisko śmieci?

– Ty mi powiedz. Ile czasu po rozwodzie przechowywałaś u siebie rzeczy byłego męża?

– Zbyt długo.

– A nie pozbyłaś się ich, bo...?

Julia nabrała powietrza w płuca i wypuściła je cienkim strumieniem.

– Bo byłem głupia. Czerwona lampka w głowie włączyła mi się o wiele za późno. Chciałam wierzyć, że wszystko jeszcze można uratować.

– Może i ona nadal w to wierzy. Podczas przesłuchania nie wyglądali mi na takich, co spalili za sobą mosty. A zwłaszcza ona. Miałem wrażenie, że cały czas go osacza.

– Syndrom kobiety uzależnionej – zadumała się Julia. – Skąd ja to znam... Rozwiodła się, ale nie przestała wokół niego orbitować. Klasyka.

– Raczej desperacja. Ty nie orbitujesz.

– Bo mój eks okazał się cholernym psychopata.

Złapała za klamkę, należało już wracać do środka.

– Zaczekaj. – Górny zatrzymał ją, nim pchnęła drzwi. – To przez niego jesteś ostatnio taka cięta?

Zagryzła usta. I tak musiałyby mu w końcu o tym powiedzieć.

– Posunął się o jeden krok za daleko i tym razem mu tego nie daruję. Składam wniosek o całkowity zakaz zbliżania się do mnie i do Sylwii.

– Ostro pogrywasz. – Górny cmoknął przez zęby.

– Chciał wojny, to będzie ją miał. I to na wszystkich frontach.

Wrócili do mieszkania. Z sypialni dochodziły odgłosy otwieranych szuflad i szafek. Cichocka zajęta była wybebeszaniem wnękowej szafy w przedpokoju. Na podłogę poleciało kilka par butów damskich i trzy pary męskich.

– No i proszę... – Podniosła czarne policyjne buty z cholewkami. – Jak w kiepskim kryminale. Poszło tak gładko, że aż jestem rozczarowana. Ładujemy.

Ostentacyjnie wrzuciła buty do torby na dowody i postawiła ją obok walizki ze sprzętem. Morawski przerwał szeptanie z Pilar.

– Halo, pani ładna! – Poderwał się ze stołka i zawisł nad pochyloną Cichocką. – Trepy mają zostać. Nie będę chodził do roboty w lakierkach!

Górny, który przeglądał akurat kieszenie płaszczy i kurtek wiszących w przedpokoju, odgrodził go własnym ciałem od Joanny.

– Jak dla mnie możesz pan iść choćby w trampkach. A teraz na bok, bo inaczej zaczną się kłopoty. Trzy kroki w tył, mówię!

Morawski odstąpił. Widać było z przedpokoju, jak staje pośrodku małego salonu i zaciska dłonie na tyle głowy. Młoda kobieta o rudych włosach podeszła do niego i objęła go wpię. Coś mu znowu szeptała w popłochu.

– Rozejrzę się jeszcze po kuchni. – Julia zrobiła krok przez rozrzucone na podłodze buty i ruszyła w głąb mieszkania.

Aneks był mały. Zaczęła od szperania po szafkach, w większości pustych lub zajętych przez garnki i talerze. W szufladach leżały sztucce, serwetki i folia spożywcza. Nic, co by ją interesowało. Dwóch techników przeszukujących sypialnię też wróciło z pustymi rękami.

– Macie swoją rewizję – powiedział triumfalnie Morawski. – Te buty też lepiej zostawcie, bo tylko rozśmieszycie ludzi od traseologii.

– Śmiech dobra rzecz. – Julia trzasnęła drzwiczkami od ostatniej przeszukiwanej szafki i ściągnęła z dłoni lateksowe rękawiczki. – Wszyscy lubimy się pośmiać, pan najwyraźniej też. Na pana miejscu bym się jednak raczej nie śmiała.

– Tak, dwa zabójstwa – przyznał z przekąsem. – Nie za skromnie? Dorzućcie coś jeszcze do tego przedstawienia, żeby nie było nudno.

– Jest jeszcze bonus – odparła tajemniczo Julia. – Panowie, zbieramy się i przenosimy zabawki na Barcicką. – Kiwnęła głową na ekipę.

Drwiący uśmiech na twarzy Morawskiego niespodziewanie przybladł i zaraz zniknął z niej całkowicie.

– O czym ty mówisz? – Podszedł do Julii i stanął na tyle blisko, że czuła od niego wymieszany zapach wczorajszego dezodorantu i potu, który nagle pokrył jego tułów. – Żadnego nalotu na dom mojej żony nie będzie.

Pilar drgnęła. Wyraźnie wypowiedziane przez jej ukochanego słowo „żona” poruszyło w niej i tak już niebezpiecznie napiętą strunę. Nie śmiała jednak zareagować, siedziała bez ruchu na kanapie z przyciśniętą do brzucha poduszką.

– Nie wejdziecie tam. – Morawski zaczął strzelać kostkami palców u dłoni.

Trzymał je na wysokości oczu Julii. Naliczyła pięć trzasków, po czym odsunęła przed twarzy zaciśniętą pięść mężczyzny.

– Obstawiam inną wersję – powiedziała ze spokojem. – Pan mówi, że nie, ja, że tak. Ciekawe, kto wygra. Pan komisarz przyjmuje zakłady. Co? Coś nie pasuje? Nie chce pan zakładów? No to rzut monetą. Górny, złotówka. – Wyciągnęła rękę w stronę Adama.

Mierzyli się wzrokiem. Nie spuszczali z siebie oczu nawet wtedy, gdy podrzuciła monetę.

– Wygrałam, wchodzimy na Barcicką – powiedziała, gdy złotówka wylądowała w jej dłoni.

Morawski prychnął, jakby się zakrztusił.

– Nie zdążyłem wybrać reszki albo orła.

– To nie ma żadnego znaczenia. – Pokręciła głową. – Zakład był ustawiony.

Cichocka skończyła wypisywać protokół zatrzymania rzeczy. Buty marki Zephyr Z006 znalazły się na krótkiej liście pobranych dowodów

obok spodni w kolorze khaki z przyklejonymi do nogawek zeschniętymi liśćmi i grudkami ziemi, które utknęły w szwach na wysokości kolan. Podpisany przez nią i Górnego dokument podsunęła pod nos Morawskiemu, żeby wstawił swoją parafkę.

Julia dała znać ekipie, żeby zeszli na dół bez niej. Chciała jeszcze chwilę postać pod drzwiami mieszkania Morawskiego i Pilar. Prawdziwe sceny z życia ludzi dzieją się dopiero wtedy, gdy zostają sami, bez niewygodnych świadków. Wystarczy tylko poczekać. Poza tym musiała się upewnić, że Morawski nie wyładuje złości na tej młodej, która siedziała na kanapie struchlała, bojąc się głośniejszej odezwać. Jeśli podniesie na nią rękę za to, że otworzyła drzwi i wpuściła ich do środka, bez interwencji się nie obejdzie.

Nie czekała długo. Coś gruchnęło o podłogę lub ścianę. Kładła już rękę na klamce, kiedy usłyszała krzyk Pilar. Nie było to jednak tłumaczenie się ani tym bardziej błaganie o litość. Słowa padające z ust były wyjątkowo plugawe. Wiązanka przekleństw zdawała się nie mieć końca. Potem odezwał się Morawski. Mówił spokojnie, tłumacząc coś swojej kochance. Ton jego głosu zupełnie nie przypominał tego, którym zwracał się do ekipy śledczej jeszcze kilka minut temu.

– Zostaw mnie, do cholery! – wrzasnęła jeszcze raz Pilar. – Zadowolony jesteś?! Wszystko przez ciebie i te twoje obietnice! Boże, jaka ja byłam głupia...

– Ciszej! Sąsiedzi mają już dość twoich wrzasków. Chcesz, żeby gliny znowu tu wpadły?

– Jaka głupia... Że też dałam się wciągnąć w to bagno. Tego mi jeszcze trzeba, i to teraz, kiedy wszystko zaczynało się układać! Co teraz zrobisz? No co?! Do kogo dzwonisz?

Przez chwilę panowała cisza. Potem znów zza drzwi dobiegła rozmowa, ale tym razem słychać było tylko słowa Morawskiego. Część z nich zanikała; musiał krążyć z telefonem po mieszkaniu.

– To ja, posłuchaj mnie uważnie... Była tu policja, do ciebie też jadą. Wiesz, co masz zrobić... w garażu... O niczym nie wiesz, pamiętaj. Nawet nie próbuj... Słyszysz?! Rozumiesz, co do ciebie mówię?

Tyle jej wystarczyło. Zbiegła po schodach i wsiadła do skody. Ekipa czekała już w swoich wozach. Trzy auta ruszyły z piskiem opon w stronę Barcickiej.



Kiedy spojrzała w lusterko wsteczne, wydało jej się, że widzi sylwetkę Morawskiego, jak wychodzi z budynku. Gdyby nie mokry śnieg, który zebrał się na tylnej szybie, miałaby pewność. Po chwili drzwi klatki znów się otworzyły i wyszła kolejna osoba. Niższa i drobniejsza.

Zanim Julia skręciła w przecznicę, zobaczyła jeszcze krótkie mignięcie przednich reflektorów auta stojącego przy krawężniku. Jedna z osób na chodniku otwierała pilotem drzwi samochodu.

\* \* \*

Dolores długo nie odbierała telefonu od Beaty. Podniosła słuchawkę dopiero po dwunastym sygnale. Morawską od razu uderzył ton jej głosu. Przygaszony i pełen melancholii. Natychmiast wyczuła, że coś się stało. Kiedy usłyszała, że chodzi o Josefę, sama sposepniała. Wiedziała, że staruszka od pewnego czasu niedomaga, ale żeby odejść tak znienacka? Ile ta pocziwina mogła mieć lat? Zdaje się, że zeszłej wiosny obchodziła okrągłą rocznicę, zatem osiemdziesiąt jeden.

Beata złożyła kondolencje i zapytała, czy Dolores czegoś nie potrzebuje. To, że ostatnio się nie dogadywały, nie zmieniało faktu, że może na nią liczyć. Zwłaszcza w takich okolicznościach. Śmierć łączy ludzi bez względu na animozje. Dolores odparła, że jakoś sobie radzi i nie chce pomocy. Chociaż właściwie jest jedna rzecz, jaką Beata mogłaby dla niej zrobić. Chodzi o pożegnanie Josefy we wspólnym gronie, w ich ogrodzie. Taka uroczystość z pewnością sprawiłaby nieboszczce radość.

Nie mogła odmówić. W zamian też o coś poprosiła, bardziej dla syna niż dla siebie. Właśnie po to dzwoniła.

Za kilka minut pod jej dom miały podjechać policyjne wozy i nie chciała narażać dziecka na niepotrzebny wstrząs. Jedyne, co przyszło jej na myśl, to odesłanie Piotrusia do niani, choćby na kilka godzin. „Dla dziecka to będzie szok, zrozum, Dolores – tłumaczyła. – Przecież znasz mojego synka i wiesz, jak bardzo potrzebuje spokoju”.

Liczyła na to, że niania się zgodzi. Nigdy nie odmawiała pomocy przy dzieciach i chroniła je tak, jakby były jej własne. Jednak tym razem Dolores powiedziała „nie”. Po raz pierwszy w życiu, zasłaniając się żałobą i przygotowaniami do poniedziałkowego pogrzebu.

Beata odłożyła telefon i poszła na górę. Piotruś bawił się latarką – z zapamiętaniem puszczał sygnały alfabetem Morse’a. Szło mu świetnie, dużo lepiej niż kilka miesięcy temu. Siedział na podłodze oparty plecami o swoje łóżko i kierował snop światła na przeciwległą ścianę. Za dnia było mało widoczne, dlatego Beata zaciągnęła zasłony, by w pokoju zrobiło się odrobinę ciemniej.

– Za chwilę przyjdzie do nas kilka osób – powiedziała, siadając obok syna na dywanie. – Będą chodzić po domu.

– Po co? – spytał, nie odrywając oczu od ściany, na której pojawiały się krótkie i długie strumienie światła.

– Chcą znaleźć coś, co należy do tatusia.

Siąknął nosem i wytarł go w rękaw swetra.

– Tatuś coś zgubił?

Beata spojrzała na leżącą obok kartkę z alfabetem składającym się z kropek i kresek.

– Może dla odmiany poćwiczysz pisanie literek? – zapytała.

– Wolę latarkę.

Udała, że zastanawia się na poważnie, czy lepsze są literki, czy latarka. Jej zmarszczone czoło i przymrużone oczy nie rozbawiły jednak chłopca.

– Najlepiej będzie, jeśli obejrzysz sobie bajkę – zaproponowała po krótkim namyśle. Wyszła z pokoju i po chwili wróciła z laptopem. – Patrz, co ci przyniosłam. Zrobimy tak, że włączę ci film, a ty obiecasz mi, że nie będziesz schodził na dół. Dobrze, synku? Zostaniesz tu tak długo, aż cię zawołam. Co wolisz, świnkę Babe czy *Mustanga z Dzikiej Doliny*?

Chłopiec odłożył latarkę i wydał usta.

– Coś o zwierzątkach, ale takich prawdziwych, nie kreskówkę. Może być o wielorybach.

Włączyła laptopa i zaczęła przeszukiwać internet. Jak na złość nie było nic o wielorybach. Piotruś zgodził się w końcu na orki. Trochę podobne, choć mniejsze; ważne, że żyją w oceanie. Ustawiła komputer na krześle i pomogła chłopcu wgramolić się z podłogi na łóżko. Pod głowę podłożyła mu dwie poduszki, żeby miał miękko.

– Muszę ci powiedzieć o czymś jeszcze – powiedziała najspokojniej, jak tylko potrafiła. – Josefa odeszła.

Piotruś rozszerzył oczy.

– Daleko?

– Tak, bardzo daleko. Jest teraz tam, gdzie Karinka. Pożegnamy ją w naszym ogrodzie w poniedziałek. Ale teraz o tym nie myśl. Oglądaj film.  
– Pocałowała go w czoło i wyszła z pokoju, zamykając za sobą drzwi.

\* \* \*

Dom przy Barcickiej stał na samym końcu ulicy i wyglądał podobnie jak reszta budynków. Nie bogato, ale przyzwoicie. Domy różniły się rodzajem ogrodu i kolorem dachówek, jednak żaden z nich nie odznaczał się czymś wyjątkowym. Może dlatego, że w taki dzień jak ten wszystkie barwy świata zlewały się w jedną wielką szarość.

Pchnęli sięgającą pasa żelazną furtkę i stanęli pod głównymi drzwiami. Były osłonięte od deszczu szerokim dachem, pośrodku którego zwisała wciąż paląca się po nocy lampka.

Górny wcisnął dzwonek i zapukał, nie czekając, aż odgłos gongu ucichnie wewnątrz mieszkania. Zrobił to samo jeszcze dwa razy, ale do drzwi nikt nie podszedł.

– Ostrzegł ją – powiedziała Julia. – Daliśmy się zrobić jak dzieci.

Cichocka szarpnęła dla pewności klamką.

– Pytanie, co teraz. Przecież się tam nie włamiemy.

W normalnej sytuacji Julia wyjęłaby swoje magiczne narzędzia. Jedno wsunięcie wytrychu w zamek rozwiązałoby problem. Już stałaby w przedpokoju, gdyby nie trójka wpatrujących się w nią ludzi. Górnego nie liczyła; zdążył już się przyzwyczaić do jej metod. Przy ekipie Cichockiej musiała jednak pozostać bezgrzeszna.

– Zajrzę od ogrodu. – Górny postawił kołnierz kurtki, chowając szyję przed zacinającym deszczem ze śniegiem.

Julia ruszyła w przeciwną stronę. Interesował ją garaż. I to, co w nim trzyma Morawski.

Opuszczana brama nie była zasunięta do końca; brakowało około piętnastu centymetrów. Julia szarpnęła za uchwyt, ale skrzydło ani drgnęło. Mogła tylko zajrzeć przez wąską przestrzeń nad ziemią, by upewnić się, że auto Beaty Morawskiej zniknęło razem z nią.

Auto jednak stało. Zobaczyła czerwony lakier karoserii i pęknięcie na tylnym reflektorze. Tego, co znajdowało się głębiej, nie sposób już było dojrzeć.

Strzepywała błoto z kolan, kiedy zobaczyła Górnego. Biegł w ich stronę, krzycząc coś do swojego telefonu.

– Tak! Barcicka! Ruszajcie się, bo zaraz będzie za późno!

– Co się dzieje? – zapytała Cichocka.

Górny rozłączył się i wskazał tył ogrodu.

– Morawska, jest w środku, utrzymajcie ją do czasu przyjazdu karetki!  
– wyrzucał z siebie słowa. – Biegiem! Ja wyjdę na ulicę, erka zaraz tu będzie.

Beata Morawska leżała na podłodze na wznak między stołem a ciągiem kuchennych szafek. Z jej prawej skroni sączyła się cienka strużka krwi. Krew widoczna była też na krawędzi zlewu i pod nim. Kilka rozmazanych plam odcinało się czerwienią na jasnoszarym laminacie podblatowej szafki.

To było jak *déjà vu*. Wszystko odbyło się tak jak kilka dni temu. Szarpanina i pobita kobieta.

Julia przysunęła pod nos Beaty wyświetlacz telefonu, by sprawdzić, czy Górny nie pośpieszył się ze swoim optymizmem. Żył, choć ekran ledwo pokrywał się cienką warstwą pary. Włączyła latarkę i poświeciła w źrenice.

– Prawie nie reaguje – rzuciła w stronę Cichockiej. – Pewnie wstrząs mózgu. Nie ruszaj jej, nie wiadomo, czy nie doszło do pęknięcia czaszki. Sztuczne oddychania też nie rób. Żadnych drgań ciała.

– A co z przeszukaniem? Odwołujemy akcję?

Julia pokręciła przecząco głową.

– Rozejrzyjcie się po domu. Najpierw piętro. Z tego, co wiem, miała dzieci. Uważajcie, żeby ich nie wystraszyć. Ja zostanę przy Morawskiej. No dalej, nie mamy całego dnia.

Jeden z techników ruszył w kierunku schodów. Zanim postawił nogę na pierwszym stopniu, z góry dobiegł tupot.

– Zamknijcie drzwi do kuchni! – zawołała Julia. – Niech nie widzą matki w tym stanie.

Było za późno. Chłopiec pojawił się na dole, zanim zdążyli wykonać jakikolwiek ruch. Po chwili stał już pośrodku kuchni. Jego wzrok przesuwiał się powoli po ciele Morawskiej.

– Mamo? – odezwał się półgłosem.

Był bardziej zaniepokojony niż wystraszony.

– Nie podchodź. – Julia podniosła się z podłogi i odciągnęła chłopca do przedpokoju. – Mama upadła, ale wszystko będzie dobrze. Powiedz, jak masz na imię?

– Piotruś. Mam sześć lat i mieszkam z mamą.

– Chodź ze mną, Piotrusiu. Twój pokój jest tam, na górze?

Kiwnął ochoczo głową. Na widok kręcącej się po kuchni Cichockiej dorzucił nieśmiały uśmiech.

– Zostawimy mamę z tą miłą panią, a ty pokażesz mi swoje zabawki – powiedziała Julia.

Nie opierał się ani nie histeryzował. Spytał tylko, czy tę zabawę wymyśliła mama, czy oni.

– Zabawę? – zaciekała się.

Piotruś kiwnął głową.

– No tak. Mamie na pewno nic nie jest, rozmawiałem z nią niedawno.

– Mama lubi się tak z tobą bawić?

– Nie, to pierwszy raz. Nie podoba mi się ta zabawa. Kiedy mama wstanie?

– Zaraz coś na to zaradzimy – zapewniła go Julia. – Powiedz mi jeszcze, Piotrusiu, czy oprócz mamy masz kogoś, kto się tobą zajmuje? Poza twoim tatą – dodała, zanim zdążył wspomnieć o ojcu.

Zwiesił głowę, jakby temat był dla niego wyjątkowo przykry.

– Tylko Dolores. Była jeszcze Josefa. Naj-najukochańsza. Najlepsza na całym świecie. – Piotruś rozłożył szeroko ręce, jakby chciał nimi objąć kulę ziemską. – Ale mama powiedziała, że już jej nie zobaczę, bo odeszła ze starości. Pojutrze zrobimy dla niej ucztę w naszym ogrodzie.

– Dolores... – powtórzyła Julia. – To prawdziwe imię?

– No pewnie, że prawdziwe.

– Ładne. A nazwisko znasz?

Chłopiec podrapał się po głowie, mierzwiąc jasne proste włosy.

– Znam, ale nie pamiętam. Chodź, pokażę ci moje książki o Neli, chcesz?

Idąc po schodach, Julia widziała, jak do kuchni wchodzi Górny. Wrócił, by otworzyć frontowe drzwi od środka i wpuścić ludzi z pogotowia. Wpadli z torbami i noszami, otaczając Morawską. Cichocka wciągała już na ręce lateksowe rękawiczki. Pozostali dwaj technicy musieli rozejść się już po domu, bo zniknęli z jej pola widzenia.

Pokój dziecięcy mieścił się przy dużej łazience. Przez uchylone drzwi Julia zobaczyła wannę i szklaną ścianę prysznicową, przy którym stała wielka zgrzewka papieru toaletowego. Upewniła się, że w pomieszczeniu nikogo nie ma, po czym wsunęła się za Piotrusiem do jego królestwa.

Od razu dało się zauważyć, że pokój został podzielony na dwie części: dla dziewczynki i dla chłopca. Tam, gdzie kończyła się strefa Barbie, upiękuszona różowymi ścianami i puchatym chodnikiem w takim samym kolorze, zaczynał się rewir wilka morskiego. Dywanik przy łóżku chłopca przedstawiał motyw okrętu; na rufie stał brodaty pirat z opaską na oku, a tuż pod nim wyskakiwał z wody uśmiechnięty delfin.

Pod przeciwległymi ścianami stały dwie szafy, a obok nich pojedyncze łóżka z szufladami na pościel. Na jednym z okien wisiała różowa falbaniasta firanka, na drugim zasłony w kotwice. Było schludnie i zadziwiająco czysto jak na miejsce zamieszkałe przez małego pirata. Między oknami, na wysokim żeliwnym stojaku, tkwiła klatka z dwiema papugami.

Piotruś od razu usiadł na swoim łóżku.

– Tu śpię, a tam są moje książki. – Przeturlał się po narzucie w kierunku wiszącej na ścianie półki. Stało na niej kilka egzemplarzy z przygodami Neli. – Chcę mieć wszystkie, bo teraz mam tylko sześć.

Wyciągnął jedną. Na okładce widniało zdjęcie małej autorki głaszczącej zebkę.

– Najbardziej lubię, jak Nela opowiada o morzach, ale ta też jest fajna.

Rzucił książkę na posłanie i poderwał się, ale tylko po to, by wysunąć szufladę łóżka i wyjąć z niej swoją ukochaną latarkę.

– Umiesz szyfrować? – spytał, kierując światło na brzuch Julii.

– Pewnie. – Wyciągnęła rękę po latarkę. Istniał zaledwie jeden wyraz, jaki dałaby radę wysłać za pomocą alfabetu Morse'a. Swoje imię.

Usiadła obok niego na pirackim chodniku i zaczęła puszczać latarką długie i krótkie sygnały. Piotruś zdawał się pewny siebie. Przez ostatnie miesiące dużo się nauczył, dlatego z łatwością odczytał wszystkie litery. Nieco dłużej zajęło mu rozpoznanie L, ale po chwili i z tym sobie poradził.

– A teraz pokażę ci mój okręt. – Dla odmiany podskoczył do okna i odsunął zasłonkę w kotwice. Palcem wskazał domek na drzewie.

– Tata zrobił – oświadczył z dumą. – A ja pomagałem.

Stała za jego plecami. Domek na rozrośniętym klonie, choć przysypany mokrym śniegiem, wyglądał imponująco.

– Tata zawiesił drabinkę, widzisz?  
– Widzę, też chciałabym taki mieć.  
– To przecież dla dzieci – zaśmiał się, pokazując drobne zęby. – Ty się nie zmieścisz!

– Tata często do ciebie przychodzi? – spytała Julia.

– Czasem.

– A dziś? Był tu?

Chłopiec wrócił na łóżko. Usiadł na jego brzegu i zaczął majtać nogami w powietrzu.

– Nie wiem, oglądałem film. Mama mi włączyła. Chcesz zobaczyć?

Nie czekając na odpowiedź, włączył przerwany dokument o orkach. Film dobiegał końca, pozostało zaledwie kilka minut. Ustawiono tak wysoki poziom głośności, że Julia od razu ściszyła dźwięk.

– O, wreszcie, ja nie umiałem. – Piotruś odetchnął z wyraźną ulgą. – Mama mi tak nastawiła, jakbym był głuchy.

I całe szczęście, pomyślała Julia. Dzięki temu z zewnątrz nie dotarł tu żaden dźwięk. Matka niechcący uchroniła syna przed tym, co działo się na dole.

Julia odczekała, aż film się skończy, i zamknęła laptopa.

– A to drugie łóżko... kto tu śpi?

Piotruś wydał usta.

– Nikt. Tam nie wolno spać.

– Rozumiem, to takie tajemnicze łóżko.

Wzruszył ramionami.

– To łóżko królowy Karinki. Czeka na nią, aż wróci.

– To twoja siostra? Tak ją nazywacie: królowa?

– Tylko tatuś.

– Gdzie teraz jest królowa, Piotrusiu?

– Nie żyje.

Julia poczuła, jakby coś smagnęło ją po plecach.

– Twoja siostra nie żyje?

– Mhm, śpi. Królowy lubią spać, ale ona niedługo się obudzi.

– Od jak dawna śpi?

Musiał się zastanowić. Podparł palcem brodę, po dziecinnemu, jak to zwykły robić maluchy w jego wieku.

– Usnęła, jak było ciepło.

– Latem?

– Tak, latem. Miała białą sukienkę i leżała w pudełku. I skarpetki miała białe, i rękawiczki. Cała była na biało. Dolores opowiedziała jej bajkę na dobranoc. O księżniczce i księciu. Bajka była ładna, może dlatego Karinka tak długo śpi. Mama mówi, że już się nigdy nie obudzi, ale to nieprawda.

– Dlaczego nieprawda?

– Powiem pani, ale to będzie nasza tajemnica, dobrze? – wyszeptał swoim dzieciennym głosem. – To nie przez bajkę Karinka tak długo śpi, ale za karę. Była niegrzeczna, bo ciągle drapała krostki i dlatego...

Drzwi pokoju uchyliły się i w prześwicie pojawiła się głowa Cichockiej.

– Nie teraz! – zgromiła ją Julia. – Zostaw nas samych.

Cichocka nie zamierzała wyjść. Nie zważając na chłopca, podeszła do Julii i nachyliła się nad jej uchem.

– Zabierają ją do szpitala. My robimy swoje, na pewno zainteresuje cię to, co znaleźliśmy w garażu.

Julia zostawiła Piotrusia i wyszła z pokoju, żeby nie rozmawiać przy nim o stanie jego matki.

– Najpierw powiedz, co z nią.

– Nic pewnego, ale przypuszczalnie wstrząs mózgu, jak mówiłaś.

– Co z resztą ciała? – Julia sprawdziła, czy dokładnie przymknęła drzwi. – Obejrzel ją?

– Zrobią to w szpitalu. Na razie podali tlen i unieruchomili, żeby nie doszło do kolejnych urazów. Na tomografię trzeba będzie poczekać.

– Okej, róbcie dalej swoje. Co ze śladami? Mówiłaś, że coś macie?

– Tak, ale nie chodzi mi o ślady Morawskiego. Nie ma sensu ich zbierać, bo są wszędzie. To przecież jego dom. W garażu znaleźliśmy kilka ciekawych rzeczy, w tym buty, takie same, model Zephyr Z006. Musiał mieć kilka par. Jest też sznur, może to właśnie nim skrepował Majewską.

– Gruby?

– Wystarczająco, żeby zrobić lasso na konia.

– Sprawdź, czy z tego samego sznura zrobiona jest drabinka do domu na drzewie.

– Jedno drugiego nie wyklucza. W każdym razie dam go do zbadania, może da się porównać splot ze śladami na nadgarstkach. Ale jest jeszcze coś.



Wyjęła zza pleców papierową torbę na dowody i otworzyła ją, pokazując Julii zawartość.

– Damskie pantofle?

– Mogą należeć do zamordowanej. Sprawdziłam rozmiar, Morawska nosi większy, więc te raczej nie należały do niej. Były wciśnięte pod jedną z półek i zawinięte w starą szmatę.

– Cholera...

– To jeszcze nie koniec niespodzianek. Zadziwiająco, co ludzie potrafią przechowywać w garażu. Prawdziwy sezam. W starej skrzyni znaleźliśmy baniaki z jakąś chemią.

– Benzyna?

– Karnalit. Wygląda jak kryształki soli.

– Majewska miała wodę morską w płucach.

– Właśnie. A towaru jest tyle, że wystarczyłoby do solenia zupy dla całej armii przez kolejną dekadę. Jesteśmy blisko, Julia.

– To chciałam usłyszeć. Działajcie dalej.

Julia nacisnęła kławkę, by wrócić do Piotrusia, ale Cichocka zatrzymała ją jeszcze na chwilę.

– A co z nim? Nie może przecież zostać tu sam, bez matki. Górny powinien zawieźć go do policyjnej izby dziecka, zanim znajdzie się ktoś z dalszej rodziny.

Julia zerknęła przez uchylone drzwi. Chłopiec leżał na brzuchu na środku marynarskiego dywanu i z zapamiętaniem ćwiczył kolejne szyfry z alfabetu Morse'a.

– Ja go wezmę.

– Nie możesz – parsknęła Cichocka. – To dziecko, nie jakiś welonek z akwarium.

– Dam mu tymczasowy dom zastępczy. Zajmę się nim, dopóki jego matka nie wyjdzie ze szpitala.

– A jeśli w ogóle nie wyjdzie? Widziałaś ją, ledwo zipie. Wszystko jest możliwe.

– Wtedy będę się o to martwić. Wracaj na dół.

Piotruś podniósł głowę, gdy znów usiadła obok niego na dywanie. Zadziwiał ją jego spokój. Był jak stary człowiek, którego nic nie jest w stanie zaskoczyć, bo w swoim życiu widział już wszystko, i dobro, i zło. Albo zobojętniał na to, co działo się pod dachem tego domu, albo nie zdawał sobie z tego sprawy. Cokolwiek sprawiło, że zachowywał zimną

krew, dawało Julii nadzieję na to, że równie łagodnie przyjmie wiadomość o krótkim pobycie w jej mieszkaniu.

Propozycja przenosin nie zaskoczyła go w najmniejszym stopniu. Tyle razy wędrował między własnym domem a mieszkaniem Dolores, że było mu obojętne, gdzie tym razem przyjdzie mu nocować. To, że Julia była dla niego całkiem obcym człowiekiem, również go nie przerażało.

Nie wiedział, gdzie mama trzyma walizkę, do której mógłby spakować swoje ubranie, włożył więc do małego przedszkolnego plecaczka cztery pary majtek i tyle samo skarpet. Plecak szybko się wypełnił. Zwykle służył do noszenia picia i drobnych zabawek, nie było więc mowy o tym, by mógł pomieścić cieplejszą odzież.

– Resztę zapakujemy w reklamówki – zaproponowała Julia. – Mama pewnie trzyma kilka w kuchni. Przyniosę.

– A może być to? – Piotruś zanurkował na dno szafy. – Dostałem go od taty.

W rękach trzymał podłużny worek, jaki noszą marynarze. Był dwukrotnie większy od niego samego, ale dzięki temu zapakował do niego wszystkie potrzebne rzeczy.

– A kto się zaopiekuje Karinką, jeśli wróci? – spytał, gdy mieli już zejść na dół. – Nie lubi zostawać sama.

Julia objęła chłopca ramieniem.

– Na pewno nas znajdzie.

Twarz chłopca pojaśniała.

– Wezmę jej lalkę, dobrze? Żeby u ciebie nie było jej smutno.

Z różowego łóżka pochwycił Barbie i ściskając ją w ręce, zszedł z Julią na parter. Po ludziach z pogotowia nie było już śladu, krew z podłogi też zniknęła. Zmyto ją na prośbę Cichockiej po tym, jak pobrano próbki. Nie chciała, by chłopiec natknął się ponownie na czerwone plamy.

– To jest Piotruś. – Julia przedstawiła chłopca Górnemu, który przetrząsał właśnie torebkę jego matki. Na widok dziecka odłożył ją na stół.

– Hej, mały – powiedział, robiąc z dłoni żółwika na powitanie. – Jesteś gotów do drogi?

Piotruś wyprostował się jak marynarz podczas raportu u kapitana statku.

– Tak jest!

Górny zasalutował, po czym nachylił się do Julii.

– Jesteś pewna, że wiesz, co robisz? Nie znasz tego dzieciaka.

– To go poznam – odpowiedziała. – Szlag...

– Co się stało? Dokąd idziesz?

Odeszła tylko na kilka kroków. Musiała zadzwonić do domu i poinstruować Sylwię, żeby zmyła z czarnej ściany jej notatki dotyczące obu zabitych kobiet. Chłopiec, choć ledwie składał ze sobą litery, nie powinien widzieć niczego, co wiązało się ze zbrodnią. Zwłaszcza że na centralnym miejscu ściany widniało nazwisko jego ojca.

– Sytuacja opanowana – powiedziała, gdy zakończyła rozmowę z córką. – Możemy jechać.

– Zaczekaj. Powinnaś o czymś wiedzieć.

Górny zawołał Cichocką, żeby przejęła na chwilę Piotrusia, i wyciągnął Julię do ogrodu. Stanęli pod klonem i zawieszonym na nim pirackim domkiem.

– Mówiłem ci już, że pół nocy spędziłem w biurze, szukając danych o Morawskim. Zanim zabierzesz chłopca do siebie, musisz mieć świadomość, że w tej rodzinie doszło do nieszczęścia.

– Masz na myśli śmierć małej Karinki?

– Zatem już wiesz.

– Mały mi powiedział. Bez szczegółów, właściwie tylko tyle, że zmarła zeszłego lata. Chorowała?

– Nie, Julia. Utopiła się.

Nie wierzyła własnym uszom.

– Jak to? Utopiła się?

– Tu, w ogrodzie. A dokładnie kilka metrów dalej. To był nieszczęśliwy wypadek, wpadła do pompowanego basenu wypełnionego po brzegi wodą i... stało się najgorsze.

– Jezus Maria...

– Miała pięć lat. Bliźniacza siostra małego. Matka nie zdążyła jej uratować, ojca nie było wtedy w domu. Kilka minut wcześniej odjechał stąd do siebie, na Sokratesa.

– Jasne. Podobnie jak nie było go tu, zanim znaleźliśmy jego pobitą żonę. Facet ma nadprzyrodzone zdolności. Znika, kiedy wymaga tego sytuacja.

Górny popatrzył na przeszklone drzwi prowadzące do kuchni.

– Dlatego uważaj na to, co mówisz przy tym chłopcu. Najlepiej w ogóle nie poruszaj tego tematu. Dzieciak może się rozlecieć emocjonalnie.

– Będę najdelikatniejszą ciocią na świecie. Ty natomiast bądź dobrym wujkiem i znajdź niejaką Dolores. To niania dzieci. Przypuszczam, że ma coś wspólnego z tą rudą Pilar. Hiszpańskie imiona nie wydają się tu przypadkowe.

– Chcesz jej oddać małego?

– Na razie chcę wiedzieć, gdzie mieszka.

– Nazwisko?

– Nie znam. Nie sędzę jednak, żeby po Warszawie chodziły tysiące Dolores.

– Dobra, spróbuję. O ile jest zameldowana – zaznaczył Górny. – A teraz zabierz stąd dzieciaka, my jeszcze tu zostaniemy. Do przeszukania pozostało całe piętro domu i ogród.

Gdy wrócili, Piotruś stał już w swoim granatowym płaszczu i czarnej czapce, gotowy do wyjścia. Trzymał w dłoni sznurek od żeglarskiego worka. Julia podniosła tobół z podłogi i zarzuciła go sobie na plecy, po czym chwyciła chłopca za rękę i wyprowadziła z posesji.

Nie miała fotelika dla dzieci, posadziła go na tylnym siedzeniu i przypięła zwykłymi pasami. W lusterku wstecznym widziała jedynie czubek jego głowy, a właściwie pompon na czapce. Tylko co jakiś czas przekręcał głowę tak, że dało się zobaczyć kawałek jego policzka. Tłumaczył wtedy coś jasnowłosej Barbie i pokazywał jej ulice tonące w deszczu.

Do mieszkania wszedł jako pierwszy. Sylwia wybałuszyła oczy.

– Co to za dzieciak? Tylko mi nie mów, że to jakiś mój zaginiony brat, którego oddałaś kiedyś do sierociarni, a teraz przyprowadziłaś.

– Nikogo nie oddałam do sierociarni. To jest Piotruś i pomieszka z nami kilka dni. Wstaw wodę na herbatę.

Julia pomogła Piotrusiowi zdjąć płaszcz, buty ściągnął już sam. Stanął w skarpetkach w przedpokoju i zaczął poruszać palcami u stóp. O kapciach całkiem zapomnieli. Jedyne ratunkiem mogły być stare bambosze Sylwii, jednak okazały się zdecydowanie za duże.

– Coś wymyślimy – uspokoiła go Julia i wprowadziła do salonu.

Prośba, by zmyć zapiski, najwyraźniej nie została wzięta przez Sylwię do serca. Ściana była nietknięta i biła po oczach dziesiątkami haseł. Na gromiące spojrzenie matki dziewczynka zrobiła niewinną minę.

– Bo widzisz, mamo, zadzwoniła Jagoda i całkiem zapomniałam. – Rozłożyła bezradnie ręce.

Zanim Julia namoczyła gąbkę, szybko zrobiła zdjęcie ścianie. Szczęśliwie Piotruś nie był nią zainteresowany, wpatrywał się za to w każdy ruch swojej nowej starszej koleżanki, która została zagoniona do pracy w kuchni.

Herbata parzyła się w dzbanku. Chłopiec był głodny; w lodówce poza pęczkiem rzodkiewek znalazło się jeszcze kilka jajek. Zapach smażonej jajecznicy rozszedł się po mieszkaniu.

– Skąd go wystrasnęłaś? – Sylwia ściszyła głos. – Nie mogłaś przynieść słodkiego szczeniaczka zamiast takiego zasmarkanego smarka?

– Potem ci wszystko opowiem, bądź dla niego miła.

Sylwia ostentacyjnie wzruszyła ramionami i zapowiedziała, że nie odda mu swojego pokoju. Może ewentualnie przenocować u siebie Julię, ale nie dzieciaka.

Dzieciak niemal wylizał talerz, gdy skończył jeść.

– Co będziemy robić? – spytał, wycierając usta rękawem swetra.

Sylwia miała na końcu języka „na mnie nie licz”, jednak z uwagi na proszący wzrok matki i zawalenie sprawy z myciem ściany zmusiła się do zaproponowania gry w monopol. Zniknęli za drzwiami jej sypialni. Julia zebrała talerze i włożyła je do zlewu. Już miała odkręcić ciepłą wodę, kiedy przyszedł esemes od Górnego, z dołączonym zdjęciem, które przedstawiało rysunek wykonany kredkami, podarty i poskładany na nowo.

Wyszła na balkon, by jej słowa nie docierały do pokoju Sylwii, i oddzwoniła.

– Co to za rysunek? – spytała ściszone głosem.

Górny odchrząknął.

– Nie poznajesz? Nasz dobry znajomy, jego ruda panna i córka. Oni stoją uśmiechnięci, mała leży w worku.

– Skąd go masz?

– Z kontenera na śmieci. Wywaliliśmy wszystko na chodnik, kiedy tylko odjechałaś. Brakuje kilku skrawków papieru, ale to, co mamy, wystarczy, żeby zgarnąć Morawskiego na dłuższą spowiedź.

– Powstrzymaj konie, Górny. Musimy mieć komplet wyników z technicznego.

– Po czterdziestu ośmiu godzinach w areszcie zaczniesz śpiewać i bez wyników.

– Może gdybyś go wrzucił do San Quentin, to coś by to dało. Tam przyznałby się nawet do zamachu na Reagana. Ale nie tu.

Wydało jej się, że cicho prychnął.

– Który normalny rodzic wsadza swoje dziecko do worka na zwłoki?!

– To tylko rysunek. Chcesz pokazać go w prokuraturze, żeby Sieracka się wzruszyła? Bądź poważny. Skupmy się teraz na Morawskiej, będziemy potrzebowali jej zeznań. Po tym, co zrobił jej eks, nie będzie go dłużej chronić.

– Będzie. Dla świętego spokoju i żeby nie stała się krzywda jej dziecku. Jedno już straciła.

– Właśnie dlatego go wsypie. Do tej pory miała anielską cierpliwość do tego gnojka, ale nie uwierzę, żeby tym razem jej się nie przelało. Zajrzę do niej wieczorem, może jej stan poprawi się na tyle, żeby dała radę cokolwiek powiedzieć.

– Jak uważasz. – Górny nie wydawał się szczęśliwy z takiego obrotu sprawy. – Obyś potem nie żałowała, że go w porę nie przyskrzyniliśmy. Morawski zrobi wszystko, żeby ocalić własną skórę. Zwłaszcza teraz.

– W szpitalu jest ochrona.

Roześmiał się gorzko.

– Nie, Julia. Nie mówię o jego żonie.

Zrozumiała.

– O Lidii?

– Jest dla niego dużo groźniejsza niż Morawska. Wie o czymś, co może mu zaszkodzić. To wciąż jego główny target.

– Na szczęście nie ma pojęcia, gdzie jej szukać.

– Tak ci powiedział? Spytałaś go o to, a on uprzejmie zaprzeczył?

– Do tej pory nie zamieścił nekrologu. Gdyby wiedział, gdzie ukryła się Lidia, toby nie czekał. Ona byłaby martwa, a ja czytałabym o jej śmierci w gazecie.

– Nie masz żadnej pewności, że zrobiliby tak jak w przypadku Majewskiej i Sawczuk.

Julia miała własną teorię na ten temat.

– Dla zabójcy ważny jest rytuał. Odprawił go w obu poprzednich przypadkach. I to jest drugi powód, dla którego go nie zamkniemy.

– Chcesz mieć pewność, że jeśli stanie się najgorsze, dowiesz się o tym z gazety?

– Właśnie tak, Górny. Jak się domyślasz, z aresztu nie da się wykupić nekrologu.

– Twoja logika zaczyna mnie przerażać. I nie traktuj tego jako komplementu.

Z zielonego pokoju zaczęły dobiegać podejrzone krzyki. Wyglądało na to, że Sylwia straciła hotel albo samochodową myjnię.

– Znajdź tę nianię, Dolores – przypomniała Julia. – Na pewno dużo wie o tej rodzinie. Jeśli nie uda ci się w systemach, podzwoń po domach pogrzebowych. Z tego, co mówił Piotruś, zmarła niejaka Josefa, przypuszczalnie jej matka. Ciało musiało trafić do któregoś z zakładów. Ja wracam do dzieciaków. Obawiam się, że Sylwia zaczyna terroryzować małego.

– Co robią?

– Grali w monopol, ale teraz chyba zaczyna się toczyć regularna wojna. O ile znam swoją córkę, chciała ograć Piotrusia, ale coś poszło nie tak.

– Wychowałaś jedynaczkę, która nie lubi przegrywać? Coś podobnego... – Górny szczerze się roześmiał.

Julia rozłączyła się i zajrzała do pokoju córki. Panował już spokój, burza musiała być wyjątkowo krótka. Na podłodze leżały imitacje banknotów i plansza. Obok niej, z poduszką pod głową i wtulony w koc Sylwii, drzemał Piotruś. Dziewczynka siedziała przy biurku i czytała książkę o Winnetou. Z tego, co zauważyła Julia, była dopiero w połowie.

\* \* \*

– Jak ty to sobie wyobrażasz? – jęknęła do słuchawki Emilia. – Na jedno dziecko nie masz czasu, a co dopiero na dwoje. Nie chcę nawet o tym myśleć i powiem ci, Julia, dziwię się, że mówisz o tym tak spokojnie. Ale to cała ty! Trudno, musisz dać sobie radę, za lekkomyślność słono się płaci, moja droga. Żeby wziąć sobie na głowę obce dziecko! Może jeszcze chcesz je adoptować?

Julia czuła, że zaraz pęknie jej głowa. Powiedzieć matce o tym, że wzięła na przechowanie chłopca, to jedno, wysłuchiwać jej mądrości i dobrych rad to drugie. Nie mogła jednak udąć, że nie ma tematu. Niedzielę jeszcze jakoś przetrzyma, ale w poniedziałek z rana będzie

musiała zawieźć Sylwię do szkoły. Piotruś mógłby jechać z nimi, ale co potem? Miałaby siedzieć z nim cały dzień, bawiąc się książeczkami i klockami Lego, które zabrał ze sobą do żeglarskiego worka? Potrzebowała matki, choćby miała ją odciążyć tylko na pół dnia.

Do szpitala wysłała Górnego; sumienie nie pozwalało jej zostawić chłopca samego z Sylwią w pierwszy dzień jego pobytu w obcych ścianach. Sylwia mogła być dla niego albo wspaniałomyślna, albo nieznośna. Ryzyko, że w grę wejdzie drugi wariant, było zbyt duże. Piotruś zachowywał się co prawda swobodnie i wszystko przyjmował z uśmiechem, niemniej Julia nie łudziła się – wystarczy jeden telefon od Jagody i o pilnowaniu chłopca przez córkę nie będzie mowy. Musiała znaleźć dla niego opiekę.

– Nikt po mnie nie przyjdzie? – spytał, gdy zapowiedziała mu, że nie wie, ile czasu będzie musiał spędzić w mieszkaniu przy Czerniakowskiej. – Nikt mnie nie chce?

Usiadł na szarej kanapie i zwinął się w kącik. Zaczynało do niego docierać, że u Julii znalazł się z litości.

– Ani tata, ani Dolores? Nie mam już nikogo?

– Nie biadol. – W drzwiach stanęła Sylwia. Pod pachą trzymała książkę Karola Maya. – Źle ci tu? Widzisz, że się staramy. Jutro mogę cię gdzieś zabrać, żebyś nie płakał.

– Nie płaczę.

– Ale zaraz zaczniesz. Wyglądasz, jakbyś miał się rozbeczeć. Nic na to nie poradzisz, że starzy czasami nie ogarniają życia.

– Co to znaczy „nie ogarniają”? – Piotruś poruszył się na kanapie.

– Boże, jaki dzieciuch z ciebie. No, nawalają. Jak chcesz, mogę ci teraz poczytać, ale nie wiem, czy coś z tego zrozumiesz. Chcesz?

Julia rozłożyła narożnik i zasłała łóżko czystą pościelą. Z żeglarskiego worka wyjęła piżamę chłopca. Nie miała marynarskich wzorów, była zwykła, w biało-niebieską kratkę. Piotruś wsunął się pod kołdrę i położył głowę na poduszce. Sylwia wgramoliła się obok i zaczęła czytać. Nieważne, że od środka książki – i tak jej słuchał.

Dzwonek do drzwi oderwał ją od sprzątnięcia kuchni. Nie spodziewała się Górnego o tej porze. Spojrzała na zegarek, dochodziła dziesiąta wieczorem.

Stał w drzwiach z pudłem w ręku.



– Jak się miewa mały? – spytał, gdy tylko wszedł do przedpokoju.

– Sylwia mu czyta. Na jutro zamówiłam babcię, zajmie się nim od rana.

Weszli do pokoju, Górny podszedł do chłopca i położył przed nim przyniesione pudło.

– Co to? – Piotruś otworzył już na wpół przytomne oczy.

– Sam zobacz.

Mały podciągnął się w pościeli i potarł powieki. Otworzył karton wielkości pudełka do butów.

– Okręt! – krzyknął, oprzytomniawszy w jednej chwili.

– Słyszałem, że lubisz. To prawdziwa „Czarna Perła”. Oglądałeś *Piratów z Karaibów*?

Piotruś kiwnął z zapamiętaniem głową.

– Trzy razy. Kiedyś też będę piratem jak Jack Sparrow. Tylko mama musi mi pozwolić.

– Pozwoli. – Górny pogłaskał chłopca po głowie. – Możesz już zapuszczać włosy, żeby mieć jak Sparrow.

Wreszcie roz pogodził się na dobre. Przy okazji sprawdził, czy jeśli pociągnie się mocniej za włosy, to wydłużą się choć o kilka centymetrów.

– Dasz mi go na zawsze? – spytał, nie mogąc oderwać oczu od lin, mostków i bocianiego gniazda.

– Jest twój.

Górny przyciągnął spod okna bujany fotel Julii i postawił okręt na siedzisku tak, by Piotruś, nawet leżąc, miał go na wyciągnięcie ręki. Chłopiec nie chciał już słuchać o przygodach dzielnego Winnetou, wolał wyobrazić sobie, że jest piratem i staje na dziobie statku z przyłożoną do oka lunetą, wypatrując wyspy skarbów. Sylwia tylko wzruszyła ramionami, gdy odwrócił się do niej bokiem, wpatrzony w czarne żagle z nadrukowaną białą czaszką i skrzyżowanymi pod nią piszczelami. Dzieciak nic nie rozumiał z poważnej lektury.

Julia poszła z Górnym do sypialni córki. Nie protestowała, kiedy za przymkniętymi drzwiami ujął jej twarz w dłonie i pocałował. Miał ciepłe usta, do tego cudownie miękkie. Poddała się chwili; oboje potrzebowali normalności po ostatnich ciężkich dniach.

– Wiesz, na co mam ochotę? – Górny zamruczał jej do ucha.

Parsknęła śmiechem.

– Za ścianą siedzi dwójka dzieciaków, więc wybacz... Jestem nowoczesna, ale nie aż tak. Muszę im matkować bez cienia skandalu.

– Seksowna mamuśka, do tego cnotliwa... Wiesz, jak mnie nakręcić. Jak się tylko skończy to twoje matkowanie, pozbawię cię tej twojej przyzwoitości.

– Już się boję. Powiedz lepiej, co się dzieje w szpitalu. Udało ci się zobaczyć z Morawską?

Górny przysiadł na oparciu łóżka Sylwii i pociągnął Julię, tak by przycupnęła na jego kolanie. Objął ją przy tym w pasie, by móc się jeszcze trochę poprzytulać, zanim nakryje ich któreś z dzieci.

– Właśnie o tym chciałem z tobą pogadać. Zanim do niej wszedłem, powiedziano mi, że jest z nią naprawdę kiepsko. Jednak na moje oko jej stan nie był aż tak zły.

– Lekarze przesadzają?

– Są przewrażliwieni. Ale ja ich rozumiem. Samotna matka, atak w biały dzień i inne etyczne bzdety. Gdyby bagatelizowali jej stan, wybuchłby skandal. Najważniejsze, że ją z tego wyciągnęli. Morawska jest przytomna i co ważne, całkiem świadoma.

– Będzie zeznawać?

– Na razie udaje, że nie ma tematu. Boi się. Cały czas pytała o syna.

– Powiedziałeś?

– Powiedziałem, że mały jest u ciebie, cały i zdrowy.

– No i?

– Tu niespodzianka. Spodziewałem się, że odetchnie z ulgą, bo chyba twój dom lepszy od policyjnej izby dziecka. Ale zareagowała inaczej. Starła się to ukryć, ale wyczułem, że jest wściekła.

– Nie dziw się. Widziała mnie raz w życiu. Gdyby ktoś obcy zabrał do siebie Sylwię, też wpadłabym w panikę.

– Pytała też o tę kobietę, Dolores.

Julia poruszyła się na kolanach Górnego.

– Namierzyłeś ją?

– Oczywiście, moja piękna. To Dolores Riva Ortega, matka Pilar.

– Jest, jak przypuszczałam. Co o niej wiemy?

– Tylko tyle, że dwukrotnie podejmowała pracę u Morawskich. Najpierw u seniorów, a potem u młodych. To się złożyło na prawie dwadzieścia lat zatrudnienia. Pracowała legalnie i co rzadkie, była ubezpieczona. Jak widać, troszczyli się o nią.

– Dwie dekady, mówisz... Rozumiem, że w ZUS-ie też masz wtyki? Kolejna przyjaciółka twojej matki?

– Moja matka ma wiele przyjaciółek.

– Coś już o tym słyszałam – zaśmiała się. – Mów dalej.

– Udało mi się też znaleźć kilka informacji o jej córce. Pilar jest jej jedynym dzieckiem i jak już wiemy, pracuje jako śpiewaczka. Ale Marią Callas to ona raczej nie jest. Mało o niej piszą.

– Za to miała wzięcie u chlebodawcy swojej matki. Do tego stopnia, że porzucił dla niej rodzinę. Czego Morawska chciała od Dolores? Żeby zajęła się małym?

– O to samo ją zapytałem, ale zaprzeczyła. – Górny wzruszył ramionami. – Niemniej prosiła mnie, żebym jak najszybciej przyprowadził ją do szpitala.

– Nie rób tego. Skoro nie chodziło jej o syna, to pozostaje tylko jedna możliwość. Podejrzewam, że będzie chciała wciągnąć Dolores w jakąś swoją gierkę.

– Przeciwno byłemu mężowi?

– Przeciwno Pilar. I zechce zrobić to właśnie rękami tej kobiety. Teraz ma okazję. Zagra na jej współczuciu, pokaże sińce i rozbitą głowę. Potem zarzuci jej bierność wobec romansu córki i brak lojalności w stosunku do rodziny, która od lat płaci jej pensję. Morawska ma asa w rękawie i go użyje. Podsunie Dolores sposób na odkupienie winy. Wystarczy, że ta okaże Pilar oburzenie na to, w jaki sposób zniszczyła tę rodzinę. To ją zaboli. Brak akceptacji ze strony matki jest najgorszym z uczuć. Jeśli Pilar choć trochę zależy na jej zdaniu, odsunie się od Morawskiego.

– Mówiłaś, że kilka ciosów w głowę skutecznie potrafi wyleczyć kobietę z mrzonek o ponownym zejściu się z oprawcą.

Julia wstała z kolan Górnego i oparła się plecami o ścianę.

– Mówiłam ci też nie raz, że nie znasz się na kobietach. Teraz gra toczy się już o całkiem inną stawkę. O rewanz, mówiąc wprost. Pokazanie, kto tak naprawdę jest górą. Pilar ma podkulić ogon, rozumiesz?

– Rozumiem. Tylko po co tak kombinować? Faceci daliby sobie po gębie i sprawa byłaby załatwiona.

– Kobiety, w przeciwieństwie do was, dawno zeszły z drzewa i stosują inne chwyt, zamiast prać się maczugami po głowach.

– Oczywiście. Nawalają na siebie plotkami, aż im języki puchną. I całe życie knują za plecami.

– Tak nas Bozia stworzyła – przyznała Julia. – A co do Morawskiej, musi nosić w sobie dużo żalu za zmarnowane życie, więc nie odmówi sobie zemsty. Strata córki i męża... to na pewno nie było dla niej łatwe. Dla Piotrusia zresztą też – westchnęła. – Temu dzieciakowi świat zawalił się na głowę. Cały czas mówi o siostrze.

– Kazałem Szymańskiemu zdobyć wyniki z sekcji zwłok. – Górny ściszył głos. – Może przesadzam z nadgorliwością, ale lubię jasne sytuacje. Chcę wiedzieć, co było przyczyną utonięcia. Omdlenie, zachłyśnięcie, problemy neurologiczne...

– Nie musisz mi tego tłumaczyć. Nagła śmierć zawsze jest badana pod takim kątem. Chyba że do badania nie doszło, bo komuś nie w smak było dotarcie do prawdziwej przyczyny zgonu. Przyjęto, że był to wypadek, i zamknięto sprawę.

Drzwi zielonej sypialni skrzypnęły. Sylwia nie miała zamiaru dłużej czuwać przy śpiącym chłopcu, co dała jasno do zrozumienia, pojawiając się z zamkniętymi oczami niczym nocna mara.

– Idźcie już stąd – wymamrotała, chwając się ostentacyjnie na nogach. Zwykle o tej godzinie trajkotała w najlepsze przez telefon z Jagodą, jednak nie dziś. – Zaraz usnę na stojąco.

Julia puściła oko do Górnego.

– Nie mogę na to pozwolić. Wskakuj do łóżka i gasimy światło.

Wynieśli się do salonu. Piotruś poruszał przez sen ustami. Julia naciągnęła mu kołdrę na ramiona. Nagle wpadła Sylwia i całkiem już przytomnym spojrzeniem obrzuciła kąty w poszukiwaniu swojego telefonu.

– Gdzie go schowałaś? – Złapała się pod boki. – Muszę ustalić z Jagodą, jak ubieramy się jutro na wyprawę do wioski wikingów.

Telefon zapadł się pod ziemię. Julia puściła sygnał, próbując namierzyć urządzenie. Zabrzęczał gdzieś głęboko pod kołdrą.

– On mi zabrał. – Sylwia oskarżycielsko wyciągnęła palec wskazujący w stronę śpiącego Piotrusia.

Julia powstrzymała córkę przed rozbebeszaniem pościeli. Maluch odsypiał trudny dzień, nie było potrzeby przerywać mu odpoczynku.

– Tym razem daruję małolatowi – burknęła Sylwia. – Ale jutro rano chcę mieć swój telefon tu. – Pokazała otwartą dłoń.

Odmaszerowała, mrużąc coś pod nosem.

– Masz z nią tak codziennie? – skomentował Górny, odprowadzając Sylwię wzrokiem.

Julia zamyśliła się.

– Tylko od poniedziałku do soboty. W niedziele między czwartą a szóstą bywa słodka.

Podeszła do porzuconego na podłodze pudełka po okręcie. Żadne z dzieci nie pofatygowało się, by wyrzucić je do śmieci.

– Dzięki za prezent dla Piotrusia. Widziałeś, jak mu się oczy zaświeciły, kiedy zobaczył, co dostał?

Górny sięgnął po leżącą na kuchennym stole paczkę herbatników.

– To był mój pierwszy okręt – powiedział, wyjmując dwa ciastka naraz. – Dostałem go od ojca, kiedy miałem tyle lat co ten mały. Jakiś czas temu odmalowałem go i wymieniłem maszty. Tylko żagle zostały stare. Pomyślałem, że ten szkrab przeszedł już tyle, że powinien mieć coś od życia.

Julia spojrzała na niego z powątpiewaniem.

– Mam uwierzyć, że oddałyś swoją rodzinną pamiątkę obcemu dziecku? Przyznaj, że kupiłeś go w tym swoim sklepie z modelami?

– Nie przyznaję.

– Ja i tak swoje wiem. Nie rozstałbyś się z takim cackiem.

Górny ściągnął z haczyka w przedpokoju swoją kurtkę i pożegnał się po cichu, by nie robić zamieszania. Kiedy zamknęła za nim drzwi, wróciła do pokoju i podeszła do bujanego fotela. „Czarna Perła” była rzeczywiście piękna. Gdyby Julia miała syna, też kupiłaby mu taki okręt. Nie nadawał się do puszczania po wodzie, ale dbałość o każdy szczegół była zadziwiająca. Dwa wysokie maszty z rozciągniętymi żaglami, bloczki, knagi i olinowanie. „Czarna Perła” była prawdziwą perełką. Okręt stał na dwóch drewnianych płaskich podpórkach; z jednej lekko odchodziła farba. Julia docisnęła ją palcem, żeby całkiem nie odpadła. Kiedy przechyliła statek, zobaczyła na jego spodzie wyrytą datę: 1986. Okręt miał ponad trzydzieści lat.

## ROZDZIAŁ XI

NIEDZIELA, 25 MARCA 2018

**E**milia pojawiła się w mieszkaniu Julii o siódmej rano. Otworzyła drzwi własnym kompletem kluczy i wtoczyła się do kuchni ze swoją kraciastą torbą.

Cały dom jeszcze spał, miała więc czas na powykładanie przyniesionych słoików z gulaszem na stół, a następnie przełożenie kawałków mięsa do garnka. Plastikowe pojemniki z surówką z buraków wstawiła do lodówki. Gdy skończyła krzątanie, zajęła się krojeniem chleba na poranne kanapki.

Julię ze snu wyrwał dopiero dźwięk dzwoniącego telefonu. Sygnał dobiegał z kuchni. Poderwała się, nie chcąc, by hałas obudził Piotrusia. Zanim narzuciła na plecy sweter, dzwonienie ustało. Zamiast niego usłyszała głos Emilii. Wydawało jej się, że matka uspokaja chłopca, że może spać dalej, jednak brzmiała zbyt stanowczo jak na rozmowę z dzieckiem.

Stała w drzwiach. Piotruś spał odwrócony twarzą do okna, Emilia zaś kręciła się po kuchni z telefonem Julii przy uchu.

– Porządni ludzie nie dzwonią w niedzielę przed ósmą – perswadowała zapamiętałe rozmówcy. – Ależ, droga pani, co mi tu pani będzie opowiadać! Czy ktoś umarł? Nie umarł, otóż to. Nie, to ja pani mogę zaraz wytłumaczyć, co to jest ważna sprawa!

– Mamo? – Julia stanęła przy Emilii, zaciskając w talii pasek swetra. – Z kim rozmawiasz?

Matka rozłączyła się i odłożyła telefon na stół.

– Już z nikim. Możesz wracać do łóżka.

Julia sprawdziła rejestr połączeń. Jako ostatni pokazał się numer prokurator Sierackiej. Zwykle nie dzwoniła o tej porze.

– Nie rób tego nigdy więcej – powiedziała do matki, wychodząc z kuchni.

Zamknęła się z telefonem w łazience i wcisnęła zieloną słuchawkę. Sieracka odebrała natychmiast. Nie chciała marnować czasu na wysłuchiwanie przeprosin za niewyparzony język Emilii.

– Morawska zniknęła – powiedziała. – Oddziałowa weszła do niej przed godziną i zastała puste łóżko. Przeszukano toalety i wszystkie pomieszczenia, w których mogłaby się zatrzasnąć lub zemdleć, ale bez skutku – poinformowała na jednym wydechu.

– Jak to możliwe? Miałaby uciec w tym stanie? Górny już wie?

– A jak myślisz? Jest w drodze do szpitala.

– Zajmiemy się tym. Zapisy z kamer wszystko wyjaśnią.

– Zostawiam to w twoich rękach, Julia. Będę jednak szczerą i powiem ci, że mogliście się bardziej postarać. Wystarczyło postawić kogoś przy tej kobiecie, przynajmniej na pierwszą dobę. Nie przyszło wam do głowy, że zwieje stamtąd ze strachu, bo jest na OIOM-ie kompletnie sama?

– Wyszło beznadziejnie, przyznaję.

– Macie ją odnaleźć – zażądała Sieracka. – Czekam na informacje. Wolałabym, żeby tym razem były dobre.

Rozłączyła się. Julia wróciła do kuchni. Na taborecie kiwała się już nieprzytomna Sylwia.

– Boli mnie gardło – poskarżyła się i na dowód choroby zakasłała.

Julia położyła dłoń na czole córki. Temperatura nie była może wysoka, ale głowa wydawała się cieplejsza niż zwykle.

– Moje biedactwo! W takim stanie nie możesz jechać na wycieczkę – zarządziła Emilia. – Zostaniesz w domu i odpoczniesz. Jakbym miała przecucie, że będę tu potrzebna! Moja intuicja zawsze jest niezawodna, mam to po prababce. Mówiłam ci, kochanie, że była jedyną kobietą we wsi, która umiała przepowiadać przyszłość? Dlatego ja tak wierzę w jasnowidzów. Taka Aurora, na przykład, wszystko powie. Nawet to, kiedy nastąpi koniec świata.

– Kiedy? – Sylwia rozszerzyła oczy.

– Jak tylko wielki kruk uwije gniazdo na dachu Watykanu i złoży tam swoje jaja.

Sylwia wpatrzyła się w gestykującą babcię. Musiała wierzyć w każde wypowiedane przez nią słowo, bo jej policzki zrobiły się jeszcze bardziej czerwone niż chwilę temu.

– A z każdego z nich wykluje się diabeł o ptasim łbie – dopowiedziała Julia. – Przestań opowiadać jej bzdury, mamo.

Emilia włączyła elektryczny czajnik. Szum obudził Piotrusia, który usiadł na łóżku i podrapał się w skołtunioną czuprynę. Zaraz potem sprawdził, czy jego okręt nie zniknął przez noc z bujanego fotela.

Śniadanie zjedli szybko. Julia nie mogła wziąć udziału w kolejnej rozmowie, jaką rozpoczęła jej matka, tym razem na temat możliwej epidemii spowodowanej bólem gardła Sylwii. Zostawiła ich z zastrzeżeniem, że Sylwia ma nie wychylać nosa z pokoju, by nie zarazić chłopca.

Pod Szpital Bielański podjechała od głównego wejścia. Wyminęła parkującą karetkę i zatrzymała się przy lewym skrzydle budynku. Zamknęła pilotem auto i pobiegła do schodów prowadzących do głównych drzwi. Nie musiała długo szukać Górnego. Stał zaraz przy wejściu i rozmawiał z młodą lekarką o krótkich blond włosach i umalowanych na różowo ustach. Gestykulował przy tym i rozglądał się niespokojnie po korytarzu, jakby wciąż miał nadzieję, że wśród przechodzących ludzi zobaczy zaginioną pacjentkę.

– Skąd się tu wzięłaś? – zdziwił się na widok Julii.

Przywitała się z lekarką, ściskając jej dłoń.

– Sieracka postawiła mnie na równe nogi. Nie mogłeś sam do mnie zadzwonić?

– Ty masz na głowie dzieci.

– I dwie martwe kobiety. O której to się stało?

Lekarka spojrzała odruchowo na zegarek.

– Pani Morawska widziana była po raz ostatni wczoraj po dwudziestej drugiej. Pielęgniarka oddziałowa zajrzała do niej, bo w pokoju wciąż paliło się górne światło. Cisza nocna obowiązuje od dziesiątej do szóstej rano – wyjaśniła, na wypadek gdyby nie znali zasad obowiązujących na terenie szpitala. – W tym czasie lampy powinny być pogaszone.

– To akurat moja wina – przyznał Górny. – Wygląda na to, że byłem u niej ostatni i wyszedłem, zostawiając włączone światło.

Młoda lekarka obdarzyła Górnego wyrozumiałym uśmiechem.



– Nie, panie komisarzu. Po ostatniej wizycie gości zawsze zaglądamy do sali, żeby sprawdzić, czy pacjent dobrze się czuje. Ludzie przychodzą tu z różnymi informacjami. Raz się śmieją, a raz płaczą. Chorzy różnie na to reagują. Są sytuacje, gdy trzeba podać im coś na uspokojenie.

– Pani Morawska była podobno podenerwowana – podjęła Julia, pamiętając relację Górnego z wczorajszych odwiedzin w szpitalu.

– Nie widziałam jej, ale z karty pacjenta wynika, że podano jej tylko lek przeciwbólowy. Najwidoczniej zdenerwowanie było chwilowe i szybko minęło.

– I potem nikt już nie zaglądał do sali? – upewnił się Górny.

– Nikt z obcych. Od wyjścia oddziałowej nie wchodził nikt aż do szóstej rano.

– Pozostawiono ją na całą noc bez lekarskiego nadzoru? – zaniepokoiła się Julia. – To spore ryzyko.

Kobieta natychmiast zaprzeczyła.

– Nie było potrzeby, by doglądać jej przez tych kilka godzin. Dziś mieliśmy ją zabrać z OIOM-u na zwykłą salę. Wykluczaliśmy wstrząs mózgu, nic nie zagrażało jej życiu. A gdyby źle się poczuła, miała przy łóżku przycisk. Zjawilibyśmy się od razu.

Musiła przerwać, bo od strony recepcji ktoś wzywał ją do telefonu. Po chwili Julia i Adam widzieli, jak obrócona do nich bokiem lekarka przytakuje podczas rozmowy. Kiedy odłożyła słuchawkę, kiwnęła na nich ręką.

– Mamy już zapis z nocy – powiedziała. – Kamery zainstalowane są na korytarzach, przy wejściach i przy rejestracji. Mam nadzieję, że to w czymś pomoże. Proszę za mną.

Ruszyła w kierunku białych drzwi z tabliczką „Tylko dla personelu”.

– Co z monitoringiem w salach? – spytał Górny, podążając za białym kitem.

Lekarka odwróciła się przez ramię.

– To szpital, nie więzienie, panie komisarzu. Nie stosujemy podglądactwa i dyrekcja nigdy się na to nie zgodzi. Pacjentom należy się prywatność. Chciałby pan być obserwowany przez całą dobę? Bo ja nie.

Marsz bocznymi korytarzami szpitala zajął im dobrych kilka minut. Płataniną służbowych przejść dotarli do małego pokoju z przeszklonymi drzwiami. Wewnątrz panował ziąb, małe okno wychodzące na ścianę drzew było uchylone i wpuszczało co chwila podmuchy wilgotnego powietrza.

Pomieszczenie mieściło dwa połączone ze sobą biurka, a na blacie każdego z nich stał stary model monitora. Przy jednym z biurek na obrotowym krześle siedział młody chłopak. Na dźwięk otwieranych drzwi odwrócił głowę w ich stronę.

– Rajmund. – Wyciągnął rękę do powitania i jednocześnie schował brodę w wysoki kołnierz swojej polarowej bluzy. – Państwo po te zapisy? A jakiś dokumencik zobaczą? – zapytał na jednym wydechu.

Górny mignął legitymacją. Chłopak odnotował jego nazwisko w kajecie.

– Pokaż, co znalazłeś. – Julia stanęła mu nad głową. – Najpierw korytarz. Które to było piętro?

– Pierwsze, prawe skrzydło. Tam mamy izolatki – podpowiedziała lekarka.

Rajmund zaczął uderzać palcami w klawiaturę, a Górny przyciągnął dwa krzesła od drugiego biurka, żeby kobiety mogły usiąść.

– Nie mam na to czasu – wykręciła się lekarka. – Muszę wracać na oddział. W razie czego proszę mnie wezwać przez recepcję.

Wyszła, zamykając za sobą cicho drzwi.

Obsiedli Rajmunda z obu stron.

– Ustaw czas od dziewiątej wieczór, od momentu, kiedy wyszedłem z pokoju – zarządził Górny. – Kamera obejmuje cały korytarz?

– No raczej – przytaknął chłopak, nie odrywając oczu od monitora. – Okej, ustawiam na...

– Dziewiątą.

Pasek na dole ekranu przesunął się w lewo i zatrzymał na żądanej godzinie.

– Mamy dziewiątą zero zero. Proponuję obejrzeć zapis na przyspieszonym podglądzie, inaczej będziemy siedzieć tu do nocy.

– Przyspiesz. Który to pokój? – Julia zmarszczyła brwi, patrząc, jak przez ekran przewijają się sylwetki ludzi.

Palec Górnego wahał się przez chwilę, w końcu pokazał drzwi mieszczące się w połowie korytarza.

– To tu. Zaraz powinienem się pojawić.

Po niespełna minucie Górny pokazał się na ekranie. Biegły kolejne sekundy do momentu ponownego otwarcia się drzwi.

– Wychodzę o dwudziestej drugiej sześć. – Górny sprawdził to na zegarze. – Potem od razu idę do windy i zjeżdżam na dół.

Po kolejnych pięciu minutach kamera pokazała pielęgniarkę. Zajrzała do sali i cofnęła się zaraz potem na korytarz. Otworzyła drzwi sali po drugiej stronie korytarza.

– Co to za pomieszczenie? – spytała Julia.

– Pokój z lekami – wyjaśnił chłopak. – Na kod dostępu.

Pielęgniarka wyszła po chwili. W ręku trzymała coś, co zgodnie ze słowami lekarki musiało być lekiem przeciwbólowym dla Morawskiej. Jej wizyta u pacjentki trwała dużo dłużej, niż wymaga tego podanie leku. Później na dobre zamknęła drzwi jej sali i wezwała windę, podobnie jak wcześniej Górny. Światło padające z jarzeniówek przygasło.

– Mamy dziesiątą szesnaście – powiedziała Julia, patrząc na zegar wskazujący rzeczywisty czas nagrania. – Obsługa oddała się i zaczyna się nocny dyżur.

Przez kolejne kwadransy nic się nie działo. Korytarzem przemknęło co prawda kilka osób, ale żadna z nich nie zaglądała do pokoju Morawskiej. Zegar pokazywał kolejno jedenastą, północ i pierwszą. O tej porze nikt już nie przechadzał się po holu.

– Przyspieszyć jeszcze? – Chłopak zaczynał się wiercić.

– Nie – powstrzymała go Julia. Nie chciała niczego przeoczyć, choć obraz pozostawał niezmienny od dobrego kwadransu.

– No to sobie patrzcie. Ja muszę za potrzebą.

Zniknął za wąskimi drzwiami stanowiącymi przepierzenie między biurem a łazienką. Przez cienki gips-karton dobiegał każdy dźwięk tego, co działo się za ścianą. Załatwił sprawę szybko, potem puścił wodę z kranu. Wrócił, wycierając mokre ręce w nogawki dżinsów.

– No, jak tam? – spytał.

Wciąż patrzyli w ekran. Zegar na zapisie pokazywał drugą w nocy.

– Przecież to nie ma sensu – powiedział ze zniecierpliwieniem Rajmund. – Podgonię.

Górny też miał dość obserwowania nagrania z pustego korytarza.

– Podgoń, w razie czego cofniesz.

Pierwszy ruch zaobserwowali około piątej. Pielęgniarka pojawiła się nie wiadomo skąd. W ręku trzymała jakieś jasne zawiniątko, które wyglądało na prześcieradło lub ręcznik. Przystanąła na chwilę na końcu korytarza, po czym uchyliła drzwi do pierwszej z brzegu sali. Nie weszła do środka, zajrzała jedynie i zaraz wycofała się z powrotem na korytarz. To samo zrobiła przy kolejnych drzwiach.

– Dzieją się tu dziwne rzeczy – zauważyła Julia.

Górny był innego zdania.

– Nic się nie dzieje. Rutynowy obchód.

– Obchód zaczyna się o szóstej – przypomniała słowa lekarki.

Kobieta w krótkim niebieskim kitlu doszła do drzwi sali Beaty Morawskiej. Zajrzała tam w ten sam sposób co wcześniej, jednak tym razem zatrzymała się w wejściu na dłużej. Po chwili weszła do środka, zamykając za sobą drzwi.

Górny przyjrzał się uważniej obrazowi z nagrania.

– Może Morawska obudziła się i wezwała ją do siebie?

– Może. – Julia przysunęła się bliżej monitora. – Poczekajmy.

Czas pobytu pielęgniarki w sali przeciągał się. Po dziesięciu minutach drzwi otworzyły się ponownie. Kobieta w kitlu wyszła, ale nie sama. Obok niej, trzymając się za głowę, stanęła Beata Morawska. Ubrana w szpitalną koszulę, jedynie z narzuconym na plecy długim swetrem.

– Zatrzymaj obraz i powiększ. – Górny nachylił się nad biurkiem.

Powiększony obraz nie był już tak wyraźny; piksele rozmazywały go, jednak nie na tyle, by nie mogli rozpoznać głowy owiniętej bandażem. Znów włączyli odtwarzanie. Widzieli, jak pielęgniarka szybkim ruchem ściąga opatrunek z głowy Beaty i przeczesuje palcami uklepane włosy. Morawska nie reagowała. Szła posłusznie prowadzona pod ramię, prosto na koniec korytarza, gdzie majaczyła szara plama drzwi.

– Co tam jest, schody czy winda towarowa? – spytała Julia.

– Wyjście ewakuacyjne – wyjaśnił chłopak.

– Tam też jest monitoring?

– Przy wyjściu? Jest. Ale na schodach już nie. Tam nigdy nic się nie dzieje, więc szkoda kasy na instalowanie sprzętu.

– Przełącz obraz na tamtą kamerę. Da się?

– Co ma się nie dać.

Stuknął jednym palcem w klawisz na osobnej klawiaturze. Ujęcie zmieniło się i ukazało idące w stronę drzwi kobiety. Gdy podeszły bliżej kamery, pielęgniarka prowadząca Morawską zasłoniła swoją twarz dłonią.

– Nie chce, żeby ją rozpoznano – powiedział Górny. – Znasz ją? – spytał chłopaka.

Rajmund niemal niezauważalnie pokręcił głową.

– Nie przyglądam się ludziom. Wchodzę bocznym wejściem, odsiaduję swoje i o piątej wychodzę. Ale jedno wam powiem: żadna

prawdziwa pielęgniarka nie chowałaby się przed kamerami. Głowę dam, że to nikt z personelu. Poza tym tu nosi się inne fartuchy. Ten u niej jest niebieski, nasze pielęgniarki noszą białe.

– Jesteś pewien?

– Pracuję tu czwarty rok. Wiem, jak wygląda szpitalny uniform.

W końcu kobieta musiała opuścić rękę, by nacisnąć klamkę drzwi ewakuacyjnych.

– Stop! – Julia nacisnęła guzik zatrzymujący obraz.

Ułamek sekundy wystarczył, by uchwycić ten kadr. Mimo pochylonej głowy fałszywej pielęgniarki zobaczyli to, na czym zależało im najbardziej.

– Kto to jest? – Górny zmrużył oczy.

– A jak myślisz? – spytała Julia. – Kogo tak bardzo chciała zobaczyć Morawska? Ty jej w tym nie pomogłeś, więc zrobiła to oddziałowa. Przypatrz się. Wyraziście rysy i południowa uroda.

Górny wyprostował plecy i rozciągnął zdrętwiałe łopatki.

– Dolores Riva Ortega. – Pokręcił z niedowierzaniem głową. – Jednak przyszła.

Rajmund ponownie włączył nagranie. Zapis trwał jeszcze tylko kilka sekund, w trakcie których Dolores wyprowadziła Morawską za drzwi klatki schodowej. Po chwili na szpitalnym korytarzu znów zrobiło się pusto.

\* \* \*

– Nie bądź dzieckiem, stamtąd się nie wraca. – Sylwia przewróciła oczami i dla podkreślenia absurdalności teorii Piotrusia popukała się dodatkowo palcem w czoło. – Jak ktoś umiera, to nie włącza się już po świecie. Bajek się naoglądałeś?

Odepchnęła się nogą od podłogi. Siedziała w bujanym fotelu Julii zawinięta w koc, z termometrem wciśniętym pod pachę. Tylko co jakiś czas wystawiała stopę, by zakołysać się z nudów w tył i w przód. Piotruś zajął dywan, układając na nim kolorowe stosiki z klocków lego.

– Co wy tam wiecie o śmierci. Ciało się rozkłada, ale dusza pozostaje. Chmurka taka. – Emilia postawiła między dziećmi krzesło, a na nim tacę z herbatnikami. Obok niej stanęły dwa kubki z herbatą posłodzoną sokiem malinowym.

– Mama mówi, że ludzie są bezduszni – wtrąciła Sylwia, wyciągając rękę po ciastko. – Więc nie ma żadnej chmurki, babciu.

Emilia przysiadła na brzegu szarego narożnika.

– Oczywiście, że jest! Kiedy byłam mała, widziałam taką duszę. Dzieci widzą dużo więcej niż dorośli. Mają dar, który z biegiem lat zanika.

Piotrusiowi nie spodobała się ta reguła. Wolał myśleć, że dusza Karinki też krąży gdzieś obok niego, tylko jej na razie nie widzi.

– W takim razie ja nie chcę być nigdy dorosły. Można nie dorastać?

– Nie można, barania głowo – zaśmiała się Sylwia, pokazując w buzi rozgryzionego herbatnika. – Każdy musi dorosnąć, zestarzeć się, a potem umrzeć. Prawda, babciu?

– No... – Emilia wypuściła powietrze z płuc.

– Babcia Jagody mówi, że kobieta starzeje się, kiedy musi wkładać rajstopy na siedząco, bo na stojaka się przewróci. Ale ona nie nosi rajstop, tylko pończochy. Mówiłam ci już, że ma nowego narzeczonego?

Emilia zrobiła zniesmaczoną minę.

– Ta kobieta wstydu nie ma. Nad grobem stoi, a cały czas bierze sobie nowych gachów.

– Co to jest gach? – Piotruś podniósł głowę znad klocków.

– Brzydki pan – skwitowała Emilia. – Ale niech ich sobie bierze. Będzie miała za swoje tam, w górze. – Spojrzała znacząco na sufit. – Kobiet, które nie szanują się za życia, niebo nie uszanuje po śmierci.

Sylwia zamoczyła herbatnika w kubku z herbatą. Kawalek ułamał się i wpadł do środka. Włożyła tam dwa palce i wyłowiła rozmiękczone ciastko, po czym oblizwała ociekającą dłoń.

– Mama mówi, że nie ma ani nieba, ani piekła.

– Mhm, słuchaj matki... – Emilia zakołysała się w biodrach. – Na religię chodzisz?

– Przecież mi kazałaś.

– Dobrze. Pan Jezus kocha dzieci. A teraz pokaż termometr, boję się, czy to nie grypa.

Sylwia wyjęła spod pachy termometr i podała go Emilii. Wskazywał niewiele ponad trzydzieści siedem stopni.

– To przez to bieganie po dworze bez czapki. Rozgniotę ci czosnek. Nie krzyw się, kiedyś dzieci do pieca wkładano, jak były chore.

Piotruś na myśl o piecu znieruchomiał.

– Chcę do mamy...

– Twoja mama jest w szpitalu i nie wiadomo, kiedy wyjdzie – bąknęła Sylwia. – Baw się klockami i nie marudź. Daj starszym żyć, prawda, babciu?

– Tak, daj żyć.

Emilia wróciła do kuchni i zajęła się obieraniem ziemniaków na obiad. Sylwia zdawała się odpływać w gorączce. Bujała się w fotelu z jednym okiem zamkniętym; drugie jeszcze ostatkiem sił kontrolowało sytuację. Zanim zamknęła je na dobre, zobaczyła jeszcze, jak Piotruś składa z klocków coś podłużnego przypominającego prostokąt.

– Co to? – wymamrotała zalewana falą nadciągającego snu.

Piotruś podniósł złożoną przez siebie konstrukcję i podszedł do niej na kolanach. Na wyciągniętej ręce pokazał to, co sklecił z lego.

– Trumna. Jest dla mnie, ale chcesz, to tobie też zrobię. Takiej ładnej, jak miała Karinka, nie umiem. Ona miała białą, dla ciebie mogę zrobić kolorową.

– Zwariowałaś? – Sylwia odepchnęła rękę z trumną z klocków. – Dziwny jakiś jesteś. Nie jak normalne dziecko. Twoja siostra też taka była? Chłopiec wzruszył ramionami.

– Była niegrzeczna, dlatego umarła.

– Boże, jaki z ciebie dzieciuch!

Zabawa klockami zakończyła się wraz z podaniem przez Emilię kolejnej porcji słodyczy. Mało wiedziała o Piotrusiu, wystarczyło jednak posłuchać tego, co mówił, by serce kobiety skruszało. Podsunęła mu więc świeżo ugotowany kisiel.

– A więc powiadasz, że twoja siostra zmarła, bo była niegrzeczna? – spytała.

– Mhm – westchnął chłopiec, chwytając za pucharek. – Ale tata i tak ją kochał. Lubił ją przytulać.

– A mama?

– Mama mówiła, żeby tata zajął się mną, nie Karinką. Chłopcy powinni być z tatusiami, a nie na odwrót.

– Wolał twoją siostrzyczkę, choć była niegrzeczna?

Piotruś podrapał się po nosie; sztuczny cytrynowy aromat z kisielu dostał się do dziurki, powodując swędzenie.

– Karinka była skacząca.

– Co to znaczy?

Chłopiec przełknął kolejną łyżkę kisielu. Więcej już nie dał rady zjeść i oddał Emilii pucharek opróżniony w jednej trzeciej.

– Wszędzie biegała i robiła hałas. Tata mówił, że jest małą torpedą. To chyba dobrze być torpedą, bo tacie się podobało. Śmiał się, kiedy Karinka skakała po meblach. Wskakiwała na stół i udawała, że mdleje. Tata musiał ją łapać, żeby nie wywaliła się na podłogę. Potem robił z nią samolot pod sufitem. Mama się wtedy bardzo gniewała.

– Bała się, że twoja siostra rozbije sobie głowę – wytłumaczyła chłopcu Emilia.

– Ja nigdy tak nie latałem – westchnął z żalem.

– Ani razu?

– Ani. Może tylko dziewczynki umieją latać.

Miał już dosyć rozmowy. Starsza pani była co prawda miła i ciągle podsuwała coś do jedzenia, jednak zaczynał się nudzić. Mieszkanie nie miało ani telewizora, ani wyjścia na ogród. Nie zabrał ze sobą też swoich książek o podróżnicze Neli, a lektury szkolne Sylwii nie miały kolorowych obrazków.

– Zaprowadzi mnie pani do Dolores? – spytał nieśmiało.

Emilia zadumała się.

– Dolores, Dolores... nie znam. To kino jakieś?

– Nie. – Piotruś zaśmiał się perliście. – To przecież moja niania. Karinki też. Tylko że teraz jest zajęta, bo zmarła Josefa i trzeba zrobić pogrzeb. Była taka stara, że już prawie nic nie widziała – wyjaśnił mały. – Pojedziemy?

– Może później, po obiedzie. Pewnie chcesz ją pocieszyć? Dobry z ciebie chłopiec, choć dziwny. Sylwia ma rację, że takiego jeszcze nie widziała.

Powlókł się za Emilią do kuchni. Obiecał pomóc w przygotowywaniu kompotu z jabłek, byle tylko zaraz po obiedzie móc wpaść w bezpieczne ramiona Dolores.

– Pani jest dla mnie taka dobra – powiedział, przytulając się do fartucha Emilii.

Zaproponowała mu, żeby zwracał się do niej „babciu”, ale zaprotestował. Miał swoją własną babcię, jednak widywał ją tak rzadko, że nie pamiętał już, jak wygląda.

– Biedne dziecko... – westchnęła. – Dziadka też nie pamiętasz?

Pokręcił głową i zapytał, czy Sylwia zna swojego dobrze.



– Jak wygląda? Ma wąsy?

Emilia odłożyła obieraczkę do owoców i otrzepała dłonie nad zlewem.

– Chodź, pokażę ci.

Wyjęła z torby swoją komórkę i okulary, które nałożyła na nos. Odszukała najnowsze rodzinne zdjęcie, jakie zrobiono całej ich piątce. Stali wtedy w holu Pałacu Ślubów z kieliszkami szampana w dłoniach.

– To ja, Julia i Lidia. – Wskazała palcem na kolejne twarze. – A to dziadek.

Pozwoliła chłopcu chwycić telefon, by mógł lepiej przyjrzeć się Edmundowi. Jednak Piotruś nie patrzył na Edmunda. Nie interesowała go też żadna z elegancko ubranych kobiet. Poza jedną.

– Moja pani – wyszeptał z przejęciem, jakby zobaczył anioła. – Ja muszę...

Emilia zsunęła okulary, żeby lepiej przyjrzeć się rozrzewnionej buzi chłopca.

– Co ci, dziecko...? O jakiej pani mówisz?

Rozplakał się. Łzy ciekły po pucołowatej twarzy, ale nie wydawał z siebie szlochu. Co rusz tylko dolna warga wysuwała się, by przyjąć do buzi kolejną słoną kroplę. Wciąż patrzył na wyświetloną w telefonie fotografię. W końcu wytarł dłonią oczy.

– Znajdziesz moją drugą panią? – spytał.

Jego mokry od łez palec wskazywał na twarz Lidii.

\* \* \*

– Co z nią zrobimy? – Pilar oparła się plecami o próchniejącą ścianę starego domu przy ulicy Prozy i zaczęła nerwowo obgryzać paznokcie. Drugą ręką przytrzymała przy uchu telefon.

Jeszcze kilka godzin temu nie myślała racjonalnie. To wszystko stało się zbyt szybko, by miała czas na zastanowienie się nad sytuacją. Zaczęło się banalnie: Beata nie odbierała telefonów. Pilar przestała liczyć, ile razy Rafał próbował się do niej dodzwonić. Przez chwilę pomyślała, że robi jej na złość. Potem, że coś go opętało. Obserwowała go, jak nabuzowany chodzi od ściany do ściany i co rusz wybiera numer do swojej eks. „Wszystko spieprzyłem”, wybełkotał w końcu.

Było już ciemno, kiedy kazał jej wsiąść do auta i pojechać razem z nim na Barcicką. Nie była z tego powodu szczęśliwa, ale nie protestowała. W domu nie zastali ani Beaty, ani Piotrusia. Wtedy oszalał na dobre. Znów zaczął dzwonić, tym razem po szpitalach. Nie wytłumaczył, dlaczego akurat tam. Znalazł ją w Bielańskim, ale o tym, co dokładnie się dzieje z Beatą, nikt nie chciał mu powiedzieć. Po rozwodzie nie miał już prawa do informacji o byłej żonie. Na recepcji wymusił tylko, by powiedziano mu, czy żyje.

O wpół do jedenastej wieczorem podjechali pod blok Dolores. Gdzie mógłby podziąć się Piotruś, jeśli nie u niej?

– Gdzie jest mój syn?! – wrzasnął, gdy tylko przekroczył próg jej mieszkania.

– Nie wiem – odparła Dolores. – Pani Beata nie chciała mi powiedzieć. Dzwoniła do mnie ze szpitala, żebym do niej przyszedł w jakiejś ważnej sprawie, ale z całą pewnością nie chodziło jej o chłopca.

– Odmówiłaś?

– Jak pan wie, wczoraj zmarła moja matka. Potrzebuję spokoju.

Nigdy nie widziała go tak oszołomionego. Wyglądał, jakby z twarzy odpłynęła mu cała krew.

– Trzeba ją stamtąd zabrać... trzeba ją natychmiast zabrać... natychmiast! – powtarzał jak opętany. – Musisz nam pomóc, Dolores. Przecież wiesz, że musisz, prawda?

Był środek nocy, kiedy wrócili na Barcicką, tym razem we troje. Rafał wszedł do domu i wyniósł z niego niebieski kitel Beaty. Wyciągnął go z brudów – był na wskroś przesiąknięty dentystycznymi zapachami z uczelnianego gabinetu, w którym jego eks odbywała praktyki. Złapał też jakiś jej sweter. Potem podjechali pod szpital.

– Idź i załatw wszystko jak trzeba – powiedział krótko. – Ona tylko tobie już ufa. I jeszcze jedno: nie daj się złapać kamerze.

Dolores naciągnęła na plecy fartuch i wysiadła z samochodu. Robiła wszystko, by ominąć kamery. Tam, gdzie było to niemożliwe, zasłaniała twarz ręką i udawała, że kaszle lub ociera chustką twarz. O piątej nad ranem po terenie szpitala nie kręci się wiele osób, mimo to musiała zachować czujność.

Wykonała zadanie tak, jak jej kazał. Beata nie stawiała oporu, też chciała stamtąd wyjść. Wzdrygnęła się co prawda na widok czekającej

w aucie Pilar, ale wystarczyło szepnąć jej na ucho kilka słów, by przestała się szarpać.

– Pytałam, co z nią robimy – powtórzyła do telefonu Pilar. – Nie... wybij to sobie z głowy. Nie będę tu tkwić ani minuty dłużej. Sam jej doglądaj. Weź urlop i się nią zajmij. Leczniki, kuruj, zmieniaj opatrunki. Nie zrobisz ze mnie pielęgniarki. W ile ma wydobrzeć? W dobę? Może w pół godziny?! Ja w każdym razie zmywam się stąd. Zaczynam próby w operze. Mówiłam ci, że dostałam tę rolę? Więc nie zamierzam tracić głosu na tym zimnie. Nie panikuję! Mówię tylko, że ja swoje zrobiłam. To twoja eks, nie moja. Dzieciak też jest twój, więc kombinuj, co z nimi zrobić. Wszyscy jesteście zdrowo popieprzeni. Co...? Nie słyszę. Tak, dobrze zrozumiałeś, zostawiam ją tu, żeby zamarzła. Dołączy do grona aniołów. No i czego się drzesz? To będzie przecież takie ładne zakończenie. Znajdą ją skuloną w kącie i pomyślą, że nawiała ze szpitala i zamarzła na odludziu. Ludzie zamarzają, nie ona pierwsza i nie ostatnia. Miałbyś ją z głowy. Wyobrażasz to sobie? No już, luz... Dam jej coś ciepłego... nie wiem, koc jakiś, przecież nie grzejnik na prąd. Jedzenie? Niech ci będzie, zupa. Co? Mam ją karmić?! Wiem, że ma związane ręce. Podsunę jej miskę pod nos i niech sobie chłopcze. Nie bój się, z głodu nie umrze, najwyżej upaprze się i tyle. Zatem koc, zupa i na tym koniec. Nie mam zamiaru z nią gadać ani jej zabawiać. Posiedzi tu sobie sama i przy okazji zmadrzeje. Komu jak komu, ale jej najbardziej zależy na odzyskaniu tego smarkacza. Teraz robi wszystko. Zajrzyj do niej po robocie i wyjaśnij jej to elegancko. Kończę, kocham cię.

Wzdrygnęła się od powiewu, który przecisnął się przez wypaczone ramy okna. Zewsząd ciągnęło po nogach i plecach. Zdezelowane drzwi nadpalonego pokoju również ledwie trzymały się zawiasów. Mogła co najwyżej zatkać czymś szczelinę pod parapetem. Wyjęła z torebki paczkę chusteczek higienicznych i spróbowała wcisnąć kilka z nich tak, by przestało dąć choć odrobinę.

– No co tak patrzysz? – zwróciła się do siedzącej na składanym stołku Beaty. – Dla ciebie to robię, żebyś tu nie padła. Mam nadzieję, że się odwdzięczysz jak należy.

Morawska nawet się nie poruszyła. Śledziła tylko wzrokiem wszystko, co robi Pilar, i modliła się, żeby narzucony na ramiona sweter nie zsunął się jej z pleców, gdy zostanie tu już sama. Dopóki tamta nie przywiezie jej

czegoś do rozgrzania, będzie się telepać z zimna. Z nogami skrępowanymi w kostkach i dłońmi związanymi za plecami. I jeszcze z kawałkiem szmaty wetkniętej w usta.

– Trudno, tak musi zostać – stwierdziła Pilar, gdy skończyła uszczelnianie. – Bądź grzeczna i siedź cicho, a nic ci się nie stanie. Wiesz, że masz cholernie dużo szczęścia? Rafał jest dla ciebie za dobry, nawet swój dom ci zostawił. Ale tego nie doceniasz. No co, no co...? Co tam bełkoczesz?

Podeszła do Beaty i odsunęła skrawek szmaty od jej ust.

– Zdejmij mi to z twarzy, duszę się – usłyszała.

– Ojjoj, jak mi cię żal. Chciałabym, tylko, widzisz, nie mogę. Jeszcze zaczniesz krzyczeć i jak cię znajdą, powiesz coś głupiego. Na przykład o mnie czy o Rafale. Jakie to zabawne, on chce dla ciebie dobrze, a ty dla niego chcesz źle. Ładnie to tak? No, starczy już tego dobrego.

Zatkała jej ponownie usta, wciskając knebel na tyle głęboko, że oczy Beaty się zaszklily.

– Co to, płaczemy? – Pilar przyjrzała się Morawskiej. – Oszczędzaj łzy, bo jeszcze ci się przydadzą. A teraz się pożegnamy. Na wesoło. Do-widze... – Pilar położyła palce na krtani i wydała z siebie cichy śpiew. – Masz rację, za zimno na śpiewanie. Ja już czuję, że moje struny głosowe się wyziębiły.

Wyszła, otulając szyję wełnianą chustą. Nieoliwione od lat drzwi zgrzytnęły, po czym zapanowała cisza.

Beata poruszyła skrępowanymi rękami, chcąc trochę poluzować cienki sznurek, jednak zamiast ulgi poczuła ból. Nie było sensu szarpać się i tracić energię. Poczeka w spokoju najpierw na ciepłą zupę, a potem na niego. Przecież w końcu po nią przyjdzie.

Wciągnęła przez nos powietrze nasiąknięte wilgocią i popatrzyła przez brudną szybę na stary sad i ceglaną studnię. Wokół niej wraz z wiatrem przesuwały się puste kubki po kawie i pozrywane resztki policyjnej taśmy.

\* \* \*

Górny sięgnął po paczkę papierosów zaraz po tym, jak zamknęli za sobą drzwi szpitala.

– Mamy pobicie i uprowadzenie, czego chcesz więcej? Co ma się jeszcze wydarzyć, żebyś zrozumiała, że to nie są jednak miłe leśne elfy? Jakaś szkoła ma wylecieć w powietrze?

– Gdyby naprawdę zamierzali zrobić Morawskiej krzywdę, zrobiliby to na miejscu, w szpitalu – odparła chłodno Julia. – Udusiliby poduszką albo podali do żyły powietrze zamiast kroplówki. A jednak wyprowadzili ją pod osłoną nocy. Nie chcą się jej pozbyć. Ukradli sobie w ten sposób trochę czasu, żeby nie zdążyła założyć sprawy przeciwko byłemu mężowi.

– Zatem wszystko gra – zadrwił Adam. – Możemy spokojnie wracać do domu.

– Nie ma ofiary, nie ma zbrodni. Dopóki nie udowodnisz im, że przetrzymują Morawską wbrew jej woli, nie ma podstaw do zamknięcia kogokolwiek z tej trójki.

– Twoja pobłażliwość bywa zaskakująca. Powinniśmy skuć to całe towarzystwo z Dolores na czele.

Julia wyciągnęła rękę po tłęcego się papierosa.

– Bo przebrała się za pielęgniarkę? Czy za to, że wyprowadziła Morawską spokojnie ze szpitala? Nie zauważyłam na nagraniu, żeby przykładła jej nóż do szyi. Morawska nie stawiała oporu, ani razu się nie szarpnęła. Nie ma więc żadnego uprowadzenia.

Oddała mu spalonego peta, który od razu rzucił pod nogi i przydeptał.

– Wygląda na to, że widzieliśmy dwa różne nagrania. I że gramy do dwóch różnych bramek. Nie po raz pierwszy zresztą.

Zszedł ze schodów, nie czekając, aż Julia do niego dołączy.

– Histeria – rzuciła za nim.

Przystanął i obejrzał się za siebie.

– Co?

– Typowy objaw paranoi. Widzisz coś, co nie istnieje, i dorabiasz do tego swoją teorię. Jesteś dobrym gliną, ale zaczynasz błądzić, Górny. Prawda jest taka, że Beata Morawska wyszła ze szpitala z własnej woli i na własne życzenie. Ta cała przebieranka w szpitalny uniform była może głupia, ale potrzebna, by nikt ich nie zatrzymał.

– Mogła opuścić szpital w każdej chwili. – Górny zaczął przetrząsać kieszenie spodni w poszukiwaniu kluczyków do auta. – Za dnia i bez tej całej szopki.

– Kolejne badania i ewentualny wypis trwałyby godzinami. Jeśli komuś zależy na czasie, by odebrać mi tego chłopca... – Urwała w połowie

zdania. – Powiedz mi, dotarłeś do raportu z sekcji córki Morawskiego?

– I tak, i nie. Raport jest, ale utajniony.

– Czułam, że tak będzie – parsknęła. – Nie ma to jak zabezpieczyć się na wszystkich frontach.

– Jak rozumiem, to też nie przekonuje cię do tego, by zapuszkować tego gościa na czterdzieści osiem?

– Żadnych zatrzymań – odparła stanowczo. – Daj mi jeszcze jedną dobę. Potem zrobisz, co zechcesz.

Podeszła do niego i poprawiła mu szalik pod szyją. Zrobiła to w sposób, w jaki matka poprawia ubranie swojemu dziecku przed wyjściem na trzaskający mróz.

– Odpocznij, Górny. Jest niedziela, sklej sobie jakiś nowy okręt.

– Świetny pomysł. A ty co będziesz robić, zamiast szukać swojej siostry?

– Zajmę się przygotowaniem do przedstawienia, właśnie przyszło mi do głowy. Cokolwiek by mówić, ja też potrzebuję trochę rozrywki.

Od dawna wiedział, że życie u boku Julii nie różni się zbyt od jazdy rollercoasterem, jednak teraz wagonik z jej pomysłami wyskoczył z szyn, wzbiał się i poszybował w kosmos.

– Organizujesz teatrzyk dla tego małego? To miły dzieciak, ale radzę ci uważać z tym przywiązywaniem go do siebie. Nie zapominaj, czym jest synem. To może sprowadzić na ciebie kłopoty.

– Lubię kłopoty.

Przyjrzał się jej z zaciekawieniem i niepokojem jednocześnie.

– Chyba nie zamierzasz prehandlować go za nietykalność dla Lidii?!

– Nie handluję sześciolatkami, Górny. Oddam go bez żadnych warunków, ale nie od razu. Mam zamiar zatrzymać sobie jeszcze przez chwilę.

– Doba, i ani godziny dłużej. Nie wiem, czy dasz radę zrobić z niego przez ten czas małego braciszka dla Sylwii. Zresztą obawiam się, że twoja córka nie lubi konkurencji.

– O ile nie będzie podglądał jej w łazience, to jakoś go zniesie.

Spojrzał na nią pytająco.

– Zamek jest zepsuty – wyjaśniła krótko.

Wymuszony pocałunek na pożegnanie zakończył rozmowę. Wskoczyła do skody i ruszyła w stronę centrum.

Przyblokowała ją już na Marymonckiej. Nie było sensu przeciskać się do Śródmieścia. Zamiast tego wjechała w osiedle bloków przy Magiera. Była tu już kiedyś, gdy Sylwia zapragnęła przeobrazić się w pszczółkę Maję przy okazji balu karnawałowego organizowanego przez jej przedszkole. Zakomunikowała o tym w niedzielę rano, niecałą dobę przed imprezą. Punkt przy Magiera jako jedyny w mieście był otwarty w weekend, co uratowało im skórę.

Kolorowy szyld wbity w krawężnik stał tak jak dawniej. Niewymieniany od lat poster przedstawiający chłopca przebranego za Batmana wypłowił na słońcu i wyglądał nad wyraz marnie.

Zaparkowała przy krawężniku. Lokal znajdował się na parterze i sąsadował przez ścianę z pracownią fryzjerską. Na jednej wspólnej wystawie stały gumowe głowy z wyfiokowanymi włosami, a tuż obok manekiny ubrane w stroje Kleopatry, księżniczki Fiony ze *Shreka* i Robin Hooda.

Pchnęła zakratowane drzwi. Już od progu czuć było w powietrzu nieznośny zapach ubrań dezynfekowanych chemią. Pomieszczenie podzielone było na trzy strefy: damską, męską i dziecięcą. Nad długimi rzędami wieszaków wisiły plansze z informacjami o rozmiarach.

– Witamy w Baśniowej Krainie – usłyszała miły kobiecy głos.

Młoda kobieta z obsługi też była przebrana. Miała na sobie historyczny kostium Greczynki lub Rzymianki; niewprawne oko nie dostrzegało różnicy. Niemniej biała tunika przepasana złotym paskiem pod biustem wyglądała świeżo i efektownie. Całości dopełniała tiara ze sztucznego złota, przytrzymywana na głowie przez dwie duże spinki.

– Dla pani czy męża? – spytała, stając przed rozglądającą się Julią. – Bo jak dla pani, to polecam coś wyjątkowego. Mamy świeżutką Marię Antoninę, jeszcze nieużywaną. Dla pani jak znalazł.

Nie czekając na odpowiedź, zniknęła między wieszakami i wróciła z niebieskim frou-frou obszytym białymi koronkami na spódniczce ledwie zakrywającej uda i na zwiewnych rękawkach.

– Do tego jest peruka i mały diadem z brylancikami i piórkiem. I jeszcze pantofle na obcasie.

– Raczej nie...

– Mąż oszaleje, jak panią zobaczy. Nie chcę nic sugerować, ale takie stroje to... – Kobieta cmoknęła w powietrze. – Wystarczy tylko dokupić białe pończochy.

Wyjęła z foliowego worka skąpą sukienkę i przyłożyła do Julii, po czym okręciła ją przodem do stojącego zaraz przy wejściu wielkiego lustra.

– Sam seks. – Pokiwała z zadowoleniem głową. – Chyba to pani widzi.

Julia nie mogła się nie zgodzić. Docisnęła sobie sukienkę do brzucha.

– Nieźle – potwierdziła. – Ale szukam czegoś dla dziecka.

Grzeszny strój Marii Antoniny powędrował do worka. Kobieta odwiesiła go na haczyk przy lustrze.

– Dziecięce też mamy, od bajek po komiksy. Wszystko jest na wieszakach, proszę się rozejrzeć. Proszę się nie śpieszyć.

Julia weszła między rzędy. Pochowane w workach ubrania trudno było ocenić. Jedne wyglądały na zbyt małe, inne na zbyt szerokie. Kręciła się tam i z powrotem. Wiedziała, czego szuka, jednak masa strojów ją przytłaczała.

– Nie pani pierwsza ma z tym problem, ale zaraz coś na to poradzimy – usłyszała zza wieszaków. – W komputerze mam cały katalog, może w ten sposób będzie łatwiej.

Kobieta posadziła Julię za ladą z monitorem i otworzyła plik ze zdjęciami. Teraz poszło o wiele szybciej. Spośród dziesiątek strojów oferowanych przez wypożyczalnię znalazła ten, o który jej chodziło. Był idealny.

– Może go pani trzymać trzy dni. Jeśli na dłużej, trzeba dopłacić. Za dwa stroje zniżka dwadzieścia procent.

– Trzydzieści. Jest już po karnawale.

Wyszła z Baśniowej Krainy z paczką przewiązaną wstążką w print z Kaczorem Donaldem. Trzy dni na skorzystanie z dziecięcego stroju powinny wystarczyć. Nie zamierzała ciągnąć sprawy śmierci Aleksandry Majewskiej i Eleny Sawczuk w nieskończoność. Zwłaszcza że po obejrzeniu nagrania ze szpitalnego korytarza wszystko zaczęło układać się w jej głowie w logiczną, choć szaleńczą całość. Górny wciąż tego nie widział, patrzył na przesuwające się na jego oczach obrazki jak na coś oczywistego, podczas gdy nic tu nie było oczywiste.

Mylił się, tak samo jak wtedy, gdy powiedział, że nie grają z Julią do jednej bramki. Grali, jednak każde po swojemu i według własnej strategii.

\* \* \*



Kiedy wbiegała po schodach na trzecie piętro, Edmund stał już w drzwiach. W krzywo zrobionym na drutach swetrze i z nieogoloną twarzą wyglądał jak bezdomny.

– Wejdz, dziecko. – Wpuścił Julię i zamknął za nią drzwi. – Nawet nie wiesz, jak się cieszę.

Uwierzyłyby, gdyby w jego głosie wybrzmiała choć jedna nuta radości. Powitanie zabrzmiało jednak jak oklepana formułka, którą należy powiedzieć.

W mieszkaniu Lidii było przygnębiająco cicho. Nie grało radio ani telewizor. Nie widać też było, by Edmund czytał jakąkolwiek gazetę czy książkę. Zamiast tego w oczy rzucała się od razu odsunięta firanka w balkonowym oknie i dostawiony do szyby stół.

– Jak ci tu jest? – spytała ojca, kładąc torbę na kanapie. Zdjęła z ramion płaszcz i rozsypała chustkę spod szyi.

– Czekam, choć sam już nie wiem na co – odparł gorzko. – Zjesz coś? Matka zostawiła słoiki.

Nie miała ochoty na nic.

– Dobrze, że tu zagłąda – pochwaliła Emilię. – Słyszałam, że sąsiedzi z góry też nie pozwalają ci się nudzić. Poznałam ich, to mili ludzie.

Wzruszył ramionami. Usiadł na kanapie obok Julii i zapatrzył się w splot na dywanie.

– Nie sądziłem, że kiedyś przyjdzie mi to powiedzieć, ale... Chyba jestem już na to gotowy. Rozumiesz mnie? – Podniósł na nią oczy. – Gdyby twoja siostra żyła, zrobiłaby wszystko... dałaby jakikolwiek znak. Milczą tylko umarli. Teraz chcę jedynie móc ją pochować. To chyba niewiele?

– Mam kilka nowych informacji...

Edmund położył rękę na dłoni Julii i zacisnął na niej palce.

– Nie mam do ciebie pretensji. Zrobiłaś tyle, ile mogłaś.

Poluzował uścisk i przymknął powieki. Był półżywy ze zmęczenia i jak przypuszczała – z głodu.

Wyswobodziła rękę i wstała z kanapy pod pretekstem nalania sobie wody. Tak naprawdę chciała jedynie sprawdzić w kuchni, czy zjadał przywożone przez matkę obiady. Zanim wyszła z pokoju, omiotła wzrokiem regał i półkę, na której stały fiołki z lekami ojca. Krople nasercowe i waleriana na sen.

Słoiki z mięsem i ogórkową stały w lodówce niemal nietknięte. Wędlina w otwartych paczkach schła, pod uchylonym wieczkiem serka

homogenizowanego zaczęły tworzyć się załączki pleśni.

Odkręciła kran, udając, że napełnia szklankę. Nawet po nią nie sięgnęła. Trzasnęła tylko drzwiczkami szafki, a potem poruszyła brudnymi kubkami zalegającymi w zlewie. Pozory. Wszystko tu było pozorem. Pozorna radość z odwiedzin i pozorny spokój. Tylko cierpienie ojca było prawdziwe.

Kiedy wróciła do pokoju, drzemał ułożony na boku z twarzą wtuloną w małą poduszkę. Dawka tabletek nasennych, które zażył na krótko przed jej przyjściem, właśnie zaczęła działać. Przykryła go swoim płaszczem.

Nie chciała jeszcze wracać do siebie, czuła niedosyt rozmowy z ojcem. Dla zabicia czasu postanowiła zajrzeć do mieszkania Majewskiej, by sprawdzić, czy jej rodzina zabrała ze sobą opuszczonego chomika. Klucze wciąż miała przy sobie; wystarczyło wbiec po schodach na górę i przekręcić zamek.

Policyjna plomba pozostawiona przez techników zwisała z drzwi. Została albo źle przyklejona, albo oderwana przez rodzinę Majewskiej, która weszła tu, by przenocować.

Julia wślizgnęła się bezszelestnie, pomna tego, że przewrażliwiona na każdy ruch pani Ryłska może znów podnieść alarm.

Zajrzała najpierw do salonu. Nic nie wskazywało na to, że coś się zmieniło od jej ostatniej wizyty. Kanapa była nienagannie przykryta narzutą, ozdobne poduszki leżały na swoich miejscach. Niepodlane kwiaty usychały w doniczkach. Było pewne, że bliscy Aleksandry nie zatrzymali się tu na dłużej, niż to było konieczne. Może przyszli tylko po kilka jej rzeczy niezbędnych do przygotowania pogrzebu. Po bieliznę i czarną sukienkę. Wypili herbatę, przegryźli coś i wyszli. Woleli nie zostawać tu na noc, by nie cierpieć w tej przygnębiającej atmosferze jeszcze bardziej.

Przede wszystkim musiała sprawdzić, co z chomikiem. Weszła do sypialni. Klatka wciąż tam stała, zwierzak siedział w kącie zagrzebany w pryzmie z wiórków. Oddychał płytko, ale żył. Spojrzała na pusty pojemnik na ziarno i opróżnione poidło. Jego dno pokryte było jedynie cienką warstwą zmętniałej wody. Trociny wyściełające klatkę nie były zmieniane od tygodnia; pomiędzy nich wystawały czarne bobki.

Nachyliła się nad klatką.

– Jednak cię tu zostawili – powiedziała. Chomik poruszył się i podniósł na nią koralikowe oczy. – Pewnie nawet nikt nie zauważył, że tu jesteś. Nie bój się, nie dam ci umrzeć z głodu. Ale najpierw trochę tu posprzątam. Twój apartament przypomina miejski wychodek, kolego.

Wyszła do kuchni po kosz, by wyrzucić brudne wióry. Stała w drzwiach i rozejrzała się po kątach. Na szafce pod zlewem wciąż widniały zastygłe ślady krwi, podobnie jak na podłodze i oknie. Gdyby bliscy Majewskiej wpadli tu choćby na chwilę, nie pozostawiliby mieszkania w takim stanie.

Otworzyła jeszcze lodówkę. Kilka dni temu włożyła do niej zawartość paczki z FreshMarketu, myśląc, że rodzina kobiety z tego skorzysta. Założyła więc teraz, że jedzenie pozostało nietknięte. A jednak części artykułów nie było. Zniknęły owoce, paczkowana wędlna i masło. Chleb też. Pamiętała, że kładła go na dolną półkę, tuż nad pojemnikiem na warzywa. Pozostało tylko kilka jaj i hermetycznie zamknięta polędwica wołowa.

Długo patrzyła na ogołoczone półki, próbując zrozumieć, co tu zaszło. W końcu zamknęła chłodniarkę i wróciła do pokoju po klatkę z chomikiem.

Zdażyła zejść do mieszkania Lidii, zanim Edmund obudził się z drzemki. Podgrzała ogórkową i postawiła parujący talerz w salonie. Potrząsnęła ojca za ramię, a gdy oprzytomniał, posadziła go przy stole. Przymuszony machnął kilka razy łyżką, ale widać było, że nie ma ochoty ani na jedzenie, ani na rozmowę.

– Nie musisz mnie pilnować, Julia. Nie jestem dzieckiem. Dlatego powiedz matce, żeby tu nie przychodziła. Ty też nie powinnaś. Nie chcę teraz nikogo widzieć. Powtórz jej to, wytłumacz jakoś.

Julia poklepała staruszkę po ramieniu.

– Wytłumaczę. Pod warunkiem że nie wrócisz do głodówki, kiedy tylko zamknę za sobą drzwi.

Na odczepnego kiwnął głową.

– I zajmij się nim. – Wskazała na chomika. Zwierzak przyssał się do pojemnika z jedzeniem, jakby bał się kolejnej fali głodu.

Musiała zostawić ojca i wrócić do domu. Czekają na nią dwoje innych ludzi, w tym córka z gorączką. Po drodze wstąpiła do apteki po syrop na chore gardło.

Niemal minęła się pod blokiem z matką. Emilia wychodziła właśnie z klatki schodowej, trzymając za rękę Piotrusia.

– Mały chce do dziadka – zakomunikowała, nim Julia zdążyła otworzyć usta. – Pomyślałam, że mała wycieczka dobrze nam zrobi.

– Dziadka boli głowa, właśnie się położył – odparła głośno Julia, po czym syknęła do matki: – Masz nie wyprowadzać go z domu bez mojej wiedzy. Poza tym ojciec nie chce nikogo widzieć.

– Wiesz, że muszę go kontrolować – zaperzyła się Emilia.

– Nie musisz. Ma jedzenie i tabletki.

– Ale...

– Jest tam sam, jeśli o to ci chodzi – dodała Julia na wypadek, gdyby matce zaczęło chodzić po głowie, że z mieszkania Lidii ojciec zrobił miejsce schadzek z Heleną.

Odebrała jej Piotrusia i wcisnęła kod w domofonie. Był zepsuty, po raz kolejny w tym miesiącu.

Emilia nie chciała już wracać na dziewiąte piętro. Zacisnęła jesionkę pod szyją i podreptała w kierunku przystanku autobusowego. Rozczarowany Piotruś posłusznie ruszył za Julią do windy.

Gardło Sylwii wyglądało gorzej niż rano. Julia rozpuściła w kubku musującą aspirynę, a na dokładkę podała córce łyżkę syropu.

– Ohyda. – Sylwia wykrzywiła się, jakby przez jej przełyk przepłynął zjełczały olej wymieszany z cukrem. – Chyba zaraz zwymiotuję.

– Ja mogę za ciebie wypić, ja lubię lekarstwa – zaoferował się Piotruś.

– No to pij, mały głupku. To ty musiałeś mnie zarazić. Byłam zdrowa, dopóki się tu nie sprowadziłeś.

Trzeba było ich rozdzielić. Po pierwsze, po to, żeby za chwilę nie wybuchła epidemia. Po drugie, Sylwia zaczynała być agresywna. Po fazie słodkiego aniołka znów przysłała faza nienawiści do całego świata, a zwłaszcza do Bogu ducha winnego chłopca.

Julia wyprowadziła córkę do jej pokoju i rzuciwszy jej gromiące spojrzenie, zamknęła drzwi zielonego pokoju.

– Zwykle nie jest taka, nie przejmuj się. – Zmierzwiała włosy na głowie Piotrusia. – Jak tam twój statek, wyspał się razem z tobą?

Chłopiec podbiegł do swojego skarbu i przytulił, jakby prezent od Górnego był miękkim króliczkiem.

– Pokazałem go Karince.

– Była tu?

– Cały czas tu jest. Chodzi sobie po domu i wszystko ogląda. Pani Emilia powiedziała, że dzieci mogą widzieć zmarłych, ale... ale ja jej nie widzę. Może jak znajdę moją panią, to ją zobaczę.

– O jakiej pani mówisz, Piotrusiu?

Wskoczył na bujany fotel i zakołysał się, trzymając okręt na kolanach. Musiał się nad czymś zastanawiać, bo nie odpowiedział od razu.

– O pani ze zdjęcia – pokiwał z przejęciem głową. – Tylko ona mi pomoże. Ja muszę pójść do mojej pani!

Oczy mu się zaszklily. Julia przykucnęła przy fotelu i objęła drobne ciało dziecka ramionami.

Popłakiwanie chłopca wywabiło z zielonego pokoju Sylwię. Stała w drzwiach zawinięta szczelnie w swój różowy szlafrok z króliczymi uszami przy kapturze.

– Babcia pokazała mu zdjęcie w telefonie – wytłumaczyła Julii, kaszląc. – Zwariował, jak je zobaczył, i zaczął lamentować, dzieciuch jeden. – Przewróciła pogardliwie oczami.

Julia oderwała ręce od Piotrusia.

– Co to za zdjęcie?

– No ze ślubu babci i dziadka. Powiedz mu, żeby wreszcie przestał wyć!

– Widziałaś je?

– Mamo, jak ty nic nie ogarniasz... No jak mogłam nie widzieć? To ja byłam tam fotografem, pamiętasz? Babcia kazała mi robić zdjęcia, żeby potem mogła je wrzucić na Facebooka i chwalić się kuzynkom i sąsiadkom. Ale nic nie wrzuciła, bo... wiadomo.

– Nikt nie miał do tego głowy.

– No co ty, mamu. Babcia powiedziała, że ma za dużo zmarszczek i że muszę jej wyprasować twarz, zanim wstawi post ze zdjęciem. Ale ja nie znam się na Photoshopie. Więc babcia obiecała, że mi kupi, bo chce być młoda i szczupła. Babcia myśli, że Photoshopa kupuje się w sklepie – dodała, marszcząc łajdacko nos.

Julia czuła, że zaraz eksploduje jej głowa.

– Pokaż mi to zdjęcie. – Wyciągnęła rękę, żądając wydania telefonu.

Piotruś wreszcie zamilkł wpatrzony w to, jak Sylwia szuka w telefonie fotografii.

– Tam jest moja druga pani – powtórzył, kręcąc się niecierpliwie w bujanym fotelu. O mały włos, a okręt zsunąłby się z jego kolan i uderzył dziobem o podłogę. Przytrzymał go w ostatniej chwili, łapiąc za najwyższy maszt. – To pani z naszej zabawy, ale nie mogę o tym mówić.

Wolną dłoń położył sobie na twarzy i przytrzymał ją przez chwilę.

– To taki symbol tej twojej gry? Trzymanie ręki na buzi? Kto cię tego nauczył?

– Nikt – wymamrotał chłopiec spomiędzy palców.

– Ktoś musiał.

– Nie, to ja sam. Bo wszystko widziałem.

– I bałeś się patrzeć? Dlatego chowasz twarz? – dopytywała Julia. – To, co widziałeś, było aż tak straszne?

– Wcale nie było straszne, bo to przecież zabawa. Bawiłem się w nią z Josefą i moimi paniami.

– Ta zabawa ma jakąś nazwę, Piotrusiu?

Wreszcie oderwał dłoń od twarzy.

– No pewnie, każda zabawa ma nazwę. Nasza nazywa się „Do trzech pań sztuka”. Jedna pani już była, i druga też. Ale nie pobawiliśmy się do końca. To przeze mnie, bo nie powiedziałem jej wszystkiego, tylko trochę.

– Mnie nie możesz tego powiedzieć?

Chłopiec pokręcił głową.

– Nie mogę. Ty nie grasz w naszą grę. Powiem tylko mojej drugiej pani. Zaprowadzisz mnie do niej?

Znów zbierało mu się na płacz. Kołysał się na pośladkach na boki, jakby nie mógł już dłużej wysiedzieć w miejscu.

– Pokażę ci coś. – Julia zostawiła go na chwilę w fotelu i poszła do kuchni. Z dolnej szuflady, w której trzymała dokumenty i inne drobiazgi, wyjęła swoją wysłużoną latarkę. – Widziałeś kiedyś taką?

Oczy chłopca zaświeciły się. Jego własna, za pomocą której uczył się alfabetu Morse’a, wyglądała przy tej jak dziecinna zabawka.

– Policyjna? Prawdziwa?

– Najprawdziwsza. Twój tata też pewnie taką ma.

Piotruś wydał usta.

– Tata nie pozwala mi się bawić swoimi rzeczami. Mogę potrzymać?

Okręciła doczepiany pasek latarki wokół drobnego nadgarstka chłopca, by nie wyslizgnęła mu się z dłoni, po czym zasunęła zasłony w oknie. Podtrzymując rękę Piotrusia, wcisnęła guzik ze światłem

stroboskopowym. Patrzyła, jak buzia dziecka jaśnieje z sekundy na sekundę.

– Mam dla ciebie coś jeszcze. – Julia przytwierdziła do szybki nakładkę sygnalizacyjną w kształcie długiego stożka. – Teraz jesteś prawdziwym policjantem.

Piotruś promieniał.

– Mogę zatrzymywać samochody na ulicy!

– Twoja siostra byłaby z ciebie dumna. Może chcesz jej coś powiedzieć? Albo mam lepszy pomysł. Wyślesz wiadomość do drugiej pani, chcesz?

– Tę, której nie dokończyłem? – zapytał z nadzieją.

– Właśnie. Ja nie mogę jej usłyszeć, bo złamałbyś zasady gry.

– Nie możesz – potwierdził chłopiec i od razu zacisnął usta.

– Ty natomiast możesz ją pokazać. I do tego taką latarką!

– Pokazywanie to nie mówienie? – zaciekawiał się Piotruś.

– Oczywiście, że nie.

– Bo Josefa może się gniewać. Ona pewnie też tu jest i wszystko widzi.

– Josefa i Karinka będą tylko pilnować, żebyś dobrze pokazywał. Ale nic nie mówił. – Julia położyła palce na ustach i przekreśliła je, jakby zamykała buzię na kłódkę. – Wszystko pokażesz na tej czarnej ścianie, a ja to nagram i pokażę drugiej pani. To będzie taka tajemnicza zabawa, zgoda?

Kiwnął głową. Zabawa, na dodatek tajemnicza, bardzo mu się spodobała.

Julia odłożyła na bok „Czarną Perłę” i zamiast niej wsunęła chłopcu do ręki jego kartkę z kodami Morse’a. Sama usiadła obok na podłodze, włączając kamerę w telefonie.

Nie chciała go popędzać. Chłopiec ułożył się najpierw wygodnie na kanapie, robiąc koło siebie miejsce dla niewidzialnych siostry i starej Josefy. Nawet podsunął im poduszki pod plecy. Na pewno były przy nim; Julia z wyrozumiałością przesunęła się nieco dalej, by mogły trzymać swobodnie nogi. W końcu Piotruś skierował policyjną latarkę na ścianę. Światło początkowo tylko po niej błędziło, potem nastąpiły pierwsze próby włączania i wyłączania żarówki. Kiedy chłopiec był już gotowy, zatopił wzrok w swojej ściągawce z kropkami i kreskami.

Julia nie poruszała się, żeby go nie rozproszyć. Nie chciała też, by pomyślał, że podgląda to, co pokazuje na ścianie. Chwyciła jakiś plotkarski

magazyn i zaczęła dla niepoznaki go kartkować. Kątem oka widziała, jak skoncentrowany, pomaga sobie, szepcząc coś pod nosem. Szło mu opornie, mylił się co chwila i poprawiał, ale brnął przez kolejne litery, naciskając guzik latarki. Ciszę panującą w mieszkaniu przerywało jedynie ciche klikanie włącznika.

Na dworze zaczynało już zmierzchać. W półmroku, jaki zapanował w pokoju, ostre światło latarki odbijało się od ściany i rozpiezchało po zasłonach i suficie. Chłopiec pisał jednak dalej, nie bacząc ani na zapadającą ciemność, ani na ból kciuka, który zaczynał mu dokuczać od ciągłego przyciskania włącznika. Kiedy skończył, odłożył latarkę na bok.

– Już – powiedział zmęczony, ale szczęśliwy. – A teraz wyślij to, co napisałem, do pani Lidii. Ale ty nie patrz, tobie nie można – przypomniał.

– Nie będę. Obiecuję.

Wyłączyła nagrywanie. Podciągnęła się z podłogi i usiadła obok chłopca. Karinka i Josefa były zmuszone przenieść się gdzie indziej. Chłopiec wgramolił się Julii na kolana i pilnował tego, co pisze w swoim telefonie.

– Mów na głos – zadyrygował.

– „Droga Lidio...” – zaczęła pisać Julia.

– Pani Lidio – poprawił ją natychmiast oburzony. – Trzeba ładnie mówić.

– Masz rację. „Droga pani Lidio. Piotruś przesyła pani wiadomość, którą musi pani szybko odczytać, żebyście mogli bawić się dalej. Czekamy na pani odpowiedź”. Tak może być?

Kiwnął rezolutnie głową. Zanim zdążył zmienić zdanie, wysłała treść esemesa razem z nagraniem.

– Myślisz, że druga pani zna tajemniczy szyfr? – zaniepokoił się nagle.

Zapewniła, że treść wysłana alfabetem Morse’a zostanie rozszyfrowana przez odbiorcę. Nie dodała jedynie, że wysłała ją nie do swojej przyrodniej siostry, lecz prosto na telefon Górnego.

\* \* \*

Wyniki z laboratorium przysły przed dwudziestą. Górny zadzwonił, gdy Julia pakowała torbę z rzeczami Sylwii, która nie dość, że kaszłała, to na



dodatek wciąż dokuczała Piotrusiowi. Jedynym rozsądnym rozwiązaniem było odwiezienie jej do matki na Saską Kępę, gdzie będzie mieć całodobową opiekę i pełną izolację w swoim dawnym pokoju.

– Chodzi o odciski butów – zaczął Górny. – Chłopcy z technicznego zrobili nadgodziny, próbując dopasować podeszwy do zdjętych śladów.

– No i?

– Te trepy, które znaleźliśmy w mieszkaniu Morawskiego, to całkowita porażka. Nic się nie zgadza: zdarcia, pęknięcia i rysy na podeszwach.

– Od razu wyglądały mi na nowe. Zanim but się zedrze, a bieżnik popęka, potrzeba czasu.

– Prawdę mówiąc, też nie wierzyłem w to, że Morawski poświęciłby tak porządne buty, by ciągnąć w nich ciało po lesie. W końcu od czego ma się stare? Starych nie szkoda. Morawskiemu też nie było szkoda starych. Te, które znaleźliśmy w domu przy Barcickiej, to już całkiem inna historia.

– Mów.

– Co mam mówić, Julia? Jesteśmy w domu. Stuprocentowa zgodność. Swoją drogą zastanawiam się, jakim trzeba być idiotą, żeby się ich nie pozbyć.

– Właśnie...

– Wygląda na to, że nasz przyjaciel lubi kolekcjonować dowody własnych zbrodni. Prawdopodobnie miał zamiar użyć ich ponownie, przecież czekała na niego jeszcze jedna ofiara. Mam też wynik badania podłogi garażu. Znaleźliśmy plamę z moczu. Niestety, laboratorium nie użyje jej do zbadania DNA.

– Do tego trzeba krwi albo śliny. Co z tym, co ci wysłałam po południu? – spytała Julia, ściszej głoś.

Piotruś co prawda nie podsłuchiwał, jednak wolała nie mówić wprost.

– Masz na myśli tego dziwnego esemesa z nagraniem? To jakiś stek bzdur, nic z tego nie rozumiem. Kupy się nie trzyma. To był twój pomysł z tą zabawą w światełka?

– Mój. Przyślij mi to, co masz. Może ja coś z tego wyciągnę.

– Wątpię. Szymański biedził się nad tym i pocił. Chyba pierwszy raz w życiu usłyszałem, jak ładnie umie przeklinać. Przeszedł inicjację w wyrażaniu własnych uczuć.

– Wreszcie stał się mężczyzną? – Julia uśmiechnęła się na myśl o zawsze ugrzecznionym młodszym koledze, który do tej pory nie skalał się

obelżywym słowem. – Nie raz jeszcze z tych bluzgów przyjdzie mu skorzystać.

– Oby, nie ma to jak sobie ulżyć – przytaknął skwapliwie Górny. – Na pewno chcesz to zobaczyć?

– Jak najszybciej – potwierdziła Julia. – A! I szykuj się na jutro.

– Organizujesz dla mnie coś specjalnego? – Usłyszała mruczenie w słuchawce.

– Tak. Zapraszam cię na garden party u Morawskich. Bądź na miejscu o czwartej po południu.

Rozłączyła się, nie czekając, aż popłynie rzeka pytań. Nie miała czasu na wyjaśnianie, zwłaszcza że Sylwia stała już całkiem purpurowa na twarzy, okutana w kurtkę i z czapką na głowie. Piotruś też zaczynał się pocić. Złapała torbę z ubraniami córki i zamknęła za nimi drzwi. Miała coraz mniej czasu, by zrobić kurs do matki i wrócić na Czerniakowską, zanim zapadnie noc. Tym bardziej że musiała jeszcze przećwiczyć przedstawienie, jakie planowała zorganizować.

## ROZDZIAŁ XII

PONIEDZIAŁEK, 26 MARCA 2018

**T**eraz akurat cię naszło?! – Chwycił Pilar pod ramiona i ściągnął ją sobie z bioder. – Schodź ze mnie, no już.

Kobieta od niechcienia poprawiła podciągniętą powyżej piersi halkę, po czym opadła na swoje miejsce na łóżku.

– O co ci chodzi? Przecież wiem, że lubisz z rana – odparła urażona. – Jakoś do tej pory nie narzekałeś.

Podłożył sobie ramię pod głowę. Drugą ręką sięgnął po paczkę papierosów leżącą na nocnym stoliku i po zapalniczkę. Zaciągnął się dymem.

– Chcesz uprawiać seks przy niej? – Wskazał głową ścianę dzielącą ich sypialnię od salonu. – Powinnaś mieć nieco więcej taktu.

– Ty natomiast masz go chyba za dużo. Było jej tu nie sprowadzać!

– Serio, Pilar? Miałem zostawić ją na noc w tamtym walącym się domu?

– Ależ skąd! Lepiej było zrobić z naszego mieszkania hotel dla porzuconych żon – zadrwiła. – Szkoda tylko, że wcześniej nie zapytałeś mnie o zdanie.

Kłęb dymu uniósł się nad ich głowami. Rafał przekręcił się, wypatrując popielniczki. Stała na stole pod oknem. Chcąc nie chcąc musiał się podnieść i zrobić kilka kroków. Do łóżka już nie wrócił.

– Nic ci do niej – zachnął się. – I mów ciszej, tu są papierowe ściany. W drugim pokoju wszystko słychać.

– I bardzo dobrze, niech słyszy!

Pilar zsunęła stopy na miękki dywanik pod łóżkiem. Odszukała poranne pantofle, po czym stanęła za plecami kochanka i objęła go w pasie.

– Nie dąsaj się – zamruczała. – Chciałam się trochę rozluźnić przed pogrzebem babki, a niewinne pieszczoty zwykle pomagają się rozładować.

Rafał poklepał ją dobrodusznie po dłoniach, które zacisnęły się na jego brzuchu.

– Mogę zrobić coś w zamian? – spytał.

Rozplotła ręce i poruszyła znacząco serdecznym palcem prawej dłoni.

– Wiesz, czego od ciebie chcę. Gdybym to dostała, jakoś przeżyłabym ten okropny dzień. Nie masz pojęcia, jak nienawidzę cmentarzy i tych żałobnych obrzędów.

Wyswobodził się z jej objęć. Podeszedł do okna, by otworzyć skrzydło i przepędzić dym z pokoju.

– Zajmę się pierścionkiem, jak już będzie po wszystkim – odparł. – Teraz skupmy się na pożegnaniu Josefy.

– Co jedno ma wspólnego z drugim?

– Chociażby to, że nikt w takiej sytuacji nie ogłasza zaręczyn.

– Niczego nie musimy ogłaszać, przynajmniej na razie. Zrobimy to dyskretnie i po cichu. Ale na pogrzebie chcę mieć na palcu pierścionelek.

– Odsuść, Pilar...

– Nie mam takiego zamiaru. Była umowa, więc jej dotrzymaj. Robiłam, co chciałeś, a teraz mówię „sprawdzam”. Radzę ci, żebyś mnie nie robił dłużej w balona. Bo inaczej...

– Bo inaczej co?

Zacisnęła usta w poziomą kreskę.

– Za złamane obietnice kobiety potrafią się odwdzięczyć w wyjątkowo paskudny sposób. By tak się nie stało, zakup pierścionka wydaje się niewielką ceną. Więc przemyśl sprawę. Jakby co, sklepy jubilerskie otwierają się o dziesiątej. Zdążysz przed pogrzebem.

Usłyszeli szmer dobiegający zza ściany. Beatę musiała obudzić poranna pyskówka, bo zaczęła krzątać się po kuchni. Pilar szybkim ruchem wyjęła z komody slipy Rafała i rzuciła nimi w kochanka.

– Ubierz się, nie będziesz przecież paradował przed nią nago. Skoro od rana udajesz cnotliwego, bądź taki do końca. Małżeństwem już nie jesteście.

Sama wyszła z sypialni tak, jak stała, w kusej halce. Prężenie przed Morawską jędrnego ciała było jej popisowym numerem. Beata pozostała jednak niewzruszona. Zacisnęła na piersiach sweter pożyczony od Pilar i wstawiła wodę na kawę. Gdy zabułgotała, zalała wrzątkiem dwa kubki

z rozpuszczalnym jacobsem i dopełniła je mlekiem z lodówki. Jeden podsunęła Rafałowi, w drugim sama zanurzyła usta.

– Nie umiesz liczyć do trzech? – warknęła Pilar. – Ja też tu jestem.

Nie doczekała się odpowiedzi. Beata przysiadła z kubkiem w dłoni na obrotowym stołku – jedynym, jaki stał przy kuchennej wysepce.

– Jak twoja głowa? – spytał ją Rafał.

Potała odruchowo rozbite czoło.

– Ten pomysł, żeby zawieźć cię do starej chaty, nie był najmądrzejszy – przyznał. – Ale musiałem to sobie wszystko przemyśleć.

– Wiem. – Beata spojrzała mu przenikliwie w oczy. – Przez chwilę bałam się, że przyjdzie mi tam spędzić całą noc. Dziękuję, że mnie stamtąd zabrałeś. Ale teraz odwieź mnie już do domu. Możesz to dla mnie zrobić, kochanie?

Powiedziała „kochanie”? Kolejny policzek, tym razem słowny, zabolął Pilar jeszcze bardziej. Mimo to ani drgnęła. Stała oparta o blat niczym marmurowy posąg.

Rafał upił dwa łyki kawy, po czym wyjął z szafy w przedpokoju czystą koszulę i sweter wciągany przez głowę. Jego ruchy, kiedy się ubierał, były zadziwiająco spokojne. Oboje z Beatą zachowywali się, jakby ta sytuacja była zupełnie normalna.

Pilar poczuła się nieswojo. Zachowanie, zwłaszcza Beaty, było zdumiewające. Jeszcze dwa dni temu leżała w szpitalu z rozbitą głową, a teraz sączyła poranną kawę z taką swobodą. I to w mieszkaniu swojego byłego męża i jego kochanki. Musiała przecież słyszeć, co robili w łóżku kwadrans temu. Do seksu wprawdzie nie doszło, ale kilka głośniejszych jęknięć wyrwało im się z gardeł. Udawała, że śpi? Która normalna kobieta byłaby w stanie znieść takie upokorzenie i udawać, że to poranek jak każdy inny?

– Możesz mi pomóc? – Rafał wyciągnął w stronę Beaty nadgarstek z niezapiętym guzikiem u mankietu.

Odstawiła swój kubek i chwyciła rękaw jego koszuli. Od zawsze miał problem, by jedną ręką trafić guzikiem w dziurkę.

– Pora zacząć przygotowania do pożegnania Josefy – powiedziała. – Ogród wymaga dużo pracy, a czasu coraz mniej. Poczęstunek, choć skromny, też musi być.

– Razem z Pilar we wszystkim pomożemy. Prawda, Pilar?

Kobieta dopiero teraz drgnęła. Odgarnęła rude włosy z ramienia i wykonała pretensjonalny gest dłonią.

– Nie znam się na pieczeniu żałobnych ciast. Kto w ogóle wpadł na ten pomysł z pożegnaniem, ty czy moja matka?

– Jakie to ma znaczenie? – Rafał rozłożył ręce w pytającym geście. – Josefa była ważna dla nas wszystkich, dla moich dzieci też. Dlatego uczcimy jej pamięć tak, jak na to zasługuje. Jeśli nie chcesz pomóc w kuchni, twoja sprawa. Zrobisz w takim razie co innego.

– Tylko mi nie mów, że mam razem z matką grać na kastanietach, jak wtedy, na pogrzebie twojej córki.

– Jeśli tylko Dolores sobie tego zażyczy, to będziesz grać choćby do nocy. Na razie wybierz jakąś pieśń żałobną i poćwicz przed występem.

Pilar roześmiała się.

– Mam przygotować recital? Nie mam na to czasu. Pod wieczór ruszają próby w operze. Muszę się przygotować.

Rafał przeszedł obok niej z pozoru obojętnie, jednak zdołała zauważyć, jak tężeje mu twarz.

– Próby są dla ciebie ważniejsze niż pożegnanie własnej babki?

– To zależy. – Wzruszyła ramionami. – Moje priorytety mogą się w każdej chwili zmienić, o ile załatwisz naszą sprawę tak, jak cię o to prosiłam. Wtedy zaśpiewam.

Zmroził ją wzrokiem.

– Przecież wiesz, że ja dla kochanej babci wszystko... – Pilar uwiesiła się na jego ramieniu. – Choć tak naprawdę to żadne pieśni już jej nie pomogą. Jest martwa, biedaczka. I zimna. W przeciwieństwie do mnie.

Nadstawiła usta do pocałunku na do widzenia. Kątem oka obserwowała reakcję Beaty. Jeśli Morawska myśli, że niewinna sprzeczka jest w stanie ich rozdzielić, niech się otrząśnie. Ludzie potrafią być tacy naiwni... Nie zamienia się przecież rolls-royce'a na trabanta.

Skoro Rafał sobie tego życzy, zaśpiewa i zagra na starych *chácaras*. Uroczystość się skończy i wrócą do swojego małego mieszkanka. Znów wszystko będzie po staremu. Zapomną o Beacie, jej pogroźkach, i całym tym zamieszaniu, w które próbują ich wplątać gliny. Niczego im nie udowodnią. Nie ma sensu zaprzętać sobie głowy jakimiś zamordowanymi kobietami. Niech spoczywają w pokoju, jak Karinka i świętej pamięci Josefa. Świat należy do żywych, a oni z Rafałem zamierzają żyć długo i szczęśliwie.

\* \* \*

Ciepła noc i poranek osuszyły ogród przy Barcickiej na tyle, by po ostatnich deszczach ziemia stwardniała, a spomiędzy opadłych liści wyjrzały zielone źdźbła trawy. Na drzewach wciąż nie było widać pąków. Dawka słońca, jaka padała na kawałek gruntu wokół domu, pozwoliła jedynie na to, by powietrze zapachniało inaczej, bardziej świeżo.

Beata otworzyła okno, by wpuścić do wnętrza zapach nadchodzącej wiosny, po czym sięgnęła po swoje lustro powiększające. Rozcięcie na czole wciąż było mocno widoczne, choć rana już nieco przyschła. Spróbowała pokryć ją fluidem, jednak czerwień na skórze wciąż wybijała. Kolejna warstwa też w niczym nie pomogła. Starła fluid, uznając, że pozostawi twarz w takim stanie, w jakim jest, bez kamuflażu. Kogo miałyby oszukiwać tą maskaradą i po co?

Lepiej było zająć się przygotowaniami do popołudniowej uroczystości. Na strychu stało kilka pudeł z dekoracjami. Bombki i łańcuchy na bożonarodzeniową choinkę, plastikowe dynie i uszyte przez nią ze starego prześcieradła duchy, którymi ozdabiała dom i ganek z okazji Halloween, a także mnóstwo drobiazgów na Wielkanoc. Baranki, drewniane pisanki i wianuszki zrobione z gąbki florystycznej, do której wtykała świeże kwiaty, by ozdabiały stół podczas świątecznego śniadania. Gąbki miała dużo i mogła ją teraz wykorzystać. Jadąc tu z Sokratesa, kupili z Rafałem trzy tuziny wczesnych tulipanów i choć szkoda było ucinąć im główki i wkręcać je w wieńce, pożegnanie Josefy musiało wypaść tak, jakby przyszykowała je sama Dolores.

To był dobry pomysł, by uroczystość odbyła się w ogrodzie. Wianki z tulipanami zawisną na drzewach, między żółte główki wplecie się czarne tasiemki, które posłużą jednocześnie za ozdobę i utrzymają okrągłe wiązanki na gałęziach. Na trawie staną dwa stoliki i kilka krzeseł z jadalni. Na jednym ze stolików postawi się powiększone zdjęcie Josefy, a na drugim drobny poczęstunek. Obędzie się bez alkoholu. Lemoniada, gorąca kawa i herbata z pewnością wystarczą.

Zniosła ze strychu karton z gąbką florystyczną i zabrała się do ucinania kwiatów. Musiała zrobić jak najwięcej, zanim rozpocznie się pogrzeb. Potem na nic nie będzie już czasu. Nie chciała obciążać pracą Dolores, która od rana czuwała przy zwłokach matki w przyzwykłej

kaplicy. Na pomoc Pilar nie liczyła – jak zwykle wpadnie na gotowe. Cała ona.

Żółte główki nabijane na druciki wchodziły w wieniec gładko. Miała w tym wprawę; w ciągu trzech godzin powstało sześć pięknych stroików. Gdyby nie mroczna czerń wstążki, wyglądałyby naprawdę radośnie. Nasączyła gąbki wodą i odłożyła je na parapet. Przygotowała całkiem niemały stos kanapek i przykryła je folią, żeby nie obeschły. Wysypała na talerze ciastka, do wysokich szklanek wstawiła słone paluszki. Stoły i krzesła wyniesie na dwór później, jak wszyscy wrócą z pogrzebu. Teraz może zająć się sobą – po tym, co przeszła w ostatnich dniach, w końcu weźmie kąpiel we własnej wannie i przygotowuje się do uroczystości.

Zanim nalała wody, wyjęła z szafy granatową sukienkę i czarne kryjące rajstopy. Odruchowo musnęła beżowe wiosenne kurtki swoich dzieci. Kupiła im takie same; różniły się jedynie kolorem lamówki przy szyi. Jedna była niebieska, druga oczywiście różowa. Pomyślała o synku. Nie miała pojęcia, czy Piotruś też będzie ubrany na ciemno, czy zabrał ze sobą coś, co nadawałoby się na pożegnanie Josefy. Czy w ogóle będzie? Czy ta obca kobieta go przyprowadzi?

Odwiesiła sukienkę na drzwi szafy i poszła już prosto do łazienki. Do pogrzebu pozostawała zaledwie godzina.

\* \* \*

Pilar poprawiła usta szminką i roztarła wargi. Nie znosiła poprawiać makijażu podczas jazdy samochodem. Byle podskok na nierównej jezdni mógł wyrządzić niewyobrażalną szkodę w postaci nieplanowanych czerwonych bazgrołów. Dlatego tylko musnęła usta kilkoma pacnięciami sztyftu.

– Żal mi matki – oświadczyła, szczerząc zęby do lusterka, by upewnić się, że nie został na nich nieestetyczny ślad szminki. – Teraz zostanie całkiem sama. Ja mam swoje życie, w twoim starym domu też nie jest już potrzebna tak jak kiedyś. Myślę, że gdyby nie to, że pochowamy babcię w Warszawie, wróciłyby na La Gomere. Chociaż nie... – zmieniła szybko zdanie. – Na pewno wolałaby być przy wnukach, jak już urodzą się nasze dzieci.



Przyglądziła dłońmi odstające włosy przy skroniach. Związany z tyłu głowy kucyk nie zebrał ich wszystkich i kilka niesfornych kosmyków opadło jej na twarz.

– Rozmawialiśmy już o tym. – Rafał nie odrywał wzroku od jezdni. – Żadnych dzieci.

– Nie mówię przecież, że miałabym rodzić już teraz, zaraz. Trochę poczekamy. Nacieszymy się sobą, ja rozkręcę karierę, no a potem... Pac, pac, małe rączki i nóżki spadną nam z nieba.

Rafał tylko zacisnął zęby. Wolał nie rozwijać dyskusji akurat teraz, gdy zbliżali się do kaplicy. Pilar musiała uznać, że sprawa ich przyszłego potomstwa jest ustalona, bo puściła mu kokieteryjnie oczko. Zaraz potem wróciła do spoglądania na siebie w lusterku. Czubek nosa świecił się nieestetycznie, więc pociągnęła po nim pudrem i już całkiem zadowolona z siebie przymknęła powieki, by przywołać w pamięci kilka dobrych wspomnień o Josefie. Nie miała ich wiele, zaledwie kilka z dzieciństwa i wczesnej młodości, kiedy to były jeszcze w stanie się porozumieć. Początkowo Pilar starała się być taka, jaką ją sobie wymarzyła babka: grzeczna, ułożona i bezproblemowa. Szybko jednak odkryła, że bycie cichą myszką nie jest dla niej. Życie na modłę babki, w którym kobieta zawsze stoi na drugim planie, w cieniu mężczyzny, modląc się i cerując skarpety, uznała za średniowieczne zacofanie. Pilar była zbyt ładna i zdolna, by dać się zepchnąć do tradycyjnej roli gospodyni. Josefa nie była postępową i nie rozumiała, co to znaczy robić karierę i żyć pełnią życia. Ich drogi rozeszły się szybko i tak już pozostało. Gdyby nie Dolores, pewnie nie rozmawiałyby ze sobą wcale.

Otworzyła oczy, gdy znaleźli się na miejscu. Sięgnęła na tylne siedzenie po nieduży wieniec z fioletową wstążką i wyskoczyła z auta. Nie oglądając się na Rafała, ruszyła w stronę wejścia do kaplicy.

W środku przy otwartej trumnie czuwała już Dolores. Odziana w czarną garsonkę i mantylkę, pochylała się nad modlitewnikiem. Pilar przysiadła obok matki.

– Ale ją wystroiłaś – szepnęła jej do ucha. – Jak to na nią wciągnęłaś?

Josefa wyglądała jak dziewiętnastowieczna dama, która zaraz po wieczornej mszy położyła się na chwilę do łóżka w swojej ciemnej sukni z koronek i przysnęła. Tę starą suknię miała chyba od zawsze. Prawdziwie hiszpańską, piękną i bogatą. Zwoje koronek otulały ją szczelnie i jedynie biel twarzy odcinała się od ich ponurej barwy. Jak matce udało się włożyć

jej na dłonie rękawiczki? Musiała je chyba rozciąć, naciągnąć na zastygłe palce i zszyć ponownie. Zakład pogrzebowy na pewno sam tego nie zrobił.

Dolores kiwała się lekko w takt szeptanych przez siebie modlitw. Pilar spojrzała mało dyskretnie na zegarek i rozejrzała się za księdzem. Uroczystość powinna zacząć się już teraz, jeśli przed próbą w operze ma jeszcze wpaść na pożegnalne przyjęcie.

Podniosła się z ławki i zajrzała do zakrystii. Ksiądz właśnie wkładał przez głowę żałobny ornat. Na jego zdziwione spojrzenie odpowiedziała pukaniem palcem w szkiełko zegarka. Kiedy wróciła do matki, trumna była już zamknięta, a w ławkach pojawiło się kilka znajomych osób chcących pożegnać Josefę. W tym oczywiście zatroskana Beata Morawska, która przycupnęła tuż za nią i jej matką. Nie kiwnęły sobie grzecznościowo głową, wolały ominąć się wzrokiem. Pilar odszukała Rafała i zamachała do niego ręką. Usiadł obok niej, położywszy uprzednio wieniec na podłodze pod trumną. Nim zdążyła znów zerknąć na zegarek, zabrzmiały mszalne dzwonki.

\* \* \*

– Wejdźcie do środka. – Beata otworzyła drzwi na oścież i przepuściła przodem Dolores, Pilar i Rafała. Za nimi do przedpokoju przemknęły dwie starsze panie z kółka kościelnego. Pamiętała je z pogrzebu Karinki, choć ich imion nie potrafiła sobie przypomnieć. Wyglądały na miłe i pogodne, jednak teraz nie uśmiechały się wcale.

Dolores od razu poprosiła o szklankę wody. Była osłabiona długim czuwaniem przy matce, niewyspana i przegłodzona postem, który ofiarowała za spokój jej duszy. Na widok kanapek, które Beata odwinęła spod spożywczej folii, pokręciła przecząco głową.

– Muszę wytrzymać do północy. To mały wysiłek, jeśli pomoże matce dostąpić zbawienia.

Rafał wyniósł stoły do ogrodu, a zaraz potem kilka krzeseł. Beata patrzyła zza szyby, jak dla stabilności wciska drewniane nogi w ziemię.

Pilar ustawiała na trawie zapalone znicze. Kiedy skończyła, podeszła do Rafała. Beata słyszała jedynie skrawki ich rozmowy. Odsyłał kochankę do środka, mówiąc, że chce zostać na chwilę w ogrodzie sam. Odszedł od niej i przystanął pod klonem z wiszącym nad ziemią pirackim domkiem.

Wróciła do kuchni, wyminęła matkę i krzątającą się Beatę, po czym zakręciła się przy talerzu z kanapkami.

– Mogłyby być lepsze – stwierdziła, gdy ugryzła kęs kromki z szynką konserwową. – Trochę przesolone i za suche, ale jestem taka głodna, że zjadłabym konia z kopytami. Po tym pogrzebie tak mnie ssie. Wystarczyłoby dodać trochę majonezu, łatwiej przeszłyby przez gardło.

Szybkie otwarcie drzwi lodówki i uderzenie słoikiem o blat odebrała jako kolejną złośliwość Morawskiej. Powinna być miła. Po pierwsze, jest gospodynią tego domu, a po drugie...

– Za nic masz żałobę? – Słowa wypowiedziane przez Dolores przeszły powietrze. – Jesteś jak kamień, całkiem bez uczuć. Nawet w takiej chwili... jak kamień.

Pilar otworzyła szafkę pod zlewozmywakiem i bez słowa wyrzuciła resztę kanapki do kosza.

– W tym domu nie marnuje się jedzenia – zareagowała Beata. Chciała dodać, że chleb, na który się nie zapracowało własnymi rękami, tym bardziej należy szanować. Ugryzła się jednak w język, by nie sprawiać Dolores dodatkowej przykrości.

Kobieta tylko wzruszyła ramionami.

– To tylko garść upieczonej mąki, a nie żadne trufle. Zresztą nieważne. Zrobię, co mam do zrobienia, i znikam stąd.

Nie zauważyła, jak za jej plecami staje Rafał.

– Co jest? – spytał, czując, że atmosfera między kobietami zrobiła się napięta.

– Nic, gawędzimy sobie miło – odparła Pilar. – A teraz wybaczcie, ale muszę się przygotować. Czas na kolejną odsłonę tej żałobnej dramy.

Wyślizgnęła się do łazienki, by poprawić włosy. Jej występ musiał wypaść perfekcyjnie.

Beata wręczyła Dolores słomki do napojów i poprosiła, by zaniosiła je do ogrodu. Przyprawione na uroczystość dwie starsze przyjaciółki wyszły razem z nią, zniesmaczone rodzinną scysją. W kuchni zrobiło się cicho, jedynie zza zamkniętych drzwi łazienki dochodziły pojedyncze dźwięki podśpiewywania Pilar.

– Naprawdę myślisz, że jest warta tego wszystkiego? – Beata stanęła na wprost byłego męża. Kolejna okazja, by pobyć z nim sam na sam, mogła się szybko nie zdarzyć.

Przyjrzał się rozcięciu tuż nad jej brwiami. Potarła je odruchowo palcami.

– Popatrz tylko, do czego to nas doprowadziło – powiedziała łamiącym się głosem. – Co ona z nami zrobiła... To jest ostatni moment, żeby to przerwać. Wciąż możemy wrócić do punktu wyjścia.

– Za późno. – Rafał zrobił krok do tyłu. Z kieszeni marynarki wyjął pudełko z zaręczynowym pierścieniem dla Pilar.

Pobladła na widok czerwonego puzderka.

– A zatem koniec. Zdecydowałeś – rzekła gorzkim tonem. – Skoro nie chcesz ratować własnej skóry...

– Muszę zacząć wszystko od nowa.

– Z nią? – parsknęła. – Kupiłeś jej błyskotkę i myślisz, że nagle staniesz się dla niej bogiem? Jesteś dla niej tyle wart, ile jej zaoferujesz. I nie mówię o uczuciach, bo ona nie ma uczuć. Więc dobrze się zastanów, czy na pewno chcesz jej to dać. – Wskazała głową na pudełko z pierścieniem. – Wciąż masz wybór.

Miękł na jej oczach. Była pewna, że gdyby mogli pobyć ze sobą kilka godzin na osobności, odłożyłyby decyzję o zaręczynach. Gdyby nie było tu tych wszystkich gości, uroczystości w ogrodzie i przede wszystkim Pilar. Usiedliby przy kominku i porozmawiali. Albo położyliby się w hamaku i przykryli kocem, jak dawniej. On oparłby głowę na jej ramieniu i zrzuciłby z siebie pancerz, który zmienił go w kogoś, kim tak naprawdę nigdy nie był. Znow stałby się sobą.

– Zostań ze mną, kiedy to się skończy – powiedziała, obrzucając wzrokiem ogród, palące się znicze i stoliki z dzbankami lemoniady. – Porozmawiajmy ten ostatni raz.

Widziała, że się waha. Już zdążyła wyobrazić sobie ich razem, jak siedzą przy trzaskającym ogniu; wystarczyło tylko, by kiwnął głową.

– Nie mogę jej tego zrobić – odpowiedział stanowczo. – Jest w żałobie.

Beata zmarszczyła poranione czoło.

– Pilar? Jest w tym domu jedyną osobą, której śmierć Josefy nie obeszła.

– Po prostu nie afiszuje się ze swoimi uczuciami. Jest inna.

– Tak, cyniczna, ale za to młoda i ładna. Do tego konsekwentnie walczy o swoje miejsce przy twoim boku. Tego ci u mnie brakowało. Było mnie zbyt mało, a ty obsesyjnie potrzebowałeś uwagi.

– Daj już spokój. – Rafał zaczynał się niecierpliwić. – Zaczynam nowe życie i nic tego nie zmieni.

– Będzie ślub, a potem co, kolejne dziecko? – Beata czuła, jak drętwieje jej gardło. – Zastąpisz naszą córkę inną? Podobno bardzo kochałeś Karinkę... Popatrz no, jak łatwo można zapomnieć o tym, co było.

Pochowali ją siedem miesięcy temu. Od tego czasu nie dotknął ani razu jej rzeczy, nie usiadł na jej pościeli, ani nie wtulił się w żaden sweterek czy sukienkę. A przecież ludzie po stracie kogoś bliskiego tak właśnie robią, starają się zapamiętać ulatniający się z ubrań zapach kogoś, kto odszedł na zawsze. Rafał nigdy tego nie zrobił. Nawet nie zaglądał do dziecięcego pokoju, kiedy przychodził do Piotrusia. Wołał syna z dołu lub stawał na piętrze w przedpokoju tak, by nie widzieć łóżka Karinki.

– Lepiej będzie, jeśli zajmiesz się gośćmi – odparł chłodno. – Nie ma potrzeby przeciągać tej stypy w nieskończoność.

Zrozumiała komunikat.

– Jak sobie życzysz – powiedziała, siląc się na obojętność. – Pora to wszystko zakończyć.

Drzwi do łazienki trzasnęły i w przedpokoju stanęła Pilar. Jej włosy leżały gładko, usta były świeżo pociągnięte karminową szminką.

– Co to? Kolejna rozpaczliwa próba reanimowania małżeńskiego trupa? – spytała, nie bacząc na okoliczności. – To już staje się nudne.

Podeszła do Rafała i szybkim gestem wyjęła z kieszeni jego marynarki czerwone pudełko. Nie zdążył zaproponować, gdy pierścionek z połyskującym cytrynem znalazł się na jej palcu.

– Rafał był na tyle taktowny, że kazał mi go zdjąć przed pogrzebem, żeby nie robić ci przykrości. Jesteś zdziwiona? Na to wygląda... Jesteśmy zaręczeni od kilku godzin. – Pilar przyjrzała się błyskotce. – Jest piękny. Dziękuję, kochanie. – Puściła dyskretnego całusa w kierunku narzeczonego. – To co? Zaczynamy, mamó?

– Zaczynamy – potwierdziła Dolores, stając w progu kuchni. – Pogaście w domu światła.

Porozwieszane na gałęziach wianki z tulipanami sprawiały, że ogród wyglądał idyllicznie. Pałące się znicze, których złote płomienie błyszcząły w zmierzchu popołudnia, nadawały miejscu zarówno uroczysty, jak

i sakralny charakter. Tak właśnie pomyślała Dolores, gdy przystanęła pod jednym z drzew i poprawiła zwisającą z wianka wstążkę.

– Jest pięknie – powiedziała z uznaniem do kręcącej się między stolikami Beaty. – Od zawsze wiedziałam, że w gruncie rzeczy dobry z ciebie człowiek.

Beata odłożyła na brzeg stolika serwetkę, którą zrzucił podmuch wiatru, i przygniotła ją małym kamieniem.

– W gruncie rzeczy? – spytała zaskoczona.

– Tak się przecież mówi. Tu, w Polsce. Nie miałam nic złego na myśli.

Beata kiwnęła głową na znak, że przyjmuje sprostowanie. Nie miała zamiaru analizować słów Dolores, zwłaszcza że uważała to ich spotkanie za ostatnie. Stypa po Josefie miała symbolicznie zakończyć wieloletnią relację między rodzinami Morawskich i Ortegów. Chciała to zrobić z klasą i szacunkiem dla zmarłej. Żywi obchodzili ją znacznie mniej, szczególnie Dolores i jej córka, która kręciła się teraz między stolikami i białym płótnem rozpostartym na palikach, służącym za tło dla kwiatów i fotografii Josefy.

– Dobrze, że nie ma tu dziś z nami Piotrusia. – Dolores spróbowała ponownie zagadnąć Beatę. – Dwa pogrzeby w ciągu jednego roku to zbyt wiele jak dla dziecka. Moja matka też byłaby tego samego zdania. Tak bardzo kochała tego malca, chciała go chronić przed...

– Przed czym? – zaciekała się Beata.

– Przed smutkiem. Byłby zdruzgotany, patrząc na to wszystko. – Wzrok Dolores powędrował od domku na drzewie, poprzez rozwieszane wianki, aż do zdjęcia Josefy przepasanego czarną aksamitką. – Byli ze sobą bardzo związani. Mieli swoje tajemnice. To zadziwiające, ile może łączyć małego chłopca i starą kobietę. Jak to się mówi: bratnie dusze?

– Ja widziałam to zupełnie inaczej.

Dolores uniosła czoło.

– Nie rozumiem.

– No właśnie... – Beata westchnęła ciężko. – Oni też się nie rozumieli. Co takiego Josefa potrafiła powiedzieć po polsku? „Dzień dobry” i „smacznego”? Może jeszcze „idź spać, bo późno”. Ale doceniam, że troszczyła się o Piotrusia, możesz mi wierzyć. Wiesz jeszcze, za co ją szanowałam? Za to, że nie wtrącała się do mojego życia. Zawsze stała z boku, jakby wiedziała, że nie potrzebuję babskich pogaduszek ani dobrych rad. Nie obchodziło jej, jakie problemy ma moja rodzina.

– Bardzo się mylisz...

– Nie suszyła mi głowy o nic i dlatego z radością to wszystko... Ogród i pożegnanie są dla niej. A Piotruś? Przyzwyczai się do straty. Czas leczy rany, nawet te najbardziej bolesne – dodała.

Musiały zakończyć rozmowę, bo Pilar stała już obok stolika ze zdjęciem Josefy, gotowa do występu. Odchrząknęła i zwilżyła językiem usta, żeby gładko wydobyć z siebie najpierw kilka cichych dźwięków, po czym położyła dłoń na przeponie i zwróciła się ciałem w stronę fotografii zmarłej babki.

Nie miała zamiaru śpiewać pogrzebowej pieśni, jak zaplanowano. Z jej gardła popłynęło *Bésame mucho*. Najpierw cicho i spokojnie, jakby słowa proszące o pocałunek kołysały się na popołudniowym wietrze. Przy kolejnej zwrotce śpiewała już mocniej, przejęta wyznaniem miłości, która może zakończyć się w każdej chwili. Wczuła się w słowa na tyle mocno, że przestała spoglądać na spokojną twarz Josefy ze zdjęcia i obróciła się w stronę świeżo upieczonego narzeczonego. Nagle zaczęła śpiewać po polsku, tak by wpatrujący się w nią Rafał dobrze zrozumiał, co ma mu do przekazania.

*Chcę cię mieć bardzo blisko,  
Przełgądać się w twoich oczach  
wpatrzonych we mnie.  
Całuj mnie, całuj mnie mocno,  
Jakby ta noc miała być ostatnią.*

Nie zwracała uwagi na karcące spojrzenia Dolores, na oburzenie starszych kobiet ani na zażenowanie Beaty. Nie powstrzymało jej nawet to, że stojący kilka kroków dalej mężczyzna jej życia kręcił dyskretnie głową, prosząc niemym gestem, żeby przestała. Niewzruszenie brnęła dalej, prosząc swym sopranem o miłosne uniesienia. Gdy skończyła, odłożyła na stolik kartkę z tekstem i zastygła w oczekiwaniu na uznanie. Nikt się jednak nie odezwał ani nie poruszył.

– No co, nie podobało się wam? – Pilar wydawała się zachwycona swoim występem. – Josefa na pewno jest szczęśliwa, że mogła usłyszeć w niebie to swoje *Bésame*. Kto wie, może to był jej ostatni raz, zanim powędruje gdzieś wyżej.

Mówiąc to, zrobiła wirowy ruch ręką, jakby pokazywała lecącą ku górze trąbę powietrzną.

– Nie rozumiem, o co wam chodzi – ciągnęła Pilar. – Miało być ckliwie i było.

Beata odezwała się pierwsza:

– Wstydu nie masz.

Nie czekając na reakcję Pilar, weszła na kilka chwil do domu i wróciła z kopertą w ręce.

– To na pamiątkę po zmarłej. Żebyście o niej zawsze pamiętali.

Pięć par oczu śledziło, jak palce Beaty otwierają kopertę i wyjmują z niej pocztówkowe fotografie Josefy, dokładnie takie same jak ta, która stała na stoliku w ogrodzie. Podchodziła do każdego i rozdawała po jednej. To, co zostało, odłożyła na brzeg stolika. Obserwowała, jak dwie towarzyszki Dolores dotykają ze wzruszeniem połyskującego papieru, po czym chowają prezent do swoich czarnych torebek. Wydawało jej się, że twarz Rafała też jakby złagodniała, choć rzadko zdarzało mu się roztkliwiać. Tym razem był poruszony. Nie potrafiła jednak odgadnąć, czy wzruszył się tym, że stara przyjaciółka rodziny odeszła na zawsze, czy też jej drobnym gestem z pamiątkowymi fotografiami.

– Mogę jeszcze coś zaśpiewać dla Josefy – odezwała się nagle Pilar. – Na bis.

Beata obróciła się przez ramię.

– To nie jest przedstawienie, Pilar.

– Ależ jest. To, że nazywamy je stypą, niczego nie zmienia. Stypa jest ku czci, zupełnie jak benefis.

– Benefis jest dla żywych.

– Taka się nagle zrobiłaś drobiazgową? – syknęła Pilar. – I jeszcze święta się jakby zrobiłaś, pomyślałby kto.

Ucichła na widok Rafała. Nie rozumiała, dlaczego kładzie dłonie na ramionach byłej żony, jakby chciał wziąć ją w obronę.

– Już wystarczy – powiedział zza pleców Beaty spokojnie, lecz stanowczo. – Część artystyczna się zakończyła. Wszyscy jesteśmy ci wdzięczni za twój występ, ale to koniec. Poza tym przyjaciółki twojej matki zbierają się do wyjścia.

Pilar po raz enty tego wieczoru spojrzała ostentacyjnie na zegarek.

– W takim razie ja też wychodzę. Poczekam tylko, aż matka odprowadzi je do furtki, i zbieram się stąd do opery.



Dolores zniknęła ze starszymi paniami za murem domu. W oddali cichły ich stłumione rozmowy.

– Ściemniło się – zauważyła Beata. – Trzeba pozapalać światła, inaczej za chwilę poprzewracamy się o te stoły i krzesła. Niepotrzebnie je wystawiłam. Jedzenia też nikt nie tknął. Może źle to wszystko zorganizowałam...

– Może. – Pilar przewróciła oczami.

W półmroku wypatrzyła wracającą Dolores. Szła powoli, ze wzrokiem wbitym w wąski przesmyk biegnący koło domu i wyłożony szarymi płytkami. Zachwiała się na jednej z nich, jakby nagle straciła równowagę.

– Już czas na nas, mamó. – Pilar podskoczyła do niej i ujęła ją pod rękę. – Padasz z nóg, Rafał odwiezie cię do domu, prawda, kochanie?

Zanim zdążył kiwnąć głową, część ogrodu, gdzie stali, zalała się smugą światła. Nie padała z kuchni ani z żadnego okna. Białą płachtę rozpiętą między wbitymi w ziemię palikami oświetlało coś od tyłu.

– Ty to wymyśliłaś? – Rafał spojrział ze zdziwieniem na Beatę.

Pokręciła przecząco głową.

– Nawet nie rozwiesiłam tej płachty. Myślałam, że to był twój pomysł.

Zrobiła krok w stronę białego materiału, jednak zatrzymała się w pół drogi. Patrzyła, jak wąski snop światła rozszerza się, obejmując jasnością niemal całe płótno. Wtedy zobaczyli to wszyscy: cień ogrodowego basenu i stojącą przy nim postać dziewczynki ubranej w sukienkę.

– O mój Boże... – jęknęła Dolores. Wpatrzona w zarys dziecka, chciała podejść bliżej, ale nogi odmówiły jej posłuszeństwa. – Drogi Jezu...

Pilar tylko potarła dłonią czoło, które mimo chłodu zaczynało pokrywać się potem.

– Spokojnie, mamó. To przecież jakiś cyrk. Kto to wymyślił?! Matka ma słabe serce, wyłączcie to!

– To ona... – Dolores poruszyła zbiegającymi wargami. – Przyszła pożegnać się z Josefą. Kochała ją, dlatego wróciła. Wiedziałam, że przyjdzie...

– Co za bzdury! Ktoś robi sobie głupie żarty. Mówię serio, wyłączcie to albo sama to zaraz zrobię!

Nikt się jednak nie poruszył. Stali wpatrzeni w cień, który powoli przesuwał się za płachtą w kierunku basenu. Tuż za postacią dziewczynki pojawił się drugi, dużo wyższy. Trudno było rozpoznać, czy należy do kobiety, czy mężczyzny. Wyrósł nie wiadomo skąd, zbliżył się do małego

cienia i pchnął go w kierunku basenu. Dziewczynka stawiała opór, jednak popychana przez drugi cień przełożyła nogę przez gumową krawędź i weszła do środka. Chwilę stała, w końcu przysiadła. Znad basenu widać było tylko jej głowę i związane na niej dwa kucyki. Wyciągnęła rękę ku stojącej nad nią ciemnej sylwetce, jednak ta odepchnęła ją i położyła swoją dłoń na jej małej głowie. Nacisnęła. Pod naporem ręki głowa dziecka skryła się w basenie. Dziewczynka wyrwała się, jednak nie zdążyła uciec. Ręka z rozcapierzonymi palcami ponownie chwyciła za twarzączkę i przytrzymała ją, aż ta całkiem zniknęła pod powierzchnią wyimaginowanej wody.

W końcu szarpanina ustała. Długi cień poczekał jeszcze kilka sekund i odszedł. Zgasło światło reflektora, a biała płócienna płachta znów wyglądała jak kilka minut temu.

Dolores wyciągnęła rękę w kierunku krzesła. Gdyby Morawski natychmiast go nie podsunął, runęłaby na ziemię. Upewnił się, że kobieta złapała oddech, i podał jej szklankę z lemoniadą. Odepchnęła ją od siebie, nawet na nią nie patrząc.

– Nie chcę – wybełkotała. – Nie dam rady.

Wyjęła z kieszeni płaszcz chustkę i przyłożyła ją do oczu.

– Nie chodziło o żadne pożegnanie. Ona chciała nam to powiedzieć. O tym, co się stało – wymamrotała.

– Wiejski teatr cieni – skomentowała pogardliwie Pilar. – Ten, kto to wymyślił, mógł się bardziej postarać.

– Odsuńcie się. – Rafał odstawił szklankę z lemoniadą na stół i prześlizgnął się między kobietami. Podeszedł do płótna i pociągnął je szybkim ruchem. Opadło wprost na jego buty. Kopnął płachtę i obiegł dom dokoła.

– Nikogo nie ma – stwierdził, gdy wrócił do punktu wyjścia. – Ale spokojnie, dowiem się, kto za tym stał. Nie dam robić z siebie idioty.

Dolores dźwignęła się z krzesła i podtrzymywana przez Pilar ruszyła w stronę pompowanego basenu. Szumiało jej w głowie i kolana chwiały się przy każdym kroku, jednak nie zamierzała się zatrzymać. Pilar odwróciła się w stronę Rafała i spojrzała na niego, żądając wsparcia. Podskoczył i ujął Dolores pod drugie ramię.

Dziecięcy basen stał dokładnie tam, gdzie Beata i Rafał postawili go rok temu. Wtedy wybrali to miejsce nie bez powodu, z dala od cienia rzucanego przez rozłożystą wierzbę. W upalne letnie dni, kiedy słońce

wisiało nad ogrodem, promienie nagrzewały wodę na tyle intensywnie, że można było zanurzyć się w niej z prawdziwą przyjemnością. Poza tym blisko było do kranu zainstalowanego w murze domu; wystarczyło kilka metrów ogrodowego węża, by móc z łatwością napełniać basen.

Po tym, co stało się zeszłego lata z Karinką, spuszczonego basenu i wypompowano powietrze. Basen zniknął z ogrodu i trafił do garażu, gdzie leżał przykryty gumową plandeką przez wiele miesięcy. Aż do dziś.

– Czujecie to? – Dolores przystanąła nad brzegiem basenu i wciągnęła powietrze w płuca. – To ten sam zapach. Znam go, już go kiedyś czułam.

Pilar poruszyła łopatkami. Chłód powietrza przenikał jej czarny golf, potarła więc dłońmi o zziębnięte ramiona.

– Nie wiem, o co ci chodzi – powiedziała. – To nie basen pachnie, tylko zielsko z ogrodu. Na wieczór rośliny puszczają soki. Zresztą basen jest przecież pusty, nie ma w nim nic.

– Nie, to nie jest zapach roślin. – Dolores pokręciła głową.

Ruszyła wzdłuż krawędzi basenu, muskając palcami jego chłodną gumową powierzchnię.

– Nie ma w nim wody, ale nie jest pusty. Popatrz tylko. – Nachyliła się nad gumowym dnem. – Przypatrz się dobrze, tam coś leży. Rozsypane i drobne. Jakby małe kamyczki. Widzisz teraz?

– Może piasek.

– To od tego idzie ten zapach.

Dolores szła dalej, krok za krokiem. Zatrzymała się dopiero, gdy czubek jej buta uderzył w coś twardego.

– I po co się tam kręcisz?! – zawołała do niej Pilar. – Jeszcze sobie głowę rozbijesz. Śmietnik tu straszny, lepiej wracajmy do domu.

– Wiadro. Plastikowe. – Dolores nie zamierzała odchodzić. – W takich wiadrach sprzedaje się farby do malowania ścian.

Schyliła się, żeby zobaczyć etykietę z nazwą tego, co znajduje się w środku, jednak nie dojrzała liter. Wyczuła pod palcami druczany uchwyt i podniosła wiadro bliżej oczu.

– Karnalit – przeczytała.

Odchyliła wieko. Znajomy zapach stał się jeszcze bardziej intensywny.

– Czułam go od niej, od naszej Karinki. – Dolores wyciągnęła ręce z wiadrem w stronę Pilar, ale ta nie zamierzała wdychać zapachu z pojemnika. – Była nim przesiąknięta. Co to jest? – zwróciła się do Rafała.

Nie musiał podchodzić bliżej, wiedział dokładnie, co Dolores trzyma w rękach.

– Chorowała – odpowiedział, wzruszając ramionami. – Przecież wiesz, że miała atopową skórę. To miało jej pomóc. Kupiłem tego świństwa całą bańkę, żeby mogła się w tym kąpać.

– Nienawidziła stojącej wody. Bała się jej. Odkąd pamiętam, wołała, żeby stawiać ją pod prysznicem.

– To był jedyny sposób, żeby ją wyleczyć. Maści nie pomagały.

– Zatykała nos, żeby woda nie wleciała jej do gardła – nie ustępowała Dolores. – Krzyczała wtedy i płakała. Tak bardzo bała się utopić. A wy... zmuszaliście ją do tego. – Wskazała palcem basen.

Rafał chwycił kobietę za ramiona.

– Posłuchaj mnie, Dolores. Nie było innego wyjścia. Nie pomagały prośby ani tłumaczenia, że musi, że to przecież miło jest zanurzyć się w wodzie, a przy okazji zaleczyć chorą skórę. Wołałabyś, żeby latami cierpiała?

– Tak bardzo się bała... – Dolores pokręciła głową.

Pilar odebrała z jej rąk wiadro i ustawiła je z powrotem tam, gdzie stało.

– Dzieci nie wiedzą, co dla nich dobre, dlatego czasem trzeba je przymusić. Zresztą, o czym my mówimy? – dodała z przekąsem.

– O tym, co tu się stało. – Oczy Dolores rozszerzyły się. – Te cienie... Widziałam wyraźnie. Wszyscy widzieliśmy. Powiedz mi, Pilar, czy to ty miałaś z tym cokolwiek...

– Dajmy temu spokój! – podniósł głos Rafał. – Ktoś zrobił idiotyczny żart i tyle w temacie.

– Żart? – odezwała się milcząca dotąd Beata. – Zastanówmy się, kto mógłby być tak okrutny. – Wbiła wzrok w Pilar. – Nie masz nam nic do powiedzenia?

Pilar ruszyła bez słowa do kuchennych drzwi. Nie zapalając światła, wyjęła z lodówki wypitą do połowy butelkę białego wina i przechyliła ją do ust. Kilka łyków uspokoiło ją na tyle, że mogła wrócić do ogrodu. Wciąż trzymając butelkę za szyjkę, podeszła do Beaty.

– Postaraj się o lepszą bajeczkę – wypaliła jej prosto w twarz. – Ta na nikim nie zrobiła wrażenia. Zresztą nigdy nie byłaś dobra w opowiadaniu bajek. Dlatego twoje dzieci wołały moją matkę albo Josefę. Piotruś

wiecznie przed telewizorem albo w tym swoim domku na drzewie, a ta mała...

– Nic nie wróci jej życia – przerwał jej Rafał. – I zakończmy już tę scenę. Czas odwieźć Dolores do domu. Ty też się zbieraj – zwrócił się do narzeczonej.

Pilar odstawiła butelkę. Miał rację, matka była wycieńczona, a ona powinna już być w drodze na próbę. Zamiast tego wciąż tkwiła w ogrodzie na obrzeżach miasta. Uprzątnięcie ze stolików talerzy i szklanek po lemoniadzie postanowiła zostawić gospodyni. Beata ze spuszczoną głową ułożyła je na podłużnej tacy, po czym obróciła się w kierunku wejścia do kuchni.

Nie weszła jednak do środka. Coś białego mignęło jej przed oczami. Nie była pewna, czy to, co zobaczyła, było tylko zwykłym omamem wywołanym teatrem cieni, jaki odegrał się za płachtą płótna, czy jednak ktoś był w domu. Dlaczego Rafał tylko obszedł budynek, nie zaglądając do środka? Zrobił to celowo?

Zatrzymała się w pół kroku i wpatrzyła w szybę dzielącą kuchnię od ogrodu.

Coś ponownie przemknęło między łazienką a przedpokojem. Podniosła oczy i spojrzała w przestrzeń domu. Biała postać nie zamierzała już ukrywać się za ścianą. Stała na wprost niej. Jej jasna sukienka odcinała się wyraźnie na tle zalanego mrokiem korytarza. Szła powoli, drobnymi krokami, prosto w jej stronę. Dziewczynka w białej jak śnieg sukience z krótkimi rękawami, w białych bucikach i rękawiczkach sięgających łokci. Weszła do kuchni, odsunęła jedno z krzeseł przy stole i usiadła na nim, kładąc ręce na blacie.

Taca z talerzami i szklankami spadła na kamienny schodek. Dopiero teraz wszyscy odwrócili się w stronę Beaty, która nawet nie poczuła, że jeden z odłamków szkła przeciął jej rajstopy w okolicy kostki i skaleczył skórę. Stała skamieniała, wpatrzona w jasną postać dziecka.

Z przedpokoju znów ktoś wyszedł. To musiała być ta sama osoba, której cień widać było jeszcze chwilę temu za zasłoną. Stała tuż za plecami dziewczynki i położyła ręce na jej małej głowie. Kiedy jedna dłoń wciąż tkwiła nieruchomo między kucykami, druga zsunęła się powoli na twarz dziecka i dalej, na usta, zasłaniając je tak, by nie mógł się z nich wydobyć żaden odgłos.

– To kolejna część tego przedstawienia? – spytała nagle Pilar. – Druga odsłona czy co, do diabła?

Nikt jej nie odpowiedział. Przeleciała wzrokiem po twarzach matki, Rafała i Beaty, ale żadne z nich nie odrywało oczu od tego, co działo się wewnątrz domu.

– Kim jest ta kobieta?! – zawołała ponownie Pilar i nie czekając na jakąkolwiek reakcję, dopadła do kuchennych drzwi.

Biegła prosto do włącznika światła na ścianie. Jednak nie zapaliła lampy, powstrzymana ciężkim spojrzeniem postaci ubranej w ciemnoszarą sukienkę z koronkowym kołnierzykiem. Postać dała znak, żeby Pilar wprowadziła do środka pozostałych. Wciąż trzymała dłoń na ustach dziecka.

Weszli w ciszy tak wielkiej, że bez trudu dało się słyszeć, jak wieczorny wiatr szarpie leżącym na podwórzu płótnem.

Stanęli pod oknem, jednak kobieta widmo gestem nakazała im usiąść przy stole, naprzeciwko dziecka. Dolores zdjęła z głowy czarną mantylkę i zaciskając ją w dłoniach, usiadła jako pierwsza. Rafał zawahał się, ale dołączył do niej. Rozsiadł się na krześle w typowo męski sposób: rozsunął szeroko kolana i oparł na nich przedramiona. Pilar przycupnęła tuż obok, niemal przykleiła się do jego barku.

Jedynie Beata wciąż stała pod oknem. Patrzyła z przerażeniem na krąg osób, które skupiły się wokół zjawy jej dziecka. Zmuszała się, by móc normalnie oddychać.

Kobieta w szarej sukience oderwała w końcu ręce od ust dziewczynki, po czym nachyliła się i szepnęła jej coś do ucha. Kucyki i białe falbanki na sukience podskoczyły. Dziewczynka zsunęła się z krzesła i wybiegła z kuchni. Tupot nóg wbiegających po schodach ucichł, gdy zamknęła za sobą drzwi dziecięcego pokoju na piętrze. Kobieta usiadła na zwolnionym krześle i wyprostowała plecy.

Pierwszy nie wytrzymał Rafał. Z kieszeni marynarki wyjął paczkę papierosów oraz metalową zapalniczkę. Błysk płomienia rozbił ciemność.

– Lubi pani takie wygłupy, pani Krawiec? – spytał, oświetlając twarz Julii. – Nie wiem, czy mamy już klaskać, czy jeszcze na coś czekamy – dodał cynicznie. – Mam nadzieję, że bisów nie zamierza pani dawać. Doceniam pomysłowość, ale kolejna dawka tego szajsu już nie przejdzie.

Julia ściągnęła z głowy burą perukę i położyła ją na stole.

– Wydawało mi się, że przejął się pan tym szajsem. Jednak nie? Cóż, muszę w takim razie popracować nad choreografią. Najwyraźniej myliłam się, sądząc, że czuje się pan nieswojo, patrząc, jak pana córka topi się w basenie.

Dmuchnął jej dymem prosto w twarz.

– To był wypadek – stwierdził, po czym wypluł z ust coś, co miało być drobiną tytoniu zaplątaną w filtrze papierosa.

– Możemy wreszcie zapalić lampę? – Pilar się poderwała. – Nie znoszę ciemności.

Przecisnęła się między krzesłami i podeszła do włącznika. Wszyscy jednocześnie zmrużyli oczy przed ostrym światłem.

– Wróć na swoje miejsce – przywołała ją do stołu Julia.

Pilar nie zamierzała słuchać. Wyszła do łazienki po pozostawioną tam swoją pikowaną chanelkę.

– Jak dla mnie, impreza się już skończyła – zawołała z toalety. – Było naprawdę miło, ale nie mam zamiaru zostać tu ani minuty dłużej. Cztery nieodebrane połączenia z opery – burknęła, gdy wróciła z torebką w jednej ręce, a telefonem w drugiej. – Zabiegałam o tę rolę jak opętana, a teraz nie ma mnie na próbie. Daj mi kluczyki do auta, może jeszcze zdążę – zwróciła się do Rafała.

Złapała je w locie i wybiegła do przedpokoju. Przez chwilę słychać było, jak szarpie się z drzwiami.

Julia też wstała. Wykorzystując zamieszanie, sięgnęła po talerz i nałożyła sobie kilka przekąsek przygotowanych przez Beatę.

– Nikt stąd nie wyjdzie, wszystko jest zamknięte – zakomunikowała ze spokojem, wracając na miejsce za stołem. – Prosiłam, żebyś usiadła – powtórzyła.

Pilar zachowywała się, jakby była w transie. Odskoczyła od drzwi i pobiegła do ogrodu. Zniknęła na chwilę z ich oczu, jednak zaraz wróciła, jeszcze bardziej wściekła niż minutę temu.

– Co jest? – zagadnął ją Rafał. – Silnik nie odpala?

– Przed domem jest pełno glin. Słyszysz, twoi tam stoją! Rusz się i zrób coś.

Podniósł się i zgasił papierosa w zlewie.

– Bez nerwów, *caramelo*, załatwię to.

Zanim wyszedł, obszukał kieszenie płaszcz, który zostawił przerzucony przez poręcz schodów. Swoją policyjną legitymację zawsze

miał pod ręką. Na wszelki wypadek, taki jak ten.

Do furtki nie było daleko, wystarczyło kilka dłuższych kroków. Pilar stanęła na progu kuchni, nasłuchując rozmowy, która miała być formalnością. Na dźwięk słów „co, glina glinie nie pomoże?” wyciągnęła z zacięciem szyję. Rafał zaczął łagodnie, ale po chwili jego ton zmienił się całkowicie. Kiedy puścił wiązaną przekleństw, Pilar skrzywiła się z niesmakiem i wróciła do kuchni.

On też wrócił. Pchnął z wściekłością rozsuwane drzwi, jakby nie zdołał zmieścić się w pozostawionym przez Pilar przejściu. Tuż za nim wszedł Górny. Dwóch innych funkcjonariuszy pilnowało przed bramką wejścia na posesję.

– Poznajesz gościa, Pilar? – Rafał wskazał brodą Górnego. – Przyczepił się jak gówno do buta. Razem z tą aktoreczką. – Spojrzał z pogardą na Julię.

Znowu sięgnął po papierosa. Zaciągnął się, spalając marlboro niemal do połowy.

– Nie wiem, o co tu chodzi, ale chcę zobaczyć się z synem – odezwała się Beata. – Muszę z nim porozmawiać, na pewno jest przerażony. To oburzające, że wciągnęła pani w to dziecko.

– Nic mu nie będzie. – Julia zamknęła drzwi prowadzące na korytarz, by mieć pewność, że rozmowa nie wyjdzie poza ściany kuchni. – Teraz się przebiera. W sukience i peruce zapewne nie jest mu zbyt wygodnie.

– Żeby zmuszać go do takich wygłupów...

– Piotruś lubi się wygłupiać. A to przecież była zabawa. Umówiliśmy się, że przedstawienie będzie krótkie, a przy okazji pani syn spełni obietnicę, którą złożył Josefie.

– Josefa od dwóch dni buja w przestworzach – burknęła Pilar. – Jeśli ten mały znów sobie roi, że babka na niego patrzy, to mogę mu w jasny sposób wytłumaczyć, gdzie zmarli mają żywych. A tym bardziej jakieś dziecinne obietnice.

Julia chwyciła pozostawioną na stole latarkę, która jeszcze niedawno służyła jako teatralny rekwizyt, i zaczęła bawić się włącznikiem.

Pstryk, pstryk.

– Każdy wierzy w to, w co chce wierzyć – odparła. – Dla chłopca więź z Josefą jest ważna. Oboje długo czekali na to, żeby wyjawic, w jaki sposób doszło do śmierci jego siostry. Niestety, poprzednia próba opowiedzenia tej historii zawiodła.



Pstryk, pstryk.

– Nie wiem, o czym pani mówi. – Rafał wypuścił z płuc chmurę szarego dymu.

– O kobiecie ze studni. Tej, którą chciał pan zalać betonem. Ona była tą pierwszą próbą.

– Doszło do fatalnego zbiegu okoliczności. Nie widzę żadnego związku z moim synem.

– Nie widzi pan. Szkoda. Elena Sawczuk, pracownica przedszkolnej stołówki, została wybrana przez pana syna na powiernicę jego tajemnic. Jak się okazało, pechowo. Kiedy dowiedziała się o tym, co stało się w pańskiej rodzinie, zginęła. I to jest rzeczywiście fatalny zbieg okoliczności, panie Morawski.

Pstryk, pstryk.

Patrzył na nią spod przymrużonych powiek, z odchyłoną głową, uniesioną w geście dominacji.

– Chce mnie pani przestraszyć czy rozśmieszyć?

– Nie widzę tu nic zabawnego. Rodzina kolejnej ofiary, Aleksandry Majewskiej, też nie pęka ze śmiechu, zapewniam pana.

– Już wam mówiłem, nie znam sprawy. – Wypuścił dym, tym razem przez nos.

– Szkoda, bo to kolejny zbieg okoliczności, do tego bardzo ciekawy. Ginie druga z pracownic przedszkola, do którego uczęszcza pański syn. Ciało zostaje znalezione w strumieniu. Zginęła tak jak pańska córka, w wodzie. Jak rozumiem, wciąż mówimy o przypadkowym splocie nieszczęść. Dorzucę więc jeszcze jedno do kompletu: odciski pańskich butów w miejscu znalezienia zwłok.

– Jawna manipulacja.

Julia zadumała się.

– Zawsze mnie zadziwiało, co ludzie trzymają na swoich strychach i w garażach. Same skarby. Ale niektórych z nich lepiej się pozbyć. No chyba że chce się mieć problemy. Pan je ma, panie Morawski.

– Może już starczy tych pogrózek – warknął.

Julia zwróciła się przepaszajaco do Dolores:

– Wiem, że to konsolacja po zmarłej, ale musi mi pani wybaczyć. Miałam nadzieję, że załatwimy to sprawnie z uwagi na okoliczności. Wygląda jednak na to, że trochę tu posiedzimy.

Kobieta machnęła ręką.

– Niech pani robi, co musi. Przyszedł czas, by powiedzieć prawdę i zakończyć ten koszmar. Mojej matce też na tym zależało, mogę więc siedzieć tu choćby do rana.

– A ja wprost przeciwnie – zareagowała natychmiast Pilar. – Ta sprawa mnie nie dotyczy i mam prawo stąd wyjść. No chyba że mnie też się o coś oskarża, ale jakoś nie słyszę zarzutów.

– Ja ciebie oskarżam – odezwała się Beata. – Najwyższa pora, żeby powiedzieć to na głos, bo już niczego się nie boję. Przeklinam dzień, w którym po raz pierwszy przekroczyłaś próg mojego domu. Odebrałaś mi wszystko. Konsekwentnie, kawałek po kawałku. Zaczęłaś od niego. – Wbiła wzrok w Rafała. – Głupca, który dał się zwieść twoim słodkim zaklęciom.

– Co za bełkot... – Pilar roześmiała się sztucznie.

– Szybko jednak zorientowałaś się, że wcale nie jesteś najważniejsza. Przyznaj, że ulżyło ci, kiedy trumna z moją córką spłynęła do grobu.

– Co to za idiotyczna insynuacja?!

– Rafał miał o jednego człowieka do kochania mniej, i to tego najdroższego. Tyle razy chciałam powiedzieć komuś prawdę. Kiedy trafiłam do szpitala z rozbitą głową, wiedziałam, że ten moment nadszedł. Jednak znowu byliście szybsi. Dolores wywlekła mnie ze szpitala, żebym nie zeznawała przeciwko wam. Że niby znów wszystko rozejdzie się po kościach. Chciałaś, żebym milczała – zwróciła się do byłego męża.

– Teraz też powinnaś – odparł sucho.

– Nie mam zamiaru. Ty i ona – wskazała głową Pilar – jesteście siebie warci.

Julia siedziała z założonymi rękami, wsłuchując się w słowa Beaty. Tylko co jakiś czas spoglądali na siebie z Górnym w oczekiwaniu na nieuchronne.

– Ale to już koniec – westchnęła z ulgą Morawska. Potarła przy tym czoło, na którym wybiła rana po uderzeniu o kuchenny zlew. – Przyszedł czas rozliczenia.

– Otóż to – przytaknęła skwapliwie Julia. – Nie ma to jak rozliczenie. Dlatego komisarz Górny poinformuje teraz panią o jej prawie do odmowy składania zeznań. Nie musi pani odpowiadać na pytania, które mogą ją obciążyć w sprawie o zabójstwo córki oraz pozostałych dwóch kobiet.

Pobladła. Z sekundy na sekundę twarz Beaty stawała się coraz bardziej przezroczysta. Chyba się przesłyszała? Może znów coś ją omamiło, tak jak

wtedy, gdy wydawało jej się, że widzi zjawę. Wówczas nikt nie zareagował, ale teraz... Teraz wszystko wyglądało zgoła inaczej. W całe jej ciało wbijały się ostrza ich spojrzeń. Pełne pogardy i niedowierzania.

Chciała coś powiedzieć, ale słowa ugrzęzły jej w gardle. Lepiej było milczeć. Kiedy Górny stanął za jej plecami, tylko spuściła głowę.

– Nie róbcie tego – odezwał się Morawski. Ton jego głosu jak na sytuację był wyjątkowo spokojny. – To wszystko da się wyjaśnić. Zaszło jakieś horrendalne nieporozumienie.

Górny położył dłonie na biodrach i popatrzył na pochylony kark Morawskiej.

– Nie sądzę. Jak rozumiem, próbuje pan chronić tę kobietę, ale rycerskość w tym wypadku się panu nie opłaci.

– Jest matką moich dzieci. To chyba oczywiste, że nie chcę dla niej krzywdy.

– Za to ona chce krzywdy dla pana. Cały misterny plan, jaki ułożyła pańska była żona, miał zaprowadzić pana przed sąd, by dostał pan dożywocie. Ona zaś wyszłaby z tego nawet niedraśnięta.

– Nie macie dowodów – brnął dalej Morawski. – Co to było, odcisk buta? Chcę zobaczyć ekspertyzę.

– Z badania na zawartość soli karnalitowej w płucach Majewskiej również?

– To lek na skórę. Sprzedawany jest masowo.

– Majewska nie chorowała, w przeciwieństwie do waszej córki. Rozpuszczone kryształki wypełniły jej płuca, kiedy trzymano jej głowę pod wodą. Śladowa ilość, która musiała pozostać w basenie po tym, jak spuszczone z niego wodę. Pańska żona tego nie przewidziała. Po wszystkim zawiozła ciało nad strumień i tam je porzuciła, symulując zbrodnię w lesie. Zanim do tego doszło, upozorowała gwałt. Nadal chce się pan bawić w jej obronę?

Twarz Morawskiego wykrzywiła się.

– Gwałt?

– Ofiara już wtedy nie żyła. Zbezczeszczono zwłoki.

Rafał patrzył w osłupieniu na kobietę, którą znał jak nikogo na świecie. A przynajmniej tak mu się jeszcze chwilę temu wydawało.

– Coś ty najlepszego zrobiła... – wykrztusił.

– Penetracji dokonano za pomocą obłego przedmiotu, przypuszczalnie jednej z zabawek – wyjaśnił Górny. – W garażu znaleźliśmy plastikowe

kręgle, brakowało jednego do kompletu. Była za to plama moczu. Po kilkunastu godzinach przetrzymywania ofiary musiało do tego dojść. Ile ją pani tam trzymała, pani Morawska? Do drugiej nad ranem? Ludzki pęcherz nie jest z gumy, chyba pani o tym zapomniała. Majewska oddała więc mocz pod siebie. Wystarczyło polać plamę czymś, co ją rozpuści i usunie z podłogi. Ale o tym też pani nie pomyślała. Może zajęta była pani mierzeniem starych butów męża, żeby porobić ślady nad potokiem, a może układała sobie w głowie jakiś wiersz lub nekrolog? Tyle rzeczy było do zorganizowania, a czasu tak mało. Człowiekowi siadają wtedy nerwy i popełnia błędy. A do zbrodni trzeba mieć nerwy ze stali.

– Zabiłaś dwie kobiety? – Pilar się poruszyła. Wciąż nie rozumiała sytuacji. – Co one ci takiego zrobiły, ty... ty...

Beata ani drgnęła. Pilar chwyciła zaś leżącą na lodówce gazetę i powachlowała się nią.

– Niedobrze mi. Co za syf... Nie ważcie się mnie w to wciągać. Moje nazwisko ma być czyste, rozumiano? Wszystko, na co pracowałam latami... Nie chcę mieć z tym nic wspólnego! Ani z tobą – rzuciła Rafałowi w twarz. – Właśnie pokazałeś, na kim ci naprawdę zależy. Ale wiesz co? Wisi mi to. Zabieraj to tanie świece i znikaj z mojego życia. – Pilar zsunęła z palca pierścionełki i rzuciła go na stół. Przeturlał się przez blat i spadł gdzieś na podłogę. – I żeby była jasność co do waszych dzieci: nie wiem, co zrobiliście z tą małą, ale nigdy mi nie przeszkadzała, o ile trzymała się ode mnie z daleka. Obcych smarkaczy nie lubię, ale krzywdy nigdy bym im nie zrobiła. To przedstawienie w ogrodzie... tak właśnie zginęła? Docisnęłaś jej głowę na dno basenu, żeby zabić? – zapytała Beatę. – Pewnie, że to zrobiłaś. Jaką trzeba być suką, żeby utopić własną córkę!

Morawska wyprostowała ramiona. Znów była opanowana, jakby to, co działo się teraz w jej domu, było tylko kolejną odsłoną granego tego popołudnia spektaklu, po którym cicho opadnie kurtyna.

– To miał być odwet za zdradę – wytłumaczyła za nią Julia. – Cios za cios. Uderzenie w najczulszy punkt. Nie ona pierwsza to zrobiła.

– I to ma ją usprawiedliwić? – Pilar niemal zapiszczała. – Ludzie ciągle się zdradzają. Gdyby za każdym razem mieli się mścić na sobie w ten sposób, wyginęłoby pół świata!

– Tłumaczę mechanizm, nie zbrodnię. Śmierć małej królewny była najdotkliwszą karą, jaką mógł ponieść mąż pani Morawskiej. Skoro on

odebrał jej pełną rodzinę, ona odebrała mu kogoś, kogo kochał ponad wszystko. Miał cierpieć.

– Mówiłam: wariatka! I co, ulżyło ci, mamusku?

Beata nadal milczała. Siedziała niewzruszona, wpatrując się w ścianę.

– Co będzie z Piotrusiem? – zapytał Rafał. – On przecież wie...

– Wie tylko o Karince – potwierdziła milcząca dotąd Dolores. – Tak jak ja wiedziałam, i pan też. Josefa też znała prawdę, nie rozumiała tylko, dlaczego te dwie kobiety z przedszkola wciąż milczą, zamiast zgłosić sprawę na policję.

– Wychodzi na to, że tylko ja żyłam w nieświadomości – wtrąciła się Pilar. – Przez siedem miesięcy żadne z was nie puściło pary z ust.

– To dla dobra chłopca – wyjaśniła Dolores.

– Żeby za wszelką cenę miał matkę? – spytała kpiąco Pilar. – Nieważne, że rękami, którymi zabiła jedno z dzieci, przytulałaby drugie? Serio, Rafał, ty też tak myślałeś? No pewnie, że tak... w końcu Piotrusia aż tak nie kochałeś.

– Kochałem je jednakowo.

– Kogo chcesz oszukać? Piotruś był na szarym końcu. Był synkiem mamusi, nie twoim. Twoja była Karinka. To dlatego w końcu nie wytrzymałeś.

– O czym ty mówisz?

– O tym, że czekałeś długie miesiące, by się w końcu rozliczyć z Beatą za śmierć tej małej. A ja, przez ten cały czas, kiedy twoja eks leżała w szpitalu, myślałam, że poszło wam o szantaż z rysunkiem. Machała mi nim przed nosem i groziła, że wykorzysta go, o ile z tobą nie zerwę. A potem doszedł jeszcze ten cholerny nakaz rewizji. Ludziom w takich sytuacjach puszczają nerwy. Przyłożyłeś jej i połała się krew. Tymczasem chodziło o odwet. Nie rozumiem tylko jednego. Po co kazałeś mojej matce wyciągnąć tę wiedźmę ze szpitala? Tylko mi nie mów, że Piotruś potrzebował opieki, bo w to nie uwierzę.

– Tamtej nocy nie miałem pojęcia, gdzie jest mój syn. Tylko ona wiedziała, co się z nim stało. Bałem się, że...

– Jego też zabiła i ukryła gdzieś ciało, by cię pogrążyć już do końca? – dokończyła Pilar. – Ta kobieta zdolna jest do wszystkiego.

– Długo nie chciała mówić. Dlatego zamknąłem ją w starym domu przy Prozy. Kiedy w końcu powiedziała, że mały jest bezpieczny, zabrałem ją do nas. Nie stanowiła już zagrożenia, ale wolałem mieć ją na oku.

– Obchodziłeś się z nią jak z jajkiem! Aż tak gryzło cię sumienie po tym, jak rozwaliłeś jej głowę?

– Pan Morawski nikomu nie rozwalił głowy – wtrąciła Julia. – Nawet go tu nie było. Jak wspomniał komisarz Górny, plan pani Morawskiej zakładał dokładnie to, o czym powiedziałaś, Pilar. Że wina za pobicie spadnie na jej męża. Wystarczyłoby złożyć pisemną skargę i zrobić z siebie ofiarę. Obdukcja nie zostawiłaby przecież żadnych wątpliwości co do obrażeń ciała.

– Jak w takim razie...

– Doszło do samookaleczenia.

Pilar najpierw milczała, próbując zrozumieć to, co właśnie usłyszała, po czym podeszła do Morawskiej i nachyliła się nad jej ramieniem.

– Mściwa, żalсна desperatka – wysyczała jej do ucha. – Powinnaś trafić do pokoju bez klamek. Albo wiesz co? Najlepiej byłoby, gdybyś tak uderzyła tym swoim łbem, żeby nie było czego po tobie zbierać.

– Wystarczy, Pilar! – powstrzymał ją Rafał. – Zostaw ją i uspokój się. Wszyscy się uspokójmy. Na górze jest Piotruś, nie powinien słyszeć tego, co się tutaj dzieje.

Beata wreszcie się poruszyła. Odgięła do tyłu głowę i zaniósła się udawanym śmiechem.

– Nagle zacząłeś się troszczyć o syna? Jakoś nie myślałeś o dzieciach, kiedy znikales na noc, by się zabawiać z tą swoją operową diwą. Ty, Pilar, też sobie daruj. Chcesz mnie uczyć moralności? Jesteś ostatnia, która miałaby do tego prawo.

Chciała dodać coś jeszcze, ale zamilkła na widok wilgotnych oczu Dolores. Niania już nawet nie próbowała ocierać powiek i pozwoliła łzom płynąć po policzkach.

Julia poklepała dobrotliwie dłoń kobiety.

– Wiem, co pani czuje, ale proszę się nie obwiniać. Matki dorosłych dzieci nie odpowiadają za ich błędy. Wiedzieli, co robią, i zrobili to świadomie.

Dolores pokręciła głową.

– Przez ten romans zginęło niewinne dziecko. Wciąż sobie wyrzucam, że mogłam coś zrobić, żeby do tego nie doszło.

– Nie mogła pani. Nikt nie mógł. Ale wciąż możemy pomóc Piotrusiowi. Wszyscy już sobie poradzili ze śmiercią dziewczynki, tylko nie

on. Dlatego odtworzenie momentu zabójstwa było takie ważne. Desperacko próbował o tym komuś opowiedzieć. O tym, co zrobiła jego mama.

Sztuczny uśmiech zniknął z twarzy Beaty tak samo szybko, jak się pojawił.

– Mój synek tak pani powiedział? – spytała z przerażeniem i niedowierzaniem. – Że chce mnie rozliczyć za śmierć Karinki?

– Piotruś nie rozumie słowa „rozliczenie”. Jest na to za mały. Widzi rzeczywistość i opisuje ją tak, jak potrafi.

– Oczywiście, jak potrafi... A może mówi to, co wy chcecie usłyszeć? Niebywałe, z jaką łatwością posłużyliście się moim dzieckiem. Chcecie zrobić sobie z niego świadka? Wykorzystać sześciolatniego chłopca? Przebraliście go już w koronki i sukienkę jak jakąś kukłę, ale nadal wam mało. Teraz przyszedł czas, by zmusić go do mówienia o czymś, o czym nie ma pojęcia. Nauczycie go, co ma zrobić i jak myśleć. Zapomnieliście tylko o jednym. Mój syn nigdy nie skłamię. Może nie byłam idealną matką, ale tego nauczyłam oboje: zawsze mówić prawdę i nigdy nie kłamać.

– Brawa dla mamuski. – Pilar klasnęła trzykrotnie w dłonie. – Szkoda, że jedno z twoich uczniów nie przeżyło.

Morawska rozejrzała się po twarzach zgromadzonych.

– Chcecie znać prawdę? Tak, Karinka zginęła przeze mnie. Przez moją nieuwagę. Miała wejść do basenu na kilka minut, kiedy już sól karnalitowa zaczęła działać. Sypałam jej dużo, bo skóra mojej córki była w złym stanie. To chyba oczywiste, że chciałam ją szybko wyleczyć. Miała takie brzydkie czerwone plamy. Atopowe zapalenie. Ciężko się z tym żyje. Spuściłam ją z oka tylko na chwilę. Wróciłam po coś do domu, a gdy wyjrzałam do ogrodu, ona już się nie ruszała. Musiała się zachłysnąć i stracić równowagę. Na tym moja wina się kończy. Piotruś, jak widać, nie umiał sobie poradzić ze stratą siostry. Zaczął rozpowiadać, że to ja zabiłam. Potem wszystko potoczyło się w złą stronę.

– Czyli że na darmo robiliśmy teatr cieni? – upewniła się Julia. – Pani syn się pomylił?

– To moja wina. Powinnam mu to wszystko wyjaśnić, zanim uruchomił wyobraźnię. Stała się rzecz straszna. Jedno, co mnie pociesza, to fakt, że nie widział, jak tonie. Kiedy doszło do tragedii, był u siebie, na górze. W łóżku.

– Nie, pani Morawska. Przez cały ten czas siedział w domku na drzewie. Wymknął się z pokoju do swojego pirackiego okrętu i ćwiczył

z latarką alfabet Morse'a. Nie wiedziała pani, że codziennie uczył się wysyłać sygnały? Tamtego wieczora też tak było. Może gdyby nie to, śmierć Karinki stałaby się rzeczywiście tylko zwykłym wypadkiem podczas leczniczej kąpieli w solance. Nikt by się o niczym nie dowiedział. Jednak był tam, mały świadek okrutnej zbrodni. Co takiego zobaczył? Matkę, która przytrzymuje głowę jego siostry pod wodą i odchodzi, pozostawiając ją nieżywą. Widział pani spokój, jak chodzi pani po ogrodzie i nawołuje córkę, udając, że jej szuka. W końcu jak po długich minutach wyciąga pani ciało na trawę i stoi nad nim, dzwoniąc po pogotowie. Wrócił do swojego pokoju, kiedy w ogrodzie zrobiło się cicho po tym, jak lekarze i policja już odjechali. Nie rozumiał, co zaszło. Wytłumaczył sobie, że Karinka narozrabiała, bo nie chciała się kąpać, i gdy usnęła, obcy panowie zabrali ją stąd za karę. Jak się domyślam, nie od razu zapytał panią dokąd ani na jak długo.

– Pewnie bał się, że jego też skrzywdzisz za to, że zwiął z łóżka i podglądał wszystko z drzewa – wtrąciła się Pilar. – Mały rozumek, a jednak wyczuł niebezpieczeństwo. Skoro Karinka umarła, on też mógł.

– Dzieci w wieku Piotrusia nie rozumieją zjawiska śmierci – sprostowała Julia. – Dlatego też nie do końca rozumiał, czym jest pogrzeb, kiedy już do niego doszło.

– Czekał, aż Karinka wstanie wreszcie z trumny – odezwała się Dolores. – Serce mi pęka na wspomnienie tego, jak bardzo był przerażony, gdy zamykano wieko. Chciał je podważyć, pootwierać zamki... Potem zaczął uderzać w trumnę pięściami. Wymyślił sobie, że w ten sposób ją obudzi. Nie chciał słuchać matki, kiedy tłumaczyła mu, że już więcej się nie zobaczą, bo jego siostra odeszła na zawsze. To było takie potworne patrzeć wtedy na jego twarz...

– Nagle zabrakło najbliższej mu osoby – zgodziła się Julia. – Zareagował więc tak, jak umiał. Instynktownie. Przecież wszyscy wiemy, jak funkcjonują bliźnięta. Nie znoszą rozłąki, a już na pewno nie takiej, która miałaby trwać wiecznie. Piotruś musiał sobie jakoś z tym poradzić. Jedyne, co był w stanie zrobić, to wypracować w sobie mechanizm zaprzeczenia. Odrzucił rzeczywistość, nie przyjął do wiadomości tego, co powiedziała mu matka. Jej słowa o definitywnym odejściu siostry uznał za kłamstwo. Ta, która uczyła go mówić tylko prawdę, zawiodła. Musiał więc znaleźć kogoś, kto powie mu to, w co wierzył: że Karinka wróci. W ten sposób jako pierwsze dowiedziały się o tym pani i pani matka – zwróciła



się do Dolores. – Ufał wam i wyznał, co zobaczył ze swojego domku na drzewie. Pani zaś przekazała to panu Morawskiemu, który postanowił milczeć. W końcu gdyby nie romans z Pilar, do rodzinnego dramatu by nie doszło. Zapewne nie pomyślę się, mówiąc, że on też czuł się winny jej śmierci.

– Nigdy nie zapomnę dnia, w którym to usłyszałam – przyznała łamiącym się głosem Dolores. – Minęły dwie doby od pogrzebu, jak poszliśmy na cmentarz. Ja, moja matka i Piotruś. Chcieliśmy zapalić znicze, bo tamte, poprzednie, na pewno już zgasły. Postawiliśmy lampki na płycie i zaczęliśmy się z matką modlić. Wtedy Piotruś, zamiast odmawiać pacierz, zrobił to po raz pierwszy. Położył dłoń na swojej twarzy i docisnął ją mocno. Powiedział: „mama jej tak zrobiła”. Zamarłam. Spytałam, co robi. Powtórzył te same słowa: „mama jej tak zrobiła, mama uśpiła Karinkę”. Potem dodał, że Karinka machała rączkami, ale w końcu przestała. Po tym zdarzeniu moja matka zaczęła chorować. Z miesiąca na miesiąc opadała z sił. Nie potrafiła żyć ze świadomością tego, co się stało. To było dla niej zbyt trudne. Zaczęła mieć zwidy, wciąż przywoływała tę biedną małą. Chciała ją przeprosić za to, co się stało, choć przecież ona sama w niczym nie zawiniła.

– Jednak ani Josefa, ani pani nie chciałyście konfrontacji z policją.

– Tak, to prawda. Do tej pory nie mogę sobie tego wybaczyć. Za bardzo zależało mi na utrzymaniu pracy, a moja matka... starzy ludzie nie lubią być ciągnani po sądach, zwłaszcza jeśli nie znają dobrze języka.

– Dlatego wpadła na pomysł, by wtajemniczyć w śmierć dziewczynki kogoś spoza najbliższego kręgu rodziny – podpowiedziała Julia. – Musiała to być jednak osoba, której los dzieci nie jest obojętny. Padło na pracownicę przedszkola, kucharkę Elenę Sawczuk. Piotruś sam ją wybrał. Gdy wrócił po wakacjach do placówki, opowiedział jej, co się stało. Elena nigdy jednak nie dotarła na policję.

– Uznała, że mały kłamie? – wtrąciła się Pilar.

– Mogę jedynie zgadywać, że wolała nie działać zbyt pochopnie. Dzieci mają bujną wyobraźnię i lubią wymyślać niestworzone historie. Jeśli spojrzeć na statystyki, do niespodziewanych zgonów dzieci dochodzi najczęściej w gospodarstwach domowych i nie są wynikiem zabójstw, lecz zwykłych wypadków. Nieszczęśliwych, ale jednak wypadków. Szum wokół sprawy mógł więc okazać się zupełnie niepotrzebny. Uznała, że lepiej

będzie porozmawiać o tym najpierw z matką dzieci. Tak było, pani Morawska? Spotkałyście się i padły niewygodne pytania?

Beata łypnęła okiem, ale nie zamierzała niczego potwierdzać.

– Kiedy do pani Morawskiej dotarło, że jej paskudny sekret może wyjść na jaw, postanowiła działać. Sawczuk musiała zostać wyeliminowana i zniknąć raz na zawsze. To, że była emigrantką zarobkową, ułatwiało sprawę. Przebywała w Polsce sama, bez rodziny, więc kto miałby zgłosić jej zaginięcie? Zwłaszcza że do dyrekcji przedszkola przyszedł wysłany z telefonu Sawczuk esemes, w którym złożyła rezygnację z pracy. Sytuacja była więc czysta, zero podejrzeń, że dzieje się z nią coś niepokojącego.

– No a bliscy tej kobiety? – spytała Pilar. – Co z tego, że nie mieszkali w Polsce? Ludzie przecież się ze sobą kontaktują.

– Rodzina ofiary być może wciąż dostaje od niej wiadomości. Regularne esemesy z informacjami, że wszystko jest w porządku.

– Niby jakim cudem? – zareagował Morawski. – Absurd. Beata musiałaby znać hasło do jej komórki.

– Wystarczy odcisk palca. Na przykład wskazującego. Podczas wydobywania ciała ze studni nie znaleźliśmy jednego paliczka.

Morawski znieruchomiał.

– Powiedz, że to nieprawda – wybełkotał, zacisnąwszy ręce na oparciu krzesła. – Nie wierzę, że byłabyś do tego zdolna... Kurwa, Beata, odezwij się!

Obróciła się w jego stronę.

– Co chcesz ode mnie usłyszeć? Że co tydzień ślę im pozdrowienia z Warszawy i dołączam jakieś stare zdjęcie tej Rosjanki?

– Ukrainki – poprawiła ją Julia.

– Co za różnica. – Wzruszyła ramionami. – Tak, wysyłam im esemesy i co jakiś czas zdjęcie. Napstrykała sobie tyle selfie, że wystarczyłoby ich na kolejny rok.

– I tamci ludzie cały czas żyją w przekonaniu, że ta Elena ma się świetnie? – Pilar zakryła w przerażeniu usta.

– Nie chciałam ich krzywdzić. Nikogo, ani tej kobiety, ani jej rodziny. Po prostu się wystraszyłam i sytuacja wymknęła się spod kontroli. Nie róbcie ze mnie potwora!

– Stworzyła go pani własnymi rękami – odparła Julia. – À propos ręki. Gdzie jest ta brakująca część palca? Trzyma ją pani w parafinie?

Morawska przesunęła wzrokiem po kuchni i zatrzymała go na wbudowanej pod lodówką zamrażarce. Górny ruszył w tę stronę, szarpnął drzwiczkami i zaczął przeglądać zawartość. Niezamknięte opakowanie mrożonych owoców wysliznęło mu się z dłoni i kilka zbrylonych truskawek potoczyło się po podłodze.

– Pojemnik do badania moczu – odpowiedziała z rezygnacją Morawska. – Po prawej, na samym końcu półki.

Nie miał przy sobie rękawiczek. Oddał więc z rolki papierowy ręcznik i owinął nim szczelnie przezroczyste pudełko z czerwonym wieczkiem. Wyszedł przed dom i przekazał je czekającym na zewnątrz policjantom.

– Jak do tego doszło? – spytała Julia, gdy Górny pojawił się z powrotem w kuchni. – Zwabiła ją pani do siebie, ogłuszyła i przewiozła skrepowaną na Prozy?

– Nie. Było zupełnie inaczej. Sawczuk przyjechała tutaj któregoś popołudnia, zaraz po pracy. Byłam w domu sama, Piotruś wyszedł gdzieś z Dolores, chyba do księgarni po nową książkę o Neli. Rozmowa nam się nie kleiła, ale jak już powiedziałam, nie chciałam zrobić Sawczuk krzywdy. W ogóle o tym nie myślałam. Nawet wtedy, gdy zaczęła mi zarzucać, że Karinka zginęła przeze mnie. Liczyłam, że się uspokoi, kiedy zapewniłam ją, że to był nieszczęśliwy wypadek. Stało na moim zaniechaniu i tak miało pozostać. Wszystko było pod kontrolą, zaproponowałam jej nawet, że odwiozę ją do domu. Początkowo nie chciała, mówiła, że złapie autobus i za jakieś dwie godziny dotrze na miejsce. Zapytałam ją o adres. Okazało się, że to kawałek drogi, druga strona Wisły, podwarszawskie Marki. Tym bardziej zaczęłam ją namawiać na podwózkę. Miałam nadzieję, że ta podróż zmieni jej nastawienie do mnie. I tak się stało, z tym że nie w taki sposób, o jaki mi chodziło. Sawczuk zdecydowała, że jednak zgłosi sprawę na policję, żeby to mundurowi podjęli decyzję, co z tym zrobić. Bąknęła coś o tym, że chce mieć czyste sumienie. Siedziałyśmy już wtedy w aucie. Dużo mówiła, ale ja przestałam jej słuchać. Chciałam się jej pozbyć, i to jak najszybciej.

– Zabić? – spytała Julia.

– Nie. Kupić. Za pieniądze. Wiedziałam, że ich potrzebuje. Ale pieniądze kiedyś się kończą. Mogłaby mnie szantażować i żądać ode mnie coraz więcej. Lepsze było nastraszenie jej deportacją. Niewiele trzeba, by kogoś oskarżyć i zrobić z niego oszusta lub złodzieja. Takich ludzi nie

chcemy mieć przecież u siebie. Było mi obojętne, która metoda poskutkuje. Ważne, żeby trzymała język za zębami. Kiedy wjechałyśmy w Marymoncką, już po kilkudziesięciu metrach zaczął się korek. Powiedziałam, że postaram się znaleźć jakiś objazd. Skręciłam w Podleśną i krążyłam po okolicy, próbując przebić się dalej. Spytała, gdzie jesteśmy i czy jeszcze daleko. Nie zauważyła, że nawet nie opuściliśmy dzielnicy. Zorientowałam się, że nie zna miasta. I wtedy to poczułam. Że nie muszę szukać trudnych rozwiązań. Mogłam wywieźć ją gdziekolwiek i nie miałaby pojęcia, gdzie się znajduje.

– Zawiozła ją pani na Prozy?

– Tak, prosto pod spalony dom. Powiedziałam, żeby zaczekała w aucie, a ja w tym czasie wyskoczę za potrzebą. Poszłam w głąb ogrodu. Celowo nie wracałam. Widziałam zza zarośli, jak zaczyna się niepokoić. Wyszła z samochodu i ruszyła w moim kierunku. Wołała mnie. Wyjęła z torby swój telefon. Bałam się, że chce zadzwonić po mojego męża lub pod sto dwanaście. Nim zaczęła wybierać numer, zaszła na tył domu, gdzie już nikt niczego nie widzi.

– Zaatakowała ją pani czym, kamieniem?

– Spalonym bierwionem. Uderzyłam w potylicę. Upadła. Zerwałam z niej bluzkę i podarłam na kilka pasów. Skrępowalam ją, do ust i nosa napchałam ziemi i powyrywanej trawy. Chciałam ją tam porzucić, w tym starym domu, i wrócić za kilka godzin. Żeby miała czas zastanowić się, czy aby na pewno chce złożyć ten donos na policję. Ocknęła się i zaczęła się szarpać. Wtedy puściły mi nerwy. Uderzyłam ponownie, dużo mocniej, i zawlokłam pod studnię.

– Zanim ją pani do niej wrzuciła, odcięła palec.

– Najpierw upewniłam się, czy jej telefon działa na odcisk linii papilarnych. Wzięłam kawałek stłuczonej szyby i odjęłam część palca z opuszką.

– Sawczuk wciąż żyła, kiedy spadała na dno szybu.

– Tak, żyła nawet później. Wciąż się ruszała, dość niemrawo, ale jednak. Widać było, że się męczy. Myślałam, że jak złamie kręgosłup albo uderzy głową o któryś z betonowych kręgów, to umrze na miejscu, ale tak się nie stało. Mogłam jedynie liczyć na to, że w końcu się udusi. Ziemia na pewno zalegała już w jej gardle.

– Porzuciła ją tam pani i odjechała.

– Wróciłam na drugi dzień, żeby sprawdzić, czy nadal tam jest.

– Była tam przez kolejne miesiące. I zostałyby na dłużej, gdyby pani mąż nie wpadł na pomysł zalania studni betonem i wybudowania na jej miejscu altany.

– Zrobił to dla mnie – odezwała się Pilar. – Ja mu kazałam. Wymyśliłam sobie, że w tej altanie weźmiemy kiedyś ślub. Miało być jak w amerykańskim filmie. Girlandy z kwiatów i białe zasłony powiewające na wietrze. Tylko że żadnego ślubu już nie będzie. Noga moja tam nie postanie. Na samą myśl o tym, że miesiącami w ogrodzie leżał czyjś trup, robi mi się słabo.

– Na tym morderstwie się nie skończyło – ciągnęła dalej Julia. – Przyszła kolej na Aleksandrę Majewską. Ale ona nie miała pojęcia, że Karinka zginęła z pani rąk. Zamordowała ją pani za nic. Mówiąc wprost, przez pomyłkę.

Morawski musiał sięgnąć po coś mocniejszego. W lodówce znalazł butelkę wódki. Nalał sobie do szklanki setkę i wypił jednym haustem.

– Jak można zabić kogoś przez pomyłkę?! – wrzasnął. – No jak, do ciężkiej cholery?!

Beata przemęła w gardle kilka niezrozumiałych słów, a potem już całkiem wyraźnie powiedziała:

– Tak, to była pomyłka. Kiedy to zrozumiałam, było już za późno.

– Byłaś aż tak zaślepiona zemstą, że nie rozpoznałaś twarzy? – Pilar pokręciła z niedowierzaniem głową.

– Dajcie jej mówić! – uspokoiła wszystkich Julia.

Morawska wstała od stołu i podeszła do kranu. Nabrała wody w dłoń i schłodziła nią twarz. Wylała ciekące krople w ścierkę.

– O tym, że Piotruś znów zaczyna się bawić z Josefą w tę ich grę, dowiedziałam się wkrótce po sprawie z Sawczuk.

– Przykładał sobie rękę do twarzy, pokazując, jak zginęła Karinka?

– Robił to ciągle. Każdego dnia bałam się, że powie kolejnej osobie o jej śmierci. I nie myliłam się. Tym razem była to jego wychowawczyni. Powiedział mi, że kocha ją tak samo, jak kochał tę kucharkę. Wtedy dotarło do mnie, że to jeszcze nie koniec, że wszystko znowu wraca. Nie miałam jednak pojęcia, ile ta kobieta wie. Musiałam ją wybadać. Okazało się, że wie wszystko.

– Dręczyła ją pani telefonami?

– Powiedzmy, że ostrzegałam, żeby nie zrobiła niczego głupiego. Jeden telefon na tydzień wystarczał. Siedziała cicho, ale zaczynałam mieć

już tego wszystkiego dość. Ile można żyć w strachu?

– Postanowiła ją pani zlikwidować?

– Nie miałam wyjścia, to trwało już zbyt długo. Zobaczyłam ją miesiąc temu, kiedy odbierałam Piotrusia po zajęciach w przedszkolu. – Morawska oparła się o zlew. – Zwykle to Dolores przywoziła go do domu, ale odkąd między nami przestało się układać, jeździłam po niego osobiście. Nie szła sama, była z nią druga kobieta. Piotruś wskazał na nią palcem, ale nie widziałam ich twarzy, szły odwrócone plecami. Zresztą i tak bym ich nie rozpoznała. Zazwyczaj odbierałam syna z rąk asystentek przedszkolnych, nie od wychowawczyni. Kiedy wsiadły do auta, ruszyłam za nimi. Piotruś nie zwracał uwagi na to, co się dzieje. Siedział z tyłu i śpiewał jakąś piosenkę, której nauczył się tamtego dnia na rytmice.

– Pojechała pani za nimi aż pod dom?

– Tak, na Wilanowską. Wsiadły z auta. Pożegnały się na chodniku i jedna z nich odeszła. Widziałam, jak kieruje się do osiedlowego sklepu. Druga obróciła się nagle w moją stronę. Patrzyła na mnie. Przyglądała się dziwnie, jakby chciała mi coś powiedzieć. Potem pomachała ręką. Zrozumiałam, że chodziło jej o Piotrusia. Zauważyła go. On też jej pomachał. Puściła mu całusa i znowu popatrzyła na mnie. Ale już inaczej, w tym spojrzeniu było coś przerażającego.

– Wiedziała, że straciła pani córkę. Dla kogoś, kto kocha dzieci, to jest przerażające. Pani jednak odczytała jej gest inaczej, całkiem błędnie. Zapamiętała pani jej adres i wróciła w sobotę siedemnastego marca.

Morawska kiwnęła głową.

– Wróciłam, chciałam mieć „drugą panią” z głowy. Nie mogłam pozwolić na to, by oskarżono mnie o zabójstwo. Pamiętałam kod, jakim otwierała drzwi. Tabliczka była podświetlona, widziałam wszystko wyraźnie. Pięć, jeden, dwa, siedem. Z nerwów pomyliłam tylko numer mieszkania, ale potem wcisnęłam już poprawny. Weszłam na górę. Tamta kobieta zdziwiła się na mój widok, ale wiedziała już, kim jestem. Nastawiła wodę na herbatę.

– Myślała, że przyszłaś się wyzalić po stracie dziecka? – zadrwiła Pilar. – Nie do wiary, że ludzie potrafią być tacy naiwni. A ty jak mogłaś być tak głupia, żeby nie upewnić się, na kogo wskazał palcem Piotruś? Dwie były, tak? Szłaś na oślep, byle kogoś zabić?

Morawska splotła ręce na piersiach.

– Nic więcej nie powiem. Nie przy niej.

– W takim razie ja powiem – powiedziała Julia. – Poszło szybko. Wystarczyło wrzucić do herbaty zwykłą pigułkę gwałtu, bo działa szybko i tak samo szybko odbiera świadomość. Do tego badanie krwi na obecność substancji GHB potwierdziłoby, że Majewska padła ofiarą napaści na tle seksualnym. Tylko że GHB nie utrzymuje się długo we krwi, znika po zaledwie kilku godzinach. Ale to detal. Wróćmy do chwili, w której Majewska zaczęła chwiać się na nogach. Dla pewności, że nie spróbuje się wymknąć z mieszkania, chwyciła ją pani za włosy i uderzyła o kant zlewu. Popłynęła krew, ale nie zamierzała jej pani jeszcze zabijać, nie teraz i nie w jej mieszkaniu. Na razie miała pozostać jedynie bezbronna i słaba. Potem ktoś niespodziewanie zadzwonił domofonem: dostawca z FreshMarketu. W kuchni jest dużo krwi, a na zegarze mało czasu. Ma pani nie więcej niż minutę, nim kurier zapuka do drzwi. Tyle czasu starczy, by rozsmarować maseczkę na twarzy, zarzucić na siebie szlafrok i zawiązać turban. Gdy już było po wszystkim, na kartonie z żywnością zobaczyła pani nazwisko Majewskiej. Wtedy dotarło do pani, że popełniła błąd. Nie jej pani szukała. Panika zaczęła się na nowo. Wiedziała pani, że gdzieś jest ta właściwa osoba, która się wymknie. Podsunęła pani Majewskiej pod nos telefon i kazała wybrać numer do tej właściwej. Miała przyjść zwabiona na Wilanowską, by uratować swoją przyjaciółkę. To była dla pani ostatnia szansa, żeby dokończyć swoje dzieło. Niestety, kobieta, zamiast przyjść do mieszkania Majewskiej, poszła prosto do siebie. Pewnie do tej pory zastanawia się pani dlaczego. Kiedy pani rozmawiała z dostawcą, Majewska resztkami sił spróbowała wezwać pomoc. Jedyne, co przyszło jej do głowy, to kuchenne okno. Jednak szansa na to, że ktoś przypadkowy zobaczy ją z ulicy, była praktycznie żadna. To w końcu czwarte piętro, mało kto zadziera głowę, by patrzeć w cudze szyby. Ręce miała już zbyt omdlałe, by przekręcić klamkę i wychylić się, wołając o pomoc. Zresztą krzyczeć też już nie mogła, pigułka zaczynała działać. Mogła za to zrobić coś innego. Ostrzec. Zanim osunęła się na podłogę, rozmazała na szybie krew. Liczyła na to, że na tle białej firanki będzie wystarczająco widoczna. I nie pomyliła się. Sygnał zadziałał. Kobieta, która miała stać się pani kolejną ofiarą, zrozumiała, że ma się trzymać z daleka od tego mieszkania. Dzięki temu przeżyła i co na pewno panią zmartwi, ma się świetnie – dodała Julia, ignorując zdziwione spojrzenie Górnego. – Co działo się potem? Wiedziała już pani, że jej plan zawiódł. Trzeba było jednak zająć się poturbowaną Majewską. Zostawić jej na podłodze pani nie mogła, ani tym bardziej

wynieść. Musiała więc zostać. Nieprzytomną i pokrwawioną ukryła ją pani w skrzyni łóżka, skrepiła od tyłu nadgarstki i zakneblowała na wszelki wypadek usta. Ryzyko, że ktoś wejdzie do mieszkania, było niewielkie, ale lepiej mieć wszystko pod kontrolą. Opłacało się. Kiedy do mieszkania weszli policyjni technicy, zastali tylko ciszę. Nikomu nie przyszło na myśl, że tuż obok znajduje się wciąż żywa kobieta. Uznano, że doszło do krwawej szarpaniny, spisano raport i zamknięto drzwi. Lokal znów był dla pani dostępny. Posługując się kluczami Majewskiej, miała pani do niego wrócić za kilka godzin, kiedy tabletki podane ofierze przestanie działać na tyle, by ustąpił paraliż ciała i by mogła sama wejść do windy. Żeby pozbyć się potencjalnych świadków, zamazała pani wizjer w mieszkaniu naprzeciwko. Gdy zapadł zmierzch, wyprowadziła ją pani i przywiozła tu, na Barcicką. Ciąg dalszy wszyscy już znamy.

Z piętra domu doszły ich łomot i skrzeczenie papug. Piotruś musiał zahaczyć o klatkę z ptakami, która spadła na podłogę.

Morawska poderwała się, by biec na górę.

– Spokojnie – zatrzymał ją Górny. – Płaczu na razie nie słychać.

– Co z nim będzie? – spytała.

– Już sobie poradził. To nie było nic poważnego.

– Nie o to pytam. Co z nim zrobicie?

– Oddamy go ojcu. Ma pełne prawo do opieki.

– Znienawidzi mnie, do tej pory zawsze był przy mnie. Mój mały synek...

– Zapewne nie doczeka się pani od niego kolejnej laurki na Dzień Matki. Ważne, żeby jakoś przetrwał proces.

– Ma zeznawać przeciwko mnie?

– Jest głównym świadkiem zabójstwa swojej siostry.

– To jeszcze dziecko!

– Dlatego po swoim opowie, co widział. Wyjaśni, na czym miała polegać zabawa, którą wymyśliła Josefa. Jak namawiał kobiety do wysłuchania tego, co stało się w basenie, i jak wkrótce potem ginęły one w niewyjaśnionych okolicznościach. Na razie jest przyblokowany, w sprawie śmierci Karinki porozumiewa się jedynie za pomocą sygnałów puszcanych z latarki. Bez obawy, wkrótce trafi w ręce dziecięcego psychologa.

Dolores poruszyła się na krześle.



– Ja też będę zeznawać – powiedziała zduszonym głosem. – Chcę to zrobić dla niego. Ten malec myśli sobie pewnie, że dorośli umieją tylko sprawiać zawód. Nie pomogłam mu, kiedy tego potrzebował. Ale błędy trzeba naprawiać. I jemu, i Karince należy się prawda. Potwierdzę w sądzie jego słowa.

Zerknęła na Morawską, która natychmiast zareagowała: położyła dłoń na piersi i pokręciła z niedowierzaniem głową.

– Tylko nie ty, Dolores. Nie możesz... Każdy, tylko nie ty... Byłaś po mojej stronie przez te wszystkie lata, kiedy znosiłam upokorzenia ze strony Pilar. Ty jedna mnie rozumiałaś.

– Rozumiałam. Dlatego namawiałam panią na rozwód, żeby zaczęła pani żyć na nowo, z godnością. Zasługiwała pani na szacunek. Wtedy jeszcze tak... Ja natomiast każdego dnia przeklinałam swoją córkę za to, co pani zrobiła. Siebie też, bo wszyscy, jak tu siedzimy, jesteśmy winni. Jednak pani posunęła się za daleko. Zazdrość wypaliła pani rozum. Jakby on jeden był na świecie. – Krótkie spojrzenie spod załzawionych powiek niani spoczęło na Rafale. – Przespać się z cudzym mężem to wielki grzech, ale żeby zabić niczemu niewinne dziecko? Była taka słodka i pełna życia. Nasza mała królowna...

Do kuchni zajrzał jeden z policjantów stojących przed domem. Górny dał mu sygnał, że rodzinne spotkanie, które ze zwykłej stypy przerodziło się w domowe pranie brudów, dobiegło końca.

– Pora na nas – stwierdził, stając przed Morawską.

Bez słowa wyciągnęła przed siebie ręce. Górny nie zamierzał zakładać jej kajdanek; ruszył w stronę wyjścia, trzymając ją pod ramię.

– Coś wymyślę, wytrzymaj – rzucił w jej stronę Morawski.

Pilar uśmiechnęła się żałośnie. Podniosła z podłogi pierścionek i położyła mu na dłoni.

– Sprzedaj go, będziesz potrzebował kasy na dobrego adwokata dla swojej byłej żony.

Chwyciła torebkę i płaszcz i wybiegła z domu. Na próbę w operze było już za późno, jednak nie to gnało ją przed siebie. Coś dusiło ją od środka, z trudem łapała oddech. Dawno nie czuła tak bezbrzeżnej rozpacz i wstydu. „Jestem winna jej śmierci... winna – dudniło jej w głowie. – Ta biała sukieneczka i blade usta... gdyby nie ja... gdyby nie moja durna próżność!”.

Nie oglądając się za siebie, popędziła prosto w ciemność ulicy.

Dolores również dźwignęła się z krzesła. Nie chciała, by Julia zawiozła ją do jej mieszkania ani by wzywała taksówkę.

– Przejdę się, to niedaleko – powiedziała grobowym głosem. – Potrzebuję ciszy.

– Nie tak miał wyglądać dzień pogrzebu pani matki. Przykro mi.

– Mnie też jest przykro – odparła.

Wyszła ogrodowymi drzwiami. Po drodze podeszła do stolika, na którym stała fotografia Josefy. Wzięła ją do ręki, przyjrzała się łagodnym oczom matki i schowała zdjęcie do torebki. Po chwili zniknęła na wąskiej ścieżce prowadzącej do furtki.

– Powinienem zajrzeć do syna. – Morawski potarł dłońmi twarz, jakby chciał rozmasować zmęczone napięciem mięśnie czoła i policzków. – Nie mam pojęcia, co mu powiedzieć.

– Ani ja – odparła Julia. – Może to, że wróci pan do domu i spróbuje być dla niego ojcem na pełen etat? Pańska narzeczona zapewne do was nie dołączy, więc zostanieie tu tylko we dwóch.

– Nie wiem, czy chcę tu wrócić. Może powinienem wyremontować stary dom przy Prozy.

– Żeby chłopiec dorastał ze świadomością, że jego matka zamordowała tam jedną z kobiet? Nie pomoże zrównanie studni z ziemią, sąsiedzi mają dobrą pamięć i nie będą oszczędzać tego dziecka. Będą gadać i przypominać o zbrodni.

– Najlepiej byłoby się całkiem wynieść z tego cholernego miasta i odciąć od wszystkiego raz na zawsze – stwierdził Morawski. – Nieważne, to już nie wasza sprawa. Wy zrobiliście swoje, a teraz wynoście się, chcę zostać sam z moim synem.

Kiedy zamykali za sobą drzwi, Julii zdawało się, że słyszy dochodzący z kuchni brzęk szkła.

– Musi się napić – stwierdził Górny.

– Taa... wódka jest dobra na wszystko.

Górny puścił Julię przodem przez furtkę. Jeszcze chwilę stali na ulicy, patrząc ponad ogrodzeniem, jak w bocznej części ogrodu Morawskich wianki z żółtych tulipanów unoszą się na wieczornym wietrze.

– Zrozum człowieka, na sucho nie da rady powiedzieć dzieciakowi, co stanie się z jego matką.

– Miał dużo czasu, żeby przygotować się do tej rozmowy. – Julia wyłączyła alarm w samochodzie. – Nie jest głupi, wiedział, że jego była żona prędzej czy później trafi do kryminału. Wiesz, co w tym wszystkim jest najgorsze? Że to ten mały wyciągnął prawdę na światło dzienne. Nikt z dorosłych nie miał na to wystarczająco dużo odwagi.

– Myślisz, że gdy za dziesięć lat uświadomi sobie, co zrobił, dopadnie go kac moralny? Jakkolwiek na to patrzeć, wpakuje własną matkę za kratki.

– Miałby kaca, gdyby tego nie zrobił. Dzięki niemu mała królewna może wreszcie spać spokojnie. Zrobił, co musiał. Dzielny chłopiec.

– À propos. Naprawdę musiałaś się przebierać w kieckę tej kobiety?

– Taką miałam fantazję. – Julia wzdrygnęła ramionami. – Pogrzebać w jej szafie i wskoczyć w coś, co Morawska od razu rozpozna. Była w niej na pogrzebie córki. Zastosowałam ukrytą symbolikę.

– Że niby ją rozgryzłaś?

– To jedno. Drugie: chciałam wejść w jej skórę.

– Twoja przebieranka nie zrobiła na niej wrażenia, jeśli taki miałaś plan.

Julia szarpnęła drzwiami skody.

– Kontrolowała się całkiem nieźle podczas przedstawienia w ogrodzie, ale kiedy zobaczyła mnie w kuchni razem ze swoim dzieciakiem... Widok tłukących się talerzy, które poleciały jej z tacy, był bezcenny. Tyle razy widziałam to na filmach... i w końcu voilà!

– Ja od zawsze chciałem zobaczyć w realu faceta, który zjeżdża po poręczy schodów, a na dole czeka na niego wystający słupek.

Julia przyjrzała mu się z niepokojem.

– To jest twoje marzenie? Masz coś z głową?

Udała, że nie widzi rozczarowania w jego oczach. W mdłym świetle padającym z ulicznej latarni wyglądał jak ogłupiały magik, któremu z cylindra zamiast królika wyskoczyła mysz.

Chrząknął, by zatrzeć złe wrażenie.

– Od kiedy zaczęłaś podejrzewać Morawską? – spytał, zanim Julia wsiadła do auta. – Przez cały czas typowaś jej męża. Byłaś na niego cięta, przyznaj.

– Byłam. Ale w trakcie naszej wizyty w szpitalu coś zaczęło mi w tym wszystkim zgrzytać. Miałam wrażenie, że ktoś robi z nas głupców, a to, co widzimy na nagraniu z kamery, to jakiś słabo wyreżyserowany film, na który nabieramy się jak frajerzy.

- No i?
- Pamiętasz „czarne i białe” na ścianie w moim mieszkaniu? – spytała.
- Wzięliśmy wtedy pod lupę zeznania Rylskich na temat męża Majewskiej.  
Górny skrzywił się na wspomnienie tego, jak posadziła go na stołku przed swoimi zapiskami i zaczęła mędrkować.
  - Co mam nie pamiętać. Wbiłaś mnie tą analizą w podłogę.
  - Otóż to. Sprawa źle skategoryzowana. Błędna optyka. O tym właśnie pomyślałam w szpitalu. Co, jeśli to wszystko działo się zupełnie na odwrót i to ofiara pobicia jest jego sprawcą? Ludzie nie takie rzeczy robią, kiedy chcą komuś zaszkodzić i przy okazji samemu się wybielić. Kiedy jeszcze powiedziałeś o utajnionych aktach z autopsji tej małej, zakotłowało mi się w głowie. Kto miałby na tym skorzystać? Morawski czy ktoś inny? Wiedzieliśmy już, że facet ma dojścia, ale kogo chciał chronić? To nie dawało mi spokoju. Przesunęłam w głowie cały film do początku i przyjąłam wersję niemożliwą za prawdziwą. I wszystko nagle zaczęło się spinać. Pozorowane pobicie Morawskiej, wyeksponowane trepy jej męża w garażu, odciski drobnych kroków nad potokiem, ale wciąż brakowało mi na to wszystko dowodu.
    - Miałaś go już wtedy pod ręką.
    - Tak – przyznała. – Sześciolatka bawiącego się latarką. Gdyby nie on i jego list, który kazał mi wysłać do Lidii, wciąż brakowałoby mi motywu.
    - Wydawało mi się, że te jego kropki i kreski to zwykła dziecięca zabawa. Sensu w tym nie było.
    - Bo notorycznie mylił litery. Kiedy je podmieniłam na właściwe, okazało się, że wskazał zabójcę swojej siostry.
    - Pokażesz ten list Sierackiej? To kluczowy dowód dla prokuratury.  
Julia pokręciła głową.
    - O ile Piotruś pozwoli mi to zrobić. Obiecałam mu, że nikt go nie zobaczy poza Lidią. Nie chcę być kolejnym dorosłym, który go okłamuje.
    - Już go okłamałaś. Pokazałaś go mnie, a ja Szymańskiemu – zaśmiał się Górny.
    - I żaden z was ma o tym słowa nie pisać. Jasne?
- Pocałowała go w policzek i wsiadła do skody. Zamknęła drzwi, ale zanim włączyła silnik, Górny zapukał w szybę. Otworzyła okno na kilka centymetrów.
  - Nie zapomniałaś mi o czymś powiedzieć? – spytał Górny, zginając się wół. – Co z twoją siostrą?

Przekręciła kluczyk w stacyjce i wcisnęła sprzęgło.

– Odezwę się – odparła wymijająco i wrzuciła pierwszy bieg. – Zajmij się Morawską, sama się nie przesłucha. Przyciśnij ją i nie daj się złapać na jej złamane życie. To fajterka, pamiętaj.

Górny zakręcił palcami młynka na dachu skody.

– Jasne – bąknął. – Podobno wywiozłaś Sylwię? Jak tylko skończę z Morawską, wpadnę do ciebie na noc. Powinniśmy odpowiednio uczcić zamknięcie sprawy.

Nie słyszał, czy coś mu odpowiedziała. Szyba podniosła się szybko, a potem zobaczył tylko dłoń Julii, jak macha mu na odjazdne.

Wilanowska usłana była stojącymi przy krawężnikach autami, jakby nagle wszystkim mieszkańcom zabrakło miejsc w podziemnych garażach. Objechała ulicę tam i z powrotem, zanim znalazła wąski pasek chodnika, na który udało jej się wcisnąć.

Spojrzała najpierw na zegarek, a zaraz potem w okna mieszkania Lidii. Dochodziła dwudziesta, a światło paliło się jedynie w małej sypialni. Ojciec zwykł jadać kolację punktualnie o ósmej, powinien więc kręcić się już po kuchni, robiąc kanapki lub sadzone jajka. Nie chciała mu przeszkadzać, zwłaszcza że ostatnio zdawał się zapominać o czymś tak przyziemnym jak jedzenie.

Zapaliła vogue'a i nie wychodząc z auta, odczekała do równej godziny. Światło w kuchni jednak wciąż się nie zapalało.

– Szlag by to – mruknęła do siebie.

Wyrzuciła papierosa przez okno i zakręciła szybę. Wysiadła ze skody i szybkim krokiem przecięła osiedlową ulicę. Nie zastanawiała się, który guzik domofonu ma wcisnąć. Wybór między trzema opcjami – ojcem, Ryłskimi a Ukraińcem – był oczywisty.

– *Khto tam?* – Po głosie wydało jej się, że jest lekko wstawiony. – *Tse ty, Wiera?*

– Tak, *tse ja* – odpowiedziała. – Otwieraj.

Chłopak musiał być jednak niezłe zalany, skoro nie rozpoznał jej głosu i bez zastanowienia wcisnął guzik. Julia szarpnęła klamką i wbiegła na trzecie piętro. Stała pod drzwiami mieszkania Lidii. Nie liczyła już na dobiegający z wnętrza szcęk talerzy; chciała usłyszeć choćby najcichszy

dźwięk jakiegokolwiek ruchu. Jednak nic zza drzwi nie dochodziło, ani szuranie kapci, ani gadanie włączonego telewizora.

Zrobiła krok w tył i bezszelestnie rozsunęła zamek swojej torby. Pod palcami wyczuła skórkowe etui ze szpikulcami wytrychu. Obróciła się na pięcie i wbiła wzrok w drzwi pustego mieszkania naprzeciwko.

Zamek musiał być zepsuty, najpewniej przewiercony wiertarką. Schowała wytrych i napała na drzwi ramieniem. Szczęknęły, odbijając się od framugi i pozostawiając kilkucentymetrowy prześwit między klatką schodową a wnętrzem mieszkania. Coś je blokowało. Ponownie uderzyła, tym razem całym ciałem. Ostry zgrzyt przesuwanej wewnątrz barykady rozniósł się po korytarzu.

Przecisnęła się przez wąską szczelinę i zamknęła za sobą drzwi. Stała w małym przedpokoju zalanym ciemnością. Jej stara latarka została w domu Morawskich. Sięgnęła po telefon i włączyła w nim lampkę. Teraz widziała wszystko dokładnie, w tym dwie ciężkie drewniane szafki wielkości starych kineskopowych telewizorów – to ich zgrzytanie po posadzce musiało zakłócić kilka dni temu spokój Rylskiej.

Poza starymi szafkami przedpokój był całkowicie pusty. Z podłóg wyniesiono chodniki, z haka zdjęto lustro.

Minęła wmontowaną w niszę wąską szafę na domowe szpargały i ruszyła w głąb mieszkania. Światło z telefonu padło na drzwi do łazienki, po czym ześlizgnęło się po nich i powędrowało dalej. Kuchnia dla odmiany pozostawała nieruszona. W końcu nikt przy zdrowych zmysłach nie wyrywa przed wyprowadzką blatów ani nie odkręca szafek, by przenieść je do nowego domu. Zabrano jedynie lodówkę i mikrofalę, po której pozostała pusta przestrzeń w specjalnie zamontowanej półce.

Niewielka sypialnia była całkowicie ogołocona z mebli; na podłodze leżało tylko kilka porwanych gazet. Stała przed drzwiami do salonu. Pchnęła je nogą. Światło omiotło pomalowane na biało ściany i zsunęło się na podłogę. W kącie, pod kaloryferem, coś leżało. Podeszła bliżej i przykucnęła przy zawiniątku. Złożony w kostkę koc, a na nim mała poduszka w beżową kratę. Znała tę poszewkę. Taka sama zdobiła poduszkę na kanapie w mieszkaniu Aleksandry.

– Lidia? – zawołała w głąb mieszkania.

Odpowiedziała jej cisza. Wstała z klęczek i krzyknęła ponownie:

– Lidia, to ja, Julia!

Wyjrzała na balkon. Był niewiele większy od jej własnego i niemal tak samo pusty. Jedyne w kącie stała walizka kabinówka. Podniosła wieko i zajrzała do środka. Poza pustymi opakowaniami po szynce i żółtym serze na dnie przewracały się zbrązowiałe ogryzki po jabłkach i foliowa torba po chlebie. Wyniosłaś z lodówki Aleksandry to, co dało się zjeść na zimno albo na surowo, westchnęła.

Pozostawało jeszcze jedno pomieszczenie.

Łazienka.

Od wejścia uderzył ją smród dobywający się z zamkniętego sedesu. Woda musiała być odcięta, fekalia stały pod klapą. Zasłoniła usta i rozejrzała się po wnętrzu. Białe kafelki, przyłączki do pralki i umywalka bez mydła. Wanna z zamontowanym pod sufitem drążkiem, na którym rozciągała się poliestrowa zasłona z motywem ciemnozielonych liści paproci.

Serce zabiło jej mocniej, kiedy zacisnęła dłoń na zasłonie. Odliczyła do trzech i pociągnęła za materiał.

Lidia leżała skulona. Nad jej głową smętnie wisiała zakręcona na kranie słuchawka prysznicowa. Wyglądała, jakby spała. Była odwrócona plecami do wejścia, a kolana miała podkurczone pod brzuch. Łokcie zaciskała przy żebrach. Sprawiała wrażenie, jakby wszystkie jej kończyny przykleiły się do tułowia, by osłonić je przed atakiem. Julia z bólem patrzyła na jej nogi ukryte pod pozaciąganyimi rajstopami. Od palców aż po kolana biegły dziury i długie oczka.

Odgarnęła włosy z twarzy siostry. Czuła pod palcami, że z braku wody zamieniły się w brudne, lepkie strąki.

– Już po wszystkim. – Przesunęła dłoń z głowy na ramię ukryte pod burgundowym materiałem sukienki. – Teraz będzie już tylko dobrze. Słyszysz mnie? Lidio?

Kobieta nie poruszyła się.

Julia przyłożyła dwa palce do jej szyi, ale nie wyczuła tętna. Zbliżyła latarkę do twarzy siostry i podniosła jej powiekę. Światło z telefonu poruszyło źrenicę.

– Będziesz żyć, wytrzymaj jeszcze trochę.

Ściągnęła z pleców płaszcz i ułożyła go na ciele Lidii, po czym wybrała 112.

## ROZDZIAŁ XIII

**N**ajświętsza... Panno Łaskawa, Uzdrawienie chorych, o Najświętsza...  
Panno Łaskawa, Dziewico słuchająca...

Na słowa Emilii Sylwia wytrzeszczyła oczy. Rozejrzała się po szpitalnej sali, w której poza nimi i podłączoną do kroplówki Lidią nie było nikogo.

– Do kogo ty mówisz, babciu? Do cioci? Przecież ona cię nie słyszy.

Emilia uchyliła przymknięte od transu powieki.

– Siedź cicho! Najświętsza Dziewico Rodząca...

– Ani tym bardziej nie rodzi – wtrąciła Sylwia. – Powiedz jej lepiej coś wesołego, a nie takie smęty.

Emilia przerwała litanie i złożyła modlitewnik.

– Widzisz przecież, że łączę się z niebem.

– Przez tunel? Jagoda mówi, że jak ktoś umiera, to widzi tunel.

– Nikt nie umiera! – Starsza pani przeżegnała się, po czym sprawdziła, czy kołdra jest wystarczająco wysoko podciągnięta pod szyję Lidii i daje tyle ciepła, ile kobieta potrzebuje. – Niepotrzebnie brałam cię ze sobą, tylko mi przeszkadzasz. O tej godzinie powinnaś już leżeć w łóżku.

– Nuda.

– Jesteś tu tylko dlatego, żeby dziadek mógł wreszcie odpocząć. Pokaż czoło. No, jest nieźle. Aspiryna Bayera najlepsza, zapamiętaj to sobie – stwierdziła Emilia i zerknęła na mały zegarek zaciśnięty na przegubie pulchnej ręki. – Dziadek zmieni nas za godzinę. Do tej pory będziemy czuwać i modlić się, żeby ta biedaczka oprzytomniała. Jak ona dała radę wytrzymać tyle bez wody?

Sylwia przyjrzała się ściekającym przez cienką rurkę lekomi, które wędrowały wprost do ciocinej żyły.

– Jagoda mówi, że jak jej babcia miała operację powiek, to też długo spała. A na oczach miała takie coś. – Zasłoniła powieki palcami, które na czas demonstracji miały pełnić funkcję plastrów.



Emilia spojrzała na tę inscenizację z pogardą.

– Babcia Jagody powinna się zastanowić nad wyborem trumny, a nie nad naciąganiem sobie czegokolwiek.

Przerwały rozmowę na dźwięk otwieranych drzwi. Młody lekarz w białym kitlu wyglądał na zmęczonego po całodobowym dyżurze. Na przywitanie kiwnął jedynie głową w stronę dwóch par śledzących go damskich oczu, po czym sprawdził na monitorze, czy zapis EKG nie odbiega od normy. Skrobął coś na zawieszanej w nogach łóżka tabliczce i odwiesił ją na miejsce.

– Pani jest matką? – spytał Emilię, gdy wsunął długopis do kieszeni fartucha. – Siostrę pacjentki już poznałem, zdawało mi się, że nikt więcej nie przyjdzie.

Emilia wykonała okrężny ruch głową, który nic nie mówił.

– Matka? – spytał ponownie.

– Tak – wykrztusiła. – Matka.

Lekarz nie zauważył, że szyja i twarz kobiety zalewają się czerwienią. Zignorował również zadziwioną minę dziewczynki, która wybałuszyła oczy, jakby właśnie zobaczyła ducha. Znów kiwnął głową, tym razem na pożegnanie, i zostawił je same.

– Nic nie mów, dziecko – wymamrotała Emilia, wachlując szyję modlitewnikiem. – Czasami trzeba powiedzieć coś, co ledwo przechodzi przez gardło. Rozumiesz?

– Mhm. Szkoda, że ciocia tego nie słyszała. Chociaż Jagoda mówi, że nieprzytomni ludzie...

– Nie mąć mi w głowie. Zrobiłam to tylko ze względu na dziadka, żeby był spokojny, że ktoś z nią tu jest. Inaczej wyrzuciliby nas stąd na zbity łeb.

Przez chwilę patrzyły na blade policzki Lidii. Odwodniona skóra była niemal przezroczysta.

– Ty płaczesz, babciu? – Sylwia spojrzała na twarz Emilii. – Masz mokre oczy.

Emilia pociągnęła nosem.

– Zdaje ci się. To przez roztocza. Pełno tu tego świństwa, na pewno nie dezynfekują sal jak należy.

Odszukała w modlitewniku przerwana w połowie litanie i nie zwracając już uwagi na wnuczkę, zaczęła mamrotać pod nosem kolejne linijki błagalnego pacierza.

\* \* \*

Julia wciągnęła w płuca ostatni dym z papierosa, po czym zgasiła go o poręcz balkonu i rzuciła pod nogi, obiecując sobie, że jutro rano zmiecie wszystkie porzucane pety. Stała na wietrze, spoglądając na osnute nocą miasto, które powoli zamierało, szykując się do snu. Dalekie światła neonów i te bliższe, padające z okien domów przy Czerniakowskiej, zawsze przynosiły jej ukojenie. Były jak plaster na rany. Nie potrafiła tego wytłumaczyć racjonalnie, ale patrząc na wszystko z góry, miała wrażenie, że tam, niżej, życie płynie spokojnie i szczęśliwie, a ludzie są tylko dobrzy. Nie miało to większego sensu. Przecież na dobrą sprawę mało kto jest tak naprawdę szczęśliwy. Większość udaje i stwarza pozory idylli, tłamsząc w sobie rozczarowanie życiem po to tylko, by móc jakoś przetrwać kolejny dzień, miesiąc i rok.

Wycofała się do pokoju i docisnęła drzwi balkonowe. Dobrze, że ten długi dzień wreszcie się skończył. Najwyższy czas, by odpocząć i złapać oddech. Z kartonu stojącego w pokoju Sylwii wyjęła kilka książek. Od dawna miała zabrać się za Philipa Rotha i jego *Aмерыkańską sielankę*, a tak naprawdę to dokończyć ją, bo zostało jej tylko kilka rozdziałów. Tam, podobnie jak na warszawskich Bielanach, też była rodzinna „sielanka”. Pozornie szczęśliwi ludzie przeżywający swoją własną tragedię.

Nalała wody do wanny i zanurzyła się w pachnącej pianie. Oparła grzbiet książki o drewnianą podpórkę i otworzyła powieść na stronie z zagiętym rogiem. Na czym to skończyła? Główny bohater wiedział już, że córka szykuje się do terrorystycznego ataku, i szalał z rozpacz. Nic tak na człowieka nie działa jak świadomość, że jego dziecko pakuje siebie i innych w nieuchronną tragedię. I nic nie jest w stanie go pocieszyć, ani majątek, ani miłość do własnej pracy. Ech, te dzieci...

Przeczytała kolejny rozdział i odłożyła książkę. Górny zapowiedział, że po przesłuchaniu Beaty Morawskiej wpadnie na noc. Nie chciała, by zastał ją w wannie albo w szlafroku. Nie po to przywiozła z wypożyczalni strojów seksowny kostium Marii Antoniny. Po tym, co przeszli, należy im się godzinka lub dwie niegrzecznej zabawy dla dorosłych.

Wytarła ciało i wyciągnęła z folii strój. Górny zwariuje, jak zobaczy ją w kusych koronkach i białych pończochach. Odleci jak nic. I jeszcze ta piętrowa peruka!

Kiedy obejrzała się w lustrze, pokręciła z niedowierzaniem głową. Wyglądała seksownie, wręcz zdzirowato, jak nie ona. Chyba zwariowała. Lepiej będzie, jak schowa ten strój i wskoczy jednak w wysłużony szlafrok. Górny może przecież różnie zareagować. Albo padnie z wrażenia, albo ze śmiechu. Tym bardziej: szlafrok.

Nie zdążyła odpiąć z prawego uda pończochy, kiedy usłyszała dzwonek do drzwi. Któryś z lokatorów musiał wpuścić Adama do klatki. Pewnie starsza pani z naprzeciwka, której targał ostatnio siatki, wracała akurat z wielkopostnego czuwania przy grobie Jezusa.

Podeszła do drzwi i przekręciła zamek.

Stanęli naprzeciw siebie jak skamieniali. Dopiero po kilku długich sekundach dłoń Julii przesunęła się po błękitnych koronkach pończoch, próbując zasłonić uda.

– Całkiem gustownie. – Maciejewski podrapał się niezręcznie po czubku głowy. – Nie spodziewałem się aż takiego powitania.

– Skąd ty tutaj teraz? – spytała mało składnie.

Wyciągnął przed siebie rękę, którą do tej pory trzymał schowaną za plecami. Przed oczami Julii mignęła czerwień pudełka z jakimiś białymi zwierzętami.

Renifery.

– Sweter, pamiętasz? Miałem przysłać pocztą, ale pomyślałem, że lepiej będzie osobiście.

Cholerne wełniane karibu.

Miała wrażenie, że narysowane na pudełku zwierzaki zawirowały w dziwnym tańcu, najpewniej dworskim kadrylu. Gdyby była dworską damą, mogłaby zemdleć i nie musiałyby znosić tego upokorzenia. Deficyt błękitnej krwi trzymał ją jednak w pionie, mogła co najwyżej udać, że strój, w jakim otworzyła Arturowi drzwi, to tylko niewinny żart.

– To taki żart – powiedziała, próbując zachować kamienną twarz. – W szkole Sylwii będzie kabaret o osiemnastowiecznej Francji.

– Kabaret? – Arturowi niebezpiecznie drgnęły kąciki ust. – O rewolucji i gilotynach? Wysil się bardziej, Julia.

Nic nie mówiąc, zerwała wieko pudła i wyjęła z niego sweter. Długi, z kapturem i paskiem. Strzepnęła go, żeby rozprostować i wciągnąć na siebie, przykrywając tym samym zdzirowatą sukienkę, białe pończochy i perukę z loków. Peruka nie zmieściła się w zbyt małym kapturze.

– Wyglądasz z tą piramidą na głowie jak Marge Simpson <sup>16</sup> – parsknął Maciejewski. – Tylko kolor nie ten.

– Bardzo śmieszne – odpowiedziała wściekła, po czym podniosła rękę, by zedrzeć z siebie perukę.

Powstrzymał ją, nim zdążyła odkleić od czoła pasek trzymający sztuczne włosy.

– Zaczekaj. – Głos Artura nie brzmiał już prześmiewczo.

Zrobił krok naprzód, niemal wpychając ją do przedpokoju. Cofnęła się, poddając się ruchom jego rąk. Dopiero teraz zauważyła, że ma ze sobą małą walizkę. Przyjechał tu prosto z lotniska. Do niej, nie do siebie. Jeśli znów chodzi mu o darmowy transport jej autem...

Zamknął za sobą drzwi i przekręcił rygiel.

– Padam z nóg. Zaparzysz mi mocnej kawy? – spytał, nie spuszczając z niej oczu.

Znów było tak jak dawniej, jakby nic złego między nimi się nie wydarzyło. Pachniał armanim i zmęczeniem po całym dniu spędzonym w podróży.

– Kawy? – spytała z bijącym sercem. – Owszem, posiadam. Tylko ściągnę z siebie Antoninę. Wyglądam jak idiotka.

– Nie wyglądasz – odpowiedział. – Jesteś najlepszą wersją Antoniny, jaką można sobie wymarzyć.

Czuła jego oddech na swojej twarzy. Był tak blisko jak kilka dni temu, gdy żegnali się na lotnisku przed jego wylotem do Oslo. Żadne z nich nie przypuszczało wtedy, że ten moment powtórzy się już niebawem.

– Antonina marnie skończyła – wyszeptała Julia, patrząc mu prosto w oczy.

– Tak. Ale z tobą będzie inaczej. Będziesz żyć długo i szczęśliwie. Oboje będziemy.

Zmrużył oczy i uśmiechnął się łagodnie.

Dzwonek telefonu, który zostawiła na kuchennym blacie, oderwał ją od tego, co właśnie znów zaczynało się między nimi dziać. Dobrze widziała na wyświetlaczu imię Adama. Wyciągnęła rękę, żeby odebrać, ale jej dłoń zawisała nad urządzeniem. Odczekała, aż dzwonek ucichnie, po czym wystukała kilka słów. Treść esemesa była krótka: „Jestem w szpitalu u Lidii, odezwę się jutro”.

Wiedziała, że Artur patrzy jej przez ramię, odpinając z głowy wariacką perukę.

– To, że tu jesteś, nie może wyjść poza te ściany – powiedziała ze ściśniętym gardłem. – Każde z nas ma swoje życie.

Odwrócił ją ku sobie.

– Nie chcę teraz o tym myśleć.

Patrzyła w jego źrenice. Ciemne i głębokie.

– Musisz mi obiecać...

– Obiecuję. Żadne z nas nie potrzebuje kłopotów. Kiedy stąd wyjdę, zapomnimy o wszystkim.

# Przypisy końcowe

- [1] moje serce (hiszp.) [wszystkie przypisy pochodzą od redakcji].
- [2] Według legendy o wiecznej miłości pochodzącej z rejonu Garajonay na La Gomerze.
- [3] Mamo? Zaczynamy, już czas (hiszp.).
- [4] Już czas, mamo (hiszp.).
- [5] Drewniany instrument muzyczny z Wysp Kanaryjskich, służący do wykonywania tradycyjnej muzyki. Używany głównie na wyspach La Gomera i El Hierro.
- [6] Bóg (hiszp.).
- [7] Rodzina, przyjaźń, zaufanie (hiszp.).
- [8] Jeden, dwa, trzy (hiszp.).
- [9] cukierek (hiszp.).
- [10] Już dobrze, mamo, już dobrze... nic się nie stało (hiszp.).
- [11] Nie! To nie koniec! Pozwól mi mówić (hiszp.).
- [12] Nie chcę umierać, nie wyznawszy prawdy! (hiszp.).
- [13] Nie! (hiszp.)
- [14] Nie uciszysz mnie, Dolores! Bóg wie, że to się tak nie skończy! Dzwony sprawiedliwości jeszcze zabrzmiały! (hiszp.).
- [15] Zdrowaś, Maryjo, łaski pełna... (hiszp.)
- [16] Marge Simpson – postać z serialu animowanego pt. Simpsonowie, charakteryzująca się niezwykle wysokim upięciem włosów.